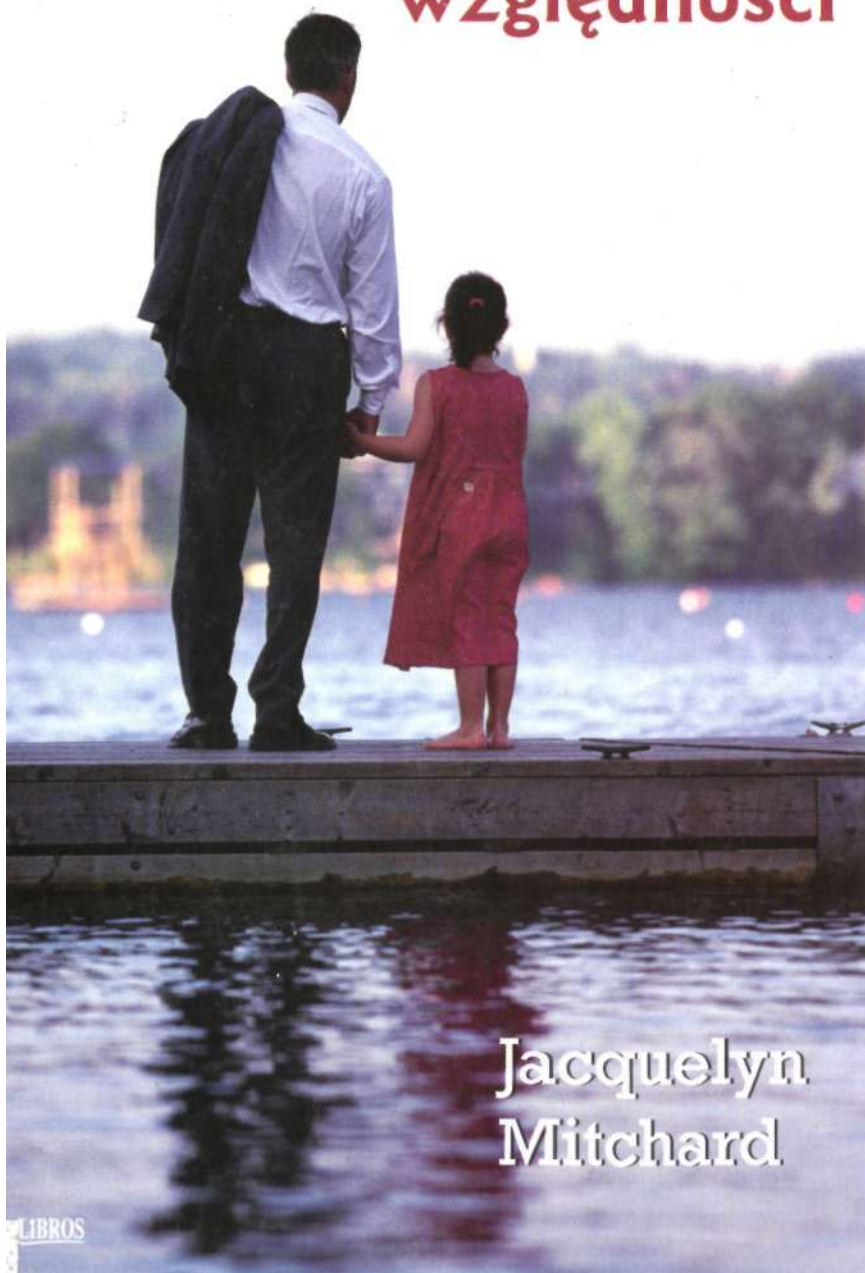


Teoria względności



Jacquelyn
Mitchard

Teoria względności

Z angielskiego przełożyła
Joanna Puchalska

LIBROS

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media

MU

Projekt okładki
Małgorzata Szyszkowska

Zdjęcie na okładce
EAST NEWS

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja merytoryczna
Barbara Waglewska

Redakcja techniczna
Katarzyna Krawczyk

Korekta
Irena Kulczycka
Maria Włodarczyk

Copyright © 2001 by *Jacauelyn Mitchard*
All rights reserved
Copyright © for the Polish translation
by Bertelsmann Media Sp. z o. o., Warszawa 2002

Grupa Wydawnicza Bertelsmann Media
Libros
Warszawa 2002

Dział Handlowy
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa
tel. 0-22 645 82 41
fax 0-22 648 47 31
zamowienia@bertelsmann.de

Skład i łamanie: Plus 2
Druk i oprawa: GGP Media, PóBneck

ISBN 83-7311-406-8
Nr 3516

*

*Christopherowi, Marii Christopher
i Mochie*

Jak szybko płynny miód
popołudniowego światła
wpływa w ciemność

a zamknięty pączek strząsa
swą niezwykłą tajemnicę
żeby wybuchnąć kwiatem

jakby to, co istnieje, istniało
tak, że może zostać utracone
i stać się cenne.

Lisel Mueller, *In Passing*

Słowo „względność” już na wstępie przypomina nam, że uczone nieuchronnie staje się częścią systemu, który bada... Krótko mówiąc, czy rzeczywiście prawa natury są takie same dla wszystkich?

Nigel Calder, *Einstein s Universe*

O jejku! O rety! - krzyczeli. - JAK TO TAK?
To coś całkiem nowego!
To SŁOŃ - PTAK!!

Dr. Seuss, *Horton Hatches the Egg*

ja siostra nie żyje; twoja siostra nie żyje! A Gordon wdychał i wydychał powietrze, powtarzając sobie, co naprawdę powinno być dla niego ważne.

To on musi być tym, który podejdzie do tego analitycznie. Trzeźwa ocena faktów leżała w jego naturze, była jego powołaniem. Z całej rodziny jemu wychodziło to najlepiej. W ten sposób będzie chronić siebie i rodziców.

Oczywiście był przerażony. Wszystko o tym świadczyło. Trzęsące się nogi. Trzepoczący puls. Zaczęło się w chwili, kiedy usłyszał głos szeryfa Larsena.

- Gordon - powiedział szeryf. - Co robisz, chłopcze?

Co robił?

Stary przyjaciel ojca przychodzi do niego do szkoły w środgu tygodnia - a przecież w ogóle Gordona nie powinno tu być, gdyż letni semestr skończył się dwa tygodnie wcześniej - i pyta, co on robi? Coś się stało, coś niedobrego; nie był w stanie sobie wyobrazić, co takiego; wszystko złe już się stało.

Głęboko w brzuchu Gordon poczuł bolesny skurcz.

- Sprzątam, hm, klasę - odpowiedział wreszcie, z trudem. - Wyrzucam spleśniałe wodorosty. Czytam miłosne listy na blatach. Zwykłe rozrywki nauczyciela biologii.

- Dobrze - rzekł szeryf Larsen. - Dobrze. - Jego głos zawsze kojarzył się Gordonowi z głosem Ronalda Reagana. - Więc... jesteś sam?

Gordon był sam i rozkoszował się samotnością. Dni chemoterapii Georgii w szpitalu przy Uniwersytecie Stanowym były jedynym momentem, kiedy członkowie rodziny McKenna pozwalali sobie na wykonywanie zwykłych czynności - takich jak chodzenie do fryzjera czy oddawanie książek do biblioteki - normalnie uważanych za egoistyczne i wstydlive, gdy Georgia była w domu i bardzo źle się czuła. Starał się nie odbierać telefonów, gdyż prawie na pewno to matka dzwoniła z biuletynem najświeższych wiadomości o popołudniowych osiągnięciach jego rocznej siostrzenicy Keefer. „Sama trzyma łyżkę! Powiedziała: mu!” Gordon kochał Keefer i uważał, że jest bajecznie mądra, ale to już zaczynało przypominać główne wydanie wiadomości CNN.

- Co się stało? - spytał Dale'a Larsena.

1 kiedy Szeryf opowiadał: wypadek, straszny wypadek, nikt nie przeżył, więc przyjechał tu po Gordona - szok rozrastał się

w piersi coraz bardziej, aż się wydawało, że klatka piersiowa może pomieścić serce albo płuca, ale nie oba te organy naraz. W tej sytuacji to normalne, zapewne nastąpił rodzaj kardiologicznego wstrząsu. Strach, przypomniał sobie, jest - jak wszystko inne - tylko myślą. Czy przed rokiem nie doznawał podobnego uczucia, kiedy się dowiedział, że Georgia, jego jedyna siostra, zaledwie dwudziestosześcioletnia, szczęśliwa żona i radosna młoda matka, ma raka w stadium, z którego się nie wychodzi? Czy nie przyglądał się jej cierpieniom dzień w dzień, przez ciągnący się bez końca rok, nie opłakiwał jej, nie chodził osowiały, nie starał się podtrzymywać jej na duchu, nie życzył sobie dla niej wyzwolenia i **nie** chłostał się w myślach za to pragnienie?

Już po wszystkim. Była wolna.

A Ray, mąż Georgii, wieloletni przyjaciel Gordona, kumpel od serca z Jupiter na Florydzie, dobroduszny siłacz o umyśle fizyka i sercu dziecka... Ray też nie żył. Gordon musiał to wszystko jakoś ogarnąć. Ray nieraz mówił Gordonowi podczas choroby Georgii: „Stary, nie umiem bez niej żyć”. Gordon miał wrażenie, że w tym jest coś więcej niż takie sobie gadanie. Więc może Ray też czuł wdzięczność w ostatnim świadomym momencie życia. Umysł jest w stanie wytworzyć wiele obrazów w ułamku sekundy.

I tak się też działo z jego własnym umysłem. Gordon postanowił, że nie zadzwoni do matki. Ofiaruje jej tych kilka chwil bez troskiej zabawy z Keefer. Ani nie zadzwoni do cioci Nory. Była dzielna jak niedźwiedź, ale widząc jej ogromną prostotę, trudno było uwierzyć, że ten sam wiek dwudziesty, który stworzył rodziców Gordona, stworzył także ciotkę Norę. Nie tak dawno powiedziała Gordonowi, że nie musi znać odpowiedzi na wszystkie „dlaczego?” i „dlaczego właśnie ona?” Pewnego dnia sama spyta o to Georgię w niebie.

Ale niebo, pomyślał Gordon, gdy równo zaparkował samochód w rozsądnej odległości na wyschniętym poboczu drogi, było tylko idea, kiedy Nora wygłaszała swoją kwestię. Teraz królestwo przyszło. Nora będzie zdruzgotana.

I to on - uświadomił sobie - w wieku dwudziestu czterech lat, najmłodszy z rodziny, będzie musiał podać pomocne ramię.

Wszystko, co ujrzał, było dziwne, wzbudzało niepokój.

Miejsce wyglądało jak każdego innego dnia. Gordon pomyślał najpierw, że przyjechał nie tu, gdzie trzeba. Albo że to wszystko

jest pomyłką. Głupim kawałem. Gdzie się podziewa Dale Larsen? Nie było śladu znajomego policyjnego samochodu. Pogodne, niewinne, letnie popołudniowe słońce błyskało na rosnących nad rzeką brzozech. I słychać było natarczywy, melodramatyczny krzyk krzyżodzioba; głos ten Gordonowi kojarzył się zawsze, nawet w tym momencie, z powiedzeniem matki, że brzmi jak krzyk drozda śpiewaka, który brał lekcje sztuki aktorskiej. W pędzie miały go samochody najeżone rowerami i sprzętem biwakowym. Gordon miał wrażenie, że był jedynym elementem krajobrazu nie należącym do zwykłej codzienności.

Nawet wyłamana aluminiowa barierka, zwisające bezwładnie skrzydło, wyglądała niewinnie, ot jak oderwany zderzak. Popatrzył na drugi brzeg. Stało tam kilku strażaków wpatrujących się w płytki strumień, najwyraźniej niemających nic do roboty. Samochód musiał polecieć... wrak musi gdzieś tam być. W karetce zaparkowanej kilka jardów dalej w górę strumienia też nic się nie działo, choć drzwi były szeroko otwarte.

Pochylił się, spojrzął w dół, na drugi brzeg strumienia.

Wtedy zobaczył.

Sterta pogiętego metalu, oto co zostało ze starego samochodu, ulubionego wozu ojca. Sterczał zaryty, jakby wstydliwie, nosem w gnieździe z piasku, rzecznych głazów i betonu. Szkło było wszędzie - wydawało się, że dookoła leży więcej szkła, niż mogło się znajdować w samochodzie - na brzegach, wśród obmytych wodą głazów, pod drzewami. I jeszcze siatki i pasma czerwieni i beżu, w wodzie, wśród wierzbowych gałęzi. Gordon potem nie umiał odtworzyć sobie następnych chwil inaczej niż pokawałkowane fragmenty, przetykane okresami ślepoty, jak slajdy wyświetlane w ciemnym pokoju. Przeskoczywszy barierkę, zsunął się po porośniętym trawą zboczu, minał policjantów. Poruszał się jak lunatyk, odbierając wszystkie zewnętrzne doznania tak normalnie, jakby to był jeden ze słonecznych dni dzieciństwa; ten dzień, w którym obudził się z poczuciem szczęścia, że już mieszka na skraju wielkiego lasu, podczas gdy inne dzieci dopiero mają przed sobą wyjazd na wakacje. Ślizgając się, niemal upadając i odzyskując ponownie oparcie dla stóp, stanął wreszcie obok samochodu.

W strumieniu stała betonowa ściana - rodzaj zapory chroniącej drogę przed wodą z wiosennych roztopów. Samochód najwyraźniej wpadł na jej lewą krawędź. Maską była wygięta do tyłu, tak

że dochodziła do miejsca, które kiedyś było przednim siedzeniem. W podobny sposób dzieci wyginają kromkę chleba, składając ją w kanapkę. Nie dałoby się wyjąć stamtąd nic żywego.

Okna wypadły na zewnątrz, a to, co Gordon zobaczył przez dziurę ziejącą w miejscu wyrwanych drzwi kierowcy, wyglądało na pierwszy rzut oka jak jadowite meduzy, które oglądał podczas nurkowania, delikatne, parasolowate błony, pożyczowane kasztanowato-niebiesko-złotymi żyłkami... Ray... och Ray. I to, czego dokonał boczny słupek przy przedniej szybie. Ray. Nie mógł pa- Irzeć na te falujące w płytkim strumieniu, w samym kącie jego pola widzenia, długie pasy fioletowej tkaniny haftowanej w złote gwiazdy - bluzkę siostry.

Gordon się rozpłakał.

Wolnym krokiem podeszli dwaj policjanci, wyciągnęli ręce i sztywno, w sposób charakterystyczny dla mężczyzn z pokolenia jego ojca, pokleпали go po plecach. A Gordon zwalczył silne pragnienie, żeby ukryć twarz na piersi któregoś z nich i łkać. Zostań tu powiedzieli; głosy były niskie, żaden z nich nie wydawał się pochodzić od tych mężczyzn. - Nie, synu, nie podchodź bliżej, nic już nie możesz dla nich zrobić. Potem zjawił się Dale Larsen. Zszedł ze wzgórza drobnymi kroczkami jak baletnica, tak jak cza- Nm chodzą starsi, potężnie zbudowani mężczyźni, a jego obecność uosabiająca bezpieczeństwo, solidność i nieprzystwoitą ciągłość toczącego się gdzieś dalej życia - doprowadziła Gorda- na do ostatecznego załamania. Szeryf Larsen był częścią stabilnego świata. Gordon pożądał kiedyś córki Larsena, gorącej, dzięki dziewczyny, przypominającej Joan Jett, która została wybrana miss szkoły, kiedy były w jednej klasie z Georgią. Stephanie. Jak- że mógł zapomnieć jej imienia, choćby na chwilę. Stephanie. Gordon zacisnął obie pięści na wykrochmalonej niebieskiej koszuli szeryfa i przywarł do niego. A Dale Larsen, w geście, który Gordon odebrał jako zatrwajająco intymny, a jednocześnie bardzo powściągliwy, przykrył lekko jego ręce swymi wielkimi, suchymi dłońmi.

Przed nami najtrudniejsze, chłopcze - powiedział. - Musimy zawiadomić twoich.

Larsen poprowadził go z powrotem na górę, a Gordon znowu poczuł się jak dziecko. Doznawał ulgi, że ojciec nie widzi swego ukochanego bel-air z 1957 roku, ogromnego kremowego cacka

z jasnoczerwonymi siedzeniami, samochodu wybranego na podróż poślubną między innymi ze względu - jak Mark McKenna powiedział kiedyś synowi w rzadkim u niego przychyliwie zwieżeń - na wielkie, miękkie tylne siedzenia. Kupiony od jedynego poprzedniego właściciela, profesora uniwersytetu, który wyjechał za granicę, był traktowany jak trofeum, corocznie kapany w oleju i starannie polerowany, opatulany na zimę we własny koc, okazjonalnie zabierany na przejażdżkę, tak jak dziś wzięli go Georgia i Ray. Dla taty był to wóz jego młodości, pochodził z czasów, kiedy wysoki, poważny chłopak uderzał w konkury do egzotycznej, ciemnowłosej studentki sztuk pięknych, która wychowała się w apartamencie na Gold Coast w Chicago. Oglądając zdjęcia rodziców z tamtych, dawnych lat, Gordon nigdy nie mógł oprzeć się wrażeniu, że oboje przypominają gwiazdy filmowe, niemożliwie młodzi i zadziwiająco przystojni, zalotnie traktujący aparat fotograficzny.

Och, mam, pomyślał Gordon. Och, mam, och, mam!

Szeryf Larsen mówił cicho coś o jakimś samarytaninie z telefonem komórkowym; przypadkiem przejeżdżał tędy, udając się z Janesville do Burnt Church Lake na weekend, by łowić ryby, razem z dwoma synkami. Zjechał na pobocze tylko po to, żeby uspokoić dzieci, które wypięły się z pasów i zaczęły wojnę na kapoki.

- Biedaczysko - rzekł Dale Larsen. - To jego synek, bąk mniej więcej sześćioletni, pierwszy zobaczył samochód i powiedział: „Tato, tam jest...”

- Co? - spytał Gordon. Nagle usiadł ciężko na skraju drogi. Musiał.

- Nic - odparł Dale. - Samochód zasłaniały liście... więc niewiele było widać. Facet pomyślał najpierw, że to jeden z tych gratów, jakie ludzie rzucają przy drogach. Jak przyjechaliśmy, płakał. Trzymał obu chłopców w ramionach, żeby nie mogli patrzeć w tamtą stronę, płakał, rozmawiając przez telefon z żoną. Był wstrząśnięty.

- Czy chłopiec... widział ciała?

- Nie, Gordon. Tylko...

- Krew...

- Daj spokój, chłopcze. Sam wiesz, że nic nie... Pogotowie próbowało. Rozciągli blachę. Ale oni już nie żyli.

- Wiem. Zrobili, co mogli.

- Prawdopodobnie byli tu od wielu godzin. Samochód spadł w takim miejscu, że nikt go nie zauważył.

- Oni... Ray i... Georgia... wyjechali bardzo wcześnie. Nocowałem u rodziców. Przyniosła mi małą do łóżka i powiedziała: „Jak mnie pocałujesz...”. - Czy czuł wtedy zapach perfum Georgii, wodę kolońską Sugar Cookie, jaką sprzedawali w Soap Bubble? Przez chwilę miał wrażenie, że znowu otacza go ten niewyraźny zapach. „Jak mnie pocałujesz, tęsknoty nie poczujesz”. Miękki, wilgotnawy tobołek Keefer - ubrana we frotowy śpiworek, leżąca między Gordonem a ścianą.

- Co takiego?

- Nic, po prostu, ona... Mama nam to zawsze powtarzała, jak wychodziliśmy do szkoły. Tak właśnie pożegnała się ze mną. Nawet się wtedy jeszcze na dobre nie obudziłem.

- Hm. Czy już... Czy możesz wstać, chłopcze? Oczywiście nie śpiesz się. Sam chętnie wytchnę chwilę. - Potężny mężczyzna, o oczach okrągłych i smutnych jak u psa, spływał potem.

- Jestem gotów.

- Powinniśmy teraz zawiadomić twoich, Ed Dean... mój zastępca, zadzwonił do twojego wuja Mike'a. Mike pewnie pojechał już po twego ojca do Medi-Sun. - Larsen wziął głęboki oddech. - Gordon, wiesz, jak bardzo z głębi serca ci współczuję. Wasza rodzina i Georgia, zwłaszcza Georgia, znaczyliście zawsze dla nas bardzo wiele. Wiem, jakie to cholernie trudne. I jak było wam ciężko. A i tak przecież nie zmieni to...

- Jasne - odparł Gordon. - Rzeczywiście, jak się o tym tak myśli, wszystko staje się łatwiejsze.

Szeryf zamilkł na tak długą chwilę, że Gordon pomyślał, iż nie dosłyszał odpowiedzi, ale kiedy podniósł wzrok, serce mu drgnęło na widok znajomego spojrzenia... widział je już setki razy. Jak zwykle Gordon wyrwał się naprzód, ruszył, gdy inni trwali bez ruchu, powoli oswajając się z sytuacją. Zrobił to bezwiednie, mimowolnie, usiłując jedynie na swój niezgrabny sposób znaleźć pocięgę.

- Chcesz powiedzieć - zaczął ostrożnie Larsen - że tak jest lepiej... dla Georgii?

- Tak - Gordon zgodził się z wdzięcznością. - Właśnie tak... jest... Bezradnie patrzylibyśmy, jak... umiera.

Wtedy Gordon sobie uświadomił - i mocował się z tą myślą,

podczas gdy jego umysł z wysiłkiem starał się ogarnąć to wszystko jak małe dziecko, które z trudem obejmuje gruby ołówek - że śmierć Raya też w pewnym sensie uprościła wiele spraw. Spraw, o których sam Gordon nigdy nie mówił wprost, a których nawet nie chciał sobie wyobrażać. Georgia i tak by wkrótce umarła. Ale Ray żyłby nadal. I prawdopodobnie, i to prędzej niż później, zabrałby Keefer i przeprowadził się na Południe, w pobliże jakiegoś znanego pola golfowego. Chciałby mieszkać blisko swoich rodziców, którzy zajmowałiby się dzieckiem, podczas gdy on spędzałby niekończący się sezon na turniejach zawodowców. Ray mógłby się przecież powtórnie ożenić - był młodszy od Georgii, w wieku Gordona. W rezultacie udział McKennów w wychowywaniu Keefer, tak znaczny od dnia jej narodzin, ograniczyłby się do wizyt na Gwiazdkę i listów z podziękowaniami, napisanych dziecinnym charakterem pisma. Straciliby Keefer tak samo jak Georgię, za jednym podwójnym ciosem.

Teraz ta druga część ciosu odsunęła się od nich. Zgodnie z wolą Raya i Georgii McKennowie, to znaczy on i jego rodzice, mieli zaopiekować się Keefer. Gdyby cokolwiek kiedykolwiek się stało.

I stało się.

To, co miał na myśli i co niemal wypowiedział na głos, brzmiało: strata Raya oznacza, że nie tracą Keefer.

Tak, to było straszne. Cholernie. Okrutne i nieludzkie.

Ale prawdziwe. Może nie?

„Życie to nie laboratorium - usłyszał głos siostry - Gordie, ty jesteś po prostu wykształconym głuptasem. Zawsze widzisz wszystkie fakty, ale mimo to tracisz z oczu sedno”.

Fakty, odpowiadał jej zawsze, stanowią sedno.

I fakty, pomyślał Gordie, wsiadając do samochodu i ruszając w ślad za szeryfem w stronę domu rodziców przy Cleveland Avenue, są takie, że on będzie musiał teraz, od razu, stać się ojcem. A w związku z tym kiedyś trzeba będzie zdać Keefer sprawozdanie z tego dnia, wyjaśnić jej, dlaczego nie wychowują jej biologiczni rodzice. Będzie musiał bardzo się starać, żeby powiedzieć jej prawdę, tak jak jego rodzice powiedzieli mu całą, nagą prawdę - szczerze mówiąc, wolałyby, by była choć trochę ubrana - o jego własnym pochodzeniu. Keefer też będzie, uświadomił sobie Gordon, adoptowanym dzieckiem, tak jak on i Georgia. I podob-

nie, jak robił to Gordon, będzie miała tendencję do datowania początku swego istnienia nie od poczęcia, lecz od wejścia do rodziny. W końcu jest jeszcze malutka. Nie będzie pamiętała tych czasów. Sam Gordon zawsze czuł się tak, jakby przebywał w otchłani, zawieszony między bytami, zanim jego przybrani rodzice zyskali do niego prawa.

Cenił swoją historię, którą rodzice opowiadali wielokrotnie: „Jak stałeś się nasz”. A Georgia ceniła swoją jeszcze bardziej. Siostra miała pochodzenie dość egzotyczne; urodziła się jako dziecko węgierskiej studentki, która zaszła w ciążę w Stanach Zjednoczonych. Jego dzieje były bardziej prozaiczne: nastoletnia kasjerka, niejasne wspomnienie opalonych bicepsów, księżycowa noc i facet, który obsługiwał karuzelę. Matka wypowiedziała kiedyś słowa - z powodu których Gordon przez całe lata czuł się rozżalony - o ich reakcji na wieść o istnieniu Georgii: „Pomyśleliśmy od razu, że trafiła się nam niezwykła genetyczna gratka! Ponieważ jej matka była z pochodzenia Węgierką, podobnie jak moja rodzina, jak babcia i dziadek Kissowie, a poza tym studentką medycyny, liczyliśmy więc na to, że będziemy mieć dziecko podobne do mnie i mądre jak tata!”

A jednak to Gordon zrobił licencjat z nauk biologicznych, Georgia zaś, która jako czteroletnie dziecko grała w szachy, u w wieku lat pięciu czytała nagłówki gazet, przemknęła przez szkołę średnią bez oceny wyższej niż trójka; ani razu nie przygryzowała się do klasówki, wiecznie zajęta w jakimś szkolnym kółku czy klubie, zmuszała Lorraine do malowania plakatów, a w dniu wyborów kupowała cukierki dla wszystkich uczniów. Mark zapowiadał, że pewnego ranka wejdzie na parking w Medi-Sun i ujrzy swoją córkę, jak ściskając podawane jej dłonie, powie: „Jestem Georgia McKenna, wasz senator...” Ale Georgia nie miała większych ambicji niż prowadzenie butików z kosmetykami w Tali Trees, dwie przecznice dalej od domu, w którym się wychowała.

I tutaj dorosnie też Keefer. Historia Keefer, zaczynająca się od tego dnia, będzie zawierać opowieść o czułych, troskliwych rodzicach, odebranych groteskowym zrzędzeniem losu, jak w jakimś horrorze.

Za to zostanie przekazane przez członków jej prawdziwej rodziny, co było plusem.

Będą musieli wytłumaczyć Keefera, na czym polega ścieranie się poczucia straty i świadomość daru - prawda wszystkich adopcji-

Gordon chciał, by wiedziała, że był naprawdę szczęśliwy, mogąc się nią zająć, nie tylko ze względu na smutek po utracie siostry i Raya. Naprawdę bardzo ją kochał. Obecność Keefera ułatwiła zniesienie tych ostatnich kilku miesięcy. To i fakt... cóż, nie powinien nawet tak myśleć, ale... że dzięki niej odzyskał siostrę. Oczywiście był przerażony i zdruzgotany jej chorobą, ale z drugiej strony... szczęśliwy. Szczęśliwy, że ma jej towarzystwo, którego tak bardzo mu brakowało, kiedy ruszyła w dorosłość, zostawiając go z absurdalnym poczuciem, że jest przerośniętym uczniem. Lubił siedzieć przy niej do późna w nocy, kiedy nie mogła zasnąć, kiedy Ray był na turnieju albo chrapał jak nosorożec w bliźniaczym łóżku, odsuniętym na bok, by zrobić miejsce na szpitalne urządzenie. Oglądali wtedy kolejne powtórki *Strefy mroku* albo grali w kalambury. „Nie możesz zawsze zgrać «Rainmana», Gordie - powiedziała. - To jak gra ze środka pola. Przeważająca drużyna włącza się dopiero po chwili”.

Nie z jego wyboru, ale tak się stało.

I należało to przyjąć, skoro nadeszło.

Ktoś mógłby powiedzieć, że jest zbyt... wyrachowany czy coś w tym rodzaju. Że w takim momencie nie powinien myśleć o przyszłości. Ludzie zawsze tak mówili. A to zawsze była guzik prawda.

Cóż, starał się zwolnić kroku, dostosować do innych, ale nie potrafił. Georgia uwielbiała opowiadać o jego pierwszej próbie okazania wrażliwości. Na imię miała Taylor i przez pierwszy semestr w college'u wystarczył lekki powiew jej mleczka do opalania o nazwie Vanilla Bean, żeby wywołać u niego natychmiastową erekcję. Tymczasem jesień przeszła w zimę, a potem wiosnę, a jemu wpadła w oko całkiem niezła panienska z Nowego Jorku, którą poznał w laboratorium fizycznym, i czekało go trudne pożegnalne spotkanie, czyli konfrontacja nad filiżanką kofeiny. Gordon uważał za niezwykłą zagadkę życia fakt, że jednego dnia śpiwór Taylor na plaży Cocoa Beach uosabiał dla niego raj, a następnego dnia kojarzył się ze zjedzeniem naraz funta krówek. Wiadomo, że potrzeba czasu, by zapomnieć o ich smaku, zanim znowu się po nie sięgnie. Z wielką, jak mu się wydawało, delikatnością

wyjaśnił Taylor, że miał nadzieję, iż ich związek przetrwa wiele lat, tymczasem się okazało, że tylko kilka miesięcy. To nie ich wina: ani jej, ani jego. Nie ma co żałować wspólnie spędzonych chwil; na zawsze pozostaną w pamięci. Będzie o niej śnił, jak się wyraził (i ta część przemowy szczególnie mu się podobała), w technikolorze i oparach zapachu wanilii. W tej samej chwili Taylor jednym ruchem szurnęła ciężką torbę z książkami po blacie stolika, zrzucając jego filiżankę, której zawartość oparzyła go boleśnie w udo... Jak to? Dlaczego?

„Nie rozumiesz, Gordo? - spytała Georgia, kiedy przez telefon jęczał coś o braku rozsądku u kobiet. - Nie rozumiesz, że trzeba było okazać więcej wrażliwości?”

Nie bardzo rozumiał: jak to, przecież okazał wrażliwość! Gdyby wyznał Taylor szczerą prawdę, dowiedziałaby się, że zostawianie liścików zapieczetowanych nalepkami w kotki i upieranie się, że kosmyk włosów na czubku głowy jest odbiciem układu słonecznego, mógł tolerować jedynie podczas pierwszego miesiąca sypiania razem.

„Nie, nie, nie! - zaprzeczyła Georgia. - Nikt nigdy nie mógł sprostać twoim wymaganiom, a jednocześnie nie znużyć cię sobą”. Powiedziała mu, że jego nietolerancja wobec drobnych dziwactw i słabości innych ludzi nie jest zaletą, lecz wrodzonym defektem, mentalną blokadą, prowadzącą jedynie do wyłapywania błędów i potknięć innych.

Była to tylko jedna z niemądrych rozmów. Jedna z setek zwykłych siostrzano-braterskich tyrad. Ale umierając młodo i zostawiając po sobie pogmatwaną płataninę intencji, Georgia uczyniła wszystkie swoje słowa ostatnimi i proroczymi...

Dopiero po długim czasie od zakończenia postępowania sądowego miało do niego dotrzeć, iż naprawdę wtedy uważał - naiwność? arogancja? - że życie można traktować jak eksperyment przeprowadzany naukowymi metodami, że można uzyskać pewne wyniki, a potem doświadczenie powtórzyć. Tymczasem to było niemożliwe. Lub możliwe tylko wtedy, gdy się jest pustelnikiem, leżeli idzie się przez życie w kontakcie z innymi, ten kontakt zmienia naturę eksperymentu. Wdziera się niepodlegająca kontroli zmienna, nacisk ludzkiej ręki kryjący się za instrumentami.

Dzień wypadku, jazda do domu - wtedy po raz ostatni Gordon był tak pewny siebie, głupio pewny siebie, że gładko poradzi sobie z najstraszliwszą niespodzianką, jaką życie miało mu kiedykolwiek przynieść.

W sądzie, zaledwie w kilka miesięcy po katastrofie, fakty, na których Gordon zawsze się opierał, uważając je za najlepszą obronę, miały obrócić się przeciwko niemu. I zadziałać na jego niekorzyść zdecydowanie, choć w rękawiczkach, zupełnie jak leukocyty Georgii, które najpierw niezłomnie broniły jej ciała, a potem przeszły na stronę wroga, robiąc dokładnie to, co komórki robić powinny, ale bardziej pazernie i z większą precyzją. Sąd przyjął interpretację prawa, której nikt nie mógłby podważyć, ale która też miała siłę zdolną zniszczyć zarówno przyszłość, jak i przeszłość Gordona i jego rodziny. Miłość, jak strach, może i była jedynie myślą, ale miłość nałożyła kantary na oczy Gordona. Nie widział nadchodzącej klęski.

2

Jeszcze pół godziny i Nora Nordstrom odjechałaby, zanim samochód szeryfa zatrzymał się przy krawężniku na Cleveland Avenue. Skręciłaby w Spirit Lake Road i miałyby mniej niż połowę drogi do domu. Jej szwagierka Lorraine byłaby sama, gdy Dale Larsen, a w ślad za nim Gordon, przyszedł z ciężarem straszliwych wieści.

Bóg, pomyślała Nora i aż przeszedł ją dreszcz, działa w niezbadany sposób. Ale z niektórymi Jego wyrokami naprawdę trudno się pogodzić.

Tylko jeden rodzaj smutku był rzeczywiście nie do zniesienia, śmierć dziecka, które jest na tyle duże, że wie, co to słowo znaczy. Nora, na kilka lat przed wydaniem na świat najstarszego syna, straciła synka urodzonego dwa miesiące za wcześnie. Żył tylko dwa dni i choć nadal czuła drobny ciężar w ramionach i wciąż przechowywała białą szydełkową kołderkę, którą go owinęła, gdy wydawał ostatnie, boleśnie wolne i nierówne tchnienia, nawet wtedy wiedziała, że jest młoda i silna na tyle, by to przeżycie stało się z czasem smutnym wspomnieniem, nie tragedią. Nora wyobrażała sobie, że ów szybki powrót na tamtą stronę był sprawą

prostą, i że to tylko ona poniosła stratę. Po śmierci Georgii Nora się obawiała, że gdy pozwoli sobie na jedną choćby myśl o czymś innym niż niesienie pociechy bratu, Lorraine i Gordiemu, jej gniew rozsadzi ściany.

Na widok samochodu policyjnego jej pierwszą, niemądrą myślą było to, że nie uda się tego popołudnia spakować jagód do skrzynek. Samochód policyjny nigdy nie oznaczał niczego dobrego. Lorraine z Keefer na rękę wyszła do holu, gdzie Nora już stała, a wielka słomkowa torba leżała u jej stóp.

- Lorraine - odezwał się szeryf. - Mogę wejść?

- Oczywiście, Dale - odparła Lorraine, otwierając drzwi i wpuszczając szeryfa do ponurego holu, po czym dodała: - Domyślam się, że coś z Markiem. Miał zawał, tak? Czułam, że się dorobi. Codziennie od piętnastu lat biega...

- To nie Mark - odparł szeryf. - Dzień dobry, Noro. - Skinął głową i ostrożnie, jakby mu to sprawiało ból, zdjął kapelusz z szerokim rondem. - Gordie już tu jest. Mikę pojechał do fabryki po Marka. Z Markiem wszystko w porządku.

- Georgia jest w szpitalu - rzekła Lorraine głosem bezdźwięcznym jak odgłos upadającej niklowej monety. - Miała atak. O, Keefer Kathryn - przytuliła dziecko. - Mamusia bardzo cię kocha.

- Lorraine... - zaczął szeryf.

- Mamo - wtrącił Gordon. Twarz miał napiętą, pokrytą plamami. - Niech ciocia Nora weźmie Keefer na chwilę. - Lorraine posłuchała, bez słowa otwierając ramiona. Oczy miała rozszerzone.

- Lorraine, był wypadek - powiedział Dale Larsen łagodnie, ujmując Lorraine pod łokieć, kiedy się zachwiała. - Samochód... Ten stary samochód Marka. Chyba hamulce wysiadły. To stało się nad Lost Tribe Creek. Uderzyli w barierkę. Samochód poleciał aż na przeciwległy brzeg.

- Gdzie są teraz? - spytała Lorraine. - Czy Ray jest ranny?

- Oboje zginęli na miejscu. Nic nie czuli. Nie wiedzieli nawet, co się dzieje.

Lorraine jęknęła, odrzuciła głowę do tyłu, jej włosy się rozsypały. Spojrzała na Norę jak jedna z tych greckich czy rzymskich kobiet na slajdach wyświetlanych w liceum, opłakujących legion poległy na polu bitwy. Nora otworzyła ramiona. Gordie przytulił ją mocno.

- Widziałem samochód - powiedziała.

- Na pewno nie było pomyłki? - spytała Nora, myśląc o dniu, kiedy jej średni syn, Dan, miał pojechać na zakrapianą alkoholem zabawę w Two Chimneys; ktoś powiedział, że był wypadek, a ona i Hayes szaleli z niepokoju, dopóki nie znaleźli Dana śpiącego na hamaku z tyłu domu. - Jesteś pewien, że to oni?

Georgia? Spojrzała na słoneczne niebo w poszukiwaniu jakiegoś śladu więzi z siostrzenicą, z jej świadomością. Georgia? Georgia, jedyna dziewczynka wśród siedmiorga dzieci klanu McKenna, ukochany aniołek ciotki, absorbująca, samowolna dziewczynka z poskręcanyimi w świderki loczkami, olśniewająca panna młoda, która posłała Norze całusa w powietrzu, idąc do ołtarza w sukni ze lśniącym wspaniałym trenem, przypominającym syreni ogon.

- Samochód został doszczętnie rozbity - wyjaśnił szeryf. - Ten samochód... nie da rady pomylić waszego chevroleta z jakimkolwiek innym wozem.

- Przywieźliśmy ją do domu tym samochodem - powiedziała Lorraine w zadumie. - To był nasz szczęśliwy samochód. Wiecie? Czuliśmy się tak, jakbyśmy dzięki narodzinom Georgii odzyskali młodość. Już wtedy był stary, a ja miałam mojego combi, który był prawdopodobnie dużo bezpieczniejszy...

- Postawię Keefer - powiedziała Nora, ale się nie ruszyła, tylko stała nadal.

- Georgia miała trzy dni. Nigdy nie widzieliśmy tak maleńkiej i doskonałej istotki. Mark mnie spytał, czy dzieci mają oczy otwarte, kiedy przychodzą na świat! A co to, kociaki?! Wtedy ludzie jeszcze tak powszechnie nie używali fotelików dla dzieci. Ale my kupiliśmy fotelik, bo się baliśmy, że jak nie spełnimy wszystkiego co do joty, opieka społeczna nam ją odbierze. Mark powiedział, że wygląda jak jajko na miękko w kieliszku. Jak tylko odjechaliliśmy na milę od sierocińca, wyjęłam ją stamtąd. Wiedziałam, że to niebezpieczne, ale ona spała głęboko, a ja chciałam przywieźć ją do domu w r a m i o n a c h . . .

Nora i szeryf spojrzeli na siebie. Byłoby lepiej, gdyby Lorraine krzyczała, płakała lub nawet zemdłała. Keefer miauknęła: „mama”. Jakby wiedziała.

Nora przyłapała się na wspomnieniach. Tego słonecznego, letniego ranka Mark i Lorraine przejechali obok farmy, wioząc do

domu dziecko wielkim, eleganckim wozem. Oni z Hayesem wskoczyli do ciężarówki i ruszyli za nimi do miasta. Jechali niczym na paradzie - najpierw obok biblioteki i biura Uniwersytetu Wisconsin, potem obok mechanika, baru, szkoły Lorraine, wreszcie obok Chaptmanów, Soderbergów, Reillych, Upchurchów. Adopcja nie była jeszcze wtedy tak częstym zjawiskiem. Ludzie nie mogli powstrzymać się od uwag w rodzaju: „Jaka ona śliczna. Dlaczego matka jej nie chciała? I co, bez problemu wam ją dali? A czy chociaż jest zdrowa?”

Nora wciąż przebywała w świecie bolesnych wspomnień o pełnych aprobaty uśmiechach, błogosławiących rękach i miodowych promieniach słonecznych, kiedy zza rogu First i Cleveland wyjechał jej brat Mikę, zatrzymał ciężarówkę przy krawężniku, po czym razem z Markiem - obaj chudzi jak szczapy - ruszyli niemal biegiem przez trawnik. Mark z bezradnie rozłożonymi ramionami pierwszy dotarł do żony, a potem do siostry; Mikę był zły. Co się, do diabła, dzieje? Nie dość nieszczęście w rodzinie?

Wszystko naraz. Telefon zaczął dzwonić i w ciągu godziny na ganek dotarła pierwsza fala przyjaciół, przypominająca desant żołnierzy na plaży. Skończyło się na tym, że Nora nie wróciła do domu, zostawiła tylko wiadomość Hayesowi i swojej synowej I?radie, żeby wyłączyli zupę, którą rano postawiła na małym ogniu, i zostawili ją na wieczór dla robotników pracujących w polu. Dręczyło ją poczucie winy, zadowolona była jednak, że odezwała się automatyczna sekretarka, a nie mąż. Odkąd Georgia zachorowała, Nora tak wiele czasu spędzała w mieście, że Hayes zaczął już mieć jej to za złe.

W ich gospodarstwie ogrodniczym położonym na północ od miasta godziny światła słonecznego i ciepła były złote, szczerzłote. Obie z Bradie tego ranka upiekły placki z ostatnimi truskawkami w tym sezonie. Georgia całe życie uwielbiała takie placki. Nawet podczas ostatnich tygodni przed ślubem, kiedy odżywiała się tylko płatkami śniadaniowymi, żeby zmieścić się w starą suknię ślubną o talii osy, odziedziczoną po jednej z południowych piękności z rodziny Nye, nie mogła odmówić sobie kawałka placka z truskawkami wypieku ciotki. Dziś wieczorem miała mieć ostatnią chemoterapię, po czym zawsze zaczynały się wymioty. Nora tak bardzo chciała, żeby Georgii udało się zjeść choć

mały kawałek, zanim przez następne dwa dni będzie próbowała upić tylko trochę herbaty z łyżki.

- Jeżdżę na te naświetlania tylko ze względu na Keefer - wyznała jej Georgia. - Jeżeli mi się polepszy, to moim zdaniem przędziej od tych minerałów i soków. Ciało naprawdę może się samo uleczyć. Moja teściowa ma rację, wiem, że to, co wtłaczają we mnie w szpitalu, jest trucizną. - Nora nie pisnęła ani słówka, kiedy Georgia, żółta i wycieńczona, krztusiła się, próbując przełknąć napar ze słomy owsianej i kory cyprysu, przysłany przez Dianę Nye z Florydy. Wszystko było trucizną.

Gdyby można było umrzeć zamiast Georgii, Nora chętnie by to zrobiła. Od chwili gdy dziewczynka zjawiła się w ich życiu, jakby spadała z przesuwałcej się nad głową chmurki, stała się ulubienicą Nory. Kiedy urodziła się Keefer, Nora zrobiła dla niej to samo co dla Georgii: w samym środku pory sadzenia, nawet nie przeprosiwszy Hayesa ani innych, usiadła i wyhaftowała biedronki na małej szarej, bawełnianej sukience - całość była nie większa niż chusteczka do nosa jej męża. A Georgia zmęczona straszliwie - tak zmęczona, że potrafiła spać, nawet kiedy dziecko płakało, a oczywiście wtedy jeszcze nikt nie wiedział, dlaczego - pojechała samochodem taki kawał, żeby jako podziękowanie wrzucić Norze do skrzynki na listy pachnące mydełko.

Godziny mijały, wyczerpanie Nory przybrało jednostajny rytm. Zaparzyła tak wiele dzbanków kawy, że miała wrażenie, iż ekspres zaraz wybuchnie, i zapisała takie mnóstwo wiadomości od krewnych, dzwoniących w sprawie przyjazdów i spotkania ich na lotnisku, aż ją złapał skurcz w ręce. Była jednak wdzięczna za to, że zajęcia te zaprzatają jej uwagę. Synowie Nory rzucili pracę i przyjechali, podobnie jak Delia, kuzynka Raya z Madison, z mężem, Craigiem, którzy nie widzieli Keefer od jesieni, kiedy to zostali jej chrzestnymi rodzicami. Zjechali się kuzyni Marka i Nory. Nora zapisała na kopercie tak wiele rzędów czterocyfrowych numerów lotów, że przypominały niezrozumiałe szyfr. Jedna z siostr Raya miała wieczorem przylecieć z Tamy. Zaproponowała, że może spotkać się z kimś jeszcze w Madison i przyjechać jednym samochodem. I czy mogliby zaczekać z telefonami, aż ona zawiadomi rodziców? Druga siostra Raya była na wycieczce na Alasce.

Czy zdąży wrócić do domu na czas? Nora musiała zadzwonić do Fidelis Hill, a nawet do motelu Half Moon, żeby znaleźć miejsca do spania, kiedy już się zorientowała, że nie da rady pomieścić wszystkich na farmie. Podczas nerwowej krzątaniny nieraz przebiegała obok Lorraine i Marka, siedzących przy kuchennym stole. Mark od czasu do czasu wstawał i wychodził na ganek, żeby rozprostować nogi, Lorraine ani razu się nie ruszyła, nawet jej oczy pozostawały nieruchome. Nora pomyślała: no dobrze, na razie w porządku, są razem. Dale Larsen po raz drugi przyjechał z żoną i Nora w pierwszej chwili nie poznała go w cywilnym ubraniu: w czerwonej koszuli i w beżowych luźnych spodniach; czuła się trochę jak dziewczynka, która spotkała na basenie księdza, a ten całe ciało miał białe, z wyjątkiem przypominającej karb małej opaski, tam gdzie się kończyła koloratka. Sheila, żona szeryfa, życzliwa dusza, przyniosła kukielki, które robiła dla dziecięcego szpitala, i zaczęła bawić się z Keefer.

Otepiająca krzątanina jakoś podtrzymywała ludzi na duchu po tragedii. Nora była za to wdzięczna.

Wcześniej usłyszała, jak Gordie parsknął w rozmowie z ojcem: „Jeszcze jedno słowo o «przygotowaniach» albo «w spokoju», a chyba zwymiotuję...”, ale przygotowania nie były po to, żeby zając się zmarłymi (zmarli, zdaniem Nory, mogli zająć się sami sobą), tylko po to, żeby przypomnieć żywym, że są żywi. I cieszyła się z obecności całej rodziny pod jednym dachem. Według Nory laka gotowość McKennów, jaką wykazywali od początku choroby Georgii, była świętym obowiązkiem każdej rodziny, nawet w czasach spokoju. Od Święta Dziękczynienia Gordon w zasadzie mieszkał u rodziców, zwłaszcza kiedy mąż Georgii wyjeżdżał na Knockers Tours, czy jak to się nazywało, co robił dość często, nawet w Boże Narodzenie. Nora wcale nie uważała, żeby jego spektakularny powrót do domu po zrezygnowaniu w ostatniej chwili z, najważniejszego meczu i te wszystkie zdjęcia w gazetach z podpisami „Myśli tylko o Georgii” rekompensowały wcześniejsze nieobecności. Ale Georgia kochała Raya. A teraz i tak wszystko było skończone.

Tuż przed zachodem słońca telefon przestał dzwonić, jakby stracił dech, i Nora postanowiła posprzątać trochę, żeby odciążyć Lorraine. Poszła do pokoju Georgii ze starą poszewką na poduszkę, -, ponieważ torba ze sklepu spożywczego Wiltona wydawała się

me na miejscu, i zaczęła ściągać pościel z łóżka, razem z podkładkami z jagnięcej wełny włożonymi pod prześcieradła i poduszki po to, żeby biedna, wychudzona Georgia miała bardziej miękko. Zwinęła skarpetki w małe kłębki i zgarnęła buteleczki z lekarami do kartonowego pudełka z zamiarem schowania go do komody w sypialni Marka i Lorraine. Nie była lekarzem i choć po śmierci ojca wyrzuciła wszystkie medykamenty, nie wiedziała, czy tak należy postępować w każdym przypadku. Przenośny stojak na kroplówkę wepchnęła do schowka i zaczęła składać papiery i broszury, których tytuły brzmiały na przykład: „Jak radzić sobie z rakiem w przypadku młodych osób”.

Leżał tu stos kołnotatników, z datami napisanymi na okładce grubym markerem w sposób, w jaki dziewczęta mają zwyczaj wypisywać imiona swoich chłopaków na szkolnych teczkach. Nora wiedziała, co to jest: rodzaj bieżącego dziennika listów, jakie Ray i Georgia pisywali do siebie, kiedy on był w podróży. Georgia miała ambicję, jak kiedyś zwierzyła się Norze, żeby jej małżeństwo stało się „długą rozmową, która nigdy się nie kończy, tak jak małżeństwo moich rodziców”. Te notatniki, powiedziała, będą kroniką, którą będą czytali, kiedy się zestarzeją, a wszystkie dawne nieporozumienia okażą się niemądre. On wpisywał swój list do niej, a ona mu odpisywała. Nora otworzyła notatnik na wpisie dokonany zgrabnym, eleganckim charakterem pisma Georgii: „Najbardziej brakuje mi bliskości twojej skóry...”

Nora zamknęła notes.

Tylko raz słyszała, jak się kłócili o taśmy, które Georgia godzinami, z uporem, nagrywała dla Keefer. Czytała na głos lub śpiewała te same kołysanki, którymi zwykle kołysała Keefer do snu; stare piosenki, na przykład *Jesteś moim słońcem* czy irlandzka pieśń o dzikim górskim tymianku i kwitnącym wrzosie. W kącie pokoju stała na statywie kamera wideo, skierowana na łóżko. Widziała, jak Georgia chodzi z córeczką w wózeczku - kiedy mogła jeszcze sama chodzić - w tę i z powrotem przed obiektywem kamery lub sadza ją sobie w ramionach, zbyt małą, aby mogła siedzieć, przechyloną nad głową matki jak gałgankowa lalka. Hayes i Ray zamontowali przy łóżku niewielki futerał na pilota, tak że Georgia nie musiała nawet siadać, żeby włączyć kamerę, kiedy poczuła się na siłach, by mówić. Pewnego razu mimo sprzeci-

wu wszystkich Gordie się uparł, żeby obejrzeć nagranie i sprawdzić, czy system działa. Wtedy się przekonali, że Georgia nagrywa nawet w nocy. To było niesamowite - Georgia, w ciemnym pokoju, jej twarz oświetlona nocną lampką, wychudła i rozgorączkowana, przypominająca papierowy abażur, trzymająca w ręku książkę dla dzieci, jakby występowała w programie telewizyjnym: „Śpij, śpij, ptaszku maleńki... ” Kiedyś Georgia wybuchła gniewem, gdy Ray nalegał, żeby odpoczęła po ataku wymiotów. Nie chciała spać. Jej twarz lśniła zimnym potem. Krzyczała: „Jestem właśnie w środku *Green Eggs and Ham*” * (Słychać ją było na drugim końcu hrabstwa; Hayes powtarzał zawsze, że Georgia rozminęła się z powołaniem, powinna zostać heroldem). „Ray! To sąjaj wspomnienia! Jak możesz żądać ode mnie, żebym przestała tworzyć jej wspomnienia? Jakby, cholera, godzina snu miała mnie zbawić!”

No dobrze, pomyślała Nora, kładąc się na łóżku, gdzie przedtem leżała Georgia.

A głośno powiedziała: „do dupy!”

Poddała się łkaniom, które nagle wstrząsnęły jej ciałem; przed oczami miała obraz bratanicy. Pozwoliła, by owładnęło nią poczucie straty, a także winy za to, że była tak głupia dwadzieścia lat temu, kiedy uważała, że ludzie adoptujący koreańskie i inne sieroty są prawie święci, ale i tak adoptowane dziecko nigdy nie może być uznane za naprawdę własne. Ujrzała pięcioletnią Georgię, która stoi i ujmując się pod boki, mówi: „Dla mnie zapach krowiego łajna jest smutny”. Przypomniała sobie Georgię zaśmiewającą się do łez, kiedy wymyślny aparat do robienia konserw, jaki Nora dostała od Hayesa na Gwiazdkę, eksplodował, opryskując wszystko dookoła dżemem jagodowym. Zobaczyła Georgię pogrążoną w cichej zadumie - nie mogła mieć wtedy więcej niż dziesięć lat - kiedy po raz pierwszy wykonała poprawnie ścieg haftu. Nora dzieliła z Georgią wszystkie domowe sprawy, jakie dzieliłaby z własną córką, gdyby ją miała, rzeczy, których obecnie ludzie już więcej nie robili, chyba że byli bogaci i czytali *Marthę Stewart*. Georgia nie chciała robić wielkiej kariery, chciała mieć dom i rodzinę.

* Książka dla dzieci autorstwa Dr. Seussa. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Z pewnością nie przejęła tego od Lorraine. Bez obrazu. Stara Belgijka, która sprzątała po domach, raz na tydzień przychodziła do Lorraine nawet w czasach, kiedy zatrudnianie „kobiety do sprzątanania”, jeśli pani domu nie była przykuta do łóżka, było czymś niesłychanym w Tali Trees. Lorraine za to uczyła, malowała i robiła dla dzieci wiele rzeczy, i to nie takich zwykłych jak inne matki. Nora zawsze podziwiała ściennie szafy wypełnione równo poskładanymi i opatrzonymi karteczkami kostiumami teatralnymi Georgii czy półki pełne lśniących trofeów, jakie Gordie znosił do domu. Raz się zdarzyło, że Nora i Lorraine śmiały się z tego samego. Było to wtedy, kiedy Georgia zachorowała na wietrzną ospę i Nora wpadła do nich wieczorem z ciasteczkami.

- Zaczekaj! - krzyknęła nagle Lorraine, kiedy były w trakcie liczenia cętek na twarzy Georgii. - Mam coś w piecu!

Wyjęła blachę, a na niej zamiast ciasteczek leżały piękne gliniane figurki Lady, Trampa i syjamskich kotów, po prostu jak żywe. Georgia aż klasnęła w ręce -jakie dziecko by tego nie zrobiło? To była nie tylko matka, lecz także sklep z zabawkami! Lorraine spojrzała na Norę śmiertelnie poważnie i wskazując piec, powiedziała:

- Odkąd się tu wprowadziliśmy, ciągle się zastanawiałam, do czego to służy, i wreszcie wiem.

Lorraine nosiła się elegancko, jej ubrania były zawsze jak z igły; zamawiała stroje z katalogu Spiegela, nie tak jak Nora, która kupowała ubrania w Gloria's Finer Designs dopiero z okazji wyjścia na kręgle; dzieliły się na stare lewisy i nowe lewisy.

Prawdę mówiąc, pomyślała ciężko Nora, kiedy ucisk w piersi zelżał i usiadła na łóżku, wołała Lorraine teraz, w tym nieładzie, jaki zapanował tu od chwili, kiedy Georgia zachorowała, niż przedtem, kiedy Lorraine była jeszcze osobą tak kipiącą energią że nie miała nawet czasu usiąść na chwilę z kawałkiem ciasta. Były ulepione z innej gliny, jak ujął to Hayes. Kiedy Mark po raz pierwszy przywiózł ją do domu, weszła tu, jakby była złapanym przez niego barwnym egzotycznym ptakiem. Trzydzieści lat temu Nora nie była w stanie sobie wyobrazić, jak Lorraine znajdzie sobie miejsce w Tali Trees - w tym Tali Trees, gdzie dorastali oni z Markiem, zanim część miasta przemieniła się w rodzaj północnego przedmieścia, które rozrosło się dzięki domom dyrekcji i pracowników wielkich zakładów Medi-Sun. W celach turystycz-

nych przyjeżdżali tu głównie drobni przedsiębiorcy, z czasem zaczęło napływać towarzystwo bardziej szykowne, zwłaszcza odkad przerobiono Fidelis Hill na kurort narciarski. Jednocześnie rodowici mieszkańcy Tali Trees nadal nazywali swoje parcele od nazwisk właścicieli, do których farmy należały, zanim uległy rozdrobnieniu. Mogli kupować ręczniki papierowe w wielkim sklepie, który wyglądał jak pozaziemska konstrukcja, lśniąca w mroku sosen, na skrzyżowaniu drogi lokalnej i międzystanowej, ale mięso brali u Wiltona. Jeżeli wyłączyło się radio, można było udawać, że jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty.

Lorraine tymczasem znalazła sobie miejsce. Została nauczycielką i sprzedawała swoje ogromne obrazy, które - według Nory - wyglądały jak skrzyżowanie gigantycznych kwiatów i fikusnych map splątanych autostrad. A Mark był kimś w rodzaju miejscowej sławy ze względu na to, że przez wiele lat w programie radiowym Larry'ego Millera odpowiadał słuchaczom na pytania typu: dlaczego często widuje się małe ptaki ścigające duże ptaki i czym różni się ryjówka od nornicy.

Biorąc pod uwagę to, że Georgia była adoptowana, aż dziwił, jak bardzo przypominała Lorraine. Dwie drobne kobietki o dużych rękach i biodrach, głowy obsypane masą skręconych w pierścienie włosów, tak ciemnych, że w słońcu wydawały się fioletowe. Syn Nory Marty (hultaj) mawiał, że Georgia i Lorraine mają „unibrwi” - zawieszony nad oczami tak czarnymi, aż pediatra podejrzewał u Georgii, zaraz po jej urodzeniu, wrodzoną zaciemę.

Ostatnio, towarzysząc swemu dziecku, Lorraine bardzo zmarniała, jakby jedzenie, kiedy Georgia niczego nie może przełknąć, było grzechem. Nie zwracała sobie głowy uroczymi brązowymi pasemkami, jej zaniedbane, odrośnięte włosy przetykane były niczym u czarownicy siwymi pasmami i upięte za pomocą czegoś, co przypominało szpilkę do kapelusza. Dom stawał się coraz bardziej zapuszczony. Za każdą bytnością u nich Nora nie mogła odpedzić myśli, że kiedyś zazdrościła puszystych, szmaragdowych trawników i solidnej budowli z czerwonej cegły z białymi daszkami - a już same daszki były dla niej oznaką dobrobytu i wysokiego standardu. Nadal dom był czystszy, niż kiedykolwiek miała być jej własna farma, gdzie suche błoto i muchy tworzyły mieszanekę tak powszechną jak chleb z masłem. Ale w tym roku Mark

nie posadził żadnych roślin jednorocznych, żywopłoty były wyschnięte i zaniedbane, pędy przypominały gniewne palce zasłaniające widokowe okno.

Życie Lorraine dostarczało Norze wielu powodów do zawiści. Na przykład zazdrościła tej specjalnej iskry między nią a Markiem, w niczym nieprzypominającej spokojnej przyjaźni między Norą a Hayesem. Zdarzały się chwile, kiedy Nora się czuła, jakby ona i Hayes byli rodzeństwem, a nie ona i Mark. Przez jakiś czas nawet uważała, że dlatego, iż Lorraine zajęta jest dwiema pracami i małżeństwem, które z zewnątrz wygląda jak nieustanne zaloty, nie mieli z Markiem dzieci.

A potem przyszło owo pamiętne Boże Narodzenie. Było już po uroczystej kolacji, mężczyźni jęczeli, zbyt objedzeni, żeby się ruszyć, no i Lorraine, przynajmniej ten jeden raz, wstała od stołu z innymi kobietami, by pomóc posprzątać.

Debbie była wtedy w ciąży z Mattem; zaczęły sobie opowiadać historie o porodach, jak to lubią kobiety. Debbie opowiedziała o koleżance z biura w Wisconsin Bell, która utyla tak bardzo, że rozstępy na skórze dosłownie jej popękały. Lorraine powiedziała:

- Nie wytrzymałabym tego. Nie zniosłabym, gdyby mnie tak rozerwało.

No i wtedy Norze się wyrwało:

- Coś mi się zdaje, że będziesz miała ten swój płaski brzusek przez całe życie... To znaczy, wiem, że sztuka w pewnym sensie jest dla ciebie dzieckiem...

Lorraine posłała Norze gorące spojrzenie, od którego papier mógłby stanąć w płomieniach.

- Czy tak właśnie wszystkie uważacie? - spytała Lorraine przez zaciśnięte szczęki. - Że ja nie chcę dziecka, ponieważ mam pracę?

- To nie nasza sprawa - wtrąciła Debbie, podając Norze półmisek do wytarcia. Lecz Lorraine wybiegła z kuchni. - Ale bigosu narobiłaś - powiedziała Debbie. Wtedy Lorraine z powrotem się zjawiła, ciągnąc za sobą męża. - Mark, powiedz im. Powiedz wszystkim. Dlaczego nie mamy dziecka!

Nora i Debbie były tak zażenowane, że pragnęły, aby podłoga się pod nimi rozstąpiła. A Lorraine wydusiła z niego wszystko. Jak wiele lat starali się począć dziecko. Jak spróbowali wszystkich medycznych sztuczek. I że niemal przekroczyli granicę wieku, po

której już nie ma nadziei na adopcję. Jak Lorraine chciała adoptować dziecko ślepe, chore albo starsze, już w pierwszej klasie.

- Powiedz im, Mark, co czujesz - rzekła Lorraine, tym swoim słodkim jak miód głosem, zdolnym przeobrazić przekleństwo w walentynkowe życzenie. Takich słów żaden mężczyzna nie powinien usłyszeć od swojej żony. - Powiedz swojej rodzinie, co o tym myślisz.

I Mark powiedział.

- Nie sądzę, żebym umiał naprawdę kochać dziecko, które nie jest moje.

Nora nie winiła go za to. Ani trochę. Hayes, gdy mu to powtórzyła, powiedział to samo. Mężczyzna chciał przekazać swoje nazwisko, i tyle.

Kilka miesięcy później, kiedy wszyscy już zapomnieli o całym incydencie (z wyjątkiem Nory, którą palił wstyd, wieczorem przed położeniem się do łóżka, gdy przypominała sobie swoje własne słowa), pojawiła się Georgia jak słoneczna ulewa z błękitnego nieba. Mark szybko doszedł do wniosku, że świat zaczyna się i kończy na niej. Ale nawet potem, gdy zjawił się Gordie - pomimo wielu weekendów spędzonych na farmie razem z jej własnymi chłopcami i nadziei Nory, że wszyscy kiedyś zamieszkają w najbliższym sąsiedztwie - Mark, Lorraine i ich dzieci nadal trzymali się razem, jakby ich czwórka tworzyła odrębne państwo.

Cała ta niezręczna sytuacja skończyła się w momencie pierwszego telefonu od Marka z wiadomością, że Georgia jest chora. Nora częściej gościła na Cleveland Avenue w ostatnim roku niż podczas ostatnich dziesięciu lat.

Kiedy pochyliła się po leżącą na podłodze kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia, znalazła bluzę Georgii z napisem *Florida Śmie*, tę, którą wkładała na nocną koszulę, ponieważ ciągle było jej zimno.

Popatrz na mnie, ciociu - powiedziała któregoś dnia, wzsuszając ramionami zagubionymi w fałdach ubrania. - Jestem chuda, dziewczyną. Jestem ładniejsza i szczuplejsza niż kiedykolwiek, i to bez żadnego wysiłku. Kiedy wychodzę z domu, nieznanym kobietom na mój widok mówią: „Ojej, ja nie byłam taka szczupłą, mając dziesięciomiesięczne dziecko...” Gdybym nie umierała, byłabym naprawdę szczęśliwa. -

Nora przycisnęła bluzę do twarzy. Nawet kwaśny zapach po-

wietrzą w zamkniętym pokoju nie był w stanie zagłuszyć zapachu perfum Georgii, świeżego i eleganckiego jak zapach sosnowych igieł roztartych w palcach.

Czując się trochę jak krnąbrne dziecko, Nora zrzuciła szelki kombinezonu, uniosła do góry swoją żółtą bluzkę i bluzę Georgii przyłożyła do skóry, wygładzając ją jak tapetę i upychając pod bawełnianą bielizną. Mogła po prostu spytać Marka, czy może ją zatrzymać, ale wolała nie ryzykować. Wyjdzie i od razu włoży bluzę do samochodu razem z rzeczami Keefer potrebnymi na noc oraz z małym, szarym flanelowym materacykiem, na którym spało dziecko, ponieważ Georgia nie życzyła sobie łóżeczka; twierdziła, że to klatka. Nie wiadomo, kiedy Lorraine będzie w stanie wziąć dziecko z powrotem do siebie.

Nagle usłyszała głos Gordona dobiegający z kuchni, drgnęła, podskoczyła i spojrzała w stronę kamery, jakby w bankowym monitorze przyłapano ją na kradzieży.

- To prawda, mam - mówił Gordon. - Ciało doświadcza bólu tylko poprzez neurologiczną reakcję, a to, jak przebiegał wypadek... Samochód jest wytrzymały, ale ludzkie kości i czaszki są znacznie bardziej delikatne. Oddziaływała wielka siła.

- Spójrzcie na to ciasto - powiedziała Lorraine, jakby Gordon w ogóle się nie odzywał. - Są tu cztery kawałki ciasta. Czy to możliwe, żeby tak po prostu siedzieć i jeść je w takiej chwili?

Nora zakradła się bliżej holu, skąd mogła lepiej słyszeć.

- Mam - upierał się Gordon. - Chcę przez to powiedzieć, że śmierć z powodu raka byłaby dla Georgii znacznie gorsza. Spokojne śmierci tak naprawdę nie są spokojne. Płyn zalewa płuca. To jak tonięcie we własnym ciele. Przypomnij sobie, co widziałaś w telewizji: jak patrzy gazela, kiedy chwyci ją lew - mówił, a słowa pędziły coraz szybciej. - Wiesz, że w ostatnim momencie jeleni po prostu się poddaje? To wtedy wydziela się endorfina... to znaczy endogenna morfina, mam, morfina twego własnego ciała, i nawet jeśli ofiara krwawi i jest pokiereszowana, to prawdopodobnie czuje się całkiem niezłe w ciągu tych kilku ostatnich sekund.

- Gordon, przestań gadać, kochanie, po prostu nic nie mów - poprosiła Lorraine cicho.

- Lor - wtrącił Mark łagodnie. - Daj spokój. On tylko próbuje pomóc...

Nora wyjrzała ostrożnie zza drzwi. Szwagierka siedziała skulona,

otulona szalem, przed nią na stole leżał rząderek talerzyków z nie-
tkniętym plackiem i stały filiżanki z kawą; dwaj mężczyźni pochyla-
li się w jej stronę, obaj wysocy, a ona taka mała. Norę uderzyło, że
często tak stawali, pochyleni nad Lorraine, kiedy ona mówiła im, co
jest co; przypominało to Norze jedną z tych śmiesznych fotografii,
jakie widuje się od czasu do czasu w „Country Journal”. Najpierw
kura bantamka wysiaduje jajka kanadyjskiej dzikiej gęsi, a kiedy się
wylęgna, mała matka opiekuje się wielkimi piskletami, cztery razy
od niej większymi, tłoczącymi się wokół niej.

- Wiem, Marku - odparła Lorraine. - On po prostu nie myśli. -
Ponownie omiotła spojrzeniem stoły. - Spójrz na to całe jedzenie.
Kto je teraz zje? Cieszę się, że ja nie muszę. Nie będę w ogóle mu-
siała więcej jeść, jeśli nie zechcę. Niepotrzebne mi już siły.

- Owszem, musisz Lor - powiedział Mark.

- Nie, nie muszę - odparła Lorraine. - Weź to do domu, Gordie.

- Nie jem ciasta - odrzekł. Nora pomyślała, że Gordie ma bzi-
ka na punkcie zdrowia.

- No to kto inny zje. Może Mikę albo Matt. Może kuzynka De-
lia. Nie sprawia wrażenia, jakby odmawiała sobie jedzenia.

- Lor! - ofuknął ją Mark.

- No bo przecież to takie... Świadczy o braku szacunku. Lu-
dzie napychają się, jakby to był ostatni posiłek w ich życiu.

- Tacy właśnie są ludzie - powiedział Mark łagodnie.

- Chciałem jedynie powiedzieć - zaczął znowu Gordon - że
jak spojrzeć na to trzeźwo, to gdyby umarła w domu, byłoby le-
piej dla nas, nie dla niej. Tylko tyle.

Słyszac dźwięk głosu odpowiadającej Lorraine, Nora poczuła
dreszcze na karku.

- Ostrzegam cię, Gordie. To ty nic nie rozumiesz. Jak spojrzeć
na to t r z e ź w o. To twoja siostra. Twoja jedyna... moje jedy...

- Co?

- Moja jedyna córka.

- Myślałem, że powiesz „moje jedyne dziecko”.

- Nigdy bym tak nie powiedziała. I Gordie, na miłość boską,
to nie chodzi o ciebie, więc po prostu siedź cicho, kochanie!

Lorraine wstała, przewracając przy tym filiżanki, przebiegła
obok Nory; szal spowijał ją jak płaszcz od głowy do stóp, trójkąt-
ny ciemny kształt jak skrzydła nietoperza, ciemne na ciemnym.
Nora wypuściła wstrzymywany dotąd oddech. Ledwo widziała

zarys jasnej głowy Gordona w klatce z czystych dłoni, kiedy opadł przy stole, zanurzając łokcie w strumyczkach kapiącej kawy, a kolana mając zastawione przewróconym krzesłem. Mark stanął obok niego, wyciągnął rękę, ale nie dotknął ramienia Gordona.

- Już dobrze, synku - powiedział Mark.
- Tato, zrób coś, żeby wróciła - poprosił Gordon.
- Wróci - obiecał Mark.

Głaszcząc wypukłość na wysokości pasa, gdzie znajdowała się bluza, Nora wyobraziła sobie bratanicę nad nimi, wciąż przywiązaną do ziemi jak latawiec, nie mogącą pocieszyć swoich najbliższych ani powstrzymać ich przed atakowaniem się nawzajem. Nora przypomniała sobie, że podczas chrztu księża zawsze mówią o imionach dzieci w kontekście świętości. Pomodliła się do Georgii. „Będzie mi potrzebna twoja pomoc” - wyszeptała. Miała nadzieję, że nie jest to bluźnierstwo, zwłaszcza w takim czasie, jaki właśnie na nich przyszedł.

Diana Nye liczyła w duchu na to, że nie wygląda aż tak głupio, jak się czuła, ponieważ czuła się wystarczająco głupio za troje, będąc wielkości potrójnej, zakuta w fioletową uprząż z pianki, przypięta pasem biegnącym przez środek ciała, obuta w fioletowe płetwy, które przy każdym ruchu nóg wzbudzały w głębokiej części basenu Sandpiper wodne bulgoty. Zajęcia z wodnego aerobiku były pomysłem Shelby. Zielarka i najlepsza przyjaciółka, choć pewnie niewiele od Diany starsza, weszła właśnie w menopauzę i zaczęła przybierać na wadze. Zachęciła Dianę, żeby ta przynajmniej spróbowała poćwiczyć z nią razem, argumentując, że inaczej będzie jedyną obecną tam panią poniżej sześćdziesiątki. Diana była to winna przyjaciółce, która herbatkami ziołowymi pomogła jej pozbyć się przed trzema laty migren, a obecnie przyrządzała wszystko, co umiała, żeby ratować Georgię.

Shelby, której twarz pokraśniała od wysiłku, spojrzała na Dianę, a Diana próbowała się uśmiechnąć. Ale mimo to nadal miała uczucie, jakby w każdej chwili mogła stracić równowagę i zanurkować pod wodę jak kaczka, zostawiając na powierzchni machające nogi w absurdalnych płetwach.

Trochę tego za dużo. Diana lubiła spacerować i tenisa, ale nie przepadała za tą całą bzdurą i nigdy nie miała zamiaru zostać miss fit-

nessu. Wiedziała, że Shelby stara się zatrzymać czas, żeby móc jeszcze mieć dziecko z tym swoim naprawdę świetnym (i dużo młodszym) facetem. Lecz zdaniem Shelby raczej powinna zamrozić kilka jajeczek, zanim zapas się wyczerpie, zamiast ćwiczyć do upadłego na siłowni i młócić klubowy basen.

- Dobra, teraz chodzimy! - zawołał instruktor, demonstrując gigantyczne kroki na brzegu basenu. Nauczyciel był niewiele starszy od dzieci Diany i miał zgrabny, niewielki pepek, dokładnie taki, jaki Diana z dumą prezentowała, niczym mały uśmiech nad majtkami od kostiumu, nawet kiedy już miała Raymonda Juniora i Alison. Nic dziwnego, miała dwadzieścia dwa lata po pierwszej dwójce, a skórę tak napiętą jak kombinezon ze spandexu. To dopiero Caroline, ważąca dziesięć funtów, rozciągnęła biedny brzuch Diany do takich rozmiarów, że jej pępek przypominał zamknięte oko. Cóż. Na pewno jej to nie zaszkodzi, westchnęła Diana, próbując zsynchronizować ramiona i nogi przy pokonywaniu oporu wody, tak jak to widziała u jednego z tych wielkich patykowatych robali ślizgających się po powierzchni sadzawki w stadninie dziadka, kiedy była małą dziewczynką.

Na początku Diana myślała, że to na skutek gorąca lub przekleśtego wymachiwania rękami dookoła odnosi wrażenie, że widzi swoją córkę Caro stojącą z otwartymi ustami i rękami przyklejonymi do szkła ściany klubowego barku. Ale nie, to naprawdę była Caro. Płakała.

Diana zastygła pod wodą, a potem niezgrabnie dotarła do drabinki i dźwignęła się do góry, mimo że fioletowy pas z pianki zachowywał się niczym wielka gąbka. Duży Ray, pomyślała najpierw, miał udar cieplny albo kołatanie serca. Boże miłosierny, ten człowiek chyba nie napchał się cheeseburgerami i nie popił martini, a potem nie wyszedł na ten upał, żeby zagrać jeszcze dziewięć dołków... Wtedy pomyślała, och, nie, och, to Georgia. Georgia miała znowu atak. Georgia nie żyje. I kiedy szła w stronę Caro, do głowy przyszła jej jeszcze jedna niepokojąca myśl. Caro powinna jeszcze być w pracy. To musiał być mąż Caro, Leland. Jeden z niewybrednych nonsensów Lelanda, jak to, kiedy wyjechał do Nowego Meksyku, żeby zostać prawdziwym mężczyzną, grając na bębnach z Indianami. Raptem Caro znikła, a potem wybiegła z damskiej szatni i powiedziała coś, co sprawiło, że świat Diany legł w gruzach.

Potrząsała Caro, potrząsała mocno ramionami córki. Zaciśnięte palce zostawiły mokre fałdy na jedwabnym zakiecie, kiedy wreszcie Shelby ją odciągnęła; ale Diana, jakby patrząc z dala, wciąż krzyczała:

- Milcz! Przestań! Raymond nie żyje? Raymond nie żyje?

- Mamo, to prawda. Mamo! Mieli wypadek.

- Nie wierzę ci!

- To prawda, mamo.

- Jak to? - Caroline miała niewiele więcej rozumu niż Bóg dał dżdżownicy.

- Diano, kochana - powiedziała Shelby. - Zaraz tam zadzwonimy. Niech ktoś, proszę, przyniesie pani Nye drinka!

Instruktor pośpieszył natychmiast z papierowym kubkiem wody, który Shelby potraktowała pogardliwie.

- Prosiłam o drinka. Drinka!

Diana siedziała, trzymając kieliszek czerwonego wina i patrząc w dół na śmieszne, gumowe kacze łapy, ktoś wyruszył meleksem po dużego Raya, a Caro powiedziała dziecinnym głosem:

- Mamo, Ray bardzo kochał Georgię. Przynajmniej są razem.

A Diana, która w tym momencie nie dbała o to, czy Bóg jej wybaczy, odparła:

- Caroline. Przede wszystkim oni w ogóle nie powinni byli być razem. Gdyby Georgia nie namówiła mego chłopca na przeprowadzkę do tej zabitej dechami dziury, byłby teraz z nami. Byłby... zdrowszy i cały, tam gdzie jego miejsce... żyłby tak, jak powinien żyć. To wszystko... - wykonała szeroki gest, a wino przelało się przez krawędź kieliszka, znacząc czerwonymi plamami betonową podłogę basenu - ... to było jego życie. Moje dziecko. Zabrali mi wszystko.

3

Wyglądało to jak wystawa w magazynie aptecznym: pigułki wszelkich kształtów, rozmiarów i zapachów - farmakologiczny ogródek jej dziecka. Lorraine kłęczała na podłodze w sypialni Georgii, łokcie miała oparte na stoliku, na którym stały przezroczyste, pomarańczowe buteleczki z białymi nakrętkami przypomi-

nającymi czapki kucharskie. Były w nich skromne różowe pastylki tłumiące normalne u młodej kobiety funkcjonowanie hormonów; oznaczone dniami tygodnia białe tabletki - Lorraine myślała o nich jak o małych siostrach miłosierdzia - łagodzące nudności; jasnoniebieskie piłeczki na niepokój. A dalej duże piguły, kapuły, które wysyłały system neurologiczny w niebo, kapsułki zawierające w środku poważne, lśniące paciorki, w kolorze bursztynowym i czerwonym. Te na sen były dwuwarstwowe, liliowo-niebieskie, smukłe i kuszące jak miniaturowe rewolwery, a na dobry nastrój - bardziej pogodne i przysadziste niczym szkolne higienistki w zielonych fartuchach.

Lorraine westchnęła.

Nawet wielkie armaty-pigułki nie przynosiły już więcej ukojenia. Jej wątroba musiała być tępa jak pień. W college'u Lorraine wahała tego tyle, że zachwiałyby się po nich hipopotamy, a potem wkurzała kolegów pytaniem: „A teraz co?” Bardzo chciała się wygłupiać i chichotać, ale nic nigdy nie dało jej wystarczającego mocnego kopa.

Jednak niedługo po pierwszej operacji Georgii Lorraine zaczęła podkradać lekarstwa córki. Było to jakby odruchową reakcją, logiczną choć idiotyczną odpowiedzią na emocjonalny ból, tak paląca wydawała się potrzeba medycznej interwencji: „Dwa percocety dla ciebie, kochanie, jeden dla mnie”.

Pigułki okazały się rzeczywiście dobre. Nie minęło piętnaście minut, a nadchodziła gwałtowna fala i zostawiała Lorraine unoszącą się na czymś, co w pierwszej chwili przypominało dobre samopoczucie. Wkrótce zażywała je dwa razy dziennie. Pielęgniarki w hospicjum i lekarze Uniwersytetu Minnesota, życzliwe dusze, zasypywali Georgię lekarstwami. Nie zwracali specjalnie uwagi ani na liczby tabletek, ani na dawki, uważając, że w jej sytuacji to i tak nie ma znaczenia. Takie „pigułki dla każdego”, karnawał leków. Niestety, po kilku miesiącach środki farmakologiczne już nie przenosiły Lorraine na łono oczekiwanej fali. Mimo to nadal je brała. Miały moc wypędzania rzeczywistości.

Następnego ranka po śmierci Georgii Lorraine uroczyście zapewniła jedną z pielęgniarek (tak się złożyło, że była to jej dawna uczennica, która nigdy by nie podejrzewała miłej i uczciwej pani McKenna o coś złego), że wyrzuciła wszystkie pigułki do sedesu. Tymczasem pani McKenna nie miała najmniejszego za-

miaru niczego wyrzucać. Wyjęła buteleczki z kartonowego pudła, do którego ktoś wrzucił je jak popadło, i ustawiła w karnych szeregach na stoliku. Była tam też morfina i nembutal, silne leki dające zapomnienie komuś, kto tego bardzo potrzebuje. Lorraine miała zamiar strzec pigułek Georgii jak oka w głowie. Pierwszej nocy po katastrofie ruszyła, błakając się w ciemnościach, na poszukiwanie czegoś na sen, i niemal wybuchnęła płaczem, kiedy się okazało, że nie może ich znaleźć. Dawały szansę, jakiej nie można zmarnować, myślała, wpadając w coraz większą panikę, kiedy najpierw ostrożnie, a potem z coraz większą pasją przerzucała pudełka z kompresami, paczki strzykawek, wreszcie znalazła je w ciemności, gdy zanurzyła dłoń w pudle, a buteleczki z pigułkami zagrzechotały jak chrząszcze w gnieździe.

Wcale nie miała zamiaru za ich pomocą popełniać samobójstwa.

Samobójstwo wydawało się takie okropnie teatralne i wymagało wielkiego wysiłku.

Tymczasem odczuwała ulgę, że nie wymagano już od niej czynności zwanej życiem.

Od tej pory i tak żyć będzie na kredyt.

Ludzie mówili, że ma być silna. Ale ona już była silna. Podnosiła swoją umierającą, ociekającą potem, jęczącą córkę z przepoczonego i zmoczonego łóżka. Nie spała po osiemnaście godzin, leżąc lub chodząc w kółko po wysłanej dywanem podłodze, słuchając głuchego stuk i syku aparatu tlenowego i jęków Georgii. Mroziła jeden zestaw myjek, moczyła drugi w gorącej wodzie i w oleju, szykowała wazelinę na usta, balsam z wymienia krowiego na odleżyny. Odeszła ze szkoły na miesiąc „opiekuńczego” urlopu (po dwudziestu dwóch latach pracy oznaczało to „bezpłatnego”), nauczyła się gotować ryż na wiele sposobów i zapomniała numerów telefonów osób, z którymi przyjaźniła się od dwudziestu pięciu lat. Przez rok jedynie raz wzięła pędzel do ręki, żeby namalować kocie wąsy na anielskiej buźce Keefer. W sklepach przez sześć miesięcy nie wystawiła nosa poza działą dziecięcy i z nocną bielizną, przywykła spać cztery godziny na dobę, mimo że przez całe życie potrzebowała dużo snu; kupiła okulary, żeby móc czytać *Wichrowe wzgórza* w ciemnościach i nie drażnić wrażliwych na światło oczu Georgii; widziała, jak ukochane ciało cór-

ki zmienia się z pięknego w biało porcelanowe, potem w gliniane... uśmiechała się, śpiewała... Być silna?

A te książki dyskretnie podsuwane przez Natalie Chaptman? Przez Karen Wright i Ninę Upchurch? Książki o nadziei, leczące duszę.

Żyć pełnią życia po stracie? Pogodzić się? Pogodzić się z tym, że nieszczęścia przytrafiają się dobrym ludziom?

Co by powiedzieli na to jej siódmoklasiści?

Chyba ci się coś przyśniło.

Na pewno.

Wcale nie.

Akurat.

Najbardziej cyniczny dorosły nie był tak zblazowany jak oni: Co mi tam, to twój problem. Nie gadaj tyle, lepiej pokaż, co potrafisz!

I mieli rację. Nie dawali się robić w konia. To dorośli byli nie-dojrzali, tchórzliwi i mieli mnóstwo pretensji. Nie dzieci.

Na początku, po telefonie Marka z gabinetu onkologa - wizyta na wszelki wypadek, zalecona przez położnika, żeby „wykluczyć pewne sprawy” - chciała, żeby Georgia umarła. Od razu. Zanim wróci do domu. Potem kopiowała znalezione w bibliotece artykuły, fragmenty książek o racjonalnym samobójstwie, recepty na koktajle z pigułek. Mark musiał wozić Georgię do pracy i do lekarza, ponieważ Lorraine nie mogła znieść widoku swego pięknego dziecka. Na kominku wciąż stało jak rekwizyt zdjęcie z pisma „GolfWeek”, ilustrujące ważny artykuł na temat najbardziej obiecujących zawodników drugorzędnych rozgrywek, ubiegających się o członkostwo w Stowarzyszeniu Profesjonalnych Graczy w Gólfu. Przedstawiało ono Georgię świeżą i szczupłą, ubraną w obowiązkowe szerokie spodnie i buty na płaskim obcasie, wpatrzoną w swego Raya. Już wtedy była chora! To nie dzięki karmieniu tak szybko „wróciła do figury” po urodzeniu Keefer. Po pozowaniu do tego zdjęcia i napięciu związanym z towarzyszącym mu wywiadem Georgia spała czternaście godzin. To był początek końca. Waga jej spadała szybko, a potem nasiliła się bolesna tkliwość pod pachą, pierwotnie przypisywana zablokowaniu kanału mlekowego.

Dopiero kilka miesięcy później, kiedy Georgia była już zbyt chora, by pracować, zbyt chora, by mogła zostać sama w domu,

a Ray wyjechał, Lorraine przejęła opiekę. Ani Mark, ani Gordie nie mogli robić rzeczy najbardziej osobistych. Lorraine ku swemu zdumieniu poczuła się tak, jakby znowu miała dziecko.

Dwoje dzieci: Georgię i Keefer.

Lorraine to odpowiadało. Po raz pierwszy od wielu lat nie pędziła do pracowni, na zebranie czy załatwić jeszcze jeden telefon przed wyjściem z domu. Łyżką karmiła Georgię sosem jabłkowym. Sciereczki pocięła na kawałki i trzymała je w lodówce - zupełnie jak wtedy, kiedy Georgia była dzieckiem i wyrzynały się jej ząbki - żeby łagodzić owrzodzenia w ustach. Po Bożym Narodzeniu jej modlitwy uległy zmianie. Zaczęła prosić Boga, by pozwolił Georgii zostać, nawet niepełnosprawnej, jeśli tak właśnie musiało być. Lorraine by się pogodziła. Mark by się pogodził. Ray znalazłby jakiś sposób. Byliby jak te rodziny, które czasami widywała na ulicy, wożące dziecko w wózku inwalidzkim z małym motorkiem. Szybko odwracała wtedy wzrok, myśląc, jak można to wytrzymać. Tymczasem to mogło stać się drugą naturą.

Mogło stać się życiem.

Życiem bardziej upragnionym od śmierci.

Za dwadzieścia cztery godziny trzeba będzie uprasować bluzkę, włożyć nowe pończochy i zrobić makijaż. Wyglądać dystyngowanie i spokojnie podczas ceremonii, która zakończy się spuszczeniem ciała ukochanej córeczki do dziury wykopanej w ziemi i przysypaniem jej piachem. Zrobić to, potem myśleć o tym i o tych wszystkich cudownych latach i dalekich od cudowności miesiącach, aż przyjdzie demencja.

No i dobrze.

Nie musiała umierać, ale nie musiała też żyć. Mogła odpuścić sobie wszystko, z wszelkimi tego konsekwencjami, i myśl ta dawała jej poczucie wolności.

Miała pracę. Już wcześniej ją miała. Jak ma ją dłużej wykonywać? Nie nadawała się do tego. Kiedyś kochała swoją pracę, swoje wystawy, współpracę z innymi nauczycielami. Czy umiałaby teraz wrócić do szkoły? Uczyć? Uczyć dziewczęta, których każdy gest - nawet odruchowe zatykanie pasma włosów za uszy podczas czytania - sprawi, że będzie chciała krzyknąć i opłakiwać córkę? Czy da radę się opanować?

Pomyśl o Gordonie, powiedziałyby Nora. Pomyśl o Marku.

Pomyśl o Keefer.

Nie będzie myślała o Keefer.

Myślałaby o Gordonie. Jednak nie opiekuńczo. Gordon ją uwielbiał, ale był samowystarczalny, a poza tym wręcz egocentryczny. Pod dostatkiem było rzeczy, którym mógł się poświęcić, a przy Keefer będzie mieć zajęć bez liku. Do tej chwili wiódł spokojne życie: mowa w imieniu kolegów na zakończeniu szkoły, prestiżowa drużyna golfowa Florydy - to były jedyne osiągnięcia, na które sobie zapracował, ale też, prawdę mówiąc, został wychowany przez rodziców tak wdzięcznych za to, że go mieli, i tak bardzo zdeterminowanych, by tego dowieść, że wkroczyli w rodzinne życie z misjonarską gorliwością. Dyrektor szkoły średniej, Hart Rooney, wyznał kiedyś Lorraine, że jej dzieci są tak wspaniałe, że nigdy by mu do głowy nie przyszło, iż są adoptowane. Lorraine więc nie odezwała się do tego człowieka.

Mark, cóż... nie potrafiła sobie wyobrazić, by jeszcze mogła być dla niego tą najmiłszą towarzyszką życia. Mark poczuje się samotny i zagubiony, ale ona nie ponosi za niego odpowiedzialności, nie będzie przecież zwodzić go dalej i zachwycać, prowokować do nieustannego uganiania się za jej aprobatą, co jej się udawało przez ponad trzydzieści lat. Czy zdobędzie się na to, by przyjść na kolejne przyjęcie gwiazdkowe w Medi-Sun, przyjmą skarpetkę pełną witamin Super C i B kompleks z uśmiechem, o którym Marka koledzy z pracy mówili, że widoczny jest nawet z Saturna? Mark będzie... och, Mark będzie robił dobre uczynki, w imię Georgii.

Może ożeni się ponownie.

W każdym razie Mark zrobił się nudny. W łóżku w ciągu ostatnich nocy spokojnie wyjaśniał, że ma zamiar „przerobić” w sobie śmierć Georgii i Raya, zupełnie jakby to był jakiś stary ciuch.

Mark pragnął zrozumieć te śmierci. Nora gotowa była je gloryfikować, Gordon wyjaśniał ich mechanizm. Rodzina Nye'ów, sądząc z jednej krótkiej rozmowy Lorraine z matką Raya, Dianą, chciała kogoś zaskarżyć. Kto wie, co na to wszystko powie rodzona siostra Lorraine, żona neurologa, kiedy przyjedzie swoim mercedesem? Judy Reilly szperała w Internecie, szukając wakacji dla Lorraine i Marka. Karen Wright wyszywała w motyle całun do przykrycia trumny.

Motyle.

Bzdura!

A Lorraine po prostu chciała nie wiedzieć.

Przechodziła kiedyś badanie jelita, podczas którego lekarz zastosował dziwny środek uspokajający, wprawiający w niezwyklej stan - ni to świadomości, ni nieświadomości. Lekarstwo nie stepiło nieprzyjemnego bólu, ale sprawiło, że mózg nie był w stanie pamiętać doznań dłużej niż przez kilka sekund - co w zasadzie równało się niedoświadczaniu bólu. Czy nie byłoby świetnie mieć w domu coś takiego, doprowadzonego rurami jak woda albo gaz?

Tego ranka Lorraine zakrećiło się w głowie i upadła, wychodząc spod prysznica. Nie miała pojęcia, dlaczego. Być może woda była za gorąca. Skrećiła kostkę, gdyż noga jej się podwinęła, kiedy ciężko padała biodrem na ceramiczne płytki. Siedziała zafascynowana, ociekając wodą, i patrzyła, jak kostka puchnie i ciemnieje. Choć dostała mdłości z bólu, jej pierwszą myślą była wdzięczność.

Nie będę w stanie brać udziału w wyprowadzeniu zwłok. Nie będę w stanie pójść na pogrzeb.

- Nie będę w stanie pójść na pogrzeb! - zawołała z łazienki. Mark zasugerował nieśmiało, że utrata równowagi mogła mieć coś wspólnego z tymi wszystkimi lekami przeciwbólowymi i uspokajającymi.

Skąd wiedział? Przecież znalezienie własnych butów było dla niego niczym łowy na grubego zwierza.

Lorraine krzyknęła:

- Chyba żartujesz! Te pigułki działają na mnie nie bardziej niż pastylki od kaszlu!

Mark drgnął. Nieomal zrobiło jej się go żal. Nigdy na niego nie krzyczała. Może zaledwie kilka razy w ciągu ich wspólnego życia podniosła głos.

W końcu końskie z natury zdrowie Lorraine i okłady z lodu pokrzyżowały jej intencje. Opuchlizna zeszała. Nie było trwałego urazu. Mogła stać, choć ostrożnie. Jak oprze się na ramieniu Marka, nikt niczego nie zauważy. Odstawi to całe przedstawienie. Gdyby została w domu, sprowokowałyaby jedynie żałosne półuśmiechy, pełne współczucia wyrażanego w samoobronie. Współczujemy McKennom, ponieważ następnym razem nas może to spotkać. A potem trzeba będzie wrócić do domu i kiedyś w końcu uprać całą stertę majtek i koszul córki, leżących teraz w koszu

z brudną bielizną, podczas gdy sama Georgia spoczywa w chłodni u Chaptmana. Za kilka dni, kiedy Lorraine złoży uprane nocne koszule i te najlepsze odłoży dla Keefer, Georgia będzie już leżała po drugiej stronie ulicy, okryta kołdrą ziemi.

- Szkoda, że nie walnęłam się w głowę zamiast w kostkę - powiedziała Markowi. Z zakłopotaniem wpatrywał się w maszynkę do czyszczenia wełny, która była pokryta włosami i najwyraźniej straciła właściwości wyłapywania drobinek kurzu. Jego granatowy garnitur wisiał na drzwiach. Lorraine wzięła od niego maszynkę. Pojaśniał z wdzięczności.

Mark chciał być wdzięczny. To dobrze, stwierdził, że najgorsze jest poza nimi. Jakby myślał, że już po wszystkim. Lorraine ogarnęła furia, gdy dodał: „Przynajmniej to nie ty”. A kiedy spojrzała na niego, nie mówiąc nic, jego słowa straciły na impecie, jakby jej spojrzenie uruchomiło jakiś zawór bezpieczeństwa. Czy chciał przez to powiedzieć, że sam nie umarłby zamiast Georgii? Że nie chciałby, żeby Lorraine umarła zamiast niej? Czy koniecznie musiał tak głupio pocieszać żonę? Czy był z drewna? Czy nie miał więcej taktu niż stołowa noga?

A może sądził, że łatwiej jest umrzeć niż spędzić samotnie resztę życia?

Dwadzieścia lat z pewnością, może trzydzieści.

Ta część jej psychiki, której teraz nie akceptowała, jednak się broniła. Lorraine przyłapała się na tym, że zauważa mleczny przepych otwierających się piwonii. Powietrze przyjemnie pachniało dojrzałymi makami. Był wczesny ranek. Nieświadome niczego lato niczym dumna królowa urzekąło swoim bogactwem. Jak głodujący człowiek, który nagle znalazł się na targu, Lorraine zaczęła zauważać otoczenie. Zachciało jej się pić poranną kawę. Nie czuła się umyta, dopóki nie oczyściła nitką zębów. Nawet morfina, której dawkę wydzieliła sobie nazajutrz rano po wypadku - w nadziei, że przejdzie przez to wszystko jak jeden z Beatlesów przez ogród pełen śmiejących się kwiatów - jedynie przyniosła okropny sen: dziesięcio- lub jedenastoletnia Georgia stała nago na płonącej górze, głośno wzywając matki, a Lorraine usiłowała wspiąć się po gorących, osuwających się węglach, popędzana strachem. „Skacz, Georgio!” - wołała do niej. Ale Georgia tylko krzyczała wniebogłosy, jakby tego nie słyszała.

Prawdziwa Georgia nie krzyczała. Drgnęła może troszkę, ale

próbowała to ukryć, udawała, że chrząka. Była uparcie, głupio optymistyczna: „Czuję się dzisiaj silniejsza, mameczko. Myślę, że Keefer powiedziała «babcia». Na Boże Narodzenie już będzie mówić. Tym razem musi się dowiedzieć o świętym Mikołaju! Nie mogę się doczekać!“. Tylko raz krzyczała, kiedy jej stopy się rozjechały, a ręce rozłożyły bezradnie podczas pierwszego ataku: „Boję się, mamo! Tak bardzo się boję! Czy to znaczy, że umrę?“.

Po tym śnie morfinowym Lorraine nie chciała więcej spać.

Tymczasem jedynie sen z trzaskiem zamykał album zdjęć nieustannie wertowany przez umysł.

Georgia w wieku pięciu lat.

Śmiała jak dziecko z bajki wychowywane przez wilki, opalona wszędzie, z wyjątkiem brody i łokci, od umięśnionych nóg małego atlety do śmiałej elipsy idealnego brzuszka, zrzucała ubranie i biegła, krzycząc, do jeziora Hat. Chochlik, dzikuska. Georgia siedząca za karę przez trzy godziny na niewygodnym krześle z wysokim oparciem. „Nie będę rozmawiać z tobą, tatusiu - mówiła Markowi - dopóki nie będziesz grzeczny“. I to Mark w końcu się łamał, szepcząc słowa przestrogi i skruchy nad jej małym ramionkiem.

Georgia sześciolatka, ciemna, podobna do elfa, mówiąca swoim zadziwiająco dźwięcznym głosem:

- Jesteś za mała na mamusię. Dlaczego jesteś taka mała?
- Przystałam rosnać w siódmej klasie - odparła Lorraine. Zawsze kłamała, gdy chodziło o wzrost. Do prawa jazdy podała pięć stóp i dwa cale, tymczasem nawet gdy bardzo się wyprostowała, nie osiągała pięciu stóp. - Sama nie jesteś wcale taka duża, krasnalu.
- Będę większa od ciebie, mamo. Za jakiś tydzień.
- Chyba nie. Ja jestem dużo starsza od ciebie.
- Bardzo jesteś stara, mamusiu?
- Troszkę stara.
- Czy umrzesz niedługo?
- Nie. Nie tak prędko - odpowiadała Lorraine, myśląc w nagłym popłochu: powinnam odtąd robić regularne kontrole piersi, znowu zacznę chodzić na gimnastykę...
- Bo ja nie chcę umrzeć.
- Co takiego, kochanie?
- Kiedy ty umrzesz, ja też będę musiała umrzeć.

- Nie, nie umrzesz.
 - Tak, umrę!
 - Będziesz dorosłą panią, będziesz miała mnóstwo własnych dzieci i na pewno nie będziesz chciała umierać. Będzie ci smutno, ale będziesz żyć dalej i mnie wspominać.
 - Nie, ja też umrę.
 - Nie, nie umrzesz. Nie mów takich rzeczy, Georgio. A poza tym, obiecuję ci, że nie umrę, dopóki nie będziesz gotowa na moją śmierć... - Dlaczego paliłam przez dziesięć lat, myślała Lorraine w takich chwilach, a przecież nawet tak bardzo tego nie lubiłam. Dlaczego pozwoliłam, żeby ciocia Clara dała mi pigułki na odchudzanie? Dlaczego nie brałam codziennie witaminy E i B12? I C? I czemu jadłam zieloną paprykę jak frytki? Ludzie w naszej rodzinie nie umierają młodo, pocieszała się. Wakacje u matki wyglądały jak sabat czarownic. Będę jedną z nich, przekonywała się w myśli. Mam to jak w banku.
 - Jesteś pewna, że nie umrzesz, mała mateczko?
 - Jestem pewna. Obiecuję.
 - Czy obiecujesz, że zawsze będziesz moją mamą delfinicą?
 - Tak, będę.
 - I zawsze będziesz moją mamą dinozaurycą?
 - Obiecuję.
 - I zawsze będziesz moją mamusią niedźwiedzicą koala i będziesz mi przynosić liście eukaliptusa?
 - Zawsze. - Tu zagrzebywały się obie w gniazdku ze starej kołdry, żując razowe krakersy i wyobrażając sobie, że to są liście.
- Georgia dwunastoletnia, z usteczkami tak wypukłymi, że -jak mawiała matka Lorraine, babcia Lena - ptaki mogłyby na nich przysiąść jak na półce. Georgia rzucająca Lorraine w twarz pożyczoną z biblioteki książkę o adoptowanych nastolatkach.
- Tu jest wszystko. Po prostu chciałaś jakoś zastąpić to idealne dziecko, którego nie mogłaś mieć. Niezły pomysł!
- Tego dnia Lorraine poszła za Georgią do zamkniętych na klucz drzwi od jej pokoju i przyciskając usta do szpary, natężyła pamięć, żeby przypomnieć sobie coś ze szczątkowej mądrości, coś nadającego się do powiedzenia, co całe jej przygotowanie nauczycielskie zdołało zasiać w gniewnym, pełnym lęku mózgu matki. Jak można pocieszyć dziecko, które uważa się za dublera w rodzinnym dramacie?

- Georgio - odezwała się w końcu. - Jesteś moim dzieckiem. Ja tylko ciebie kocham.

Cisza.

- Kocham twoją matkę, która dała ci życie. Kocham twego ojca, za sprawą którego twoja matka zaszła w ciążę. Chętnie zgodziłabym się, żeby zamieszkali razem z nami, gdyby tylko obiecali, że mi cię nie zabiorą.

Cisza.

- Oczywiście, że zastąpiłaś dziecko, którego nie mogłam mieć. Nie tylko zastąpiłaś, ty... ją przyćmiłaś. Ona nigdy nie istniała. Kiedy byłaś malutka, ja... ludzie czasem sądzili, że to ja cię urodziłam, ponieważ byliśmy podobne do siebie. Na początku mnie to cieszyło. Chciałam myśleć tak samo jak inni. Ale po jakimś czasie zaczęło mnie to niecierpliwic, jakbym pozwoliła ludziom udawać, że lepiej by było, gdybyś naprawdę wyszła z mego ciała. Żałowałam, że nie jesteś jasna jak Gordie i że nie masz sześciu stóp wzrostu, bo wtedy wiedziałabyś na pewno, że aby cię kochać, nie musiałam udawać, że wyszłaś z mego ciała. Ja kocham ciebie, nie odbicie mnie samej.

Drżenie ogarnęło jej głos i wyobraziła sobie pogardę Georgii, a potem jej wściekłość. Siedziała tam i robiła coś okropnego: podrzynała sobie nadgarstki, połykała całą butelkę tylenolu, skręcała sznur z prześcieradeł.

- Georgio! - zawołała. - Wyjdź do mnie. Bo pójdę po śrubokręt i odkręcę zamek!

I zrobiłaby tak, ale kiedy się odwróciła i zaczęła odchodzić, drzwi się uchyliły, a Lorraine zobaczyła czarną poświatę w środku. Georgia wyciągnęła rękę, którą matka wzięła bez słowa, po czym stały obie, aż ich dłonie zrobiły się gorące, a nadgarstki omdlały.

Lorraine pomyślała: Przyjęłabym to. Ta jedna ręka byłaby mi rajem. Chodziłabym do kościoła codziennie, zdławiłabym wszystkie wątpliwości i odpędziłabym od siebie całą gorycz.

Georgia czternastoletnia.

Odprowadzona za frak przez Dale'a Larsena, gdy zsunęła się po rynnę i uciekła, a on przypadkiem natknął się na nocną pijatykę w lesie. Ciągnąc Georgię w górę po schodach, Lorraine mruzczała gniewnie przez zaciśnięte zęby, że będą musieli wyprowadzić się do Kanady, i wymierzała klapsy w pośladki, w ramiona

i w tył głowy przez całą drogę aż do jej pokoju, gdzie starannie ułożone poduszki udawały niewinny, śpiący kształt. Kim byli rodzice pozostałych dzieci? Alkoholikami? Pracującymi na trzecią zmianę? Nie dbali o życie własnych dzieci? Kiedy Georgia oznajmiła dumnie („Co ty wiesz o życiu, mamo”), że była jedyną dopuszczoną do towarzystwa ósmoklasistką, a resztę stanowili albo starsi uczniowie, albo wyrzuceni ze szkoły, pracujący w składzie drewna lub w hodowli pstrągów, naprawdę niebezpieczni młodzieńcy w obcisłych dżinsach, Lorraine pomyślała, że będzie musiała chodzić do miasta w przebraniu, żeby ukryć swój wstyd i zapuchnięte oczy. Żałowaną pociechą dla niej było to, że zdała sobie sprawę od razu, gdy Georgia rozpoczęła naukę w liceum, że Stephanie Dale'a Larsena jest jeszcze gorsza, plakutowy wzorzec dziecka wywierającego zły wpływ na inne.

Idąc po wypadku tą samą ścieżką, Dale musiał myśleć o tych dawno minionych czasach. Lorraine weszła do łóżka, ułożyła się wygodnie na regulowanym wezglówiu, gdzie zwisały przyczepione strzępem czerwonej wstążki medale Georgii z religii, z mieczami i smokami. Łzy Lorraine były tak wielkie, że miała wrażenie, iż musi się wewnątrz rozpuszczać. Gdyby stanęła na wadze, pewnie by się okazało, że waży kilka funtów mniej, tak jak dawno temu, kiedy razem z siostrą Daphne godzinami biegały po bieżni szkolnego boiska w gumowych kostiumach.

Gordon był dużo łatwiejszy. Lorraine czasami myślała, że traktuje to jak rzecz naturalną. Jak wiele młodszych dzieci, wybrał rolę dziecka podporządkowanego, tyle tylko, żeby zapewnić sobie swoją porcję uwagi starszych. Georgia rządziła. Awanturница, jak ją nazywał ojciec Lorraine. Krytykująca Gordiego, rozpieszczająca go, dokuczająca mu, pobłażliwa, ulegająca wpływom, ironiczna. Czcił ją. Czy Lorraine kiedykolwiek żałowała, że nie ma dwóch Gordiech, dwóch pracowitych, spokojnych chłopców, którzy pozwalali przesywać noce - zarówno jako dzieci, jak i jako młodzi dorośli? Lorraine i Mark nigdy się o niego nie martwili, nawet kiedy nurkował, wspinał się lub penetrował jaskinie z klubem Enviro-Treks. Gordie znał siebie. Znał własną miarę, wiedział, że jest sympatyczny, przystojny i miły. Nie kołysał łodzią. Georgia zawsze coś opłakiwała - swoją wagę, włosy -jednego dnia ukrywała rozum, chwaliła się nim nazajutrz. Lorraine rozpacziała, że jej córka nigdy nie osiągnie harmonii.

Czy kiedykolwiek miała żal do Georgii? Czy zbłąkany cień tego żalu nie bujał gdzieś nad nią, jak transparent ciągnięty przez mały samolot? Lorraine wiele czytała o kłopotach wychowawczych. Kiedy Georgia weszła w trudny okres, bez względu na to, co Lorraine powiedziała, córka zawsze miała w zanadrzu odpowiedź.

- Nienawidzę cię, mammo, nie dlatego, że adoptowane dzieci mają podobno problemy z określeniem tożsamości - oznajmiła jej kiedyś Georgia. Twarz miała tak pozbawioną wyrazu, że pierwszym impulsem Lorraine był śmiech, który zaraz zamarł jej na ustach. - Nienawidzę cię, bo cię nienawidzę.

Lorraine nie zliczyła by nocy, kiedy potrząsała Markiem, budząc go, Marka - który by spał, nawet gdyby się waliło i paliło - i błagała, żeby ją uspokoił, pocieszył.

- To sprytna dziewczynka - mruczał Mark w kółko. - Zbyt sprytna, żeby posunąć się za daleko.

Końcowe egzaminy Georgia zdała z nagrodami. Mimo to została potem w domu, podjęła pracę w The Soap Bubble i umawiała się z chłopakami, którzy mieli zostać farmerami czy kupcami, albo chodziła na lekcje marketingu do Woodruff Tech. Zmieniła się. Wybaczyła rodzicom. Dopiero gdy była starsza - niemal za stara, żeby się na nowo przystosować - upewniwszy się, że może schronić się pod skrzydłami brata, którym dotąd rządziła, pojechała za Gordiem na Uniwersytet Stanowy Florydy i tam poznała Raya. Dorosła Georgia była zupełnie jak nowo narodzona: rozmarzona młoda kobieta, która lubiła zapach pieczonego w domu ciasta i prezenty przewiązane aksamitną wstążką, która zbierała książki z bajkami, która rozśmieszała matkę, sadzając ją sobie na kolnatch, która robiła z Norą przetwory.

Wydawało się, kiedy wróciła do domu jako mężatka, że nigdy nie wyjeżdżała. Georgię i Lorraine połączyła głupia, sentymentalna, pełna czułości okazywanej bez konkretnego powodu, matczyno-dziecięca miłość. Georgia, wyższa trzy cale od matki, znowu stała się dinozaurzątkiem... banalne wesele, podręcznikowy poród, Georgia z jednej strony uczipiona ramienia Raya, z drugiej matczynej rękawa, Gordon, z rozszerzonymi oczami, wybierający właśnie ten moment, żeby oznajmić, że nigdy więcej seksu bez zabezpieczeń. Niespotykana dotąd wrażliwość Georgii: „Żałuję, że nie mogłaś mnie urodzić, mamusku, ponieważ żal mi, że nigdy

nie doznałaś tych uczuć... tworzenia"; słodka wylewność, neutralizująca zawiść Lorraine, zadziwiająca ją samą.

Georgia była nieśmiała, to wszystko. Tak jak Keefer. To strach wprawiał ją w gniew. Strach przed wielkim światem.

A teraz wszystko się skończyło! Gordie mógł sobie gadać, że nie ma uczciwości i sprawiedliwości w naturze, ale Lorraine aż do tej pory była pewna, że taka uczciwość istnieje. Nigdy jako osoba dorosła w nią nie wątpiła, podobnie jak nie wątpiła w swoją zdolność odgadywania potrzeb dzieci, kiedy były jeszcze małe i nie umiały mówić. Stłumiła w sobie poczucie nielojalności wobec szkoły i usiłowała złapać Pana Boga za nogi. Dlaczego, kiedy ich czas już prawie się kończył, obojgu z Markiem dano szansę wychowania dziecka idealnego - dwustronna symetria, paluszki jak trzeba, migdałowy kontur oka po każdej stronie zgrabnego nosa, tak że Lorraine miała ochotę paść na kolana - a potem wszystko im odebrano?

Jaka będzie Keefer, połączenie Georgii i Raya? Życie już przyniosło jej tak wiele zmian. Wszyscy starali się ją chronić. Nye'owie zabrali ją na cały tydzień po pierwszej chemoterapii Georgii (dziecko wróciło nauczone pić z dziecinnego kubeczka, a Lorraine odebrała to jak wyrzut, że z lenistwa trzymała ją na butelce). Ale czy najlepsze chęci i wysiłki przywrócą Keefer należne jej dzieciństwo? Ray nie mógł przebywać w domu cały czas; same rachunki ze szpitala by ich zjadły. Dziecko nie mogło być z dala od Georgii, a Georgia nigdy nie była w stanie wykrzesać z siebie tyle energii, żeby się nim samej zająć. Dzięki Bogu za spokojną pracę Gordona, za jego niemal do zera zredukowane życie osobiste i niewyczerpane pokłady wolnego czasu, za to, że brał urlop nawet wtedy, gdy jeszcze był początkującym nauczycielem. Według Lorraine Gordie dał Georgii to, co mogła otrzymać najlepszego, będąc w tak tragicznym stanie.

Z pewnością było to dla niego bardzo trudne.

Zadaniem Lorraine będzie wyposażyć Gordona w podstawowe umiejętności niezbędne do wychowywania Keefer, zanim ona sama... zanim ona, co? Umrze? Zdemencieje? Choć Gordon osiągnął biegłość w zachęcaniu Keefer do jedzenia słodkich ziemniaków i uwalnianiu jej z brudnych pieluszek, jego rola nadal ograniczała się do ugania za nią na czworakach po podłodze salonu i mruczenia niczym niedźwiedź.

Ale Gordon sobie poradzi. W końcu będzie musiał sobie poradzić. Będzie musiał szybciej dorosnąć. I zdać sobie sprawę z twardej rzeczywistości, z tego, że nie można mówić na głos wszystkiego, co człowiekowi strzeli do głowy.

Lorraine zauważyła, że nie widzi już swoich stóp opartych o deskę łóżka. Dzień przeslizgnął się za oknem, pogrążając pokój w mroku, a ona leżała w naszyjniku z własnych łez. No tak, pomyślała. Dzień i noc, następny dzień i następna noc znikły bez śladu. Georgia była już zdecydowanie wśród umarłych, nie wśród żywych, z każdą minutą coraz bardziej oddalając się od matki... Lorraine nie robiła absolutnie nic poza siadaniem, kładzeniem się, siadaniem, kładzeniem się, korzystaniem z łazienki i odmawianiem odbierania telefonów, nawet od Natalie Chaptman, choć ona była przyjaciółką, najbliższą osobą, jeśli nie liczyć Marka. Ale mąż Natalie był przedsiębiorcą pogrzebowym i Lorraine nie potrafiła zmusić się do rozmowy z kimś trzymającym słuchawkę w tym samym budynku, w którym leżały ciała córki i zięcia. Kiedy telefon zadzwonił raz jeszcze, krzyknęła do Marka, żeby powiedział, że ona śpi, a wtedy Mark wszedł do pokoju.

- To Diana i duży Ray. Zaraz tu będą.
- Teraz?
- Lor, oni chcą się z nami zobaczyć. Chcą zobaczyć Keefer.
- Jest u Nory.
- Nora już jedzie. Przywiezie Keefer. Diana i Ray chcą ją zabrać na basen do swojego hotelu.
- To chyba nic złego.
- Powiedziałem im, że nie ma sprawy.
- Nie sądzę, żeby chciała iść z nimi.
- - Myślę, że pójdzie... - Mark usiadł na łóżku, a potem położył się, opierając brodę na głowie Lorraine i przyciągając żonę do siebie. - A ty... Może wstaniesz i przebierzesz się?
- Po co? Czy wyglądam niechlujnie? - Kiedy się pierwszy raz spotkały, Diana właśnie zeszła z kortu tenisowego. „Nie znoszę takiej pogody. Nienawidzę się pocić. Jak się człowiek rusza, jest jeszcze gorzej. Chyba nie nadaję się do życia na Południu”. - Mówiąc te słowa, wyciągnęła do Lorraine jedwabistą dłoń z francuskim manikiurem. Kiedy Lorraine pochwaliła jej szorty, Diana wy-

znała: „Wiesz, muszę kupować w dziale dziewczęcym u Neimana-Marcusa. Bardziej kobiece rozmiary po prostu ze mnie spadają...”

Przy akompaniamencie pełnych goryczy protestów Marka Lorraine spędziła wieczór w hotelu w Jupiter, wyrzucając ubrania.

Teraz, patrząc na Lorraine leżącą na łóżku, Mark powiedział:

- Wcale nie wyglądasz niechlujnie, skarbie. Ale mogłabyś włożyć coś, co nie będzie takie...

- Jakie?

- No, pogniecione.

- Dobrze. - Lorraine westchnęła. Podeszła do szafy i włączyła światło. Poczowała się urażona widokiem kolorowych ubrań, tych martwych rzeczy, które trwają dłużej niż ludzie. Wyciągnęła najwygodniejsze dżinsy i białą bluzkę, która była... no, tyle że nie bardzo pognieciona. Potem sięgnęła po dżersejową sukienkę w cienkie różowe paseczki, bieliznę i pończochy, ułożyła to wszystko w porządku, w jakim będzie je wkładać, jak robiła to od czasów dzieciństwa, stanik, majtki... Mark jej przerwał.

- Chyba nie musisz się tak ubierać na przyjazd Nye'ów.

- Nie mam zamiaru. Włożę dżinsy. To jest... na jutro wieczór.

- Aha.

- Po prostu nie chcę zaglądać do tej szafy dwa razy. Kochanie, nie będę ci tego wyjaśniać. Jestem zbyt zmęczona, żeby mówić.

Wciągnęła bluzkę przez głowę bez odpinania guzików, a potem zebrała włosy w kucyk przypominającą jej zwykły kok. Ktoś zadzwonił do drzwi.

Była to Nora z Keefer na rękę, kręcącą się niespokojnie.

- Noro - rzekła Lorraine. - Przecież ty nie musisz dzwonić.

- Wiem - odparła z zakłopotaniem Nora. - Po prostu teraz jest tak jakoś głupio.

- Baba, baba. - Keefer skoczyła w ramiona Lorraine, gniewnie klepiąc babcie po plecach. - Mama. Mama Kifel?

W tych dwóch słowach zawarł się dramat dziecka: Gdzie jest mama Keefer?

Co Lorraine miała jej powiedzieć?

- Nie spała całą noc - opowiedziała im cicho Nora. - Zupełnie jakby coś czuła. Bradie ją trochę zabawiała, grała na bębenkach Dana. Zabraliśmy ją do stodoły i pokazaliśmy kotki...

- Kotki - oznajmiła Keefer, wsadzając kciuk głęboko w lewy

kać ust. Rozczapierzone małe paluszki sięgały aż do skroni. -
Baba, mama?

- Powiedziałam jej, że mama i tata wyjechali - przyznała Nora, kręcąc się niespokojnie, a Mark oparł głowę o framugę i westchnął ciężko. - Wiem, że to głupie. Ale co miałam zrobić?

- Nie mam pojęcia. - Lorraine usiadła ciężko na ławie w holu. - Chyba po prostu trzeba będzie powtarzać prawdę, aż ją zrozumie. Tak uważa Gordon...

- Możemy powiedzieć jej, że mama jest w szczęśliwej krainie i już nie choruje.

- Nie chcę, żeby znenawidziła Georgię za to, że pojechała, a ją zostawiła - nie zgodziła się Lorraine. - Będzie myślała, że udali się do disneylandu.

Zanim przyjechali Nye'owie, Keefer zasnęła. Diana objęła wszystkich po kolei swymi chudymi ramionami: jej opalenizna i schludny wygląd wydawały się niestosowne; kolczyki były idealnie dobrane do broszki.

- Diano, tak mi przykro.... zaczął Mark. - To musiał być straszny cios dla ciebie, i tak niespodziewany.

- To był cios dla nas wszystkich - zadudnił pocieszająco duży Ray. - Powinniśmy być teraz dzielni ze względu na małą.

- Może coś zjecie? - spytała Nora.

- Mamy mnóstwo jedzenia - dodała Lorraine.

- Nie bylibyśmy w stanie niczego przełknąć - odparła Diana.

Siedli w salonie i spoglądali na siebie w zapadającym mroku. Nikt się nie ruszył, żeby zapalić światło. Diana pogrzebała w swojej dużej skórzanej torbie w kształcie nerki.

- Przywiozłam ich zdjęcie sprzed Bożego Narodzenia - powiedziała. Keefer i Ray z roześmianymi twarzami, wyciągający bose, nienaturalnie powiększone stopy w stronę obiektywu, siedzący na pagórku Sandpiper Reserve, pola golfowego, w pobliżu którego mieszkali Nye'owie.

- To ładnie, że pomyślałaś o tym, żeby nam je przywieźć - powiedziała Lorraine. - Dziękuję ci, Diano.

- Moje dziecko - rzekła Diana, przesuwając kciukiem po wyłożonych słońcem włosach Raya. - Czy wiadomo, jak to się stało?

«

- Myślę, że jakiś czas potrwa, zanim się wyjaśni - odpowiedział jej Mark.
- To był wypadek - wtrąciła Nora. Wszyscy zwrócili wzrok w jej stronę.
- Pamiętajcie moją siostrę - powiedział Mark. - Nora Nordstrom. Przepraszam, nie pomyślałem, żeby was przedstawić... Sam nie bardzo wiem, co myślę. Nie wiem, czy w ogóle myślę...
- Nie pożegnaliśmy się z nimi - ciągnęła Diana.
- No już, już. - Ray wstał i usiadł obok żony, a Lorraine przez chwilę odczuła zawiść. Ludzie zawsze traktowali kobiety w rodzaju Diany, jakby potrzebowały opieki niczym dzieci. Lorraine chciałyby, żeby chociaż raz ją potraktowano jak dziecko.
- My też nie - powiedział Mark, zadziwiając tym Lorraine. Była to druga lub trzecia pod względem długości rozmowa z osobami spoza najbliższej rodziny, podtrzymywana przez Marka dobrowolnie. I było w tym coś jeszcze. Ostrość. Czyżby Mark podzielał jej odczucia co do Diany? - A nawet gdybyśmy mieli taką szansę, to co byśmy powiedzieli? Oni i tak wiedzieli, że ich kochamy.
- Całe szczęście, że nie zabrali ze sobą dziecka - zauważył duży Ray.
- Nie zabraliby. Samochód był stary - mruknął Mark.
- Chcielibyśmy wziąć Keefer na noc - oświadczyła Diana. - Powinnicie teraz trochę odpocząć. Przyjechały nasze córki i wnuki, Brent i Brooks. Mają zaledwie trzy i cztery lata. Uwielbiają ją, jeszcze nie rozumieją...
- Teraz są na basenie - rzekł Ray. - Nie wiem, jakim cudem Ali z mężem tak szybko wrócili z rejsu, ale dzięki Bogu za to. Caroline trzyma się dzielnie, ale Alison przechodzi ciężkie chwile; między nią a Rayem było zaledwie piętnaście miesięcy różnicy. Wychowywaliśmy ich jak bliźnięta, takie same ubranka...
- Wszyscy kochaliśmy Raya - powiedział Mark. - Ray tak bardzo kochał Georgię.
- Gdzie jest Gordon? - spytała Diana. - Dlaczego nie ma go tutaj? A może...
- Jest w mieście. On tu mieszka, Diano. Prawdopodobnie dlatego ona chciała przenieść się do Winconsin, bo Gordie tu był. Nie wiem, gdzie on jest w tej chwili - wyjaśniła Lorraine. - Może pojechał do... domu Raya i Georgii, żeby poszukać zdjęć.... I żeby napisać to, co ma powiedzieć... jutro.

- Duży Ray powie kilka słów o naszym synu — rzekła nagle Diana.

- Oczywiście.

- Potem zorganizujemy uroczystości żałobne w klubie. Wielu graczy pragnie przyjść. Chcą zrobić coś dla Keefer. Pewnie ufundują stypendium. Wszyscy możecie przyjechać, jeśli chcecie.

- Cóż - odparła Lorraine - jesteście uzależnieni od dziecka.

- Wiele przeszła - wyjaśnił Mark. - Potrzebuje teraz czasu, żeby przywyknąć.

- To będzie nie wcześniej niż za kilka tygodni - orzekł Ray. - Do tego czasu przywyknie.

Przywyknie? - pomyślała Lorraine.

- Rozmawiałam już z Alison i Caroline - powiedziała Diana. - Jak wiecie, Caroline jeszcze nie ma własnych dzieci; na razie tylko praca im w głowie. A Alison się zastanawia. Ma zamiar porozmawiać z Andym przy kolacji...

- O czym?

- O dziecku. Zdecydowaliśmy... to znaczy nie musimy o tym mówić teraz, ale sama wiesz, Lorraine, ja mam dopiero czterdzieści kilka. Ile ty masz lat?

- Pięćdziesiąt dziewięć - odparła Lorraine.

- No to sześćdziesiątka na karku...

- Dopiero skończę pięćdziesiąt dziewięć lat, ale oczywiście masz rację...

- Jesteś już na emeryturze?

- Jeszcze uczę. I pewnie pouczę z kilka lat.

- A Mark?

- Mam swoją pracę w fabryce. Prowadzę laboratorium - oznajmił Mark. - Co będę robić na emeryturze, chyba teraz nie ma to nic do rzeczy. Ale będę musiał coś robić. Albo po prostu...

- A więc - ciągnęła Diana - pomyśleliśmy sobie w takim razie... ponieważ ja nie pracuję zawodowo... że trzeba się dobrze zastanowić... Teraz jeszcze nie bardzo jestem w stanie jasno myśleć. Ale na pewno chcielibyśmy, żeby Keefer znała rodziny obojga rodziców.

- My też - zgodziła się Lorraine. - Wiemy, że tego chcieli dzieci, kiedy spisały swoją wolę... - Ray i Diana wymienili spojrzenia. A może jej się wydawało? - Ale nie wszystko naraz, pomalutku. To byłoby zbyt duże szok. •

- Nawet sobie nie wyobrażasz - powiedziała Diana. - Mój pierworodny... mój pierworodny syn.
- A ona była naszą jedyną córką - rzekł Mark. - Wiemy, co czujesz, Diano. Myśmy z tym żyli prawie przez rok. Georgia to też nasza pierworodna.
- Myślałam, że Georgia była adoptowana - zwróciła się Diana do Marka.
- Była. Ale i tak była naszą pierworodną.
- I zostało nam tylko to dziecko - ciągnęła Diana. - To wszystko, co mamy po Raymondzie.
- I po Georgii - dodał Mark.
- Teraz trzeba przede wszystkim myśleć o dziecku - zawyrokowała Diana.
- Sądzę, że powinniśmy postąpić zgodnie z życzeniem Georgii i Raya - rzekł z mocą Mark, tak niespodziewanie głośno, że Lorraine, która straciła wątek rozmowy po ujawnieniu jej wieku, drgnęła, budząc Keefer; dziecko zakwiliło i zmieniło pozycję.
- Baba - westchnęła Keefer.
- Chce butelkę z sokiem, Noro.
- Jest tutaj - powiedziała Nora, grzebiąc w torbie. Lorraine ułożyła sobie pijącą Keefer na ramieniu.
- Znowu pije z butelki - pokręciła głową Diana.
- Tylko od czasu do czasu - spiesznie zapewniła Lorraine, myśląc: dlaczego czuję się winna? - Przeważnie tylko w samochodzie...
- Aha - powiedziała Diana, przyglądając krótkie, cieniowane blond włosy.
- Myślę, że powinniśmy postąpić zgodnie z wolą Georgii i Raya, ponieważ tak właśnie widzieli przyszłość Keefer w swoich testamentach - wyjaśnił Mark. - Mamy swoje kopie, wy dostaniecie swoje.
- Dobrze - odrzekli zgodnym chórem Nye'owie, a Diana dodała: - Nie wracamy od razu do domu. Zostaniemy przez kilka dni po... po.... czy wyobrażacie sobie? Siedzimy tu tak i opłakujemy ... Raymonda. Nie tylko Georgię.
- Wciąż trudno w to uwierzyć - powiedział Mark.
- Na pewno wszyscy chcemy, żeby nasza małeńka czuła się bezpiecznie - dodał duży Ray.
- Czy możemy wziąć ją teraz? - Diana wstała.

- Mam nadzieję, że nie zacznie kapryścić - westchnęła Lorraine. - Jest nieśmiała.

Diana sięgnęła po dziecko, które zadrzało i uspokoiło się. Mokra kasztanowe loki przywierały do czoła. Lorraine poczuła ukłucie; nie myślała dotąd, że Keefer przypomina Georgię, ponieważ dziewczynka była duża i jasna, ale zarys zwisającej nóżki Keefer był dokładnie taki sam jak u Georgii: silne, wydętne mięśnie łydek, duże uda, które doprowadzały jej córkę do szału.

Georgia! - pomyślała Lorraine, a dziecko krzyknęło.

Mała usiadła w ramionach Diany, jakby ktoś zniecała podkradł się do niej i zrobił jej zastrzyk; usta miała rozchylone, po policzkach płynęły kryształny łez, a każdy miał idealnie owalny kształt.

- Baba! - krzyknęła, dysząc.

- Tak, kochanie moje - Diana podniosła Keefer tak, że jej twarz znalazła się na wysokości twarzy Raya, nad ramieniem Diany, ale Keefer walczyła zaciekle, kopiąc Dianę w brzuch tak mocno, jak tylko mogła, nóżką obutą w sandałek.

- Baba!

- Och, Diano, przykro mi, ale jej chyba chodzi o mnie - szepnęła Lorraine i zrobiła ruch, jakby chciała wziąć dziecko.

- Wszystko będzie dobrze, chodźmy! - zarządził duży Ray. - Gdzie jest torba z jej rzeczami?

Nora bez słowa podała torbę. Diana odmownie pokręciła blond głową, trzymając mocno Keefer.

- Zabierzemy małą panienkę na lody? - spytała. Dziewczynka wiała się, aż jej brzusek znalazł się niemal na poziomie kolan Diany. Była cała spocona, wyciągała obie rączki do Lorraine.

- Może przywieziemy ją później? - zaproponował Mark.

- Baba! - łkała Keefer. - Dory!

- To znaczy Gordie - wytłumaczyła Lorraine, starając się zapanować nad głosem.

Diana nakryła dłonią skołatana, rozgrzana główkę dziecka.

- Już dobrze, dobrze, Keefer Kathryn. Baba jest tutaj. Babcia Diana. Keefer. No, Keefer...

Oboje państwo McKenna spocili się, choć w pokoju było chłodno.

- Keefer Kathryn, chodź pójdziemy do Brooksika!

- Może lepiej po prostu Keefer... - zaproponował Mark. - Oni... Nigdy nie używaliśmy jej drugiego imienia.

- Choć to śliczne imię - wtrąciła Lorraine. - Piękne staroświeckie imię.

- To imię mojej matki - powiedziała Diana. - Bardzo chcieliśmy, żeby się nazywała Katherine, żeby można było mówić na nią Kitty, jak na mamę... ale Keefer jest naprawdę słodkie.

- To w pewnym sensie po Georgii - tłumaczył Mark. - Gordon jako dziecko nie mógł wymówić jej pierwszego imienia, więc używał drugiego.

- Wiem, słyszałam - rzekła Diana. - To słodkie.

Ray powiedział spokojnie:

- No chodźmy, mamusiu. Chodź maleńka.

- Już dobrze, Keefer - Lorraine pochyliła się i przytuliła policzek do policzka dziecka, starając się nie zważać na gwałtowne próby Keefer, przypominającej w tym momencie udręczoną małpkę, złapania babci za ramiona i za kołnierz i zejścia z Diany. - Jak mnie pocałujesz, tęsknoty nie poczujesz. Keefer, niedługo wrócisz do domu. - Do Diany powiedziała: - Tak mi przykro, Diano. Ale sama rozumiesz, że to niełatwe...

Krzyki Keefer wzmożyły się, kiedy Nye'owie - każde z nich podtrzymujące tę część małego ciałka, którą udało im się akurat złapać - szli spiesznie ścieżką w stronę samochodu. Sąsiedzi, starsza para, Bob i Mary Dwors, wstali od swoich krzewów różanych i przyglądając się bezradnie, wymienili z Lorraine i Markiem porozumiewawcze wzruszenia ramionami.

- Zaraz się pewnie uspokoi! - zawołała Nora z kuchni. Nikt poza nianie miał siły mówić. Zapomnieli, że Nora tam jest, tylko Lorraine nagle poczuła zapach parzonej kawy. Nora piłaby kawę nawet w piekle, pomyślała Lorraine. - Nie mogę patrzeć na męki tego dziecka. Pewno jej się wydaje, że zabierają ją od nas na zawsze.

Mark zatrzasnął drzwi.

- Za skarby świata nie mogę zrozumieć, dlaczego Diana budzi we mnie właśnie takie uczucia.

- Czemu ona powiedziała, że to było gorsze dla nich niż dla nas... To znaczy dla was. - Nora podała kubek Markowi.

- Dla nas - Mark pogłaskał siostrę po ramieniu, a Lorraine zauważyła, jak wielką przyjemność jej tym sprawił. Sama od razu poczuła się bardziej wyrozumiała.

- Mark, ona straciła jedyne dziecko - powiedziała. - Nie jest zła. Tyle że nienawykła do nieszczęść.

- Nie uważam, że jest zła - odparł Mark, patrząc, jak Diana wsiada na tylne siedzenie razem z Keefer. - Coś mi się jednak zdaje, że ona zawsze dostaje to, czego chce. I Ray też dostawał.

Pokój nagle zaczął sprawiać wrażenie pozbawionego wszelkich dźwięków. Zdanie Marka, że każdy jest z gruntu dobry, graniczyło z naiwnością. Nawet najbardziej leniwy pracownik w Medi-Sun był „dobrym chłopakiem”. Mark jako jedyny wśród „kierownictwa” zaproponował, żeby księgowej, która sprzeniewierzyła dziesięć tysięcy dolarów po to, by kupić dom na kółkach, dać szansę na spłaceniu długu i nie wyrzucać z pracy.

Teraz, spoglądając spode łba, dodał:

- Nawet nie wzięli fotelika.

- Do Fidelis Hill są tylko dwie mile - uspokoiła go Lorraine, zaskoczona tym wybuchem. - Nie warto. Ona nie znosi fotelika.

- A jak ktoś ich zobaczy? Już było wystarczająco dużo wypadków w tym tygodniu. A oni oboje pewnie... cierpią na nadciśnienie. Ray prawie cały czas wygląda, jakby miał zaraz dostać wylewu. Ten facet musi mieć z sześćdziesiąt funtów nadwagi.

- No to w takim razie biegnij i zatrzymaj ich!

Mark potarł brodę. Później nie pamiętał dokładnie, co powiedział, ale jego słowa skierowane do Lorraine i Nory brzmiały mniej więcej tak:

- Nic jej nie powstrzyma.

I właśnie w tym momencie coś tkwiącego w Lorraine, jakiegoś jej wewnętrzne ciało, które dotąd leżało obojętnie, oparło mocno ręce o poręcz krzesła i stanęło na nogi.

4

Czuł się jak złodziej wchodzący do czyjegoś mieszkania.

Czuł się jak złodziej zakradający się do grobu.

Gordon z wahaniem szedł przez hol, trzymając się blisko ścian, gdyż nie chciał zostawiać śladów na grubym dywanie. Wnętrze było duszne, gorące powietrze nieruchome i ciężkie od zapachu. Gordon pociągnął nosem - lactobacillus. Prawdopodobnie skwaśniała butelka Keefer leży gdzieś pod kanapą. Ray nie nocował tutaj od kilku tygodni. Nie przyszło mu do głowy, żeby

przejeżdżając, uchylić okno albo włączyć klimatyzację. Ray był sportowcem, potrafił myśleć tylko o jednej rzeczy naraz. Ich przyjaciel Carl Jurgen zwykł mawiać, że wszyscy faceci grający w golfa starają się osiągnąć taki stan, w którym koncentracja jest absolutna, a zamach wychodzi, nawet jeśli z nienacka nadepną na grabie.

- A Ray przebywa w tym świecie cały czas, nie tylko wtedy, kiedy gra w golfa - skarżył się Jurgen.

Gordon szukał wskazówek, czegoś, co mógłby dodać do słów już napisanych, które wyszły niezręcznie, były po prostu takie, jakich każdy mógł się spodziewać. „Zebraliśmy się tutaj, żeby pożegnać Georgię O'Keeffe McKenna Nye. Nazwisko jest długie i niezwykle, ale osoba, która je nosiła, też była niezwykle, choć nie żyła długo. Żegnamy jej męża, mego szwagra, Raymonda Nye'a Juniora, nazwisko może nie jest niezwykle, lecz osoba po prostu cudowna (wykreślone), był to jeden z najwspanialszych facetów na świecie. Przybyliśmy tu, aby powiedzieć, że tych dwoje wspaniałych (wykreślone) cudownych (wykreślone)... dobrych i porządnych ludzi, którzy wnieśli tak wiele w nasze życie, a ich własne życie...”

Gordon nie był dobrym pisarzem nawet w najlepszych czasach. Jak teraz na zawołanie miał wzbudzić w sobie zapał twórczy?

Georgia pomagała mu przy pisaniu każdego referatu semestralnego w szkole średniej i większości prac w college'u. On z kolei robił wszystko, z wyjątkiem przebierania się w damskie szaty, żeby ona mogła odebrać nagrodę w konkursie Chemia dla Poetów. Georgia nie zniosłaby takich tanich, mdłych niezręczności. Wymagała d r a m a t u ! Świece, trumna, dźwięk organów, poezja! Fakt, że nie było jej tutaj, że nie ratowała go z opresji właśnie teraz, był dla Gordona dowodem, że nie ma życia pozagrobowego.

Drzwi do szafy w holu były na wpół otwarte. Zobaczył dobrze znane mu rzeczy: rozkoszne, malutkie, żółte gumowe buczki Keefera wetknięte w czerwone drewniaki Georgii, olbrzymi rozpiąany sweter, który zrobiła na drutach ciocia Nora, czysty horror psychodelicznych pastelów, a który jego siostra lojalnie nosiła, nazywając go „mój sweter do wszystkiego”, rząd czapek Raya, każda rozciągnięta do granic możliwości. Szwagier miał ogromną głowę. Kiedyś Jurgen powiedział, że czapka do golfa wygląda na

nim jak pinezka na dyni. Wszystkie zwykłe przedmioty zmieniły się w relikwie. W jedną z politycznie poprawnych drewnianych zabawek Keefer wetknięty był plik ulotek na temat thisacyliny czy thatamycyny, które doktorzy mieli ochotę wpuścić w żyły Georgii. Obok zabawki leżała mała bransoletka, z dzwoneczkiem; Georgia nosiła ją na kostce do kostiumu kąpielowego. Gordon sobie przypomniał, że prosiła Raya, mówiąc niewyraźnie po syropie morfinowym, by przywiózł bransoletkę do domu rodziców, bo dźwięk dzwoneczka uspokajał dziecko.

Filiżanka, która kiedyś zawierała kawę - i... o, to tu... mleko, które się zepsuło... stały tuż obok kalendarza Raya. Otwarty był na trzecim czerwca, na dniu chemoterapii Georgii. Czując suchość w ustach, Gordon przerzucił kilka dni do przodu. Dużymi literami, biegnącymi przez cały tydzień, wypisane było zdanie „Zadzwoń do prawnika”. To oraz notatka przy wrześniowej dacie, przypominająca o obowiązkowej kontroli Keefer po półtora roku, były jedynymi wpisami. Plik niewyraźnych faksów z Knockouts Tour wetknięty był do tylnej przegródki razem z kartą do gry, na której napisano coś, co wyglądało na listę zakupów: czosnek w pigułkach, sok, melasa... Matka Raya była wyznawczynią kultu zdrowej żywności. Nietwarte butelki kropli ziołowych wciąż stały szeregiem na parapecie okna w pokoju Georgii w domu rodziców; nazwy ich bardziej pasowały do pikniku na łące niż do wojny z rakiem: mniszek, oset, dzika koniczyna.

Gordon starał się nie patrzeć na galerię zdjęć w holu. Miał zaledwie kilka godzin, zanim cała machina uroczystości żałobnych zostanie wprawiona w ruch. Wiedział, że nie uda mu się w żaden sposób skupić w Domu Pogrzebowym Chaptmanów. Wolał więc, żeby teraz nic nie zaprzętało jego uwagi.

Było tam zdjęcie Georgii w sukni ślubnej z trenem długości dwudziestu dwóch stóp. Tim Upchurch nazwał tren „Trasa kolejowa Atchison, Topeka i Santa Maria”. Niepozowany ślubny portret, ale zdjęcie zrobione z zaskoczenia, i Georgia wolała je od innych. Na tej fotografii znajdowała się też kuzynka Raya, Delia, mieszkająca w Madison; wychowywali się razem z Rayem, niemal jak rodzeństwo, i dzięki niej Ray łatwiej zniósł przeprowadzkę na Północ i rozłąkę z rodziną; była także starościna na ślubie Georgii i chrzestną matką Keefer. W kółko cytowała Biblię -jeśli

Gordon dobrze pamiętał - co doskonale pasowało do blondynki, bardzo pobożnej i pochodzącej z Tamy. Przypomniał sobie, co Georgia powiedziała o Delii: „Lubię ją. Ona naprawdę wierzy w to, co mówi”. Na fotografii Delia z namaszczeniem trzymała koniec ciężkiej koronkowej siatki, na jej twarzy malowało się natchnione uduchowienie. Jej nastoletnia córka z poprzedniego małżeństwa - jak się ta mała nazywała, Alyssa? Alexandra? - zerkała zza ogromnej fontanny i brązowych liści, schowana między donicami z kremowym japońskim bzem i irysami, przypominała dziwaczny posążek zdobiący ołtarz, z bujnymi rudymi włosami i twarzą promieniejącą isticie piekielną uciechą.

Gordon pomyślał ze złośliwą satysfakcją, że cała ta świątobliwość nie uratowała Delii przed rozwodem... ale to było nieładne z jego strony. W końcu niewiele ją znał. Może była wdową.

Jeden rządkiem wyżej - zdjęcie Raya i Georgii w basenie przy ich pierwszym mieszkaniu w Titusville {*Titsville** napisała Georgia tuż potem, gdy się dowiedziała, że się spodziewa dziecka: „Jestem na całym osiedlu jedyną kobietą która ma mniej niż pięć stóp i dziesięć cali i waży ponad sto trzydzieści funtów. Trzeba być instruktorem aerobiku, inaczej nie podpiszą z tobą umowy wynajmu”). Na następnym zdjęciu Ray w masywnej dłoni triumfalnie trzyma nad głową nowo narodzoną Keefer, jakby była Pucharem Stanleya.

Dalej - oprawiony kolaż Georgii: „Dlaczego nazywasz się Keefer” (zdjęcie dziecka w filcowym kapturku w kształcie słonecznika, ze strzałką skierowaną w stronę dziecięcego zdjęcia Gordona, na którym on uśmiecha się bezzębnie, a Georgia obejmuje go tłustym ramieniem. „Był sobie kiedyś chłopiec, który nie umiał wymówić imienia swojej siostry”). Gordon teraz starał się sobie przypomnieć, jak to się stało, że zaczął mówić na Georgię „Keefie”, i to nie wtedy, gdy był malutki, ale dopiero... kiedy? w szóstej klasie czy coś takiego, aż zagroziła, że przyleje mu pasem, jeśli nie przestanie. Później czasem się przejęzyczał, zwłaszcza kiedy urodziło się dziecko, na nie obie mówił „Keefie”. Gordon zakrył dłonią oczy i wsunął kalendarz Raya do tylnej kieszeni.

Ten dom. Nie można było tu oddychać. Powietrze jak w cieplarni.

* *Tits* w slangu znaczy ccyki.

Obudzwszy się rano w ubraniu, na kołdrze, Gordon napisał w kołkonotniku: „Wesoła dziewczyna, awanturka, posłuszna córka, zbuntowana córka, idealna siostra, niezdolna siostra, najlepsza przyjaciółka, wielkoduszna i idealistyczna” i „Georgia była bezkompromisowa. Dopiero czar Raymonda Nye'a Juniora zdjął zaklęcie. Ale gdyby Ray tu był, a tak bardzo żałuję, że go nie ma, powiedziałby wam, że on najlepiej wie, kto naprawdę rządzi”. Brzmiało to jak drętwa mowa ku czci w Elks Club.

Powinien mówić tak, by Georgia przedstawiała się niemal jak Albert Einstein i Matka Teresa, ale czy może udawać, że jego siostra znaczyła wiele dla świata? Nic nie znaczyła. Nie miała czasu, żeby się czegoś dorobić. Jej osiągnięcia to pokochanie Raya, urodzenie dziecka, udzielanie wsparcia bratu oraz uszczęśliwienie całej rodziny... to Gordon poniósł stratę, nie świat.

Nigdy już nie staną za plecami taty i nie będą naśladować, jak przy chodzeniu podnosi nogi niczym czapla. Georgia nie wyśle już Gordonowi prezentu gwiazdkowego dwa tygodnie wcześniej i nie mogąc się doczekać, nie zadzwoni zaraz i nie każe mu otworzyć, póki ona jest przy telefonie. Nigdy nie wstawiają się razem, nigdy też - zmuszeni za długo czekać na stolik w Fast Eddie's - nie będą podkradać jedzenia z kelnerskich wózków. Georgia nigdy więcej nie usłyszy, jak jej dziecko mówi „Keefer”.

Tego powiedzieć nie mógł - ludzie i tak byli już załamani i smutni. Cała ta uroczysta ceremonia wymagała wielkiego wysiłku fizycznego podobnego do wyciągania pułapki na homary: wszyscy razem, ramię w ramię, a wszystko na próżno. „Woda jest znacznie cięższa, niż ma prawo być coś, co można przełknąć i przez co daje się spojrzeć”. - Tak się skarżył Carl Jurgen tego lata, które z Rayem i Gordonem spędzili we trzech w Evans Scholars, obsługując kosze na homary dla drobnego staruszka, właściciela Leo's Sea Subs.

Myśl, która przysłała mu do głowy, kiedy stał niepewny, czy ma zostać, czy też uciekać stąd czym prędzej, mogłaby się komuś wydać dziwna lub podejrzana, ale Georgia by zrozumiała. I może Ray też by zrozumiał. Prawdopodobnie to Georgia była rzeczywistym powodem, dla którego jego związku z kilkunastoma gorąco i krótko kochanymi sympatiami nigdy się nie zacieśniły i nie wyszły poza dobrze wyćwiczoną rutynę wspólnego wyjścia na koncert symfoniczny i włoską kolację, pierwszego seksu, regularnego

seksu, wyjazdu na kemping, zerwania. Georgia zajmowała więcej miejsca w jego życiu niż siostrze wypada. Nawet poczciwa, wier- na Lindsay Snow raz zarzuciła mu gniewnie: „Zachwycasz się każdym słowem, jakie powie!”.

Może nie zachwycał się każdym słowem Georgii, ale numer jej telefonu na Florydzie był jedynym, oprócz numeru rodziców, ja- ki znał na pamięć. Oczywiście oboje z Georgią przeszli przez etap nastolatków, kiedy najbardziej na świecie liczy się uznanie rówieśników; ale nawet wtedy ona i kilkoro innych stanowili większość osób, których bliskości Gordon potrzebował. Tim Upchurch i Pat Chaptman byli mu bliscy jak kuzyni, bliżsi nawet niż prawdziwi kuzyni. Był też Jurgen, no i oczywiście Ray. Ale nigdy nie odczuwał specjalnej potrzeby, by rozmawiać szerzej o sobie z kobietą albo żeby omawiać intelektualne zawiłości z kimś innym niż ojciec czy emocjonalne zawiłości z kimś innym niż Georgia.

Nie było potrzeby omawiania niczego z matką. Ona czytała w jego myślach.

Czas schodził mu na opiece nad Georgią i Keefer. W nocie kra- dzione dla Lindsay musiał prawie gryźć się w język, żeby nie po- prosić, by pominęli wszystkie punkty wstępne i od razu poszli do łóżka. Gordon zaczął rozważać interesującą propozycję od Tor- toise Tours, nowej agencji organizującej rodzinne wycieczki do miejsc takich jak Galapagos. Wstąpił do klubu narciarskiego i wy- sokogórskiego w Wausau i z trudem znosił szczebiot, jako że tam- tejsze panie były miłe dla oka, ale niespecjalnie dla ucha. I wycho- dził z Lindsay lub Timem, albo jedną z dziewczyn, które Tim na- zywał swoimi króliczkami, w większość piątkowych czy sobot- nych wieczorów. Co było jednak głupie - czuł się bezpiecznie dopiero, kiedy wracał do domu, do migającej lampki automatycz- nej sekretarki. Zawsze oddzwaniał. Georgia rozmawiała z nim, nawet jeśli ją obudził. Czasami po prostu do niej jechał. Zdarzało się, że ptaki zaczynały śpiewać, zanim się położyli.

Kiedy Georgia była już bardzo chora, Gordon przekonywał sie- bie, że czas, jaki poświęcił na mycie jej gąbką, pomaganie w na- grywaniu taśm i czytanie *Wichrowych wzgórz*, zastąpi jakoś te nie- liczne dni, które spędziliby razem w ciągu następnych czterdzie- stu lat - wakacje, jeden czy drugi rodzinny wyjazd. Dlaczego wte- dy nie obmyślił, co powie, kiedy nadejdzie ta tragiczna chwila?

Dlaczego nie poprosił Georgii o pomoc? Czy spodobałby się jej tak podstępny figiel, jak pisanie mowy na własny pogrzeb? Gdzieś w nim tkwiło przekonanie, że tak. A może taki wysiłek, będący jawnym przyznaniem się do klęski, byłby dla nich obojga trudny do zniesienia?

A jednak wspomnienia Gordona o siostrze były w całości jej wersją. Georgia była strażniczką pudeł z fotografiami z okresu dzieciństwa, mogących wywołać rumieniec wstydu. Gordie miał jedną, oprawioną w ramki rodzinną fotografię o wymiarach osiemnaście na dwadzieścia cali wybraną (przez Georgię) na świadectwo ich wspólnego życia, i pudło po butach pełne pochlebnych zdjęć jego dziewczyn lub przez nie robionych. Zawierało ono także kartkę z okazji ukończenia college'u z napisem „Oby tak dalej! Kto powiedział, że ciężka praca nie popłaca?” oraz laminowany test z biologii z czwartej klasy, oceniony na trzy z plusem. Wszystko to, czego nie mógłby opowiedzieć matce, zaniósł Georgii: o praktykantce lekarskiej w Colorado, która leczyła jego złamaną kość ogonową i w rezultacie zabrała go do siebie do domu na tydzień; o uczennicy, która myślała, że zwierzęta parzystokopytne mają parzystą liczbę kopyt.

Gordon zawędrował do sypialni. Suknia ślubna Georgii w ciężkiej plastikowej torbie zajmowała miejsce trzech męskich futer. Na półce, pod kilkoma zużytymi częściowo rulonami papieru do pakowania gwiazdkowych prezentów, odkrył wielki kolorowy album zatytułowany „Kompromisy i pozycje: Gorący przewodnik dla śmiałych par”. Z roztargnieniem otwierał i zamykał szuflady. Staniki do karmienia. Wielkie koszulki bawełniane, w jakich spała. Spodenki Raya, wielkości małego namiotu... Chryste, ależ z niego był ogromny facet! Przez ułamek sekundy ujrzał Raya na czwartym pagórku w Pelican Point, czekającego na niego i na Jurgena, podbijającego piłkę kijem, tak by nie spadała na ziemię; ten nieznośnie wolny, precyzyjny jak metronom zamach Raya - Tempo Ramundo nazywali go, nawiązując do Raya Floyda - i strzał prujący dokładnie w środek nieba. „To nie piłka - mawiał Jurgen, składając dłonie jak do modlitwy. - To pocisk”.

Ogarnęła go żałość z powodu wdarcia się na cudzy teren - śmierć pozbawiona jest prawa do prywatności. Kiedy będzie stary, spali każdy intymny skrawek papieru i dokument. Co prawdo-

podobnie obejmie też pudełko od butów zawierające zdjęcia. Wyobraził sobie siebie samego jako zgarbionego, siwego staruszka, grzebiącego w niedużym ognisku.

Bezradnie pomyślał o Georgii i o tym, jak podczas przyjęć nie mogła utrzymać rąk z dala od Raya, wciąż musiała go dotykać; przypomniał sobie, jak Ray obudził go rankiem, potrząsając silnie za ramię, po drugiej randce z Georgią.

- Musimy pogadać, stary. Dzwoniła do ciebie?

- Ray, jest dziewiąta rano.

- Ale czy dzwoniła już? Mówiła coś o mnie?

- Jak to, nie idziesz od niej? - A potem olśnienie. Senność ustąpiła rozbawieniu. - Nie spędziłeś tam nocy? - Ray potrząsający głową, potrząsający ramieniem Gordona, strząsający jego ciekawość, rumieniec pełznący w górę od szczęki, obejmujący całą twarz.

- Całą noc przesiedzieliśmy na plaży. Nigdy przedtem nie czułem niczego takiego. Stary, to nierealne - powiedział. - Chcę, żebyś tu zaraz usiadł i opowiedział mi o niej wszystko. Jakie lubi oglądać programy w telewizji. Czego się boi: robaków czy glist. Jaki jest jej ulubiony kolor i czy był, rozumiesz, czy był przede mną facet, którego ona, no wiesz stary...

Na ślubie, gdy czekali na pierwsze takty muzyki, Ray szeptał nachylony w jego stronę:

- Kocham ją bardziej niż własne życie, stary.

Pod koniec przyjęcia przybiegła Georgia już w niebieskich dżinsach, aby go pocałować na pożegnanie, a on stał rozczochrany, niechętny, pijany i mrugał, bo nagle zapalono światło, co oznaczało, że impreza jest skończona; jej radosne: „Jak mnie pocałujesz, tęsknoty nie poczujesz... ”

Zanim Gordon wziął miesięczny urlop rodzinny ze szkoły, obudził się pewnej nocy w domu rodziców. W ten zimny, wiosenny weekend Ray był w domu, ale miał wcześniej rano następnego dnia jechać do Atlanty, więc Gordon zanozował, żeby zająć się dzieckiem, kiedy matka pojedzie z Georgią do lekarza. W środku nocy, zaalarmowany hałasami dobiegającymi z holu, potykając się, wybiegł ze swego pokoju i natknął się na Raya niosącego w ramionach opatuloną kocem Georgię; stopą otwierał sobie drzwi.

Gordon się przeraził.

- Coś się stało? Wiesz ją do szpitala?
- Nie, nie - uśmiechnął się Ray, radośnie i spokojnie. - Jedziemy tylko na przejażdżkę.
- Na przejażdżkę?
- Georgia nie może zasnąć. A to rocznica naszych zaręczyn, stary. Dwa lata temu powiedziała mi „tak”. Pojedziemy więc nad jezioro Hat i popatrzymy na gwiazdy... może poszalejemy trochę. W końcu nadal jesteśmy młodą parą... - Gordon ujął wychudłe ramię Georgii, posiniaczone od niezliczonych ukłuć w żyłę, zwisające bezwładnie na fałdzie koca, spojrzał na jej senny uśmiech i nie mógł wymówić ani słowa. Wiele rzeczy potrafił uszanować, choć nie zawsze był w stanie je zrozumieć.

Ostatnia długa rozmowa z Georgią przerodziła się w kłótnię. To było w... czwartek. Nie, w poprzedni weekend. Z pewnością już po niewielkim udarze, po którym musiała leżeć przez tydzień w szpitalu, będącym złowieszczym znakiem, że zbliża się koniec. Była kapryśna, niecierpliwa, ale kto by nie był? Kaszel i zadyszka. - T o jest już w płucach - powiedział doktor - w kościach. I Gordon pomyślał, że tylko Georgia mogła uznać, iż najlepiej wykorzysta ostatnie chwile, gdy go będzie ochrzaniała. Zaczęła od pytania, czy on zdaje sobie sprawę, co inni daliby za to, żeby mu dorównać. Powiedziała, że ludzie traktują go jak mędrca, który od razu przejrzał ich na wylot. Jego pomyłki telefoniczne czy podnoszenie upuszczonych przez dziewczęta paczek na parkingach kończą się randkami. Jakaś dziewczyna napisała do niego z podziękowaniem za to, że pozbawił ją dziewictwa. Ludzie lgną do niego jak wodorosty do trawy rosnącej na plaży. „Kobieta, mężczyzna, pies, zakochują się w tobie - powiedziała - a ty traktujesz to jak coś najzupełniej naturalnego. Nie wkładasz w to najmniejszego wysiłku. Uważasz, że wystarczy, jeśli pozwolisz im się kochać...”

- Sama masz setki przyjaciół, Georgio - odparł.
- Ale ja na to zapracowałam. Jakies czterdzieści piw na jednego przyjaciela.
- Ja też się staram. Jestem miły dla ludzi.
- Raczej pozwalasz, żeby ludzie byli mili dla ciebie. Uprawiasz sporty po to, by inni podziwiali twoją sylwetkę. Przeżywasz nowe rzeczy, by później komuś o nich opowiedzieć. To jest twój dar dla świata, Gordie. Ty sam jesteś takim darem... - Przerwała,

oddychając tak głęboko i ciężko, że Gordon pomyślał, iż zasnęła. - Masz się postarać, żeby Keefer była taka jak ty.

Pomyślał: chyba się przesłyszałem. Oboje z Georgią byli jak pies i kot - on aktywny, zręczny, raczej rywalizujący we wszystkim niż uzdolniony w jednym; ona, najlenniejsza ze znanych mu przedstawiolek płci przeciwnej, nigdy nie szła na piechotę, jeśli tylko mogła pojechać samochodem, nazywająca jego, brata, Pectoralisaurusem. Georgia nienawidziła bólu tak bardzo, że nawet nie lubiła, żeby ją drapać po plecach. Przez ostatnie dwieście kilka dni, po strasznym cierpieniu, nabrała takiego hartu ducha, aż go zdumiało.

- Chcesz, żeby Keefer była podobna do mnie?

- Mam nadzieję, że będzie podobna do ciebie. Tobie jest łatwiej.

- Wcale nie jest mi łatwo.

- Tobie jest łatwiej niż mnie - upierała się.

- Nie sądzę.

Odwrociła wymęczoną twarz i uśmiechnęła się do niego.

- Nie to miałam na myśli. Wiem, że nie jest.

- Myślę, że będzie podobna do Raya - powiedział Gordon.

- Chyba nie - odparła. - Nie chciałabym tego. - Spojrzała przelotnie na jedną z rycin, jakie, gdy była dzieckiem, Lorraine kazała dla niej oprawić: wczesna O'Keeffe, bratek tak bujny, że papier wydawał się aksamitny w dotknięciu. - Nie chcę, żeby dla niej miłość była aż tak ważna, by nie można było jej się wyrzec. To ona... - Georgia westchnęła, zabrakło jej tchu.

- Ona?

- Ona... Georgia O'Keeffe. Powiedziała, mhm... nie bądź tym, który kocha, bo to... cię zje, późre. Chciałabym, żeby raczej umiała być kochaną. Czy możesz to dla mnie zrobić? Czy możesz sprawić, żeby się taka stała?

O co jej chodziło?

Czy z nim było coś nie tak? Był zbyt zajęty sobą? Jest nauczycielem, na miłość boską! Nauczyciele z definicji są altruistami. Miał skromny udział we wszystkim, co się wiąże z naturalnym środowiskiem kuli ziemskiej. Nie był egoistą. A może był? Dlaczego wołał, żeby wszystko, co jego dotyczy, zbierało się na wierzchu, a nie wsiąkało w niego? To nieprawda. Z Timem przyjaźnili się od piętnastu lat. On i Lindsay... cóż. Czy chciałby zara-

zić Keefer własnym uodpornieniem przeciwko zbyt głębokiemu angażowaniu się? Gdyby nie to, sam byłby już zaręczony z dziewczyną raz.

Niech będzie... tylko część z tych oskarżeń to bzdura. Przybierał wstydlive, rozmarzone pozy, kiedy zrywał z dziewczynami. Tim nazywał go „draniem w aksamitnych rękawiczkach”. Wygłaszał pełne zadumy uwagi o swojej niedojrzałości, o realnej możliwości przeniesienia się do Australii. Opracował do perfekcji wzruszenie ramion... wolne, pełne ekspresji, jakby wyrażające ogromny żal nad niemożnością wejścia w trwałą związek. Został drzwiami lekko uchylone. Może z czasem jeszcze dojrzej... To działało jak hipnoza. Kobiety, zamiast gorąco pragnąć spalić wszystkie jego zdjęcia, chciały -jakby je ktoś zaczarował - pozostać z nim na stopie przyjacielskiej. Była to wielka ulga. A czemuż by nie? Cenił je, nawet jeszcze bardziej wtedy, kiedy pozwoliły mu odejść, a w jego wspomnieniach zatarły się pełne tremy, nudne, długie kolacje, programy telewizyjne oglądane z rozlicznymi kanap w obowiązkowym uścisku, lakier do włosów na jego policzku. Co naprawdę lubił wspominać, to różne ciała: miękkie lub sprężyste, mniej lub bardziej zaokrąglone, toczone się i kiwające, unoszące się i opadające, sutki jak sekretne serca rozkwitłych nagle kwiatów, tak wiele odmian maków i lili. Kochał je wszystkie nadal, we wspomnieniach. Jakże nie miał być autentycznie szczęśliwy, kiedy je znowu widział? I skąd im przychodziło do głowy, że jego uśmiech, serdeczne powitanie, nawet fizyczne pożądanie świadczyły o pragnieniu dzielenia czegoś więcej niż tylko wspomnień? Ale one zawsze tak uważały. A on zawsze musiał okazywać się łajdakiem, oddzwaniającym dopiero za trzecim razem, wesoło i beztrąsko.

Nie był łajdakiem.

Był łajdakiem.

Na miłość boską, przecież jest młody!

Nie powinien był wracać tu na stałe. Dlaczego wrócił? Enviro-Treks było jak pływająca Arkadia swobodnego seksu, sprawności fizycznej, nauczania i uczenia się... po co wracał do domu? Matka napisała mu o możliwości pracy w szkole średniej. Dlaczego? Chciał wrócić do domu na narodziny dziecka; dlaczego nie posłał po prostu kosza z owocami?

Z nim wszystko było w porządku. Miał przyjaciół, swoją piękn-

ną elektryczną gitarę, swojego fendera z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, na którym wreszcie zaczynał grać, uczniów, od czasu do czasu jasną gwiazdeczkę wśród gromady mamroczących osłów. Nie był samotny.

To właśnie było z nim nie w porządku.

Będzie samotny... teraz.

Nagle zapragnął zamknąć dom i uciec. Przejrzał pośpiesznie biurko, półkę z książkami, szafkę z biżuterią i znalazł kolejny egzemplarz testamentu wetknięty w teczkę z nagryzmlonymi notatkami, które - na ile mógł to stwierdzić - dotyczyły podejrzeń Georgii, że Keefer cierpi na alergię. Obok broszurka z agencji w Bostonie o nazwie Families United. Nigdy nie słyszał o czymś takim. Zabrawł wszystko. W tym miejscu nie można było oddychać. Powietrze miało zaduch cieplarni.

Dlaczego tak bardzo zależało mu na tym - a naprawdę mu zależało - co powie na pogrzebie? Czy ktoś będzie robił notatki? Jedynie myśli, jakie teraz przychodziły mu do głowy, były tak drastyczne, że nie mógłby wypowiedzieć ich, nie płacząc. („Stary, zgodziła się! Czy jesteś w stanie w to uwierzyć? Musisz być moim przyjacielem. Jestem tak szczęśliwy, jakby mi kto w kieszeń narobił”). Byłoby to wulgarnie i niezrozumiałe dla nikogo. Z wyjątkiem dwójga ludzi, którzy nigdy nie usłyszą tego, co powie.

Przeklęta Georgia.

Ona i Ray mieli całe życie, które z nim nie miało nic wspólnego. Ale nie chciała wyrzekać się władzy, jaką miała nad wszystkim, co dotyczyło brata. Była równie samolubna jak on.

Była.

Oczekiwała wdzięczności. „Doceń siostrę twą, która regularnie ratuje cię od natychmiastowych i bezpośrednich skutków twojej własnej rozlazłości. Pamiętaj pierwszorandkowy przepis na ciemniutki makaron z brokułami”.

Nie robiła tego wszystkiego, żeby zaskarbić sobie wdzięczność.

Kochała go i starała się ubarwić szare plamy życia, robiła to z miłości.

Był wdzięczny, że wróciła do domu, był wdzięczny, że sam do niego wrócił. A gdyby umarła na Florydzie? Zaczęła nienawidzić Południa, tak samo jak Ray je kochał. („Seks na plaży - napisała, nawiązując do modnego koktajlu podawanego w lokalnych barach - to prawdziwy oksymoron. Kiedy oglądam *Stąd do wiecz-*

ności, myślę jedynie o piasku w jej majtkach"). Nawet Ray nie mógł przekonać Georgii, żeby tam wychowywała dziecko. Gordon wyobrażał sobie, jak by to było teraz, gdyby musieli pojechać tam, zabrać do domu Keefer i wszystkie jej rzeczy.

Zamknął drzwi i przejechał kilka przecznic do swego mieszkania. Swego matecznika. Swojej dziupli. Otwierając drzwi, rzucając się na kanapę, wyobraził sobie Georgię mówiącą: „Pamiętasz, jak chciałeś zrobić wrażenie na panience, a nie mogłeś na czas wrócić do domu, więc wysprzątałam ci całe mieszkanie, nawet nastawiłam własny kompakt, i to mimo że byłam w ósmym miesiącu?”.

To była jedyna rzecz, jaką mógł powiedzieć na pogrzebie. Małżeństwo ją przeobraziło. „Udomowiło” dziewczynę, która przedtem często kupowała kieckę po drodze na imprezę i przebierała się w samochodzie. Stała się ukochaną żoną, która nie tylko gotowała, ale i piekła chleb na zakwasie, która nie tylko sprzątała, ale ręcznie pokryła całą ścianę pikowaną tkaniną. Zaczęła interesować się przerabianiem, zarówno swego brata, jak i własnego mieszkania. Gordona, który nigdy nie miał więcej niż dwie pary butów, w tym jedną do biegania, który co roku kupował i znaszał identyczne cztery pary sztruksowych spodni Land's End, zabierała do sklepów i zmuszała do kupowania luźnych spodni, włoskich butów, czy materaca z poduszkami, leżącego na specjalnej ramie, a nie wprost na podłodze. Za jej sprawą poczuł się jak bezrobotny włóczęga, żałosny stary kawaler z jedynym zestawem sztuców, gitarą, rowerem opartym o stojący w salonie aparat do nurkowania, i z nieoprawionymi podwodnymi zdjęciami Cod Hole na Wielkiej Rafie Koralowej, przypiętymi pinezkami do ściany.

Nigdy tak naprawdę jej nie podziękował. Wręcz udawał, że to on robi łaskę, pozwalając jej, pod nieobecność Raya rozładowywać nadmiar hormonów na biednym, samotnym braciszku.

Teraz uświadomił sobie, że w ciągu tych kilku miesięcy po ich przeprowadzce do Tall Trees, zanim urodziła się Keefer i nowe życie zderzyło się z nowym zagrożeniem, wreszcie się zrównali, bo wcześniej jedno zawsze wrywało się do przodu, oglądając się wstecz, a wtedy drugie przeganiało to pierwsze i samo szło naprzód. Po powrocie do domu szli ramię w ramię, tuż obok siebie.

Dzięki temu niemal wybaczył jej, że dorosła. Tak szybko i bez niego.

A teraz znowu wyrwała się naprzód. Też bez niego.

Zadzwoił telefon. Gordon uświadomił sobie, że prawie zasypiał.

Pozwolił mu dzwonić. Na taśmie znajdowały się dwadzieścia trzy nieodsłuchane wiadomości, kilka nagrało się, kiedy już wszedł do mieszkania. Kobiety, kuzyn Dan. Paru uczniów, co go głęboko wzruszyło, i trzy wiadomości od Tima, któremu się zdawało, że powinien przyjechać, bo inaczej Gordon się zabije.

- Cześć - powiedział wolno jego własny głos odbierający telefon, jego własny głos gotów na wszystko. - W zależności od tego, kim jesteś, zostaw wiadomość albo dla Gordona, albo dla pana McKenny, jeśli można prosić - bez życiorysu.

Pokój wypełnił się niespokojnym głosem Lindsay.

- Gordon? Gordo? To ja. Rozumiem, że cię nie ma, ale gdybyś mnie potrzebował...

Lindsay pomogłaby mi to napisać, pomyślał. Lindsay i Georgia były przyjaciółkami jeszcze z dzieciństwa. Podniósł słuchawkę i nic nie powiedział.

- Gordo? Czy to ty?

Nikt nie mógł mu pomóc. Odłożył słuchawkę i znowu odpłynął.

Ojciec przespał dwanaście godzin potem, gdy zidentyfikował Raya i Georgię.

Gordon zaoferował się, że zrobi to zamiast niego, ale po gozinnym namyśle Mark sam pojechał do kostnicy.

Wszystko, co widział, jak powiedział Gordonowi - a powiedział mu niechętnie - to kolorowe powiększenie lewej ręki Georgii, z zaręczynowym pierścieniem z zielonym brylantem, bladej i bez znaków szczególnych z wyjątkiem dużej blizny w kształcie sierpa, jaką miała od wczesnego dzieciństwa, kiedy to wojowała z młotkiem do krokietu i złamała go. Potem, łagodnie oświetlona za szkłem, pokazali mu tę stronę twarzy Raya, która była w miarę nietknięta. Resztę głowy i ciała Raya spowijały czyste prześcieradła.

- Ale widać było, że z kształtem jest coś nie tak - przyznał Mark. - Staralem się nie przyglądać zbyt uważnie, bo nie chciałem go tak zapamiętać. Chyba nie powinniśmy nigdy mówić Keefer o tym.

Przyśniła mu się Lindsay: klęczała obok łóżka, a jej długie, rude włosy łaskotały go w policzek.

To była Lindsay. Była tu. Gdzie on jest? Gordon uświadomił

sobie, że wreszcie z rozpaczy zapadł w sen i że słońce stoi już nisko. Usiadł, ociekający potem, zmarznięty.

- Co się dzieje? - spytał. - Jak się tu dostałaś?

Lindsay usiadła na piętach; brzoskwiniowa letnia sukienka bez rękawów okryła jej kolana jak parasol.

- Twoja mama dała mi klucz - odparła. - Nie odbierałaś telefonów. Śmiertelnie ją tym wystraszyłeś, Gordon. Mnie też.

Przyniosła mu jedzenie. Sałatka z szynki i makaronu, deser z jogurtu. Zjadł z wdzięcznością, żarłocznie; choć raz jej troska sprawiła, że poczuł się wdzięczny, a nie prowadzony na sznurku. Wziął prysznic, podczas gdy ona siedziała na zamkniętym sedesie i czytała mu na głos notatkę pośmiertną; stwierdziła, że na wyrowadzenie zwłok spokojnie może włożyć koszulkę bawełnianą i płócienną marynarkę. Jego ojciec w obecnym stanie umysłu nie zauważył braku krawata. W końcu, powiedziała, wszyscy wiedzą, że on ma tylko jeden garnitur, a ten przeznaczony jest na pogrzeb. Kiedy się ubrał, Lindsay siadła za kierownicą, a jemu przyszło do głowy, że później znajdą się tutaj sami, we dwoje, w nocy, chyba że on wymyśli jakiś pretekst, na przykład, że musi jechać do domu z rodzicami, co uchroni go przed łóżkiem z Lindsay, gdzie właściwie powinien być - a w ogóle to był niewdzięcznikiem, że chciał od niej uciec; poza tym ona wyglądała cudownie, znajomo cudownie, i nie mógł nie zauważyć paska czystej bieli stanika, widocznego w wycięciu rękawa. Zastanawiał się, jak wiele z tego, co czuł do Lindsay, zawdzięczał jej stałości i jej oddaniu. Może wreszcie to ustali raz na zawsze. Wciągnął tę kwestię na listę spraw do załatwienia.

Kiedy wjechali na szczyt wzgórza pod miastem, gdzie w niewielkim parku na skraju lasów, ciągnących się w stronę Tomahawk, mieli swój zakład Chaptmanowie, zdumiał się: samochody stały po obu stronach drogi na odcinku pół mili. Były tam dwa wozy telewizyjne z przenośnymi talerzami satelitarnymi, przypominającymi odwrócone maski do hokeja. Lindsay musiała zahamować, żeby przepuścić ludzi spieszących przechodzących przez drogę, jakby szli gdzieś na aukcję czy na koncert, tam gdzie wypada przybyć wcześniej.

Gordon oparł ramię na tablicy rozdzielczej i ukrył twarz.

- Co ci jest? - zaniepokoiła się Lindsay, biorąc go za rękę. - Żle się czujesz?

Potrząsnął głową, nie dowierzając własnemu głosowi.

- Dziwisz się... nie myślałeś, że aż tyle osób ją kochało?

Nie, pomyślał, ściskając jej rękę, dobrą, solidną rękę, tak jak później tej nocy będzie trzymał jej chłodną, nagą talię w obu dłoniach, czując małe piersi z zadziwiającymi, dużymi sutkami niczym kwiaty echinacei wtulone w jego pierś i nie będąc w stanie w swoim bólu i wdzięczności żałować, że zaczął to, czego nie powinien był zaczynać... Nie, pomyślał. Nie przypuszczał, że cała sprawa tak daleko zajdzie.

I że nastąpi to tak szybko, tak szybko, że wciąż chwiał się, nie mogąc stanąć spokojnie w miejscu i dokonać analizy lęków i wątpliwości, uwalniających się jak małe kamyczki spadające z kruchości skalnego zbocza.

Od tej nocy nie będzie mógł liczyć na siostrę, że zapełni jego życiową pustkę. Trzeba będzie wrócić do ignorowanych dotychczas telefonów albo żyć samemu. Samemu z rodzicami i z Keefer; wieść życie, jakiego nigdy nie planował.

Dorośnie z konieczności. Nie przyjmie propozycji z Tortoise Tours i nie pojedzie z nimi na roczny urlop naukowy czy choćby na lato. Dopiero gdy się zestarzeje. Nigdy nie będzie włączył się z uczniami, wciąż umiając rzucić *frisbee* dalej i podciągnąć się na framudze drzwi więcej razy niż oni. Będzie miał znacznie więcej na głowie niż dotąd. Będzie pędził ze szkoły do domu, tak jak Chris Ebbets i Mary Hermanson i wielu innych, znanych mu... rodziców.

Nigdy już nie będzie wolny. Było to potwornie samolubne, ale wyobrażał sobie powrót do dawnych nawyków po śmierci Georgii. Tęsknił do nich.

Tymczasem nie odzyska już dawnego życia. Ono nie zostało zawieszona. Skończyło się tego dnia, kiedy jego siostra zachorowała.

Co gorsza, nie chciałby go z powrotem, nawet gdyby mógł je odzyskać.

To było głupie życie. Życie, które cieszyło go najbardziej, gdy o nim opowiadał. Jego publiczności już nie ma. Jego publiczność została śmiertelnie zbawiona.

Mógłby być znowu szczęśliwy; czuć radość, kiedy Keefer nauczy się chodzić. Mógłby się zakochać. Z pewnością się zakocha. Ale nigdy, nigdy więcej nie będzie to niewinne, chłopiące szczęście. Zawsze będzie naznaczone. Tym.

Gordon nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo hołubił w sobie tę część, która czasami pozwalała mu czuć się prawdziwie beztrosko.

Georgia by go zrozumiała, ponieważ, choć sama nie była prawdziwie beztroska, lubiła to u niego. Nigdy tak naprawdę nie wypowiedziała tych słów, więc w myślach wyobraził sobie, jak ona je mówi, swoim głosem. Wciąż pamiętał jej głos. Pamiętał:

Bardzo to lubię w tobie.

Po czym dodała, ponieważ Georgia nigdy nie zostawiłaby podobnie ckliwej wiadomości: inaczej nie wytrzymałabym z tobą.

Kiedy oboje z Lindsay wysiedli z samochodu, wpadł w niedźwiedzi uścisk energicznej kobiety. Delia. Nie poznał jej. Podobnie jak jej córki, obecnie niemal tak dużej, że mogłaby być jego uczennicą. Wilgotna chmura ciężkiego zapachu perfum Delii spowiła go całkowicie. Kiedy Delia go puściła, dziewczynka wyciągnęła do niego rękę w dystyngowany sposób.

- Jestem Alex - powiedziała. - Byłam na ślubie. Przykro mi z powodu pana siostry. Georgia była super.

Gordon miał ochotę pogłaskać ją po głowie, ale była za duża. Zatem tylko uściśnął jej rękę.

Kiedy doszli do żywopłotów przy wejściu, do Gordona podszedł mężczyzna z wyrazem zażenowania na twarzy. Coś było w tym człowieku znajomego. Kolega taty? Nie, to ojciec ucznia. Jak się ten mały nazywał... Jules? A tymczasem mężczyzna już przeproszał.

- Wiem, że nie powinienem rozmawiać z panem w takiej chwili, mało tego, ja w ogóle nie powinienem z panem o tym mówić. Ja... widzi pan, spotkałem się z. pańską siostrą i jej mężem...

- Muszę teraz wejść do środka - powiedział łagodnie Gordon, świadom, że Lindsay delikatnie ciągnie go za ramię. Dostrzegł w holu matkę, obejmującą ramieniem ciocię Daphne.

- Jestem prawnikiem - ciągnął mężczyzna. - Oto moja wizytówka. Muszę porozmawiać z rodzicami pana Nye'a o testamentcie. O notatkach, jakie sporządziłem. Sprawa nie została sfinalizowana. Umówiliśmy się na piątek. Z obojgiem. Pomagałem przygotowywać Rayowi... jego... ich... nie miałem pojęcia, że tak się to wszystko skończy, ale zakładam, że pańska rodzina będzie w stanie dojść do porozumienia... chciałem uprzedzić najpierw pana... całkiem prywatnie, ponieważ był pan nauczycielem mojego syna...

- Julesa - odpowiedział Gordon.

- Juliusa - poprawił adwokat. - Chodzi teraz do Platteville. Gra w koszykówkę. Raczej nie zdobędzie stypendium Rhodessa, wie pan*. Ale ma zamiar studiować nauki biologiczne. Może będzie nauczycielem albo trenerem?

- Mam testament mojej siostry - wyjaśnił Gordon. - Ray i Georgia omówili wszystko ze mną.

- Unieważnili ten testament - odparł prawnik. — Kilka tygodni temu.

Gordon odwrócił się do Lindsay.

- Nie mów nic mamie - poprosił.

5

Dale Larsen oparł się o tylną ścianę kościoła, skąd mógł obserwować wszystko bez poczucia, że jego mundur może się wydać nie na miejscu. Pogrzeby należały do tych obowiązków, które po prostu lubił. Jechał na czele kawalkady żałobników, w srebrnym samochodzie patrolowym, świeżo umyтым, z niebieskim światłem na dachu, cicho obracającym się na wolnym biegu. Powoli mijali wszystko, co wchodziło w skład ostatniej drogi: szpital, szkołę, park, strumień, Wilde Rose i Zakład Napraw Elektronicznych Soderberga oraz Noon Buffet - miejsca noszące znamiona życia; był to sposób okazywania szacunku.

Nie uważał tego za łatwy obowiązek, pod żadnym względem. Dale bardzo szanował cudzy ból.

Nawet mniej się bał obezwładnić pijaka niż stanąć oko w oko z bólem, bólem tak gwałtownym, że zdawać się mogło, iż nawet czas go nie uleczy. Jak wtedy, gdy dzieciaki Redmondów zginęły przez tego żałosnego pijacznę Collmsa. Redmondowie jechali do Smart Mart po popcorn do mikrofalówki, kiedy Collins - zataczając się po przeprawie przez dwa łózka i trzy bary - stoczył się na samo dno. Albo ten okropny pogrzeb Davida Abela, który właśnie dostał stypendium do Madison; przeokołkował pięć razy w swoim jeepie, wracając do domu z popijawą w Two Chimneys. Jedy-

* Stypendium umożliwiające dwu- lub trzyletnie studia na uniwersytecie w Oksfordzie.

ne dziecko Debbie Abel. I trzech inni chłopcy, wszyscy dobrzy chłopcy.

Jego córka, Stephanie, była z nimi na przyjęciu. Ona też mogła znaleźć się w tym samochodzie. Stephanie, która wówczas rzadko była trzeźwa na tyle, by rozpoznać kluczyki do samochodu. Stephanie lub Georgia, tylko że Georgia nigdy nie wyzywała losu.

Larsen przyjrzał się niosącym trumnę: Kipowi Sweeneyowi i Patowi Chaptmanowi oraz najmłodszemu z braci Upchurchów, temu łobuzowi Timowi czy Tomowi. Wysoki chłopak z grzywą blond włosów, mówiący z południowym akcentem, to kumpel Raya z Florydy. I był też kuzyn Craig... szeryf pamiętał go niewyraźnie jako ojca chrzestnego Keefera. I Gordie. Gordie pomagał nieść sklezione wysoko trumny siostry i brata. Wyglądał jak uczeń ubrany na maturę, w porządnym szarym garniturze.

Jak jedna rodzina może znieść tyle ciosów?

Ksiądz Victor Barry zazwyczaj tryskał taką energią, że Larsen często powtarzał żonie, iż jest on doskonałą reklamą dobrego zdrowia, będącego skutkiem celibatu. Ale dzisiaj jego rytualne ruchy były roztargnione i powolne; wyglądał na swoje osiemdziesiąt lat. Mówił o ironii życia.

- Spodziewaliśmy się straty - powiedział, nawiązując do choroby Georgii. - Ale to, przed czym stajemy dzisiaj, jest niespodziewane i miażdżące. Dziecko straciło oboje rodziców. Dwie rodziny straciły dzieci. Ciężko to nawet sobie wyobrazić. „Boże, mój ból jest tak wielki, że nie mogę go znieść”. Jakże trudno patrzeć na tak straszliwe nieszczęście, jak na wydarzenie zesłane przez miłosiernego Boga. Prawda jest taka, że nie możemy, że nie wolno nam winić za to Boga. Jeżeli Bóg jest tutaj - a wierzę, że jest - to także po to, by nas wszystkich pocieszyć, jak kochający ojciec pociesza dziecko, które cierpi, mimo najlepszych starań rodziców, by to dziecko ochronić...

Ksiądz Barry spojrział na Lorraine, która odwróciła twarz. Dziecko wdrapało się jej na kolana i zasnęło z paluszkami w buzi.

- „Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.... ” Ofiarujemy nasze ciche modlitwy w intencji pociechy, której wszyscy jesteśmy spragnieni.

Stephanie była tam z Sheilą i ich najmłodszą córką Triną. Szepotała coś do tej słodkiej dziewczuszki, która stała za barem w Wild Rose, Katie Savage, najdrobniejszego i najskuteczniejszego wyki-

dajły w Ameryce. Mógł się domyślić, o czym szeptają. Stephanie była w ciąży, ale jeszcze nic nie było widać; zeszłej nocy zapewniła ojca, że to naprawdę oznacza, iż ona i Devon, chłopak, z którym żyła, mają zamiar się pobrać. Jego przyszły zięć pochodził z jednej z dwóch portorykańskich rodzin w całym północno-zachodnim Wisconsin - Stephanie zawsze będzie się wyróżniać, niezależnie od tego, jak bardzo będzie się starała znaleźć dziewczynę, którą ruszy z posad bryłę świata. Devon był dobrym chłopcem. Wszyscy za nim przepadali.

Jego wnuk będzie Latynosem.

Stephanie.

Kiedy skończy szkołę, obiecywała, zajmie się terapią za pomocą sztuki. Odwiedziła w swoim życiu tyle poradni, że prawdopodobnie nie umiała już żyć bez szaro-różowych wnętrz poczekalni, w których wyłożone są najnowsze numery czasopism.

Pod koniec nauki Stephanie miała więcej dziur w uszach niż włosów na głowie, wdzięcznie ufarbowanej w drobny wzorek. Georgia ustatkowała się po tragedii Abela, ale Stephanie nadal trzymała się dzielnie, stale sprowadzając do domu zbieraczy truskawek i jeźdźców rodeo. W wojskowych butach i w kupionym w ciucholandzie stroju kelnerki, rozpiętym tak głęboko, że było widać czarny koronkowy stanik, Stephanie wyglądała jak chodzące zagrożenie chorobą weneryczną. Dale widział to na twarzach innych członków Klubu Rotarian, kiedy mijali się na ulicy. Tymczasem chłopcy z Booster Club, którzy mieli wybierać Miss Szkoły, zmówili się i postanowili zrobić złośliwy kawał, wybierając Stephanie, mimo że logika nakazałaby wybrać Georgię - duszę każdego zebrania towarzyskiego, przez cztery lata pełniącą funkcję sekretarza samorządu uczniowskiego, pracującą w szpitalu jako wolontariuszka, czwórkową z plusem uczennicę i uczestniczkę każdej udanej imprezy. Stephanie, zmieszana i upokorzona, zaprzysięgła zemścić się, wkładając na bal czarny negliż, pod którym nie miałyby nic. I wtedy w sobotę wpadła Georgia i oznajmiła, że idą po zakupy. Nastąpiły dni wypełnione licznymi telefonami, szelestem plastikowych toreb, wnoszonych do domu Larsena przy Merril Street i wynoszonych z domu na farmę Nory Nordstrom, dokąd dziewczęta udawały się po pomoc przy szyciu.

W wieczór balu absolutnie nikt, nawet żona Dale'a, nie miał wstępu do pokoju Stephanie. I wreszcie obie panny się pokazały:

Georgia, rozczochrana i zaczerwieniona, ubrana była w szorty z obciętych dżinsów i koszulkę bawełnianą. („Przebiorę się później - powiedziała Sheili. - Nie ja mam zostać miss”).

Stephanie wyglądała jak młoda Audrey Hepburn. Nie miała na sobie żadnej błyskotki, z wyjątkiem maleńkich perełek w uszach, a długa do kostek ciemnoniebieska suknia bez ramiączek otulała jej szczupłą figurkę jak cukrowy rożek skrywa różowy sorbet.

- Kupiliśmy ją w ciucholandzie! - wykrzyknęła Georgia. - Czyż nie jest przepiękna? Czy nie jest genialna? Kosztowała... ze trzydzieści dolców! I spójrzcie na to! Spójrzcie!

Na krótkich, gładko przyczesanych włosach Stephanie, przefarbowanych na jej naturalny, ciemnobrązowy kolor, spoczywał diadem.

- Nieźle, co?! Kupiliśmy ślubny stroik i odczepiliśmy wszystkie sztuczne kwiatki, a więc Stephanie nie będzie musiała wkładać tej ohydnej tiary ze sztucznymi brylantami, którą w szkole wciskają człowiekowi na głowę! Wygląda jak Francuzka! Czyż nie jest piękna?

- Jest... jest niezemska - westchnął Dale, a Sheila nie była w stanie wymówić ani słowa, tak płakała.

Od tego czasu nastąpiła poprawa. Ludzie zachwycali się nową Stephanie, a ona nie pozostawała obojętna. Zaczęła nosić duże okulary przeciwsłoneczne i białe koszule Dale'a narzucone na kupione w tanim sklepie spodnie do jazdy na rowerze: po dziesięciu latach takie spodnie wróciły do łask. Posypały się też nagrody z zajęć plastycznych.

Dale Larsen wiedział na pewno, że reporter z „Messengera” uzyskał skądś informacje o całej tej historii z wyborem miss i usiłował nakłonić Georgię i Stephanie do zwierzeń.

Wiedział też, że Georgia odmówiła wywiadu. Wolałby nigdy nikomu nie tłumaczyć, dlaczego, ale czuł, że to Georgii zawdzięcza życie córki.

Oczy księdza Barry'ego poczerwieniały. Mówił o chrzcinach Georgii, o ślubie, o chrzcie Keefer, obchodzonych uroczystości przy tym samym ołtarzu, przed którym stały teraz obok siebie dwie trumny.

- Nie potrafię dać wam odpowiedzi, które by zaspokoiły pragnienie waszych serc. Zaiste, żadna odpowiedź nie zadowala mnie samego. Pamiętam, jak Georgia powiedziała mi przed chrztem, że

choć jej własne drugie imię pisze się przez dwa „f”, jak nazwisko wielkiej artystki*, imię jej dziecka będzie przez jedno „f”. „Proszę księżda - powiedziała. - To drugie „f” i tak jest nieme”. Już wtedy była chora, a mimo to jej pogoda ducha była wręcz niezwykła.

Tuż po chrzcinach, wspominał Dale Larsen, odbyła się wielka golfowa impreza charytatywna, z której dochód przeznaczono na walkę z rakiem; specjalnie przyjechał z daleka i wziął w niej udział sam mistrz, Andy North. W „Messengerze” pisano o ryzyku dziedziczności i samokontroli piersi. Do tego czasu rozeszły się drogi Larsenów i McKennów, jako że Georgia i Stephanie stały się dorosłe. Zerwał się związek, który przez krótki czas był niczym lina ratunkowa w ciemnej wodzie, ale potem okazał się czymś wstydliwym, o czym należało zapomnieć. Dale nadal od czasu do czasu zapraszał Marka na męskiego pokera, mimo że był chyba najbardziej kiepskim graczem, z jakim Dale kiedykolwiek siedział przy stole. I to wszystko.

Od tamtego dnia na moście Dale nie sypiał dobrze. Nawet myślał, że może już pora, po dwudziestu latach pracy, przejść na emeryturę i otworzyć sklepik dla wędkarzy. Żona kiedyś mu powiedziała, że płakał przez sen, głośno nakazując Georgii i Stephanie, by natychmiast wracały. Przez dwie noce z rzędu po zakończeniu zwykłego patrolu policyjnego wychodził z domu i udawał się do Triny, najmłodszej, która miała dziewiętnaście lat i właśnie dostała jedno z tych maleńkich mieszkańek w stuletnim budynku, w którym mieścił się sklep Wiltona i Gloria's Finer Designs. Po kilkunastu latach niewiele ścian w Tall Trees pozostało dla niego nieprzezroczystych. Znał dobrze drzwi, które otwierały się co rano przed eleganckimi dyrektorami, a na które „przypadkiem wpadały” żony, rozcinając wargi i barwiąc kości policzkowe na kolor ametystu. Wiedział, który młody ojciec powinien znaleźć się w więzieniu. I do czego nie doszło tylko ze względu na wstyd, jaki spotkałby nieletnią nastolatkę, której matka znalazła oboje w śpiworze w Two Chimneys. Wiedział, że stary kawaler Hal Fry otruął collie państwa Leahy, że córka Weldonów urodziła dziecko w domu w łazience, dziecko, które on razem z zastępcą szybko zawieźli do szpitala w Wausau. Miasto było częścią jego samego,

* Georgia O'Keeffe (1887-1986) - znana amerykańska malarka.

a on był jego stróżem. Tkwiła w tym jakaś wiedza tajemna, wycucie jak w palcach chirurga, rozeznanie, która domowa awantura kwalifikuje się do rozpoczęcia działań prawnych, a którą należy zostawić w spokoju.

Wielokrotnie zostawiał w samochodzie światła zgaszone i prze-mykał się obok domu przy Cleveland Avenue. W ciągu długich miesięcy choroby Georgii mógł powiedzieć na podstawie układu światła, co dzieje się z jego domownikami. Światło palące się w pokoju Georgii było czymś zwyczajnym. Gdy świeciło się w kuchni, znaczyło, że siedzi tam Lorraine. Jeżeli lampka do czytania Marka była zapalona, domyślał się, że noc jest niedobra. Liczył wezwania karettek, samochody krewnych parkowane nocą w monotonnym porządku: strona parzysta-nieparzysta. Nie wiedział, co mógłby zrobić, więc tylko obserwował.

- Znałem kiedyś jedną dziewczynkę - mówił ksiądz Barry - która miała czytać na mszy. Nauczyła się na pamięć psalmu dwudziestego trzeciego. Wstała i pewnym siebie głosem zaczęła: „Pan mym pasterzem...” i zacięła się. Spróbowała ponownie. „Pan mym pasterzem...” I nie mogła sobie przypomnieć, co dalej. Spojrzała na zgromadzonych wiernych i powiedziała: Może właśnie na tym powinniśmy zakończyć...

Gordon zajął miejsce księdza przy ołtarzu i zaczął poprawiać mikrofon.

Lorraine zaniepokoiła się widokiem syna. Gordon wyglądał strasznie. Zaczerwienienie pod oczami było jedynym kolorem na twarzy, dziecięce blond włosy nosiły mokre ślady grzebień. Przypomniła jej tego ośmiolatka, który po upadku z domku na drzewie znalazł się z otwartym złamaniem w nieprzyjaznym świetle gabinetu lekarskiego. („Ależ z ciebie mały łamacz serc”, powiedziała przymilnie pielęgniarka, a Georgia, znudzona tym, że całą uwagę dorośli poświęcają jej bratu, odparła: „Nie, to jest łamacz rąk”).

Gordon zaczął spokojnie.

- Staję przed wami, żeby powiedzieć parę słów o Georgii O'Keeffe McKenna Nye, mojej... mojej siostrze, która była dobrym człowiekiem. I pragnę zacząć od przeczytania fragmentu dziennika, jaki prowadziłem podczas jej choroby. To nie będzie

długi fragment. - Otworzył zielony kołonoatnik. - Napisałem: „Zaczynam ten pamiętnik czy dziennik, czy dokumentację, czy cokolwiek to będzie, siedząc przy łóżku Georgii w Centrum Medycznym Clarka przy Uniwersytecie Stanowym Minnesoty rano trzeciego kwietnia. Po drugiej stronie jest Ray. Leży na małym wąskim łóżku. Jego wielkie stopy zwisają z brzegu łóżka, a on sam stara się wykorzystać na krótki sen tę chwilę wytchnienia, jaką dał Georgii ostatni zastrzyk morfiny. Timmy Upchurch siedzi w poczekalni na kanapie". Tim - Gordon podniósł głowę i przeszukał wzrokiem ławki - Tim był z nami cały czas. A więc czytam dalej. „Słyszę, jak zmęczone płuca Georgii próbują wciągnąć powietrze, mimo dręczącego je kaszlu. Kaszle co dziesięć - piętnaście minut. Musiałem udawać, że tego nie widzę, udawać, że się z nią zgadzam, kiedy ze względu na rodziców mówiła: «Czuję się dziś lepiej». Ona nie jest naiwna, ale ta cholerna choroba pokonała nawet jej cyniczny dowcip. Widzę, jak z jej ust wyrwa się jęk. Ale słynny uśmiech Georgii pozostaje niezmieniony. Jedyne, czego pragnie, to wrócić do domu i znowu wziąć na ręce Keefer. Nie chce, żeby Keefer widziała ją tutaj. Myśli, że to przestraszyłoby dziecko. Ale chyba nic, co wiąże się z Georgią, nie jest w stanie wystraszyć Keefer. Wątpię, żeby Keefer zauważyła cokolwiek poza uśmiechem matki. Kiedy przyjechaliśmy tutaj, zanim Ray wróci do domu, pielęgniarka w izbie przyjęć spytała mnie, czy zęby Georgii są sztuczne, są tak idealnie równe. Georgia jest najdzielniejszą kobietą, jaką znam. Myślę, że jest jedną z najdzielniejszych kobiet na świecie... "

Gordon odłożył notatnik.

- Nie mogę powiedzieć, że moja siostra była osobą wyjątkową dla całego świata. Na to zabrakło jej czasu. Ale była wyjątkowa dla mnie. Była wyjątkową żoną dla Raya, znosząc jego ciągłe wyjazdy, na co inne żony na pewno by się uskarżały. Była bardzo dumna z niego. My byliśmy bardzo dumni z niej.

Diana Nye rzuciła okiem na Lorraine. Musiała odwrócić wzrok, inaczej zaczęłaby krzyzczeć.

W wyglądzie Lorraine, z wyjątkiem szarego prążkowanego kostiumu, który właściwie nie był kostiumem, i szarych rękawiczek z kożłęczą skóry - rękawiczki! w czerwcu! - nie dostrzegła żadnej

różnicy; Lorraine prezentowała się tak jak każdego innego dnia. Nie miała na sobie ani cienia makijażu, a włosy chyba czesała po ciemku. To zwykły brak szacunku, pomyślała Diana, wbijając wzrok w leżący na kolanach śpiewnik z hymnami.

Nieładnie z jej strony, że to zauważyła. Niewdzięczne to i nie-miłe. Georgia była ich dzieckiem. Na pewno czują to co ona, wszystko, co czuje się w takiej chwili. Ale nigdy nie zrozumieją tej istoty, wyjącej wewnątrz Diany. Nawet duży Ray nie był w stanie pojąć bólu matki, która budowała ciało swego dziecka, nosiła dziecko w sobie, tuż pod sercem, czuła, jak drga, jak się porusza, jak rośnie... nie ma takiego demona, który by potrafił stworzyć inną istotę. Ta śmierć była zbrodnią przeciwko stworzeniu. Keefer Kathryn, ich pociecha, wygląda tak słodko w białej sukience haftowanej w stokrotki, którą z Rayem przywieźli dla niej, i w małych białych lakierkach. Dziewczynka nie chciała włożyć pasującej do sukienki opaski na włosy; cztery razy Diana wsuwała ją na jej głowę i cztery razy Keefer ściągała opaskę gwałtownie, powtarzając „nie, nie!” W końcu tak się rozzłościła, kiedy Diana zaczęła jej powtarzać, żeby włożyła śliczny kapelusik dla mamusi, aż duży Ray jej przerwał. Miał rację. Czasami okazywał się naprawdę mądry. Za to ona - jak sama świetnie wiedziała - często zbyt wielką wagę przywiązywała do wyglądu. Shelby twierdziła, że Diana skupia się na utrzymywaniu porządku na zewnątrz, żeby nie zawracać sobie głowy wewnątrz. I Shelby prawdopodobnie miała rację.

- Oni po prostu jej nie stroją, mamó - powiedział kiedyś Ray. Cóż, pomyślała Diana, trudno. Biedni ludzie mieli inne sprawy na głowie niż przejmowanie się garderobą malucha. Diana powinna była przyjechać, kiedy Georgia zachorowała. Powinna była, ale Lorraine zachowywała się tak sztywno, tak odpychająco; McKennowie odgradzili Georgię do tego stopnia, że nawet Ray czuł się wyłączony. A jednak dokonali... niemożliwego. Musiała im to przyznać. Diana nie mogła tego pojąć, podobnie jak trudno byłoby jej wyobrazić sobie swoją smukłą, gładką Alison, ulegającą coraz większej degradacji.

Keefer była płochliwa jak zając. Duży Ray wniósł ją do kościoła i usiedli w pierwszej ławce, ale gdy mała zobaczyła Lorraine, popędziła w poprzek nawy prosto na jej kolana. Przebiegła tuż przed konduktem niosącym trumny. Spójrzcie na Keefer Kathryn,

pomyślała Diana. Wypisz wymaluj Raymond jako dziecko: duża, różowa i silna. Georgii w ogóle nie widać w tej mieszance. Raymond mógł przebierać jak w ulęgałkach; telefon dzwonił bez przerwy, młode, piękne dziewczęta, późniejsze miss piękności, dziennikarki, modelka Rainy Kittredge... Dianie nawet przyszło do głowy - niech jej Bóg to wybaczy - że przynajmniej miał szansę zacząć życie na nowo, kiedy już by było... po wszystkim.

Georgia nie miała ochoty na kontakty towarzyskie z innymi żonami graczy i oczekiwała, że Raymond będzie siedział w domu i grał z nią w scrabble. Natomiast jego rodzice uważali, że powinien się pokazywać w towarzystwie ze względu na swoją karierę. W końcu zresztą zdecydował się zrobić przerwę w robieniu kariery, bo chciał skończyć college, zostać z Georgią, choć mógł wyjechać i zająć się, czym powinien, a to po prostu oznaczało, że musiał bardziej się starać. Zupełnie jakby Georgia uważała talent Raymonda za posadę, którą można w każdej chwili rzucić. A przeprowadzka tutaj była ostatnią kroplą przepełniającą czarę goryczy. Załatwiło to Raymonda, dokładnie go załatwiło. Ona i Ray osobiście wierzyli, że Raymond uplasowałby się wśród pierwszych trzech, a już na pewno wśród pierwszych dziesięciu graczy Knockout w ciągu dwóch lat lub nawet wcześniej, gdyby Georgia się nie uparła, żeby natychmiast, od razu, mieć dziecko. Zawiadamiając ich o tym, Raymond uśmiechnął się z rozmarzeniem i dodał, że tak wyszło, mamó, widocznie tak miało być. A potem Georgia zamęczała Raymonda, że po narodzinach dziecka musi być ze swoją matką.

Gracze turniejowi nie mieszkali w Wisconsin. Nie mieszkali w miasteczkach, gdzie były trzy knajpy, jedno tylko pole golfowe prowadzone przez jakąś katolicką instytucję czy coś w tym rodzaju oraz tor gry twardy i łysy jak park aligatorów.

A teraz jej syn miał spocząć w tej zimnej ziemi.

Diana już go nie ochroni. Chciała walić pięściami w brzydkie ściany kościoła, który wyglądał jak pawilon myśliwski... tylko głowy łosia tu brakowało... walić pięściami w tych kanciastych, tłustych ludzi z ich bezbarwnymi, nieśmiałymi głosami i ich brzydkimi ciemnymi ubraniami. Był tu taki samotny! Słyszała to w jego głosie.

Odkąd po raz pierwszy dojrzeli cud w Raymondzie, kiedy miał jakieś sześć czy siedem lat, chronili go tak, jak się chroni rzadki

pęd orchidei. Neurologiczne dolegliwości, przez które Diana po raz pierwszy trafiła do Shelby; migreny, przesywające bóle w biodrach i w nogach, z powodu których duży Ray musiał czasem brać ją na ręce i wkładać do wanny - o tym Raymond nic nie wiedział. Nie wiedział nic o szaleństwach wieku średniego dużego Raya, o jego „asystentce”, tej pindzie z Apalachicola, o nocach, podczas których obie z Shelby jeździły po South Street, i czekały w ukryciu na placu zabaw dla dzieci, aż lincoln dużego Raya wjedzie na parking przed apartamentem tej kobiety; wtedy wyskakiwały i szybko robiły zdjęcie małym aparatem. A potem jazda do domu Caroline i wypicie całej butelki nyquila. Raymond Junior nic o tym nie wiedział. I nie powinien wiedzieć. Miał talent, a talent wiąże się z odpowiedzialnością, która każe go stawiać na pierwszym miejscu.

Gordon trzymał rękę w górze, jakby prosił tłum o cierpliwość. Diana widziała łzy w jego oczach.

Był tylko chłopcem.

To nie była wina Gordona. Gordon kochał golfa. Kochał Raya. I nie była to też wina Georgii. Georgia była samym dobrem. Delia i Georgia bardzo się do siebie zbliżyły. Delia kupowała lekarstwa, których Shelby nie mogła przysłać: heksaforan i inozytol. Delia i Craig przyjeżdżali w odwiedziny, starali się urządzać pikniki na plaży, takie jakie organizowali sobie na Florydzie; usiłowali podnieść Georgię na duchu.

Lorraine stała teraz, kołysząc dziecko i kiwając głową do Gordona. W kościele było tak gorąco i tak intensywnie pachniało kadzidłem, że Diana czuła się, jakby ktoś przycisnął jej do twarzy brudną gąbkę. Gdyby Raymond nie zadzwonił do nich, zrozpaczony, w zeszłym tygodniu i nie wyznał im wszystkiego, nie dowiedzieliby się nigdy, jak bardzo Georgia, Lorraine i Mark naciskali, żeby na opiekuna prawnego Keefer wyznaczył McKennów. Zupełnie jakby Keefer nie nazywała się Nye, jakby Nye'owie w ogóle nie istnieli. Gdyby duży Ray nie pomógł Raymondowi znaleźć prawnika, mogliby stracić Keefer na zawsze. To jedno trzymało Dianę przy życiu. Dziecina była dla nich promyczkiem słońca. Rozchmurzyła się od razu, kiedy wrócili do hotelu po tej okropnej scenie u McKennów. Była taka podobna do Brenta i Brooksa!

- Ostatnia rzecz, jaką powiedziała do mnie moja siostra, może zabrzmieć głupio - ciągnął Gordon - ale to było coś, co zawsze

mówiła nasza mama, jak pocałujesz... to... zresztą nieważne. Chodzi o to, że jeśli się człowiek nie śpieszy i kocha kogoś, kiedy jest na to czas, nie tęskni za nim później tak bardzo. Myślę, że będzie nam brakować Georgii, ponieważ była jedną z opok naszego życia, podobnie jak Ray. A was chciałbym w tej chwili prosić, żebyście pomogli nam wychować Keefer Kathryn Nye tak, by zawsze pamiętała o swojej matce i ojcu.

Tim nienawdził samego siebie za to, że w momencie największego nieszczęścia, jakie dotknęło jego przyjaciela, nie mógł się powstrzymać, żeby nie patrzeć na Lindsay. Lindsay była tak cholernie seksowna, że Tim Upchurch przeszedłby na bosaka po świeżym, miękkim asfalcie podczas święta Czwartego Lipca, żeby tylko wziąć ją za rękę i poprowadzić na parkiet. Chętnie dałby się wyrzucić z pracy, żeby tylko dotknąć ustami jej dłoni, chętnie by zwichnął sobie kolano, żeby tylko rozpiąć jej stanik i uwolnić uwięzione w nim piersi. Całymi godzinami siedział przy biurku, wyobrażając sobie, że opiera się o wannę i splukuje długie rude włosy Lindsay lawendową wodą z dzbanka. Przynosiłby jej ziołowe herbatki, kiedy by miała okres. Nastawiałby w swoim samochodzie jej ulubioną piosenkę Abby - wiedział dokładnie, jaka to piosenka - za każdym razem, kiedy siadałaby obok niego. Czciłby ją. Nigdy nie kazałby jej wstać i przynieść sobie piwa.

A ona tymczasem wpatrywała się w Gordona, jakby był Tomem Cruisem w połączeniu z Jezusem Chrystusem. Nawet płacząc, wyglądała, kurwa, pięknie. Rudowłosa bogini, a on musi zachowywać się wobec niej jak brat, ponieważ jest dziewczyną jego najlepszego przyjaciela, choć była dziewczyną jego najlepszego przyjaciela tylko wtedy, kiedy jego najlepszy przyjaciel nie uganiał się za jakąś instruktorką gimnastyki, specjalistką od fizyki rakietowej, tańczącą w zespole ludowym przedszkolanką czy autostopowiczką, która w ciągu dwunastu godzin zaczynała patrzeć na niego zupełnie tak samo.

Bycie najlepszym przyjacielem Gordona McKenny wymagało sporej dozy masochizmu. W normalnych warunkach Tim nie był niedołągą. Miał doświadczenia: od macanek i szybkich numerków w starszych klasach do powolnego, harmonijnego tanga z Cara, studentką z Włoch, przybyłą do Stanów w ramach wymiany,

z którą robił rzeczy, za jakie -jego zdaniem - ludzi wsadzano do więzienia; natomiast kiedy wchodził do Wild Rose z Gordonem, czuł się jak niewidzialny człowiek. Czy znasz już mego przyjaciela, miał ochotę pytać kobiety w wieku od szesnastu do czterdziestu, a potem rozmawiać tylko z tymi, które zostaną. Poszli na striptiz w Madison - czy mieli już wtedy osiemnaście lat? I najładniejsza dziewczyna, nagusienka, z wyjątkiem kamizelki z flagi amerykańskiej, pochyliła się i rzuciła kartkę na kolana Gordona; kończy pracę o dziesiątej. Co było takiego w Gordonie? To nie tylko wygląd, choć Gordo był zabójczo przystojny. Gordo osiągnąłby ten sam efekt, wystawiając głowę przez okno samochodu podczas jazdy, co Tim, spędzając dwadzieścia minut przed lustrem. Gordo mógł wycisnąć zaledwie sto osiemdziesiąt funtów, Tim dwieście dwadzieścia, ale Gordo zbudowany był jak trójkąt równoboczny, a Tim miał w pasie wał tłuszczu. Gordo był jasny jak wiking i pięknie opalony; Tim od słońca dostawał piegów większych niż dzioby podczas ospy wietrznej. Kiedy Gordo tańczył, wchodził w trans, jakby rytm wlewał mu się do głowy; tańczył z dala od kobiet, z którymi był, a one szły za nim.

Na czym to polegało? Ogólne podejście, działająca jak afrodyzjak postawa, że i tak jest mu dobrze, niezależnie, czy ktoś z nim jest, czy nie? Bezceremonialny sposób bycia, podczas gdy Tim, ubierając się na pierwszą randkę, już się denerwował, jak to będzie za jakiś czas, kiedy okaże się, że kobieta nie odwzajemnia jego uczuć? Tim nie był nawet zazdrosny o powodzenie kolegi. Gordon był jego najinteligentniejszym przyjacielem. Miał najlepsze pomysły. Gordo wymyślił, jak zainstalować kamerę wideo w otworze wentylacyjnym nad prysznicem dziewcząt i nagrał cztery godziny prawdziwej nagości, a kiedy Tim zasugerował, że może są zбочeńcami, Gordo powiedział mu: „Church, to nie jest oglądactwo, to pornografia. Oglądactwo jest chorobą psychiczną, a pornografię chroni Pierwsza Poprawka do Konstytucji”.

Kontakty z Gordem to jak zadawanie się z siłami natury. Zawsze trafiało się jakieś odlotowe zajęcie, jak na przykład sześć tygodni strzyżenia choinek w Wantoma; gorąco niczym w piekle, wszystko w lepkim soku, gra w softball z dziećmiakami emigrantów, którzy pracowali na plantacjach kartofli, i innymi dziećmiakami zjeżdżającymi zewsząd na strzyżenie - beczułka piwa przy drugiej bazie, co oznaczało, że po każdym okrążeniu sapali jak ja-

sna cholera, a potem wracali do wymachiwania tymi cholernymi maczetami jakby nigdy nic. Znikał z Jessiką i Libby Dickenson w lesie za Fidelis Hill - Gordon miał cenną umiejętność pozabawiania kobiet odzieży - nie mówiąc o biwakowaniu nad Colorado, kiedy skakali z osiemdziesięciu stóp do rzeki, jak Sundance i Kid, nawaleni gandzią; żaden inny narkotyk tak go nigdy nie urządził. Albo jeździli po wyboistej plaży kabrioletem Jurgena za ileś tam milionów dolarów. Nie, na nic nie zamieniły swoich przygód z Gordem. Kochał McKennów. To było podłe i niesprawiedliwe, co się przytrafiło Georgii, siostrze, której Tim, obdarzony przez los czterema braćmi, nigdy nie miał. Można z nią było pogadać równie dobrze jak z facetem.

Gdyby tylko nie zadurzył się tak fatalnie w Lindsay! Było gorzej, odkąd Gordo wrócił do domu i znowu się z nią związał, a Tim, widując tę nową Lins, świetnie ubraną, opanowaną, zgrabną kobietę, nie mógł już udawać, iż jest to ta sama smukłonożna dziewczyna, która wychowywała się u nich na podwórku; tak nieśmiała, że wkładała obszerną koszulkę na kostium kąpielowy.

Śładki Jezu, modlił się Tim, pomóż mi przestać tak się palić do Lindsay Snów. Pomóż mi być dobrym przyjacielem dla mojego kumpla, kiedy będzie mnie potrzebował.

Na parę minut przedtem, zanim miał się podnieść z ławki i zabrać głos, Ray Nye Senior próbował wziąć się w garść. Puls w jego szyi walił tak, jakby miał zamiar przebić się przez koszulkę. Myślał o rękach swojego dziecka, tych wspaniałych rękach, jakie miał teraz przed oczami, złożonych na potężnej piersi syna pod lśniącym wiekiem. Myślał o Raymondzie siedmioletnim, tak muskularnym, że błyskawicznie wyrósł z dzieciennego zestawu kijków, jaki ojciec mu podarował na zakończenie przedszkola. Dla siedmiolatka chwyt vardona, którego opanowanie zabierało młodziakom na ogół kilka lat, był równie naturalny jak oddychanie.

Nie popierał tego małżeństwa. Przyznawał to. Oboje tacy młodzi, a Raymond był jeszcze zbyt świeżym graczem. Kiedy zwrócili się do niego, próbował zasugerować, żeby najpierw urządzili się jakoś, nawet zaproponował, że wesprze materialnie pomysł Georgii na założenie własnej firmy świadczącej usługi w zakresie urządzania domów przy użyciu tego, co ludzie mieli już do dys-

pozycji. Przypomniat im, że życie nie jest wielkim wyścigiem. Ale pamiętał także, że w swoim czasie oni z Dianą mieli po siedemnaście lat i też nikt nie był w stanie ich odwieść od podjętego zamiaru. A choć był taki moment dawno temu, kiedy wydawało się to błędem, teraz nie wyobrażał sobie życia bez swojej Diany, gwiazdy błyszczącej u jego boku.

Tuż przed przeprowadzką młodych duży Ray zastał Georgię siedzącą na wzgórzu za domem w Sandpiper i przyglądającą się, jak Raymond uderza kijem numer 2, a potem numer 5. Nie zdziwił się pięć godzin później, kiedy wrócił do domu z biura, by coś przegryźć, że Raymond wciąż się tym zajmuje; solidność jego syna była zdumiewająca. Nawet jako dziecko, kiedy kładziono go spać, zasypiał przed upływem minuty i spał dwanaście godzin. Spóźnił się kiedyś na choinkę, bo chciał przeczytać do końca *Gangurwisów*.

Natomiast zadziwiło go wtedy w Sandpiper to, że Georgia nadal tam była, a kiedy duży Ray podszedł bliżej, zobaczył, że ona płacze. Już miał spytać: Co się stało, skarbie? Z dzieckiem wszystko dobrze? A wtedy Georgia szepnęła do niego, że nie jest smutna, ale wzruszona. Że wzruszają ją ręce Raymonda. To, że on ma ręce jak Michał Anioł.

I odtąd duży Ray wiedział, że dziewczyna wiele rozumie. Że jest najlepszą żoną, jaka mogła się trafić Raymondowi, i że on sam był głupcem, wątpiąc w strzał syna, który jak zawsze okazał się w dziesiątkę.

Słyszac walenie krwi tętniącej w uszach, Raymond Nye Senior wstał sztywno i zmusił się, żeby podejść do pulpitu. Dotknął lekko ramienia Gordona i zajął jego miejsce na mównicy.

- Nie jestem zbyt dobry w cytowaniu Biblii, odkąd skończyłem szkółkę niedzielną. Więc wybaczcie, jeśli coś będzie niedokładnie. Ale tu - ciągnął Ray, otwierając swą wielką dłoń, jakby rozsypywał coś miękkiego nad lśniącym wiekiem trumny - leży mój ukochany syn, w którym mam upodobanie.

Zaszeleścił kartkami papieru i podniósł numer magazynu „Life” z Katie Couric na okładce.

- Być może niektórzy z was czytali w tym czasopiśmie zaledwie kilka miesięcy temu notatkę o Rayu. Muszę przyznać, że jestem dumny z siebie i jestem dumny z mego syna, który dał nam tak wiele radości podczas swego krótkiego życia.

Mój syn grał w golfa. Och, robił też wiele innych rzeczy. W szkole był dobry z matematyki. Potrafił wyliczyć i nadać sens rzeczom, które na samą myśl o nich przyprawiały człowieka o ból głowy. Miał wielu przyjaciół, niektórzy z nich, jak obecni tu Carl Jurgen i Gordie, byli dla nas jak rodzeni synowie. Nasz dom pełen był chłopców, piłek i kijów golfowych; a jedli każdy za dziesięciu... - Duży Ray zamilkł na chwilę i przełknął ślinę. - W golfie mój syn znajdował się wśród najlepszych graczy swego pokolenia. Ktoś z was mógłby powiedzieć, że Ray Nye Junior to nie Davis Love. Nie był też Philem Mickelsonem. Odpowiedziałbym mu: racja, nie był jednym z nich, cudownych dzieci. Ale jeśli pomyślicie o tych kilkuset graczach spośród wszystkich kochających ten sport - mających takie ręce i takie serce do gry, że mogą zostać zawodowcami - to nasz syn znajdowałby się w tym ułamku ułamka procenta... - Ray westchnął i przesunął ręką po włosach. - Robił duże postępy. W zeszłym i w tym roku był bliski dostania się do sześciodniowej morderczej gry na Doral, prawdziwej szkoły golfa, jednej z tras największych zawodów golfowych świata. Robił postępy, choć wolno. Widzicie, nasz syn zawsze był wolny w działaniu. Można się o tym dowiedzieć z licznych artykułów. „Powolny, lecz pewny Nye się nie daje” - pisali. Jego zamach trwał tak długo, że zdawać się mogło, iż zapomniał, co ma zrobić. Ale on nigdy nie zapominał.

Cóż, nie wiem, co wy, ludzie z Północy - tu rozległ się stłumiony śmiech - wiecie o golfie. Nie ma czegoś takiego jak optymalna gra. Arnold Palmer tylko raz zagrał optymalnie, jak opowiadał, ale wtedy się obudził. - Znowu przerwał mu śmiech. - Tylko trzy razy w historii Stowarzyszenia Zawodowych Graczy zdarzyło się, że ktoś przekroczył sześćdziesiąt. David Duval tego dokonał. Al Geberger tego dokonał. Ale po prostu nie można być doskonałym. Zawsze trafi się jakiś błąd. Nie da rady mieć pięciu par i trzynastu birdies*. To jest niewykonalne.

Jednakże wszyscy gracze dążą do idealnej gry. A ja wierzę, że mój syn to osiągnął - podczas imprezy relacjonowanej w tym piśmie, w „Life”, pod nagłówkiem „Najważniejsza jest Georgia”. Wreszcie w kwietniu mój syn, Ray, zdobył prowadzenie w... no

* Par - liczba uderzeń, którymi dobry gracz powinien rozegrać dołek. Birdie - zakończenie dołka jednym uderzeniem poniżej para dołka.

cóż, w najważniejszych zawodach w jego karierze, i wtedy dowiedział się od państwa McKenna, że jego żona, która była już w bardzo ciężkim stanie, miała atak. Oznaczało to, że gdyby zwlekał choć jeden dzień, mógłby nie zdążyć...

Więc, drodzy przyjaciele, opuścił Coachman's Hill w Charlotte w Karolinie Północnej. Złożył kije, pojechał na lotnisko i powiedział reporterom, że w golfa zagra jeszcze nieraz, ale pewnie tylko raz jeszcze zagra rolę najważniejszą w jego życiu, rolę męża i ojca... o tym wszystkim napisano tu, w tym piśmie. Tekst nie oddaje tego, czym dla młodego człowieka, który gra w golfa, jest poświęcenie chwili mogącej okazać się najważniejszym punktem w karierze. Nie myślał nawet o tym. Taki był Ray.

Georgii się polepszyło, choć nie na długo. A więc Ray nie musiał ponosić tej ofiary, poświęcać ogromnej sumy pieniędzy, za którą mógłby później zapewnić dziecku dostatnie życie, tracić możliwości wykonania następnego ważnego kroku. Ale stojąc tu dziś przed wami, pragnę powiedzieć, że cieszę się, że tak zrobił. Nawet jeśli to oznaczało... to oznaczało... że ostatecznie nie będzie dalszych walk o medal. Mimo tego, że przeniósł się tutaj, a oczywiście jego matka, siostry i ja sam, bolejemy nad tym, że Ray leży tu dzisiaj zamiast siedzieć obok nas, obok tej małej dziewczynki, której wychowywanie byłoby jego prawem i radością...

Lorraine musiała odwrócić wzrok. Duży Ray przeżywał swój smutek, z trudem starając się dobrać do końca. Spojrzała w dół na śpiącą Keefer, na jej rączki i nóżki, rozrzucone swobodnie, z ufnością, i pomyślała, jak niewiele czasu dotąd spędziła z wnuczką na przyglądaniu się, jak dziecko śpi. Pogrążona we śnie dziewczynka, gdy jej błękitne oczy były zakryte powiekami, bardzo przypominała Georgię.

Kiedy duży Ray chrząknął, a potem jeszcze raz, Lorraine usłyszała, jak Mark drgnął.

- Więc - podjął wreszcie Ray - nieważne, że do tego nie doszło, cieszę się, że Raymond Junior tak postąpił, ponieważ osiągnął w życiu to, do czego żaden gracz nie dojdzie wyłącznie na polu golfowym. Optymalną grę. Jestem z niego dumny. I dziękuję, że wy też jesteście z niego dumni.

Diana się rozpłakała i wyciągnęła przed siebie ręce.

Wszyscy pochylili głowy, starali się siedzieć nieruchomo, starali się nie zważać na tumult tłumionych kaszlnięć i łkań, rozlega-

jących się ze strony lewej, prawej, z tyłu kościoła, jakby to były instrumenty pośpiesznie strojone przez orkiestrę. Katolicy przyłożyli palce do czoła, serca i ramion; natomiast pozostali zbierali płaścze, torebki i wydrukowane programy, których nie mieli wcale ochoty zachowywać, ale których nie odważyli się zostawić w ławce; programy, mające ostatecznie wyłądować na kuchennych blatach i przy telefonach w całym mieście i stanie po to, by leżeć tam tygodniami, coraz bardziej popstrzone godzinami zapisów na baseball, datami wizyt u dentysty i telefonami opiekunek do dziecka. Wszyscy powstałi jak jeden mąż.

Wówczas zaskoczył ich donośny dźwięk organów, spojrzeli w górę, spodziewając się ujrzeć przy klawiaturze panią Wilton. Tymczasem siedział tam Carl Jurgen, biało-niebieski, w luźnych spodniach i koszuli, skapany w słupie słonecznego światła i grał stary jazzowy standard *Georgia*.

6

- Czy zauważyłeś, że Carl Jurgen nie miał walizki? - spytał Tim. - Wyglądał jak szpieg na filmie czy coś w tym rodzaju.

Gordon nie odpowiedział. Musiał gwałtownie wyrwać się ze stanu podobnego do transu, żeby w ogóle zrozumieć, co mówi Upchurch. Siedzieli w samochodzie Churcha przy jednej z embrionalnych uliczek Wood Violet Hollow, nowej dzielnicy, będącej dumą i obsesją Tima, który był -jak często nadmieniał ni stąd, ni zowąd - drugim najmłodszym dyrektorem robót publicznych w kraju. Po odwiezieniu Jurgena na lotnisko Tim zatrzymał się na kilka podwójnych cheeseburgerów ze wszystkimi dodatkami. Ich zapach oraz odgłos energicznego przeżuwania przyprawiły żołądek Gordona o wstrząs.

- Nie wiem, jak to zrobił - przyznał Gordon. - Wiem, że przebiegał się dwa czy trzy razy. Na pogrzebie miał płócienne spodnie.

- Płócienne spodnie. Racja. Pogniotłyby mi się tak, że miałbym je powyżej kolan już po godzinie. Gdzie je prasował?

- Nie mam pojęcia - odparł Gordon. - Nie mam nawet żelazka. Czy mógłbyś otworzyć na chwilę okno, póki jesz, Church? Al-

bo jeszcze lepiej, zjedz to w Kanadzie albo gdzieś równie daleko. Zaraz się porzygam.

Niewruszony tym Church wgrzył się w cheeseburgera. Na dolnej wardze rozlała mu się plama majonezu.

- Co do tych ubrań to może trzeba się urodzić bogatym? - ciągnął. - Może oni mają takie ubrania w pigułkach, jak zabawki dzieciaków. Wiesz, wkładasz je do wody, a tu nagle robi się dinozaur. Tyle że z tych Jurgena wyrasta elegancki płaszcz. Bogaci są inni niż my, Gordo.

Zapała cisza, przyjemna dla Tima, ale nieznośna dla Gordona. I to nie dlatego, że nie lubił ciszy. Usłyszał dostatecznie dużo głosów w ciągu ostatnich dwóch dni, że wystarczyłoby mu to do końca życia. Ale zamęt tłoczących się myśli i obrazów kłębił się gdzieś pod jego czaszką, wywołując natrętne pragnienie powrotu do domu, nie do własnego, ale na Cleveland Avenue.

Church trajkotał o najnowszych planach rozwojowych i tak już godzącej w środowisko naturalne dzielnicy, która zawdzięczała nazwę małemu kółku ziemi - zagłębieniu terenu porośniętemu delikatnymi niebieskimi kwiatkami, opisanemu w legendzie jako starożytne miejsca tarzania się bawołów. Nie wiadomo, skąd pojawili się członkowie plemienia Czerwonej Tyki, zdecydowani - aż do wszczęcia kroków prawnych włącznie - zastopować projekt, dopóki nie zostanie dokładnie określone, czy dziwnie ukształtowane wzniesienie nie jest przypadkiem starym kurhanem grobowym. Zdesperowany deweloper zaproponował, że nazwie dzielnicę Indianiskim Kurhanem. Gordon rzadko śmiał się tak szczerze, jak podczas opowiadania Tima o jego dyplomatycznej reakcji, kiedy delikatnie spytał dewelopera: „Jak często ogląda pan... horror?”

- Chyba lepiej będzie, gdy od razu pojedę do domu - powiedział Gordon cicho. - Pewnie jestem tam potrzebny. Nie było mnie całą noc. A czuję się, jakbym brał udział w przedstawieniu odgrywanym na użytek innych.

Gordonowi przemknęło przez myśl wspomnienie wczorajszych wiadomości, relacji telewizyjnej kupczącej rodziną tragedią. Jane Hampton ze stacji WINN-TV w Madison recytowała smutnym głosem:

- Po raz pierwszy przedstawiliśmy małą Keefer Nye w zeszłym roku, kiedy zdawaliśmy relację z wruszającego wydarzenia. Wybitni sportowcy i solidarni mieszkańcy miasteczka połą-

czyli swe siły w imprezie mającej na celu zebranie pieniędzy na walkę z rakiem, między innymi toczoną przez dwudziestosześcioletnią mamę Keefer, Georgię McKenna Nye, której mąż Ray był znakomitym graczem w golfa. Dzisiejsze wiadomości są bardzo smutne. Keefer Nye straciła oboje rodziców, matkę i ojca.

Tu, niemal dobrodusznym tonem, wszedł w słowo dziennikarz sportowy, Mikę Albert.

- Keefer ma szczęście, że posiada żyjących, kochających dziadków, ze strony matki i ze strony ojca. Może jak dorośnie, będzie grać w Lidze Profesjonalnych Graczy w Golfa...

- Masz aspirynę, Church?

Tim potrząsnął głową, przeżuując. Gordon był niemal pewien, że jest na najlepszej drodze do paskudnego kaca. To siedzenie do późna było bez sensu, ale wtedy wydawało się do czegoś potrzebne; obowiązkowa pauza, zanim wszyscy sobie pójda i pochłoną ich nurt codziennego życia. W pamięci utkwiły mu dwie rozmowy z poprzedniego wieczoru. Roztrząsał je w myślach, co jeszcze bardziej zwiększało jego irytację.

Pierwsza dotyczyła czegoś, co powiedziała kuzynka Raya, Delia Cady, podczas zaimprovizowanej kolacji.

Gordon do tego czasu zapadł w stupor - miał nadzieję, że jego stan zostanie odebrany jako rezultat szoku - więc na początku nie zorientował się, że uwaga Delii na temat absolutnej wiary Raya w życie wieczne skierowana jest do niego.

- I wiem, że Georgia uważała tak samo - powiedziała Delia, odsuwając w tył misterną, sztywną konstrukcję ciemnych loków okalających jej bladą twarz. - Mam rację, prawda? Gordon?

- Nie wiem - odparł Gordon i poczuł się bardzo niewyraźnie, kiedy wszyscy nagle zamilkli. - To znaczy nie wiem, czy w to wierzyła.

- Bóg był jej drugim pilotem - wtrącił Tim, co miało nadać lekki ton rozmowie, a zabrzmiało jak zgrzyt.

- Była twoją siostrą - rzekła karcącym tonem Delia. - Rozmawialiśmy na ten temat wiele razy. Pewna była, że Bóg kieruje jej losem.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o religii - wyjaśnił Gordon. - Na pewno była bardziej religijna ode mnie...

- Ciekawa jestem, czy ona zostanie wychowana na... katoliczkę - powiedziała Delia.

- Masz na myśli Keefer?

Skinęła głową.

- Wiesz, że Nye'owie nie są katolikami.

- Moja rodzina za to jest - odparł Gordon. - Przynajmniej z tych kręgów się wywodzi.

- Religia to coś więcej niż kadzidła, dzwony i święta - ciągnęła Delia. - To wielka odpowiedzialność, jedna z najważniejszych rzeczy w wychowaniu dziecka.

- Myślę, Delio... chyba jeszcze jest na to za wcześnie - ze znużeniem rzekł Gordon i przypomniało mu się teraz, gdy siedział z Churchem, że mówiąc te słowa, zastanawiał się, czy McKenno- wie nie zostali przypadkiem wykluczeni z gry.

Przewidywał oczywiście, zwłaszcza dowiedziawszy się o unieważnieniu testamentu, że odbędzie jakaś narada w sprawie Keefer. Ale to przecież oni zostali wyznaczeni na prawnych opiekunów. Wszyscy o tym wiedzieli. Nie rozmawiał z rodzicami o wiadomości przekazanej przedzo prawnika, chciał na razie uszanować ich ból. Był zły, i to bardzo, że różne rzeczy nie pozwalają mu skupić się na własnym cierpieniu. Ale słuchając Delii, poczuł się zmuszony do snucia dalszych spekulacji: czy rodzice też się powstrzymywali ze względu na niego? Czy wszyscy troje wiedzieli o czymś, o czym nie mówili sobie nawzajem?

Druga rozmowa odbyła się z Carlem Jurgenem rano, podczas męczącego świtania po długiej nocy. Po kolacji nastąpiła alkoholowa orgia z udziałem przynajmniej dwóch braci Upchurchów (pamięć zawodziła nieco Gordona), Pata Chaptmana, Kipa Sweeneya, Lindsay, Stephanie Larsen i jej chłopaka. Zaczęło się od sporych ilości żurawinowego soku i wódki oraz Triple Sec, a skończyło na samej wódce. Zanim nastał świt, towarzystwo stopniało i pozostali tylko Gordon, Tim, Jurgen i Kip.

Jurgen rozmawiał cicho z Timem; upewniał się, czy tej nocy może spać w mieszkaniu Tima, a Tim - choć widział Jurgena przedtem zaledwie raz podczas wizyty na Florydzie - godził się na wszystko, zupełnie jakby zaproszenie wyszło od niego, jakby zawarł braterstwo krwi. Tak Jurgen działał na ludzi, co zawsze zadziwiało Gordona, odkąd go znał. Ludzie mówili, że on, Gordon, bierze życie lekko, ale Carl miał nerwy ze stali lub może... z jedwabiu.

W czasie tej nocy Gordon w kompletnym zamroczeniu postanowił, że Jurgen będzie tą osobą, której on zaufa. Jurgen był w końcu prawie prawnikiem, jednym z niewielu kolegów z college'u, którzy nie zajmowali się matematyką ani naukami przyrodniczymi.

W związku z tym czekał. Czekał, starając się brać czynny udział we wspomnianiu - na użytek paczki z Tall Trees - nieprawdopodobnej ekstazy spędzonych na Południu szkolnych dni, a także nocy, które w tym momencie, w podsycanej alkoholem retrospekcji, wyglądały jak niekończący się pocałunek na słonecznej białej plaży.

- Dziś wieczorem - powiedział wtedy Jurgen z elegancją zupełnie niepasującą do brudnych blach po cieście, dwóch rozgniecionych karaluchów, niedopałków cameli Keepa oraz much tonących w rozlanej na szpuli od kabla - używanej przez Tima w charakterze stołu - sadzawce soku żurawinowego, który z wolna przechodził w stan galaretki. - Pomimo całej... tej biesiady, która jest prawdopodobnie gorsząca, wszyscy jesteśmy trochę starsi, niż powinniśmy być. Więc pamiętajmy choć, jak to było, kiedy byliśmy młodzi. - Dodał: - Za mojego najlepszego kumpla, Raya Nye'a Juniora.

I Jurgen mówił dalej, a jego wspomnienia miejsc i słów były znacznie wyrazistsze niż wspomnienia Gordona. Opowiadał im o facecie od kanapek, którego stragan nękali podczas weekendów - w niedzielne poranki „klopsiki” stawały się „klop sikami”, a „serdelki” przemieniały się w „desrelki”. Przypomnił o płaceniu kartą kredytową ojca Carla, prawnika, na stacji benzynowej, gdzie znużony facet z kamiennym wyrazem twarzy pytał: „zwykła czy bezołowiowa?”, rzucając paragon na wierzch oszronionych puszek z piwem. Snuł opowieści o przygodach, które trwały do jesieni, kiedy do stanu Floryda przyjechała Georgia. Gordonowi, obywatelowi Północy, całkowicie zaślepionemu leniwym życiem Południa, życie wydawało się wtedy rajem. Wśród nowych przyjaciół Georgia przyjęła rolę nieoficjalnej młodszej siostry uczniów szkoły Evans, organizując mecze softballowe i bale przebierańców. W pierwsze Święto Dziękczynienia po - jak ujął to Jurgen - podbiciu Florydy przez Georgię, odbywał się wielki turniej golfowy. Więc wielu z nich nie mogło pojechać do domu na święta.

Georgia przygotowała obiad i zamiast modlitwy zaśpiewała swoim słodkim altem starą piosenkę Louisa Armstronga *What*

a *Wonderful World*; wzruszeni silni mężczyźni łkali, a potem zerwali się od stołu, żeby zadzwonić do swoich matek.

Podczas kolejnego przypływu wspomnień o świcie, którego różowe, puszyste chmury strzępiły się na niebie, Gordon, pragnąc wreszcie podzielić się swoimi kłopotami, poprosił Jurgena, aby ten wyszedł z nim na balkon.

- Pewnie wiesz, że nie mieliśmy czasu ustalić wszystkiego do końca, jeśli chodzi o moją siostrzenicę - zaczął. - Ale wygląda na to, że zajmiemy się nią wszyscy. Wszyscy troje. A ja chyba najwięcej.

- Myślałem o tym - rzekł Jurgen poważnie, a Gordon poczuł dreszcz na karku. - Trudno mi sobie wyobrazić, jak można same-mu wychowywać dziecko.

- Ja w ogóle nie mogę sobie wyobrazić, jak można wychowywać dziecko. Ale to Keefer. Muszę.

- A czy chcesz?

- To Keefer.

- A duży Ray i Diana - zaczął Jurgen w zamyśleniu - zgadzają się na to?

Gordon poczuł ucisk w piersi na myśl o ojcu ucznia, adwokacie.

Chciał zapytać Jurgena, czy testament zachowuje ważność, nawet jeśli testatorzy go unieważnili. Czy jest to nieodwołalne? Słowa utkwily mu w gardle. Nagle mu się wydało, że Georgia oddała się od niego, szybko, długim korytarzem, jak znikający pociąg.

- Moja siostra i Ray wyznaczyli nas na opiekunów - zaryzykował. - Oboje tego chcieli.

- Nas - powtórzył Jurgen.

- Czy Nye'owie rozmawiali o tym?

- Owszem - przyznał Jurgen.

- No i co? Czy możesz mi powiedzieć, co mówili?

- Powiedzieli jedynie, że mają spotkać się z adwokatem Raya. W piątek. Jutro. To znaczy właściwie dzisiaj. Coś mi się zdaje, że w sprawie majątku.

- Niewiele mieli tego majątku, Carl, i to wszystko należy do Keefer, to znaczy to, co dostaniemy za mieszkanie i tak dalej... pójdzie na jej college i w ogóle na naukę.

- Mieli polisę. Uważam, że każdy odpowiedzialny rodzic, mający, wybac, ciężko chorą małżonkę, zatroszczyłby się o to.

- A wiesz, że zupełnie o tym nie pomyślałem.
- Nic dziwnego, w tych okolicznościach.
- Czy myślisz, że Nye'owie... ?
- Co takiego?
- No czy uważasz, że mogą starać się o przyznanie prawa do Keefer?

- Myślę, że biorą to pod uwagę. Tak.
- Czy sądzisz, że to byłoby... ?
- Jestem w trudnym położeniu, Gordo. Ray był moim najlepszym przyjacielem. Znam Nye'ów, odkąd poszedłem do pierwszej klasy. Trudno o lepszych ludzi. Kochają tę małą. A twoi rodzice są równie porządni.

- I byli z dzieckiem praktycznie cały czas.
- To wszystko trudne. Jestem pewien, że Nye'owie chcą jak najlepiej dla Keefer. - Coś w jego głosie zaniepokoiło Gordona. Sugerowało walkę. Gdy będą strony, pomyślał Gordon, czy Jurgen stanie po mojej? Południe kontra Północ? Przyjaźń kontra historia?

- Wiem, że tak jest. Wiem - udało mu się w końcu powiedzieć, a zabrzmiało to głupio.

- Jestem pewien, że ludzie dobrej woli dogadają się. Wiesz Gordo, Georgia była na swój sposób wielką pięknoscią. Poznałem ją dobrze, kiedy tu mieszkali, kiedy ty jeździłeś po dżunglach z tym swoim klubem. Miała niewyparzony język, ale słodką duszę. Tak, pewien jestem, że to się da jakoś załatwić.

Był pewien? Gordon spojrział ukradkiem na kwadratową szczękę Jurgena. Przyjaciel wyglądał na spokojnego, opanowanego. Wtedy Jurgen westchnął:

- Życzę wam tego... wam wszystkim.

Wam wszystkim, powtórzył w myślach Gordon. Jurgen musiał mieć jakieś preferencje. Więzy były głębokie i splecione. Jurgen, jak Gordon przypadkiem się dowiedział, skorzystał z dziewictwa Alison Nye pewnej ośnie nocy na dywanie trawy dziewiętego greenu* w Sandpiper. Nie był to trwały związek, Alison kilka lat później wyszła za Andy'ego. Jurgena na pewno zabolął fakt, że to Gordon był drużbą Raya.

Ale jakie znaczenie mogłoby to mieć teraz? - pomyślał Gordon. Tutaj, teraz, kiedy wszyscy są dorośli, Ray i Georgia nie ży-

* Green - obszar bardzo krótkiej trawy z wyciętym dołkiem.

ją, a on się poci i jest mu niedobrze, o świcie jego żałoby, w samochodzie jadącym do Tall Trees środkiem pola pełnego kurzu, z Timem - jak teraz Gordon zauważył - śpiącym za kierownicą.

Gordon go szturchnął.

- Czy to nie piątek? Nie musisz iść do pracy?

- Trzy dni urlopu okolicznościowego - parsknął Tim, budząc się. - Powiedziałem szefowi, że to moja rodzina.

- Nie jesteśmy spokrewnieni - zauważył Gordon.

- Ale coś w tym stylu.

- Jesteśmy... naprawdę wdzięczni ci za wszystko.

- *De nada*.*

- Muszę teraz wracać do domu, Church. Koniecznie. Potrzebują mnie. A ja potrzebuję aspiryny i grzanki z masłem orzechowym.

- Jasne - odparł Tim.

Cleveland Avenue była cicha jak niedzielny poranek. Jestem nauczycielem, pomyślał Gordon, powinienem teraz spać. Zawód nauczyciela ma trzy zalety, głosił napis na magnesie na lodówce, otrzymanym od matki: czerwiec, lipiec i sierpień. Tim zaparkował samochód. Przez moment obaj drzemali rozparci na siedzeniach, a piosenka *A Love Supreme* Coltrane'a, dochodząca z bardzo dobrzych głośników Tima, wibrowała w ramionach i plecach.

- Gordo, twoja mama woła coś z trawnika - rzekł Tim sennie.

Gordon raptownie wrócił do przytomności. Pachnący koniem pot ściekał mu po brodzie. Klimatyzacja wysiadała.

Matka rzeczywiście stała na trawniku, ubrana w koszulkę bawełnianą i szorty, jej usta poruszały się bezgłośnie. Gordonowi przyszedł na myśl dziadek do orzechów. Opuścił szybę.

- ... don! Szybko! — krzyczała Lorraine.

Ze wstydem zauważył państwa Dwors, wychylających się z werandy domu obok i pomachał do nich.

- Jesteś potrzebny, Gordon - powiedziała matka. - Chodź natychmiast Cześć, Tim!

Zupełnie jakby byli dziećmi, a Lorraine pomagała im wysiadać z samochodu, zaczęła majstrować przy klamce.

- Spokojnie, mamó. — Gordon usiłował otworzyć drzwi od swojej strony. Babcia Lena zawsze tak robiła. Nie można było

* Po hiszpańsku „proszę bardzo”.*

otworzyć jej drzwi, bo zawsze mocowała się z klamką od wewnątrz, kiedy człowiek próbował to zrobić od zewnątrz. - Zostaw to! Nie mogę wysiąść, kiedy blokujesz klamkę.

Wreszcie Tim pojechał, a Gordon i Lorraine zostali sam na sam na trawniku.

- Oni mają pięćset tysięcy dolarów! - Lorraine właściwie to wykrzyczała.

- Kto?

- Dzieci! Ray i Georgia! Mają pięćset tysięcy dolarów. Właśnie dzwonił inspektor towarzystwa ubezpieczeniowego... twierdzi, że to było samobójstwo!

- Wejdźmy do środka, mamó. Ktoś jest?

- Twój ojciec i Nora.

- No dobrze, dobrze. Uspokój się.

Nora z Markiem siedzieli przy kuchennym stole. Mieli przed sobą czysty notatnik, zatemperowany ołówek numer dwa i książkę telefoniczną.

- Musimy zadzwonić do adwokata - oświadczyła Lorraine. - Czy masz jakiś pomysł?

- Znam tylko jednego, a do niego akurat nie możemy zadzwonić - odparł Gordon. Pochylił się i pocałował miękkie czoło ciotki, a potem, po chwili zastanowienia pocałował ojca w policzek.

Prawie godzinę zajęło mu wyjaśnianie, kim jest ojciec Juliusa Liotisa, oraz streszczenie rewelacji Jurgena o spotkaniu Nye'ów z prawnikiem w sprawie unieważnionego testamentu. Z przerwami, ponieważ co piętnaście sekund Nora albo Lorraine wykrzykiwały „nie!” i „to niemożliwe!”, tak że nie był w stanie skończyć zdania. Okazało się, że niczego nie podejrzewali.

- Dlaczego mieliby zmienić testament? - spytała Nora.

- Nie mam pojęcia, wiem jedynie to, co mi mówi ten prawnik - odparł Gordon. - No i Carl powiedział, że spotykają się z adwokatem... dzisiaj.

- Synku, czy on powiedział, że oni spisali nowy testament?

- Mówił, że pomagał im go przygotować. Tak sędzę.

- Więc mają testament - westchnął Mark - o którym nic nie wiemy.

- Diana Nye przekonała ich, żeby im oddali dziecko - mruknęła Lorraine. Włosy miała ułożone w okropne loczki, podobny efekt osiągały jęgo uczennice za pomocą płynu do naczyń.

- A ty, Lor, czy nie zrobiłabyś tego samego? - spytał Mark.
- Nie - Lorraine gwałtownie odwróciła się do męża. - Nie usiłowałabym zabrać dziecka od ludzi, których ono zna najlepiej i kocha! Nie starałabym się przejąć kontroli nad pieniędzmi dziecka!

- Lorraine! - upomniał ją Mark. - Nie wiemy tego na pewno.
- Dlaczego oni myślą, że nasze dzieci popełniły samobójstwo? - spytała Nora.

- Widzisz, ciociu — zaczął Gordon. - Samochody... to znaczy wypadki samochodowe często służą ludziom do maskowania samobójstw.

- Jak Porte Avery.

Wszyscy zamilkli, myśląc o sąsiedzie Nordstromów, który z okrutną pomysłowością zmiażdżył się własnym traktorem. Jakiś ptaszek gwizdnął za otwartym oknem i wszyscy podskoczyli na dźwięk motoru ciężarówki.

- Dzień wywozu śmieci! - oznajmił Mark. - Kompletnie zapomniałem.

- Tylko mi się nie waź targać pojemników! - ostrzegła Lorraine męża.

- Będą śmierdzieć, Lor. Tam jest mnóstwo jedzenia.

- Ja to zrobię — zaproponowała Nora.

- Nie, ja! -przerwał Gordon.

Lorraine wybuchła.

- Zostawcie w spokoju pieprzone pojemniki! Wszyscy! Czy tylko mnie zależy na tym, żebyśmy obmyślili jakiś plan, bo inaczej Keefer będzie mówić południowym akcentem?

Gordon nigdy nie słyszał, żeby jego matka wymówiła słowo „pieprzony”. Nie wyobrażał sobie, skąd mogła znać takie słowo.

Zadzwoił telefon, ale nikt go nie odebrał. Wszyscy słuchali dźwięcznego, miękkiego głosu Diany Nye, nagrywającego się na automatyczną sekretarkę.

- Lorraine, mamy małe spotkanie o dziesiątej. Pomyśleliśmy, że potem zabierzemy dziecko do hotelu razem z innymi wnukami. Oni dziś wracają do domu. Czy tak będzie dobrze? Dobrze. I wtedy możemy porozmawiać o powrocie Keefer z nami do domu... to znaczy do Jupiter. Na uroczystości ku czci Raya. Oczywiście jesteście zaproszeni. U was wszystko w porządku? Trochę się przespałam. Dziękuję za doktora. - Po pogrzebie Diana dosta-

ła migreny i Eve Holly z centrum medycznego w Pine Grove, która akurat pełniła dyżur, zrobiła jej zastrzyk. - No dobrze. To na razie.

Wszyscy patrzyli na telefon, jakby był wściekłym psem, który zaraz na nich skoczy. Do kuchni przywędrowała Keefer, pieluszkę miała nisko w kroku, co przypominało spodnie hydraulika, różową koszulkę podciągniętą nad brzusek, a pod pachą żabę z tetry, którą ścisnęła i ssała jednocześnie.

- Dory! - rozpromieniła się i wdrapała się Gordonowi na kolana, a ciepła, rozlewająca się plama natychmiast zmoczyła mu spodnie. - Firn?

- Mówi „film” - wyjaśniła Lorraine.

- Wiem, mam, co ona mówi - odparł szorstko Gordon. - W zeszłym tygodniu oglądaliśmy razem *Czarodzieja z Oz*.

Nora zajęła się nakładaniem do miseczki z syrenką rozmochnych cheeriosów, jakich Keefer domagała się każdego ranka na śniadanie, i wyjąwszy ciężką pieluszkę, posadziła ją na wysokim krzesełku.

- Wona lizka! - oznajmiła Keefer poważnie.

- Mówi, że chce czerwoną łyżkę, mam - warknął Gordon.

Ale Lorraine kartkowała książkę telefoniczną. Gordon zauważył nagłówki stron: Aborcja, Adopcja.

- Mark, czy potrzebny nam prawnik od spraw majątkowych, czy adopcji?

- Wiesz - wtrąciła Nora łagodnie - starsza siostra Bradie jest bezpłodna z powodu endometriozy. I chce adoptować dziecko z Chin, słyszałaś o tym? Podobno załatwiają to przez agencję w Morehouse. Więc może zadzwonię do niej... - Nora zabrała swój notatnik i przeszła do niewielkiego gabinetu Marka na w randzie.

- To jasne, mam, dlaczego podejrzewają samobójstwo - zaczął Gordon.

- To bezczelność! - zachnęła się Lorraine.

- Nie, to całkiem oczywiste. Ray był w depresji. Nie tylko z powodu Georgii. Poświęcił największe zwycięstwo...

- Chryste, jeśli usłyszę jeszcze choć jedno słowo o wielkim cudzie na Coachman's Hill, to chyba zwymiotuję - rzekła gniewnie Lorraine. - Ray Nye miał obowiązek zrezygnować z gry, kiedy ona się gorzej poczuła, Gordonie.

- Z czegoś w końcu musieli żyć, mamó.
 - Wiem. Ale to nie była jego jedyna motywacja. Jego... praca odrywała go od domu. Nie mógł znieść tego napięcia. Liczył na nas. Wiedział, że zajmiemy się dzieckiem. Ile razy widziałeś, że- by Diana albo duży Ray sprząkali... zajmowali się twoją siostrą? Diana nie przyjechała tu ani razu. Przysyłała te śmiecie z kory w liście, i to zwykłą pocztą. Nawet nie ekspresem.
 - Mamó, zaczekaj...
 - Wiem, co mówię! A teraz przyjeżdżają tu i gadają o dziecku, dziecku, dziecku, jakby nawet nie miało imienia...
 - To takie południowe wyrażenie...
 - I ten ich syn, wielki bohater...
 - Mamó, Ray kochał Georgię.
 - Ray kochał Georgię, ale Ray żył własnym życiem, Gordonie! My zrezygnowaliśmy ze swojego życia! Wzięłam urlop ze szkoły, ty wzięłeś, ojciec prawie nie był w pracy, Mikę i Nora, wszyscy porzuciliśmy swoje sprawy. Nawet Lindsay i Tim...
 - A jak moglibyśmy postąpić inaczej, mamó?
 - I o to chodzi! A teraz chcą Keefer, ponieważ ona jest genetyczną kontynuacją Raya!
 - Mamó, to nie tak.
 - No dobrze, dobrze, to nie tak! Ale ja nie muszę być rozsądna, Gordonie-. Moje dziecko nie żyje. Dziecko moje i twego ojca leży po drugiej stronie ulicy pod ziemią. - Gordon pomyślał nagle: „Nie tylko twoje dziecko, mamó”, ale szybko odpędził tę myśl. — I musimy wymyślić sposób, żeby ocalić to, co zostało z naszej rodziny.
- Nora wróciła rozpromieniona. Uniosła triumfalnie notatnik w górę, jak dobra uczennica, która pierwsza z całej klasy skończyła odrabiać lekcje.
- Znalazłam! - oznajmiła. - Mam nazwę agencji Amber Dugan. Nazywa się Adoption Alliance...
 - A... Aardvark -powiedział Mark. Wszyscy spojrzeli na niego, a on mówił dalej podniecony: - Wszyscy tak robią. No wicie. AaaaAgencja. Chcą być pierwsi w książce telefonicznej.
 - Dzięki, Mark - powiedziała Lorraine.
 - Poza tym mam też nazwisko prawnika. Greg Katt. W Merrill.
 - No to zadzwońmy - szepnęła Lorraine. - Oni tu będą... która jest teraz godzina?

- Zaczekajcie chwilę! - Gordonowi zrobiło się niedobrze, zamilkł i odetchnął głęboko. - Zaczekajcie chwilę. Czy nie możemy tego po prostu omówić? Z Nye'ami?

- Musimy się dowiedzieć, jak możemy zabezpieczyć nasze prawa do Keefer - wyjaśniła Lorraine, wolno, jakby tłumaczyła dziecku z młodszych klas, jak trzymać ołówek przy cieniowaniu. - Trzeba zrobić pierwszy krok.

- Ale w tym momencie mamy już prawo do opieki. Ja też się boję, mam. Bez przerwy o tym myślę i nie sądzę, byśmy musieli od razu wytaczać najcięższe armaty.

- Gordon, twój ojciec i ja mamy prawie po sześćdziesiąt lat. Czy myślisz, że sąd przyzna nam małe dziecko na wychowanie? Nie będziemy żyli wiecznie - powiedziała Lorraine, na chwilę zamilkła, a potem ciągnęła spokojniej: - Nie mówię, że mamy zaraz umrzeć. Ale nie jesteśmy bogaci, jak duży Ray, który buduje te swoje osiedla, każde z własnym polem golfowym... niedługo będą grać w golfa na dnie oceanu...

- Mamo, chyba nie mówisz, że chodzi o... pieniądze? - Gordon spojrział na Keefer, która uśmiechnęła się do niego radośnie, machając w jego stronę łyżką, jakby mówiła: a co ty na to? Poczuj, że oczy go pieką i napełniają się łzami. - To znaczy pieniądze na wychowanie i w ogóle...

- To znaczy, że sąd raczej nie przyzna dziecka starej nauczycielce i jej mężowi, który sprzedaje witaminy. - Spojrzała na Marka. - Kochanie, przepraszam, ale wiesz, co mam na myśli... Skoro mogą ją dać bogatemu deweloperowi i jego małżonce po dobrej prywatnej szkole, ludziom, którzy pierwsze dziecko mieli w wieku lat trzynastu.

- Nie przesadzaj, mam. Ty po prostu nie znosisz Diany - powiedział Gordon. - W tym tkwi sęk.

- To coś więcej - odparła Lorraine.

- Chyba tak - dodał Mark. - Choć, być może, jesteśmy uprzedzeni.

- Nie bądź taki sprawiedliwy i nie gódź nas, Mark - syknęła Lorraine przez zaciśnięte zęby.

Gordon był przerażony. Matka i ojciec walczyli ze sobą. Kosmiczna katastrofa. Ostatni raz był świadkiem ich walki, kiedy Mark pozwolił Gordonowi zostać na noc u Daveya Obera, a tam dwaj bracia Daveya strzelali do wron z dwudziestek dwójek. Lor-

rairie zajechała z piskiem opon pod ganek Oberów, wyciągnęła Gordona za ramię, uśmiechając się do pani Ober i tłumacząc coś niewinnie o jakiejś rodzinnej uroczystości, o jakiej zapomnieli, dosłownie wrzuciła go na siedzenie, niemal wybiła mu zęb, gdy zapinała pas, i popędziła do domu; skręciła w Cleveland Avenue, rycząc na Marka:

- Żebyś mi się nie ważył puszczać go tam, gdzie broń leży na wierzchu!

Georgia wyszła i siadła obok niego. „Coś mi się zdaje, że jesteś uzziemiony na dwa tygodnie - powiedziała, uśmiechając się. - A może na więcej”. A on uświadomił sobie, właśnie wtedy, skąd rodzice dowiedzieli się o broni u Oberów. Jednak nie został uzziemiony. Lorraine wpadła jak jastrząb na werandę, przytuliła go mocno, mówiąc: „Mam cię tylko jednego, Gordie”, a Georgia przyglądała się temu z niesmakiem.

- Wiedziałaś, że tylko ty? - spytała matka teraz.

- Co tylko ja?

- Tylko ty możesz adoptować Keefer?

Wiedział, oczywiście, że wiedział. Ale wiedział teoretycznie. Nie w tej całej, obecnej, straszliwie wymagającej rzeczywistości.

- Keefer musi mieć prawdziwego ojca, nie tylko dziadków - powiedziała Lorraine, jak się Gordonowi zdawało, głosem słabym i dalekim.

- Nie wiem, czy jestem gotów, mamó.

- Ja też nie wiem, czy jesteś gotów - westchnęła Lorraine.

- Jest gotów - wtrąciła Nora. - Gordie, ty przecież nie będziesz sam. Masz nas. I Georgia ci pomoże. - Gordon spojrział w dobre, jasnoniebieskie oczy ciotki i nie miał serca wypowiedzieć się, co sądzi o życiu pozagrobowym. - Posłuchaj. Nie miałam zamiaru mówić tego teraz - ciągnęła Nora - ale zadzwoniłam też do agencji adopcyjnej. Dziś jeszcze pracownica społeczna wyśle nam wszystkie papiery i formularze. Powiedziała, że od razu mogą przysłać kogoś, kto przeprowadzi wywiad środowiskowy.

- Będziesz musiał się przeprowadzić - zaczęła Lorraine, pisząc coś w swoim notatniku. — Wiltonowie mają ładne mieszkanie na trzecim piętrze w wiktoriańskim domu przy First Street. Ich córka Judy uczy w pierwszej klasie. Musi mieć teraz ze czterdzieści lat. Mieszka na drugim piętrze. Helen Wilton mówi, że to pięk-

ne mieszkanie, tylko jedna sypialnia, ale naprawdę przestronna, nie taka jak ta twoja...

- Nora - dokończył Gordon.

- Kawalerska dziupła - powiedziała skromnie Lorraine.

- Nie mam zamiaru się przeprowadzać - upierał się Gordon. - Mam już urządzone mieszkanie.

Och, Georgio, pomyślał, a jedynie, co planowałem zrobić, to oprawić plakaty.

- To nie jest urządzone mieszkanie, Gordie - stwierdziła matka sucho. - I nie ma w nim miejsca na rodzinę.

Rodzina. Matka miała rację. Gdzie by Keefer spała? Na sofie? Pod sofą?

- Więc tak czy owak - ciągnęła Nora - pracownica społeczna przyjedzie we wtorek... Czy to ci odpowiada, Gordie? Nie za wcześnie, prawda?

Zdecydowanie za wcześnie, pomyślał.

Nora mówiła dalej:

- Nie sądzę, byś dał radę przeprowadzić się przed wtorkiem, ale Hayes, Rob i chłopcy pomogą ci przygotować mieszkanie.

~ - Czy powiedziałaś im wszystko? - Lorraine spytała Norę.

- To znaczy o Georgii i Rayu? Ta pani wiedziała. Oglądała w telewizji.

- Mam na myśli raczej Raya i Dianę.

- Powiedziałaś jej prawdę, Lorraine - odrzekła Nora dzielnie. - Powiedziałaś jej, że chcemy zaadoptować dziecko. O pierwszej przyjedzie zobaczyć się z Gordonem.

Lorraine sięgnęła przez stół i ujęła dużą, spracowaną dłoń Norę w swoją delikatną rączkę.

- Jesteś boska, Noro - powiedziała.

Gordon wciągnął Keefer na kolana. Jak najbliżej, pomyślał.

7

W dniu, który byłby drugą rocznicą ślubu Georgii i Raya, Lorraine i Mark zeszli z wąskiego trapu ośmioosobowego samolotu na płytę lotniska w Jupiter, po locie z przesiadkami z Wausau do Milwaukee i z Milwaukee do Tamy.

Upał był paraliżujący. Lorraine miała wrażenie, że skóra na twarzy skurczyła się o jeden numer już przy pierwszym podmuchu ciepła. Jak ludzie mogli tu żyć?

- Klimatyzacja - wyjaśnił jej Mark. - Nie wychodzą na dwór przez sześć miesięcy w roku. My zresztą też nie. Tyle że z innych powodów.

Mark przyznał, że właściwie ciepło mu odpowiada. Od tygodni było mu zimno.

Siedli blisko odbioru bagażu, Lorraine czuła się jak wróbel w zagrodzie dla pawia. Jak na obyczaje Tall Trees jej strój był elegancki, skromny, miejski. A na Florydzie wszystkie kobiety, a także mężczyźni - jak teraz sobie Lorraine przypominała z czasów, kiedy pierwszy raz odwiedzili Gordona i Georgię - najwyraźniej współzawodniczyli w konkursie na najbardziej udaną personifikację napoju z owoców tropikalnych.

- Przedtem modny był tu beż, teraz - ciemny turkus - powiedziała do Marka.

- Hmmmm - odparł, nawet nie udając zainteresowania. Lorraine poczuła przypływ gniewu. Dlaczego ona zawsze musi prowadzić takie rozmówki? Nie powinien ignorować faktu, że zaledwie dwadzieścia cztery miesiące temu o tej właśnie godzinie - te dwadzieścia cztery miesiące z popołudnia ich życia, które weszło w szarą monotonię wieku średniego - siedzieli w pierwszej ławce kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Jeziora, patrząc, jak ocierająca łzy Georgia ślubuje kochać i szanować Raymonda, męża, aż do końca swych dni. Płakali, a potem śmieli się, kiedy Georgia, po dwudziestym drugim pocałunku małżonków, spojrzała ukradkiem nad ramieniem Raya na zielony brylant, prezent dla pierwszordnego wnuka od matki Diany; Kathryn siedziała, kiwając głową i uśmiechając się, po drugiej stronie nawy kościoła, a jej gładka, pozbawiona zmarszczek twarz bliźniaczo przypominała twarz Diany.

Zielony brylant leżał teraz, lśniąc, w szufladce nocnego stoliczka Lorraine, zdjęty z palca Georgii przez Buda Chaptmana, wciśnięty w dłoń Lorraine przez płaczącą Natalie podczas kolacji po pogrzebie.

Dla Keefer.

Dlaczego Lorraine musiała nagle przyjąć na siebie rolę aktywizatora, animatora i wodzireja? Mark spał po szesnastu godzin na

dobę przez ostatni tydzień, a to przecież Lorraine przysięgła, że się podda... dziś rano spokojnie schowała arsenał pigułek w bieżnicy w torbie podręcznej, jakby układała jajka. Trzymanie bólu na odległość ramienia wymagało farmaceutycznej pomocy grupy bojowej. Kiedy ona wreszcie będzie mogła położyć się i opłakiwać?

W poniedziałek odbyło się pierwsze spotkanie z prawnikiem. Poszło świetnie. Żona Grega Katta była dawną uczennicą Lorraine. Wszystkim udzielił się jej entuzjazm. Gordon może starać się o adopcję Keefer na podstawie prawa stanu Wisconsin dotyczącego najbliższej rodziny. Paragraf mówiący o „przybranych rodzicach” odnosił się do wszystkich członków najbliższej rodziny: rodziców, ciotki, wuja, siostry, brata. Lorraine poczuła niewysłowioną ulgę. Na pracownika społecznego czekał gruby na dwa cale pakiet formularzy, które otrzymali już w ubiegłą sobotę. Jak wyjaśnił Katt, prawa opiekuńcze zawsze łatwiej przyznać rodzinie, którą małoletnie dziecko już zna i kocha. Greg Katt zrobił odbitki ksero znajdującego się w posiadaniu rodziny McKenna testamentu, jedyne, o jakim wiedzieli, i obiecał, że jeszcze w tym tygodniu porozmawia zarówno z prawnikiem, który sporządził pierwszy testament - Lorraine go nie znała, nazywał się Stacey Sweeney - jak i z mecenasem Liotisem, nowym adwokatem Raya.

- Emocje idą w górę w takich chwilach - powiedział, składając ręce opuszkami palców. - Ale proszę się nie martwić. Na początek złożę podanie o przyznanie tymczasowej opieki pani i pani mężowi. To ma sens. A jeśli Nye'owie też się o to zwrócą, to i co z tego? Państwo jesteście tutaj i ona jest tutaj. Kto pierwszy, ten lepszy, to znaczy, kto pierwszy złoży podanie, jego będzie pierwsze rozpatrzone. Nie powinno być trudności. Każdy sędzia zrozumie, że rodzina potrzebuje czasu, żeby ustalić pewne sprawy. I pozwolicie państwu Nye na takie same kontakty z dzieckiem, jakie mieliby, gdyby ich syn żył, prawda?

Wszyscy skinęli głowami.

- Nie przewiduję większego kłopotu. Jeśli tylko nie wystąpi ktoś z rodzeństwa Nye'ów, i to pozostający w związku małżeńskim, w ogóle nie widzę problemu. A nawet wtedy pozostanie argument, że Keefer jest już do państwa przywiązana, więc takie rozwiązanie jest najlepsze dla dobra dziecka.

Pytał o dotychczasowe kontakty: jak często Caroline i Alison przyjeżdżały do Keefer? Jak często bywały w Tall Trees? Czy zajmowały się dziewczynką, gdy przebywała na Florydzie?

Lorraine i Mark starali się udzielać jak najrzetelniejszych odpowiedzi. Lorraine została niejako zmuszona do uświadomienia sobie, jak wiele życia w ostatnim roku minęło niezauważenie na orbicie wokół choroby Georgii. Gordon pamiętał jedynie wizyty dziadków Keefer, kuzynki Raya, Delii, i jej męża Craiga, którzy nawet kilkanaście razy przyjeżdżali z Madison, zabierając ze sobą córkę Delii, Alex, rudowłosą nastolatkę, co to przywoziła Keefer swoje stare Barbie.

- Cóż - powiedział im Katt. - Prawo stanu Wisconsin przywiązuje wielką wagę do tego, co może być rozumiane jako najlepsze dobro dziecka. A wszystko tutaj świadczy, że w najlepszym interesie dziecka, które przeszło tak trudne... zmiany w swoim życiu, jest pozostawienie go tam, gdzie czuje się bezpiecznie.

We wtorek Katt złożył podanie. Sędzia wyraził zgodę na tymczasową opiekę, a rozprawa miała się odbyć za trzy miesiące.

A więc ją mieli. Przynajmniej w świetle prawa. Lorraine się zastanawiała, czy napisać o tym do Nye'ów, ale doszła do wniosku, że byłoby to niedelikatne. I niebezpieczne. W końcu Keefer w tej chwili znajdowała się na Florydzie. Nye'owie mieli ją w sensie fizycznym. Mark powiedział, że posiadanie fizyczne to dziewięć dziesiątych prawa. Lorraine przekonywała siebie samą, że zawiadomienie o przyznaniu tymczasowej opieki może poczekać, aż rodzice Raya zakończą żałobne obchody ku czci syna... a Keefer znajdzie się na tylnym siedzeniu wynajętego samochodu jadącego na lotnisko.

We środę, kiedy Cindy Rogan z Adoption Alliance przysłała przeprowadzić rozmowę z Gordonem w jego mieszkaniu pośpiesznie urządzonej starymi meblami, Lorraine i Mark zostali wzięci do niewoli przez inspektora z towarzystwa ubezpieczeniowego Northern Mutual, który przez dwie godziny męczył ich pytaniami o stan emocjonalny Raya. Należał on do mężczyzn tak drobnej postury, że wydawało się niemożliwe, by mógł kupować garnitury w dziale odzieży dla dorosłych; stereotypowo suchy i schludny facet z ubezpieczenia, z wąsami, które nie warte były ponoszonych zachodów. Poinformował ich, że Ray opłacił premię rzeczonyj polisy za trzy miesiące, płacił składki regularnie i o cza-

sie, tu westchnął, jakby to był powód do głębokiego żalu! Następnie wspomniął, że firma pragnie przeprowadzić wizję lokalną wypadku, w czym państwo McKenna mogą uczestniczyć, jeśli chcą.

- Skąd panu przyszło do głowy, że moglibyśmy chcieć? - spytał Mark.

Gordon czuł się pewnie podczas rozmowy, jak się dowiedziała Lorraine od Lindsay Snow, która wpadła do niego zaraz po pracy. Pracownica społeczna miała przyjść znowu, kiedy Keefer wróci, żeby obserwować jej relacje z Gordonem.

Było jedno zastrzeżenie. To dobrze, powiedziała dyplomatycznie Lindsay, że Gordon się wyprowadza, ponieważ Cindy Rogan miała obiekcje, że ulica jest ruchliwa. Więc następnego ranka Lorraine postarała się dopaść Helen Wilton, aby ją przekonać, że to Gordon powinien wprowadzić się do wiktoriańskiego domu, bo ona tak naprawdę wcale nie chce wynajmować mieszkania fotografowi, który ma robić dokumentację wykopalisk w Wood Violet Hollow. Człowiekowi, który jest tu dopiero od kilku miesięcy! Gordon na pewno będzie solidniejszym lokatorem, zapewniała słodko Lorraine. Lata upłyną, zanim będzie mógł sobie pozwolić na własny dom. Helen powątpiewała, jako że fotograf był samotny i mniej więcej w tym samym wieku, co jej niezamężna córka, Judy. Ale Gordon jest taki silny. Może wiele pomóc w domu A przy tym uczynny. A dziecko... Wreszcie Helen zmiękła. Lorraine pozostało jedynie porozmawiać z gospodarzem Gordona o wymówieniu wynajmu, co powinno być łatwe, ponieważ to jeden z długoletnich zastępców Dale'a Larsena.

Dla Keefer. To dla niej Lorraine przekroczyła rozsądne granice, czego u siebie nie podejrzewała: przymilała się, snuła intrygi i obmyślała strategię, choć każda najdrobniejsza myśl o Georgii, spojrzenie na zdjęcie córki zrobione z okazji ukończenia szkoły, wieszające na podeście schodów, sprawiały, że chciała zwinąć się w kłębek i zakryć uszy, jakby cierpienie było dźwiękiem nie do zniesienia. Dla Keefer. Dla Keefer.

Nie widzieli Keefer od tygodnia. Duży Ray i Diana zjawili się po nią z dwiema małymi walizkami na kółkach, pełnymi nowych ubranek.

- To stroje na lato - wyjaśniła Diana. - Ona się tam ugotuje w tych kombinezonach.

I choć popłynęły łzy, kiedy Lorraine przekazała Keefer drugiej

babci, Diana bardzo sprytnie powtarzała w kółko o własnym basenie dla dzieci, odkrytym basenie, gdzie jest tak bardzo miło cały czas! Wreszcie, nieśmiało, Keefer zrobiła pa-pa. Oddanie jej pozbawiło ich całej energii. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, a czekające ich małżeńskie łóżce było niczym pustka, tak zimne i nijakie jak śnieżne pole. Tym właśnie się staną, pomyślała Lorraine, kiedy się położyli - a ramię Marka automatycznie otworzyło się, żeby objąć jej ramiona - starymi ludźmi leżącymi w oczekiwaniu, w nieruchomym muzeum przeszłości, zapadającymi w stan zawieszenia, w dobrowolną hibernację. Gordon powróci do kawalerskiego życia, do dbania tylko o siebie, o swoją pracę, swoje przyjemności. Keefer. Keefer. Tęsknota Lorraine za łagodną krągłością pleców Keefer wtrąciła ją w długi, czarny, ciężki sen, pierwszy od wypadku. Obudził ich Gordon.

- Już pojechała, prawda?

Jego dobroduszną twarz była senna. Lorraine się posunęła, a on położył się obok nich. Leżeli tak, dopóki na dworze nie zrobiło się ciemno, bezpiecznie, żeby wstać. I wtedy z jakichś bliżej niewyjaśnionych powodów spędzili trzy godziny na sprzątanu domu, a potem zdecydowali się pojechać do mieszkania Georgii i Raya, by sprawdzić, które meble się nadają i nie kojarzą się na tyle boleśnie, żeby przenieść je do nowego lokum Gordona.

Zamki zostały zmienione.

Lorraine, wściekła, chciała natychmiast dzwonić do Nye'ów z najbliższego automatu. Ale Gordon wspiął się na balkon i wszedł przez okno. Ułożyli w stosy: ręczniki, sztuce i piękne, ciężkie emaliowane garnki Georgii. Popakowali w pudła wszystkie czapki Raya, żeby je wysłać jego rodzicom, z wyjątkiem jednej, czapki z Evans School, którą Gordon chciał wziąć na pamiątkę. Następnego ranka o siódmej Lorraine zadzwoniła do Masterlocka i kazała znów zmienić zamki.

Godzinę po wylądowaniu samolotu Mark i Lorraine wciąż czekali. Mark niecierpliwie nalegał, żeby wynająć samochód, ponieważ najwyraźniej, mimo obietnic, nikt się po nich nie zjawił. Ale w chwili, kiedy już zaczęli zbierać swoje rzeczy i rozglądać się za wypożyczalnią samochodów, przybiegł jeden z zięciów Nye'ów, machając do nich z daleka i potrząsając głową.

- Strasznie was przepraszam, kochani - powiedział. - Wszędzie stąd do Teksasu, na całej autostradzie trwają jakieś roboty

drogowe. Duży Ray i Diana dobiorą mi się do skóry. Długo czekacie?

- Nie - powiedział Mark. - Rozglądaliśmy się dookoła.

Znaleźli się w kraju palm i samochodów marki Porsche. Leland nastawił radio, które zagłuszało rozmowę. Powiedział im, że Keefer jest brązowa jak czekoladka, a Caroline zaręcza, że dziewczynka umie pływać. Miał ich zawieźć do domu Caroline, gdzie Keefer właśnie się bawiła. Wszyscy pozostali są w klubie, zajęci ostatnimi przygotowaniami do uroczystości. Jak długo zostaną? Mark się zawahał; myślał, że mogliby pojeździć trochę, może na campus, żeby obejrzeć dawną szkołę Raya i Gordona. Może na Przylądek Canaveral, skąd w sobotę miał być wystrzelony wahadłowiec; nie mógł ukryć, zauważyła z żalem Lorraine, nutki podniecenia dźwięczącej w głosie. Przyszło jej do głowy, że może kiedyś uruchomią program „dziadkowie w kosmosie”.

- No to świetnie - uśmiechnął się Leland, wyciągając ze schowka parę okularów przeciwsłonecznych z perłowym połyskiem. - Keefer będzie zachwycona, że z nią pobędziecie.

Mark i Lorraine wymienili spojrzenia. Mark wziął Lorraine za rękę.

Wreszcie Leland zatrzymał się przed domem w stylu hiszpańskim, stojącym przy bulwarze, porośniętym szeregiem cyprysów wyprężonych jak na warcie. Lorraine przystanęła na trawniku, nasłuchując. Usłyszała głos Keefer:

- Ptaszek! Ptaszek leci!

- To już całe zdanie - szepnęła do Marka.

Leland zaproponował, że podrzuci ich bagaże do Silver Shoals, gdzie zarezerwowali pokój, mimo protestów dużego Raya, że w ich domu jest przecież mnóstwo miejsca.

- Czy musisz wracać do biura? - spytała Lorraine. Nie miała pojęcia, gdzie pracuje Leland, ale jego samochód i ubranie nie wskazywały na zawód stolarza.

- Właściwie nie - Leland pochylił głowę. - Chwilowo mieszkam w moim klubie akademickim. Oboje z Caroline jesteśmy w trakcie ustalania pewnych spraw. To... zaczęło się jeszcze przed śmiercią Raya, a potem było jej tak ciężko. Nie muszę wam mówić, że kocham Nye'ów, wszystkich po kolei - ciągnął. - A rodzina - to rodzina.

- Przykro nam - powiedział Mark.

- Dajcie spokój, są gorsze rzeczy. Nie mam lepszego przyjaciela niż Caro. Na pewno się dogadamy.

A wtedy Keefer, a tuż za nią Caroline, przybiegła trawnikiem na bosaka i potknęła się, wywijając koziołka. Mark bezwstydnie gorączkowo, czego nigdy Lorraine dotąd nie widziała, pokrywał rączki, łokcie i czoło dziecka pocałunkami. Mark nie płakał z radości, odkąd... urodził się Gordon. Wszyscy siedli w wytwornym, lodowato chłodnym, choć słonecznym salonie Caroline, popijając miętową herbatę i podziwiając procesję zabawek, jakie Keefer zносиła jedną po drugiej i kładła babci na kolanach.

- Widzieliście już kogoś? - spytała żywo Caroline.

- Lelanda, który nas tu przywiózł. Chyba zamówimy taksówkę do hotelu - wyjaśniła Lorraine. - Chętnie wezmę kąpiel i może zabiorę Keefer na basen. Wiem, że jesteście bardzo zajęci.

- No, ona już się napływała! Nie będzie to dla niej wielka atrakcja - powiedziała Caroline.

- Przykro nam - zaczęła Lorraine. Na chwilę zapadła niezręczna cisza. - Leland wspomniał o waszych kłopotach małżeńskich. Że rozstaliście się, przynajmniej na jakiś czas...

- Nie ma sprawy, wszystko jest w porządku. Od dawna się na to zanośli. Po... śmierci Raya i Georgii postanowiłam przestać żyć tak, jakbym nigdy nie miała umrzeć. Mam dwadzieścia jeden lat i dotąd robiłam dokładnie to, co mi kazano! To tak jakbym miała trzy życia: jedno dla mnie, jedno dla rodziców Lelanda, jedno dla moich, ale za każdym razem, gdy sięgałam po swój kawałek, okazywało się, że jest coraz mniejszy.

Żadne z Mc'Kennów nie odpowiedziało. Natomiast odezwała się Keefer:

- Ptaszek?

- Mam trznadla - wyjaśniła Caroline. - I to jest teraz jej najlepszy przyjaciel. Wiecie co? Ona jest naprawdę cudowna. Jak taki mały, słodki miś koala. I tak przypomina Raya! Te nóżki! Wygląda zupełnie jak Ray na zdjęciach z dzieciństwa. A najbardziej podobna jest do mamy mego taty. Babcia Nye chyba nie żyła, kiedy Ray i Georgia się pobrali.

- Tak - powiedziała Lorraine.

- Aż sama nabrałam ochoty na to, żeby kiedyś mieć własne dziecko - ciągnęła Caroline beztrąsko, a Lorraine nagle stwierdziła, że spociała się w lodowatym pokoju. - Ale nie w tej chwili! Naj-

pierw chcę wreszcie użyć życia. Bardzo wcześnie wyszłam za
mąż, a my z Lelandem raczej nie będziemy mieć dzieci.

- Może jeszcze się ułoży - zauważyła Lorraine. - Na początku
każde małżeństwo jest niełatwe. Nie jesteście już parą chodzącą
na randki, a nie staliście się jeszcze prawdziwą rodziną.

- On jest gejem. I w tym rzecz.

- O! - wymknęło się Lorraine.

- Jest wspaniałym mężem, ale gejem. Czuję się, jakby ubierał
mnie mój własny, osobisty Versace. Ale to gej. Jego rodzice za nic
by się do tego nie przyznali, moi rodzice tym bardziej. Ale Ray
wiedział. On mi mówił: ratuj się, dziewczyno! Teraz nie mam już
starszego brata, który by mnie wsparł. To duży cios dla matki i dla
ojca, ale ja już naprawdę nie mogę dłużej udawać. Zresztą teraz
i tak dostali swoją ukochaną brzoskwinę, mają się czym zająć
i czym przejmować. Ja już dawno przestałam być dzieckiem.

- Caroline, czy mogę cię o coś spytać? Czy twoi rodzice robi-
li jakieś plany... co do Keefer? - spytał Mark.

- Jej pokój to istny F. A. O Schwarz*. Ma tam nawet zjeżdżal-
nię, prawda, słoneczko? Wpada prosto do łóżka. Ale nie potrafi na
nią sama wejść. Jest naprawdę bezpieczna...

- U nich domu?

- No bo Andy i Ali nie mogli się zdecydować. Szczerze mó-
wiąc, Ali ma pełne ręce roboty przy dwóch małych potworach...

- Chyba zamówimy taksówkę - powiedziała nagle Lorraine.

- Może macie ochotę coś zjeść albo czegoś się napić?

- Po prostu marzę o gorącej, a potem zimnej kąpieli - odparła
Lorraine, z roztargnieniem zbierając wszystko, co wyglądało na
własność Keefer. - Wiesz, jak to jest w podróży. Człowiek czuje
się brudny. Czy jest tu gdzieś jej torba z pieluszkami?

- Mama wysadza ją na nocnik...

- Ależ ona ma dopiero rok i trzy miesiące!

- Radzi sobie doskonale!

Keefer się uśmiechnęła.

- Czy możemy skorzystać z telefonu?

- Och, ja was zawiozę. Mamy spotkanie w poradni małżeńskiej
o czwartej. To było tak... - Caroline zmieniła się na twarzy. - To
niewyobrażalne. Stracić Raya. Ray był naszym bohaterem. I nie

* F. A. O. Schwarz - znany sklep z zabawkami.

wiem, czy powinnam o tym wspominać, ale... wiecie, że to jest ich rocznica ślubu.

Lorraine wstała.

- Wiem, kiedy jest rocznica ślubu mojej córki.

- Przepraszam, nie chciałam...

- Jestem pewna, że... Wiem. Wszyscy jesteście wykończeni. A teraz powiedz mi, czy uroczystości są jutro o dwunastej?

- Tak. A dziś wieczorem mama zaprasza was na kolację.

- Wiesz, Caroline, chyba nie przyjdziemy. Ja... nie czuję się dobrze - powiedziała Lorraine. - I chcemy oswoić na nowo Keefer. Pobyć z nią trochę.

- Mama i ojciec są bardzo wdzięczni za wszystko, co zrobiliście. Dla Keefer. I co zrobił Gordie. - Spojrzała na nich, odrzucając w tył blond loki. - Czy Gordie jest jeszcze kawalerem?

- Jest zaręczony - wyjaśniła Lorraine. - To znaczy niezupełnie. Nieoficjalnie. Ale pewnie niedługo poznacie Lindsay. - Mark wpatrywał się w nią. - To jego wielka miłość od dawna.

- Świetny facet - stwierdziła Caroline. - Bardzo atrakcyjny.

- Jest atrakcyjny, owszem - uśmiechnęła się Lorraine. - Więc zobaczymy się jutro. - Podniosła Keefer, ubranka i soki w butelkach się rozsypały. Mark usiłował je pozbiierać.

- Zostaw to, Mark! - szepnęła Lorraine, kiedy Caroline poszła po kluczyki do auta. - Chodźmy stąd jak najprędzej.

Mark posadził Keefer w foteliku na tylnym siedzeniu mustanga Caroline. Z kolanami pod brodą skulony na tylnym siedzeniu, wyglądał jak marionetka. Przed hotelem, na podjeździe wysypanym pokruszonymi muszelkami, Lorraine otworzyła niecierpliwie tylne drzwi, wyciągnęła Keefer, fotelik i resztę. Keefer spojrzała załóżnie.

- Ptaszek?

- Pa, pa, Kathryn - powiedziała Caroline, muskając ustami wyciągniętą rączkę dziecka. - Keefer Kathryn.

Mark i Lorraine stali w oślepiającym słońcu. Keefer kręciła się w foteliku. Mark wziął fotelik od żony i weszli, mrugając, do ponurego holu, gdzie na widok dwóch kaskad wody Lorraine doznała uczucia, że będzie musiała krzyczeć, żeby ją usłyszano.

- Chodźmy do pokoju! - zawołała do Marka.

Wrócił chwilę później z bardzo zażenowaną miną.

- Został opłacony - powiedział. - Tak długo, jak długo tu zostaniemy.

*

Cicho wjechali na górę szklaną klatką z milczącym windziarzem.

Keefeer skakała po podwójnym łóżku, podczas gdy Lorraine wertowała szuflady w poszukiwaniu książki telefonicznej.

- Wątpię, czy dziś będą jakieś loty. Ale możemy pojechać samochodem do Tamy. Właściwie możemy pojechać wszędzie...

Mark położył rękę na widełkach i przycisnął je.

- Zaczekaj, Lor. Wiem, o czym myślisz. Myślę o tym samym. Ale musimy być na tej uroczystości.

- Po co? Pytam się, po co? Naślą na nas republikańskich goryli?

- To nie żarty, Lor.

- Ja nie żartuję, Mark! -

- Wyśpijmy się najpierw porządnie. Zdecydujemy jutro. Zadzwońmy do Gordiego.

- Na krok się nie ruszę z tego pokoju.

- No to zamówimy sobie coś do jedzenia.

Mark przeżuwał pozbawione wyrazu żeberka, a Lorraine ignorowała koktajl z krewetek. Gordona nie było w domu. Nie wyszli z pokoju ani nie rozstawili łóżeczka. Keefeer spała między nimi, ssąc kciuk. Rano ubrali ją w białą sukienkę w stokrotki, która sprawiała wrażenie czystszej niż kiedy Diana wyjęła ją z papierowej bibułki w Tall Trees. Może to duplikat, pomyślała Lorraine. Zadzwonił telefon, przyjechał samochód. Lorraine uważnie obejrzała wewnętrzne zamki. Na parkingu przed klubem Nye'ów, tłoczyły się grupki identycznych młodych mężczyzn, wszyscy blondyni w czerwonych krawatach, kołyszący się na piętach, niespokojnie, w słońcu. W środku, przy wejściu do sali balowej, stały przeplecione razem wieńce: duże z białych róż i mniejsze z czerwonych pączków, a wszystko razem przynajmniej na cztery stopy wysokie. Na wstążce widniał napis: „Pomyślnej gry, Raymundo - od kumpli z Knockers”.

- Nie myślałem, że to może być... takie trywialne - powiedział Mark.

- Nie słyną z dobrego gustu, ale z upodobań do zabawy - odpowiedziała Lorraine. Nigdy nie wyraziła otwarcie niezadowolenia ze sponsora swego zięcia, sieci restauracji, do których z Markiem ani razu nie poszli, gdzie obsługiwały kelnerki w bikini, jeżdżące na wrotkach w butach z czarnymi skórzanymi cholewami do kolan.

Carl Jurgen zauważył ich z drugiego krańca wielkiej, lśniącej podłogi i ślizgając się, podszedł, żeby się przywitać. Za nim nadeszła Diana Nye, skromna i przygaszona, w czarnej spódnicy i białej bluzce z długimi rękawami; jej artystycznie przycięte włosy były przypłaszczone i ze zgrozą Lorraine zauważyła w nich żółtawe odrosty.

- Wyglądam okropnie, wiem. - Diana zdawała się czytać w myślach Lorraine. - Ale dla nas ten moment jest najgorszy. To już naprawdę koniec. Musimy się z tym pogodzić, że on nigdy więcej nie wejdzie kuchennymi drzwiami i nie zabierze mnie na...

Pod wpływem fali żałości i smutku Lorraine otworzyła ramiona, Diana pozwoliła się objąć.

- Czy kiedykolwiek miałas wrażenie, Lorraine, że tracisz rozum? W sensie dosłownym? Że wszystko odpływa?

- Codziennie je mam.

- Co wtedy robisz?

Myślę o Keefer, pomyślała Lorraine, pamiętam o Keefer. Pamiętam o Gordonie.

- Staram się myśleć o przyszłości, ponieważ nie mam wspomnień o szczęśliwej przeszłości.

- Boga nie ma, Lorraine - powiedziała Diana.

- Sama chwilami się nad tym zastanawiałam. Ale wolę myśleć, że jest.

- Czy bierzesz antydepresanty? - spytała Diana.

- Na razie nie - mruknęła Lorraine, myśląc o swoich zapasach.

- Boga nie ma lub jest szalony - ciągnęła Diana. - Cześć, Mark! - Dotknął jej ramienia. - Witaj, moje słońeczko. Rozumiem, że Bóg potrzebował jednego z nich. Ale oboje? Raymond był... był niezwykłym człowiekiem.

- To był dobry, porządny chłopak - zgodziła się Lorraine, myśląc, że Gordon miał rację. Ludzie dobrej woli potrafią znaleźć kompromis. Nie brała pod uwagę możliwości zaprzyjaźnienia się z Dianą, ale było coś, co mogło je połączyć: wspólna miłość do Keefer.

- Czy przyjdziecie potem do nas na kolację? - spytała Diana. - Myślałam tylko o nas czworgu. Żebyśmy mogli porozmawiać.

- Oczywiście - powiedziała Lorraine. - Chętnie przyjdziemy.

- Oboje z dużym Rayem pragniemy porozmawiać z wami, jak dziadkowie z dziadkami. Mam nadzieję, że wszystko się jakoś

ułoży. Chcemy, żebyście zawsze stanowili ważną część życia tej dziewczyny. Zawsze. - Diana spojrzała Lorraine w oczy. Lorraine wyobraziła sobie w centrum oka Diany żółtko jajka, rozszerzające się i kurczące. - Szkoda tylko, że mieszkacie na tym cholernym, przepraszam za wyrażenie, biegunie północnym! Pragniemy, żeby wyrastała wśród... chyba mnie rozumiesz, Lorraine. Też chcesz dla niej jak najlepiej. Wiem, że tak.

Delikatny deszcz dźwięków gitary dał sygnał do zajmowania miejsc. Wielki i poważny, ubrany w szary garnitur duży Ray skinął głową McKennom i podszedł do Diany. Mark szepnął cicho do ucha Lorraine:

- Posłuchaj mnie uważnie. Zachowuj się, jakby nigdy nic. Słyszałem, co powiedziała. Wiem, co to znaczy. Na razie wyjdę stąd po cichu, a ty weź Keefer i zajmij miejsce. Kiedy wrócę, obiecuję ci, że wszystko będzie załatwione tak, byśmy mogli jechać do domu. Obiecuję, Lorraine.

Serce Lorraine załomotało w piersi. Uśmiechnęła się szeroko do Marka, do całej sali. Przyklękła i wzięła dziecko na ręce. Gitarzysta grał coś smutnego i hiszpańskiego. Potem usłyszeli daleki dźwięk kobzy, który przybliżał się coraz bardziej, aż do sali wkroczył wolno młody mężczyzna w szkockim tartanie. Stał naprzeciw zgromadzonych i zagrał piosenkę, którą Ray i Georgia wybrali na swój ślub, starą balladę zatytułowaną *Dziki górski tymianek*. Lorraine zwilgotniały oczy, podeszła i usiadła obok Diany, sadzając Keefer między nimi.

Wstał Carl Jurgen i zaczął przemawiać:

- Wy wszyscy tu obecni znaliście Ray a Nye'a równie dobrze jak ja. Widywaliście go na boisku, w szkole, w domu, gdzie wyrastał i gdzie nadal mieszkają jego rodzice. Myślałem, że będę dużo starszy, przemawiając na uroczystości żałobnej ku czci mego najlepszego przyjaciela. Myślałem, że to może Ray będzie przemawiał na moim pogrzebie. To, co powiem dzisiaj, to najszczerza prawda. Powiem krótko: Ray Nye Junior był fenomenem. Mógł pić co noc... oczywiście nie twierdzę, że pił całe noce... a potem wracał do domu, siedł na zajęcia i pomagał Gordiemu, kiedy ten tłukł głową w ścianę nad równaniami różniczkowymi, i tłumaczył mi, czym różni się Locke od Hume'a. Nigdy nie widziałem, żeby Ray zakuwał, a jednak wiedzę miał ogromną i chętnie nią się dzielił. Oddałby wam swoją ostatnią koszulę, tak wiel-

ką, że można by pod nią zamieszkać, dałby wam swoje odpowiedzi z testu... choć oczywiście - Jurgen uśmiechnął się blado - oczywiście nigdy tego nie zrobił. Ray wierzył, że to wszystko należy do wszystkich.

A ponieważ wierzę, że on w tej chwili patrzy z góry na mnie, opowiem wam pewną historijkę jeszcze ze szkoły. Kiedy obaj z Rayem byliśmy na drugim roku, uznaliśmy, że nasi ojcowie nie finansują nas w stopniu zadowalającym. W związku z tym jeździliśmy do Pelican Point, i tam kręciliśmy się po polu, wyciągając piłki, często przez wiele godzin, i czekaliśmy na odpowiednich facetów... takich tam, z Plum w Pensylwanii czy z Iron River w Michigan. Ray potrafił ich bezbłędnie wyczuć, może dlatego, że on sam ufał ludziom. Jesteśmy studentami z college'u, mówił im Ray, i trochę gramy. I zaczęliśmy na sztywnych z przejścia nogach. Każdy, kto kiedykolwiek widział, jak Ray Nye grał w golfa, wie, że bardzo wolno brał zamach. Kiedy się na niego patrzyło, wydawało się, że nie, to niemożliwe, piłka zaraz się osunie z kołeczka tee*, jak musztarda na krawat niedołęznego staruszka. I właśnie tak robiliśmy najpierw. Diano, zatkaj uszy, jeżeli nie możesz tego znieść...

Ale Diana uśmiechała się, podobnie jak Alison, która wślizgnęła się na miejsce obok matki razem z dwoma chłopaczkami gładko uczesanymi i ubranymi jak uczniowie Eton.

- Wybijaliśmy piłkę na drogę. Dostawialiśmy karne uderzenie. Wybijaliśmy piłkę na drzewo. I potem, w którymś momencie, proponowaliśmy zmianę punktacji.

Jak długo, pomyślała Lorraine, nie ma już Marka? Czy ktoś coś zauważył, mimo oślepiającego blasku uroku tego chłopca?

— Nie gram dobrze, przyznawał Ray, zgodnie z prawdą. On w tym momencie naprawdę nie grał dobrze. Zabawa zaczynała się przy piątym tee**. Zastygłem na chwilę nieco przerażony, gdy Ray delikatnie, zawsze bardzo delikatnie, sugerował, że muszę z kumplem nadrobić straty, więc zamiast pięćdziesięciu centów za punkt może będzie po dolarze. Czy zgadzam się? Moim zadaniem było potrząsnąć głową, ale do tego czasu pan Plum i pan Iron River już dawali się wciągnąć w szal współzawodnictwa. Nie potrzebowali więcej zachęty. A wtedy Ray stawał, dziesięć minut

* Kołeczek, na którym kładzie się piłeczką golfową przed uderzeniem.

** Tee - określenie miejsca na polu, gdzie gracze rozpoczynają grę na dołku.

brał zamach i posyłał piłkę na odległość trzystu jardów, nie więcej... na Pelican Point było par cztery, trzysta dwadzieścia jardów od tee... i zawsze wydawało się, że gramy z wiatrem. No a potem wbiął piłkę dwa uderzenia poniżej para dołka. I mówił - Boże, miej go w swej opiece! - „Idzie mi teraz lepiej, czy podwoimy stawkę?” Ray Nye Junior podczas gry nigdy nie musiał się wysilać, tak jak nie musiał zakuwać, żeby dostać dziewięćdziesiąt siedem punktów, podczas gdy reszta z nas w pocie czoła pracowała na trójki. Nie musiał też pchać się do nieba, bo niebo samo go wybrało.

Zapach doleciał do nozdrzy Lorraine dokładnie w momencie, kiedy Diana, z twarzą wzniesioną w zachwycie nad finalnymi słowami Carla, drgnęła, odwróciła się i skrzywiła delikatnie. Twarzyczka Keefer była czerwona z wysiłku, pulchne nóżki wbijały się w składane krzeselko.

Lorraine szepnęła jakieś niemądre słowa przeprosin, chwyciła dziecko na ręce i wyniosła w stronę drzwi, rozsiewając po drodze niemiłe wonie, śpiewając przy tym w duchu: Dziękuję ci, Keefer, dziękuję ci! Mark stał w przejściu, tuż obok gigantycznych kwiatowych okropieństw. Uciekli. Lorraine miała wrażenie, że nie przestawali uciekać ani na chwilę, przez całe dziewięć godzin, aż do czasu, kiedy przekręcili klucz w zamku domu w Tall Trees i zobaczyli lampkę automatycznej sekretarki, w ciemnościach pulsującą czerwienią.

8

Miejsce nad jeziorem Spirit należało do nich. Zyskali do niego prawa... jak dawno temu? Osiem lat? Więcej? Dla nich obojga ta noc sprzed lat była pierwszym razem, i wszystko się skończyło, zanim się zaczęło. Lindsay go pocieszała, mimo własnego bólu i krwi, którą musieli sprać z jej białego swetra, mimo ogromnego wstydu: „W porządku, Gordie, naprawdę w porządku, sama tego chciałam, chciałam tego”. Nie potrafiłby określić tego inaczej niż niewinne, niż szczere i serdeczne jak dziecięce Boże Narodzenie. Miał wtedy niecałe szesnaście lat, ona była dwa lata starsza - dziewczynka „z dobrego domu”, która przyjaźniła się z Georgią,

kiedy zaczęło się pełne euforii staczanie w stronę grzechu. Przedtem szczytem jego doświadczeń seksualnych było ściskanie przez sweter piersi Annie Toffer przy stole do bilardu na przyjęciu urodzinowym Tima w dziewiątej klasie, podczas gdy pani Upchurch pięćdziesiąt stóp dalej przygotowywała w kuchni kanapki z mięsem i sosem. Jako studentka trzeciego roku college'u Lindsay była dla niego nieosiągalna. „Ale ona ma na ciebie ochotę”, zapewniła go siostra. I Georgia poszła z nimi, żeby zmylić rodziców.

Film, na który się wybrali, był produkcji szwedzkiej, z napisami. Georgia przekonała matkę, że Gordon musi go zobaczyć, żeby zaliczyć geografię świata. Zanim weszli na salę, Georgia, jak to było wcześniej umówione - a Gordon udawał, że nic o tym nie wie - zostawiła ich i poszła z jakimiś znajomymi na spacer. Lindsay i Gordon nie wysiedzieli do końca częściowo dlatego, że film był nudny, a częściowo z powodu gorąca dwóch splecionych rąk.

Kiedy Lindsay zgodziła się na propozycję Gordona, żeby się przejść nad jezioro Spirit, zastygł ugodzony w nogę erekcją wielkości Empire State Building. Oczekiwał najwyższej pretekstu, żeby objąć ją ramieniem w niebieskim świetle księżycy. Najlepsza technika całowania według teoretycznej opinii Tima polegała na otwarciu ust suchymi wargami, nie językiem, a dopiero potem, jak wszystko pójdzie dobrze, na dalszej eksploracji.

Tymczasem ich pierwszy pocałunek udał się naprawdę, i to Lindsay, podobnie jak inne dziewczyny, które kochał, podbiła stawkę, wyciągnęła mu koszulę ze spodni, aż jego delikatna skóra dotknęła jej delikatnej skóry, no i potem nie było już odwrotu. Nie było też prezerwatywy, co przyprawiło Gordona o trudne... och, najwyższej sześćdziesiąt pięć sekund... ale przecież wiadomo było, że niemożliwe jest, aby dziewczyna zaszła w ciążę już od pierwszego razu. O biologii ludzkiego ciała wiedział wtedy mniej więcej tyle, co o kwartalnym podatku dochodowym.

Nieprzytomny uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, nie uszedł uwagi Tima następnego dnia na spotkaniu kościelnej grupy młodych.

— No nie, McKenna - skrzywił się. - Tylko mi nie mów. Wiem, że to zrobięś. Nie mogę uwierzyć, że to zrobięś. Do jasnej pieprzonej anielki, zrobięś, czy nie?!

Gordon pewien był, że wiele spacerujących par, dzieciaków z wiaderkami i łopatkami, Starszych ludzi z lornetkami, nastolat-

ków z kartonami piwa i fajkami pochowanymi po kieszeniach chłapie się na tym niewielkim, seksualnie uświęconym piaszczystym brzegu, tworzącym jakby miniaturowy port. Ale oni z Lindsay nigdy ani razu nie spotkali żywego ducha podczas swoich wypadów. Lindsay nazywała to magią, Gordon - szczęściem. Jako nastolatki robili to tak nadzy, że już tylko skórę mogliby z siebie ściągnąć, z przodu i z tyłu, usta na piersiach, usta na udach. Pierwszy raz, kiedy Lindsay dotknęła go ustami, eksplodował na jej piersi i na warstwy ubrań, na których leżeli. (Następny sweter, następny ukradkowy zakup wywabiacza do plam w Smart-Mart, następne pranie). A kiedy dorośli i uświadomili sobie, że będą żyć wystarczająco długo, żeby zrobić to jeszcze, przyrzucali się śpiworem albo zostawiali górną część odzieży, rezygnując z tylnego siedzenia w cadillacu na rzecz motelowych łóżek.

Teraz mieli mieszkania. Byli dorosłymi ludźmi, po piątym czy szóstym odrodzeniu ich związku, jakkolwiek by był, i wciąż przyjeżdżali nad jezioro. Dzisiaj był Czwarty Lipca i tak wczesny poranek, że nawet ptaki śpiewały, jakby jeszcze całkiem nieoprytomniały.

I choć Gordon w zasadzie nie czuł przygnębienia, przemknęło mu przez myśl, że to miejsce nigdy więcej nie będzie należeć do nich tak jak w tej chwili.

Czuł się starszy i dużo poważniejszy po kilku tygodniach, które upłynęły od śmierci oraz od początku prawnych zmagania i świętego ojcostwa. Spróbuj, powiedział sobie. Raduj się każdym kawalerskim dniem, jaki ci został. Każdy taki dzień, kiedy Keefer była u rodziców, a on mógł wstać i leniwie zacząć zwykłą krzątalinę, przeczytać gazetę od deski do deski, podrywać z Churchem panią na parkingu Biura Weteranów Wojennych, każdy taki dzień powinien być szczęściem, podarkiem od losu.

Ale pierwsze złowieszcze akordy wieczystej odpowiedzialności nie dawały się łatwo wyciszyć. Matka dała mu wysłuchać wiadomości, które Diana Nye zostawiła na automatycznej sekretarce po ucieczce rodziców z uroczystości żałobnych ku czci Raya - posunięcie to w opinii Gordona było nieco histeryczne. Diana była opanowana, ale najwyraźniej wściekła.

- Przykro nam, Lorraine, że musieliście wyjechać tak nagle - powiedziała. - Ale niedługo się zobaczymy. Zamierzaliśmy wam powiedzieć, gdybyście nam dali szansę, że duży Ray chce przejść

na część etatu, a Delia i Craig znaleźli dla nas niewielkie mieszkanie w Madison, więc mogę przyjechać na lato. Przynajmniej na lato... - W tle zahuczał niezrozumiale głos dużego Raya. - I będziemy starać się o przyznanie praw opiekuńczych na stałe... nie obchodzi mnie to, Ray... to żaden sekret, a poza tym tego chcieli Raymond i Georgia. Mamy notatki, przygotowane przez pana Liotisa do testamentu, który mieli spisać... Ona nosi nazwisko Nye, Lorraine. Wiesz o tym... - Znowu dały się słyszeć jakieś pomruki i wtedy Diana weszła ostro: - Powiedziałam, Ray, że mnie to nie obchodzi. No, dobra, to bądźcie zdrowi i ucałujcie od nas naszą dziecinę.

Matka musiała odsłuchiwać wiadomość z dziesięć razy, doszukując się znaków i złowrogich zapowiedzi w intonacji głosu. W ciągu ostatnich dni Lorraine odprawiała takie same rytuały jak babcia Lena: Nie kładź kapelusza na łóżku, Gordie, to wróży nieszczęście. Nie otwieraj, Gordie, okna, kiedy te ptaszyska siedzą na jabłonce. Jeśli ptak wlatuje do domu, to znaczy, że niedługo ktoś z rodziny wyleci. Doprowadzała go tym do szału. Jediną pociechą było to, że sprawa Keefer wyrwała częściowo matkę z letargu, który owładnął nią po śmierci Georgii. Dzięki energii płynącej z rozpaczy zachowywała się niemal tak jak dawniej.

W sumie to ona najczęściej porozumiewała się z Gregiem Katttem. Gordon nie był na tyle dorosły ani dojrzały, żeby „mieć” prawnika, podobnie jak nie wyobrażał sobie, że może „mieć” doradcę majątkowego.

Pewnie przydałby mu się doradca majątkowy. Ale co tam! Na razie, jego zdaniem, cały niepokój był niepotrzebny. Teraz, kiedy karty leżały na stole, jasne było, że jedyne, co Nye'owie mogą zrobić, to opóźnić to, co i tak jest nieuniknione. We wrześniu Gordon będzie ojcem Keefer. Nye'owie, niezależnie od tego, czy będą mieć mieszkanie w Madison, czy nie, pozostaną dla Keefer jedynie dalszą rodziną. Pierwszy testament był jedynym, jaki został sporządzony i podpisany, i on będzie wiążący. Nawet kiedy Katt zadzwonił do Gordona i jego rodziców z wiadomością, że Delia i Craig Cady przebąkują coś o planach starania się o adopcję Keefer, przekonywał ich, że to niegroźna wiadomość. Przyjaciele, choćby byli kuzynami dziecka, nie zastąpią najbliższej rodziny.

Na razie spłynęła ulewa dokumentów.

Nye'owie złożyli w okręgu Dane podanie o przyznanie stałych

praw opiekuńczych. Ale Katt powiedział, że Nye'owie nie są mieszkańcami okręgu, a pozew McKennów, złożony wcześniej, ma pierwszeństwo. Dla nich punkt.

Oczywiście, Katt będzie musiał udać się na rozprawę... nawet błahe sprawy musiały przejść procedurę sądową, a rozprawa była czymś, czego prawnicy nigdy nie robili za darmo... Jakies wyjazdy, jakieś opłaty, nic nie posuwało się naprzód.

Następnie Delia i Craig Cady wyrazili chęć adoptowania Keefer. Gordon poczuł lekki niepokój; dopiero niedawno przeszedł kontrolę warunków mieszkaniowych i nie miał jeszcze okazji złożyć podania o adopcję! Ale Katt przypomniał Gordonowi i jego rodzicom, że u Gordona przynajmniej była już kontrola. To świadczy o intencjach. Skoro wuj oficjalnie wystąpił, a zrobił wszystko, z wyjątkiem załatwienia ostatecznych formalności, inne pozwy wypadną błado. Drugi punkt dla was, państwo McKenna.

Pewnego wieczoru Katt zadzwonił bezpośrednio do niego, pomijając Lorraine i Marka. Gordon od razu zorientował się po dźwięku dobiegającym ze słuchawki, że nie jest to ktoś mu znany. Jedyną osobą mającą telefon komórkowy, dzwoniącą do niego regularnie, był Church, a telefon Tima (służbowy) okazał się urządzeniem na tyle doskonałym, że Gordon nie mógł odróżnić go od połączenia stacjonarnego. Tymczasem telefon komórkowy Katta dawał efekty takie, jakby głos dochodził spod wody, w dodatku w trakcie walki na noże. Tego rodzaju głosy oboje z Georgią nadsładowali w swoim nadmuchiwany basenie; chodziło o to, żeby zgadnąć, co mówi druga osoba z głową zanurzoną pod wodą.

Katt spytał o stosunki Gordona ze starszymi Nye'ami.

- No więc - odparł Gordon wolno - na początku dobre, a teraz fatalne.

- Nie chodzi mi o to, co pan do nich czuje - dodał Katt. Gordon dosłyszała szelest papieru; czyżby Katt miał biurko w samochodzie?

Czy Gordon będzie miał zastrzeżenia, ciągnął Katt, jakich nie było dotąd, żeby Ray i Diana jako dziadkowie mieli normalne kontakty z Keefer? Po tych wszystkich słowach, jakie między nimi padły, i posunięciach z obu stron? Katt zrozumie, absolutnie zrozumie, jeżeli Gordon wyrazi takie zastrzeżenia - z drugiej zaś strony deklaracja chęci „otwarcia się” dla dobra Keefer może wyrobić im korzystną opinię w oczach sądu.

Przeżaszony Gordon w pierwszej chwili wyjąkał: nie, potem: tak, a wreszcie: skąd, do diabła, ma wiedzieć... jakby mieli zachować się jak jakieś potwory, na pewno nie pozwoli im zbliżyć się do niej. Ale jeśli będą zachowywać się przyzwoicie, tak jak przedtem, jeżeli sprawy ułożą się jak należy, kiedy już wszyscy otrząsną się z przygnębienia po poniesionej stracie...

- Musimy poczekać i przekonać się, czy wszystko wróci do normalności - powiedział, a pomyślał: My, to znaczy kto? Mówił o sobie jak wielcy ludzie, stosując liczbę mnogą.

- Sytuacja nigdy już nie wróci do normalności - przypomniał Katt.

- To znaczy, stanie się tak normalna, jak to tylko możliwe.

- No tak, jasne.

- Wtedy, owszem... mógłbym zgodzić się na... jej kontakty z nimi. - Gordon poczuł się znowu jak oszust, jak facet, który pracuje w weekendy, dłubiąc coś tam przez dziesięć minut, a potem budzi się pewnego ranka i dowiaduje się, że odziedziczył cały biznes; ludzie w pokorze przychodzą i zwracają się do niego per szefie. Z trudem wyobrażał sobie siebie omawiającego „kontakty” i „ustanowione widzenia”... czy nie powinni raczej zadzwonić do jego ojca? Albo do matki? Ale w końcu przełknął to i udało mu się spokojnym głosem zapewnić Katta, że tak, teoretycznie - teoretycznie! - chce, żeby Keefer miała kontakty z rodziną. Katt odpowiedział łagodnie:

- Zobaczmy, zobaczmy.

Kiedy Gordon odłożył słuchawkę, zastanawiał się, czy naprawdę miał taki zamiar. Czy ten wyłom - zamieniający się w otchłań, wsysającą więzy rodzinne, które dotąd wydawały się niezmiennie, jak niezmiennie wydawały się dziury w jezdni, domy, sklepy i ankiety telefoniczne - kiedykolwiek zostanie zasypany i zakryty?

Czy będzie mógł zaufać -jeszcze - Rayowi, Dianie, Delli i jej mężowi, że będą grać uczciwie w sprawie Keefer?

Czy rzeczywiście kiedykolwiek ufał im w tym względzie? Czy tak naprawdę - ta myśl dźgnęła go, jakby dostał pogrzebaczem w pierś, aż przystanął na środku pokoju - uznawał w pełni Raya za jej ojca? To przecież Gordon wykonywał wiele czynności należących normalnie do ojca. A może na długo, zanim umarła Georgia, myślał o sobie jak o ojcu Keefer, zastępczym ojcu?

Zaczęły przychodzić rachunki. Przystudiował sprawozda-

nia z pierwszego miesiąca, Gordon doszedł do wniosku, że Katt, spędzając piętnaście minut na czytaniu listu od prawnika, który przygotowywał pierwszy testament Raya, musiał bardzo wolno czytać. Dochodziły do tego sądowe przesłuchania plus honorarium doradcy do spraw adopcji.

- To świetny fachowiec. Z Madison - powiedział im Katt. - I nawet jeśli tak naprawdę jej nie potrzebujemy, lepiej jest ją mieć po swojej stronie, co?

Mogło to pociągnąć za sobą niewielkie koszty, uprzedził Katt. Nie jakieś duże sumy. Mniej więcej tyle, ile zapłaciłaby para małżeńska za zaadoptowanie dziecka.

Gordon miał trochę oszczędności. Przypuszczał, że rodzice zgromadzili mnóstwo pieniędzy. Nie myślał o swoich rodzicach kryteriami ekonomicznymi - odkąd bez ogródek odmówili mu kupna motocykla - tak jak, będąc dzieckiem, nie martwił się, że kończą się opakowania ze skarpetkami i majtkami w jego szufladzie, ani się nie zastanawiał, skąd biorą się czeki w kopertach ze starannie popisanymi nagłówkami: „Czesne”, „Opłaty” i „Książki”, wtykane do worka z jego rzeczami. Pieniądze nie stanowiły problemu. Gdyby tak było, przecież by mu powiedzieli. Prócz kontroli warunków domowych w sympatycznym wykonaniu Cindy Rogan Gordon będzie musiał uzyskać opinię psychologa. Ale nie ma się co tym przejmować, powiedział Katt, to standardowa praktyka, żeby wykluczyć wszelkie przeciwwskazania. Zrobi to wyznaczony przez sąd prywatny psycholog. Katt poczynił już przygotowania... niedługo. W lipcu czy kiedy tam.

Wielkie rzeczy! Gordon bardziej przejmował się badaniami lekarskimi. Testem na AIDS. W zawodzie nauczyciela obowiązywał ten test i oczywiście wypadł dla niego pomyślnie. Ale jeden test nic nie znaczył, jeśli się wzięło pod uwagę pewną noc sprzed ponad dwóch lat. Na Galapagos - Chryste! ledwo to pamiętał. Dziewczyna, wdzięk i czar, narody zjednoczone w jednym, i czarna, i Azjatka, z zielonymi oczami: parkiet taneczny w plażowym barze urządzonym w walącej się chacie, wysokoprocentowy napój, który smakował jak tang, a napalił go tak, że niemal chodził po Księżycu. Prezerwatywa nie pękła. Wiedział to. Ale była to jakaś piekielna prezerwatywa z Trzeciego Świata, a ona naciągnęła ją zębami... Boże! Przecież nie może umrzeć. Nie może umrzeć ze względu na Keefér. Nawet nie za dwadzieścia lat od tej chwili. Le-

zał rozbudzony na łóżku, słuchając, jak Keefer śpiewa - było to w jedną z dwóch nocy, gdy zgodziła się zostać sama na dłużej niż piętnaście minut - myślał o AIDS i wirusie ebola, i o tych wszystkich gorących, dzikich i wspaniałych miejscach, gdzie go rzuciło, gdzie się skaleczył, zadrapał, został pogryziony przez owady, spalił się na słońcu, kiedy nie przypuszczał, że będzie ojcem swego małego kwiatuszka, swego osieroczonego dziecka. Jak jakiś psychol podszedł i wziął Keefer na ręce i kołysał ją w ramionach, stojąc w oknie, aż sam zrobił się senny, a ona całkiem wybiła się ze snu.

Wszystkie te sprawy były takie... nudne. Zawsze stawały na drodze jak ogromne żółwie: ani ich przetoczyć na bok, ani przejechać.

Bał się, że stanie się taki jak matka, rzucająca sól przez lewe ramię, by odczynić urok.

Przyłapał się na tym, że myśli o jednym głupim zdarzeniu, o jakim od lat nie pamiętał, o bracie babci McKenna, tym okropnym Haroldzie, który zapytał Lorraine, w jego obecności - dobra, Gordon może był dzieckiem, ale nie cierpiał na głuchotę - czy nie było „przypadków szaleństwa w rodzinie tego chłopca?”

Aż dotąd - nie, brzmiała lodowata odpowiedź matki.

Co zrobił takiego, że wywołało to taką uwagę stryjecznego dziadka? Jakiś durny, dziecinny wygłup, jak dokonany przez niego i Pata Chaptmana wynalazek gilotyny dla Barbie czy coś w tym rodzaju? Zgryźliwy starzec przenoszący swoje problemy na dzieciaka. Widział to wszędzie dookoła, będąc nauczycielem. Dorośli w swojej władzy mogli zadać wiele bólu. Jego koledzy z pracy robili to cały czas, dzieląc miasto na „rodziców z domów” i „rodziców z baraków”. Myśleli, że dzieciaki nie wiedzą, ale dzieciaki wiedziały wszystko.

Kiedy był mały i jechał na rowerze przez Wildflower Trailer Park, niemal każda blondynka paląca papierosa na metalowych, składanych schodach stawała się w jego wyobraźni biologiczną matką. Nie żeby się bardziej interesował matką. Rodzice zdradzili mu jej imię - Heather. Miała zaledwie piętnaście lat, kiedy on się pojawił. Gdy Gordon był jeszcze mały, Lorraine powiedziała mu, że ślad Heather zagubił się gdzieś w Milwaukee. Zrobili, co w ich mocy, przepraszała Lorraine, to było trudne, bo adopcje w latach sześćdziesiątych były „dyskretne” ze względu na udawa-

nie, które zresztą przeważnie kończyło się po jakimś czasie. Jakby o to dbał. Nie dbał. Nie zaprzętał sobie tym głowy. Tyle że wkurzał się, kiedy ktoś robił jakąś uwagę. Od czasu do czasu w szkole padało pytanie: To znaczy pani McKenna nie jest twoją prawdziwą matką? To kto jest? Olivia Newton John, powiedział temu obrzydliwemu Ryanowi Reilly. Ja cię, sapał Reilly, naprawdę? Ryan Reilly miał tyle rozumu co stołowa noga. Nie, sprostował Gordon, tak naprawdę to twoja matka.

Jego pierwsza walka na pięści była właśnie o to.

Gordon nie mógł przewidzieć, że coś takiego jak adopcja, coś dla niego zwyczajnego, stanie się palącym, jęczącym problemem w dorosłym życiu. I to nawet nie jego adopcja czy Georgii. Georgii przeszła okres typowej głupoty, zaczerpniętej z filmów telewizyjnych, kiedy wyobrażała sobie, że jej biologiczna matka jest słynną uczoną z Harvardu, angażującą wszystkie możliwe służby wywiadowcze, żeby odnaleźć swoje zaginione dziecko i oddać mu klejnoty przekazywane z pokolenia na pokolenie, od Marii Vetschery. Ale nigdy nie rozmawiali ze sobą na bolesny temat - „kim są”. Czy bał się w tym grzebać? Czy bał się urazić rodziców? A może po prostu... nikogo to nie obchodziło?

Obecne afery nie miały nic wspólnego z nim i z Keefer. On i Keefer czuli się tak dobrze razem, jak chłopiec i jego piesek. Stawiał ją na blacie i trzymając za małe rączki, nastawiał Mambo Kings. Puszczali z okna sypialni latawca w kształcie rekina. Płakała za pierwszym razem, kiedy, biegnąc, wpadła na siatkę w drzwiach tarasu i przewróciła się. Ale potem dała mu do zrozumienia mnóstwo razy, używając tych niewielu słów oraz płynnego języka znaków, że chce, aby on zamknął siatkę, by mogła wpaść na nią i przewrócić się na pupę miękko wysłaną pieluszką, i oboje zaśmiewali się jak pijacy w Wild Rose. Obejmowała go ramionkami za szyję, a w garściach ścisnęła włosy, kiedy przemierzali sklep Wiltona, a on czuł wszystkie oczy na sobie. Tak, jestem z tą malutką. Jestem jej staruszkciem. Jadła phat-thai z jego wskazującego palca, a on się czuł jak ptasia mama karmiąca młode. Mówili „muu” do każdej mijanej krowy i życzyli dobrej nocy ślubnej fotografii Georgii, kiedy Keefer spała u niego. Pod wpływem nalegań matki raz w tygodniu zabierał ją na noc. Wkrótce doszło do trzech nocy tygodniowo, a to po to, żeby do rozprawy sądowej dom babci i dziadka stał się odwiedzanym miejscem za-

baw, a mieszkanie Gordona w wiktoriańskim budynku było prawdziwym domem. Na początku czuł się onieśmielony tymi wszystkimi wskazówkami, jakie towarzyszyły jej wizytom: wycieranie pupcy od przodu do tyłu, przemywanie oczu od zewnętrznych kącików do wewnątrz, przytrzymywanie małego kosmyka włosów blisko skóry i rozczesywanie każdego spletanego pasma od połowy do końca, wlewanie tylenolu do buzi (potem usuwanie go z własnej koszuli, jeśli został wypluty). Wszystkie te rzeczy robił już przedtem, ale jako asystent przy matce lub Georgii pełniących funkcję dyrektora naczelnego. Teraz zdany był na siebie. Panował nad odruchem wymiotnym po rozwinięciu prawdziwie przerażających, brązowożółtych pieluszek - jak jedna istota mogła mieć dwa zdecydowanie różne rodzaje ruchów jelit, bobki i papka w jednej pieluszcze! - dziękując w duchu za to, że tak wiele godzin spędził na dokonywaniu sekcji zepsutych rekinich tusz. Pokonał impuls wybuchania płaczem za każdym razem, kiedy ona płakała, i całe szczęście, bo ona robiła to często. Najpierw pojawiało się to, co Mark nazywał „podkówką”: wydęcie usteczek tak łapiące za serce i wzruszające, iż Gordonowi trudno było uwierzyć, że Keefer nie trenowała tego przed lustrem. I wtedy, kiedy łyzy już zaczynały płynąć, rozchyłała mu koszulę i przytulała mokry policzek do jego szyi. Był całkowicie bezbronny. A jednocześnie czuł się wielki jak Atlas.

— Baa — mówiła, kiedy całowała ją na pożegnanie. - Baa.

Najpierw myślał, że przypomina mu, by włożył butelkę z sokiem do jej torby, ale później się przekonał, że ona próbuje naśladować odgłosy, jakie wydają dorośli, kiedy przesyłają sobie pocałunki.

Z każdą godziną ważąca zaledwie dwadzieścia funtów siostrzenica przebudowywała coraz większe połacie jego życia. Coraz częściej, kiedy Keefer przebywała u rodziców, Gordon znajdował jakiś pretekst, żeby do nich zadzwonić i porozmawiać z nią przez telefon, jakby to nie było szaleństwem rozmawianie z takim małym dzieckiem.

— Czy ona jeszcze tam jest? Halo? Keefer? To ty? - Wydawała bulgoczące odgłosy i przyciskała guziki. Ale kiedy matka brała od niej słuchawkę i mówiła: „Gordie, ona teraz uśmiecha się od ucha do ucha”, coś ścisnęło go za gardło i nie był w stanie nic wykrztusić. Ogarniało go uczucie podobne do tego, jakiego doznawał

jako nastolatek, kiedy sobie wyobrażał, że komentuje dla NBC swoje własne osiągnięcia: „Fani golfa z całego świata zwracają dziś oczy na Szkocję i pytają, kto to jest ten Gordon McKenna, nauczyciel biologii z Wisconsin... Nagrodę Nobla w dziedzinie biochemii otrzymuje... Gordon Cooper McKenna!”

To był absurd. Gdyby był kobietą, uznaliby, że to działanie hormonów.

Nic nie radowało go tak, jak wspaniała sypialnia, którą zaplanował dla Keefer w nowym mieszkaniu. Do jego sypialni przylegała spora garderoba, a jemu raczej nie groziło dorobienie się takiej liczby ubrań, żeby ją zapełnić. Pewnego wieczoru, gdy kupował z Lindsay zasłonę do prysznicza, natknął się w Sam's Club na wielkie kożuchowe posłanie dla psa wielkości szetlandzkiego kucyka, sądząc z rozmiarów, pasujące dokładnie do jednego kąta garderoby. Z lalkami Barbie i kocykiem z wyhaftowanym napisem *Nasza Królowna* będzie jej jak w raju, uważał Gordon. Było tam ciemno i chłodno, nawet gdy reszta mieszkania piekła się pod spadzistym dachem. W zasadzie nigdy nie próbował na siłę kłaść jej do łóżka, a kiedy Keefer wreszcie się poddała, był tak wykończony, że oboje zasypiali na podłodze przy włączonym telewizorze.

Delia i Craig przyjeżdżali kilka razy w ciągu dnia, pokonując kawał drogi z Madison, tylko po to, żeby zabrać Keefer na godzinę do McDonalda. I kiedyś nagle zapytali, czy mogą zabrać Keefer na noc.

Zgodzić się, doradził Katt, jeśli chodzi o prawa opiekuńcze, wygrywa ten, kto umie się dzielić.

Ich zachowanie było tak dziwne, tak dalece wykraczające poza spodziewaną w tej sytuacji niezręczność, że powinien był wyczuć pismo nosem. Do tego czasu pewnie już złożyli pozew o przyznanie praw opiekuńczych. Czy powinien był się czegoś domyślać? Później sobie uświadomił, że wiele rzeczy wydawało mu się wtedy podejrzanym. Z drugiej strony również wiele przegapił.

A jednak powinien był wiedzieć, pomyślał sobie rozgorączkowanym głosem Georgii.

- Lepiej, jeśli nie będziemy rozmawiali, Gordie - powiedziała Delia przepraszająco, kiedy wyniósł Keefer na trawnik przed dom. Mark i Lorraine siedzieli jak para manekinów na huśtawce na werandzie. Delia i Craig nie chcieli wziąć kożuchowego posłania. Mieli ręcznie robione łóżeczko, które kiedyś należało do Ale-

xis. Mark im przypomniał, że Ray i Georgia nigdy nie kładli dziecka do łóżeczka. Craig powiedział, że Keefer się przyzwyczai - wszystkie dzieci śpią w łóżeczkach.

I nic nie można było zrobić.

Najgorszy moment nadszedł wtedy, kiedy Gordon usiłował oderwać cienkie paluszki Keefer od swojej szyi, jeden po drugim, a Keefer zaczęła sapać głośno, a potem płakać.

- Dory, nie nie! Dory nie!

Nora, która zdążyła przyjechać, gorączkowo proponowała wszystkim kawę, Lorraine zerwała się z miejsca i poszła prosto do domu.

A Mark, co Gordon podziwiał, zszedł ze schodów i patrzył, uparczywie i świdrująco, na Cadych, jak najpierw Delia, a potem Craig usiłowali uspokoić Keefer, która do tego czasu zdążyła rozkręcić się na całego i darła się, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry. W końcu to nastoletnie dziecko, Alex, córka Delii, z włosami w kolorze miedzianej dyni, udobruchała Keefer, trzymając ją w objęciach i obiecując, że pokaże jej dwa kotki: czarnego i białego.

Delia robiła się czerwona na twarzy i co chwila przecierała kąciki oczu. Z Gordonem porozumiewała się spojrzeniami, wzruszaniem ramion i potrząsaniem głową. Craig ścisnął kierownicę i wpatrywał się przed siebie, jakby chciał wypatrzeć zjazd na autostradę do Santa Monica.

Po ich odjeździe Gordon nie mógł pohamować natychmiastowego odruchu: wpadł do środka i otworzył piwo. Lorraine wkładała naczynia do zmywarki tak niezręcznie, że stłukła filiżankę. Nora pograżyła się w swojej kawie, a obok jej łokcia widniał pagórek chusteczek ligninowych.

- Wszystkie dzieci w tym wieku są strachliwe - zauważyła Nora. - Ty też taki byłeś, Gordie.

- Ona pewnie coś wyczuwa - powiedziała Lorraine.

- Niczego nie wyczuwa - odparł Mark. - Jestem pewien, że za chwilę będzie się śmiała.

- Ta ich córeczka jest ładna i niegłupia - zauważyła Nora.

- Najwyraźniej ma najwięcej rozumu z tego towarzystwa - mruknęła Lorraine ponuro.

Oczywiście później to wszystko wydawało im się podejrzenie uprzejme.

Dlaczego byli tacy głupi i sądzili, że tamci przywożą dziecko z powrotem? Diana była znikowana, Delia nie lepsza od niej. A gdyby tak Diana od razu poleciała na Tampa International? Albo na cholerne Karaiby? Lata by trwało, dosłownie lata, zanim odzyskaliby Keefer. Ciągłe coś takiego gdzieś się działo... jakiś facet z Kalifornii chował córkę przed byłą żoną przez siedemnaście lat! I to w tym samym stanie! Lekarka, która uciekła do Holandii z synem... amerykańskie prawo mogło się pnieć z wściekłości, ale nie zdałoby się na nic, gdy krewni byli gotowi poświęcić życie dla sprawy i pójść do więzienia w razie złapania. A dlaczego nawet nie napomknęli o ryzyku? Ponieważ oni sami nie byli ludźmi, którzy by uciekli do Holandii? Bo ich rodzinne właśnie nie kończą się na kolumnach gazet? A już na pewno nie w tym punkcie rozwoju wydarzeń? Mark uznałby takie podejrzenia co najmniej za niestosowne. Nadal byli ludźmi, którzy przynajmniej udają, że ostatecznie zatryumfują dobre manieri i dobra wola.

Później, z nadejściem jesieni, gdy sprawy nabrały tempa, ten jeden letni wieczór wydawał się bardzo niewinny. Gordon był głupio wdzięczny za krótki odpoczynek od Keefer, co dawało mu szansę przeniesienia pozostałych rzeczy do nowego mieszkania.

Tego wieczoru, kiedy wszyscy stali w błękitnożółtym, pachnącym wanilią zmierzchu obok krzewów kalin przy Cleveland Avenue, Gordon przede wszystkim żałował rodziców. To oczywiste, że nie zniosą wielu takich łzawo-chusteczkowych wieczorów. Gdy usiedli posłusznie, żeby wypić zawieszistą kawę Nory, po raz pierwszy w życiu dostrzegł w Marku i Lorraine starych ludzi zasługujących na spokój i opiekę. Jak w takim razie, zastanawiał się, sam musiał się zmienić. Parę tygodni temu był złotym młodzieńcem, którego młodość aż biła w oczy nawet w porównaniu z kuzynami równolatkami, z ich coraz większą życiową werwą i zawodowymi ambicjami. Teraz od razu stał się o pokolenie od nich starszy.

Pierwszej nocy bez Keefer Gordon z wdzięcznością zwałił się do łóżka i przespał jednym tchem dwanaście godzin. Drugiej nocy obaj z Churchem poszli zagrać w bilard. Kilkanaście razy spartolił uderzenie. Otumaniony piwem, wrócił do domu sam, odsłuchiwał dwie z trzech wiadomości zostawionych przez Lindsay, zdecydował, że jest za późno, żeby do niej dzwonić, więc rozkoszował się

ciszą, potraktował stopy pumeksem, poćwiczył trochę z hantlami, a potem ogarnęła go tak straszliwa beznadzieja, że wyszperał kocyk Keefer z napisem *Nasza Królowna*, złożył go i wsunął sobie pod głowę zamiast poduszki. Ale za cholerę nie mógł zasnąć.

Był od godziny na nogach, kiedy zjawiała się Lindsay gotowa do ich rannego pikniku. Włożyła przezroczystą białą bluzkę, przez którą Gordon mógł zobaczyć wszystko dokładnie, a pod spodem miała skąpy stanik, też odsłaniający sporo.

- Wyglądasz... pysznie - powiedział jej. - Zupełnie jak jadalny kwiat.

- Najpierw inne jadalne rzeczy - uśmiechnęła się Lindsay, rozpakowując jak zawsze wykwintny prowiant: kanapki z serem i awokado, szampana z sokiem pomarańczowym. Zjedli kilka kęsów, potem się rozebrali, składając ubrania jak stare małżeństwo, czym — w odczuciu Gordona nawiedzającym go od czasu do czasu - coraz bardziej się stawali. Brodzili w słonawej wodzie jeziora Spirit, oblewając się wodą, mocując się na żarty i chlapiąc, aż Gordon nie mógł już dłużej udawać, że nie robią na nim wrażenia jej zeszywniałe sutki, jakby wysyłające mu pocałunki. Wstrzymał oddech i zsunął się niżej, pieszczotliwie otwierając płatki chłodnego, czerwonego kwiatu, dotknął językiem, a ona wiła się, jakby starając się go odepchnąć. Potem jej gładkie nogi, nakrapiane piegami jak jajeczka wróbla, otworzyły się z wdzięcznością. Chwiejnie wyszli na brzeg, on położył się na piasku ciepłym i łagodnym jeszcze od wczorajszego słońca, a Lindsay wsunęła się na niego jednym płynnym ruchem. Wbijając kolana w piasek, kołysała go, ścisłała, doiła, aż do przerwy, by wyjąć z koszyka prezerwatywy, którą zawsze zabierała; kiedy sam skończył, polał szampanem jej brzuch, bardziej z pragnienia niż z żądy, i pieścił językiem tak długo, jak długo wytrzymały to jego wyschnięte usta, a potem ona ujeżdżała jego palec, aż opadła z westchnieniem. Nigdy nie dochodzili razem, zawsze po kolei. Lindsay zbyt była skupiona na jego przyjemności, kiedy był w niej, żeby dać się porwać, niezależnie od tego, jak bardzo się starał. Była uważna, cicha i uległa w seksie -jak we wszystkim innym. To nie przeszkadzało Gordonowi. Uwielbiał seks z nią podobnie jak uwielbiał inne życiowe przyjemności: spanie na

dworze czy jabłkowo-wiśniowy mus Nory. Pieprzenie się z Lindsay było niczym owinięcie się w wysuszone na słońcu ręczniki; potem czuł się znacznie czystszy.

Ale były też chwile, kiedy z zamkniętymi oczami przyłapywał się na wspomnieniu niezwykłego zgrania Lizy, striptizerki -jego pierwszej po Lindsay dziewczyny i pierwszej w życiu poderwanej tylko w tym celu, tego lata po skończeniu liceum, kiedy oboje z Lindsay „zgodzili się”, że będą się spotykać z innymi. Liza też była starsza, miała dwadzieścia dwa lata, ale mieszkała z matką, więc wszystkie relacje między nimi zachodziły albo w Union Terrace na uniwersytecie albo na tylnym siedzeniu jego samochodu w piątkowe wieczory, kiedy jeździł do Madison popatrzeć, jak ona tańczy nago przed pięćdziesięcioma mężczyznami, pijany świadomością, że tylko on, jeden jedyny z nich wszystkich, będzie robił to, o czym każdy z nich marzył. W ramionach Lindsay wspominał symultaniczne „tak” i „nie” swoje i Lizy oraz ochrypłe okrzyki; jej małe ręce najpierw głaskały, potem ścisnęły, a potem wbijały się w jego pośladki, oboje zatracali się w dzikim kopulowaniu, każde na własną rękę, jakby połączyli się tylko przez przypadek. Ale, niestety, Liza czytała wyłącznie katalogi wysyłkowe z ubraniem, i to od deski do deski. Gordon w duchu obawiał się, że prawdą jest to, co mówią: albo jedno, albo drugie - energia znajduje w dziewczynie ujście na dwa sposoby.

Otrzeprawszy się jako tako z piasku, Lindsay i Gordon włożyli koszule, zjedli, wypili, popatrzyli na wschód słońca, tak ciężkiego, tak okazałego i pomarańczowego, aż wydawało się trójwymiarowe. Mgła, której jezioro Spirit* zawdzięczało nazwę, kłębiła się i wirowała. Lindsay wyglądała na zmęczoną; dziś jeszcze musiała pracować w Bubble Soap, gdzie - po długim wahaniu wynikającym z poczucia winy - przyjęła posadę pełniącą obowiązki kierowniczkę sklepu, kiedy Georgia była zbyt chora, żeby pracować. Powiedziała Gordonowi, że w znacznym stopniu przezwyciężyła początkową tremę i nabierała już wiele komplementów od właściciela za wyczucie koloru i umiejętność rozmawiania z klientami. Spodziewała się, że teraz dostanie tę pracę na stałe, co byłoby świetne, ponieważ uniknęłaby pisania pracy magisterskiej z marketingu. Lindsay nie była w stanie wyobrazić sobie wyjazdu z Tall

* *Spirit* to po angielsku duch.

Trees, rozstania z rodzicami i zamężną siostrą. Ostatnie dwa lata w Stevens Point były dla niej torturą tęsknoty za domem.

Dzisiaj miasto zapełni się letnikami z domków nad jeziorem Big Heart; będzie uliczna wyprzedaż na Main Street, namiot z piwem i przejażdżki na kucykach, a potem fajerwerki. Zapowiada się ożywiony ruch w sklepie - powiedziała Lindsay Gordonowi - zwłaszcza że dostali nowy towar, rąbane z wielkich bloków i sprzedawane w kawałkach mydło z zatopionymi w nim gwiazdkami i cekinami. Pomyślał, co mu się zdarzało często, jak bardzo twarz Lindsay przypomina dużego kota: szerokie kości policzkowe, zielone oczy z niemal niewidocznymi długimi rzęsami, płowymi jak spalona słońcem trawa wokół jeziora. Kiedy zrobiła sobie makijaż i nakręciła gęste rude włosy, wyglądała jak aktorka lub modelka. Mężczyźni oglądali się za nią i przykładali dłoń do serca w geście uwielbienia, a Lindsay tego nie zauważała. Jej serce zaznawało spokoju tylko z Gordonem. Dlaczego jego serce nie doświadczało tego samego? Patrzył, jak się uśmiecha z zamkniętymi oczami do słońca, i zauważył drobniutkie zmarszczki w kącikach jej oczu. Zabolało go, że tak długo czekała na niego, że tak wiele mu wybaczyła.

- Słońce — powiedziała. - Jest cudowne.

- Czy wiesz, dlaczego tak wygląda?

- No bo jest ranek.

- Nie, dlaczego jest takie duże?

— Ponieważ jest duże.

- To złudzenie optyczne, Lins. Twoje oko widzi je jako duże w zestawieniu z tym, co jest dookoła na horyzoncie, z drzewami, słupami elektrycznymi. Nie widzisz ich, kiedy słońce jest wysoko na niebie.

- Jeżeli to tylko jakaś sztuczka w oku, dlaczego nie można sprawić, aby się tak nie działo?

— Nie możesz kazać sobie nie widzieć wody na drodze, kiedy jest upał, a przecież tam nie ma wody.

Lindsay ułała trochę swojego szampana na jego stopę.

— Dlaczego nie pozwalasz słońcu być po prostu słońcem, Gordie? Ono jest piękne, i to wszystko.

— A czemu nie uważać go za piękne, a jednocześnie je rozumieć? Czy tak nie jest ciekawiej?

— Chyba nie.

Dlaczego, wyrzucał sobie Gordon, tak ją dręczy.

I na tym zakończył się piknik. Jak na zawołanie na słońce nasunęła się chmura i oboje sięgnęli po spodnie; Gordon zauważył, że byli ubrani jak dziesięcioletnie bliźnięta - beżowe spodnie i białe koszule.

- Muszę jechać do sklepu - powiedziała Lindsay. - Podrzucę cię. Czy Keefer dziś wraca?

- Później.

- Tylko dwie noce spędziła z nimi?

- Tylko dwie. Ona ma dopiero rok i cztery miesiące.

- Czy wiesz, Gordie, jaka to mądrała? - Lindsay energicznie pakowała rzeczy. Brudne plastikowe talerze złożyła jeden w drugi, a kieliszki wsadziła do gumowych pojemników. - Któregoś dnia liczyłam, ile słów potrafi powiedzieć. Chyba około piętnastu. Jeżeli doliczyć różne „hau” i „muu”. Dory i Baba, i Nora, i Tata, a kiedy mnie widzi, mówi „Kulciek”.

- Uważa, że wyglądasz jak królik.

- Daj spokój. - Lindsay się uśmiechnęła.

- To pewnie te uszy - powiedział Gordon, nachylając się, by ją pocałować. - A poza tym naprawdę stara się wymówić twoje imię. I mówi „buuu” na samolot i mówi „aaaooo”. Powtarza „aaaooo” bardzo często, kiedy demoluje mi dom.

- Masz fioła na jej punkcie.

- Ona ma inteligencję po... mojej siostrze. To Georgia zawsze była ta mądra.

- Nie mogę mówić o... Nie potrafię mówić o Georgii. - Duże, okrągłe łyzy zakołysały się i spłynęły. - Myślę o niej przez cały dzień. Na ścianach w sklepie wciąż wiszą napisy... wykonane jej ręką. Czy możesz sobie wyobrazić, co czuję? Nie doprowadzaj mnie do płaczu. Muszę iść do pracy. Jak wyglądam?

- Idealnie.

- Naprawdę?

- Widać ci piersi przez tę koszulę. Może lepiej włóż golf.

- Przebiorę się. - Lindsay aż się rozpromieniła, słysząc słowa mogące świadczyć o zazdrości. - Będiesz wspaniałym ojcem, Gordie.

- Mam nadzieję.

- I nie jesteś sam. Masz na przykład mnie.

- Jesteś piękną, dziewiczą matką, Lins.

- To zabrzmiało, jakbyś porównywał mnie do Matki Boskiej.
- Prawie.
- Myślę, że byłabym dobrą... matką. I nie jestem dziewicą.

Dzięki tobie.

- Mnie i Davidowi Robbowi, i... jak się nazywał ten chłopak ze starym silver cloudem?
- Mojego życia nie wyznaczały samochody moich chłopaków...
- Jak on się nazywał?
- Wesley Tanco.
- Widzisz? Mogłaś zostać panią Tanco.
- Nic z tego.
- Czemu?
- Ja nigdy... z nim nie spałam.
- Daj spokój, Lins. Wiesz, że to nie ma dla mnie znaczenia!
- Wiem, że nie ma, ale nie spałam.
- Akurat! Chodziliście z tym całym Tanco przez... rok czy coś takiego.
- Ale tylko tak.
- No, przynajmniej już coś...
- Nie robiliśmy tego... co my robimy.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- T o robiłam tylko z tobą.
- Ojej, Lins. Nie musiałaś mi tego mówić.
- Co to ma znaczyć? Nie jesteś zadowolony?
- Jasne, że... - Gordon się zatrzymał. Czy był zadowolony? Czy był dumny? Czy był to rodzaj zobowiązania, do którego miał sobie rościć prawo? — Oczywiście, że jestem zadowolony. Chyba. Ale nie przywiązuję do tego znaczenia. Najważniejsze, że jesteśmy tu i teraz. My.
- Naprawdę?
- Co?
- My. Czy rzeczywiście jesteśmy razem?
- A może zostałem przed chwilą zgwałcony przez leśną nimfę?
- Wiesz, o co mi chodzi.

Wiedział i wolałby sięść na fotelu u dentysty, niż teraz wdawać się w dyskusję, dopóki nie będzie pewien, w którym miejscu chce ją skończyć. Proszę, pomyślał błagalnie. Nie teraz. Cały dylemat jego i Lindsay przypominał sekretarzyk po babci McKenna. Gor-

don trzymał mebel przez pięć lat, przenosząc go z mieszkania do mieszkania, próbował odświeżać od czasu do czasu papierem ściernym i bejcą, które leżały obok na gazecie, jakby zaraz miał się wziąć do roboty. Ostatnim razem, kiedy tam zaglądał, bejca wyschła. Może nigdy się do tego nie zabierze. Jednak nie mógł wyobrazić sobie rozstania z sekretarzystką. Należał do niego.

Powinien to teraz skończyć.

Nie chciał tego skończyć.

Nie chciał w ogóle zaczynać.

Dlaczego nie mogli po prostu żyć chwilą? Choćby przez kilka sekund. Dlaczego trzeba wyrzekać się słodkiego kęsa terazniejszości, której przemijanie czyni ją jeszcze słodsza? Przecież nie da się jej zamrozić i opatrzyć etykietką „Zawsze świeże”.

- Lins - powiedział. - Nie wiem, kim jestem ani gdzie jestem w tym momencie. Nie wiem, co przyniesie przyszłość mnie czy nam obojgu. Wiem, że będę z Keefer, ale nic więcej. I wiem, że jestem tu z tobą teraz i że chcę tu z tobą być.

- Kim jestem dla ciebie?

- Jezu, Lindsay! Jesteś moją przyjaciółką. Kocham cię. Wiesz o tym. Zrobiłbym dla ciebie absolutnie wszystko. - Nie kłamał. Zrobiłby teraz wszystko, na przykład, żeby w magiczny sposób przenieść Lindsay do pracy, zanim powie coś, czego oboje później będą żałować.

- Nie chcę być twoją przyjaciółką.

- Za późno - odparł Gordon, ale wiedział, co ona ma na myśli. Przynajmniej tyle jej był winien i nie fair byłoby udawać głupiego. - Wiem, wiem. Nie chcesz być tylko przyjaciółką. W tym kontekście to brzmi jak obelga. Ja po prostu nie mogę powiedzieć na sto procent, że przynajmniej przez najbliższy rok zrobimy to czy tamto...

- Nie proszę, żebyś obiecywał, że coś zrobimy...

- Ale pytasz, co z nami będzie.

- A jaka jest odpowiedź?

- Znam ją nie lepiej niż ty, Lins. A poza tym to nie jest tylko mój wybór. To zależy od nas obojga. - Gorąco pragnął wierzyć w swoje słowa. Przecież nie żądał, by mu spędzono wszystkie książeczki królestwa... on był ojcem! Prawie! Nie chciałby, żeby jakiś facet mówił kiedyś w przyszłości dorosłej Keefer, co ma robić.

A jeśli Keefer pewnego dnia pokocha kogoś, tak jak Lindsay kocha jego? Jakiegoś zepsutego, zachłannego łajdaka?

Ale to co innego. Keefer była jego dzieckiem.

Czy rzeczywiście co innego? Lindsay też była ukochanym dzieckiem. Co powiedziała Al Snow o świdrującym spojrzeniu, urzędnik z urzędniczą duszą, gdyby wiedział nie tylko to, jak swobodnie Lindsay zaoferowała mu wspaniałą brzoskwinie, ale też jak swobodnie on ją pożarł, a potem nabrał apetytu i na gruszkę, i na mandarynkę...

Ogromne oczy Lindsay rozszerzyły się, jakby coś w niej osłabło. Trzeba było się ruszyć. Wygramolił się z samochodu na First Street, nagle zmęczony, wściekły, że musiał wstać o piątę rano w wakacje; wyciągnęła rękę i zatrzymała go.

- No już, nie martw się - powiedziała.

- Czym?

- O... opinią psychologa. To już za parę dni. W przyszłym tygodniu.

- Nie musisz mi przypominać - odparł ostro.

Czy wszyscy muszą uważać go za tumana? Matka też mu przypominała wieczorem podczas pokazu ogni sztucznych. Tulił właśnie Keefer, która ku jego radości spełzyła z kolan ojca i włożyła na jego kolana, kiedy wybuchła pierwsza rakietka. Otulił ją swoim bawełnianym swetrem i myślał o tym, że rok wcześniej przez okno na piętrze podawał Georgii maleńką siostrzeniczkę, a potem sam wyszedł na dach oglądać fajerwerki. Ray wyjechał wtedy na turniej, który odbył się w Missisipi czy w Alabamie, gdzieś na osuszonym kawałku dawnego bagna.

Matka Gordona dostała szału. A co by się stało, gdyby upuściła dziecko?

Lorraine nie wiedziała, że oni są doświadczonymi alpinistami dachowymi, że wywalili mnóstwo petów z mnóstwa popielniczek prosto do rynny. Pamiętał, jak Keefer piszczała i głaskała go małą rączką, jakby dodawała mu odwagi i tłumaczyła, żeby się nie bał; twarz Georgii skąpiana w zieleni i złocie... patrz Keefer, brylanty na niebie...

Oczywiście, że pamiętał o spotkaniu z psychologiem. Jak mógłby zapomnieć.

Q

Zapomniał.

Faith wciąż zdumiewali ludzie, którzy zapominali, i kiedy ona zjawiała się w progu, umówiona na spotkanie parę miesięcy wcześniej, właśnie wychodzili na przykład, żeby kupić tipsy do paznokci w Sam's Club. Ci sami ludzie, którzy uparcie zapewniali, że uzyskanie prawa do dzieci jest ważniejsze dla nich niż własne życie - a ona nigdy, w żadnym wypadku w to nie wątpiła (posiadanie prawa do dziecka jest sprawą zasadniczą dla większości ludzi) - potem odwlekali rozmowę, która mogła im pomóc.

Nie powinna się dziwić. Nawet jednostki bardzo zdyscyplinowane wewnątrznie miewają skłonność do uników. A klienci Faith na ogół nie należeli do tych bardzo zdyscyplinowanych wewnątrznie.

Gordon był pod prysznicem. Grzecznie zadzwoniła do drzwi, dwa razy, następnie raz długo, potem zadzwoniła do sąsiedniego mieszkania. Kobieta o wściekłej twarzy niemal wyrwała drzwi z zawiasów, wyrzucając z siebie:

- Tak?

Kiedy Faith wyjaśniła, z czym przyszła, kobieta, która przedstawiła się jako Judy Wilton, właścicielka domu, uspokoiła się i wyjaśniła, że tylko niezwykłym zbiegiem okoliczności ona w ogóle tu jest; nie byłoby jej, gdyby nie musiała przyjść do domu ze sklepu, żeby umyć się dokładnie z serowego zapachu przed corocznym kontrolnym badaniem u ginekologa, co było informacją zbyt dokładną jak na to, o czym Faith chciałaby wiedzieć.

Gordon otworzył drzwi w spodenkach gimnastycznych, a Keefer baraszkowała za nim nago.

Poważne twarze obu kobiet zaniepokoiły go.

- Coś nie tak? - spytał głupio.

- Widzę, że wszystko w porządku - odparła Judy Wilton, przyglądając postrzępione włosy. - Nie odpowiadałeś na dzwonek.

- Byliśmy... zajęci - powiedział Gordon. - Co się stało? Robiliśmy za dużo hałasu? Byliśmy pod prysznicem.

- To widać - zauważyła druga kobieta. - Jestem Faith Bogert. Uśmiechnął się i podniósł palec znacząco.

- Właśnie patrzy na ciebie, dzieciно.

Zobaczyła, jak zaraz po tym kiepskim dowcipie na jego twarzy pojawił się błysk zrozumienia, że oto właśnie przyszedł psycholog, a on zapomniał o spotkaniu.

Judy Wilton tymczasem okręciła się na pięcie i tupiąc, zeszła po schodach.

Faith pomyślała refleksyjnie, że ludzie zawsze mówią to samo, kiedy słyszą jej nazwisko.

- Pisze się przez „e” nie przez „a” - wyjaśniła Faith. Zawsze tak mówiła. - Żadnego pokrewieństwa z aktorem.

Te wyjaśnienia nieco go odprężyły. Faith zauważyła, że ramiona mu lekko opadły i przyjął mniej defensywną postawę. Dobrze.

- Mogę wejść?

- Oczywiście. Przepraszam. No więc to „C” w moim nazwisku jest na cześć Coopera - powiedział i zaczerwienił się, uświadomiwszy sobie niedostatki stroju. - To znaczy nikt o tym nie wie. Mój ojciec interesował się kosmosem.

Faith nie miała pojęcia, o czym on mówi. Ale skinęła głową.

- Rodzice — powiedziała z profesjonalnym westchnieniem.

Gordon zgarnął stos prania z sofy, żeby zrobić miejsce dla gościa. Jest naprawdę przystojny, pomyślała Faith. Tego typu mężczyźni nigdy jej nie zauważali, patrzyliby przez nią, jakby była ze szkła, nawet gdyby szła nago środkiem kościoła. W kwestii mężczyzn była bardzo praktyczna; matka o to zadbała. A już na pewno nie uganiała się za takimi, którzy nie byli tego warci. Piękni chłopcy grali nie fair; wiedziała o tym jeszcze w szkolnych czasach, zanim w ogóle usłyszała o osobowości narcystycznej. Zdusiła w sobie irytację, że rano, czując się grubo, włożyła spodnie narciarskie i tunikę - spodnie narciarskie są firmowym znakiem kobiet, które między szyją a kolanami mają coś, co chcą ukryć.

Nie szkodzi. Ten facet wiedział, gdzie jego miejsce. Nie zwracał na nią więcej uwagi niż na tę małą dziewczynkę. Nie pozwolił dziecku wybiec do przedpokoju. Były tam schody. Prawdopodobnie to dobry facet.

Jej zadanie polegało na sprawdzeniu, czy byłby dobrym ojcem.

Imię Faith zostało wybrane z rozmysłem (na drugie imię, ku swojej rozpaczy, miała Angel). Została starannie wychowana przez matkę, która — zdaniem niewielu tylko osób - do tego się nadawała. To, że w ogóle poszła do college'u, a w mniejszym stopniu to,

że została psychologiem (byli tacy, którzy uważali, że też nie ma do tego ani serca, ani wrodzonych zdolności), było produktem ubocznym pracy samowychowawczej. Jedyna córka samotnej matki okazała się znacznie lepsza od innych w Piano, w stanie Dakota Północna, niż się ktokolwiek spodziewał. Fakt ten zadecydował o dostaniu poważnej pracy. Miała zaledwie dwadzieścia osiem lat, na jej tytule doktorskim jeszcze nie wysechł atrament i wciąż krzysła z podoktoranckich superwizji. Ale szef dawał jej sprawy, które nazywali CP, co oznaczało w ich prywatnym szyfrze „ciężkie przypadki”, czyli opiniowanie szczególnie nieprzyjemnych rozwodów oraz wypadków zaniedbań obowiązków rodzicielskich. Faith widziała już niemało w swojej praktyce - zarówno publicznej, jak i prywatnej - dziewięcioklasistkę w ciąży z drugim dzieckiem plus piętnastu kandydatów na posiadacza zwycięskiego nasienia; babcie wychodzące grać w bingo i zostawiające śpiące sześciomiesięczne dziecko pod opieką dobermana, który pogryzł zastępczynię szeryfa, kiedy ta wyważyła drzwi. I gorsze, znacznie gorsze rzeczy. Dziewięciomiesięczne dziecko z rzeźączką w jamie ustnej. Śliczna pięcioletka - obiekt zażartej walki między rozwodzającymi się rodzicami - która stepowała jak Ginger Rogers, ale krzyczała na widok papierosa.

Matka Faith była biedna. Pracowała jako kelnerka aż do śmierci, która nastąpiła pewnego dnia przed trzema laty; gdy wracała z pracy do domu, dostała w głowę od pijaka. Faith miała nie tylko dobre teoretyczne podstawy, ale i niezłą praktykę. Pod brudnymi włosami i postrzępioną piżamą umiała dostrzec i rozpoznać miłość, nieporadną, ale pełną oddania, a pod ubrankami z Baby Gap brud, jaki nigdy nie wychodzi na zdjęciach. Rozumiała swoje własne obciążenia z dzieciństwa i wystrzegła się ich.

Złożyła już wizytę w pełnym życia, lśniącym wnętrzu mieszkania państwa Cady. Tapeta w syrenki przeznaczona dla Keefer; pokój starszej dziewczynki w czystej bieli, żadnych prób narzucania jakiegokolwiek wystroju nastolatce; bardzo dobrze - to ujęło ją za serce, nie mogła zaprzeczyć. I Delia, która prowadziła własną firmę kosmetyczną, pracując w domu, wzbudziła podziw Faith jej umiejętnością zarabiania większych pieniędzy niż jej mąż. A jednocześnie sprawiała wrażenie „domowej” żony, co było ważne dla nich obojga.

Delia była prawdopodobnie za bardzo zorganizowana: ustawia-

ła przed gościem podstawkę, zanim dostał drinka. Ale Faith wiedziała, że takiego samego drinka dostałby u Delii i biedak z ulicy, i senator. Delia miała w sobie coś z matki Faith, to samo połączenie głębokiej dumy i ostrożności. Faith nie uważała wcale, że dwoje rodziców lepiej odgrywa swoją rolę niż osoby samotne wychowujące dziecko. Wszystko, czego dziecku potrzeba, to absolutna miłość przynajmniej jednego, za to normalnego rodzica.

Craig nie zajmował zbyt wiele miejsca w rodzinnym układzie państwa Cady; był nieco sztywny. Jego stosunki z Alexis Tyson, córką żony z poprzedniego małżeństwa, mieszkającą z nimi - z wyjątkiem dwóch tygodni każdego lata, kiedy odwiedzała swego ojca, mechanika motocyklowego - były źródłem napięć. Pokój dziewczynki wyglądał typowo, jak po przejściu cyklonu, i Craig aż drgnął, kiedy otworzył drzwi. Może o parę lat za długo mieszkał z własną rodziną: trzydzieści pięć lat to dość późny wiek jak na pierwsze małżeństwo. Mimo że oboje byli bardzo religijni, żadne z nich nie nalegało, by Alexis chodziła z nimi do kościoła parafii Cornerstone w środy i w niedzielę. Dziewczynka nie interesowała się szkółką niedzielną.

- Komu by się chciało jeszcze w niedzielę chodzić do szkoły! - rzuciła.

Była to forma buntu, ale czyniąca znacznie mniej szkód niż inne, które Alexis mogła wybrać. Wyglądało na to, że Delia i Craig są tego świadomi. Podrzucali ją więc wtedy na basen lub do biblioteki, wyposażoną na wszelki wypadek w telefon komórkowy. To wskazywało na pewną tolerancję, którą rzadko się spotyka, gdy w grę wchodzi wychowanie religijne, oraz świadczyło o wrodzonej i prostej rodzicielskiej mądrości. W końcu zdecydowana większość wczesnych eksperymentów seksualnych dokonuje się, gdy rodzice nastolatków są w pracy.

Zarówno Craig, jak i Delia wypadli nieco gorzej pod względem „obsesyjności”. W raporcie do kuratora sądowego Faith napisała, że rezultaty ankiety Cadych nie są zbyt wiarygodne, ale nie ma powodu do alarmu - oni po prostu „udają dobrych”, tak jak robi to każdy, kto chce zdobyć dziecko, i zakreślają najbardziej szlachetnie brzmiące odpowiedzi na liczne pytania, a w rezultacie okazują się „zbyt dobrzy”. Uważają, że jako wybrani przez Boga powinni przyjmować postawę większej wyrozumiałości wobec innych, niż to się dzieje normalnie.

Dla Faith najbardziej wymownym punktem w ocenie Cadych była obserwacja zabawy. Tego nie można udawać. Delia była prawdziwą matką, która wie, że zabawa z maluchem oznacza chodzenie za nim krok w krok, podsuwanie gąbki, kiedy mała piastka zaciśnie się na widelcu, zmianę zainteresowań co półtorej minuty, zachowanie spokoju, kiedy dziecko mocno kopnie. Gniazdka były zakryte, ale szafki z żywnością otwarte.

Craig też właściwie się zachował podczas zabawy. Nic nie robił. Trzymał się z boku. Nie miał pojęcia, jak postępować z Keefer, więc tylko obserwował żonę. Nie mieli własnych dzieci, wyznał, ponieważ Delia była delikatnego zdrowia. Delia Cady cierpiała na jakieś schorzenie mięśni, podejrzewano stwardnienie rozsiane, które doprowadziło do kalectwa siostrę jej matki. Faith była gotowa się założyć, że to po prostu stres.

Dom Gordona był również schludny i bezpieczny, choć może nie do końca przystosowany do obecności małego dziecka. Wszędzie porozstawiane były napełnione do połowy szklanki z wodą, niemal profesjonalne rakiety i kije golfowe... i ojej! pasy zapasnicze! Używane kontakty znajdowały się na poziomie oczu dziecka, natomiast te nieużywane miały plastikowe osłonki.

Ale Keefer nie mieszkała tu jeszcze na stałe.

Gordon oprowadził Faith. Sprawiał wrażenie bardzo dumnego z psiego legowiska.

Faith musiała się uśmiechnąć.

Przestała się jednak uśmiechać, kiedy Gordon dwukrotnie pozwolił sobie na otarcie lewą ręką o jej ramię, przez ułamek sekundy za długie. Sprawdzał ją, starając się odgadnąć, czy jest niezamężna i dostępna. Być może robił to nieświadomie. Faith zaproponowała, że potrzyma dziecko, kiedy będzie się ubierał.

- Nie wiem, czy ona pójdzie do pani.
- Zazwyczaj dzieci przeciwko mnie nic nie mają - powiedziała Faith, biorąc Keefer i odwracając się jednym płynnym ruchem, żeby pokazać rudzika krzątającego się wokół gniazdka na brzozie za oknem.
- Patrz, małe ptaszki - powiedziała, a Keefer... ależ ona była słodka... zaczęła cichutko popiskiwać.
- Jestem zdumiony - stwierdził Gordon. Jest rozczarowany, pomyślała Faith.
- No dobrze, lepiej niech się pan ubiera, zanim panna zmieni

zdanie — poinstruowała go Faith. Wrócił po dwóch minutach, nadal mokry, ale już przyzwoicie ubrany.

- Przepraszam, byłem pod prysznicem, kiedy pani przyszła - zaczęła. - Zapisałem sobie termin w kalendarzu. Ale mała nie spała całą noc. Przeziębła się u Cadych. Wiem, że teraz wygląda to na moje uprzedzenie, ale gdy nie ma jej przy mnie, czuję się tak, jakby nikt o nianie dbał.

- Co pan zrobił w tej sprawie?

- Cóż. Nie mogłem ich zabić.

- Rozumiem, że to żart.

Posłał jej ostre spojrzenie.

- Oczywiście. To porządni ludzie. Tyle że Keefer nie znają dobrze.

- Miałam na myśli, co pan zrobił z jej przeziębieniem.

- Rutynowa sprawa. Nakarmiłem makaronem polanym masłem - jej ulubionym przysmakiem, a potem wziąłem ją do łóżka... to chyba w porządku?

- Wiele ludzi śpi ze swoimi dziećmi.

- No i wtedy robimy mruzcanki.

- Mruzcanki?

- To znaczy ja zaczynam mruzczyć jak mały motorek. Po chwili ona też mruczy. Głaszczę ją po główce i ona zasypia. Oczywiście wtedy nie mogę się ruszyć.

- Ruszyć?

- No, muszę już z nią zostać. Żeby nie spadła. Zeszłego wieczoru miałem przygotować lekcje, ale nie położyłem materiałów przy łóżku przed jej zaśnięciem. A mruzcanki i mnie uśpiły. Po prostu jestem śpiochem. Pewnie dlatego zapomniałem. Choć mama przypominała mi zeszłego wieczoru podczas sztucznych ogni...

- A Keefer nie bała się wybuchów?

- Nieee. Ona niczego się nie boi - rzekł Gordon z dumą. - Chyba że bierze ją na ręce ktoś, kogo nie zna.

W ubiegłym roku, powiedział Gordon, oboje z siostrą wyszli z Keefer na dach, żeby oglądać pokaz nad Rotary Park.

- W lecie często siadywaliśmy tam, gadaliśmy, ćmiliśmy...

- Jest pan palaczem?

- Nie, nie mam na myśli papierosów. Byliśmy młodzi. Wie pani, w college'u. Nie paliliśmy, kiedy byliśmy tam z dzieckiem. Tylko oglądaliśmy sztuczne ognie. To, o czym mówiłem, zdarzyło się wiele lat temu.

- Aaa, tak.
- I wcale nie tak wiele razy. Raczej nie miałem styczności z narkotykami. Moja siostra też nie. Naprawdę.
- Nie podejrzewam pana o to - powiedziała Faith ciepło.
- To dobrze. - Gordon odetchnął. - Keefer, Keefer. Twoja mama cię kochała. - Słyszac swoje imię, Keefer przybiegła i oparła się o kolana wuja.
- Ojej - westchnęła Faith, starając się wzbudzić w nim empatię i wciągnąć go do współpracy. - Mamy tu miliony spraw do omówienia. I te wszystkie papierki. - Wyciągnęła plik formularzy, MMPI i MCMI-III, arkusz uzupełniający do orzeczenia. - Wypełnienie ich potrwa parę godzin. Kto zajmie się dzieckiem?
- No, chyba tylko ja - odparł Gordon, wytrzeszczając oczy. Były naprawdę szare. Na ogół ludzie -jak zaobserwowała Faith, która miała do czynienia z tak wieloma osobami - opisywali czyjeś zamglone, zmienne w kolorze oczy jako szare albo zielone, jeżeli skończyli college, a jako niebieskie -jeżeli nie skończyli. To dziwne.
- Niewiele jednak osób, niezależnie jak je opisywano, miało naprawdę szare oczy. Opuściła wzrok na teczki.
- Obawiam się, że będzie się pan musiał trochę skupić - powiedziała przepraszająco. - To jak egzaminy w szkole. Można postawić znak w złym miejscu.
- I co? Wtedy się okaże, że wolę zabijać zwierzęta niż budować domki dla ptaków? - zapytał. - Albo przebierać się w damskie ciuchy, robić kawały telefoniczne pod 911?
- Coś takiego. To ocena osobowości. - W ustach Faith wyraźnie zabrzmiał cudzyśłów.
- Mam tylko jedną.
- Co?
- Osobowość.
- Pozwoli pan nam pozostawić osąd - odparła Faith w tym samym tonie.
- W takim razie zadzwonię do mamy.
- Czy pańska matka... pracuje?
- Przebywa teraz w domu, ponieważ mamy lato. Jest nauczycielką. Oboje pracujemy w szkole. Tata też był nauczycielem. A teraz jest specem od witamin.
- Specem?

- Sprzedaje witaminy. Do wszystkich chyba sklepów ze zdrową żywnością na tej planecie. On pomaga... Planuje to wszystko. Pracuje w Medi-Sun. - Gordon podniósł słuchawkę i zadzwonił do Lorraine, która obiecała, że zjawi się za dziesięć minut.

- Doskonale. Zatem załatwmy od razu kilka spraw - ciągnęła Faith. - Najpierw muszę coś wyjaśnić. Szczerze.

- Poważna sprawa?

- Bardzo poważna.

- Niech pani strzela!

- Jest pan dzieckiem adoptowanym - zaczęła, kiedy usiedli, a Keefer z pieluszką i w pajacyku została usadowiona z grającymi klockami między stopami Gordona.

Tak... byłem adoptowany. Owszem - przyznał. Faith zauważyła, że użył czasu przeszłego.

- No właśnie - powiedziała.

- To znaczy, jak zawsze mawia mama, z tym da się żyć.

- Oczywiście. Chciałam jeszcze spytać, czy pana zdaniem taka sytuacja ułatwi panu zrozumienie pewnych problemów wiążących się z wychowywaniem Keefer?

- Z pewnością. Moi rodzice zawsze mówili mi pewne rzeczy... W rodzaju: tak bardzo cię chcieliśmy, że musieliśmy... wie pani... bardzo się postarać, żeby cię mieć...

- Ale tak nie jest już w przypadku Keefer.

- Nie. Tak i nie. To znaczy mógłbym postąpić tak samo jak Caroline i Alison, siostry Raya.

- Czyli nie starać się o prawa opiekuńcze. Tylko że one mają już rodziny.

- Caro nie ma. I to jest samolubne.

Faith widziała wyraźnie, że wpadł w panikę i chciał cofnąć ostatnie słowo.

- To nie tak. Mam na myśli, że Keefer jest dzieckiem ich brata. Ale Caroline wyraźnie zmierza do rozwodu, a Alison... nie znam za dobrze Alison. Zresztą pewnie mają swoje powody.

- Czy wolałyby pan, żeby wykazywały więcej zainteresowania?

- Nie. Wolenie mieć konkurencji.

- Czy zawsze zamierzał pan adoptować Keefer?

- Raczej tak. Na pewno.

- Jednak wychowywanie dziecka to poważna sprawa. Sądowe przyznanie praw opiekuńczych też.

- Tak. Jestem tego świadom. Mam nadzieję, że oni wycofają się i nie dojdzie do rozprawy w sądzie. To byłoby bardzo nieprzyjemne. Delia i Craig są miłymi ludźmi. No, może nie takimi, z jakimi pojechałbym na urlop, ale... - Gordon omiół spojrzeniem twarz Faith, która opanowała się, przybierając wyraz obojętny, niepozbowiony jednak zainteresowania. - Jednak wolałbym inaczej spędzić lato.

- A jak?

- Hmm - Gordon oparł się, wyciągając nogi opalone na złoto. - Podróżując. Pracowałem dla firmy organizującej rejsy o charakterze popularnonaukowym. Właściwie przypominały one rodzinne wakacje. Ale przynajmniej można było coś zobaczyć, nie tylko Epcot Center.

- Nie będzie pan miał teraz zbyt wielu okazji.

- Nie - westchnął Gordon. - Chyba nie.

Faith czekała, zostawiając mu miejsce na obowiązkowy ciąg dalszy, że Keefer, oczywiście, jest tego warta. Bezskutecznie.

- Z tego, co słyszę, wynika, że obawia się pan ciężaru obowiązków.

- No tak, to jest obciążające. Nie Keefer. Zawsze pomagałem przy Keefer, ponieważ jej matka, a moja siostra, była ciężko chora, a jej ojciec często wyjeżdżał. Nie mieliśmy pretensji do Raya. Grał w golfa. Właśnie zaczynało mu się to opłacać. Georgia akceptowała taki układ. Chciała tego dla niego.

- Ale sprawa ojcostwa jest naprawdę poważna. - Faith pochyliła się do przodu, wyraźnym gestem odkładając notatnik na bok, jakby miała zamiar nie robić notatek.

- Jasne. Bycie rodzicem jest... jak praca na pełny etat, przez cały czas. Plus ciągłe godziny nadliczbowe - zaśmiał się Gordon. - Pomyśleć, że wydawało mi się to takie łatwe.

- Nie każdy na pana miejscu tak by do tego podszedł.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Cóż, bycie adoptowanym...

- Nie ma... wie pani, nie ma nic trudnego w byciu adoptowanym.

- Ale są problemy z tym związane.

- Dopiero ostatnio w kółko słyszę o problemach.

- Bo zazwyczaj dzieci nie muszą o nich myśleć.

- Czy pani jest adoptowana?

- Nie.
 - A skąd pani wie, co ludzie o tym myślą?
 - Z literatury fachowej.
 - Skąd się bierze literatura?
 - Nie bardzo rozumiem.
 - No więc piszą ją psycholodzy, badający... ludzi, którzy mają problemy, inaczej nie zgłosiliby się do psychologa. Mam rację?
 - Nie - zaprzeczyła Faith - badamy też zwykłe, akceptujące swoją sytuację, normalnie przysposobione dzieci.
 - Niech pani zwróci uwagę na słowo „przysposobiony”. To tak jakby miała pani usuniętą rękę czy nogę.
 - Określa ono sposób, w jaki...
 - Jest to takie słowo, wie pani, jak kiedyś znany termin „dorosłe dzieci alkoholików”. Potem skrócono go do „dorosłe dzieci”. A przecież w końcu każdy się staje „dorosłym dzieckiem” wcześniej czy później, prawda?
 - Owszem. Ale panie McKenna, ja staram się dowiedzieć, jak zamierza pan pomóc Keefer zrozumieć jej sytuację.
 - Jej sytuacja jest zupełnie inna niż moja. Lub raczej: niż była moja.
 - To znaczy?
 - Przecież jestem jej biologiczną rodziną.
 - Rozumiem, co pan ma na myśli. Choć niezupełnie jest pan jej krewnym.
 - Teraz to ja nie nadażam.
 - To znaczy, owszem, zna pan Keefer od jej urodzenia, ale nie należy pan do jej biologicznej rodziny, ponieważ...
- Faith zawiesiła głos i odchyliła się nieco w tył, jakby ustępując pola.
- Wiem, co chce pani powiedzieć, ale Georgia i ja wychowaliśmy się razem. Byłem z nią, kiedy Keefer przyszła na świat. Mogłaby pani napisać, iż wiem z pierwszej ręki wszystko, co można wiedzieć o byciu adoptowanym, i wszystko, co można wiedzieć o biologicznych rodzicach Keefer, a więc...
 - A więc?
 - A więc - dokończył Gordon, uśmiechając się z irytującym spokojem. — Nadażę się idealnie.
- Wtedy rozległ się dzwonek u drzwi. Faith pomyślała: zobaczymy, zobaczymy.

*

Przynajmniej zostało powiedziane „b”. Jeszcze trochę tego skradania się na palcach, a Lorraine znalazłaby się na skraju ostatecznego załamania. Nawet Mark - który nadal utrzymywał, że nie podda się goryczy - nie ukrywał pogardy dla Craiga i Delii, kiedy ci jasno postawili sprawę, że chcą adoptować Keefer.

Zabrać Keefer, dziecko, które ledwo znali, od ludzi, którzy ją wychowywali i wychowywali dobrze?!

To zniewaga. Mówiąc o Cadych, Mark używał określeń, jakich nigdy nie użył w stosunku do nikogo innego w ciągu ponad trzech dekad ich wspólnego życia: „zakłamani moralisci” i „obrzydlivi hipokryci”.

O Dianie Nye Mark się nie wypowiadał, ale jego milczenie miało w sobie coś złowieszczonego.

Lorraine, Mark i Gordon tylko od czasu do czasu pozwalali sobie na niewielkie upuszczenie pary; przetrwali całe lato, gotując się pod hermetycznie zamkniętą pokrywą. Udawali silnych i wobec siebie ukazywali uważne, opanowane twarze. Robili wszystko, żeby wzajemnie sobie pomóc.

Pewnego dnia Nora napomknęła, że kwitnie lawenda, a nikt nie położył ani jednej wiązki na grobie Georgii. A przecież wiedzą, jak bardzo Georgia kochała lawendę. Nim słońce zaszło, wyrósł cały pagórek lawendy, i łagodnie falujące płatki, oglądane z ogromnego okna McKennów, przypominały rojowisko fioletowych motyli. Każdy z nich miał w tym swój udział i każdy robił to ze względu na innych.

We wszystkich poczynaniach z udziałem Grega Katta McKennowie nadal zachowywali się grzecznie i spokojnie, starając się nie zasłużyć na miano histeryków. Prawdą było, że ostatnio w każdej rozmowie telefonicznej, podczas każdego spotkania i w każdym wywodzie prawnik wyciągał nowego królika z kapelusza pod tytułem „prawa opiekuńcze”. Uparcie i bez końca wprowadzał ich w stan niepokoju, żądając uczestnictwa w niekończących się procedurach, podczas których nigdy nic nie mówili i niewiele rozumieli, co się dzieje.

Unikali ludzi spoza rodziny, a ludzie spoza rodziny unikali ich, jakby straszliwe nieszczęście, jakie ich spotkało, wpłynęło na do-

tychczasowe relacje i w dodatku mogło okazać się zaraźliwe. Natalie Chaptman, Karen Wright, Sheila Larsen i inne panie z kościoła przerwały akcję przynoszenia zapiekanek. Listy Lorraine z podziękowaniem, napisane oficjalnym tonem, sprawiały wrażenie, że przyjaciele komplikują McKennom życie, pomagając im, zamiast zostawić ich w spokoju. Mark i Lorraine, czasami razem z Gordonem i Lindsay, zaczęli jadać niedzielne obiady na farmie z Norą i Hayesem. U szczytu stołu stało zawsze wysokie krzeselko, nawet kiedy Keefer była w Madison u Nye'ów. Początek tej tradycji nie został oficjalnie ogłoszony. Po prostu zaproszono ich którejs niedzieli i przyjechali; przybyli też w następną. Trzeciej niedzieli już ich oczekiwano.

Odreagowywali w samotności. Jedno waliło w worek treningowy. Drugie dokonywało egzekucji rododendronów. Ktoś stał w oknie sypialni, patrząc na leniwie płynący księżyc, a obok na krześle leżał album otwarty na zdjęciach Georgii z zawodów paintballowych na jarmarku w Ojibway, Georgii bez dwóch zębów z przodu, za to z papugą Rhodą siedzącą na głowie. Ktoś gryzł poduszkę i w głębokiej tajemnicy płakał gorzkimi łzami.

W intencjach Diany nie leżało zatraskiwanie wieka nad tłumionym bólem. Ale taki był rezultat.

Przede wszystkim Lorraine nie mogła uwierzyć w podobną bezczelność. Kiedyś Diana zjawiła się osobiście, żeby zabrać Keefer na weekend. Pewnie ktoś jej tak doradził. Albo ta kobieta była niespełna rozumu. Musiała chyba wiedzieć, że pcha się prosto do jaskini lwa.

Już po wszystkim Gordon wyznał, że żałuje, iż nie mają takiej pneumatycznej rury, którą można byłoby zasysać Keefer tam i z powrotem, a choć zabrzmiało to idiotycznie, Lorraine doskonale zrozumiała, jakie uczucia nim targają.

Keefer miała odwiedzać rodzinę ojca dwa razy w miesiącu o godzinie piątej po południu w piątki. Diana zjawiła się bliżej drugiej.

Lorraine siedziała przy biurku w salonie i bez większego entuzjizmu opracowywała plan lekcji na jesień, ściągając pomysły ze szczególnie udanych zajęć w zeszłym roku.

Przed chorobą Georgii miała mnóstwo nowych projektów na nadchodzące semestry. Jej ostatnie lata nauczania były najbardziej śmiałe. Mark zaczął nawet pomagać jej urządzać małą ciemnię

w schowku przylegającym do pracowni plastycznej, gdzie miała zamiar prowadzić trzytygodniowe kursy z czarno-białej fotografii. Reporterzy „National Geographic”, robiący zdjęcia w okolicy, ofiarowali trzy stare, ale w idealnym stanie aparaty fotograficzne. Znalazł się też chętny do nauczania Lorraine podstaw kolorowania zdjęć. Pomyśleć tylko, jakie piękne prezenty mogłyby robić dzieci dla rodziców!

A teraz ona po prostu ograniczy się do wykonywania swoich obowiązków.

Zapracuje na emeryturę.

Przynajmniej pierwsze dni nie sprawią jej większych trudności. Zacznie od ćwiczenia: twarz-wazon, mającego uzmysłowić uczniom, w jaki sposób półkule mózgowie zawiadują przeciwległymi połowami ciała. Otóż praworęczne dzieci rysują profil na lewej stronie papieru, odwrócony nosem do środka. Podczas dobrze przeprowadzonego ćwiczenia lewa półkula stopniowo uwalnia się od świadomości tego, jak prawa półkula „czuje” kształt i linię. Będzie uczyć kolażu; kolażu z elementami liternictwa. Zrobią zeszyty z kolażami. A potem zajmą się ceramiką lepioną i wytaczaną na kole... wszystkie rekwizyty plastycznej szkoły. To wcale nie będzie łatwe, ale przynajmniej pomoże zabić część świadomości, tak że Lorraine przejdzie przez lekcje niczym lunatyczka. Właśnie wstała, żeby przygotować sobie miętową herbatę i percodan, kiedy zadzwonił dzwonek.

Miło jej się zrobiło na sercu, kiedy zauważyła, że Diana wygląda dziesięć lat starzej.

I że przybyło jej na wadze.

Hej, maleńka, szepnęła Lorraine do ducha Georgii, popatrz no na ten wielki zwał tłuszczu nad szortami. Założę się, że nie kupiła ich w dziale dziecięcym.

- Dzień dobry - odezwała się. - Jesteś za wcześnie.

Diana tylko wzruszyła ramionami.

- No dobrze - na to Lorraine - a co będziemy robić przez trzy godziny?

Wymieniać przepisy? - pomyślała. Zapomnimy, że mamy nieprzyjemny proces sądowy i omówimy modę na jesień?

- Nigdy nie wiem, ile czasu trzeba, żeby tu dojechać - wyjaśniła Diana. - Ciągłe reperujecie jakieś drogi i trzeba jeździć objazdami.

Nagle i jasno Lorraine zrozumiała, w jakim sensie jej uczniowie używali zwrotu „wciskać kit”.

Diana zaproponowała, że zaczeka do piątej. I tak musi wypić swoją oczyszczającą herbatkę. Albo może posiedzieć w samochodzie.

Lorraine aż odebrało mowę ze zdumienia.

- No trudno - powiedziała w końcu. - Możesz zabrać Keefer wcześniej.

Fotelik był w samochodzie Lorraine, więc Gordie nie mógł przywieźć Keefer. Zaproponowała, żeby Diana pojechała za nią swoim samochodem, ale ta stwierdziła, że na pewno się zgubi. Diana zapewniła ją, że u „dzieciaków”, a miała na myśli Delię, znajdzie się wszystko, czego małej potrzeba, cały zestaw zabawek i ubrań (w guście Diany, przypuszczała Lorraine: lśniące lakiery z paseczkiem, małe stroje do golfa z wyhaftowaną flagą i aligatorem oraz całe półki lalek Barbie o wydatnych usteczkach i ohydnie wymownych biustach, różowych plastikowych torebek ze szminkami-zabawkami przypominającymi pałeczki smalcu, mnóstwo kaset wideo z przerażającymi filmami jak ten, który Keefer przywiozła do domu - o płaczącej rodzinie ogórków, ponieważ ich tatusia przejechała ciężarówką). Lorraine dostrzegła w torbie Keefer niewyraźne polaroidowe zdjęcia, jakby specjalnie włożone po to, żeby kłuć w oczy ją, Marka i Gordona wyższością chrześcijańskiego wychowania w wydaniu południowym. Dysząc gniewem, Lorraine pomyślała, dlaczego Georgia, jej delikatna i wrażliwa, niecierpliwa córka, miała tyle sympatii dla tej całej Delii? Ponieważ czuła się samotna, odpowiedziała Lorraine sobie samej, samotna, z dala od Lindsay, rodziców i wszystkiego, co związane z domem; z dala od Gordiego, który akurat popłynął na jeden z tych przeklętych, zbawiających świat - nie wiadomo od czego - rejsów, uwięziona na łasze piasku, spragniona towarzysstwa i przynależności do grupy. Pięta achillesowa Georgii - to pragnienie bycia chcianą.

Zanim wyszły, Lorraine zadzwoniła do Gordona, uprzedziła, żeby nie zapomniał przygotować flanelowej koszuli Raya, którą Nora wypchała, robiąc z niej poduszkę, nazwaną potem przez Keefer „kuliciek”. Dorzucić też te zwykłe drewniane klocki, dodała Lorraine, i kaczę rodzinę pacynek. Niech zobaczą, czym powinno się bawić małe dziecko. «

- Chyba lepiej, jeśli będzie miała swoje, dobrze znane rzeczy - wyjaśniła Lorraine Diane. - Jestem pewna, że Delia to zrozumie.

- O tak, na pewno zrozumie doskonale - zgodziła się Diana z doprowadzającym do szału samozadowoleniem.

Wyruszyły. Diana trzymała się mocno fotela, jakby to była kolejka górską w wesołym miasteczku. Lorraine uchwyciła kątem oka miękki, blady od pudru, wystający podbródek Diany; jego arogancka, dawna forma nadal była widoczna, ale teraz było w nim coś żałostnego, jak w upiorze, który nie zdaje sobie sprawy, że nadszedł jego kres, i poczuła wyrzuty sumienia, a także zrobiło jej się żal Diany. Nic dobrego nie przyjdzie z walki dwóch starych bab, w których każda wojuje swoim ulubionym mieczem. Lorraine ławto zniszczyłaby ją powiedzeniem: „Dzięki Bogu, że wrócił ci apetyt, Dianko”.

Wtedy Diana powiedziała:

- Nie ma sensu bocyć się na Delię. Jeśli masz coś do powiedzenia, powiedz to mnie. Wiem, że ci przykro, że tak to wyszło.

- Raczej trudno powiedzieć, że to „tak wyszło”, Dianko - odparła Lorraine, rozmyślnie patrząc przed siebie, i zahamowała nieco za ostro, z pełną świadomością, że głowa Diany aż podskoczyła. - Jeszcze nie zapadła decyzja. I niezależnie kto dostanie Keefer, i tak jest to dla mnie straszne. Sytuacja, jaka zaistniała między naszymi rodzinami, tylko pogarsza sprawę. Ponieważ mojej córki i tak już nie ma.

- I mojego syna.

- I twojego syna. Żadna z nas nie jest w stanie zastąpić swego dziecka... ich dzieckiem.

- To sprawa czysto rodzinna.

- Tak, ale dotyczy przyszłej rodziny Keefer. Nie chodzi o to, co jest najlepsze dla was: dla ciebie i Raya, czy dla nas, dla mnie i Marka. Nie to jest nawet ważne, czego chcieli Ray i Georgia w którymś tam momencie. Ważne jest to, co jest najlepsze dla Keefer. Wszyscy powinniśmy przyjąć taki właśnie punkt widzenia.

Zabrzmiało to mądrze. Mądrzej, niż Lorraine czuła. Ponieważ doskonale wiedziała, że przed chwilą wyartykułowała kłamstwo w żywe oczy. Tak naprawdę dla niej ta bitwa była przede wszystkim hołdem złożonym Georgii. Często myślała o Keefer jak o miniaturze Georgii.

- Mam nadzieję, Lorraine, że nie bierzesz tego osobiście do siebie - zasugerowała Diana.

- To jest osobista sprawa, Diano. Właśnie tak.

- Nie. To kwestia prawna. Prawo jest prawem.

- Prawo jest prawem? Przecież nie zostało popełnione przestępstwo. Nikt nie złamał żadnego prawa!

- Wolę nie wypowiadać się na ten temat.

- Doskonale - parsknęła Lorraine. - Nie mówmy o tym.

Była wściekła. Słusznie! Lepiej to zostawić, pomyślała.

Ale Diana była uparta.

- Chciałam jedynie wyrazić nadzieję, iż wiesz, że ani my, ani nasze dzieci nie zmienimy przez to swojego stosunku do was.

Lorraine się poddała. Wiedziała o tym.

- Oczywiście, że wiemy. I Gordon też nie ma nic przeciwko wam. On po prostu chce jak najlepiej dla Keefera.

- Jeżeli tak, to na pewno zrozumie, co my już zrozumieliśmy. I mam nadzieję, że ty też dostąpisz łaski bożej, Lorraine. - Diana najwyraźniej nie tylko piła oczyszczające herbatki Delii, ale oddychała tym samym powietrzem co ona. - Bo gdyby miało być inaczej, Bóg dałby nam jakiś znak.

- A jeśli dał, a wy go nie zauważyliście? - Och, zamknij się lepiej, ofuknęła siebie Lorraine. Wyobraziła sobie Grega Katta siedzącego w biurze nad Tree's Company Antiques, z uszami coraz bardziej gorącymi i czerwonymi, kiedy ona przerzuca się wyzwiškami z przeciwniczką, która prawdopodobnie ma przy sobie magnetofon. Nie, Diana nie zdobyłaby się na nagranie rozmowy. Diana nie była w stanie sama zapiąć paska od zegarka. Mark wysunął hipotezę, że kobiety z Florydy zatraciły gen samodzielnego ubierania się dzięki doborowi naturalnemu w przedwojennych latach.

Albo, pomyślała Lorraine, ta nieporadność to podstęp. A jeśli Diana jest tutaj rozmyślnie? Nagrywa rozmowę za radą swoich prawników? Katt uraczył ich opowieściami o dziwnych rzeczach, jakie robią ludzie podczas procesów o przyznanie praw rodzicielskich.

- Diano - powiedziała Lorraine ostrożnie, wolno skręcając w First Street. - Nie wiem, co Bóg myśli, ale wiem, że staramy się postępować zgodnie z tym, co uważamy za słuszne, podobnie jak wy.

- Ale wy nie macie pojęcia, jak my się czujemy!

- Jak ty i Ray się czujecie?
- Jak my wszyscy! Keefer Kathryn to nasza krew z krwi, kość z kości, Lorraine!
- Nasza też, Diano.
- Niezupełnie. - Starannie uróżowane usta Diany złożyły się w słyszalne „pyk”, tak jak w komiksach oddaje się nagły przypływ żalu.

Zimny pot pojawił się poniżej piersi Lorraine. Zastanawiała się, czy nie powinna, choćby dla zasady, uderzyć Diany. Diana była wyższa, ale Lorraine była święcie przekonana, że jest od niej silniejsza. Zamiast bić się, zatrzymała samochód na środku opuszczonej ulicy i odwróciła się w jej stronę.

- Co powiedziałaś?
- Nic. Jedźmy po Keefer Kathryn.
- Co... p o w i e d z i a ł a ś ?

Diana westchnęła głęboko.

- Sama tego chcesz, Lorraine. To nie fair. Słyszysz? Ona nie jest tak naprawdę wasza, krew z krwi, kość z kości. Nawet jeśli uważacie, że tak jest. Wiem, że kochałaś Georgię, ale ona była adoptowana. Keefer Kathryn jest Nye'ówną.

Kiedyś na plaży nad jeziorem Hat dzieci bez wiedzy Lorraine napełniły papierowe kubeczki słodkowodnymi ślimakami. Potem zapomniały o swoich skarbach, które pozostały na tylnym duszonym siedzeniu samochodu w bezwietrzne sierpniowe popołudnie. Dwa dni później, kiedy Lorraine otworzyła drzwi, uderzył ją w twarz potężny smród. Zatoczyła się, niemal tracąc równowagę, dotarła do śmietnika i wymiotowała, a garaż wypełnił przenikliwy opar rozkładu. Kiedy tamten fetor dotarł do jej nosa, ogarnął ją straszliwy gniew. Teraz czuła się dokładnie tak samo.

Diana niczego nie zauważyła. Mówiła z coraz większym zapałem i coraz bardziej rozwlekle, zwłaszcza w logicznie skomplikowanych momentach: Lorraine nigdy nie doświadczyła uczucia, jakie daje dziecko rosnące w ciele, a to znaczy, że Lorraine nie może wiedzieć, jak to jest, kiedy dziecko staje się częścią matki.

- Naprawdę was rozumiemy - zapewniała. - Ale wy też musicie zrozumieć niepodważalne fakty, jak życie wygląda w rzeczywistości.

- Rzeczywistość! - zachnęła się Lorraine i jej głos nagle złągodniał.

Istniała Lorraine przygnębiona i drżąca, szarpiąca szuflady i wyrzucająca bieliznę, którą ciskała nad głową zakrzywionymi jak szpony palcami, szukająca buteleczek, otwierająca buteleczki, wygrzebująca ich zawartość. Ale istniała też inna Lorraine. Ta, która prowadziła samochód i spoglądała z góry na Dianę.

Jedna rzecz była oczywista: potrzebny jej jasny umysł. Bardzo jasny. Nie weźmie żadnej pigułki, póki żyje w świecie tak niebezpiecznych szaleńców. Zrobi to, co powinna była zrobić wiele miesięcy temu. Nawet kawę odstawi. Zacznie brać miłorząb, żeby wzmocnić pamięć. Będzie trenować jak umysłowy maratończyk.

Diana trajkotała:

- Delia jest jak moja własna córka, a ona nie może mieć dzieci, i co myślisz, że pojedzie do Chin, do Peru, czy gdzieś tam, żeby adoptować czyjeś dziecko? Nie zrobi tego. Raczej nie będzie miała dziecka. A Craig? On czuje to samo. Chętnie przyjmą tę dziecinę jak swoją, ponieważ to jest ich krew, Lorraine! Nawet do głowy by im nie przyszło adoptować dziecko, które nie jest z nimi spokrewnione. Stąd to wszystko. To nie nasza zła wola. Takie jest święte prawo rodziny.

Lorraine spokojnie zaparkowała samochód i zaczęła wyjmować fotelik Keefer. Nie odpowiadała Dianie, która wciąż gadała; Lorraine widziała, jak jej szczeka porusza się w dół i w górę. Kiedy Gordon wyszedł z Keefer przed dom, Lorraine ucałowała dziecko, potem w milczeniu wyminęła syna i poszła prosto do jego mieszkania. Sięgnęła po telefon, zadzwoniła do Grega Katta i zażądała natychmiastowej rozmowy.

Kiedy odłożyła słuchawkę, pojechała do domu i wrzuciła do sedesu wszystkie pigułki, jakie były w domu - i małe, i duże. Zatrzymała tylko kilka środków przeciwbólowych, myśląc przesądnie, że może przyjść czas wielkiego bólu, który trzeba będzie czymś zabić.

- Zarzekła się, że pošle babę do wszystkich diabłów - opowiadał później Gordon Timowi Upchurchowi, kiedy jechali w ciemnościach w stronę pola golfowego w Blackwolf.

— Brzmi to, jakby odbyła się niezła awantura - zauważył Tim.

Wcześniej tego wieczoru zatrzymali się, żeby przegryźć coś szybko po softballu, i Churcłi wrócił od telefonu promiennie

uśmiechnięty, oznajmiając, że zaraz ruszają w drogę. Członek klubu w Blackwolf musiał umrzeć czy coś takiego - ponieważ, niespodzianka! - mieli wolne miejsca na siódmą rano. Powołując się na niebываły łut szczęścia, będący prawdziwym darem niebios, i argumentując, że jest to jeden taki dzień po zupełnie straconym lecie, Gordon odwołał kolację z Lindsay, która zachowywała się ostatnio nader powściągliwie, czego on starał się nie dostrzegać. Był podekscytowany, zwarty i gotowy. Będzie świetny. Będzie czuł się tak, jak mu zawsze mówił Ray, że można się czuć, niezależnie od tego, jak długo trwała przerwa. Nie miał potrzeby obawiać się pierwszego dnia na polu. To było jak seks, jak jazda na rowerze - ręce nie zapominają. Church, szalony jak kot pod zraszaczem trawy, będzie strzelał wszędzie oprócz środka, napawając strachem małe stworzonka leśne i specjalistów od marketingu, stawiających samochody na parkingu. To bez znaczenia. Gordon zapomniał o dzieciach i prawnikach i będzie tylko grał.

Nie mieli pojęcia, gdzie zanocują, z pewnością nie w zajeździe w Kohler, gdzie pokój kosztował tyle, ile Gordon płacił za półroczne ubezpieczenie samochodu. Nad tym zastanowią się później. Element niespodzianki to podstawa takich wycieczek.

- Mama oznajmiła, że pošle tę babę do wszystkich diabłów i że Nye'owie niczego nie rozumieją. A potem zadzwoniła do Katta, pojechaliśmy i złożyłem oficjalne podanie o adopcję. Tuż przed piątą. Urzędnik był zły jak chrzan. Następnie zapowiedziała, że oboje z tatą jadą na kemping. Na kemping! Ostatni raz byli na kempingu, kiedy miałem dziesięć lat.

- Jezu! Powiedziała, dlaczego?

- Dlaczego adopcja czy kemping?

- Dlaczego pošle Dianę do wszystkich diabłów - odparł Tim, rozglądając się ukradkowo dookoła, zanim otworzył butelkę piwa St. Pauli Girl, którą trzymał między nogami. Autostrada pełna była ludzi w samochodach z napędem na cztery koła, wszyscy jechali w przeciwnym kierunku, desperacko podążając na północ na biwak i na ryby w ostatni długi weekend lata.

- Nie powiedziała mi, dlaczego jadą na kemping. I nie wyjaśniła, jaka jest przyczyna wkroczenia na ścieżkę wojenną. A ja bałem się zapytać. Matka ma charakterek. Zawsze miała...

- No cóż, Diana to wyjątkowa suka.

- Taka sytuacja wydobywa z ludzi różne rzeczy.

- Co miała na myśli, mówiąc, że Diana niczego nie rozumie?
- Naszą rodzinę.
- A Ray był taki świetny facet.
- Najwspanialszy.
- Jak ludzie mogą tak się różnić od swoich najbliższych?
- Ja też się różnię.
- Nie tak bardzo. Ty i twoi rodzice jesteście bardzo sobie bliscy. Nie znaczy, że jesteś do nich fizycznie podobny, chodzi mi o to, że ich lubisz. Zawsze wydawało mi się to dziwne, kiedy byliśmy dziećmi, a ty mówisz, nie, zostanę w domu z tatą, bo będziemy robić doświadczenie i barwić kapustę na czerwono, czy coś w tym stylu. Siedziałeś w domu, nawet kiedy ci nie kazali, zamiast spieszyć, jak się dało.

- Robiliśmy masę fajnych rzeczy. Myślałem kiedyś, że wszyscy tak się zajmują swoimi dziećmi, jak oni zajmowali się nami. Ale nie widziałeś taty w akcji... jak wtedy kiedy z Georgią postanowiliśmy umyć schody do piwnicy węzłem ogrodowym. To był mój pomysł. Powiedziałem jej, że w piwnicy na dole schodów są otwory spustowe, i że woda spłynie nimi...

- I zalaliście piwnicę.

- Zalaliśmy nasze podwórko i podwórko sąsiadów. Woda poszła tak wysoko, że wylewała się z okien piwnicy. Staliśmy na górze, jakbyśmy oglądali *The Brady Bunch**.

- Wściekł się, co?

- Oboje z Georgią wycieraliśmy wszystko do czwartej nad ranem. A potem, kiedy już położyłem się do łóżka, zjawił się tata i potrząsnął mną mocno. Musieliśmy wstać i posprzątać u Dworów obok. Od razu. Nie odkładać do następnego dnia. Czasami potrafił być twardy jak skała.

- Ty też potrafisz być taki.

- Nie za bardzo. Jestem raczej podobny do mamy. Dużo gadam.

- Czasami. Zresztą czy ja wiem? Potrafisz się... powstrzymać.

- To samo mi powtarza Lindsay - westchnął Gordon.

- Całujesz się z nim jednak.

- Z moim tatą? - Gordon nawet dobrze nie pamiętał. Całował ojca w policzek lub w czoło za każdym razem, kiedy się widzieli. — Myślę, że tak. A ty całujesz swego ojca?

* Amerykański sitcom.

- Dona? Całować starego Dona? Nie pamiętam, kiedy go pocałowałem ostatni raz. Siostry to robią.

Pili w milczeniu. Church pokręcił gałką, aż trafił na Echo, i potańczył chwilę na siedzeniu.

- Jak to odbije się na tobie i Lindsay?

- Co?

- Niedługo pewnie zrobisz poważny krok w życiu.

- Ożenić się? Hola! Nie wszystko naraz.

- Ale jesteście razem...

- My... bawimy się w dom. U mnie to wygląda tak: kocham cię, Lindsay, jesteś najcudowniejsza pod słońcem. Ale ona chce... więcej.

- Wygląda na to, że moglibyście zostać rodzicami. Keefer uwielbia Lindsay.

- Mogłoby być dużo gorzej - zgodził się Gordon i aż odwrócił się na jęk Tima. - Co się dzieje?

Church nie odpowiedział, pochłonięty zeszkrobywaniem grudki żywicy z krawędzi szyby. Po dłuższej chwili mruknął coś na temat Diany. I Gordon w przypływie poczucia winy wrócił do poprzedniego wątku rozmowy.

- Będą utrudniać nam życie.

- Dlaczego? Przecież nie zamierzacie zabrać Keefer i przenieść się na Alaskę?

- Widzisz, oni patrzą na Keefer i widzą Raya... tylko ona im została po Rayu.

- Nie wydaje mi się, żeby była podobna do Raya. Myślę, że przypomina ciebie i Georgię. Patrząc na Keefer, ma się wrażenie, że to mała Georgia.

- Georgię - tak. Ale mnie? Moja siostra nie była do mnie podobna. Church, myśmy byli adoptowani. Nie ma między nami genetycznego pokrewieństwa.

- Racja. Nigdy nie myślę o was jak o dzieciach adoptowanych.

- To znaczy?

- To coś... w rodzaju komplementu. Wy jesteście po prostu McKennowie. Przypominacie swoich bliskich. Czy ty sam tak nie uważasz?

- Owszem, bo to nic nadzwyczajnego, kiedy się jest adoptowanym. Badania nad myszami wykazały, że jeżeli samicy podłoży się miot, którego nie urodziła, to małe będą podobne w zachowa-

niu do matki, która się nimi opiekowała, a nie do tej, która je urodziła. Niektóre rzeczy są wyuczone. Inne są wrodzone. Zdziwił-
byś się, co może być wyuczone.

- Na przykład co?

- No, na przykład to, że ptaki uczą się śpiewać. Nie robią tego
ot tak, same z siebie.

- Uff! - Tim wysączył piwo do końca. - A jednak ciągle czy-
ta się o ludziach, którzy szukają prawdziwych rodziców...

- Biologicznych rodziców.

- Słusznie. Ale zawsze twierdzą, że kochają tych, którzy ich
wychowali.

- Ciekawe, co się naprawdę dzieje tam, pod spodem, skoro ro-
bią z tego taką wielką sprawę. Sam się chyba nad tym zastanawia-
łem, kiedy byłem dzieckiem. - Gordon pomyślał przez moment,
co robi Keefer. Prawdopodobnie odmawia jakieś modły kongrega-
cjonalistów. - Szczerze mówiąc, wolałbym nie drażnić tego tema-
tu. Zwłaszcza teraz. To tak jakbyś musiał się tłumaczyć, dlaczego
nie masz poważnych problemów natury neurotycznej. Pani psy-
cholog, która do mnie przyszła, strasznie była na to napalona. Zu-
pełnie jakby chciała usłyszeć: „Ja sam do końca nie wiem, kim je-
stem”.

- No ale Keefer będzie wiedziała. Nie będzie naprawdę adop-
towana. Przecież już jest twoja.

- Tak. Jednak będzie adoptowana.

- Niezupełnie.

- Owszem, zupełnie! Church, w tym tkwi sęk. To nie jest dla
niej wielka sprawa, adopcja... stracić najbliższych, tak jak straci-
ła, to jest problem, tylko...

- Aż dziwnie pomyśleć, że Keefer mogłaby zostać
n a p r a w d ę adoptowana. Przez obcych.

- Nie byliby obcy, gdyby ją zaadoptowali.

- Mój brat Kevin wmawiał mi, że ja jestem adoptowany, po-
nieważ jako jedyny miałem brązowe oczy... płakałem z tego po-
wodu, kiedy byłem dzieckiem. Powiedział: „Mama i tata wzięli
ciebie, ponieważ nikt inny cię nie chciał. Policja im przywiozła.
I jak im się odwidzi, mogą przyjechać i zabrać cię z powrotem.
Takie jest prawo stanowe”.

- A ty się bałeś. Jakby to nie było twoje miejsce wśród nich.

- Właśnie.

- Tak to jest. Ludzie myślą, że nic nie robisz, tylko się zamartwiasz, że cię rodzice adoptowali.
- Ale się załóżę, że są takie rodziny.
- Bywają też nienawidzące się małżeństwa z czterdziestoletnim stażem.
- Jak moi dziadkowie.
- Ale oni to na swój sposób lubią.
- Prawda.

Pojawiła się restauracja. Tim minął ją, a potem zawrócił.

- Jak myślisz, co to za knajpa? - spytał Gordona.

Szyld głosił: ELEGANCKIE KOLACJE W MIŁEJ SFERZE I PRZY DOBREJ MUZYCE. Gordon przyjrzał się bliżej. Kiedyś było napisane ATMOSFERZE. Przez kilka ostatnich mil, kiedy zbliżali się do miasta, rozglądał się, szukając miejsca, gdzie mogliby coś zjeść, zapytać o nocleg i gdzie mógłby dostać piwo, żeby podtrzymać lekki szmer wywołany poprzednim. Długi, niski budynek, który w końcu zobaczyli, był obłożony; samochody osobowe i ciężarówki stały wzdłuż pobocza.

Spojrzał na zegarek. Dziewięta piętnaście. Pewnie gra jakiś zespół. Weszli do środka.

Zauważyłyby ją i tak, nawet gdyby mu się nie wydało, że skądś ją zna. Nie była piękna, ale miała ten rodzaj ciała, *co* potrzeba, ciemną opaleniznę, za ciasną koszulkę, za luźne dzinsy, zawsze przywodzące mu na myśl Lizę. Tańczyła z czterema przyjaciółkami, jakby próbowała odkręcić się od podłogi w jednym, długim, płynnym, nieskończenie wiele razy powtarzającym się ruchu, kojarzącym się ze wstęgą Mobiusa. Mężczyźni podsuwali się niepewnie, a ona odrzucała tylko głowę do tyłu, śmiała się i odwracała do koleżanek. Kiedy kapela przestała grać, odrzuciła na bok spocone włosy i podeszła do Tima i Gordona.

- Mogę dostać drinka?
- Co pijesz? - spytał Tim.
- Wodę z lodem. Jest za tobą. - Teraz, kiedy stała bliżej, Gordon widział, że jest starsza, niż mu się wydawało z drugiego końca sali. Spojrzał na jej ręce. Pierścionki, ale tylko na palcach wskazujących. Małe, kształtne ręce.
- Znam cię. Jesteś z Tall Trees. Zgadza się?

Skinał głową, przyglądając się jej. Ile lat była od niego starsza? Pięć? Więcej? Wokół kącików jej oczu rozchodziły się promieni-

ście cieniutkie linie, jak na muszli przegrzebka. Pewnie dużo ćwiczy. Wszyscy obecnie ćwiczyli. To śmieszne. Wszyscy wyglądali teraz na trzydzieści lat.

- No jak?

- Tall Trees? Zgadza się.

- Miasto sklepów dla wędkarzy - wtrącił Tim.

- Ja pochodzę z Merrill. Mamy tu domek. — Zrobiła gest w stronę koleżanek, które właśnie odgrywały całe przedstawienie, dostarczając do stolika spieniony dzban. Specjalnie dla niego, pomyślał Gordon.

Jedna z nich, blondynka, była bardzo przyjemna. Ale wyższa od niego.

- Przyjechałyśmy na zawody golfowe. Dla strażaków - powiedziała nieznajoma, sącząc wodę z lodem.

- Twój mąż jest strażakiem?

- Ja jestem.

- Żartujesz? - Tim był zaskoczony. Gordon też. Kobieta mierzyła jakieś pięć stóp i trzy cale. Podwinęła rękawy koszulki. Bicepsy jak głązy.

- Gdzie śpicie?

Powiedzieli jej: w samochodzie.

A wtedy dołączyły koleżanki i oddzieliły ją. Nazywała się Alicia Rafferty. Rafferty, pomyślał Gordon. Gdzieś już słyszał to nazwisko. Obaj z Churchem usiedli z nimi. Nowe znajome poczęstowały ich piwem. Kapela, pod nazwą Kryzys Wieku Średniego, znów zaczęła grać. Alicia pociągnęła Gordona na parkiet. Dzięki ci, Georgio, westchnął, że nauczyłaś mnie swinga. Skończyło się na tym, że zaproponowały obu mężczyznom nocleg na podłodze w domku, pod warunkiem że będą grzeczni. Alicia pojechała w samochodzie Tima, prowadząc ich przez malownicze jak z pocztówki centrum, a następnie długą drogą przez leśny rezerwat do występu nad stromą ścianą skalną. Poniżej mruczało i wzdychało jezioro Michigan. Niebo wisiało nisko, gwiazdy pulsowały.

Nie minęło dziesięć minut od zgaszenia światła, kiedy przyszła po niego.

- Chodź na dwór - powiedziała Gordonowi. - Chcę ci *coś* pokazać.

Była z niej figlarka. Zaciągnęła go na górę, na występ, i bez słowa wyskoczyła z dzinsów. Musiała być starsza. Dziewczyny w je-

go wieku albo zabierały się do *rzeczy*, jakby chciały go pożreć, albo zachowywały się tak, jakby to był wielki dar z ich strony, że w ogóle otworzą usta, a ona obchodziła się z nim delikatnie, drażniąc go lekkimi jak piórko dotknięciami wewnątrz ud, a potem ściskając mocnymi, znającymi się na rzeczy rączkami. Później położyła się, roześmiana, a on już gotów był oddać jej przysługę, pokazać, jak to się robi według najlepszej lekcji Jurgena. „Udawaj, że sączysz whisky” - radził przyjaciel dawno temu.

Nagle przestał. W jego mózgu jakby eksplodowała żarówka: przypomniał sobie, gdzie widział jej nazwisko. Na liście uczniów w jego klasie. Była krewną jednej z uczennic - siostrą, kuzynką.

Matką.

- Coś zjadłam? - zaśmiała się. Potem usiadła. - Masz papierosa?
- Nie palę - powiedział Gordon.
- Ani ja - odparła.
- Nie zrozum mnie źle.
- Umm, w porządku.
- Ja po prostu nie mam... Jesteś wspaniała, bardzo seksy i w ogóle, ale...
- Jestem starsza.
- Nie widzę problemu.
- Nie znamy się.
- Jestem nauczycielem biologii. Kelly Rafferty ma być moją uczennicą od jesieni.
- To moja córka. Nie przejmuj się, jestem niezamężna.
- Ja też nie jestem żonaty. No, niezupełnie. Jest pewna naprawdę miła osoba, którą zraniłbym tym, co miałem właśnie zrobić. A także... jestem w niezręcznej sytuacji.
- Sprawa sądowa.

Gordon był szczerze zaskoczony. Doskonale wiedziała, kim jest.

- Zgadza się - rzekł wreszcie.
- Czujesz się teraz bardziej jak ojciec?
- Tak.
- Jaka ona jest?
- Wspaniała. Najzabawniejsze dziecko pod słońcem. Wiesz, właśnie spróbowała chodzić do tyłu. Uśmiecha się, dumna, jakby to było wielkie osiągnięcie. Nauczyłem ją naśladować klakson...
- Cofająca się ciężarówka?
- Właśnie. Małe dzieci mogą robić jedną rzecz w kółko.

- Do upadłego...
 - A ona myśli, że to bardzo zabawne. Sam nie mogę powstrzymać śmiechu. Ona ma osobowość walca drogowego, wiesz? Któregoś razu zastałem ją w łazience, jak z głośnym „plop” wyciskała z tubki pastę do zębów. Pasta była wszędzie. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Dory! Bzidki! Be!”, zupełnie jakbym to ja zrobił...
 - Brzmi tak, jakbyś wychowywał ją na chłopaka.
 - Mam nadzieję, że nie - powiedział Gordon. - Jeśli tak, robie to niechący.
 - Musisz ją kochać.
 - Kocham ją bardziej niż... - rzekł Gordon, zadziwiając samego siebie - ... najbardziej na świecie.
 - Podoba mi się to - stwierdziła Alicia, a potem ziewnęła. — Nie masz nic przeciwko temu, że włożę majtki? - Przeczesała włosy, a potem wyciągnęła rękę, którą Gordon ujął delikatnie. - Czy moja panna dostanie dzięki temu piątki?
 - Nie.
 - A czy ja znalazłam przyjaciela?
 - Na pewno.
 - Widzisz, przyjaciół nigdy za wiele w tym długim życiu - powiedziała.
- Kiedy wrócił z łazienki, a ona już znikła na stryżku, gdzie chrapały jej przyjaciółki, zaskoczył go Church, który wywinął się z koca i usiadł.
- Czego chciała? - spytał, a jego głos był nieco ściśnięty z niejasnego dla Gordona powodu.
- Gordon postanowił potraktować to lekko.
- Ona... chciała mi coś pokazać.
 - I ty chciałeś jej coś pokazać?
 - Wcale nie. Rozmawialiśmy.
- Tim odrzucił koc i wyszedł przez drzwi frontowe. Gordon widział jego ciemny profil, twarz na tle rozjaśnionego nieba.
- Jezu Chryste! - pomyślał Gordon.
- Tim Upchurch spojrział daleko w szaleństwo gwiazd i pomyślał o Lindsay Snow. Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Wyobraził sobie własne serce, rozpadające się jak pusta w środku czekolada, równo, na dwie połówki.

Mark McKenna leżał z głową opartą na ramieniu i myślał o córce. Obok niego w małym namiocie spała Lorraine, zdaniem Marka głębiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Był zdumiony, ale i pełen nadziei, kiedy Lorraine spiesznie wyłoniła się z piwnicy, niosąc namiot i karimaty. Wybrali się na maleńką jak chusteczka do nosa plażę nad jeziorem Spirit, na miejsce, którego nikt chyba poza nimi nie odkrył, gdzie kąpali się nago przy blasku księżyca, kiedy byli młodzi i dokąd pewnej ciepłej wiosennej nocy, bardzo dawno temu, zabrali Gordiego, żeby obserwować wielką sowę karmiącą młode, ściągawszy dzieci z łóżek tuż po północy. W namiocie Lorraine i Mark kochali się po raz pierwszy od śmierci Georgii. Nie czuł pożądania, ale za nic by jej o tym nie wspomniał. To Lorraine dała mu znak, znanym obojgu sygnałem bez słów, że będzie mile widziany.

To dlatego, przypuszczał, że byli z dala od domu,. Od wikłającej ich sieci wspomnień. I na długie chwile udawało mu się zapomnieć, zatracić w pachnącej płataninie gibkich rąk i nóg Lorraine, w jej skórze, luźniejszej, nieco obwisłej, ale wciąż nie mniej miękkiej pod jego dotknięciem niż za pierwszym razem.

Teraz czuł dojmujący smutek. Każde stworzenie smutne jest po obcowaniu, ale to było coś więcej niż fizjologiczne następstwo. Tak im się dobrze udawało przez całe małżeńskie życie utrzymywać dzieci w odpowiedniej relacji do ich związku. Dawali sobie wzajemnie czas. Nawet kiedy Georgia przechodziła okres nawiedzenia w wieku lat piętnastu czy szesnastu, zdołali zachować nieknięty krąg szacunku i komfortu. Nigdy nie okłamał Lorraine, z wyjątkiem jednego razu, kiedy powiedział, że przed nią była inna kobieta. Ot, drobna próżność nieśmiałego mężczyzny. Była to jedyna nieprawda aż do chwili, gdy wyznał, że jest wdzięczny, iż to nie ją - Lorraine - stracił.

To było kłamstwo. Choć większe nadzieje, jakby powiedziała jego siostra, wiązał z Gordonem, córka Marka McKenny była promienną gwiazdą jego życia. Bardzo wiele znaczyły dla niego poczucie bezpieczeństwa i integralności, jakie sam brał i dawał, wychowując się w bliskości brata i siostry. Pasja - nie było to wcale za mocne określenie - z jaką pragnął Lorraine, z jaką wykonywał swoją pracę, wszystko to razem nie równało się nawet części mocy jego przywiązania do Georgii.

Nie tak to sobie kiedyś wyobrażał. Strach, prawdziwy strach go

ogarnął, gdy wreszcie uległ rozpaczliwemu pragnieniu Lorraine, by zaadoptować dziecko. W większym stopniu niż inni zdawał sobie sprawę, że cechy genetyczne to nie propozycja, ale przeznaczenie. Były jak mapa z wyraźnie zaznaczonymi ważnymi punktami. Badania nad bliźniakami w Minnesocie dowiodły, że bliźnięta wychowywane osobno przez przybranych rodziców - co za barbarzyństwo rozdzielać bliźnięta do adopcji! - decydowały się na podobne zawody, miały przedziałki z tej samej strony, cierpiały mniej więcej w tym samym czasie na te same dolegliwości. Wiedziały z absolutną pewnością, że wszelkie teorie na temat „natura kontra wychowanie” niewiele dają, że wychowanie dziecka jedynie wydobywa lub tłumi predyspozycje rozwojowe. Adoptowane dziecko nie będzie takie jak on. Takie dziecko jest zagadką; jego talenty, cechy osobnicze, choroby.

Choroby.

Wtedy w jego ramionach znalazła się Georgia, złożona tam przez dotychczasowego opiekuna. Inspektor z Katolickiego Ośrodka Społecznego spóźnił się. Minęło pół godziny. Godzina. Wreszcie Mark się uparł, żeby zabrać dziecko do samochodu i odjechać. A jeśli się okaże, że wynikły jakieś problemy i zabiorą ją z powrotem? Kierując się w stronę domu, minęli pracownika opieki społecznej podążającego w przeciwnym kierunku. Trochę się z tego pośmieli - przynajmniej dotychczasowa opiekunka, pracownik agencji adopcyjnej i Lorraine, bo Mark się nie śmiał. Widział jedynie Georgię, przyglądał się jej kasztanowym loczkom, jej świdrującym czarnym ślepkom, jej delikatnym rączkom.

Uznał Georgię za swoje dziecko.

Zapomniał o niepodważalnym fakcie biologii. Teorie: natura kontra wychowanie, niewiele dawały, ale z innych powodów, niż dotąd przypuszczał. Georgia była tym, kim była, on był - kim był. Do niego należało jej wychowanie. Czy ktokolwiek przypuszczał, że tak bardzo go oczaruje, że nie będzie w stanie myśleć o niczym innym oprócz patrzenia na nią i dotykania jej skóry?

Radość Lorraine z posiadania dziecka graniczyła z szaleństwem. Łąca się z niej jak zapach. W dniu, kiedy zadzwoniono z agencji adopcyjnej, przyszła do domu z biblioteki, niosąc stos książek o opiece nad dzieckiem, i przez dwa dni w ogóle nie pamiętała, że zostawiła samochód na parkingu. Potem pomyślała, że pewnie go już ukradli, i nie zwracała sobie nim głowy. Zużyła

wiele farby na pomalowanie ścian w pokoju Georgii wielkimi plamami malinowego różu, złota i metalicznego błękitu, dobierając kolory tak, że jej siostra Daphne, której mąż był neurologiem, obawiała się, iż dziecko otrzyma za dużo stymulacji.

Lorraine nie dbała nawet o to, czy Mark przekonał się do dziecka. Ona wybrała imię.

- Nie sądzisz, że z tym imieniem to przesada... - zaczął marudzić.

Lorraine przerwała mu natychmiast.

- Twój mechanik nazwał dziecko Juniper - powiedziała, wydymając usta. Już w wieku lat szesnastu zaplanowała sobie, że nazwie dziecko na cześć Georgii O'Keeffe i, na Boga, nazwie dziecko na cześć Georgii O'Keeffe.

A imię to okazało się wręcz idealne. Mark nie wyobrażał sobie innej dziewczynki tak niezwyklej i niemożliwej do opanowania jak jego dziecko. Dwa lata później urodził się syn, w dniu, kiedy człowiek po raz pierwszy stanął na Księżycu. Nie wiedzieli nawet o istnieniu Gordiego w letnią noc, kiedy - podobnie jak wszyscy ich znajomi - obudzeni oglądali rozmazaną transmisję, a senna Georgia przewalała się na ich kolanach. Ale sześć tygodni później, mimo że Gordon Cooper nie był uczestnikiem akurat tej wyprawy, Mark, naśladowując Lorraine, nazwał syna na cześć kogoś sławnego i tak, by upamiętnić historyczny fakt jego narodzin*. Było to podyktowane bardziej kaprysem niż praktycznością.

Jakże te imiona pasowały do dzieci! Miękka i twarda wymowa tej samej litery były jak ręcznie szyte koszule, od razu doskonale leżące.

Musiał sporo jeździć w związku z pracą, dopóki Gordie nie skończył roku. Dłużej, niż Mark by chciał. Trochę czasu zajęło mu wyrobienie sobie takiej pozycji w Medi-Sun, by mógł więcej przebywać z rodziną. Ale niezależnie od tego, gdzie był, czy miał przed sobą kolację z klientem, czy inne obowiązki, odkładał wszystko, żeby zadzwonić do domu o szóstej, zaraz potem, gdy Lorraine sprzątnęła ze stołu. Jeżeli praca wypadła w czwartek lub niedzielę, zwlekał kilka minut, żeby było już po kolacji, a przed początkiem *Bewitched* albo *The Munsters*. Zdarzało się,

* Gordon Cooper - amerykański astronauta, uczestnik programu Apollo.

że żona nie miała czasu z nim rozmawiać. Dwoje dzieci w wieku poniżej trzech lat wymagało ogromnego wysiłku; kobiety wtedy nie pracowały na pełnym etacie, jeśli musiały zajmować się rodziną. Praca Lorraine zawsze ją absorbowwała, a ona po prostu nie umiała robić na pół gwizdka. Nawet bliska obecność Mary Dwors - która chętnie opiekowała się dziećmi w tych pierwszych latach - i pomocy zatrudnianej do sprzątania i prasowania, nie zastępowała braku drugiego rodzica. Mark nigdy się nie dowiedział, ile snu kosztowało Lorraine, żeby wszystko szło jak należy, kiedy on wyjeżdżał. Zanim Georgia skończyła cztery lata, wrócił do domu na dobre. Wiele lat później, patrząc wstecz, dziwili się, jak im się to wszystko udawało.

Mark czuł, że te telefony zdziałały wiele dobrego. Były jak kotwica. Kiedy Georgia zaczęła mówić, prosił ją do słuchawki; wtedy natychmiast się rozchmurzała, niezależnie od tego, w jakim właśnie była nastroju.

- Rzucała klockami w małego, a on udawał, że się przewraca - relacjonowała Lorraine, rozgoryczona. - Już się trochę uspokoiła. Mark, jest tu nasza mała Sara Bernhardt. Georgio, opowiedz tatusiowi, jak świetnie się bawisz.

Mark gruchał do niej czule.

- Georgia? O kim tatuś myśli cały dzień?

- Tatuś.

- Moja Georgia.

- Mój tatuś.

- Jesteś wesoła, Georgio?

- Nie, jestem smutna.

- Dlaczego jesteś smutna?

- Bo ty nie jesteś ze mną.

- Niedługo będę z tobą.

- Nie jesteś ze mną.

- Już niedługo.

- Dlaczego nie jesteś tu?

Cierpliwie tłumaczył, językiem dla niej zrozumiałym, że praca tatusia polega na dostarczaniu witaminek ludziom, żeby byli zdrowi i silni, i nie chorowali, kiedy jest zimno. Nawet w zimie. Mimo to powtarzała:

- Tatusiu, jestem smutna.

A on za każdym razem wierzył; myślał, iż to całkiem możliwe,

że szczęśliwe życie jest w stanie pomieścić wielki smutek, i nie sądził, że emocje dzieci są mniej ważne od emocji dorosłych. Dla małego dziecka ściany pokoju są granicami wszechświata. Siedział więc w Pheonix, Milwaukee czy w Trenton i wyobrażał sobie siebie i Georgię, każde z nich uwięzione w ograniczającym zamknięciu własnej odrębności, a między nimi wznoszącą się ścianę odległości.

Kiedy Georgia zachorowała, uznał, że niezależnie od tego, ile potrwa jego życie: dziesięć lat czy dwadzieścia, będzie to życie niepełne, jakby na zawsze utracił część własnego serca. Odwaga i stanowczość, jakimi wykazała się Lorraine w walce o wnuczkę, sprawiały, że chciał wstać i bić brawo żonie za jej dzielność. Ale sam nie był do walki przekonany. Miał nadzieję, że tej rezerwy nie było po nim widać. Miał nadzieję, że swoje zadanie wykona dobrze.

Nye'owie mylili się. Tyle wiedział na pewno.

Poza tym wiedział niewiele.

Pewien był, że cierpienie nie wykracza poza śmierć.

Więc skoro nie mógł być z Georgią, przynajmniej nie musiał więcej żyć ze świadomością jej bólu. Pierś wypełniło drobne, uparte pulsowanie, aż westchnął. Zastanawiał się, bez większego zresztą zaangażowania, czy nie ma przypadkiem ataku serca. Ale nie. On jedynie nareszcie płakał, a gorące łzy spływały po policzkach do uszu.

- Mark? - Lorraine się poruszyła, nie całkiem obudzona. - Wszystko w porządku?

- Tęsknię za moją dziewczynką. - Udało mu się tyle powiedzieć i zapanować nad sobą. Nie chciał alarmować żony.

- W poniedziałek - westchnęła Lorraine. - Wraca do domu w poniedziałek. Śpij.

11

Śpij, zachęcał ją Gordon. Śpij. Śpij. Śpij. Śpij! Nie odważył się kaszlnąć ani głębiej odetchnąć, ani nawet przenieść poduszki na wygodniejsze miejsce między kolanami, ponieważ wierzył... nie, on wiedział na pewno, że Keefer słyszy jego myśli.

Dlaczego tak mało badań poświęcono temu zjawisku? Jeżeli nie myślał o niczym innym, tylko o spaniu, Keefer szybko zapadała w sen. Jeżeli pozwolił błędzić myślom, o jeździe na nartach albo o jutrzejszej lekcji, albo o tym, że go coś swędzi, albo o fałdce wokół pępka Alicii, pojawiającej się w momencie, kiedy ta rzucała się odebrać serw podczas meczu siatkówki (po przyłączeniu się do jej drużyny stwierdził, że powinni zostać wyłącznie przyjaciółmi, a ona załatwiła go z miejsca, pytając z autentycznym zakłopotaniem, o czym on mówi), albo o tym, jak chętnie napiłby się piwa imbirowego z lodem, wtedy Keefer wierciła się w nieskończoność.

Zaczynało się od zwykłego popiskiwania, przypominającego piski szczeniaka podczas pierwszej nocy w nowym domu. Potem zapadała cisza i wtedy Gordon odwoływał się do kosmosu. Raz na pięć razy - policzył to - Keefer wzdychała, wsadzała kciuk w lewy kącik ust, gdzie wyrastały - dając się przy tym we znaki - zęby trzonowe, i padała na swoje posłanie jak wskaźnik kierunku wiatru, z którego uszło powietrze. Gordon próbował opisać Lindsay radość, jaką odczuwał, kiedy mała na chwilę zasypiała, jak również poczucie bezpieczeństwa wynikające z pewności, że kiedy słońce wszędzie, nie będzie skrajnie wyczerpany, a jego oczy wyschnięte tak, że niemal będą trzeszczeć przy otwieraniu i zamknięciu. To było święto, prezent z nieba, jeszcze jedna noc, kiedy nie musiał oglądać środkowych czterdziestu pięciu minut *Fast Times at Ridgemont High* czy *Batmana i Robina*, głaszcząc jednocześnie kciukiem małą, niespokojną stopkę Keefer.

Z początku przez pewien czas przesypiała całą noc tak, że Gordon czuł się, jakby brał sterydy. Sprawdził się w roli ojca! Całkowicie! Faith Bogert może sobie przychodzić. Wszyscy mogą sobie przychodzić. Skąd się bierze to całe jęczenie, że nie ma ani jednej wolnej chwili dla siebie? Dlaczego samotni rodzice, których widuje w szkole, zawsze wyglądają tak żałośnie?

- Zasypia o ósmej - relacjonował, starając się zdusić uczucie dumy. - I śpi całą noc.

Ale kiedy Keefer zaczęły wyrzynać się zęby trzonowe, budziła się w nocy i wyła jak nie wiadomo co.

Za pierwszym razem przerażony Gordon zadzwonił do matki, która poprosiła, żeby przytrzymał słuchawkę blisko główki dziecka, tak by mogła dobrze usłyszeć, jakiego rodzaju jest to płacz.

- Gordie, ona po prostu marudzi - stwierdziła po chwili ze znudzeniem. - A teraz daj mi trochę pospać. Jutro idę do pracy.

Ale Keefer jęczała dalej; wreszcie Gordon otulił ją ciepłą kurtką, zawiązując z tyłu rękawy, żeby było jej ciepło i żeby ją unieruchomić, i pojechał to ośrodku zdrowia. Dyżurna lekarka, która starannie ostukała, obejrzała i obmacała Keefer, była Azjatka, młodą kobietą.

- Jest pan jej ojcem? - spytała.

- Tak, jestem jej wujem - odparł Gordon.

- To pana córka? - spytała lekarka ponownie, a Gordon strofował siebie: zamknij się, zamknij się, ty rozpuszczony zarozumiałcze! Pomyślał też, że jest to dokładnie ten typ kobiety, która kiedyś, dawno temu chciałaby przynajmniej raz spróbować niby przypadkiem otrzeć się piersią o jego ramię. Samotne ojcostwo, co odkrył z niesmakiem, nie było magnechem na panienki, jak się tego spodziewał. Kiedy Keefer pokazywała dołeczki, a włoski miała uroczo podpięte spineczkami, musiał kijem opędzać się na Perk Place. Ale kiedy kaprysiła albo rzucała się na ziemię i z całej siły kopała nóżkami, doprowadzając się do wymiotów, kobiety najchętniej traktowałyby go, jakby był ze szkła.

- Jestem jej wujem. Mam zamiar ją zaadoptować - wyjaśnił Gordon. - Mieszka ze mną, więc de facto, tak, jestem jej ojcem. Moja siostra, a jej matka, zmarła wiosną.

- Współczuję panu. Ale mam powód do zadawania takich pytań.

- Ubezpieczenie zdrowotne? Jest objęta ubezpieczeniem moich rodziców. Mam kopię ich karty i zaświadczenie.

- Nie jestem księgową.

- W porządku. W takim razie proszę pytać.

- Co pan wie o wyrzynaniu się zębów u dzieci?

- Całkiem sporo. Jestem nauczycielem biologii.

- Mówię o dzieciach, nie o rekinach.

- Jasne!

- Więc wie pan, że ją boli. Ból równa się płacz i niespokojny sen. Małpa, pomyślał Gordon.

- Cieszyłbym się, gdyby to był tylko niespokojny sen, pani doktor. Tu raczej chodzi o bezsenność. Wiem, że wyrzyna jej się trzonowy ząb, ale nie miałem pojęcia, że to aż tak da jej popalić...

- A co się działo, kiedy wyrzynały się przednie zęby? Reago-
wała?

- Nie wiem. Nie mieszkalem z nią w tym czasie. Jej rodzice...
Moja siostra jeszcze żyła. Myślę, że była całkiem maleńka, kiedy
zaczęły się wyrzynać zęby.

- No to teraz jest jej znacznie trudniej. Trzonowce są większe.
I ona jest większa. Bardziej rozumna. Prawda, kochanie?

- Proszę mi o tym coś powiedzieć. To znaczy, ona nie śpi.
Wcale. Ja też.

- Większość rodziców małych dzieci śpi znacznie więcej niż
się im wydaje. Dzieje się tak z powodu zaburzeń percepcji, ponie-
waż sen jest urywany. Wiem, że się to wydaje niemożliwe, ale
każdy przez to przechodzi.

- Czy ma pani dzieci?

- Nieceee - odparła kobieta, która na identyfikatorze miała na-
pisane nazwisko Michelle Yu. - Gdyby była naprawdę pozbawio-
na snu, wykazywałaby pewne fizyczne... to by było widać.

Dziękuję ci, Yu, pomyślał, wychodząc stamtąd z butelką syro-
pu i kierując się w stronę domu na dalszy ciąg czuwania.

Niemal codziennie przyłapywał się w klasie na tym, że drze-
mie. Dzieci to zauważyły. Jedno z niekończącego się ciągu Reil-
ly'ch - imieniem Dennis - obudziło go, zwiększając na maksa
głośność przyniesionego do laboratorium odtwarzacza kompakt-
owego. Pierwsza fraza *Layli* poderwała go dosłownie na równe
nogi.

- *Tempus Jugit*, panie McKenna - odezwał się chłopak.

Gordon zdławił pragnienie walnięcia młodziaka i zażartował:

- Reilly, jestem starym człowiekiem.

- Wcale nie, jest pan w wieku mojego brata.

- Ach tak. Sir Ryan Reilly. Razem przebrnęliśmy przez piątą
klasę.

- Mówi, że był pan specjalistą od dam.

- W piątej klasie? Wtedy nie wiedziałem jeszcze, gdzie co jest.
Poza tym jestem katolikiem, wiesz? - Śmiech. Ulga. Może zapo-
mną, że się zdrzemnął.

- Podobno jednak coś pan wiedział. Brat mówi, że właśnie tu-
taj, w starym pocziwym Wildwood, zerwał pan więcej róż niż...

- Daj spokój, chłopcze. I tak nie będziemy przerabiać doboru
partnera aż do Święta Bieżączynienia. - Więcej chichotów.

Z programu wiedzieli, że „dobór partnera” to nazwa ćwiczenia z genetyki. - A jeśli chodzi o mnie, to mam teraz obowiązki. Rodzicielskie.

- Ożenił się pan? - spytała Kathleen Zurich, mała ślicznotka w grupie *cheerleaderek*, siedząca obok Kelly Rafferty.

Rafferty.

Boże!

- Nie, nie ożeniłem się - odpowiedział w końcu.

- Wypadek przy pracy? - Śmiech. - Złapała pana na dziecko?

- Nie. Mam zamiar adoptować małą siostrzeniczkę. Moja siostra i jej mąż zginęli tragicznie.

- Oooo, tak, wiem o tym. Było w telewizji.

- Owszem. No i teraz wychowuję dziecko. Najwspanialsze dziecko na świecie, tylko że prowadzi nocny tryb życia. Podziwiam wytrzymałość waszych rodziców. Chłopcy, ile was teraz jest? Dziesięcioro? Jedenaścioro? Jak wasi rodzice sobie radzą?

- Każdym możliwym sposobem - Reilly wzruszył ramionami. Więcej ochrypłego śmiechu.

- Bo ja zasypiam na stojąco przy jednym dziecku. Jak oni to robią?

- Piją- zawył chłopak.

Gordon nie pił. Zrezygnował z softballu. Kiedy przyszła Lindsay, ubłagał ją przy drzwiach, żeby zabrała Keefer na godzinę, by mógł się przespać. Gdy wróciła - zarzekała się, że nie było ich dwie godziny - spał na sofie jak zabity. W sobotnie wieczory, kiedy Keefer była u jego rodziców albo u Cadych czy Nye'ów, nie miał siły na nic więcej niż tylko na pizzę na wynos i film który przesypiał. Lindsay mu dokuczała, mówiąc, że powinien poprosić ojca o próbkę ziołowej viagry. Był pewien, że w lustrze widzi ślady siwizny na skroniach. Jego cierpliwość wobec zwykłych czynności życiowych była na wyczerpaniu.

Pewnego wieczoru nieomal wdał się w bójkę z facetem w Wild Rose. Było ich tam dwóch, palantów od biznesu, prawdopodobnie zaproszonych tu przez Medi-Sun. Sączyli koktajle zapłacone ze służbowych diet, w niebieskozielonych eleganckich marynarkach i okularach od Clarka Kenta.

Pierwszy palant zdawał relację - na tyle głośno, żeby go wszyscy słyszeli - z jakiejś biurowej afery.

- Zobaczysz. Heywood jest skończony. Nigdy nie dojdzie do

siebie. Rozumiem jego potrzeby. Ale strasznie pozuje. I kogo on chce nabrać...

- Taka prawda - odparł drugi palant.

Barmanka Katie Savage wzniosła oczy do góry i wykonała dłonią gest mówiący: „spokój, spokój, chłopcy”. Gordon ciekaw był, czy wygląda na równie zdegustowanego, jak się czuł.

- Walczę z tym samym u siebie - zaczął Church, naśladowując angielski akcent. - Ernie Blodgett może sobie gadać, co chce, ale więcej nie będzie malować hydrantów. To facet od miotły. Taka prawda. Kiedy próbował malować hydranty, brakowało mu...

Któryś z palantów zaczął obgadywać córkę szefa. Gordon nie wierzył własnym uszom.

- No a ona na to staremu Vanderwoodowi, że chce mieć wesele jak księżniczka, i żeby na nic nie żałować...

- A jest karlica?! - ryknął drugi.

- Podobnie jak ten gość, za którego wychodzi! I wszyscy mamy uczestniczyć w tej... wielkiej imprezie.

- No, przynajmniej zaoszczędzi na ubraniach. Kupi jej w Baby Gap. Wystarczy domek Barbie i wszyscy będą...

Gordon nie był w stanie się pohamować.

- Wiecie, co to jest karłowatość? - warknął facetowi prosto w twarz. - Czy wiecie, że ludzie, którzy mają wrodzoną karłowatość, często nie dożywają czterdziestki? Czy wiesz, ile odwagi musieli mieć rodzice, wychowując córkę tak, by była przekonana, że może żyć jak normalna kobieta? - Palant wydał z siebie pogardliwy dźwięk, jakby uderzył w niewidzialne skrzypce. - Ty gruby skurczybyku! - syknął Gordon. - Jesteś ojcem? Jesteś?

- Daj spokój, Squirrel - mruknął drugi palant. - Zostaw, co sobie będziesz nimi głowę zawracał...

- Squirrel - zapał radośnie Church. - Squirrel? Jezu Chryste, Gordie, trzymaj się z dala od faceta imieniem Squirrel! A ty kim jesteś? Bullwinkle? Jajestem Boris. Moose i Squirrel muszą zginąć!*

Nagle znalazła się między nimi Kate, przytrzymując Gordona i większego z palantów za koszule.

- Następne piwo ja stawiam, chłopaki. Jeśli tylko wróćcie na swoje miejsca... Chodź, Gordie. Przecież nigdy w życiu więcej nie spotkasz tych chłystków.

* Są to postacie z amerykańskiej kreskówki.

Gordon był tak naprany, że tylko niejasno pamiętał, iż ukrył twarz na piersi Kate. Miał nadzieję, że nie zrobił nic niewłaściwego. Przyjaźnił się z Kate od szóstej klasy, od kiedy przyniosła im, jemu i Kipowi Sweeneyowi, do twierdzy na drzewie „Playboye” swego ojca.

Nie mógł w żaden sposób nadrobić zmęczenia. Od piątej już na nogach. Czuł się jak święty Mikołaj, wybiegając z domu: torba z książkami, torba z pieluchami, teczka, i mały elf w szpiczastej czapce. Najpierw do ciotki, dzięki Bogu. Na początku roku spytał Lorraine, co ma zrobić z Keefer w ciągu dnia.

- No więc - odrzekła Lorraine, wzruszając ramionami - masz jakiś pomysł?

Był pewien, że tylko tak sobie gada. Przecież już chyba miała gotowy plan. Skąd miał wiedzieć, jakiego rodzaju opieka będzie najlepsza dla półtorarocznej dziewczynki, będącej obiektem walki o prawa opiekuńcze, śledzonej przez wszystkich w tym cholernym mieście? Słusznie poczuł się wkurzony.

- Chyba nie powinniśmy oddawać jej do żłobka - powiedział.

- Ja też nie uważam, że powinna iść do żłobka - zgodziła się matka.

- Wystarczająco dużo przeszła w ciągu ostatnich miesięcy.

- Zgadza się.

- A poza tym jedyny żłobek mieści się w dawnym Rainbow Club. Zawsze kojarzyło mi się to z topless-barem. Jakoś katolicy nie mają żłobków.

- Katolicy mają babcie.

- Masz zamiar zrezygnować z pracy?

- Zrezygnować z pracy, Gordie?

- Tak. Zrezygnować z pracy. Wziąć urlop bezpłatny.

- Już wzięłam w zeszłym roku.

- To w ogóle zrezygnuj!

Matka zdjęła okulary do czytania.

- Gordie, ja na pewno nie zrezygnuję z pracy. Może tego nie zauważysz, ale mamy sporo rachunków do zapłacenia...

- Może dałoby się je spłacić z odszkodowania Keefer.

- To są nasze rachunki, nie Keefer. Nawet gdyby to nie było nielegalne, nie zrobiłabym tego. A poza tym i tak nie ma jeszcze tych pieniędzy, bo ciągle toczy się śledztwo w sprawie wypadku.

- Jak długo potrwa?

- Nie wiem.
- Nadal uważam, że powinna być z kimś z naszej rodziny.
- W takim razie ty zrezygnuj z pracy. Gordon, zarabiam więcej od ciebie. Za dwa lata mogę przejść na wcześniejszą emeryturę.
- Mamo, ja nie mogę odejść z pracy! Zapomniałaś, że adoptuję dziecko? Co myślisz, jak by sędzia potraktował mój status bezrobotnego?

Lorraine westchnęła.

- Masz rację.
- A więc...
- No to niech jeździ na farmę. Na razie. Mają teraz zbiory. Nora może nosić Keefer na plecach w nosidełku. Jak w powieści Pearl S. Buck*.
- I Bradie tam jest. Gotuje i zajmuje się wszystkim w ciągu dnia.
- Nie mamy pewności, czy się zgodzą.
- Ciocia Nora zrobi wszystko dla Keefer.
- No to zadzwoń i spytaj ją.
- Możesz zadzwonić?
- Ty zadzwonisz. To ty prosisz ją o przysługę.
- Przysługę? - Co do licha jej się stało, zastanawiał się Gordon. Co on takiego zrobił?

Oczywiście Nora się zgodziła. Ale to oznaczało, że Gordon musiał wstawać właściwie w środku nocy, jeśli nie chciał iść do szkoły nieogolony i pachnący jagodową herbatką dla dzieci. Mark zaproponował, że kilka razy w tygodniu odwiedzi Keefer na farmę po drodze do pracy. Gordon nie rozumiał, dlaczego ojciec nie mógłby tego robić codziennie; był w końcu wiceprezesem. Nie zaczynał pracy przed godziną, która w świecie Gordona zaliczała się praktycznie do późnego popołudnia. Ale Mark upierał się, że trzy razy w tygodniu musi biegać.

Biegać.

A co by się stało, gdyby nie biegał?

Ojciec i tak go przeżyje.

Gordon kompletnie stracił kondycję, a jego szczupłe nogi były ciężkie jak worki z piaskiem, ilekroć wykrzeszał z siebie tyle inicjatywy, żeby pojechać do Merrill pograć w siatkówkę. Nawet po-

* Pearl S. Buck (1892-1973) - pisarka amerykańska, laureatka Nagrody Nobla.

patrywanie na kształtne pośladki Alicii i jej koleżanek z drużyny nie było w stanie dodać mu energii. Wykazywał znaczną powściągliwość w stosunku do Alicii, a pomogła mu w tym świadomość, że ona ma trzydzieści siedem lat. Mimo to perwersyjnie żałował, że nie może się tym pochwalić Lindsay. Lindsay pomagała mu często, ale niewystarczająco. Nawet jeśli Lindsay prała rzeczy Keefer i tak musiał je potem zbierać i chować. Niemal każdy wieczór mijał mu na składaniu małych spodenek, sukieneczek i skarpetek. Keefer miała co najmniej siedemset skarpetek, wśród których trudno było dobrać dwie takie same.

Nauczanie, które zawsze sprawiało mu przyjemność, szło teraz jak z kamienia. Łatwo być orłem w pracy, kiedy jedyne troski, jakie się ma, dotyczą jedzenia i rozrywek.

W chwili rozpoczęcia semestru Keefer była jeszcze w tym okresie, kiedy dobrze spała, ale wkrótce szczęście się skończyło, a cierpliwość wyczerpała.

Jak powiedział pewnego dnia, biologia zajmuje się głównie rozmnażaniem.

Wygrywają ci, którzy rozmnażają się najlepiej.

- Na początku - zaczął Gordon - przed dinozaurami, przed robakami, przed kotami, przed gośćmi, którzy wynaleźli małe srebrne nalepki na opakowaniach kompaktów, przed DNA, nawet przed panem Reilly tu obecnym, było sobie RNA. Kwas rybonukleinowy. A faceci z RNA około czterech miliardów lat temu nie mieli zbyt wielu rozrywek. Planeta była wtedy jeszcze całkiem młoda, nikt nie wiedział, gdzie są naprawdę dobre knajpy...

- A skąd on się wziął? - Oczywiście Reilly.

Gordon później przeglądał w pamięci strzępy wspomnień z tamtego dnia i przyznał, że należało mu się. Sam sprowokował chłopaka, ponieważ w umyśle Gordona Dennis kojarzył się z tym kretyńcem, jego starszym bratem, Ryanem, który kiedyś go dręczył z powodu adopcji.

- RNA? - spytał Gordon.

- Tak. Skąd się wziął? No bo jeśli komórki tworzą się z innych komórek, to skąd wzięła się pierwsza komórka?

Było to w zasadzie słuszne pytanie.

- Nie wiem. Ale możemy przyjąć, że potem te substancje zmieniały się tak, że powstał nowy, śmiały sposób rozmnażania się, trochę bardziej wyrafinowany...

- Najpierw kolacja i kino? To padło z ust wielkiego blond-
włosego piłkarza, Kye'a Olstadta, naprawdę fajnego chłopaka.

- Tak jest. Otóż kiedy nastąpiła próba, która się powiodła, następna też nie, jeszcze następna bez powodzenia, i tak przez miliard lat czy coś takiego, jeden z tych facetów z RN A wymyślił DNA.

- Sądziłem, że to James Watson i Francis Crick wymyślił DNA. - Znowu Reilly. - No, a Watson uważa, że człowiek nie mógłby wyewoluować tak szybko z jednokomórkowca. Musiała nastąpić ingerencja kosmitów.

- Miał na myśli to - tłumaczył Gordon - że prawdopodobnie istniała jakaś forma życia, która mogła powstać na planecie innej niż Ziemia, na przykład superwirus. Nie chodzi tu wcale o małe zielone ludziki. A wiecie, że ewolucja w zasadzie jest zmianą? I może dziać się bardzo gwałtownie. Spójrzcie, jak szybko bakterie stają się odporne na antybiotyki... taka mikroewolucja zachodzi na naszych oczach codziennie.

- Teoria ewolucji Darwina nie ma racji - powiedział Dennis Reilly. - Mam kuzyna w Georgii, który jest zwolniony z lekcji, kiedy mowa o ewolucji, bo jego rodzina w to nie wierzy.

- Tak jak w Kansas - odezwał się Olstadt. - Mam ciotkę w Kansas.

- Trudno traktować Kansas poważnie - orzekł Gordon. Nie chciał iść dalej tą ścieżką, zwłaszcza że był w gorączkowym i wojowniczym nastroju wywołanym brakiem snu. Dlaczego nie zaczął tego roku od ekologii - ładne, czyste strumienie, wielcy, brzydcy truciele, słodkie, uśmiechnięte delfiny - jak inni nauczyciele biologii? Uparł się, by zacząć od ewolucji, ponieważ miał wrażenie, że każde ludzkie stworzenie najbardziej interesuje się własną osobą, więc mógł użyć rozwoju osobowości człowieka jako przynęty, zdolnej rozpalić fascynację w uczniach. A jednak, jak wiedział z zeszłego roku, była to ścieżka zaminowana, gdzie na każdym zakręcie można było wdepnąć w system wierzeń nieskończenie wielu społeczności małych miasteczek. Dziś nie miał na to siły. W klasie było duszno. Dzieciaki wyglądały jak zebrane puli genów recesywnych.

- No tak, niektórzy uważają, że Darwin się mylił - ciągnął Gordon cierpliwie, mając wrażenie, że mówi głupio. - Inni sądzą, że zrobił bardzo wiele z tak niedoskonałymi narzędziami, jakie miał do dyspozycji sto pięćdziesiąt lat temu.

Reilly nie dał się zbyć.

- Ale jest taki okres, trwający tylko dziesięć milionów lat, kiedy wszystko wyewoluowało z bakterii do złożonego zwierzęcia. Jeżeli wziąć pod uwagę miliardy, miliardy lat...

- Nazywa się to wybuch kambryjski - przerwał Gordon. - No i spójrzcie tylko na wirus AIDS. Istniał w ograniczonej formie przez czterdzieści lat, ale dopiero po roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym zaczął naprawdę się mnożyć...

- To przez samoloty - zachichotał Kye Olstadt. - Facet, który przeniósł wirusa, był stewardem.

- A gdzie jest skamieniałość brakującego ogniwa? Szympanś postanowił, że zostanie człowiekiem? - spytał Reilly.

- Nie jestem szympansem — oznajmił Gunther Woffling, który, Gordon mógłby przysiąc, jeszcze pięć minut temu spał w najlepsze.

- No nie, ale jesteś w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach szympansem - powiedział Gordon.

- Akurat! Nie jestem żadną cholerną małpą! - Nie, pomyślał Gordon, kiedy mały Woffling zaczął z hukiem zamykać książki i wrzucać je do plecaka, jesteś obelgą dla szympanśów.

- Lekcja nie jest skończona, Gunther - rzekł Gordon cicho.

- Jeżeli to wszystko prawda - dodał Dennis Reilly - w takim razie dlaczego szympanśy nie ewoluują dalej, żeby upodobnić się do człowieka?

- Ponieważ - westchnął Gordon - jest im zupełnie nieźle jako szympanśom. Wróćmy do tego, co powiedział Gunther. Gdy małe dziecko narysuje człowieka i szympanśa, rysunki wyglądają bardzo podobnie, prawda? Przynajmniej podobniej niż, na przykład, szympanś i kurczak. O czym to świadczy?

- To dlaczego jaszczurki nie ewoluują, żeby upodobnić się do człowieka?

- Ponieważ nie muszą! Ludzie nie są najbardziej rozwiniętym gatunkiem na Ziemi.

- Są! Potrafią myśleć!

- Tak naprawdę na dnie Oceanu Atlantyckiego prawdopodobnie znajdują się bakterie stojące na wyższym stopniu ewolucji niż człowiek... ponieważ miały więcej czasu.

- Mówi pan, że człowiek nie jest lepszy od bakterii? - znowu Woffling.

- Jako bakteria nie jest lepszy! Spójrzcie, chłopcy, ewolucja to nie jest teoria. To fakt. Część teoretyczna dotyczy tego, jak to się stało, ponieważ nie było nas tam wtedy i nie mogliśmy tego oglądać. Nie wiem, jak ona przebiegała. Nie jestem pastorem prezbiteriańskim. Nie jestem biologiem komórkowym. Jestem nauczycielem biologii...

- Czy wierzy pan w Boga? - spytał Reilly, dodając: - Einstein wierzył w Boga.

- Może to Bóg stworzył ewolucję - zawołała Kelly Rafferty - żebyśmy mieli co robić.

Zadzwoił dzwonek. Bóg istniał.

Gordon oparł głowę na dłoniach.

- Przeczytajcie na jutro rozdział czwarty - rzucił. Kiedy wybiegali spiesznie z klasy, słyszał, jak Gunther obwieszczał wszem i wobec, że on nie jest żadną bakterią i jeżeli człowiek nie jest lepszy od małpy, to dlaczego został stworzony na podobieństwo Boga. Nazajutrz należało spodziewać się przemiłego telefonu od pani Woffling. I wtedy zauważył, a raczej wyczuł, czyjaś obecność przy swoim stoliku. Kelly Rafferty.

- Panie McKenna - odezwała się nieśmiało - mama mi powiedziała...

O tej nocy w domku, pomyślał Gordon; moja kariera tonie wolno; to koniec, koniec z problemem dziennej opieki...

- ... o pana dziecku... - Serce Gordona odzyskało zwykły rytm. - Ja nie mogę zajmować się dzieckiem w Tall Trees, ponieważ dojeżdżam do szkoły autobusem. Ale Melinda Galio i Kathy Zurich ciągle opiekują się dziećmi. I zgodziły się, abym panu zaproponowała, że mogą pomóc, bo pan wygląda na zmęczzonego.

- To może dwa dni w tygodniu po szkole i w niedzielę?

Kelly zmrużyła oczy.

- Dobrze, zapytam je.

Gordon też musiał się spytać. Musiał spytać Harta Rooneya, czy pomoc uczennic przy dziecku nie będzie pogwałceniem jakiegoś prawa, choćby najdziwniejszego. Rooney się uśmiechnął. Nie wyglądał na starszego nawet o jeden dzień niż wtedy, kiedy Gordon kosił mu trawnik.

- Nie ma sprawy, Gordon - odparł natychmiast. - Nie miałem nigdy dziewczyny do dziecka, która by nie chodziła do tej szkoły.

Gdzie poza tym znajdziesz nastolatki? Tylko uważaj, żeby nie dobrały się do piwa ani do twojego samochodu.

I tak w jego życie wkroczyły Melinda i Kathy, dwie wybawicielki, święte w workowatych spodniach, które we środy i czwartki po zebraniu kółka *cheerleaderek* zabierały Keefer do parku albo pomagały jej budować wieże z klocków przez całe dwie godziny, a on wyłączał telefon i rzucał się na najbliższą horyzontalną powierzchnię, jaka się trafiła. Tak zaczął się następny, krótki, złudny okres spokoju.

Przed nocą rozbitego nosa.

Keefer miała zły humor. Co było tego przyczyną? Nauczyła się naciskać głowicę tubki z kremem do golenia, a on pozwolił jej strzyknąć kilka razy kremem do wanny, ale potem ona zaczęła strzykać po ścianach i podłodze, zabrał jej więc krem i dał lalkę. Cisnęło ją ze złości niemal pod sufit. A dosłownie na podłogę. Upadła na kolana, piszcząc przeraźliwie, poślizgnęła się na kremie i upadła na kafelki. Wtedy zobaczył krew.

- Och moja dziecinko, moja mała foczko - zawołał, porwał ją na ręce i przycisnął do piersi. Krew nie przestawała lecieć. Trzymając ją jedną ręką, drugą gorączkowo przeszukiwał zamrażalnik w poszukiwaniu lodu, potem złapał ręcznik. Keefer darła się na całego, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Trzy stuknięcia. Ostre i głośne.

- Natychmiast dzwonię na policję - ostrzegła Judy Wilton.

- Co?

- Żebyś wiedział, że zaraz zadzwonię do szeryfa albo do opieki społecznej - ciągnęła sąsiadka z dołu. - Spójrz tylko!

Popatrzył na dziecko, na nich oboje. Twarz Keefer cała zasmarowana była krwią, a ona sama wrzeszczała i z całej siły waliła pięściami w jego równie zakrwawioną koszulę.

- Judy - rzekł uspokajająco - ona ma napad złości.

- To nie jest normalne. Słysząc ją przez cały czas. Mała płacze, jakby jej serce miało pęknąć. Nie wiem, co się tu dzieje...

- Chciała krem do golenia. Bawiła się kremem do golenia. - Oczywiście Judy Wilton pewnie myślała, że on kłamie. Sam zaczął czuć się tak, jakby rzeczywiście kłamał. - Ja wiem, że to fatalnie wygląda, ale ona jest wściekła. Upadła i rozbiła sobie nos.

- Nie dopuszczę, żebyś zrobił coś temu dziecku.

- Co zrobisz? Judy, ja kocham Keefer. Nigdy nie tknąłem jej nawet palcem. Wiesz o tym. Przecież widzisz nas razem.

- Słyszę was razem. Słyszę, jak ona płacze. Widzę te panienki kręcące się tutaj cały czas.

- Co?

- Córnka Snowów. I dziewczyny ze szkoły.

- Judy, to są moje uczennice. Przychodzą zająć się dzieckiem. Lindsay od lat jest moją dziewczyną i, Jezu, Judy, zajmij się lepiej swoim życiem... Co, może siedzisz i robisz wykaz osób, które do mnie przychodzą?

Skinęła krótko głową. Godzinę później do drzwi frontowych zadzwonił szeryf Larsen, wyglądając przy tym tak, jakby miał zamiar się rozpłakać.

- No, Gordo, nie chcę, żebyś się zaraz pocił ze strachu.

- Zadzwoniła, co?

- Zadzwoniła.

Szeryf ze smutkiem wyjaśnił procedurę. Kiedy nadejdzie doniesienie o znęcaniu się nad dzieckiem, to nawet gdyby dotyczyło rodzonej matki Dale'a Larsena, szeryf był prawnie zobowiązany do powiadomienia władz okręgowych. Co nie znaczyło, że zaraz ma się stać coś złego, ale przyjedzie pracownik socjalny, żeby sprawdzić...

- I wtedy w aktach pojawi się notatka, tak?

- Będzie notatka, że skarga okazała się bezpodstawna. Gordon, to często się zdarza. Sąsiedzi mówią różne rzeczy na złość. Ludziom się zdaje, że widzą coś, czego nie ma.

- A jeśli sędzia uzna, że znęcam się nad dzieckiem i stracę przez to Keefer?

- Jeżeli oskarżenie okaże się bezpodstawne, to koniec sprawy. Sędzia jest prawnie zobowiązany, podobnie jak ja, do brania pod uwagę wyników poprawnie przeprowadzonego śledztwa, rozumiesz?

- Nie uderzyłem Keefer! Sama walnęła nosem o podłogę, kiedy próbowała dobrać się do kremu do golenia!

- Judy twierdzi, że tu ciągle dochodzi do aktów przemocy.

- To dlatego, że jest starą zwariowaną wiedźmą, która chyba umieściła mikrofony w suficie, żeby mieć jakąś rozrywkę oprócz porcjowania kurczaka dla tatusia. Nie zdziwiłbym się, gdyby najpierw odgryzała kurczakom głowy. Znasz ją!

Dale Larsen znał Judy Wilton. Znał z tego, że miała burzliwy lesbijski romans z Lid Kildeer, zawodową tenisistką z Fidelis Hill, i zastępcy szeryfa kilkakrotnie byli wzywani do tego właśnie do-

mu w celu tłumienia dość gwałtownych awantur i bijatyk. Nienawidził jak wszyscy diabli tego, co musiał zrobić Gordonowi, ale prawo było prawem. A pracownik socjalny, który wpadł następnego dnia i spędził z Gordonem i Keefer pełne współczucia piętnaście minut, zapewnił potem, że nie widzi żadnego dowodu molestowania czy zaniedbywania tego naprawdę kochanego dziecka, najwyraźniej mającego zaufanie do swego tatusia.

Ale Gordon był pewien, że Faith Bogert dowie się o skardze i wykorzysta przeciwko niemu w sądzie. I nawet kiedy Keefer od czasu do czasu zaczęła przesypiać całą noc, Gordon nie spał wcale bez nasennych środków, jakie jego matka zaczęła brać nie wiadomo skąd w nieograniczonych ilościach. Zażywał je jednak rzadko i ze strachem, że Keefer obudzi się z płaczem, on jej nie usłyszy, a Judy Wilton - tak.

Tymczasem Faith Bogert nie wiedziała nic o skardze, dowiedziała się o niej dużo później. Natomiast wiedziała, że w trakcie drugiej wizyty spostrzegła rzeczy, na które nie był potrzebny kwestionariusz MMPI czy MCM-III, choć testy potwierdziły jej wrażenia. Uznała Gordona za człowieka funkcjonującego na wysokich obrotach, najwyraźniej optymistycznego z natury, nie wykazującego jawnych oznak patologii, posiadającego elementy tego, co Faith opisałaby, gdyby musiała, jako cechy osobowości lekko narcystycznej, która sama w sobie nie stanowi problemu. Nie większego problemu niż to, że rezultaty testów Cadych okazały się całkowicie niewiarygodne, ponieważ ewangeliczna religijność zmuszała ich do okazywania tak wielkiej wiary w dobro tkwiące w człowieku, że zaczynało się to rozmijać z rzeczywistością. Mąż miał podniesioną punktację za agresję, ale to też nie była znowu taka istotna sprawa. Policjanci na przykład, działając w uzasadnionym wzburzeniu, wykazywali poziom, który u innych mógłby sygnalizować paranoję.

Jednak patrząc, jak Gordon próbuje zająć Keefer klockami, a mała pochyla się i gryzie go lekko w nogę, Faith się zastanawiała, czy z powodu skupiania się na sobie — nie, ciągłego zajmowania się własną osobą p będzie on skory do poświęceń, do jakich zmuszeni są samotni rodzice, do jakich gotowa była jej matka. To facet ogromnie skoncentrowany na sobie. W dodatku typ pracowitej pszczołki. Telefon dzwonił co chwila, a on nie podnosił słuchawki.

- Hej, panie McKenna, tu Molly i Kathy, jesteście gotowe zasłużyć na piątki z biologii. Gotów do łóżka?

Dwadzieścia minut później:

- Gordie? Skarbie? Lindsay. Zadzwoń do mnie, kiedy ona sobie pójdzie, dobra? Ja tu wariuję.

A pięć minut potem:

- Mówi strażaczka Rafferty. Masz zamiar przytaszczyć ten twój zgrabny tyłeczek na turniej w niedzielę? Myślę, że wykończymy ich. Zadzwoń później.

Czerwony na twarzy Gordon zaczął się spieszenie tłumaczyć.

- To moje dziewczyny do dziecka. Odsypiam nieprzespane noce, kiedy tu są. To o to chodziło. I moja znajoma od siatkówki.

Faith powiedziała po prostu:

- Proszę się tym nie przejmować. Życie każdego z nas bywa skomplikowane.

- Umieram z pragnienia - rzekł wtedy. - Napije się pani czegoś? - Sprawdził zawartość lodówki. - Mam piwo. Mam wodę. Mam pedialyte. A może yoo-hoo?*

- Dzięki - powiedziała - nie.

Wyglądała szczupłej. Gordon to zauważył, ale znowu miała na sobie te niefortunne spodnie. Tym razem czerwone. Ale... do diabła! Ubrał Keefer specjalnie starannie - zmordował się przy tym, śpiewając i podzwaniając trzymaną w zębach bransoletką Georgii, podczas gdy mała wiła się jak pyton - w śliczną sukieneczkę uszytą przez ciotkę; każdy guzik był inną literką alfabetu.

Teraz Keefer rozpiniała guziki jeden po drugim.

- Cholera, Keefer! - ryknął, zanim zdążył pomyśleć.

Faith Bogert wyjrzała przez okno. I sięgnęła do torebki po długopis.

12

Każdy sędzia powinien bardzo uważać, żeby nie przewróciło mu się w głowie. Ego, zdaniem Emily Sayward, było pułapką ogłupiającą ludzi. I to niebezpieczniejszą, jak sądziła Emily, tutaj w okręgu Trempealeau niż w Sądzie Najwyższym Stanu Wisconsin.

* Pedialyte - lekarstwo na biegunkę i odwodnienie, yoo-hoo - napój mleczno-czekoladowy lub mleczno-owocowy.

sin, ponieważ ona sama, jako osoba z krwi i kości, była aż nadto wystawiona na widok publiczny. Wystarczyło jedynie zatrzymać się na piwo korzenne albo -jeszcze gorzej - na piwo piwne przy jakiegokolwiek ulicy od Wausau przez Morehouse i Conover po Tali Trees, a fale natychmiast się rozstępowały. Rozmowy przycichały jakby za skinięciem różdżki, i znowu ożywały niczym zmarszczki na wodzie, gdy tylko przeszła.

- To sędzia - wyobrażała sobie ich szepty. - Sama pani sędzi-
na. - Choć była tylko jednym z trojga sędziów.

Emily gorąco pragnęła, żeby to powszechne zwracanie na siebie uwagi przyniosło jeden efekt - skłoniło ją do jeszcze większej ostrożności i staranności, choć ostrożność miała już w naturze.

Nie pomagało, niestety, to, że Emily Sayward była... ładna. Twarz i figura, dające tak wiele przyjemności w życiu prywatnym, stanowiły powód silnego rozdrażnienia w życiu zawodowym. Odkał porzuciła praktykę prawnika rodzinnego i przyjechała tutaj, a zwłaszcza od czasu nominacji, miała wrażenie, że jej wzrost jakoś nie pasuje do zajmowanego przez nią stanowiska. Ubrania wyglądały jak kostiumy sceniczne. Szminka podkreślała zwyczaj zagryzania dolnej wargi, kiedy intensywnie nad czymś myślała.

Trzy lata wcześniej Emily zamieszkała z mężem w domu nad jeziorem Hat. Wtedy to Jamie, powodowany kaprysem, zaczął się starać o pracę generalnego doradcy Medi-Sun (hiszpańskojęzyczna matka nie przeskadzała w tym, jak prywatnie wierzyli Emily i Jamie) i jakoś ją dostał. Nie była to wcale rutynowa praca w dużej korporacji. Witaminy i preparaty ziołowe nie są cukierkiem zdrowia, za jakie się je powszechnie uważa. Teraz, kiedy ludzie brali je codziennie garściami, co chwila dochodziło do procesów: kobieta, która swoje psychotyczne wysoki przypisywała walerianie; mężczyzna w średnim wieku, którego pełne nadziei eksperymenty z preparatem pod nazwą Męska Siła doprowadziły - w każdym razie tak utrzymywał - do ciągłej, bolesnej, erekcji; pacjenci chorzy na raka, którzy w desperacji rezygnowali z naświetlań i rzucali się na sklepy ze zdrową żywnością. Najwyraźniej ludzie w ogóle nie czytali dołączanych ulotek. Praca wymagała wszystkiego, co Jamie, zdolny i wrażliwy radca prawny, mógł z siebie dać, a pensja i udziały z akcji przyniosły Saywardom więcej wolności i poczucia bezpieczeństwa przy wychowywaniu syna, niż

im się to kiedyś podczas studiów marzyło, kiedy w świetle świec spoglądali na siebie ponad zupkami instant.

Emily zaczęła od stanowiska prokuratora okręgowego. Wsadziła Toma Collinsa - niefortunne nazwisko dla nieszczęsnego pijaka* - na dwadzieścia lat, pozbawiła go prawa jazdy do końca życia i postawiła mu ostateczny warunek bezwzględnej trzeźwości. Decyzja ta spotkała się z uznaniem. Choć Tom Collins miał setki energicznych i wpływowych przyjaciół, jednak życie Redmondów przeważało szalę. Już w sześć tygodni po procesie Collinsa konserwatywny gubernator - niezbyt zaprzyjaźniony z Emily, mającej raczej liberalne sympatie - mianował ją na miejsce zmarłego sędziego Crabtree do końca przypadającej na niego kadencji. Dwa lata później Emily obcięła długie włosy na pazia, nauczyła się czuć niedostatecznie ubrana bez blezera i kandydowała z wolnej stopy. Wygrała.

Wiedziała doskonale, że dzięki wiekowi i figurze ma wygląd ujmująco chłopiący. Twarze nałogowych narkomanów czy sadystów bijących żony, posyłanych przez nią do Wayadega, łagodniały, gdy jej słuchali, a Emily z trudem kryła upokorzenie.

Pod ławką trzymała drewniane pudełko po cygarach, aby jej stopy nie dyndały nad podłogą.

Wieczorem, w przeddzień sprawy Keefer Nye, Emily najpierw długo spacerowała nad jeziorem, potem trzykrotnie zajrzała do śpiącego pięciolatka, wreszcie zadzwoniła do ojca. Ojciec Emily, Arthur Sayward, też był prawnikiem, sędzią w New Hampshire, co - jak ciągle powtarzała jej matka Peggy - było przyczyną tego, że stał się przedwcześnie sędziwym sędzią. Peggy często mawiała, że w opinii jej męża jurysprudencja nie powinna zostać rozszerzona poza pierwszych trzynaście kolonii**. Arthur nigdy nie dawał rad nieproszony, ale kiedy już je dawał, córka przyjmowała je z pełnym szacunkiem. „Aksjomaty Arthura” - tak nazywał wskazówki teścia mąż Emily.

Ojciec bez słowa komentarza wysłuchał relacji Emily o pospieszonym napływie pozwów poprzedniego wieczora, w czasie kiedy

* Tom Collins - nazwa koktajlu.

** Chodzi o trzynaście kolonii, z których w 1776 roku powstały Stany Zjednoczone.

ona normalnie powinna być już w domu. Najpierw wpłynęły podania obu par dziadków o cofnięcie praw opiekuńczych. Potem wniosek Cadych o przyznanie praw opiekuńczych i o oddalenie wniosku Gordona McKenny'ego w sprawie adopcji dziecka siostry, jako że jest wujem dziecka tylko na zasadzie adopcji - a prawo stanu Wisconsin na przyspieszoną adopcję zezwalało ojczymom i macochom oraz najbliższym krewnym. Potem przyszedł strzał od prawnika Gordona - wniosek domagający się odrębnego przesłuchania w sprawie jego podania o adopcję oraz całkowitego wykluczenia Cadych z procesu, ponieważ nie stanowią oni najbliższej rodziny, lecz łączy ich jedynie drugi stopień pokrewieństwa z dzieckiem, zatem nie mają podstaw do jakichkolwiek roszczeń. A wszystko to już po wcześniejszym wniosku Cadych o przyznanie stałych praw opiekuńczych oraz wniosku Gordona o adopcję, złożonym w ciągu paru dni po podaniu Cadych.

Walka skupiła się wokół kruchej osi, jaką była mała Keefer Nye. Jedno dziecko pozbawione rodziców - nagle podniesione do roli głównego symbolu przetrwania dwóch rodzin - stało się dla samolubnych starszych krewnych przedmiotem przeciwstawnych roszczeń.

Nie było fałszywej karty w tej talii.

Obie rodziny dotknęło straszne nieszczęście: cały okręg, mała - cały stan Wisconsin słyszał o sofoklesowskiej tragedii McKennów. Bohaterowie dramatu potrzebowali jedynie ostatecznego zamknięcia sprawy. Zakończenia, by móc zacząć wszystko od początku.

Ona mogła im to dać.

- Chcę przesłuchać ich wszystkich razem, tato - powiedziała Emily. - Będą próbowali się podzielić, ale te rzeczy trzeba trzymać pod kontrolą.

- Myślę, Emily, że to całkiem rozsądne.

Przez łuk w holu Emily spojrzała na teczkę, którą upuściła przy łóżku. Dokumenty w środku zdawały się ruszać i krzyczeć, żądając, żeby natychmiast zajęła się sprzecznymi petycjami.

- Rozważ dobrze, co masz zrobić, Emily - przestrzegł ją ojciec, kiedy już wymienili zapewnienia o dobrym stanie zdrowia wszystkich pod oboma dachami i porównali warunki pogodowe w Wisconsin i New Hampshire. - Staraj się koncentrować na sprawach, które masz bezpośrednio przed sobą. Musisz oczywiście

pamiętać o okolicznościach, jakie mogą wyniknąć z twego orzeczenia, ale okoliczności tych nie masz obowiązku ani przewidywać, ani kontrolować. To samo dotyczy silnych emocji obu zaangażowanych w konflikt rodzin, niezależnie od tego, jak bardzo są wzruszające.

Ojciec zawsze mówił tak, jakby brał udział w audycji radiowej.

- I wiem, że nie boisz się możliwości obalenia orzeczenia...

- Nie boję się...

- Ale liczysz się z tym.

- Tato, ty też byś się liczył w podobnych okolicznościach.

- Zawsze o tym myślę, Emily. I tak samo radzę tobie. Liczyć się z tym, ale się nie bać.

Emily z westchnieniem wspomniała stary dowcip ze szkoły prawniczej: są dwa rodzaje działań w życiu - jedno słuszne, drugie legalne. Ojciec przerwał jej rozmyślania.

- To, co może być głęboko dotykać jako człowieka, nie powinno dotykać jako sędziego.

- Wiem - odparła. - Ale nie mogę nie myśleć o tym, jakie cierpienie czeka tę rodzinę.

- Czy chciałybyś o tym porozmawiać?

- Tak, ale... chyba omówię to z Jamiem. Wiesz, nie miałabym siły robić tego więcej niż jeden raz.

- Postąpisz dokładnie tak, jak powinnaś postąpić. Wiem to.

Oboje z Jamiem usiedli na tylnym pomoście, narzuciwszy na ramiona ciepłe kurtki chroniące przed chłodem jesiennych wieczorów. Kubki z kawą grzały przyjemnie dłonie, kiedy ich zawartość pomału stygła.

- A więc tak - zaczęła. - Powiem, że być może ta interpretacja nie jest taka, z jaką zgodziłabym się osobiście, prawo czyni rozróżnienie między krewnymi rzeczywistymi i krewnymi przysposobionymi, a choć nie wiem, dlaczego prawo mówi o takim rozróżnieniu, jednak ono obowiązuje i muszę się go trzymać. Jeśli ludzie nie zgadzają się z prawami ustanowionymi przez ich przedstawicieli...

- Powinni zwrócić się do prawodawców z prośbą o zmianę - Jamie dokończył jej myśl.

- Tak, a potem pójdę od razu za ciosem i zrobię co w mojej mocy, żeby to nieszcześnie dziecko miało... Nie ma sensu przedłużać tej sprawy, Jamie, poza to, co jest naprawdę niezbędne. Nie

chodzi wcale, by każdy zainteresowany dorosły otrzymał szansę bycia wysłuchanym do ostatniego słowa i zdania...

- To nie będzie proste. Nie posłuchają ciebie. Zacznie się wojna...

- Nie na długo - odparła Emily ostro. - Nie na mojej sali.

- Wiem - rzekł mąż, kładąc jej głowę na swoim ramieniu. - Nikt nie chciałby być na twoim miejscu, Em, ale ty, niestety, na nim jesteś. To słaba pociecha.

- Żadna.

- Dostaniesz zdrowo po uszach.

- Wiem.

- Co niczego nie zmienia.

- Niczego nie zmienia.

Siedzieli do późna, patrząc, jak księżyc zasłania, a potem odkrywa pulchną złotą twarz. Emily wypijała całą kawę plus drugi kubek, a mimo to spała, jakby strzeliła sobie sześć kieliszków tequila.

Następnego ranka ławki wzdłuż wyłożonego marmurem holu Sądu Okręgowego Okręgu Trempealeau napełniły się jak w kościele podczas niedzielnego nabożeństwa. Wszyscy, z wyjątkiem jego rodziny i Nye'ów, pomyślał Gordon, wyglądali nieporządnie i smutno. Dostrzegł kolegę ze szkoły, cwaniaka i pomocnika w ich drużynie; miał na sobie flanelową koszulę z napisem *Cat's Claw Ammo*, a jego wąsy chińskiego mandaryna były ufarbowane na brązowo. Kiedy dojrzał Gordona, dotknął brzegu czapeczki piłkarskiej i potem podniósł do góry jedną z chudziutkich dziewczynek, jakie roily się wokół niego, wszystkie jakby mniej więcej w tym samym wieku, ubrane w letnie kolorowe sukieneczki bez rękawów, choć już zbliżało się Święto Dziękczynienia; Gordon tego zimnego poranka włożył marynarkę. Ktoś kiedyś powiedział, pomyślał Gordon - kto to był? Thoreau? - aby wystrzegać się okazji wymagających nowych ubrań. On zaś w ciągu ostatnich sześciu miesięcy wkładał garnitur częściej niż przez dwadzieścia lat życia. Dzień dzisiejszy traktował jak kolejną przymiarkę, i to wyjątkowo przykrą. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy wróci tu po to, aby formalnie zostać ojcem Keefer. Katt powiedział, że nastąpi to wkrótce. Sympatyczna Cindy zatwierdziła jego warunki mieszkaniowe. Wszystko było w porządku. Jaki to będzie dzień? Znowu w garniturze, a może nie? On i Keefer nie byli z gatunku

tych, co noszą garnitury. Lindsay przyjdzie na pewno. Kuzyni, ciotki i wujowie też. Wyobraził sobie tę chwilę. Formalne adoptowanie Keefer będzie porównywalne z tym, co czuje mężczyzna w dniu, kiedy żeni się z kobietą, którą już dobrze zna, jak on Lindsay: oficjalna pieczęć zostanie wyciśnięta na czymś, co już istnieje, a sam związek będzie trwać jak dotąd, wygodnie i niezmiennie. Gordon poczuł przypływ tęsknoty za Lindsay, która wzięła wolny dzień i została u niego w mieszkaniu, razem z ciotką Norą i Bradiem; pewnie zajmuje się gotowaniem w braku czegoś lepszego do roboty.

Dojrzał dużego Raya, skulonego na ławce w holu przed inną salą rozpraw, ubranego w koszulę do golfa. Trudno sobie wyobrazić, żeby Ray znalazł tu marynarkę, która by na niego pasowała. Za bardzo przybrał na wadze, a był to ten rodzaj ciężaru, który się dobrze nie rozkłada: napina koszulę i spodnie, jakby ubranie nie miało żadnych szans, by się do ciała dostosować. Diana chodziła przed rzędem okien na drugim końcu sali, z Delią Cady i ze stadem garniturów, będących - według zdania Gordona - ich prawnikami. Craig z bliska przyglądał się ścianie. Mała Alexis, która przez lato wyrosła na młodą kobietę, nagle pomachała do Gordona. Odpowiedział jej takim samym gestem.

Kiedy przybyli prawni najemnicy McKennów, przedstawiono ich Stacey Kane, ekspertowi od adopcji z Madison, smukłej blondynce z cienkimi włosami. Żywo gestykulowała i była tak spięta, że Gordon pomyślał, iż gdyby było cicho w holu, rozległby się dźwięk podobny do uderzonego kamertonu. Katt wyjaśnił, że Stacey szczęśliwym trafem udało się uwolnić tego ranka od innych zajęć i dzięki temu może wesprzeć ich swoim liczącym się głosem, doświadczonym w sprawach adopcji i świadomym jej znaczenia dla rodziny. Ten głos im się przyda.

- Może to nie jest pewniak - powiedział McKennom - ale raczej wyjdziemy stąd z tarczą.

Nowa adwokatka jego rodziców, starsza kobieta o sympatycznej twarzy, nazwiskiem Mary Hendrickson, wypadła spiesznie z windy; zatrzymała się na dole, gdzie składała podanie o wycofanie praw opiekuńczych Lorraine i Marka, by w ten sposób zrobić miejsce dla Gordona. Ku jego zdumieniu podeszła, ucisnęła mu rękę, a potem go przytuliła.

Lorraine mruknęła, patrząc na Nye'ów:

- Oni chyba me mysią naprawde, że Gordon nie ma podstaw prawnych.

- Chwytają się brzytwy - powiedział Katt. - Czepiają się wszystkiego.

- Opierają się na czymś, co najwyraźniej nie jest celem prawodawstwa i co nigdy nie było użyte w stosunku do osoby adoptowanej dla pozbawienia jej choćby części praw pełnego członka rodziny - wyrecytowała Stacey Kane jednym tchem. - To po prostu nie ma sensu. Prawo jest dla ludzi, a nie ludzie dla prawa.

Byle jak ubrana publiczność wchodziła na salę rozpraw. Dawny znajomy ze szkoły zasalutował, mijając Gordona. W holu zapanaował taki spokój, że Gordon słyszał ochrypłe krakanie wrony na dworze. Od burzliwej wizyty Diany, niemal osiem tygodni temu, nikt z rodziny Nye'ów - z wyjątkiem Alex przed chwilą - nie zamienił ani słowa czy ciepłego spojrzenia z członkiem rodziny McKenna. Nawet Nora, która wzięła na siebie rolę pneumatycznej rury, nosząc Keefer do samochodu, kiedy przyjeżdżali po nią państwo Cady, nauczyła się trzymać za zębami swój niewyparzony język. Szczegóły dotyczące upodobań i potrzeb Keefer przekazywała Lorraine w sposób rzeczowy, co pozostawało bez odpowiedzi ze strony Delii i Craiga. Ten nieobliczalny pojedynek niczego nie dał. Temperatura w korytarzu wyraźnie opadała. Na co czekali? - zastanawiał się Gordon. Wtedy podeszła kuratorka wyznaczona przez sąd, własny „garnitur” Keefer; uśmiechnęła się i skinęła głową obecnym. Gordon zapomniał jej nazwiska. Nie mógł powstrzymać myśli, że jeszcze nie tak dawno temu wszyscy ci sami ludzie padali sobie w ramiona, a urazy szły w zapomnienie pod wpływem żalu i smutku

- A gdzie jest panna Keefer? - spytał Katt, przerywając ciszę.

- W domu z Norą, jej cicią Norą - odparła Lorraine.

- Dobrze. - Katt skinął głową ale jego spojrzenie prześlizgnęło się po nich na psychologa Paith Bogert, która przeszła żwawo obok ze słowami „dzień dobry państwu” i podeszła do kuratorki. Nagle nastąpiło jakieś poruszenie, rozległ się gwar na szczycie schodów i pojawił się Upchurch w brązowej koszuli Zakładu Robot Publicznych Okręgu Treinpealeau. Gordonowi przemknęło przez myśl, że dzieje się coś złego, że coś się stało z Keefer.

- W porządku? - spytał Tim Gordona

- Tak.

- Chętnie bym został, ale pewnie mnie nie wpuszczą.
- Tim. - Mark McKenna ujął ramię i dłoń Upchurcha gestem serdecznym, sympatycznie parodiując zapasy. - Tim, cieszę się, że jesteś.

Woźny otworzył drzwi. Lorraine wzięła Gordona za rękę.

- Ile to potrwa? - spytał szeptem Upchurch.
- Niezbyt długo, jak sądzę - odparł Gordon.
- Gordo?
- Tak?
- Trzymaj się!

Gordon, który w tej chwili nie był w stanie mówić, skinął głową i podniósł kciuk. Taki był początek.

Sędzina okazała się filigranową kobietą, wyglądała jak lalka w obszernych szatach. I kiedy skinęła im wszystkim, Gordon zauważył, że na chwilę zagryzła dolną wargę. Głęboko, we włóknach jego nerwów, coś popełzło wzdłuż tylnej części czaszki.

Urzędnik przeczytał:

- Sprawa numer 0886896 w interesie Keefer Nye. Stawienictwo?

Wszyscy mówili po kolei.

- Stawili się Raymond Nye Senior i Diana Nye osobiście, reprezentowani przez prawników George'a Liotisa i Benjaminą Malone'a.

- May Hendrickson, reprezentująca Marka i Lorraine McKenna. Państwo McKenna są obecni.

- Gordon McKenna stawił się osobiście, reprezentowany przez Stacey Kane i Gregory'ego Katta, prawników.

- Mary Ellen Wentworth występująca w imieniu Delii i Craiga Cadych, którzy stawili się osobiście.

Kurator sądowy Victoria Linquist i biegły psycholog Faith Bogenert.

- A więc wszyscy są obecni - zaczęła sędzina Sayward głosem tak cichym i delikatnym jak ona sama. - I mamy do rozpatrzenia różne wnioski. Faktycznie - wyciągnęła okulary do czytania - dziś rano wpłynęły podania Marka i Lorraine McKenna oraz Diany i Raymonda Nye'ów o wycofanie tymczasowych praw opiekuńczych. Czy to się zgadza?

- Tak, wysoki sędzie - odparł spokojnie George Liotis.

- I został też złpżony wniosek Lorraine i Marka McKenna

o zachowanie tymczasowego prawa opiekuńczego z takimi samymi prawami do wizyt dla obu par dziadków do momentu podjęcia ostatecznej decyzji w tej sprawie - dodała May Hendrickson.

- Ustalenie terminów wizyt - powiedziała sędzina Hayward - będzie wymagało odrębnego spotkania, a biorąc pod uwagę fakt, iż nie jesteśmy pewni co do toku pozostałych spraw... Czy adwokaci będą obecni do końca posiedzenia? Albo proszę zostawić numer telefonu, pod którym można się z państwem skontaktować, żeby ustalić datę. -I wśród pomruku potakiwań ciągnęła: - Zajmijmy się zatem tym, co tu mamy. Wnioski państwa Cady i pana Gordona McKenna. Inne strony mogą opuścić salę.

Greg Katt skinał na Lorraine, która gwałtownie szarpnęła głową, a potem, prowadzona przez Marka pod ramię środkowym przejściem, na wpół się odwróciła i błagalnie spojrzała na Gordona. Musiał potrząsnąć głową, żeby wyrzucić z pamięci jej twarz. Diana i Ray przeciwnie - zerwali się z miejsc i wybiegli.

- Co się tyczy tych dwóch wniosków - kontynuowała sędzina - wpłynęły one do sądu wczoraj późnym wieczorem. Jeden to wniosek o oddalenie podania o adopcję, drugi - o odrębne przesłuchanie, a także o wyłączenie stron nieposiadających podstaw prawnych. Czy strony mają kopie tych wniosków?

Odezwał się Katt:

- Mamy, wysoki sądzie, ale prosimy o odnotowanie, że dostaliśmy je faksem dopiero o godzinie szóstej wieczorem.

- Owszem - odrzekła sędzina Sayward - to dość późno. Niemniej wnioski są. Panie Katt, jakie stanowisko pragnie pan przedstawić w kwestii uzasadnienia konieczności odrębnych przesłuchań i wykluczenia udziału drugiej strony?

- Wysoki sądzie, to oczywiste. Zgodnie z prawem stanu Wisconsin, a mam tu na myśli paragraf czterdzieści osiem punkt dwa, w połączeniu z paragrafem czterdzieści dziewięć punkt dziewięćdziesiąt, państwo Cady nie podlegają pod klasyfikację ustawy określającą status krewnego, który może starać się o adopcję w dowolnym czasie.

- Do których to krewnych należą rodzice, dziadkowie, rodzice przysposobieni, brat, siostra, siostrzeniec, siostrzenica, bratanek, bratanica, ciotka, wuj lub kuzyn pierwszego stopnia. Podanie o adopcję może być złożone w każdej chwili, jeżeli składający jest biologicznie spokrewniony z dzieckiem, z pominięciem sześciu-

miesięcznego okresu oczekiwania, ponieważ zakłada się, że istnieje już więź pomiędzy dzieckiem a tym krewnym.

- Zgadza się.

- A czy Delia Cady jest kuzynką w pierwszym stopniu... ?

- Nie jest krewną w tym znaczeniu w odniesieniu do Keefer Nye, wysoki sędzie - przerwał gładko Katt — tylko ojca Keefer Nye, Raymonda Nye'a Juniora, zatem w stosunku do Keefer jest kuzynką drugiego stopnia.

- Tak - potwierdziła sędzina Sayward, spoglądając na Gordona. - Wiem o tym.

- Przynajmniej tu podobną sprawę, w której sąd zdecydował, że dziadkowie trojga dzieci nie mają podstaw do sprzeciwu.

- Ale w tamtym przypadku nastąpiło wcześniejsze pozbawienie praw rodzicielskich - powiedziała sędzina - w rezultacie czego dzieci miały być adoptowane. Dziadkowie byli dziadkami dzieci poprzez rodziców, którym prawa zostały odebrane. To zupełnie nie odnosi się do tego, o czym mówimy tutaj.

- Dobrze - zgodził się Katt. - Chodzi o to, co tu robią państwo Cady? Jako kuzyni drugiego stopnia nie podlegają kryteriom koniecznym do uznania za najbliższych krewnych.

Sędzina Sayward odchyliła się w krześle i wydało się Gordonowi, że przy tym uniosła ramiona, dodając sobie wzrostu.

- Więc twierdzi pan, że nie są spokrewnieni, jak wymaga tego ustawa. Taka jest podstawa pańskiego wniosku.

- Zgadza się - odparł Katt, ale obejrzał się za siebie spieszenie, niespokojnie, jakby się spodziewał, że ktoś niespodziewanie podejdzie do niego z tyłu. - Nawiazując więc do sprawy, tylko osoby mające prawne podstawy do adopcji mają też podstawy do kwestionowania wniosku o adopcję zgłoszonego przez innych.

- Pani Wentworth?

- Wysoki sędzie, w naszym wniosku, będącym odpowiedzią, wykazaliśmy, co jest prawdą, że Gordon McKenna nie ma odpowiednich podstaw prawnych, ponieważ nie jest biologicznym krewnym. Określenie pokrewieństwa znajduje się w paragrafie czterdzieści osiem punkt trzy, ale w paragrafie czterdzieści osiem punkt osiemdziesiąt pięć sprecyzowany jest termin biologicznego pokrewieństwa. Moi klienci z tego punktu widzenia mają uzasadnione podstawy, w przeciwieństwie do tego, co mówi pan Katt, ponieważ starają się o prawo do opieki. Ponadto złożyli podanie

co najmniej dwa tygodnie przed panem McKenna, więc jeśli te dwa postępowania mają się toczyć oddzielnie, uważam, że nasze powinno być rozpatrywane w pierwszej kolejności, gdyż pierwsi wystąpiliśmy.

- Słucham, panno Linquist? - Sędzina zwróciła się do pani kurator.

- Jestem tu po to, by bronić interesów Keefer Nye. Przedmiotem mego zainteresowania jest orzeczenie sądu, czy Gordon McKenna jest krewnym w sensie biologicznym, czy nie. On sam został adoptowany. Nie ma więc biologicznego pokrewieństwa sensu stricto między panem McKenna i Keefer Nye. Jego siostra, zmarła matka dziecka, również była adoptowana. Myślę, że jest to kwestia prawna, którą należałoby rozstrzygnąć.

- Co ma pan do powiedzenia w tej sprawie, panie Katt?

- Panna Kane wypowie się w tej kwestii. Nie wiedziałem, że będziemy się zajmować obiema sprawami jednocześnie. Ale... tylko ludzie, którzy mają podstawy, by adoptować dziecko, mają prawo do kwestionowania adopcji w przypadku innej osoby. Co się tyczy tej sprawy... Państwo Cady nie mają prawa do złożenia takiego wniosku.

- I nie starają się o adopcję. Jedyne pański klient się o to stara. Pani Wentworth, czy państwo Cady mieli świadomość, że *pan* McKenna był adoptowany? - spytała sędzina.

- Tak, wysoki sędzie, ale nie chcieli poruszać tej kwestii, dopóki nie zostali zmuszeni odpowiedzią na wniosek zmierzający do wyłączenia ich ze sprawy.

Sędzina Sayward opuściła okulary i przyjrzała się najpierw Gordonowi, a potem Cadym.

- Więc każda ze stron na mocy tej samej ustawy podważa podstawy prawne drugiej strony. Salomonowa mądrość zostaje tu poddana nie lada próbie.

Przemówił Katt:

- Oni starają się wykorzystać sprawę, w której adoptowane dzieci próbowały odziedziczyć pieniądze po swoim biologicznym dziadku, ale, wysoki sędzie, nawet wtedy decyzja głosiła, że adopcja wiąże się z przejściem wszystkich praw i innych konsekwencji prawnych... - Chrząknął i ciągnął dalej niskim głosem: - To niesmaczne, ot co! Przygotować nam coś takiego na dzień przed sprawą. Godzi to w nasz kodeks, który wyraźnie określa rodziny

sprawujące opiekę nad małoletnimi: wszystkie punkty w taki sam sposób odnoszą się do adoptowanych dzieci jak i do biologicznych.

- Pięknie. Ale moje pytanie brzmi, panie Katt: dlaczego paragraf czterdzieści osiem punkt dziewięćdziesiąty nie mówi o krewnych, ale o krewnych biologicznych?

- Nie wiem.

- Za to ja wiem. Prawodawcy, których sami wybraliśmy i których państwo wybrali, dokonują rozróżnienia. Mówią, że przynajmniej w tej szczególnej sytuacji przyspieszone procedury odnoszą się do krewnych biologicznych. Dlaczego nie mówią po prostu o krewnych? Zna pani odpowiedź, panno Kane?

- Wysoki sądzie - odrzekła Stacey Kane, kładąc rękę na ramieniu Gordona. - To ubliżające! Jest to najbardziej obelżywy wniosek, o jakim słyszałam, a zajmuję się sprawami związanymi z adopcją niemal przez całe zawodowe życie. Założmy zatem, że państwo Cady chcą adoptować swoją... chrześniaczkę Keefer. Jak może ktoś, kto chce adoptować dziecko, starać się przy tym pozbawić inne adoptowane dziecko należnych mu praw, i to własnego wuja tego właśnie dziecka? Czy jeśli adoptują Keefer, nie odmieni im się pewnego dnia i nie powiedzą: n i e jesteśmy twoimi krewnymi, ponieważ zostałaś adoptowana? To szaleństwo!

- Nikt nie powiedział, że pan McKenna nie jest krewnym - zwróciła jej uwagę Emily Sayward. - On nie jest b i o l o g i c z n y m krewnym w świetle ustawy, na podstawie której stara się o adopcję dziecka, pragnąc uzyskać przewagę nad państwem Cady. - Zaciśnęła usta i zastukała palcami w papiery leżące na stole.

- Ale powinien być potraktowany tak, jakby był biologicznie spokrewniony. Wszystkie ustawy precyzują to jasno. Gordon i Georgia mają te same prawa, jakie mieliby, gdyby byli biologicznymi dziećmi państwa McKenna. Byli wychowywani przez nich od niemowlęstwa. Celem tej ustawy dzięki przyspieszonej procedurze jest możliwość jak najszybszego przekazania dzieci będących w sytuacji podobnej do sytuacji Keefer Nye w ramiona tych, którzy je znają i kochają najlepiej. A kimś takim jest Gordon. Gordon, który zajmował się siostrą, kiedy umierała, i pomagał rodzicom zajmować się dzieckiem, a także sam się nim głównie opiekuje od tamtej pory.

Sędzina zmrużyła oczy.

- Myślałam, że głównymi opiekunami są dziadkowie.
- Owszem, ale aby przyzwyczaić dziewczynkę do domu, który wedle ogólnego przekonania miał się stać jej przyszłym domem, postanowiono, że będzie jak najwięcej czasu spędzać z wujem.

- Rozumiem - rzekła sędzina. - Rozumiem.

- Gordon McKenna poddał się kontroli odpowiedniej agencji i został zakwalifikowany jako zdolny do zaadoptowania Keefe.

- W porządku. Myślę, że to jest jasne. Gdyby ustawa mówiła o krewnym, a nie wspominała o pokrewieństwie biologicznym, pan McKenna byłby z pewnością krewnym. Ale nie mówi tak. Mówi o pokrewieństwie biologicznym. Nie mogę ignorować tego, co głosi prawo. Prawodawstwo dokonało takiego rozróżnienia, mnie się to może nie podobać, państwu się to może nie podobać, a już z pewnością panu McKenna, stojącemu przed nami, może się to nie podobać, ale tak jest. Rozróżnienie dotyczy pokrewieństwa i biologicznego pokrewieństwa. - Westchnęła. - A oczywiście państwo Cady też nie spełniają warunków wymienionej wyżej ustawy. I wobec tego nie mają podstaw, by starać się o adopcję. Przynajmniej nie teraz.

Spojrzała na swoje ręce.

- I w związku z tym żadna ze stron nie ma prawa do przyspieszonej adopcji. Oddalam w tym momencie pozew pana McKenny. Zostaje odrzucony.

Stacey Kane westchnęła głośno.

- Wysoki sędzie - odezwał się Katt. - Czy można zaproponować odroczenie wyroku, tak byśmy mogli postarać się o tymczasowe orzeczenie, podczas gdy sprawa pozostanie w zawieszeniu? Keefe już była pod opieką dziadków, spędziła wiele czasu zarówno z dziadkami ze strony matki, jak i ze strony ojca i wszystko układało się dobrze...

- Słyszałam, że mieszka ze swoim wujem - odparła sędzina.

- Ale również zajmowali się nią państwo Cady. Państwo Nye mieszkają na stałe w stanie Floryda.

- Tak. I... ?

- Sprawa jest prosta - ciągnął Katt, wyraźnie zmuszając się do swobodnego uśmiechu, jakby byli starymi przyjaciółmi, którzy za chwilę się odprężą i migiem rozwiążą drobne nieporozumienie. -

Istnieje szansa, że sąd apelacyjny mógłby się zająć szybko tą sprawą, więc gdyby wysoki sąd przyznał opiekę Cadym i dziecko zamieszkałoby z nimi, a nasza apelacja odniosłaby sukces, znaleźlibyśmy się z powrotem w tym samym punkcie adopcji Gordona...

- Zapytajmy panią Wentworth - zaproponowała sędzina.
- Czy Gordon McKenna może zostać? - spytał Katt.
- Może zostać, ale nie może uczestniczyć.

Gordon skinął głową. Mięśnie jego nóg drżały i nie ustały, nawet gdyby usiłnie się o to starał. Był w stanie myśleć jedynie o... krwi. Czerwone krwinki są jedynymi komórkami w ludzkim ciele, które nie zawierają DNA. Pokrewieństwo... Krew... Przynajmniej część krwi nie przechowywała skręconych par chromosomów, odpowiedzialnych za związki przestępców ze zbrodniami, a rodziców... z dziećmi. Krew. Krew jak namalowany wachlarz na przedniej szybie rozbitego samochodu. Krew na podartym w strzępy rękawie niebiesko-złotej koszuli Georgii, skrawek materiału falujący łagodnie na powierzchni strumienia Lost Tribe Creek.

Z rozpaczą odwrócił się od zgiełku panującego na sali... wyjrzał przez wielkie okno na dziedziniec.

- Uważam, że moi klienci powinni zostać dopuszczeni... wędrowka tam i z powrotem między dziadkami... jedna rodzina tu, druga w Madison... szkody wyrządzone brakiem stabilizacji... jeden dom, jedna rodzina...

Inny głos, głos kuratorki z urzędu - kuratorki!

- Reprezentuję Keefer. I choć jest u kochających ją bliskich, nie jest to zdrowa sytuacja... kolejny termin rozprawy... to wszystko za długo trwa... to przecież małe dziecko... apelacja może ciągnąć się miesiącami... dwa, trzy, więcej... Doktor Bogert zaleca państwa Cadych jako bardziej odpowiednią rodzinę. Rozmawiała ze wszystkimi członkami rodziny, wielu znajomych obu stron mówiło to samo, on jest samotnym mężczyzną. Większość czasu podczas zeszłego roku mieszkał z rodzicami i ma dwa osobne mieszkania... ich własny dom... Delia pracuje w domu... starsza siostra...

Za oknem sali sądowej rósł buk. Drzewo to, z brązowymi liśćmi i dziwnym pniem, przypominało figowce bengalskie. Krew. Pień. Tors. Tętnica szyjna. Prawa podobojczykowa. Ramiennie-głowa. Ramienna. Płucna. Żyły. Kończyny. Gałęzie. Pędy. Naczynia włosowate.

Stacey Kane prawie krzyczała:

- To poważna sprawa, wysoki sędzie! Stwierdzenie, że adoptowany brat nie równa się bratu biologicznemu, podważa całą ideę adopcji!

Kart dodał:

- W takim razie złożymy wniosek o przyznanie praw opiekuńczych, wysoki sędzie. Mój klient złoży podanie, podobnie jak zrobili to państwo Cady, stosownie do procedury...

- Sprzeciw, wysoki sędzie! Jest to zbyt późno w świetle ustawy. Oni sami protestowali, kiedy zebraliśmy się tutaj, że nasz wniosek nie wpłynął w odpowiednim czasie.

- Myślę - powiedziała sędzina - że będziemy kontynuować prace nad pozwem już złożonym, a nie czekać na następne. Teraz już na to za późno. Pan McKenna miał kilka miesięcy na podjęcie decyzji, co chce robić, i postanowił starać się o adopcję przyspieszoną zamiast o zwykłą, której obecny sąd nie mógłby kwestionować.

- Wysoki sędzie - odwoływał się Katt - dla pełnej jasności: nie mieliśmy czasu od chwili... przypadkiem znajdowałem się w biurze, kiedy uznany właśnie przez sąd wniosek o oddalenie pozwu pana McKenna o adopcję został mi przysłany faksem.

- Podobnie było ze mną - odparła sędzina sucho.

- Nie byliśmy w stanie odpowiednio się przygotować, żeby na niego odpowiedzieć. Nie mieliśmy czasu poszukać istniejącego przepisu, który podtrzymałby nasze stanowisko - błagał Katt.

- Zawsze może pan apelować - powiedziała.

- I tak zrobimy, z pełnym szacunkiem. W naszej apelacji znajdzie się wyraźne stwierdzenie, że druga strona cały czas wiedziała o fakcie, iż Gordon McKenna i jego siostra byli adoptowani.

- To nieprawda - zaprzeczyła mecenas Wentworth. - Dowiedziałam się o tym zaledwie parę dni temu.

- Ale wyraźnie stwierdzał to raport, jaki otrzymała pani od doktor Bogert! - zawołał Katt. - W dokumencie mowa jest o głębokim przekonaniu mego klienta, iż sam adoptowany, lepiej będzie umiał przygotować Keefer do życia ze świadomością własnej adopcji. Wysoki sędzie, składanie tego wniosku w ostatniej chwili było zręcznym posunięciem.

- Wysłuchałam pana i uznaję pańską troskę - powiedziała łagodnie Emily Sayward - ale nie zasądzam odroczenia. Dziecko

powinno mieć dom. Jeżeli będzie pan apelował, jeżeli Sąd Apelacyjny stanu Wisconsin uzna, że popełniłam błąd, pozew zostanie rozpatrzony od nowa. Ale to będzie trwało. Bardzo długo. Zajmiemy się teraz kolejną sprawą: wnioskiem państwa Cady o przyznanie praw do opieki nad dzieckiem.

- Czy pan McKenna zostanie? - spytała Mary Ellen Wentworth. - To znaczy czy ma być obecny podczas tej sprawy? Nie jest stroną. Jego pozew nie będzie teraz rozpatrywany. Posiada taki sam status jak inni krewni, przebywający w tej chwili w holu. W związku z tym nie ma powodu do obecności jego i jego adwokata.

- Czy pani mecenas sugeruje, że jest jakaś ustawa, w świetle której człowiek ten nie może być obecny? Czy to pani ma na myśli? - Gordon, usłyszawszy ton głosu sędziny, poszukał wzrokiem jej spojrzenia i dojrzał w nim litość. - To... Patrzę właśnie na paragraf czterdzieści osiem punkt dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć, w myśl którego sąd może pozwolić na obecność każdej osoby, która żywi uzasadnione zainteresowanie w danej sprawie. - Spojrzała na Gordona. - To jej wuj. Choć niebiologiczny. Nasz kodeks rodzinny nie mierzy ciężaru miłości. Ona nie jest ścigana prawnie. Nie jest wymierna. Nie jest konkretna. A jednak dostrzegam tu rzeczywisty interes. Idźmy więc dalej!

Kiedy drzwi z mosiężnymi półksiężycami otworzyły się, a Delia i Craig Cady pośpieszyli w ramiona Diany i dużego Raya, Gordon wyciągnął rękę i przyciągnął matkę tak, że znalazła się tuż przed nim; jego ojciec, Church i prawnicy stali tuż za nią, tworząc kółko, grupkę, naturalną formację stada.

- To nie koniec - powiedział im Katt. - Chcę, żebyście państwo wiedzieli... - Zdjął okulary w drucianej oprawie i potarł oczy.

- Gordon, co ona powiedziała? - Lorraine położyła chłodną dłoń na czole Gordona. - Ty cały płoniesz. Kochanie, co ci powiedzieli?

Czy ma pozwolić Kattowi wyjaśnić? A Stacey Kane dokończyć? Czy fakty przemówią za siebie, jak w to wierzył całe swoje dorosłe życie? Fakty, pracę naprzód, niekontrolowana zmienna zacierająca prawdę, nielicząca się z bólem. Przedtem nie brał pod uwagę niekontrolowanej zmiennej.

Georgia, pomyślał. Jego głos i jej głos zlały się w jeden, coraz słabszy.

- Powiedzieli, że nie jestem bratem Georgii - oznajmił rodzicom. — Powiedzieli, że nie jestem waszym synem.

13

Nora naprawdę czasami wierzyła, że ma oczy z tyłu głowy. Kiedy Rob był maleńki, przypełzał do ich pokoju i zaglądał pod różowe gąbkowe wałki, na które zakręcała włosy na noc. Norze śniło się, że chodzą po niej robaki, i gwałtownie się zrywała.

- Czy wsadziłem ci palec w oko? - pytał szeptem Rob. Miał zaledwie cztery lata.

W tej chwili Nora doskonale wiedziała, nie patrząc, bez odwracania się od zlewu, przy którym zmywała naczynia po kolacji, że Hayes tylko udaje, iż czyta „Bountiful Farmer”. Ich syn, Marty, zainteresował go pomysłem założenia ekologicznej spółdzielni ogrodniczej. Ludzie mieli kupować udziały na wiosnę, a w sezonie co tydzień ktoś (ona - na ile zna życie) będzie rozwozić świeże warzywa i owoce oraz przetwory członkom spółdzielni. Będą musieli postarać się o zaświadczenie, że są to produkty ekologiczne, ponieważ tego sobie życzą bogaci klienci, natomiast same uprawy nie stanowiły większego problemu. Hayes i tak codziennie z czułością troszczył się o swój kawałek ziemi - jak jego ojciec, a przed nim ojciec jego ojca.

Nie chodziło o to, że Hayes czytał, ustawiwszy krzesło tak, jak lubił najbardziej, by oprzeć wyżej wielkie stopy w skarpetkach, ale o to, że nie spał. To oznaczało, że coś go dręczy. Im krótsze stawały się dni, tym senniejszy robił się Hayes, zupełnie jak ptak. O siódmej godzinie już chrapał przy stole. Nora siadała naprzeciwko, z trzaskiem otwierała księgę rachunkową farmy i prowadziła długą rozmowę ze śpiącym małżonkiem.

- No więc, Hayes, co sądzisz o tym, że Barbara Quintero startuje w wyborach na gubernatora? Czy twoim zdaniem kobieta w ogóle ma szansę? Czy myślisz, że Robin Yount zostanie trenerem? Pamiętasz Brewersów* w osiemdziesiątym drugim? A może to był osiemdziesiąty trzeci?

Nora umyła ręce i wytarła je o dzinsy. Tyła z miesiąca na miesiąc. Rozmiar czternaście już się na niej nie dopinał. Odwróciła się do Hayesa.

- Chcesz kawy, kochanie? Chętnie wypiłabym filiżankę.

* Drużyna baseballowa.

- Owszem, Nory - odparł, starannie składając stronę, zamykając gazetę i odkładając ją na bok. Też się chętnie napiję.

Zdecydowanie dziwne.

Hayes nie tylko nie spał o ósmej wieczorem, ale zgadzał się na płyny pobudzające i użył imienia, jakim nie nazywał jej od czasów, gdy się o nią starał. Może poczuł przypływ sił witalnych. Nie żeby miała coś przeciwko temu- Wszystkie jej dzieci zostały poczęte zimą, w jedynym czasie, kiedy -jak się zdawało - robili coś jeszcze poza mijaniem się na schodach. Ostatnio jednak więcej przebywała w mieście niż tutaj. Dni od pogrzebu zlewały się jeden z drugim, aż zupełnie traciło się - orientację.

Listopad, krótki, ciemny miesiąc dobiegał końca. Tamci mieli przyjechać i zabrać Keefer w grudniu, chyba że prawnicy wymyślą coś, żeby ich powstrzymać.

Teraz codziennie jeździła na Cleveland Avenue, gdzie zajmowała się Keefer i atakowała telefony niczym piechota morska wybrzeże Normandii. Mark nie zwlekał długo, od razu przewidział że potrzebna im będzie druga linia telefoniczna. Gordie nauczył Norę obsługiwać pocztę elektroniczną- Była to drobnostka dla kobiety, która sama bronowała pola i składała rowery z części. Gordie i Lorraine zasiadali do telefonów i komputera zaraz po powrocie ze szkoły, a Lindsay przychodziła po zamknięciu sklepu. Nawet Mike i Debbie byli wtedy z nimi, kiedy przyjechał dziennikarz z „Newsweeka”. Facet siedział trzy godziny, wypił pięć filiżanek kawy i zadał wszystkie możliwe pytania.

Delia i Craig Cady nie odzywali się- do nich w ogóle, w odróżnieniu od sióstr Raya. Greg Katt tak się zapalił do tego, co przeczytał w „Newsweeku”, że, jak się zwierzył Norze, zapnumerował pismo.

Dlaczego Delia i Craig mieliby się odzywać, rozważała Nora, odmierzając kawę, dostali to, co chcieli.

Czasami uważała, że to całe dzwonienie i wysyłanie e-maili jest bezcelowe, i że będą potem żałować, iż nie spędzili więcej czasu z Keefer, tuląc ją i śpiewając.

- Nory - odezwał się Hayes, przerywając żonie myśl o liście, jaki planowali wysłać, z kolorowy zdjęciem Gordona i Keefer, w towarzystwie nowo narodzonych kociąt Pearl i z podpisem: „Czy Twoim zdaniem adoptowane dzieci mają takie same prawa jak dzieci biologiczne?” *

- Usiądź tu, Nory. Chcę z tobą porozmawiać.
- Pewnie miał problemy z prostatą. Powinna była się tego domyślić. Zeszłego tygodnia poszedł do nowej lekarki, doktor Eve Holly. Okropnie marudził, że kobieta będzie mu wkładać palec w zadek. Ale cóż, prostata jest wyleczalna.
- Nory, chcę porozmawiać z tobą o sprawie Marka i Lorraine. Bogu dzięki. Nora oparła się wygodniej o krzesło.
- Hayes, śmiertelnie mnie przestraszyłeś. Bałam się, że powiesz, że masz raka prostaty.
- Rak prostaty? Bo zbadała mnie Eve Holly? - Uniósł do góry gruby palec, jakby prowadził go po spirali.
- Myślałam, że ukrywasz coś przede mną, to wszystko.
- Hayes wstał z krzesła, zupełnie jakby otwierał się stary scyzoryk. Był tylko dziesięć lat starszy od Nory, ale w niektóre dni zachowywał się jak człowiek dziewięćdziesięcioletni. Nadal jednak pracował jak trzydziestolatek. Pochyliła się i pocałowała go w dolną wargę. Przymknął oczy.
- Nory, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, bo nie chcę w żaden sposób zranić twoich uczuć. Naprawdę. - Wrzucił cztery kostki cukru do kawy. - Więc, Mark to dobry człowiek. Zawsze go lubiłem. A Georgia była najmiłszym stworzeniem pod słońcem, świeć, Panie, nad jej duszą. Ale to, co się stało, już się nie odstanie. Noro, sędzia nie jest sędzią ot tak bez powodu. Ona naprawdę rozumie, co jest najlepsze dla dziecka.
- O czym ty mówisz?
- Noro, nie mogę powiedzieć, że się z nią nie zgadzam. Gordie to dobry chłopak, świetny chłopak. Ale jest kawalerem. Wychowywanie małej dziewczynki leży w jego interesie, tak samo jak naszego Roba czy Marty'ego. Czy wyobrażasz sobie Marty'ego wychowującego dziewczynkę?
- Hayes, Gordon wspaniale zajmuje się Keefer. A nawiasem mówiąc, co ty byś zrobił z naszymi chłopcami, gdybym umarła?
- Chyba ożeniłbym się z Phyllis Cadley przy pierwszej nadarzającej się okazji.
- No dobrze. Czy zatem sugerujesz, że sędzina wydała ten krzywdzący wyrok, bo myślała, że dziecko będzie miało lepiej u tych ludzi z Madison, tych kuzynów?
- To nie wszystko, co chcę powiedzieć.
- Do czego w takim razie zmierzasz?

- Chodzi mi o to, że nie chcę, abyś się w tę sprawę angażowała.

- W apelację? W zmianę prawa? Dlaczego? Hayes, to jest nasza rodzina!

- Właśnie o tym mówię, Nory. Dzieci Marka są mi bliskie tak samo jak tobie, ale prawo jest prawem. Pomyśl tylko, a gdyby chodziło o twoje własne dzieci? I, powiedzmy, o twoją własną farmę. Czy chciałabyś, żeby jakiś dzieciak, który się wziął nie wiadomo skąd, odziedziczył naszą ziemię? Czy chciałabyś, żeby przeszła na zawsze w ręce kogoś spoza naszej rodziny? - Zrobił gest, jakby opasywał horyzont. - Rzeczy powinny zostać w rodzinie, do której należą.

- To śmieszne. A gdyby, nie daj Boże, naszym chłopcom coś się stało? I gdyby została tylko Georgia i ona by nie umarła? Martwiłoby cię to, gdyby ziemia przeszła na Georgię?

- Tak - odparł jej stanowczo Hayes. - Owszem. - Jego oczy zaszklily się na moment i wtedy dodał nagle: - Nie. Wcale nie! - Wolno wstał od stołu i wydmuchał nos w ścierkę do naczyń. - I tak była brudna - powiedział potulnie pod jej pełnym wyrzutem spojrzeniem. - Widzisz, już ją wkładam do kosza.

- No to możesz ją wyjąć z kosza i sam uprać.

- Georgia była osobą niezwykłą, jedyną w swoim rodzaju. Ale ci ludzie z Madison są krewnymi dziecka. Tak samo jak Mark jest krewnym naszych chłopców. Znają... ją dobrze. Tak jak my jej nigdy nie poznamy. Będą mogli powiedzieć jej, skąd się wzięła.

- Wzięła się z Tall Trees. Tak jak ty i tak jak ja.

- I w żaden sposób nie dasz rady przekonać tych z Madison, żeby przyznali, że nie mają racji!

- Myślę, że nam się to uda.

- Nie można walczyć z całym światem, Noro.

- Owszem, można. Inaczej nie byłoby ani jednej rodzinnej farmy w Wisconsin.

- Noro, co ma piernik do wiatraka?

- Hayes, widziałeś ich tamtego dnia. To było tak, jakby Georgia umarła jeszcze raz. Oni żyją tylko dla tego dziecka, dla dziecka i dla Gordiego.

- Ale nie chodzi mi o nich. Chodzi mi o nas. Ludzie gadają. Nie każdy w tym mieście lubi czytać w kółko na pierwszej stronie „Milwaukee Journal” czy „Newsweeka” o „kwestii pokre-

wieństwa biologicznego". Kwestia pokrewieństwa biologicznego. W kółko to samo. Lorraine płacze i powtarza: „To moja krew, krew z krwi, kość z kości. Krew budzi we mnie uczucia i kocham ich... ” Wiem, że chce jak najlepiej, ale są też tacy, którzy nie uważają, aby ten rodzaj ściągnięcia na siebie uwagi był... odpowiedni.

- Kto taki?
- Wiele osób.
- Nazwiska.
- No na przykład dyrektor szkoły. Wiesz, jaki to plotkarz. Zawsze taki był. Słyszałem raz w Hubble's, jak mówił, że zastanawia się nad napisaniem listu do redakcji.

- Czy widziałeś listy do redakcji? W „Messengerze”? Wszyscy są po naszej stronie. Piszą, że to straszne, co zrobiła sędzina Sayward. Hayes, dostaliśmy siedemdziesiąt e-maili na laptop Marka, ten, który przyniósł do domu z zakładu. Nawet rodzice, którzy mają własne, biologiczne dzieci, bez namysłu zgadzają się, że to wszystko jest okropne. Wszyscy są po stronie Gordiego.

Hayes przyglądał jej się spokojnie.

- To nas zrukuje, Noro. Zrukuje, a ty masz własną rodzinę, o której powinnaś myśleć!

- Jak to zrukuje?
- Spędzasz całe noce w mieście. Lorraine szaleje. Gordon... Gordon jest nauczycielem. Noro! Czy myślisz, że ludzie chcą, żeby ich dzieci uczył facet zamieszany w taką sprawę?

- Do rzeczy, Hayes. Powiedziałaś, że to nas zrukuje.
- No bo ciebie nigdy nie ma. Ja chyba umrę od kuchni Bradie.
- Nie wyglądasz na zabiedzonego.
- A najgorsze jest to...
- Proszę, mów! Wyrzuc wszystko z siebie!
- No więc, chodzi o ten pomysł Marty'ego. Farma musi jakoś zarabiać. Ludzie zaczną wytykać nas palcami. Będą mówić o nas: o, to ci, co się biją o dziecko. A to młode małżeństwo? Z tym śmiesznym szyldem? - Widziała go. „Angielska farma Johnstonów”. - Otworzą sklep warzywny, będzie tam też kawa i starocie, i Bóg wie co jeszcze.

- I boisz się, że sprzątną ci interes sprzed nosa?
- Niedługo zaczną sprzedawać do restauracji. Moim klientom.
- Ależ, Hayes, przecież ty masz najlepsze uprawy - powie-

działa pojednawczo. - Nikt nie będzie kupować sungoldów ani pomidorów Yellow Pear od nikogo innego. Tamte są po prostu gorsze. Na przykład melony Moons albo Stars. Albo białe szparagi...

- Nie tylko ja tak uważam. Moi synowie myślą tak samo.

- Marty?

- Tak.

- Hayes, w dniu, kiedy pozwolę Marty'emu Nordstromowi kierować moim życiem, możesz wziąć szpadel i...

- A co ze mną? Jestem twoim mężem od dwudziestu dziewięciu lat. O tak, nie myślałaś, że pamiętam, od jak wielu! Ale pamiętam. I mówię: stop. Teraz. To nie znaczy, że nie życzę im dobrze. Do licha, życzę im wszystkiego najlepszego, co jest na świecie! Dość już wycierpieli. I nie mówię, że nie możesz pomagać przy Keefer...

Nora poczuła, jakby silny wiatr wywiał ją przez otwarte nad zlewem okno nad łąkę, gdzie ich Holstein pał się zeszłej wiosny razem z jej byczkiem, tak przypominającym Georgię i Keefer; mały byczek z szeroko rozstawionymi oczami, trochę gamoniowaty, skubiący trawę przy porośniętej ostem grobli prowadzącej do stawu, nad którym brzozy obejmowały się jak eleganckie starsze panie, idące brodzić w płytkiej wodzie.

To był jej dom. Zawsze w kwietniu brała wielkie grabie, wchodziła w brudną wodę i wyciągała musztardowe wachlarze lilii wodnych, obwieszone girlandami alg, napełniała nimi taczkę, a potem rozkładała tę bogatą, mokrą, życiodajną papkę wokół swoich roślin: irysów, paproci, konwalii, które z wdzięczności wyrastały o kilka tygodni wcześniej niż u sąsiadów. Gotowała, robiła przetwory, okopywała motyką, walczyła z muchami i wcierała płyny i maści w ręce Hayesa i swoje. Wyskrobywała błoto z butów i kombinezonów, po czym wieszała je na kołowrocie na podwórzu, żeby wyschły. Z bólem serca wypisywała czeki dla banku i zakładów kanalizacyjnych; karmiła koty, łąpała je i przytrzymywała, kiedy trzeba było im dawać zastrzyki. Nauczyła Bradie dwoma nożami siekać masło z mąką; ścinała chłodne, zielone łodygi tulipanów i zawijała je w mokrą gazetę, z przeznaczeniem do wazonów na ołtarzu w kościele. W myślach przeniosła się na wzniesienie zwane Parkiem Jeleni, ponieważ tam łanie chodziły razem z młodymi - Nora przyrządzała dziczyznę, ale nigdy nie

pozwoiłaby Hayesowi ani synom zastrzelić jelenia na własnej ziemi. Zimą, kiedy chłopcy byli mali, jeździli tam na sankach, a wieczorem można było stać w ukryciu wiecznie zielonych zarosli i obserwować światełka zapalające się o zmierzchu i liczyć je jak nuty: Romanowie, Cladleyowie, Zurichowie, Rooneyowie, Woffiingowie. Przy dobrej pogodzie widać było stamtąd wszystko aż po Snowmounds - zamglone, oblodzone wzgórza przycupnięte w krąg. Oboje z Hayesem planowali, że zbudują tam kiedyś dla siebie chatkę i odpoczną, a Dan i Marty zajmą się farmą. Wymarzyli sobie werandę, która otulałaby ich domek jak fartuch, z drewnianymi fotelami ustawionymi w szeregu.

Odkąd ksiądz Barry oznajmił światu, że są mężem i żoną, Nora nie przypominała sobie, żeby w ciągu tych dziesięcioleci kiedykolwiek nie zgadzała się z mężem. Nigdy nie podniósł ręki na nią, na chłopców też nie, niezależnie od tego, jak głupie wyczyny mieli na sumieniu. Nie wyśmiewał się z Roba za kiepskie stopnie ani nie krzyczał na Marty'ego, że zagładzą się pewnego lata z powodu córki Rooneyów. Hayes zawsze nalegał, żeby każdego miesiąca odkładali coś dla synów, by łatwiej im było stanąć na nogi, kiedy będą starsi. Nie powiedziała mężowi, jak bardzo go kocha... od ich srebrnego wesela. A kochała go tak, jak kochała kwiaty i drzewa czereśniowe, i wielkanocną mszę, nie z taką ostrą, bolesną rozkoszą, jaką odczuwała wobec swoich chłopców i Georgii, ale ze stałą akceptacją, jaką może dać poczucie bezpieczeństwa. Nie była w stanie wyobrazić sobie życia bez Hayesa, tak jak nie mogła wyobrazić sobie oddychania bez powietrza.

Tak więc, czując ciężar w piersi, powiedziała:

- Będę im pomagać, Hayes, co wcale nie znaczy, że nie są dla mnie ważne twoje uczucia. Przykro mi, że tak myślisz. Ale nie zrezygnuję z tego, czy ci się podoba, czy nie, i nie sędzę, by miało to jakkolwiek wpływ na sprawy farmy. Ale jeśli tak będzie, też mnie nic nie powstrzyma.

Nie odpowiedział. Ścisnął mocno kubek z kawą, a Nora zauważyła, że kostki mu pobielają.

- Widzę, że podjęłaś decyzję - rzekł po chwili.

- Gdybym nie zrobiła wszystkiego, co w mojej mocy, żeby naprawić to straszne zło, nie mogłabym spojrzeć Georgii w oczy. Bóg nienawidzi tchórzy, Hayes.

- Bóg nienawidzi głupców, Noro.

- Czy uważasz mnie za głupią?
- Tak - odparł wolno - ale więcej nie powiem ani słowa przeciwko tobie.

Wypełniła ją wdzięczność tak ogromna, że nie była w stanie wymówić słowa. Dotknęła jego ręki, potem grubego ramienia i objęli się serdecznie.

Później Nora otworzyła szufladę, gdzie trzymała szlafrok i bieliznę z nocy poślubnej, wyciągnęła bluzę Georgii, złożyła ją na brzuchu i kołysała się, kołysała i kołysała. Nie mogli przestać teraz. Nie było jak przestać. Zaszli za daleko.

Żałowała, że nie było jej na sali sądowej.

Kiedy usłyszała nowiny, razem z Lindsay Snow ukłękły przy psim pośłaniu, na którym spała Keefer. Szalone myśli przelatowały Norze przez głowę, jak ta, że powinny z Lindsay szybko spakować dziecko, wsiąść do samolotu i uciekać na Hawaje. Kiedy Lindsay wstała i zamknęła drzwi, Nora nawet nie musiała pytać, dlaczego. Nad niewinną, pokrytą śniegiem ulicą przed wiktoriańskim domem zawisła groźba. Stały w oknie, czekając na powrót Marka i Lorraine, a kiedy Wiltonówna o wąskiej, ostrej twarzy, ta sama, która poszczuła szeryfa na Gordiego, spojrzęła w górę, cofnęły się, przylegając do ściany. Mark i Gordie przyjechali parę minut później i powiedzieli, że Lorraine poszła ściąć włosy.

Nora pomyślała, że Lorraine postradała zmysły.

Kiedy jednak pokazała się dwie godziny potem, gdy wmaszerowała do Style Inn z żądaniem całkiem nowej fryzury, Nora musiała przyznać, że szwagierka wygląda inaczej, odświeżona, jakby silniejsza. Gotowa do walki.

Następnego dnia i jeszcze następnego, kiedy zbiegli się reporterzy i robiono zdjęcia, Nora doszła do wniosku, że Lorraine wcale nie jest szalona. W blezerze i w wełnianych spodniach w kratkę wyglądała porządnie, poważnie, jak modelka z katalogu Land's End, a nie jak dawny upiór w szalu, z potarganymi włosami. Reprezentowała typ osoby budzącej zaufanie, kiedy rozdawała zdjęcia Raya i Georgii trzymających Keefer, fotografie, które zrobiła w nocy w Sam's Club. W sobotę przyjechał dziennikarz z „Newsweeka”, w niedzielę ktoś z CBS News, a Nora, Marty i Dan słu-

chali z przejęciem, jak Dan Rather wymienia nazwisko McKenna, oczywiście nie wspominając Keefer.

Maszyna, która napędzała się sama, została uruchomiona w momencie pierwszego telefonu. To właściwie Nora zaproponowała, żeby zadzwonić do członka legislatury stanowej. Lorraine i Mark, którzy głosowali tylko w wyborach prezydenckich, nie mieli pojęcia, kto nim jest. Ale Nora nie tylko znała nazwisko Phila Kaya, ale też wiedziała, gdzie on mieszka. Zadzwonili do niego do domu, a Lorraine opowiedziała potem o tej rozmowie.

- Jestem zszokowany - wyraził się. - To nie do wiary.

Obiecał przejrzeć historię ustawy w poniedziałek rano i ustalić, czy prawodawca nie dyskryminuje adoptowanych członków rodziny na rzecz biologicznie spokrewnionych. Właśnie wychodził, kiedy zadzwonił telefon, powiedziała im „później”, i normalnie zostawiły go automatycznej sekretarce, ale coś go tknęło, że powinien odebrać.

Lorraine, która zdaniem Nory wyglądała tak, jakby w ogóle nie spała tego pierwszego weekendu, napisała list, który chciała rozesłać do wszystkich gazet, jakie jej przyjdą do głowy, na terenie stanu Wisconsin i poza nim, do stacji telewizyjnych i do Narodowej Organizacji Rodzin Adoptowanych oraz do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Razem mozolnie przestudiowali list raz jeszcze, wykreślając zwroty, które Lorraine się podobały, ale które, zdaniem Marka, mogły niepotrzebnie zaognić sytuację, między innymi „ohydna niesprawiedliwość”, „zepsute moralnie sądownictwo” i „ludzie, których Keefer prawie nie zna”.

- To nie jest prawda, że ona ich prawie nie zna - powiedział. - Zna ich bardzo dobrze. I musisz pamiętać, że oni uważają swoje działania za słuszne; nie usiłowali kopać pod nami dołków.

- Uważam, że usiłowali - broniła się Lorraine. - Skoro tak się uparli, żeby zatrzymać Keefer, dlaczego nie chciała jej żadna z córek Nye'ów?

- Wiadomo - odezwał się Gordon. — Caroline się rozwodzi. A Alison... myślę, że robi to, co każe jej mąż.

- Ale nie wiesz na pewno - przypomniał mu Mark.

- Nic nie wiem na pewno - odparł potulnie Gordon. - Już nie.

Komu jeszcze mogli przekazać swoje przesłanie? Lindsay Snow sugerowała agencje adopcyjne i witryny sklepowe. Czyż nie zrobili tak, kiedy organizowano turniej golfa, by zebrać pie-

niądze na walkę z rakiem? Natalie Chaptman przyniosła z kancelarii księdza Barry'ego aktualny wykaz parafian. Ich także dodano do listy adresatów. A tej niedzieli w kościele ksiądz Barry odczytał z ambony fragment listu.

- Gordon zdecydowanie potwierdza, że on sam, podobnie jak wszystkie adoptowane dzieci, dumny jest ze swego dziedzictwa i uważa się za równoprawnego członka rodziny. W zaistniałej sytuacji prawo uderza nie tylko w jedną rodzinę, ale także we wspólną instytucję, jaką jest tworzenie rodzin poprzez adopcję, a jest to więź częstokroć mocniejsza niż pokrewieństwo. - I ksiądz poprosił wiernych o modlitwę za McKennów, Nye'ów, Cadych i za sędzinę Sayward, „która powinna kierować się sumieniem”.

Po mszy najstarszy chłopak Soderbergów, ten, którego nazywano Corky, wstał i powiedział, że wiele osób zgłosiło się do banku, gdzie on zbierał datki na rzecz - jak się wyraził - „obrony”. Czy te czeki mają być wysłane do państwa McKenna? Czy też lepiej założyć fundację?

W poniedziałek, po trudnej rozmowie z Hayesem, Nora już o świecie zjawiła się u Marka i Lorraine. Godzinę później przybył Gordie; powieki miał zaczerwienione i zapuchnięte; przywiózł Keefer. Z bólem, niechętnie, Lorraine i Gordie szykowali się do szkoły. Mark im przypomniał, że muszą pójść do pracy, bo niewypełnianie obowiązków może zaszkodzić ich opinii.

Nora była sama, z telefonem w jednej ręce i z Keefer na biodrze, kiedy zadzwonił Phil Kay.

Biegły potwierdził, że jego kancelaria nie doszukała się żadnego powodu, by uznać prawo powstałe w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym za świadomie dyskryminujące adoptowane dzieci. Następnie wyjaśnił, że w podobnych przypadkach z tego samego okresu, gdy w grę wchodziła kwestia adopcji, uznano, iż prawa dzieci adoptowanych i biologicznych są zbieżne. Wobec tego on zaproponuje poprawkę, tak by brzmiała: „krewni biologiczni lub przysposobieni”. W jego odczuciu było to przeoczenie natury językowej, ponieważ prawodawca zakładał, podobnie jak McKennowie, że dziecko adoptowane staje się w pełni biologicznym krewnym, nawet jeśli nie w sensie dosłownym.

Należało się spodziewać, że sprawa zostanie rozpatrzona w ciągu roku, najdalej dwóch.

- Rok! -jęknęła Nora. - Ale my mamy tylko sześć czy siedem miesięcy. Potem oni zaadoptują Keefer.

- Wiem - odparł Kay współczująco. - Może moglibyście uzyskać odroczenie...

- Sędzina w ogóle nie weźmie tego pod uwagę - powiedziała Nora.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał członek zgromadzenia ustawodawczego. - Zastanowię się, jakie można podjąć kroki.

Podziękowała mu. I pomyślała, że to przecież nie może trwać latami. Prawo ciągle poprawiano, zwłaszcza pod wpływem różnych ludzkich tragedii. W Kalifornii chyba raz dziennie zmienia się prawo. Phil Kay nie jest jedynym członkiem legislatury na świecie. Trzeba zadzwonić do senatora... Jak on się nazywa? Hammersmith? Nora pełna była zapału, kiedy Gordon i jego rodzice wrócili do domu. Ale gdy powtórzyła im słowa Phila Kaya - rok, najdalej dwa lata - jej entuzjazm oklapł jak przekłuty balonik. Wszyscy zresztą byli przygaszeni.

Gordon wyjął Keefer z wysokiego krzeselka, zaniósł do holu i przyciskając do siebie, włożył jej nóżki w nogawki fioletowego kombinezonu i w botki z trzmielami.

- Mama - oznajmiła Keefer, machając do babci i ciotki.

- Mówi, że idą na cmentarz - Lorraine wyjaśniła Norze.

- Wielki Boże - sapnęła Nora. - Myślisz, że to dobre dla niej? Lorraine wzruszyła ramionami.

- Nie, myślę, że będzie miała bliźnę na całe życie. I mówię: trudno. Bo podobno jestem histeryczką, która usiłuje przedkładać własne pragnienia nad szczęście dziecka.

- To tylko jeden list, Lorraine, którego nawet nie mieli śmiałości podpisać.

- Może tak jest lepiej dla niej. Może wszyscy jesteśmy za bardzo pogrążeni w smutku... Może ona powinna zacząć od nowa.

- Nie sądzę, że powinniście się poddawać. Najgorsze, że inna rodzina może przejść przez to samo.

- Noro - westchnęła Lorraine. - Jesteś lepszym człowiekiem ode mnie.

- Nie, nieprawda.

- Owszem. Ponieważ nie myślę o innych rodzinach, które mogłyby przez to przechodzić. Myślę tylko o niej. A i o niej nie myślę aż tak bardzo, jak myślę o nas. Ktoś, kto napisał ten list, kto-

kolwiek to był, twierdzi, że Georgia prosiła k a ż d e g o , kto przyszedł ją odwiedzić, o opiekę nad Keefer. Do głowy by mi nie przyszło, że mogła chcieć, aby robił to ktoś inny niż Gordie.

- Spójrz na nich - rzekła Nora w zamyśleniu.

Zaczął padać śnieg. Wielkie mokre płatki przyklejały się do szyby frontowego okna. Jediną barwną plamą na tle mlecznego nieba był kiwający się kombinezon Keefer.

- Czy to nie wykapana Georgia? Ten pełen zdecydowania sposób, w jaki chodzi. - Ciarki jak ukłucia prądu elektrycznego przebiegły przez ramię Lorraine. Szturchnęła stos kopert, które rzucała na podłogę.

- O to chodzi! - zachnęła się. - Właśnie o to chodzi, Noro. Nikt nigdy nie myśli o rodzinie inaczej, tylko właśnie w ten sposób!

- O czym ty, na miłość boską, mówisz?

- Podobna do niego. Podobny do niego. Jesteś wykapany ojciec. Mark to skóra zdjęta z babci! - Lorraine zapalała się coraz bardziej. - Nie słyszycie własnych słów? - Norze aż odjęło mowę. - Za każdym razem, kiedy wchodzi Matt, syn Mike'a, ktoś mówi: „Ależ to przecież mały Mike!” A ktoś inny dodaje: „Ale Pete ma oczy po Debbie”. I wtedy jeszcze ktoś inny: „Nie, on raczej przypomina siostrę Debbie”. I tak dalej, bez końca. Nawet jeśli widziało się go tydzień wcześniej, zawsze ktoś musi skomentować, jak on bardzo przypomina kogoś innego w ich znakomitej rodzinie...

Czy ona też tak mówiła? Nora starała się sobie przypomnieć.

- Ale przecież nikt nie ma nic złego na myśli - powiedziała w końcu.

- A jak myślisz, co moje dzieci wtedy czuły? Wiesz, co czuły? Czuły się wykluczone; widziałam, jak Georgia odwraca wzrok... Georgia zawsze chciała być kochana. Starała się zadowolić ludzi: czy to byłam ja, czy jej koleżaneczki, czy też nauczyciele. A Gordon? On ani trochę nie jest podobny do nikogo z nas. Czasami takie gadanie wynikało z czystej bezmyślności. Wiesz, co powiedziała memu synowi żona doktora Slatera? Kiedy jej syn był w jednej drużynie piłkarskiej z Gordonem? A wiesz, jakoś trudno było mi sobie wyobrazić, żeby stary Slater był w stanie w ogóle zostać ojcem, i jak ona mogła sypiać z face-tem po sześćdziesiątce.

- M y jesteśmy po sześćdziesiątce, Lorraine - zauważyła Nora, starając się za nią nadążyć.

- No, ale wtedy nic byśmy! A ona była taką wredną snobką. Po meczu podeszła do mnie i do Gordiego i powiedziała: „Ewan chciał się pani spytać, dlaczego Georgia nie jest podobna do Gordona, chociaż są rodzeństwem. A ja mu na to odparłam, że adopcja to taka dobra rzecz, jaką niektórzy ludzie robią dla dzieci, które nie mają domu”. Noro, ja nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć. I wiesz, z czym ona wystrzeliła wtedy? Powiedziała: „No tak, Georgia w zasadzie mogłaby być państwem dzieckiem, ale Gordon - nie”.

- Aż trudno w to uwierzyć - powiedziała Nora. - Chociaż doktor Slater zawsze był dupą wołową.

- Och, Noro, zawsze tak jest. Świat to jedno wielkie lustro, ludzie pragną mieć dzieci, bo chcą mieć odbicia samych siebie... - Po chwili dodała: - To dlatego tak rzadko spotykaliśmy się z wami.

- Co?

- Trzymaliśmy się od was z daleka, Mark i ja, ponieważ po prostu nie mogliśmy tego znieść. Mieliśmy wrażenie, jakby nikogo nie obchodziło, co dzieci robią w szkole ani jak dorastają, bo jedyną wartością dziecka jest jego broda McKennów czy duże stopy Nordstromów. Czuliśmy się tak, jakbyśmy wnieśli coś nowego do rodziny i dla nas był to wielki skarb... a wszyscy mieli to w nosie! Myślę, że częściowo dlatego Mark był przeciwny adopcji. Wiedział, że wy tego nigdy tak do końca nie zaakceptujecie.

- Jeśli chodzi o pokolenie naszych rodziców, to prawda. Starsi ludzie byli wychowani w tradycyjny sposób. Jeżeli kiedyś kobieta nie mogła mieć dziecka, należało się z tym pogodzić; nie sądzię, żeby nasi rodzice kiedykolwiek znali jakieś adoptowane dziecko.

- Ale wy nie jesteście starzy i nie macie skostniałych poglądów. Wychowywaliśmy się w latach pięćdziesiątych. Adopcja była już czymś normalnym, kiedy dorośliśmy. Nam nie przeszkadzało, że jesteśmy inni, ale nie chcieliśmy, żeby nasze dzieci ciągle obrywały po uszach.

- I to dlatego?

- Tak.

- Myśleliśmy, że nas nie lubicie.
- Nie lubimy was? Noro, co za pomysł!
- Wcale nie taki dziwny - odparła Nora, myśląc, że skoro się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”. W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin wypowiedziała i usłyszała więcej przykrych słów niż przez dwadzieścia cztery lata. Niech więc tak będzie. - Zawsze zachowywałaś się tak, jakbyś chciała trzymać się na dystans...

- Nie rozumiesz, dlaczego? Nawet teraz? Cały świat uważa dokładnie tak jak ty. Sędzina Sayward też. Prawodawcy tak samo. Myślą, że dla nas dzieci to... goście w domu na osiemnaście lat.

- Jak mogło ci przyjść do głowy, że ja tak sądzę? - Nora wstała, Lorraine otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć. - Lorraine McKenna, gdybym uważała tak, jak powiedziałaś przed chwilą, czy byłabym tutaj? - Nora pomyślała o pomarańczowej bluzie Georgii, z rękawami jakby fruującymi, ogromnie wyciągniętymi. - Georgia była mi droższa nad moje własne życie. Możesz uważać nas z Hayesem za tępych wieśniaków. Jeśli w życiu powiedziałam cokolwiek, co mogło ją zranić, niech mi to będzie kiedyś policzone. Ale jeśli sądzisz, że kiedykolwiek umyślnie chcieliśmy zranić ciebie albo mego brata, albo wasze dzieci, to zaraz wstanę, pójdę stąd i już więcej nie będziecie musieli mnie znosić. Jeżeli nie to miałaś na myśli - to lepiej przyjmij do wiadomości, że ból jest obopólny i wystarczy go na całe życie.

Lorraine odwróciła się i spojrzała przez okno.

- Nawet nie widać cmentarza, taki gęsty śnieg pada - zauważyła.

- Ale jest ciepło. Nie zmarzną - odparła Nora. - Pada sobie. Śmiesznie byłoby, gdyby padał do góry? Pamiętasz, że Rob tak mówił? - Nora pomyślała, że jeśli nie spróbuje zażartować, to albo zaraz się rozpłaczę, albo wybiegnę z domu.

- Noro - powiedziała nagle Lorraine. - Nigdy nie uważałam was za tępych wieśniaków. Jesteście najmądrzejszymi wieśniakami, jakich znam.

Nora się zachnęła.

- I co więcej, jesteś... jesteś moją przyjaciółką. Jesteś moją rodziną. Gdybym inaczej myślała, nie byłabym dla ciebie tak niemiła jak przed chwilą. A Georgia cię kochała.

- W porządku, Lorraine, w porządku.

- To nie wszystko. Kochała cię tak samo mocno jak mnie. Sprawiałaś, że czuła się częścią rodziny. Noro, musisz mi wybaczyć. Ja nie... nie wiem, jak mam...

Kiedy znowu zadzwonił telefon, odebrała Nora. Była opanowana, choć w uszach wciąż dźwięczały słowa gniewu Lorraine, razem ze słowami uznania, słowami, których się obawiała, a które od trzydziestu lat miała nadzieję usłyszeć.

To, co usłyszała teraz, najpierw wprawiło ją w zakłopotanie, jak dalszy ciąg rozmowy już zakończonej, jakby obudziła się ze snu, a w głowie kłębiły się jeszcze śnione historie. Dzwoniła asystentka Phila Kaya, młoda kobieta, która głosem szczebioczącym i urywanym wyjaśniła, że ona też była adoptowana, podobnie jak jej dwaj bracia, i że w takiej sytuacji mogliby się znaleźć także ona i jej rodzice. I że Kay ma dość niezwykły pomysł - to jeszcze nic pewnego - mianowicie chce starać się o dodanie poprawki do innego prawa dotyczącego adopcji...

Potem obie, Lorraine i Nora, pobiegły przez śnieg, przez ulicę, na cmentarz, wołając Gordona, i to Nora dopadła go pierwsza i zdołała wykrztusić:

- Phil Kay chce wprowadzić poprawkę już teraz! Przed Bożym Narodzeniem!

- Kiedy? - spytał Gordon, zrywając czapkę z głowy. - Kiedy?

- Od tego czwartku za tydzień! - zawołała Lorraine. I wszyscy troje porwali Keefer i kręcili się z nią w kółko wśród ośnieżonych pomników nagrobnych i śniegu wypełniającego szczeliny i zakrętaszy imion i dat. Nora pomyślała później, jak niezwykle było to, że Gordon zyskał nowe szanse właśnie w tej chwili i w tym miejscu, gdzie od Georgii dzieliło ich nie więcej niż stopa.

14

Ostatni raz Gordon był w kapitole stanowym w ósmej klasie na wycieczce. On, Church i Sweeney ledwo mogli utrzymać otwarte oczy na skutek tego, że przez większą część nocy rzucali kostkami lodu z pokoju na siódmym piętrze hotelu Park Towers w głowy dziewczyn wychylających się z okien na szóstym piętrze.

Teraz wcale nie czuł się lepiej, gdy z matką przybyli tu punktu-

alnie o ósmej rano, ponieważ Phil Kay miał przedstawić zgromadzeniu ustawodawczemu poprawkę do zatwierdzenia. Oszołomie- ni radością tamtego wieczoru, gdy się o tym dowiedzieli, szybko otrzeźwieli po telefonie od Grega Katta, który powiedział, że uda- ło mu się uzyskać termin rozprawy w sprawie wstrzymania rozpa- trzenia wniosku Cadych o adopcję oraz odroczenia przekazania Keefer pod ich opiekę, dopóki nie odbędzie się posiedzenie sądu apelacyjnego. Nie dawał im zbyt wiele nadziei. Sędzina Sayward będzie bronić swego stanowiska, ostrzegł, a już raz odmówił wy- dania podobnego orzeczenia. Ale to było, twierdził Mark uparcie, zanim sprawa nabrała rozgłosu.

- Sędziowie nie lubią rozgłosu, zwłaszcza tego rodzaju - od- parł Katt, a wszyscy słuchali rozmowy przez głośnik. - Pewnie pani Sayward poczuła, że zrobiło się gorąco — ciągnął. - My jed- nak też będziemy się starali, i to ze wszystkich sił, by wygrać sprawę.

Powiedział, że rozprawa została wyznaczona na czwartek rano.

A oni w czwartek rano będą w Madison, by uczestniczyć w przedstawieniu przez Phila Kaya projektu poprawki.

Czy mają poprosić o inny termin?

Czy mają zaryzykować powodzenie nowej ustawy, nie zjawia- jąc się osobiście, w związku z czym sprawią wrażenie, że tak bar- dzo im na tym nie zależy?

Czy mogą nie pójść na rozprawę prowadzoną przez sędzinę Sayward, narażając się na posądzenie, że lekceważą jej postano- wienia?

Musieli pójść na kompromis. Mark miał zostać w domu z Kee- fer. Gordon i Lorraine wrócą do domu natychmiast po skończeniu składania zeznań w zgromadzeniu ustawodawczym.

Gordon nie miał pojęcia, jak powinno wyglądać takie zeznanie, obawiał się, że przekracza to jego możliwości.

- Nie jestem mówcą, mam - mówił z wahaniem, kiedy prze- jeżdżali przez małe miasteczka, nanizane jak koraliki na nitkę au- tostrady. - Lepiej jak ty opowiesz im wszystko, a ja będę stał obok i potwierdzał.

- Cały świat j u ż myśli, że oszalałam, Gordie - odparła Lor- raine. - Nawet moi przyjaciele twierdzą, że powinnam przestać udzielać wywiadów, ponieważ wygląda to tak, jakbyśmy starali się wygrać naszą sprawę za pośrednictwem prasy.

- Muszę sobie wszystko najpierw napisać.
- W końcu to twoje życie, Gordie. Niczego nie musisz pisać.
- Nie umiem mówić swobodnie.
- Codziennie to robisz w klasie. Wyobraź sobie, że masz przed sobą swoich uczniów.

Po raz pierwszy, odkąd był nastolatkiem, spał w jednym pokoju z matką. Kiedy wreszcie udało mu się zasnąć, Lorraine najpierw obudziła go chrapaniem, a potem usiadła, zapaliła światło i zaczęła grzebać w teczce z wycinkami prasowymi.

- Mamo, zlituj się! -jęknął i światło zgasło. Parę minut później usłyszał, że szuka czegoś w szafie. - Co robisz?

- Idę na spacer.
- Nie pójdziesz na żaden spacer w środku nocy w obcym mieście! - zaprotestował.

- Nic mi nie będzie, Gordie.

- Możesz zapalić światło. Mnie to nie przeszkadza.

Skończyło się na tym, że do świtu oglądali MTV. Lorraine nieustannie wygłaszała komentarze, jak obrzydliwie traktuje kobietę współczesna muzyka, same wyobrażenia tortur i sadyzmu, zwykły mizoginizm, tak że w pewnym momencie miał ochotę zaproponować, aby dla zabawy porzucali kostkami lodu przez okno. Kiedy wybiła szósta, zadzwonili do ojca, budząc Keefer, która wieczorem przecięła sobie palec, rozbiwszy w łazience słoik z kremem Lorraine.

- Czy bardzo się skaleczyła?! - zawołała Lorraine, robiąc znak krzyża.

- Nie wygląda groźnie, choć sporo krwawiła - odparł Mark.

- A gdzie ty byłeś, kiedy to się stało? - spytała Lorraine. Zajmował się Keefer, wyjaśnił Mark spokojnie.

- Tak się zajmowałeś, że się skaleczyła?! - rozgniewała się Lorraine.

- Nie denerwuj się, Lor - uspokajał Mark.

Życzyli sobie wzajemnie powodzenia.

Gordon nic nie napisał i odczuwał mdłości, kiedy przed siódmą pierwsi weszli do hotelowej jadalni. Choć ustawa przewidywała też klauzule skracające czas przejścia przez całą tę biurokrację dotyczącą rodziny zastępczej w nadziei na szybsze zapewnienie rodzinnego domu, media rozprawiły jedynie o „sporze o pokrewieństwo biologiczne”. Dzień przed wyjazdem Lorraine i Gordo-

na do Madison McKennowie przerzucali wszystkie trzy kanały, słuchając ze sztucznym spokojem, jak blondynka w telewizorze oznajmiała śpiewnie:

- Rodziny adopcyjne w całych Stanach Zjednoczonych będą mieć jutro oczy zwrócone na Wisconsin, jako że być może właśnie nasz stan pierwszy zabierze zasadniczy głos w kwestii adoptowanych dzieci, co doprowadzi wreszcie do uznania, iż mają one pod każdym względem równe prawa. Dla jednej rodziny perspektywa poprawki do prawa numer sześćset ma wielkie znaczenie. Bolesna historia państwa McKenna z Tall Trees w stanie Wisconsin zaczęła się kilka miesięcy temu...

Ostatnie dni zahartowały ich i złagodziły nieprzyjemny dreszcz, jaki poczuli po raz pierwszy, kiedy w dzienniku zobaczyli swoje taśmy wideo; ojciec Gordona jednak wyłączył głos, kiedy pokazywano kawałek z Georgią czytającą *Green Eggs and Ham*. Nie byli w stanie znieść. Czy rzeczywiście Georgia miała rację? Pokazanie jej Keefer takiej, jaka była wtedy, byłoby okrucieństwem; to zupełnie jak żałosna wiktoriańska ballada o mamusiach-aniołkach i porośniętych różami grobach. Nawet wyłączywszy głos, wszyscy wiedzieli, kiedy materiał zaczynał przedstawiać „spór”, gdyż kamera skierowana była na Delię i Craiga.

Wreszcie tuż przed ósmą Gordon znalazł się w okrągłej sali i czekał na matkę, która poszła podciągnąć pończochy w bocznym korytarzu. Przyglądał się kopule, na której wymalowano alegoryczne renesansowe damy, unoszące się wśród bujnej roślinności. Była tam alegoria stanu Wisconsin, otoczona przez personifikacje jeziora Michigan i Superior oraz rzeki Missisipi, zmysłowe boginie, trzymające namalowane w romantycznej manierze towary, takie jak ołów i tytoń. Już jakiś czas reporterka goniła za nim, kiedy ją zauważył. Z równowagi wyprowadziło Gordona to, że jego zdenerwowanie zarejestrował na taśmie kamerzysta, brodaty olbrzym w skórzanej czapce.

- Widziałem panią niedawno w telewizji - oznajmił Gordon, a kiedy kobieta lekko się skrzywiła, pomyślał: rany, pewnie nikt jej tak jeszcze nie powiedział!

- Ja też widziałam pana w telewizji - odparła. - Joy Bell z Channel Four News.

- Zgadza się. «

- A pan jest Gordon. Jak pan myśli, czego możemy się dzisiaj spodziewać?

- Nie mam pojęcia - odparł Gordon, owładnięty nagłym pragnieniem, żeby pomachać ojcu siedzącemu w domu. - To znaczy, liczymy, że Zgromadzenie starannie rozważy tę ustawę, ponieważ ma ona ogromne znaczenie dla wielu ludzi, nie tylko dla nas.

- Pani MacNamara - dziennikarka odwróciła się w momencie, gdy Lorraine weszła do sali głównej. - Pani też jest niezadowolona?

- McKenna - poprawiła ją Lorraine. - Dlaczego mam być niezadowolona? Wręcz przeciwnie, wdzięczna jestem, że nasz przedstawiciel, pan Phil Kay z Merrill, podjął się wystąpienia w obronie adoptowanych rodzin. Jak sam powiedział, już dawno należało się tym zająć.

- Będzie pan mógł nareszcie adoptować swoją siostrzenicę, panie McKenna?

- To długotrwały proces. Jesteśmy w trakcie apelacji od decyzji sędziny Sayward, co może potrwać kilka miesięcy, a dopiero wtedy, kiedy odniesiemy sukces...

- Dziękuję bardzo - zakończyła reporterka.

- Kolejny przykład błyskotliwego dziennikarstwa - mruknęła Lorraine. Była wściekła, kiedy w niedzielnym wydaniu „Milwaukee Journal” ukazał się dwustronicowy artykuł, zatytułowany „Rodzinna tragedia”, w którym cytowano wypowiedź Lorraine, że czuje „nienawiść” do Cadych.

- Wcale tak nie mówiłam - tłumaczyła zaskoczona Lorraine Gordonowi. - Powiedziałam, że nienawidzę tego, co się stało, że nienawidzę myśli, że Keefer musi przechodzić przez to wszystko. Zadzwońię do tej baby. - Ale reporterka zostawiła wiadomość następnego ranka, beztrąsko zarzekając się, że sprawdziła swoje notatki i że pewna jest tego, co sobie zapisała, a przy okazji niech w popołudniowym wydaniu przeczytają wywiad z Raymondem Nyem Senioirem.

„Nie czujemy nienawiści wobec nikogo - zacytowano dużego Raya. — Wiemy jedynie, co jest najlepsze dla tego dziecka. I sąd też to wie. Nie widzę tu związku z kwestią adopcji. Chcieliśmy jedynie spełnić życzenie naszego syna, a także jego żony, która pragnęła tego samego. Mamy na to dowód. Tak właśnie postąpiliśmy. Zgodnie z ich wolą”. Obok widniało zdjęcie dużego Raya,

przypominającego smutnego baseta, i Raya nie tak dawno składającego *putter** na polu Knockout.

Tego dnia w szkole dyrektor Gordona zauważył:

- Zdrowo baba namieszała, nie? - A zaskoczony Gordon, tylko skinął głową.

Teraz, trzymając się razem jak dwoje dzieci na ruchliwym przejściu ulicznym, Lorraine i Gordon ruszyli w stronę sali obrad: po drodze otoczyło ich kilkunastu innych reprezentantów stanowych - wśród nich był Phil Kay - życząc im szczęścia i wyrażając swoje poparcie. Kay przedstawił ich następnym, identycznie wyglądającym jasnowłosym mężczyznom. Byli to prawnicy, autorzy ustawy, do której miała być dodana poprawka Kaya.

- Teraz nikt nie pamięta o miesiącach naszej pracy - dodał Kay żartobliwie. - Wszyscy wiedzą natomiast o udziale waszej rodziny!

- Za to nigdy nie zapomnimy, że ta ustawa ułatwi życie rodzinom takim jak nasza - powiedziała Lorraine. Gordon pomyślał: moja matka powinna sama kandydować w najbliższych wyborach.

Następnie Phil Kay wprowadził Gordona na salę i środkowym przejściem doszli do podwyższenia. Wyregulowano mikrofon, Gordon, bojąc się, że dostanie czkawki, odczekał wypowiedź Phila Kaya, a potem zaczął:

- Moja siostra Georgia nazwała swoją córeczkę w pewnym sensie na moją cześć. Kiedy byłem mały, wiedziałem, że pełne imię i nazwisko mojej siostry brzmi Georgia O'Keefe McKenna, przez dwa „f”, ale nie potrafiłem wymówić jej imienia, więc ja... - Spojrzał na matkę, zobaczył ledwo dostrzegalne potwierdzenie i ciągnął dalej, opisując chorobę Georgii, cierpienia Raya, podkreślając, jak wiele razy Georgia prosiła go, żeby opiekował się Keefer i pomagał Rayowi zajmować się dzieckiem.

- Wiem, że mówiła to samo wielu krewnym i przyjaciołom. Ale to coś innego... - Zaczepnął tchu, starając się opanować drzenie głosu. - To coś innego, kiedy mówi tak starsza siostra. Wtedy człowiek na pewno zrobi to, czego ona chce, prawda? - Słaby śmiech. - Kiedy jedyna siostra prosi o coś takiego, traktuje się to serio. A Georgia była moją siostrą niezależnie od tego,

* Putter - rodzaj kija golfowego.

co twierdzą sędziowie. Albo prawo. Mam nadzieję, że w waszych sercach rozważycie starannie, co należy zrobić, by uczynić język prawa jednoznacznym, ponieważ ten okres w naszym życiu był... bardzo trudny. I naprawdę przeraża mnie, że pewnego dnia Keefer mogłaby sama przechodzić przez coś podobnego. Tak czy inaczej, cokolwiek wydarzy się dzisiaj, nie będzie to znaczyć, że stałem się w większym stopniu synem moich rodziców, niż jestem teraz. Jestem synem Marka McKenny. Jestem synem Lorraine McKenny. Na mocy prawa i na mocy pokrewieństwa. - Usiadł. Lorraine szturchnęła go. Gordon zerwał się na równe nogi.

- Dziękuję - powiedział.

Phil Kay wskazał wielkie świetlne tablice, które zajmowały w całości dwa kąty sali; na każdej z tablic widniało dziewięćdziesiąt dziewięć nazwisk, a przy każdym nazwisku czerwone i zielone światełko. Zielone, powiedział im, oznacza: tak, czerwone... to oczywiste. Wstał przewodniczący izby i do głosowania w sprawie ustawy numer sześćset wezwał wszystkich: i tych, którzy są za, i tych, którzy są przeciw. Patrzyli na tablice; ożyły najpierw jednym światełkiem, potem dziesięcioma, następnie pięćdziesięcioma, a wreszcie, wydawało się - setkami zielonych światełek.

I tylko jedno czerwone.

Phil Kay machał ręką, a Lorraine oparła głowę na piersi Gordona. Klepano ich po plecach, gdy między rzędami zmierzali w stronę wyjścia. Jeden z obecnych, kiedy go mijali, podniósł się i zaczął klaskać. Wszyscy wstali, a odgłos uderzania w dłonie przypominał rześisty deszcz.

- Dobra robota! - zawołał ktoś.

- To zaledwie pierwszy krok - powiedział Phil Kay, kiedy wyszli na ulicę - ale udany. Teraz sprawę przejmie senat. Nie przewiduję tam problemów. I mogę zapewnić, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by nakłonić gubernatora do jak najszybszego podpisania. Wesołych świąt, moi drodzy!

Jazda autostradą stanową przy stale pogarszającej się pogodzie nieco pomogła Gordonowi stłumić niepokój, ale kiedy mijali Dells, Plainfield i Steevens Points, znów zaczął się denerwować wynikiem rozprawy. Dlaczego nie zadzwonili do taty? Wreszcie skręcili w Cleveland Avenue. Gordon rozglądał się, szukając śladów świętowania. Trąbek. Czapek. Dzwonków. Ale nic się nie po-

ruszało, z wyjątkiem Mary Dwors, która pomachała im na powitanie, wychylając się przez drzwi po gazetę. Dom rodziców był cichy, story miał zasunięte.

Niemal rozpłakał się z ulgą, gdy drzwi otworzył Mark z Keefer na rękę. Ktoś - jak podejrzewał Nora - związał jej puszyste włoski w dwa kucyki za pomocą gumek. Na każdej z nich była czerwona i zielona kuleczka.

- Widzę po waszych twarzach - rzekł Mark ze znużeniem - że poszło świetnie.

A oni z jego twarzy mogli wyczytać, że tutaj, w sali sądowej sędziny Sayward, wcale nie poszło świetnie.

- Sędzina wstrzymała adopcję - powiedział im - ale odmówiła zmiany prawnego opiekuna. To znaczy, że tamci ją zabierają. Słuchaj, Lor - rzekł, kiedy Lorraine porwała w ramiona Keefer. - To nie jest taka zła nowina. Orzekła, że nie mogą wszcząć procedury adopcyjnej, dopóki proces apelacyjny się skończy. I przyznano nam prawo do wizyt, jeden weekend w miesiącu.

- Kiedy po nią przyjadą? - spytała Lorraine.

- Powinni już tu być - westchnął Mark. - Delia właśnie dzwoniła.

- Nie dzisiaj - powiedziała Lorraine, a jej głos przeszedł niemal w skowyt. - Nie dzisiaj! Nie dzisiaj!

- Gordie - poprosił Mark. - W naszym pokoju w szufladzie są buteleczki z pigułkami. Przynieś je.

- Które, tato?

- Jakiegokolwiek, synu.

- Nie ma ich, Mark. Już ich tam nie ma. No może coś jeszcze zostało. Ale i tak nie potrzebuję niczego — powiedziała Lorraine, głaszcząc Keefer, która jedną rączką też głaskała babcie, a drugą delikatnie drapała smugi tuszu na jej policzkach. - Nie martw się, Keefer. Wszystko będzie dobrze.

Patrzyli na przesuwające się wolno wskazówki zegara. Kwadrans po trzeciej. Trzecia trzydzieści. Gordon pomyślał w przypływie nadziei, że może pogoda opóźni przyjazd Cadych. A może zawrócili, zrezygnowali.

Usłyszeli trzask zamykanych drzwi samochodu i Craig Cady stanął na werandzie.

- Nie pójdzie do pana - oznajmił Mark spokojnie.

- Pójdzie - odparł Craig, wyciągając ręce. Keefer się skuliła.

- Nie włoży jej pan kombinezonu? - spytała Lorraine. - Chce ją pan wynieść na śnieżycę bez kombinezonu?

- Dobra! - Craig, był zarumieniony, spocony, nieszczęśliwy; Gordon niemal poczuł do niego litość. Craig zawołał przez ramię: - Alex! Alexis!

Poskutkowało. Na widok rudowłosej dziewczynki Keefer zaczęła robić kosi kosi łapci, pokazując przy tym małe białe ząbki i posyłając całusy.

- Może ja ją wezmę? - zaproponowała Alexis. - Mogę ją wziąć, panie McKenna? - spytała Gordona.

Razem z dziewczynką ubrali Keefer w kombinezon. Gordon słyszał dobiegający z tyłu, z kuchni, zdenerwowany, ostry głos Lorraine:

- Nie weźmie pan jej łóżka? Nie spyta pan, czym ona się najchętniej bawi? Co ona je? Na miłość boską, macie zamiar wieźć ją do Madison w taką pogodę? Podobno tak bardzo ją kochacie!

- Ma u nas wszystko, czego jej potrzeba - odpowiedział Craig. - Niech pani da spokój, dla nas to też niełatwe. Nie jesteśmy waszymi wrogami. Modlimy się za was.

- Módlcie się za s i e b i e ! - warknęła Lorraine.

- Alex - szepnął Gordon - pójdz tam na chwilę i powiedz swemu... ojcu, że ja...

- To mój ojczym - odparła Alexis, także szeptem.

- No to powiedz Craigowi, że chcę z nią zostać na chwilę sam.

- Pomyśli, że chce pan z nią uciec, jak oni na Florydzie.

- Nie ucieknę.

Nie zastanawiał się dotąd, jak to zrobi, jak tego dokona, jak się z nią rozstać. I powiedział sobie, że to jest głupie; przecież nie wyrzeka się Keefer. Dzisiaj, dzięki zwycięstwu, zrobili pierwszy krok w stronę zmiany, która musi zaważyć na decyzji sądu apelacyjnego, nawet jeśli sędziowie liczą się przede wszystkim z istniejącym prawem, a nie z tym, które może obowiązywać w przyszłości. Przypomniał sobie, że Georgia na tyle ceniła Delię, że poprosiła ją na starościny wesela. Na pewno będą dbać o dziecko Georgii. Dziecko Raya.

Keefer wiała się, szarpała kombinezon, usiłując podrapać się w jakieś swędzące miejsce. Gordon wziął jej rączkę i pocałował. Wyrwała mu. Schowała ręce za siebie.

- Ile mam tu kaczuszek? - spytał, podnosząc jedną rękę z pal-

cami złożonymi jak dziób i kwacząc z zapałem. Keefer pokazała drzwi, za którymi zniknęła Alexis. - No dobrze, Keefster - powiedział Gordon. Wymyśl coś mądrego, właśnie teraz, nakazał sobie. - Wiesz, kocham cię.

- Dory - odparła Keefer wyraźnie.

- Dory kocha cię tak bardzo. - Dziecko natychmiast podniosło obie ręczki nad głowę i zamachało paluszkami. - O właśnie. Tak bardzo.

Zobaczył plaster, mały zielony pasek w kształcie kredki, i przypomniał sobie opowieść o skaleczeniu poprzedniego wieczoru.

- Pokaż mi swoje kuku, Keef - powiedział i ściągnął plaster. Keefer pisnęła. Ranka była dość spora, ale już prawie zagojona. Dzieci mają system immunologiczny tytanów. Ale w kąciuku, tam gdzie strupek jeszcze nie zasechł, pokazała się kropelka krwi.

Gordon delikatnie podniósł mały paluszek i dotknął go językiem.

15

- Dzisiaj przerabiamy dobór partnera - powiedział Gordon.

Klasa zachichotała z aprobatą.

- Jesteś mój, Reilly - wrzasnął Eddie Carlson i zagwizdał. - Cały mój!

- To ja będę mieć Kelly! - zarechotał Kye Olstadt.

Twarz Kelly Rafferty pokryła się szkarłatem rozchodzącym się od nosa na zewnątrz, a Gordon zadał sobie pytanie, czy może już Kye ją miał.

Była bardzo podobna do matki. Alicia okazała się najlepszą przyjaciółką na świecie. Przysłała mu przez Kelly wielki bukiet gerber kolorowych niczym papugi, kiedy senator Hammersmith zgodził się poprzeć ustawę w senacie, gdzie przeszła, i to nawet jednogłośnie. Przy odrobinie szczęścia gubernator podpisze ustawę przed rozprawą apelacyjną. Obaj, senator i Phil Kay, napisali do niego z prośbą o szybkie działanie.

Wszystkie wiadomości były dobre.

Ale Gordona ogarnął dziki lęk.

W ramach pokuty i z dobrowolnej gorliwości, starał się prze-

mienić w pana Chipsa* cierpliwego, dobrodusznego, krótko mówiąc, doskonałego nauczyciela. Było to zobowiązanie pasujące do nowenn ciotki oraz obfitej korespondencji matki, krajowej i zagranicznej, a także do jej licznych przesądnych rytuałów. Lorraine unikała spoglądania na księżyc w nowiu przez ramię i przez szybę, zdejmowała kapelusze leżące na łóżkach, wychodziła tyłem z domu, jeżeli musiała wrócić po coś, czego zapomniała, i nieustannie stukała w drewno palcami, a potem dotykała nimi ust. Była jak babcia Lena do czwartej potęgi. Ale pod nieobecność Keefer nie mieli wiele do roboty, więc wszyscy stali się przesądni i posepni. Gordon po nocach brzdąkał piosenki Erica Claptona i Phila Ochs'a, co kończyło się przeważnie tym, że torturując samego siebie, grał *Puffa, magicznego smoka*.

Miał to, czego zawsze tak bardzo pragnął: absolutną samotność.

Liczyli na to, że będą mieć Keefer na Boże Narodzenie, ale Delia zadzwoniła dzień przed Wigilią i poinformowała szorstko, że Keefer ma infekcję w uchu. Jej zdaniem powinna zostać „w domu”. Keefer już zaczynała się orientować, że święta oznaczają słodycze i zabawki.

- Ponieważ uważamy, że to Chrystus jest właściwym powodem tego święta - oznajmiła Delia matce Gordona - nie mamy świętego Mikołaja ani prezentów, ani nic w tym rodzaju. Ale przynajmniej mała pójdzie na mszę, a to takie cudowne: dzieci w chórze przebrane są za aniołki, naprawdę jest pięknie!

Natomiast byłoby możliwe, powiedziała potem Delia, by McKennowie zabrali Keefer na kilka dni zaraz po Nowym Roku. Keefer powinna być w domu podczas obchodów Nowego Roku. I w kościele. W Madison.

Lorraine - uprzejmie, jak kategorycznie później twierdziła - przypomniała Delii, że w tym właśnie tygodniu zaczynają się lekcje, więc oboje z Gordonem będą codziennie chodzić do pracy.

- No to poczekamy z wizytą do następnego miesiąca — odparła Delia. - Może przyjechać do was w lutym.

Wściekła Lorraine zatelefonowała do Grega Katta. Zachować spokój, doradził. Zachować spokój i nie robić trudności. Powie-

* Bohater filmu *Goodbye Mr. Chips* o nieśmiałym dyrektorzce szkoły, całkowicie oddanym swoim uczniom do momentu poznania pewnej młodej kobiety.

dział, że Stacey Kane i Charley Borchart mieli właśnie wystąpić o apelację. Żadnych zadrażnień. Myśleć o przyszłości. Mają być najbardziej zgodnymi ludźmi na świecie.

Boże Narodzenie upłynęło zatem - delikatnie mówiąc - w minorowych nastrojach. Stos prezentów, które zwykle wysypywały się spod choinki i docierały aż do holu, zmniejszył się znacznie, kiedy upominki przeznaczone dla Keefer wystali do Madison, a jej skarpeta, którą Nora zrobiła na drutach zaraz po urodzeniu dziewczynki, smętnie zwiisała na kominku, przyciągając wszystkie oczy jak niemy wyrzut. Kiedy z Georgią podrosli trochę i mieli za sobą fazę rozwoju charakteryzującą się żywiołową zachłannością... po skończeniu lat, powiedzmy, jedenastu, Gordon uważał świąteczny obłęd matki za mocno przesadzony i wręcz żenujący. Marzył o czasach, kiedy matka będzie zabraniała im patrzeć, jak ona porusza trzema królami - ręcznie wyrzeźbionymi na Węgrzech i poświęconymi przez jakichś bliżej nieznanym, pobożnym Węgrów - przybliżając ich o ułamek cala do stajenki (Georgia w dzieciństwie nazywała Trzech Mędrców Trzema Mądralami). W czasach college'u i później miał własne wyobrażenie Bożego Narodzenia w stylu Manhattanu: dorośli popijają drogiego szampana i skubią ostrygi, wymieniając między sobą zaledwie kilka, ale za to luksusowych przedmiotów wykonanych z chromowanej stali. Tymczasem matka i Georgia wołały koszulki z nadrukowanymi rodzinnymi zdjęciami, krasnalowe czapki z dzwoneczkami oraz sprzęt sportowy w ilości wystarczającej do wyposażenia własnej sali gimnastycznej.

Oczywiście, jasna cholera, brakowało mu tego teraz, tej całej obfitości! Szczerze więc ucieszyła go propozycja pojechania przez lasy i wzgórza do Nory, gdzie razem z kuzynami - po skonsumowaniu straszliwych ilości wszelkich możliwych, podnoszących poziom cholesterolu potraw - grali w piłkę na podwórzu, żłopali piwo Labatt, klęli potężnie, bawili się z psami, krótko mówiąc, zachowywali się jak na ludzi z Wisconsin przystało, a Gordon ani przez moment nie musiał niczego udawać. Pieprzyć chromowane święta! Czuł się bezpieczny, był wśród swoich.

Tej nocy spał w swoim starym łóżku w domu rodziców i śniła mu się dorosła Keefer: wsuwała długie, mocne palce w obcisłą skórzaną rękawiczkę, a *on* swoją ręką pomagał jej wygładzić skó-

rę. Kiedy się obudził, myślał o tym, jak to kiedyś rano odwrócił się w trakcie golenia i zobaczył, że dziewczynka rozsypuje płatki ryżowe z miseczki, używając łyżki jako katapulty. Zanim zdążył do końca sprzątnąć płatki, przyłapał ją na wycieraniu okien chusteczkami, a gdy zabrał jej chusteczki i schował do pudełka, włożyła jego buty i usiłowała w nich chodzić, po czym się przewróciła, głośno płacząc. Mała buzia, gdy ośmielił się czegoś zakazać, była jednym wielkim przedstawieniem; Keefer padała na kolana, przyciskała rączki do twarzy, usta otwierała szeroko w cichym krzyku i przez godzinę, a może dłużej - nawet jeśli oddał jej chusteczki czy coś innego, czego się akurat domagała - nie chciała w ogóle na niego patrzeć. Mark nazywał jej pełne determinacji ignorowanie dorosłych „unikami”. Mówił, że ta buntowniczość to wypisz, wymaluj Georgia.

Gordon miał teraz mieszkanie dla siebie, ale cały leniwy luksus starokawalerstwa przepadł na dobre.

Kiedyś sprzątał tak, jak sprząta samotny mężczyzna, żeby zapobiec powstaniu nowych gatunków, a nie po to, by przejść pomyślnie test białej rękawiczki. Teraz, w pierwszych dniach po odjeździe Keefer, okazało się, że nie potrafi przestać sprawdzać ciągle, czy wszystkie powierzchnie, znajdujące się na wysokości dwóch stóp od podłogi, są idealnie czyste. Keefer miała dziecięcą zdolność znajdowania w każdym miejscu mikroskopijnych cząsteczek, zbierania ich i pchania do buzi, a teraz on sokolim wzrokiem ogarniał wszystko, jakby ona wciąż tu była, gotowa do akcji.

Po jakimś czasie jednak do głosu doszła druga skrajność. Gordon popadł w depresję. Na środku niskiego stolika pojawiły się obok siebie: wzmacniacz gitary, butelki z wodą, zegarek, który dostał od rodziców na święta; elektryczny śrubokręt, nawleczona igła i podarta koszula, przygotowana do zeszyca; kilka zwiniętych w kłębki skarpetek, którymi miał zamiar rzucać do plastikowej obręczy umocowanej bez sensu nad drzwiami wejściowymi; papierowy karton groteskowo zestarzałej warzywnej chińszczyzny i gazety do posegregowania, przyciśnięte puszką proszku antygrzybiczego. Na kanapie rozsiadło się pranie - czyste po lewej, brudne po prawej. Nie musiał już karcic psotnego chochlika biegącego co sił, by radośnie porzucić jego koszulki i slipy. Rzadkie obecnie zamiatanie pod łóżkiem odkrywało bolesne relikty:

dzwoniącą bransoletkę, należąca jeszcze do siostry, jeden niebiesko-zielony bucik, skarpetkę z ćwierkającymi ptaszkami, maszerującymi wokół kostki, Barbie, której szczeniaste włosy pewnego sobotniego wieczoru zapletli w mnóstwo francuskich warkoczów.

Całą energię, jaką mógł z siebie wykrzesać, oddawał uczniom, przy czym stanowiła ona jedną czwartą tego, co był im winien.

- Każdy powinien mieć cztery karty - powiedział Gordon w klasie kilka dni potem, gdy wrócili do pracy po zimowych feriach i otrząsnęli się z wakacyjnego szoku. - Dwie oznaczone literą A dużą i dwie - małą. Pomieszajcie karty i połóżcie je przed sobą tak, by były zakryte. - Włączył odtwarzacz kompaktowy. Popłynęły dźwięki *Love Shack* w wykonaniu B-52s.

- Teraz weźcie górną kartę ze stosu i dobieramy się. Wybierzcie sobie partnera - polecił Gordon.

Chłopcy pochylali się do siebie; dziewczęta instynktownie zbliżyły się w grupki.

- No dobrze, dobrze - pochwalił Gordon. - Wybierajcie partnerów. I pamiętajcie, że nikt nie może dobierać się z tą samą osobą dwa razy. Tu chodzi o wynik doświadczenia. No już, moi państwo. To zazwyczaj nie trwa długo, zwłaszcza w waszym wieku. - Przy akompaniamencie wybuchów śmiechu wyjaśniał dalej: - Jak wiecie, każda karta przedstawia allel. Geny, które decydują o danej cesze, jak na przykład brązowe oczy, mogą występować w dwóch lub więcej formach, zwanych allelami.

- O przyciąganiu decyduje przede wszystkim bliskość - powiedział Carlson do Perry Kistler. - A my mieszkamy po sąsiedzku od lat. Kistler, myślę, że jesteście stworzeni dla siebie.

- Zobaczmy, co wam wyszło... z rozmnażania... moi uczeni - Gordon starał się żartować. - Rozglądam się dookoła i muszę przyznać, że odczuwam pewną troskę...

W pierwszej turze karty rozłożyły się mniej więcej równo; wiedział, że tak się stanie.

- I cóż my tu mamy, panie Carlson?

- No więc moje dzieci mają duże A, duże A... dominuje homozygota - powiedział chłopiec. - To znaczy, nic w tym złego, takie po prostu są. - Wybuch śmiechu.

Przeszli do drugiej tury. Barry White na płycie kompaktowej zapewniał swoją ukochaną o trwałości ich uczucia.

- Nie ma pan Steppenwolf, panie McKenna?! - zawołał jeden z uczniów. - Skonać można od tej muzyki.

- E tam, niezła jest! ofuknął go inny. - Taka lekka muzyczka sugeruje, że czas zsunąć szelki.

- Nie rozumiem tego - poskarżyła się Kathy Zurich.

- Przedtem rozumiałaś - dogryzał mały Woffling.

- Nikt tego nie rozumie - powiedział Gordon po chwili. - Nauka genetyki przypomina teorię względności, bo jest tu tak wiele ślepych uliczek i wyraźnych sprzeczności, że i biologom sprawiają kłopot. Śpieszę wyjaśnić, że sam nie usiłuję wszystkiego rozumieć. Nawet Grzegorz Mendel, który był ojcem podstaw całej genetyki, nawet braciszek Mendel...

- Ten od hip-hopu - wtrącił Carlson.

- Nie, zakonnik. Nawet Mendel poddał się zrozpaczonej, kiedy to, co sprawdziło się w doświadczeniu z groszkami, zupełnie nie zdawało egzaminu z innymi roślinami, które też próbował krzyżować. Zrezygnował i zajął się administracją.

- Pan też powinien zrezygnować i zająć się administracją - powiedziała Kathy. - To nie jest jasne. Czy mogę nie robić tych obliczeń, jeśli dodatkowo popilnuję panu dziecka?

W klasie zapadła cisza. Gordon usłyszał głos syreny dobiegający gdzieś z zachodu, z okolicy domu rodziców.

- Zamknij się! - ofuknął ją Carlson.

- Przepraszam - szepnęła Kathy. - Nie pomyślałam. Zapomniałam, że ona wyjechała.

- Nie szkodzi - ciągnął Gordon. - Teraz już wiecie, że ze wszystkich gatunków człowiek jest jedynym stworzeniem, którego nie dotyczy dobór naturalny. Inaczej mówiąc, u ludzi niedobre geny przekazywane są dalej. I nie mam na myśli ciebie, Carlson. - Śmiech. - No dobra, moi drodzy, posłuchajcie. Odpowiednim przykładem może być dziecko urodzone z fenyloketonurią, chorobą polegającą na poważnym zaburzeniu przemiany aminokwasów. Jeżeli taka przemiana nie zachodzi, metabolizm dziecka jest zaburzony, a ono samo będzie upośledzone i w rezultacie umrze.

- Ua, to obrzydliwe! - jęknęła Melinda Galio.

- Tak też uważają lekarze robiący badania okołoporodowe. Więc zaraz po urodzeniu dziecka robi się analizę moczu, żeby sprawdzić, czy odpowiedzialny za to allel nie jest wadliwy - wyjaśniał Gordon. - Jeżeli tak jest, dziecku zapewnia się specjalną

dietę i pomoc terapeutyczną przez całe życie, dzięki czemu może ono normalnie funkcjonować. I co się dzieje dalej?

- Dorasta - odpowiedział Carlson.

- On lub ona dorasta i znajduje partnera - potwierdził Gordon. - W rezultacie może połączyć się z innym osobnikiem mającym recesywny allel, który znowu się ujawni. I potem wystąpią cechy genetyczne, które nie powinny być przekazywane dalej. Teraz, na jednym końcu skali znajdują się wspaniałe zjawiska, takie jak wielki fizyk Stephen Hawking i Ludwig van Beethoven, który też był upośledzony...

- A na drugim końcu takie zjawiska jak Carlson - wyrwała się Kye Olstat. - A czy piegi też są uwarunkowane recesywnym genem?

- Przejdźmy do etapu trzeciego. Zauważycie pewne zamiany w rozłożeniu cech - ciągnął Gordon płynnie. - Teraz więcej osobników z waszego potomstwa ma recesywne geny pewnej cechy, nawet jeśli wygląd, czyli fenotyp, tego nie ujawnia. No i mogą oni przekazywać te cechy dalej... Uwaga! - Włączył *Patience Guns N'Roses*.

- Niezłą ma pan tu płytotekę, panie McKenna - zauważył Dennis Reilly.

- Jestem taaaka dominująca! - Dobiegło od strony Kelly Rafferty.

- Posłuchaj, Olstadt, nikt nic nie mówił o miłości - przekonywał Ben Jones.

- Powiedz, że zadzwonisz, koniecznie powiedz, że zadzwonisz - przypomniał im Gordon fałsetem.

- Oto potomek! Jestem na sali porodowej! A gdzie łożysko? - spytał Reilly. - Skoro mowa o łożyskach - gdzie jest pańskie? Mój brat Neil mówił, że ma pan prawdziwe łożysko. Skąd je pan ma? Ze szpitala?

Gordon nie dał się sprowokować.

- Wprawdzie nie miałem zamiaru go dziś pokazywać - powiedział - ale gdy dokończymy dobór partnerów, wtedy porozmawiamy.

Tak naprawdę przygotował specjalną torbę na odpady biologiczne, żeby wyrzucić łożysko. Posiadanie go było powodem szczęścia jeszcze pod koniec zeszłego roku, teraz wydawało się bluźnierstwem. Połowa ttgo rumianego organu, niegdyś tak waż-

nego, a obecnie służącego tylko do pokazów, żywiła Keefer. Połowa pochodziła od jego siostry. Popatrzył na dzieci chichoczące i wykrzykujące coś nad kartami, potem wolno otworzył lodówkę, wyjął stalową tacę z łożyskiem, wciąż na niej leżącym, i postawił na stole laboratoryjnym.

- W zeszłym roku, kiedy urodziła się moja siostrzenica - zaczął - zapytałem siostrę, czy mogę je zachować. Pal sześć, nie wiedziałem, czy to wbrew prawu, czy nie. Ale ona powiedziała: „Pewnie, czemu nie”. Niektóre mięsożerne zwierzęta zjadają łożyska. Niektóre ludy też, ale nie w Wisconsin. W wielu kulturach istnieje zwyczaj zachowywania tej pamiątki porodu, podobnie jak części pępowiny...

- Fuj! - wykrzyknęła Kathy.

- Na pierwszy rzut oka - tak - odparł Gordon. Odstłonił łożysko, które nawet po zamrożeniu lśniło. - Ale właśnie ono podtrzymuje życie dziecka. Dzięki niemu Keefer rosła, całkowicie zależna od ciała mojej siostry, a jednocześnie całkiem odrębna istota. Ani razu podczas ciąży krew matki nie miesza się z krwią dziecka. Chciałem zachować łożysko i pokazywać na lekcjach. Ale teraz, moja... wiecie, że moja siostra umarła. - Dwadzieścia cztery głowy opadły jednym zgodnym ruchem. - W porządku. Na pewno o tym między sobą rozmawialiście, przynajmniej niektórzy. Oglądaliście wiadomości w telewizji.

- Że pan był adoptowany - odezwał się Dennis. - Przez panią McKenna z gimnazjum.

- Ale nie w zeszłym tygodniu. Zostałem adoptowany jako małe dziecko - powiedział Gordon. - Moja mama jest jedyną mamą, jaką znałem.

- To nie zna pan swojej prawdziwej mamy? - zaciekała się Kelly Rafferty.

- Nie - odparł Gordon. - Ale to od niej i od mojego biologicznego ojca otrzymałem te... fatalne włosy i znakomite nogi.

- Czy pana siostra była adoptowana? - spytał Dennis.

- Przecież wiesz, że tak, Den - odparł Gordon.

- Nie wiedziałem. Sądziłem, że tylko pan upierał się Dennis. - Nie mogę sobie wyobrazić, jak to jest być adoptowanym. W naszej rodzinie są sami Reilly. Muszą być. Wszędzie od razu człowieka poznają, że się jest synem Billa Reilly'ego.

- Mówisz o czymś, czego nigdy nie zaznałem. I nigdy nie za-

znam, chyba że będę mieć własne dzieci. Przekonaliście się dzisiaj, że możecie być genetycznym produktem rodziców, a wcale nie musicie być do nich podobni - wyjaśnił Gordon. -I przemyślcie to sobie, gdy wieczorem będziecie odrabiać matematykę.

- Myślę, że to świństwo! - odezwał się nagle Dennis Reilly.

- Co?

- Ta cała historia z pana dzieckiem - odparł. - Cholerne świństwo!

- Co wtedy powiedziałeś? - spytała go Lindsay tej nocy, kiedy leżeli w łóżku, wtuleni w siebie, ona odwrócona plecami. Lindsay przeważnie zostawała na noc, ponieważ Gordon nie musiał już kryć się przed Keefer ze swoimi nocnymi potrzebami. Keefer teraz rzadko była z nimi. Dał Lindsay klucze, a ona wracała tu po pracy i razem coś pichcili. - Cześć, kochanie, cześć, jak minął dzień?

- Nie byłem w stanie nic powiedzieć - odparł jej Gordon - Tylko kiwnąłem głową czy coś w tym rodzaju. Mam nadzieję, że się domyślił, jak wdzięczny mu jestem za te słowa.

- A tak ci kiedyś dał popalić.

- W sumie to dobry dzieciak. Zdecydowanie najlepszy materiał genetyczny u Reillych.

- Czy praca w szkole nie skłania cię do zastanowienia się, jakie będą twoje dzieci?

Poczuł, jak plecy Lindsay zeszywniały, kiedy jej odpowiedział:

- Nie jestem pewien, Lins, czy w ogóle będę miał dzieci.

- Dlaczego nie? Gordie, ty przecież jesteś piękny.

- Chyba jesteś mało obiektywna, głuptasku.

- Chodzi mi o to, że masz świetne geny.

- Widzisz, ja przede wszystkim myślę o Keefer. A jeśli mam wychowywać Keefer...

- To co?

- No więc, jak by się ona czuła, gdybyśmy... to znaczy jeżeli moja żona i ja, gdybym się ożenił... jak by się czuła, gdybym miał biologicznie własne dziecko. Nie chciałem zranić Keefer. Wiem, że to jakiś obłąd.

Lindsay przekręciła się na łóżku, wstała, a zanim wciągnęła jego koszulę, dostrzegł delikatną linię tam, gdzie bikini zakrywało

przedziałek pośladka. Usiadła po turecku przy łożku, między kolanami widoczna była strzecha jasnych włosów łonowych. Wzgroza, pomyślał Gordon, gęsto zarośnięte wiecznie zielonymi krzewami, zawsze przypominały mu włosy łonowe.

- Uważam, że to obłąd, Gordie. Przecież nie traktowałbyś Georgii inaczej, gdyby urodziła ją twoja matka.

- Byłem zazdrosny jako dziecko, że ona podobna jest do mamy.

- Ale sam mówiłeś, że jesteś podobny do matki.

- Bo jestem podobny, tylko że pod względem osobowości.

Może w ogóle byłem o nią zazdrosny. Dzieci są jak małe zwierzątka. Rozpychają się, zapuszczają korzenie, znajdują swoją niszę w komórce rodzinnej. Jeśli nie są największe, to będą najszybsze...

- Myślę, że powinieneś mieć własne dzieci, bo...

- Co?

- A co będzie, jeśli jej nie odzyskasz?

- Muszę postępować tak, jakbyśmy mieli ją odzyskać.

- I będziecie tak we dwoje, ty i Keefer, do końca życia?

- Nie powiedziałem tego.

- Więc?

- Co więc?

- A co ze mną?

- Masz na myśli to, że chcesz mieć dzieci?

- Oczywiście, że tak.

- O tym będziemy musieli porozmawiać.

- Dobrze. Porozmawiajmy!

- Nie teraz. Mam stos prac do poprawienia.

- Teraz jest doskonała pora.

- Lins...

- Kto to jest Alicia?

Poczuł mrówki na szczęce i na ramionach.

- Alicia?

- Kiedy ta przyszłam, na sekretarce była wiadomość.

- Odsłuchiwałaś moje wiadomości?

- Nie, właśnie się nagrywała, kiedy weszłam.

- To matka jednej z moich uczennic.

- Pytała, czy dostałeś kwiaty.

- Przysłała mi kwiaty przez córkę, kiedy przeszła ustawa w senacie.

- Wspominała coś o drużynie siatkówki.
 - Wiesz, że czasem gram w siatkówkę. Chryste, Lins, to jedyny sport, jaki mi został! Pomału zaczynam przypominać mego dziadka Kissa. Facet miał nogi jak patyki. Tata pewnie teraz jest w lepszej formie niż ja.
 - Było tam też... Powiedziała „skarbie”.
 - Jest po prostu miła.
 - Umawiałeś się z nią?
 - Nie.
 - Umawiałeś się z nią na randki, Gordie?
 - Nie! Parę razy się widzieliśmy.
 - Widzieliście się? Spałeś z nią?
 - Nie!
 - Podrywałeś ją?
- Skłamał, pomyślał. Ułatw sobie życie. Nie kłamał, pomyślał. Ułatw sobie życie.
- Troszeczkę, raz. Po pijaku. Dawno, dawno temu. Zaraz przestałem, ponieważ byłem wtedy z tobą i chciałem być uczciwy wobec ciebie. No jak, w porządku?
 - Na jak wiele rzeczy mam twoim zdaniem przymykać oczy, Gordie?
 - Co to ma znaczyć?
 - To znaczy, powtórzę wolniej. Na... jak... wiele... rzeczy... mam... twoim... zdaniem... przymykać... oczy?
 - Lindsay, nikt ci nie każe być ze mną. Uważam, że jesteśmy razem, ponieważ oboje tego chcemy.
 - Przez cały college byłem twoją dupą na wakacje. Myślisz, że nie wiedziałam o tym? Każdego lata. Jeśli przyjeżdżałeś...
 - Chwileczkę. Momencik. Żadne z nas nigdy nie oczekiwało, że to będzie wyłączny związek.
 - Ale ja tego właśnie chciałam, a ty o tym wiedziałeś.
- Wiedział o tym.
- No ale jesteśmy tu i teraz - powiedział. Kulawo to zabrzmiało, nawet w jego własnych uszach.
 - Więc co się z nami stanie?
 - Myślałem o tym, Lins. - Wcale nie myślał, ale stało się to jasne dla niego dopiero w tej chwili, gdy wymawiał te słowa. - To zależy, co będzie z Keefem.
 - To znaczy?

*

- No więc jeśli odzyskam Keefer, to zostanę tutaj w Tali Trees. Może kupię dom. Zamieszkamy tu, żeby być blisko moich rodziców, ciotki, wujów i kuzynów. No i oczywiście Nye'ów.

- A jeśli... pójdzie źle?

- Wtedy nie wiem, co zrobię. Ale coś czuję, że pewnie... wyjadę. Pojadę znowu z EnviroTreks. Albo znajdę jakiś szczyt w Montanie i zostanę pustelnikiem zbierającym okazy botaniczne...

- Sam?

- Tak to sobie wyobrażam. Tak. Ale to pewnie wariactwo. - Położył się na swojej poduszce, poduszce Keefer z napisem *Nasza Królowna*, którą wziął sobie do łóżka. - Może wrócę na uczelnię.

- Po co?

- Doktorat. Może z biologii komórki. Wiesz, myślę o mojej siostrze i o jej chorobie. Nie dostaje się raka piersi w wieku dwudziestu sześciu lat ot tak, bez powodu. Musi być za to odpowiedzialny jakiś gen. Co oznacza, że Keefer może znaleźć się w grupie ryzyka. Że już w niej jest. A opracowanie projektu genomu ludzkiego jest bliskie, może wezmę udział w badaniach...

- I na uczelni też będziesz musiał być sam?

- Niekoniecznie. Od kiedy chcesz wyjechać z Tali Trees, Lins? Zmarniałś w college'u jak wszyscy diabli, bo tak bardzo tęskniłaś za Laurą i rodzicami. A niedługo Laura będzie miała dzieci i z nimi też będziesz chciała być.

- Zostawiłabym ich dla ciebie.

- Przemyśl to, Lins. Nie mów ot tak.

- Pomyślałam, że jeśli odzyskasz Keefer, to ci się przydam. Dziewczynce potrzebna jest matka...

- Tak samo uważa psycholożka, ta durna baba.

- Dziewczynka potrzebuje matki, Gordie. A ja byłabym dobrą matką.

- Sądzę, że byłabyś wspaniałą matką, Lins, ale pomyśl, czy zadowoliliby cię wychowywanie mojego dziecka? Tylko mojego dziecka?

- Strasznie wszystko komplikujesz. Wyjeżdżasz, jeśli jej nie dostaniesz. Masz zamiar zostać... mnichem, jeśli ją dostaniesz. Co mam z tego wybrać?

- Wiem, że to nie fair. - Gordon przyciągnął Lindsay do siebie.

bie, a jej wspaniałe włosy rozsypały się jak jedwabne nitki na jego piersi; ale nie było już tego cudownego uczucia, co zwykle. Przypomniał sobie zachwyty Keefer, kiedy zanurzała swoje małe, kanciaste stopki w jego włosy. Keefer. Co ona robi teraz? - To nie fair i ja nie proszę cię, żebyś zaczekała. Codziennie coś mi się odmienia. Nie mogę na razie niczego planować ani projektować. Rozprawa apelacyjna rozpocznie się w przyszłym tygodniu, potem potrwa trochę, zanim się doczekamy decyzji. Gdybym był przyzwoitym ludzkim stworzeniem, powiedziałbym, żebyś wstała, zabrała swoją szczoteczkę i zostawiła mnie, żebym tu gnił.

- Tak, ty byś to zrobił - powiedziała Lindsay, wydymając usta. Oswobodziła się z jego ramion i wychyliła w stronę okna, przyglądając się oszronionym drzewom. Poczł zapach jej nogi, ich seksu. Może całe to gadanie o samotnym zbieraniu okazów botanicznych jest po prostu rzewną bzdurą?

- Z drugiej strony - zaryzykował - a nuż Keefer zechce mieć brata albo siostrę. Ma bzika na punkcie córki Delii... - Może była w tym nawet jakaś logika. Gdyby miał dziecko, wyrastałoby ono razem z Keefer, jak oni wyrastali z Georgią: ciągłość jego materiału genetycznego obok ciągłości genów jego siostry. Dzieci tych dzieci przekazałyby dalej cechy jego i siostry, co uczyniłoby z adopcji makrometaforę podwójnej helisy - osobne nitki naznaczone genetycznym przesłaniem, owinięte luźno wokół siebie, splecione razem z pokolenia na pokolenie.

Lindsay rzuciła się nagle i usiadła na nim okrakiem.

- Czy to znaczy „tak”?
- Lindsay, wyglądasz jak lady Godiva.
- Czy tak?
- Chyba tak, a ja czuję się jak ostatnie ścierwo, że cię w to wciągają.
- Och Gordie, Gordie, mój Gordie - mruczała, pocierając go nosem.

Czas, pomyślał, uszczęśliwić kogoś. Jeżeli się kogoś uszczęśliwi, jak mówi stara piosenka, to samemu też będzie się szczęśliwym.

Gubernator był niskim, potężnie zbudowanym mężczyzną, a mieszkał, jak powiedział Gordonowi i jego rodzicom, niecałe dziesięć mil od Tali Trees. „Czy Gordon kiedykolwiek strzygł latem choinki?” - spytał. A Gordon odparł: „Tak, sir, niejedno”. „Nieżył zasuw” - skinął głową gubernator, chichocząc. Usiedli na wyznaczonych miejscach, pod godłem z orłem, na tle pysznej boazerii z drzewa wiśniowego z Wisconsin, przy stole wykonanym z czarnego orzecha z Wisconsin; na krzesłach wyściełanych, jak przypuszczała Lorraine, pianką lateksową z Wisconsin. Gęstwina kabli i las trójnożnych statywów wypełniały drzwi i wylewały się do holu, gdy gubernator podpisywał ustawę numer sześćset. Gubernator najpierw odwrócił się do Gordona i wręczył mu pióro z wygrawerowanym nazwiskiem i pieczęcią stanu, a następnie podał takie same pióra Lorraine, Markowi, senatorowi Hammersmithowi i Philowi Kayowi. Siedzący pod ścianą Tim ocierał oczy, Nora i Lindsay łkały głośno. Dwa miesiące i trzy dni minęły od pierwszego telefonu, który Phil Kay, wiedziony przecuciem, postanowił odebrać osobiście.

- Jest pani republikanką? - spytał reporter Lorraine, kiedy z rodziną wychodziła do holu.

- Nie, dozgonnie wdzięczną demokratką - odparła Lorraine. - To wielki dzień dla wszystkich rodzin dzieci adoptowanych, w ogóle dla wszystkich rodzin. Wielu ludzi w całym kraju będzie od dzisiaj lepiej spać.

- Czy ta ustawa ułatwi rozwiązanie problemu, z którym boryka się pani w związku ze staraniami o uzyskanie prawa do opieki nad wnuczką?

- To nie ja się borykam - powiedziała Lorraine. - To nasz syn, który... cóż, teraz już nikt nie poda w wątpliwość faktu, że jest pełnoprawnym wujem... ma nadzieję, że uda mu się zaadoptować Keefer Kathryn Nye. Natomiast my będziemy wspierać go przez cały czas.

- Gordonie - zwróciła się do niego kobieta ze świderkowatymi czarnymi loczkami, które przypomniały mu Georgię i jej szalone dzieciństwo. - Czy ustawa będzie miała wpływ na apelację?

- Nie wiemy tego jeszcze - odrzekł ponieważ, jak pani za-

pewne wie, apelacja odnosi się do decyzji podjętej przez sędzinę Sayward, zanim prawo zostało zmienione, i nie weźmie pod uwagę sposobu, w jaki prawo....

- Dziękuję - uśmiechnęła się.

- Przekroczyłeś wyznaczony limit czasu - Mark powiedział Gordonowi.

Wiedzeni kaprysem, czując się jak podglądacze, przejechali obok zielonego domu Cadych w nadziei, że mignie im gdzieś, przelotnie choćby, Keefer. Na tylnym podwórzu stał różowy domek, widać też było huśtawkę w trakcie montażu.

- Ładna dzielnica - zauważyła Lindsay, a wszyscy natychmiast spojrzeli na nią z wyrzutem.

Delia i Craig wiedzieli doskonale - Lorraine była tego pewna - że ustawa zostanie podpisana dzisiaj, w piątek, tego samego dnia, kiedy miała zacząć się pierwsza wizyta Keefer po dwóch trudnych miesiącach jej nieobecności. Lorraine wysłała kartkę; będą w Madison załatwiać sprawy, chętnie zabiorą Keefer w południe i w ten sposób oszczędzą Cady dwugodzinnej jazdy. W odpowiedzi Delia zostawiła wiadomość. Nie, czas wyznaczony dla Keefer na spotkanie z McKennami zaczyna się dopiero wieczorem. Sami przywiozą Keefer w piątek wieczorem, zgodnie z warunkami postanowienia sądu, i odbiorą ją w niedzielę po południu. Regularny tryb życia, dodała, jest dziecku bardzo potrzebny. Zdziwią się, brzmiał ciąg dalszy, jak bardzo język Keefer się poprawił. Używa trzywyrazowych zdań, mówi „tata”, „mama” i „Lexi”, wyraźnie i dźwięcznie.

Aż do chwili odsłuchania tej wiadomości raz i drugi Lorraine nie posądzała Delii o złą wolę. Wierzyła w jej uczciwość, graniczącą z naiwnością, i nie uważała, że jest im nieżyczliwa. Nagle przyłapała się na tym, że próbuje przypomnieć sobie i zanalizować różne sytuacje z udziałem nieżyjącego zięcia. Ray był czasami bliski grubiaństwa w swoich wymaganiach, by Georgia była... posłuszna. Nie, nie ma racji, Ray uwielbiał Georgię, która sama, dobrowolnie, przyjęła na siebie rolę wiernej niewolnicy. „Kochanie, zjesz kawałek placka? Domowy! Kochanie, daj, ja ją przewinę; jest cała mokra, nie, nie zwracaj sobie tym głowy. Kochanie, daj, ja cię rozpakuję”.

Lorraine ostro nakazała sobie porzucić ten tok myślowy.

Nie, w Delii nie byłociczego złego, inaczej jak Lorraine mog-

łaby żyć ze świadomością, że ona co dzień zajmuje się dzieckiem Georgii, wykonuje przy nim liczne obowiązki, myje je, karmi, kołysze do snu i czyta. Przecież nawet pani psycholog stwierdziła, że Delia jest cierpliwa i spokojna. Delia nie jest drugą Dianą, tą męczącą, nachalną, użalającą się nad sobą..

W sobotę przy Cleveland Avenue będą obchodzić wszyscy podpisanie ustawy i drugie urodziny Keefer, które wprawdzie były dopiero dziewiątego marca, ale nie wypadły w jeden z przyznanych McKennem weekendów.

Przyjechali do domu na tyle wcześniej, że Lorraine poszła do szkoły na popołudniowe lekcje. Kiedy weszła do sali plastycznej, uderzyła ją niepojęta cisza. Wszystkie dzieci były na miejscach, w skupieniu pochylone nad blokami rysunkowymi, a Lorraine wiedziała o siódmoklasistach na tyle dużo, żeby zdawać sobie sprawę, iż każda cisza jest złowieszcza. Bez słowa Linda Fry, dyrektorka Lorraine, skinęła jej głową i wyszła. Lorraine ostrożnie zbliżyła się do stolika, gdzie Linda upozowała manekin z udrapowanym szalem, służący do nauki rysowania postaci ludzkiej, zaczętej w zeszłym tygodniu. Żadne z dzieci nie spojrzało, nawet ukradkiem, tylko mała Rooneyów nie mogła powstrzymać metaliczno-ortodontycznego uśmiechu, wyraźnie skierowanego do Lorraine. Było coś niedobrego. Coś się działo.

- Uwaga - odezwał się głośnik szkolny, jak zawsze daleki od doskonałości, rozległ się trzask i głos popłynął dalej: - Uwaga, uczniowie i wydział TeTeEmEs. Mamy ważne ogłoszenie. - To mówiła Linda. Dzieciaki chyłkiem podnosiły się z miejsc. - Mamy wśród nas historyczną postać. Prawdziwą bohaterkę. Kobiętę, której miłość i oddanie zdołały zmienić prawo stanu Wisconsin tak, by mogło ono lepiej chronić wszystkie rodziny i wszystkie dzieci. A zatem godnie i spokojnie uczcijmy ustawę stanową numer sześćset oraz naszą nauczycielkę rysunków i twórczynię nowego prawa, Lorraine McKenna!

Dzieci podbiegły do niej, zaczęły ciągnąć za ramiona, szyję i ścisnąć ręce. W sali do koszykówki, na całej jej szerokość, ciągnął się transparent z napisem *Brawo, pani McK!* Obecni byli nie tylko inni nauczyciele, ale także Dale i Sheila, Nina i Bud, Wiltonowie, Sodebergowie i ich syn bankier.

A kiedy Lorraine dotarła wreszcie do domu, w drzwiach stała Nora, gestem zapraszając do kuchni, która wyglądała, jakby ca-

łą zawartość ciężarówki z kwaciarni wyładowano na stół i pod stół, a pośród tego wszystkiego hasała Keefer, wołająca: „Babciu! Popats!” Keefer, cała i różowa, szczuplejsza, ale najwyraźniej zdrowa, uważnie rozpakowująca Barbie-dentystkę, Barbie-pilota, grające klocki, wóz strażacki, który wydawał straszliwie ryczące odgłosy i błyskał czerwonymi i żółtymi światełkami, wszystko to prezentując i każąc podziwiać. Nie była już zainteresowana zabawą w kaczuszki.

- Jedna, jedna! - powiedziała Norze z dąsem, odpychając ją, a Nora, przez moment speszona, zareagowała podobnym brakiem entuzjazmu, kiedy Keefer splotła tłuste paluszki, zachęcając ją: „Idzie kominiaś po dlabinie”. Kominiarz idący po drabinie był ostatnią rzeczą, jaką Lorraine wymruczała, zapadając w sen, z Keefer między sobą a Markiem, w ich małżeńskim łóżu, a potem obudziła się ze snu o Georgii wdrapującej się po rynnie, pukającej w okno i proszącej: „mamo, wpuść mnie, wpuść mnie...”, ale to tylko zaczęło padać. Lorraine wysunęła się cicho z łóżka, podeszła do biurka i zaczęła pisać list: „Najdroższa Keefer. Co za rok miałaś! Wyrosłaś z dziecka na dużą dziewczynkę, która już mówi i chodzi, a pieluszkę wkłada tylko na noc! Znasz wiele piosenek. Spędziłaś dużo czasu, bawiąc się ze swoją rodziną, Delią i Craigiem, a przede wszystkim z Alexis, a my wszyscy bardzo się cieszymy, że jesteś dzisiaj z nami. Jutro do Tali Trees przyjadą na twoje urodziny Gordon i Lindsay, Rob i Bradie, i ciocia Nora, i wujek Hayes, i Tim, i jego nowy piesek, który nazywa się Taxi. Śmieszne imię dla psa, prawda? W tym roku zdarzyło się dużo rzeczy, które babcia i Gordon, i my wszyscy wyjaśnimy ci, kiedy dorośniesz. Wszyscy cię bardzo kochamy, Keefer...”

Fiasko z tortem było jedyną skazą na następnym dniu. Keefer była już zmęczona. Gordon się uparł, że zabierze ją do parku, żeby powozić chwiejącą się niepewnie na maleńkich, podwójnych łyżwach, które dali jej z Lindsay razem z kolorowymi książeczkami o Madeleine, w komplecie z lalką z niebieskiego filcu o dość bezmyślnej twarzy. Wszyscy przyglądali się zdumieniu, jak Keefer, używając dorosłego widelca, nawija spaghetti, które potem starannie żuje, i dziwili się, kiedy wyciągnęła rączkę po serwetkę, żeby wytrzeć usta. „Brudna buzia” - wyjaśniła poważnie.

Norze zależało na tym, kiedy przydźwigała gigantyczny czekoladowy tort o trzech warstwach przełożonych dżemem truskawkowym, żeby zrobić jedno z tych klasycznych zdjęć przedstawiających małego łasucha przy torcie. Ale Keefer, choć jej oczy rozszerzyły się na widok świeczek z ogniami sztucznymi i cukrowych róż, nie chciała dotknąć tortu paluszkami. Gestem domagała się widelca.

- No, Keefer - zachęcała ją Nora. - Weź palcem. Nie musimy się tu bawić w ceremonie.

I wreszcie, jakby na próbę, Keefer zanurzyła palec w polewie i oblizała go. Wszyscy zaczęli klaskać.

- Mama? - spytała Keefer. Rozejrzeli się dookoła, jakby spodziewając się, że w kuchni zmaterializuje się duch Georgii. - Mama? - powtórzyła Keefer, a jej twarzyczka ściągnęła się nieco, jakby pokazywała, że zrobiła sobie kuku.

- Ona ma na myśli Delię - obwieścił Gordon, z lekkim obrzydzeniem w głosie. - Szuka Delii.

Nora pochyliła się i rozmazała na kształtnym nosku Keefer plamkę czekolady, a dzieciak wrzasnął, gwałtownie odwrócił głowę od ręki Nory, odpychając się z całej siły od poprzeczki krzesła i kopiąc wściekle w podpórkę pod nóżki.

- Brudna! - krzyczała i zaczęła się krztusić. Gdyby Gordon na czas nie doniósł jej do umywalki, zwymiotowałyby całe spaghetti na podłogę, a tak wypluła tylko jakieś dwie łyżki. Gordonowi udało się odwrócić uwagę dziewczynki, polewając jej rączki wodą z węża przyczepionego do kranu.

- Strasznie przepraszam - zwróciła się do nich Nora. - Naprawdę przepraszam. Nie chciałam.

- Noro, ona zawsze stawiała na swoim - pocieszył ją Mark. - Nie przejmuj się tym. Po prostu jest zmęczona. Wyczerpana. Tyle nowych twarzy...

Nikt nie powiedział ani słowa, ale znaczenie ostatniego zdania zadźwięczało w pokoju jak cios. Zanim wszyscy wyszli, Keefer już spała, zwinięta w kłębek na łóżku Lorraine i Marka, jedną rączką ściskając Gordona za koszulę, i nikt nie miał serca ruszyć tych dwojga. Mark przespał się na sofie. Lorraine na zmianę to spała na łóżku Gordona, to chodziła niespokojnie.

Lindsay z Gordonem brali udział w regionalnym turnieju kodyfikacyjnych drużyn siatkówki i w związku z tym jechali do

Wausau w niedzielę późnym popołudniem. Mark niechętnie zgodził się na spotkanie z grupą japońskich inwestorów i oprowadzanie ich po Medi-Sun. Lorraine była zadowolona, że spędzi z Keefer ten krótki czas, zanim Nora dokona formalnego przekazania dziewczynki Cadym. Właśnie zaczęła czytać: „W starym domu w Paryżu, całym porośniętym winem...”, kiedy rozległ się gong przy drzwiach, a potem jeszcze raz i jeszcze. Na ganku stał Craig Cady, a obok niego trzęsąca się jak galareta Alexis. Dziewczynka była w samej koszulce i spódnicy, bez płaszcza, więc Lorraine odруchowo otworzyła drzwi szerzej, zapraszając ich do środka.

- Moja żona zachorowała - powiedział Craig. - Bardzo źle się czuje, potrzebny jest lekarz.

- Może zadzwonimy po karetkę - zaproponowała Lorraine. - Albo po szeryfa?

- Nie, po prostu muszę szybko zawieźć ją do lekarza. Pani McKenna, wiem, że nie powinienem pani o nic prosić, biorąc pod uwagę, że my... - Craig zająknął się - ...to znaczy biorąc pod uwagę, jak sprawy się mają, ale czy może mi pani... bardzo proszę... powiedzieć, jak mam dojechać do szpitala...?

- Szpital metodystów jest zaledwie sześć przecznic stąd. Pojedzie pan wzdłuż Cleveland do Main, z Main skręci pan w Third Street. Potem stamtąd w pierwszą w prawo. Powinien pan trafić bez problemu.

- Chodź, Alexis. - Craig skinął na nią ręką, a potem wreszcie zauważył, że dziewczynka dygocze. - Pani McKenna, czy ona mogłaby tu poczekać?

- Oczywiście - odparła Lorraine. - Nie ma sprawy. Zostanie z Keefer i ze mną. Poradzimy sobie, prawda Alexis?

Craig zatrzasnął drzwi i pobiegł do samochodu.

- Alex - powiedziała dziewczynka. - Wolę Alex.

- Lexie! - zaśpiewała dźwięcznie Keefer, a rudowłosa nastolatka porwała dziecko na ręce i w kuchni zaczęła z nią tańczyć.

- Rockand roli, Keefe! Tańczymy jive'a! - Alexis zanuciła. Keefer odchyliła głowę do tyłu, przymykając oczy z wyraźną rozkoszą.

- Czytałyśmy właśnie - odezwała się Lorraine niepewnie.

- Świetnie - zgodziła się Alexis, sadzając sobie Keefer na sto-pach. — Poczytajmy. Często jej czytam. Prawie co wieczór, prawda, mały łobuziak? «

- Tory, tory - odpowiedziała ochoczo Keefer, ciągnąc Alex do salonu.

- Tak nazywa mego syna - wyjaśniła Lorraine. - To znaczy Gordon.

- Nie, to jej słowo na historyjkę - odparła Alexis. - Chodzi jej o to, że mam coś opowiedzieć, a nie czytać. Opowiadam jej różne historyjki. Między innymi o małej myszce imieniem Eddie, która rozstała się z rodzeństwem, kiedy była bardzo malutka, i wychowywała ją królicą. No i teraz mała myszka skacze hop, hop, hop i bardzo się martwi, ponieważ uszy jej nie rosną, tak jak braciszkom... A co to za dziwny żłobek?

Lorraine nagle sobie uświadomiła, że w tym roku nie zdołała sprzątnąć wszystkich dekoracji świątecznych. Drzewko, kiedy się wreszcie do niego wzięli, przypominało szkielet. Próbowwała teraz spojrzeć na starą szopkę świeżymi oczami Alexis. W tej, którą dziewczynka miała w domu, Matka Boska i święty Józef wyglądali pewnie jak June Carter i Johnny Cash. Rzeźbione figurki w szopce Lorraine nie były malowane, były prymitywne, a twarze kłęczących królów wydawały się pochodzić od sęków i zgrubień drewna, które je tworzyło.

- To węgierska szopka - wyjaśniła Lorraine. - Po mojej babci.

- Wiem, gdzie są Węgry - pochwaliła się Alexis. - Z geografii. Tam są takie góry Orał...

- Karpaty - poprawiła Lorraine. - Co się stało Delii? Grypa?

- Poczula się źle - wzruszyła ramionami Alexis. - Ma bóle i dreszcze od tego, na co jest chora.

- A jest chora na...? - podpowiedziała Lorraine.

- Ma, zdaje się, stwardnienie rozsiane, ale to... teraz to chyba coś więcej. - Alexis przez chwilę przyglądała się obgryzionym paznokciom. - Nic jej nie będzie.

- Musisz się o nią martwić.

- Nie. Poprawi się jej za dzień lub dwa. Ma takie okresy czy coś takiego.

- Czy nie powinna przestać pracować?

- Moja mama? Za nic, nawet gdyby przeszedł tajfun! Boże! Moja mama pracowałaby nawet jakby, na przykład, przeprowadzali przez nasz dom autostradę. Te wszystkie panie zginęłyby bez niej. Robi paznokcie pani dziekan. Robi też twarze. Profesorom.

- Z uniwersytetu?
- Tak. A pani dziekan - francuski manikiur. Co tydzień. - Wzrok Alexis powędrował znowu w stronę półki nad kominem. - Ta szopka jest super.
- Możesz ją wziąć do ręki, jeśli chcesz.
- Matka Boska jest trochę... uszkodzona.
- Ach - zaśmiała się Lorraine. - To ślady zębów Georgii. Kiedy była malutka.
- Pani córki?
- Mojej córki, tak. Mamy Keefer.
- Czy mogę zobaczyć jej zdjęcie?
- O tam! - odparła Lorraine, pokazując fotografię Georgii, promieniejącej, w szkolnym uroczystym stroju, z Gordonem u boku, śmiejącej się do obiektywu.
- Gordon jest przystojny. Wygląda jak gwiazdor filmowy.
- Nie znosi, jak się tak o nim mówi.
- No, ale jest przystojny.
- Nie... lubi tego! Tak czy owak przez ten swój uśmiech takie robi wrażenie. Ma piękne zęby.
- No a ja nie znoszę, jak mówią na mnie Marchewa.
- Cieszyć się będziesz, gdy dorośniesz, że masz takie włosy. Rude są teraz w modzie. Dziewczyna Gordona, Lindsay, ma przepiękne rude włosy. Georgia próbowała ufarbować na rudo swoje chyba ze sto razy, kiedy była w twoim wieku. A Węgrzy, Madziarzy, no cóż, to tylko taka bajka, ale u nich się mówi, że jeśli dziewczynka rodzi się z rudymi włosami, to Cyganie uważają ją za swoją boginię, nazywają płomiennowłosą.
- Ach - westchnęła Alex, siadając na kanapie obok Lorraine. - Proszę mówić dalej.
- Jeszcze będziesz zadowolona ze swoich włosów. Włosy to korona kobiety, mawiała moja babka Lena.
- A to jest w Transylwanii, prawda? Węgry?
- Nie, odwrotnie.
- To tam, skąd pochodzi Drakula?
- Tak mówią.
- A czy inne dzieci dokuczały pani?
- W jaki sposób...?
- Nie nazywały panią córką Drakuli?
- Prawdę mówiąc, kiedy raz przyniosłam do szkoły ludowy

strój mojej babki, to mi dokuczały. Przez kilka tygodni słyszałam: Leeenaaaaa, daj się ugryźć w szyję.

- Kto to Lena?

- To ja. Wtedy. W szkole średniej zmieniałam imię na Lorraine.

- Przez tego Drakulę?

- Nie, ponieważ pomyślałam sobie, że osoba o imieniu Lena powinna mieć trzy podbródki i wielką pupę. To było takie... imię ze starego kraju. Zmieniłam je po śmierci babci.

- Ouuu - wymknęło się Alexis. - Przykro mi, że umarła. Ja też sobie zmienię imię.

- Na jakie?

- Na Alex.

- Ale ty już nazywasz się Alex.

- Nie, tak naprawdę nazywam się Alex-iss. Czego nienawidzę.

- Ale to ładne imię. To było imię ostatniego cara Rosji, małego chłopca, którego matka, caryca, nazywała się księżna Alexandra. Ź została zamordowana przez rewolucjonistów, wiesz, a z nią wszystkie jej dzieci, nawet mały księżę Aleksy...

- O - rzekła Alex. - Nie wiedziałam o tym. To niesamowite. A ma pani radio?

- Tak, mamy. Chcesz czegoś posłuchać?

- Macie tu Z104?

- Nie, to chyba jakiś lokalny program z Madison. My mamy stację, która nadaje stare kawałki typu Beach Boys.

- Mhm, niech będzie.

- A co ty lubisz?

- Annie Lennox.

- Hmm, ambitnie.

- No bo nie pozwalają mi słuchać wszystkiego.

- Słusznie.

- Mają cały czas włączoną religijną stację. O Jezu, dotknij mnie. O Jezu, dzięki za wszystko! Rapu mogę słuchać tylko w słuchawkach i w nocy.

- Dla mnie ten cały rap jest trochę chory.

- Jest całkiem chory. Takie tam, niech cały świat cmoknie mnie w...

- Wiem, wiem, uczę w siódmej klasie. Słyszałam. - Keefer obudziła się i zajęczała.

- A może da jej pani ściereczkę, żeby sobie possała? Lubi coś

ssać, kiedy zasypia. Mama nie daje jej smoczka, żeby potem nie musiała nosić aparatu na zębach.

Lorraine poszła po świeżą ściereczkę, a po chwili Keefer ssała z błogością, zasypiając ponownie.

- Niech mi pani opowie tę bajkę - poprosiła Alex.

- Kiedy to nie jest bajka.

- A to, co pani opowiadała przedtem? O rudych dziewczynkach?

- To też nie jest tak do końca bajka.

- Nie zna pani żadnej bajki?

- Znam...jedną.

- Proszę opowiedzieć - nalegała Alex. Keefer wetknęła kciuk w lewy kącik ust. - Ktoś tu się robi seeennnyyyy.

- A więc była sobie uboga kobieta... w opowieściach mojej babci wszyscy byli biedni... która miała piękną córkę o rudych włosach, co stanowiło przedmiot zazdrości wszystkich matek w kraju - zaczęła Lorraine. - Mówiono, że dziewczynka ma magiczną moc dzięki temu, że urodziła się ruda. Dziewczęta, pragnące rozkochać w sobie mężczyznę, przychodziły z prośbą, by sprzedała im lok pięknych włosów córki; potem trzeba go było wsunąć ukochanemu do kieszeni. Przychodziły matki, które bardzo chciały mieć dzieci, a nie mogły...

- Jak moja mama - wtrąciła Alexis. - Miała tylko mnie z moim tatą. Nazywa się Jack Tyson. A teraz mam wiecznie skwaszonego...

- No więc - ciągnęła spieszenie Lorraine - wszystkie te kobiety przychodziły, aby przyłożyć piękne włosy córki do swego łona i dzięki temu począć dziecko, a miały przy tym nadzieję, że to tak-że będzie dziecko rudowłose, dziecko szczęścia. Oczywiście, biedna matka cieszyła się z tego, ponieważ potrzebny był jej każdy grosz, jaki dostawała od ludzi.

I wtedy - opowiadała Lorraine, a powieki Keefer opadły i wreszcie się zamknęły - w kraju nastał straszny głód. Pan tej ziemi - Lorraine nazwała go Vladem Drakulą - sprowadził cygańskiego wieszca, żeby mu wyjaśnił, dlaczego plaga zniszczyła plony, wyschło mleko w krowich wymionach, a ryby w rzekach są zatrute. „Poszukaj dziewczyny o ognistych włosach - powiedział mędrzec. - Tylko dziewczyna o włosach jak płomień może ocalić kraj. Niechiwój syn pojmie za żonę tę dziewczynę, a kiedy uro-

dzi dziecko, góry i rzeki na nowo zatętnią życiem". Pan wysłał swoje sługi, a oni przemierzali kraj, wsłuchując się w opowieści ludu, aż wreszcie dotarli do małej chatki, gdzie ze swą biedną matką mieszkała dziewczyna o włosach jak ogień. Pojmali ją i zawieźli przed oblicze pana. Ten natychmiast zawezwał księdza, by udzielił im ślubu. A dziewczyna gorzko płakała z żalu za matką. Pan był nie tylko bogaty i potężny, lecz także bardzo okrutny. Dał swej żonie, Sofii, klejnoty i piękne szaty, i mnóstwo dobrego jedzenia. Ale ona wciąż płakała i prosiła, żeby pozwolił jej zobaczyć się z matką. Nic nie chciała jeść. Kiedy pan się dowiedział, że wkrótce będzie miała dziecko, kazał sprowadzić matkę, żeby zajęła się córką.

W odpowiednim czasie Sofia urodziła pięknego chłopca i wtedy, tak jak obiecał wieszcz, rzeki i pola wróciły do życia. Sofia, widząc radość pana, błagała, by pozwolił matce pozostać z nią razem w zamku. Ale srogi Wład odmówił. Był zazdrosny o miłość swej płomiennowłosej żony do matki, więc wygnał staruszkę, i to w jednej koszuli na grzbiecie. Oszalała z rozpaczy Sofia którejś nocy wykradła się z zamku, zabierając owiniętego w ciepłe okrycie synka, i dotarła do chaty matki. Żywiły się okruszkami sera i kozim mlekiem. A potem wyruszyły w drogę przez lenna pana aż do błękitnego Dunaju, przepływającego przez Budę i Peszt, by tam się skryć w miejskim tłumie i wychować dziecko z dala od okrutnego ojca.

- Oczywiście Wład wyczuł, co się święci - niecierpliwiła się Alex.

- Tak. i znów posłał po mędrca, a ten powiedział, że tylko czarownica, której ciemna magia większa jest niż moc ognistowłosej dziewczyny, może mu sprowadzić żonę i syna. Czarownica, obdarowana sakiewką pełną srebra, zmieniła się w wielkiego czarnego ptaka i obleciała cały kraj, aż znalazła dziewczynę, jej matkę i chłopca, którzy przedzierali się przez bagna nad rzeką.

- Czy udało im się uciec? - spytała Alexis. - Zastrzeliły ją?

- Czarownica, przyjąwszy ludzką postać, stanęła przed nimi...

- W kłębach dymu?

- Prawdopodobnie - ciągnęła Lorraine. - I krakaniem wezwała wieszca, który właśnie przejeżdżał w pobliżu na wielkim czarnym bojowym rumaku. Porwał małego księcia i rozkazał dziewczynie, aby ta zostawiła matkę i wracała do męża.

- A ona odmówiła - powiedziała Alex. - Ja nie zostawiłabym mojej mamy.

- Odmówiła. Powiedziała po węgiersku, a tego języka nie znam... Wiesz, pewien naukowiec myślał kiedyś, że ponieważ język węgierski jest tak różny od języków innych narodów europejskich, Węgrzy pewnie pochodzą od Marsjan! Moja córka, Georgia, była z pochodzenia Węgierką, i czasami lubiła sobie wyobrazić, że pochodzi z Marsa.

- I co powiedziała? - dopytywała się Alexis.

- Twierdziła, że jest z Marsa, że została zrzucona na podwórze ze statku kosmicznego. A może mówiła tak o Gordiem? Już nie pamiętam...

- Ale co powiedziała księżna Sofia!

- Ach tak, księżna powiedziała: „Będę stać w tym miejscu, dopóki nie oddasz mi dziecka. Nie ruszę się stąd. Raczej zostanę tu przez całą wieczność, niż miałabym patrzeć na to, jak ten zły człowiek wychowuje mojego synka”. I wtedy czarownica zmieniła księżnę w drzewo. W delikatną białą brzozę. Potem czarownica i wieszcz zawieźli dziecko do zamku. Matka żałośnie płakała przez wiele, wiele dni, aż inna czarownica, dobra, usłyszała jej krzyk. I widząc rozpacz matki, zmieniła ją w wierzbę, tak by mogła zawsze stać przy córce i chronić ją. I dlatego brzozy rosną nad rzekami blisko wierzb płaczących.

- To najsmutniejsza bajka, jaką słyszałam - powiedziała Alexis. - A on odzyskał dziecko?

- Tak. Owszem, to smutna historia. Węgrzy są radośni tylko wtedy, kiedy tańczą albo robią doświadczenia chemiczne. Mają wielu uczonych. A każdy Węgier, który nie jest uczonym, jest melancholikiem. Wszystkie bajki mojej babci smutno się kończyły. Wiesz, Georgia tak samo jak ty reagowała na tę bajkę. Mówiła zawsze: „Udawajmy, że chłopczyk też miał magiczną moc; wrócił i zamienił brzozę i wierzbę z powrotem w dziewczynę i jej małą mateczkę”.

- Małą mateczkę?

- Tak mnie nazywała. Mała mateczka.

- Pani jest mała.

- Czy chcesz się czegoś napić, Alexis? To znaczy, Alex.

- Chętnie. Coli.

- Nie fnamy.

- To w takim razie wody.

Siedziały obok siebie, słuchając tykania kuchennego elektronicznego zegara, a kiedy Keefer się obudziła, oglądały *Czarodzieja z Oz*, dopóki nie zjawił się Craig. Była prawie dziesiąta.

- Nie wiem, jak mam pani dziękować - powiedział. - Już jest dużo lepiej.

- Czy Keefer pojedzie... - zaczęła Alexis.

- Wszystko jest w porządku - przerwał jej Craig stanowczo. - Zaraz jedziemy. Przepraszam, że przetrzymaliśmy małą do późna. Będziemy jutro rano mieć śpiącą królową.

Lorraine ucałowała Keefer, która spoglądała ponad jej ramieniem i spytała sennie:

- Dory...?

- Tak - powiedziała Alexis. - Wysłuchałyśmy świetnej historii, Craig. Muszę ci opowiedzieć jedną smutną bajkę o Drakuli...

Lorraine z trudem zamknęła drzwi, walcząc z napierającym na nie, smagającym wiatrem, kiedy znów usłyszała stukanie do drzwi. To była Alexis.

- Mama prosi, aby podziękować, że pani się mną zajęła, choć już mam prawie piętnaście lat - wyjaśniła. Jak z ulgą zauważyła Lorraine, Alexis miała płaszcz i nawet go włożyła.

- Proszę bardzo - odrzekła Lorraine.

- Czy mogłabym kiedyś panią odwiedzić?

- Będzie mi miło, Alex - odparła Lorraine, myśląc, och, wielki Boże, a to się mama ucieszy z tego pomysłu!

Zamiast wrócić do środka, Lorraine wzięła z wieszaka szal i stała na ganku, patrząc, jak Craig i Alex sadowią Keefer z dziecięcym kubeczkim w łapce, a Delia opada ciężko na przednie siedzenie. Samochód ruszył, światła stopu rozbłyły, gdy przystanął na chwilę przed znakiem, potem przygasły, aż w końcu całkiem zniknęły. Zaczął padać lekki, drobny śnieg. Dorożkarską latarnię na końcu ścieżki otaczała różowa aureola, przywodząca na myśl maki Georgii O'Keeffe, z płatkami ciepłymi i ochoczymi jak ludzka twarz, a środkami zimnoniebieskimi jak embrioniczny księżyc.

*

Kiedy synek wreszcie zasnął, Emily Sayward skuliła się w kącie kanapy. Jamie nastawił magnetowid i włączył nagraną w piątkowe wieczorne wiadomości taśmę, którą mieli obejrzeć podczas weekendu, ale jakoś im się nie udało z powodu ciągłych zajęć, takich jak zakupy, gotowanie i gra w hokeja. W milczeniu patrzyli na gubernatora składającego podpis, na pełne łez oczy Lorraine, rozradowany uśmiech Gordona, migawkę ze zdjęciem Raya i Georgii trzymających dziecko w stroju do chrztu. Nikt - ani żaden z przyjaciół, ani panie w drogerii, które przystanęły z boku, szepcząc, kiedy weszła kupić koszyk z kosmetykami dla matki na urodziny, ani dziewczyna w Safewayu, która wystawiła tabliczkę „nieczynne”, kiedy Emily zbliżyła się do kasy, ani nawet młody człowiek w departamencie robót publicznych, który powiedział jej sucho, że zabierze się do tego, jak będzie miał czas, a chodziło o to, że sterta śniegu, chyba z całego kwartału została zwalona przy końcu podjazdu Saywardów - nie skrytykował otwarcie choćby jednym słowem jej decyzji. Po rzuceniu okiem na kilka z kilkudziesięciu listów, które wręczył jej urzędnik, poprosiła o wciągnięcie ich do akt. Kiedy zaczęły się głucho telefony, Jamie zaproponował, że zmieni numer na zastrzeżony, ale Emily się uparła, żeby przeczekać. Telefonów było stopniowo coraz mniej, aż wreszcie ustały. W gazetach przytaczano wypowiedzi McKennów i czuła ulgę, że nie traktuje ich jako wymierzonych w nią osobiście. Ten gniew miał charakter symbolu, nie był skierowany przeciw jednej osobie. Gdyby nie na nią trafiło, byłiby to Aaron Kid albo Kendall Crowell. Każdy z jej kolegów postąpiłby tak samo.

Jamie obejmował ją, kiedy oglądali ostatnie chwile relacji; pointa reporterów: jakie to zadziwiające, że jedno słowo może zmienić całą przyszłość rodziny! Na koniec życzyli tej biednej rodzinie jak najlepiej.

- No i tak - westchnął Jamie. - Dobrze się czujesz? To wcale nie znaczy, że sąd apelacyjny...

- Owszem, znaczy - powiedziała mu Emily - ale jestem na to przygotowana. Ta malutka jest tam, gdzie powinna być. U Cadych. Ale oczywiście to było złe prawo i należało je zmienić.

Czekali.

Apelacja dotycząca dziecka miała być „przyśpieszona”.

Dzieciństwa nie da się odłożyć na potem ani przedłużyć.

Pozew o apelację został przyjęty jeszcze przed Bożym Narodzeniem przez Trzeci Okręgowy Sąd Apelacyjny, a teraz Greg Katt wyjaśnił McKennom, że złożenie pozwów później choćby o godzinę mogło spowodować odrzucenie prośby. Od razu też w ciągu określonego urzędowo czasu przewidzianego dla każdego z pozwów wpłynęły jednocześnie: apelacja Gordona, odpowiedź Cadych oraz pozew złożony w imieniu McKennów przez przedstawicieli Amerykańskiego Zrzeszenia Adwokatów Spraw Adopcyjnych. Dopiero na początku maja, po podpisaniu poprawki do ustawy stanowej numer sześćset, formalności zostały dopełnione.

Kiedy już wszystkie dokumenty zostały złożone, miał je przejrzeć skład sędziowski i zgodnie z obietnicą rozpatryć sprawę w „trybie przyśpieszonym”. Ale rozpatrzenie poprzedniego wyroku, a także zapoznanie się z poprzedzającymi go przesłuchaniami, z przebiegiem apelacji i historią ustaw mówiących o statusie adoptowanych dzieci, mogły potrwać wiele tygodni. Gdy jeden z trzech sędziów był chory albo na urlopie, posiedzenia przerywano i wznawiano, kiedy znów zebrał się cały skład.

Keefeer miała dwa lata i miesiąc. Potem miała dwa lata i trzy miesiące.

Czekali.

Na wyprzedaży garażowej, na jaką się natknęli, jadąc w piątkowy wieczór do Madison, kiedy z powodu przedłużającej się choroby Delii musieli sami przywieźć Keefeer, Lindsay zauważyła rowerek na trzech kółkach, którego gumowe, odlewane ręczki były zakończone czerwonymi i żółtymi pomponami. Miał duże, staroświeckie nadmuchiwane opony i siodełko w kształcie siodła jak z westernu. Na początku przyglądali się nieufnie. Na wyprzedaży, która wydawała się bardziej upokarzająca dla kupujących niż dla sprzedających, proponowano pięć koszul na krzyż i kilka butelek starego fluidu. Ale rower wyglądał solidnie i był niezwykle tani:

dziesięć dolarów. Kupili go, a Keefer paplała „mój lowelek, mój lowelek” przez całą drogę do domu. Kiedy już na nim usiadła, nie można jej było oderwać od siodełka. Nawet po kąpieli krzyczała, żeby dać jej jeszcze pojeździć, i Lindsay sfotografowała ją, jak nagusienka, tylko w hełmie rowerowym, z zapalonym pedałem w kółko przez sypialnię, dookoła kanapy w salonie i z powrotem do łóżka. Gordon niepokoił się tym zdjęciem, nawet kiedy Lindsay skrzyczała go, że ma paranoję. Najtańsze odbitki i najszybciej robili w małym zakładzie Kodaka, a tam kto z tysiąca dusz miasteczka miałby oglądać zdjęcia nazwane przez Lindsay „naga panna na rowerze”? Pozwolili Keefer jeździć do dziesiątej, dali jej obrzydliwie słodkie płatki z mlekiem, które zjadła wykwintnie łyżką, a potem ułożyli ją do snu na psim posłaniu, za małym na jej długie już nóżki. Spojrzała na nich pytającym wzrokiem, głaszcząc wyściółkę z kozucha, i spytała:

- Ładne?

Bardzo ładne, zapewnili, to kochane łóżeczko Keefer u Dory'ego. Już miał zaproponować Lindsay, żeby sobie poszła, kiedy uderzył go jej widok głaszczącej włosy Keefer, jak na reprodukcji obrazu Mary Cassatt, wiszącej u niego na drzwiach szafy*. Gdy Lindsay zaczęła składać swoje rzeczy, zabrał je od niej i wziął ją w ramiona. Rano obudziła ich Keefer, która wsadziła Gordonowi palec do nosa i zaszczebiotała:

- Licho, cześć, likho.

W następnym tygodniu Gordon otrzymał zaproszenie: rodzice Carla Jurgensa prosili o zaszczytowanie swoją obecnością ślubu ich syna z Person Corcoran, córką doktorostwa Havenów Corcoranów z Boca Raton. Świątce przekonany, jeszcze nawet w trakcie wykręcania numeru, że chce tylko pogratulować, zadzwonił do starego przyjaciela, ale natknął się na automatyczną sekretarkę. Następnego dnia Jurgen oddzwonił do niego. Najpierw rozmawiali o niczym, o zdrowiu rodziców, o zbliżającym się ukończeniu przez Jurgena studiów prawniczych i o nieuniknionej potem pierwszej sprawie. Jurgen obserwował bacznie rozwój wydarzeń, pozostając w stałym kontakcie z Dianą i dużym Rayem, zarówno kiedy mieszkali w Madison, jak i kiedy przebywali na Florydzie.

* Mary Cassatt (1845-1926) - amerykańska malarka, której dzieła (zwłaszcza przedstawiające matki z dziećmi) zdradzają wpływ Degasa i innych impresjonistów.

Starsi państwo Nye bardzo martwili się konfliktem - dla nich sprawy rodzinne przedstawiały się całkiem prosto, wyjaśnił Jurgen.

- Chyba jednak wiedziałeś, że to nie jest aż takie proste - zauważył w tym momencie Gordon.

- Owszem, stary, to było widać od początku.

- A ty podszeptąłeś im, co mają robić. Pomogłeś im obmyślić...

- Nigdy nie byłem ich radcą prawnym, jeśli o to ci chodzi. Ale zarówno tata, jak i ja... po prostu nie mogliśmy odmówić im pomocy w znalezieniu odpowiednich ludzi. Myślałem, że mężulek Alison pewnie ustąpi, i że to oni będą się starać o adopcję. To byłoby najlepsze rozwiązanie.

- Naprawdę? Skąd ta pewność?

- No bo tamte dzieci są mniej więcej w tym samym wieku, miałyby siostrę zamiast kuzynki, sam rozumiesz. A Alison i Andy prowadzą bardziej... cóż, normalniejsze życie towarzyskie niż Delia i Craig.

- Masz na myśli sprawy kościelne?

- Tak, ale to chyba nie jest najważniejsze.

- Carl, dla mnie to bardzo ważne!

- Wiem, stary, lecz wszystko to wydaje się wredne. Paskudna sprawa. No nic, tak się jakoś porobiło. Nie miej mi za złe, Gordie, ty przecież nie jesteś typem domatora. Przynajmniej na ile cię znam. Dziwi mnie, że ja wpadłem. Pearson jest świetna. Doskonały backhand. Doskonały tyłek. Laska jak wszyscy diabli. Wiesz, poznałem ją zaledwie trzy miesiące temu. Pierwszą randkę mieliśmy na Wielkanoc, taką niewinną. A skoro o tym mowa, jak się miewa nadobna Lindsay? Nadal razem gotujecie?

- Chciałbym najpierw skończyć rozmowę o tamtym...

- Dobra. Nie ma sprawy! Nie chcę, żebyś myślał, że żyjemy jakieś wrogie uczucia w stosunku do ciebie czy twojej rodziny. Gordo, dla nas to zawsze było oczywiste... Ray był naprawdę blisko związany z rodziną, stary. Nie zaznałby spokoju w grobie, wiedząc, że dziecko będzie wychowywane bez tych wszystkich, no bajerów, i tego... no... czuł się zawsze taki nie na swoim miejscu tam, u was. My mamy określony styl życia, Gordie, zupełnie inny niż wy. Może to zabrzmieć dziwnie. Ale w Jupiter wszyscy się znają...

- Znasz dużo osób z dzielnicy hiszpańskiej?
- Jurgen zamilkł na chwilę.
- To znaczy znają się ludzie z sąsiedztwa.
- Więc nie znasz wszystkich w Jupiter, tylko tych, którzy należą do elitarnego klubu: Beaumontów, Cabotów, Lowellów, Rockefellerów...
- Gordie - Jurgen zaczął się śmiać. - O co ci, stary, do licha, chodzi?
- Czy tak trudno zrozumieć, że moja siostra czuła dokładnie to samo w stosunku do swego rodzinnego miasta? Że Keefer miała dwoje rodziców? Że my też mamy swój styl życia i swoje bajery i że nawet jeśli nie roztkliwiamy się za bardzo i nie nazywamy wszystkich „skarbie, kochanie i laleczko” co pięć minut, to łączą nas serdeczne więzi?
- Na pewno tak jest. - Łagodny głos Jurgena stał się oficjalny, daleki.
- I pewnie zgodzisz się z tym, że nawet Ray, przynajmniej kiedyś, uważał, że Keefer będzie szczęśliwa i bezpieczna wśród ludzi dobrze jej znanych.
- Wiem, jak szczerze był ci wdzięczny za to, co zrobiłeś dla Georgii - odparł stanowczo Jurgen. - A teraz, Gordie, może lepiej zmienimy temat. Bo ty i ja...
- On był moim przyjacielem.
- Był twoim przyjacielem.
- I ty byłeś moim przyjacielem. Byłeś moim wielkim przyjacielem. Byłeś mi nawet bliższy niż Ray. I wiesz, myślę, że mogłeś zachować się bardziej lojalnie. A już przynajmniej, skoro nie mogłeś wykazać się lojalnością, przynajmniej mogłeś zachować neutralność.
- Gordie, odpuśćmy sobie tę rozmowę!
- Carl, ja też wolę odpuścić sobie tę rozmowę. Inne również.
- Słuchaj, stary, to minie, kiedyś spojrzysz na to inaczej. Wróćmy teraz do dawnych czasów. Spodziewam się, że pomożesz mi unieść...
- Wracając, Carl, nie idziemy naprzód. -I Gordon odłożył słuchawkę, omal jej przy tym nie upuszczając, jakby go parzyła, a ręce mu drżały zupełnie jak dziadkowi McKennie. Może też ma chorobę Parkinsona, pomyślał. Nie, on i dziadzio McKenna nie byli biologicznie spokrewnieni.

Czekali.

Nora nigdy przedtem nic zauważyła, jak niewiele było pracy na farmie. Nawet sadzenie odbywało się sprawnie, może nie tyle bez niej, co bez jej ciągłej czujnej uwagi, którą przyzwyczała się przez tyle lat temu poświęcać. Z pewnością działo się tak między innymi dlatego, że szparagi właśnie dojrzały. Szparagi robiły wszystko same, z wyjątkiem wskakiwania do skrzynek. Marty rzucił pracę i pomagał ojcu przez cały czas, a wieczory spędzali nad broszurami o racjonalizacji i rozszerzaniu działalności, o chowie kurcząt czy o racjonalnym rolnictwie. Apelacja zdawała się przeciągać w nieskończoność.

- Ile czasu potrzeba inteligentnym ludziom, żeby zrobić to, co jest słuszne? - Pewnego wieczoru Nora zapytała Hayesa, dodając: - Z pewnością nie chciałabym znaleźć się w celi śmierci.

- Nie mamy cel śmierci w Wisconsin - mruknął Hayes.

- Wiem, stary zrędo - odparła twardo. - Ja tylko tak mówię, podaję przykład.

Choć Hayes zachowywał się przyzwoicie od tamtej kłótni, nadal niezbyt chętnie rozmawiał o całej sprawie.

Nora, objijająca się często bez zajęcia, na ochotnika zgłosiła się przejąć po Helen Wilton przewodniczenie parafialnemu kołu pań i godzinami siedziała w lśniącym, zakurzonym cichym kościelnym wnętrzu, planując wyszukane dekoracje na niedzielne msze z polnych kwiatów, a nawet zwykłych chwastów, łączonych z ogrodowymi kwiatami. Jeździła na wyprzedaje garażowe w poszukiwaniu wazonów, urn, starych butelek na mleko, srebrnej suszonej szaławii, winorośli i bazi. Dopiero kiedy ksiądz Barry wyraził obawę, że można potknąć się o skrzynki z kwiatami podczas komunii, Nora pohamowała swoje zapędy. Nadal jednak spędzała popołudnia w kościele. Tak niewielu ludzi przychodziło w ciągu dnia do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej Jeziora, że Nora nie musiała przejmować się swoim roboczym kombinezonem czy trwać odrastającą szybko jak rześa na stawie. Czasami zatracala się w modlitwie, która pochłaniała ją jak sen. Modliła się do świętego Tadeusza Judy, patrona spraw beznadziejnych, nie dlatego, że się obawiała, iż ich sprawa jest przegrana, ale uważała, że nigdy nie zaszkodzi ubezpieczyć się dodatkowo. Modliła się do świętej Anny, pokornej matki; do Małej Świętej Tereski ze względu na jej powszechnie znane umiłowanie dziecięcej natury; do świętej Ka-

tarzyny Sieneńskiej, ponieważ ta wierzyła w czyn i była prześladowana za upór; do świętego Antoniego, patrona adopcji; świętego Mikołaja Męczennika, bo pamiętała tę straszną legendę o trzech chłopcach, których przywrócił do życia, kiedy jakiś psychotyczny rzeźnik chciał ich zamarynować; do świętego Tomasza Apostoła, początkowo niewiernego, i wreszcie do świętego Fidelisa, ponieważ był miejscowym świętym.

W marzeniach błagała Niebo o znak stałego zainteresowania sprawą apelacji, bo nie mogła być pewna, czy to spełnienie i ta łaska, które ją przepełniały podczas modlitwy, są odpowiedzią Boga czy echem jej błagań. Kiedyś, zwłaszcza w okresach zadowolenia z życia, Nora wybierała krótsze, pokorniejsze formy zwracania się do Stwórcy, przy czym ulubioną jej modlitwą były słowa: „Nie moja, ale Twoja wola”; teraz jednak nie potrafiła wyłącznie do nich się uciekać. Bóg potrzebował konkretnych, jako że bez wątpienia w każdym ułamku chwili miliony szturmowały niebo, a boski Sędzia był tylko jeden na to wszystko.

Lorraine chętnie powitałaby w życiu chwilową odmianę w postaci czystego, obezwładniającego szaleństwa. Ze względu na ogrom poniesionych strat należało jej się nieco słabości i ekscentryczności. A tymczasem życie nie pozwalało na nerwowe załamania. W maju wypadła ich trzydziesta piąta rocznica ślubu. Zjedli kolację za bon upominkowy - nadesłany przez życzliwego ofiarodawcę, anonimowego, dlatego nie mogli grzecznie odmówić — w wykwintnej restauracji w Merrill, specjalizującej się w rybach i owocach morza. Lorraine zgodziła się na chilijskiego morona w sosie tymiankowym, mówiąc, że nie ma nic przeciwko tak miłej propozycji, ale kelner zareagował zakłopotanym uśmiechem. W ciągu następujących dwóch tygodni zajęcia w szkole zmierzały do oficjalnego końca roku, czemu zawsze towarzyszyły pokazy prac uczniów; w tym kulminacyjnym momencie ich wysiłek skupiał się na prezentach dla rodziców - na rzeźbach, które - jak Lorraine doskonale wiedziała - będą zajmowały honorowe miejsca w domu rodzinnym jeszcze długo potem, gdy dzieci założą swoje własne gniazda.

Tymczasem machina, rozgłaszająca wszem i wobec wieści o tragedii, toczyła się teraz siłą rozpędu; Lorraine towarzyszyła te-

mu procesowi, pozując do zdjęć do artykułów przygotowanych kilka miesięcy wcześniej, a także dała się namówić na rozmowę w sprawie propozycji z wydawnictwa „Redbook”. Chciano, by napisała książkę. Do roboty miałyby jedynie - jak zapewniał redaktor, który do niej zadzwonił - sporządzenie opisu faktów; kto inny tekst wygładzi i przygotowuje do druku. Ale nawet samo opisanie faktów zajęło siedem nocy spędzonych przy jednym stole z Nora, pracowicie sprawdzającą wydarzenia i daty, których Lorraine nie mogła sobie przypomnieć.

Podczas seminarium w Wausau na temat integracji sztuki z innymi przedmiotami objętymi programem szkolnym - trwającego przez cały dzień podczas weekendu Memoriał Day*, kiedy mieli Keefer- do Lorraine podeszła kobieta, która najpierw poprosiła ją o autograf na artykule opublikowanym w „Woman's Day”, a potem złożyła jej wyrazy współczucia z powodu utraty „adoptowanej” wnuczki. Szklana ściana ignorancji poraziła i zniechęciła Lorraine, która mimo to spokojnie i dokładnie wyjaśniła, że nie adoptowała wnuczki, że adopcja miała miejsce w rodzinie na długo przed urodzeniem się Keefer. Zadzwoniła do nich Patty Roe z Akademii Amerykańskiej i powiedziała, że tak naprawdę istnieje nie jedno, ale trzydzieści sformułowań dotyczących biologicznego pokrewieństwa w Kodeksie Praw Dziecka, i że jej zdaniem prawo nie będzie naprawdę dobre, dopóki do wszystkich nie zostaną uchwalone poprawki. Greg Katt nie obciążał ich już za telefony, jakie miał trzy razy w tygodniu z relacją o argumentach strony przeciwnej, o punktach, które udało się zbić, i o pytaniach od zespołu sędziowskiego. McKennowie winni byli Gregowi Kartowi i jego ludziom ponad czterdzieści tysięcy dolarów, przy czym wciąż rysowała się przed nimi perspektywa nowego procesu ze wszystkimi towarzyszącymi mu kosztami. Lorraine i Mark w sekrecie złożyli wizytę synowi Soderbergów i obciążyli hipotekę dawno spłaconego domu przy Cleveland Avenue.

Lorraine trzymała kapelusze z dala od łóżek, a buty z dala od stołów. Starannie zamykała parasol, zanim weszła do domu. Postanowiła sobie, że w długie majowe wieczory zrobi porządek w rzeczach Gordona i Georgii z czasów, gdy byli nastolatkami, ale

* Memoriał Day - święto upamiętniające Amerykanów poległych podczas wszystkich wojen, obchodzone w większości stanów 30 maja.

niemal od razu odciągnął ją od tego zamiaru podręcznik do biologii Gordona. Zabrała książkę na swoje biurko. Za pomocą węgla i resztek pastelii zaczęła szkicować to, co do sierpnia miało się stać cyklem czternastu - w znacznej części rysowanych z wyobraźni - powiększeń pociętych na cienkie nitki komórek: krwinki czerwonej sierpowatej, komórki rakowej, zdrowej komórki czerwonej krwinki. Zatytułowała go „Życie komórek”.

Emerytura - Mark sobie to uświadomił, kiedy wciąż czekali ~ oddalała się coraz bardziej i bardziej, znikając z horyzontu. W porządku. W zakładach Medi-Sun zatrudniano nawet siedemdziesięcioletnich chemików, było to wręcz powodem do dumy, że w ten sposób zapewnia się byt starszym kolegom. Choć Northern Mutual przyznało im pięćset tysięcy dolarów, na czek trzeba było poczekać trzy miesiące. Za pośrednictwem prawników obie strony zgodziły się do czasu podjęcia ostatecznej decyzji sądu udzielić pozwolenia Great Wisconsin na zarządzanie majątkiem. W trakcie zebrania poświęconych sprawie dziwacznych roszczeń (między innymi kobiety, która za zapalenie uchyłka obwiniała cztery tysiące miligramów witaminy C przyjmowanej codziennie od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku!) z wolna olśniło Marka, gdy skojarzył różne uwagi i komentarze oraz migawki wspomnień z corocznych pikników Medi-Sun na Fidelis Hill z dziwną atmosferą panującą w sali konferencyjnej - zwłaszcza kiedy podczas wystąpienia prawnika korporacji stał się obiektem ukradkowych spojrzeń innych menedżerów - że jeden z ich radców prawnych, Jamie Zavara, jest mężem sędziny Sayward. W pierwszym odruchu Mark chciał zaprzyjaźnić się z młodym człowiekiem; w końcu jest to małe miasto, pracują w jednej firmie. Ale sposób zachowania się kolegi, jego chciwa, wręcz pazerna inteligencja, zniechęciły go. W związku z tym po cichu poinformował szefa, że odłączył z działem prawnym będzie komunikował się za pomocą notatek służbowych.

Pewnego wieczoru zadzwonił Dale Larsen i zaprosił Marka na męskiego brydża razem z kilkoma zastępcami, Budem Chaptmanem i Hartem, dyrektorem szkoły średniej. Mark poszedł i z wdzięcznością wypił znacznie więcej piwa, niż na niego przypadało. Wymamrotał więc, że pójdzie do domu piechotą, ale Dale, który — jak Mark zauważył - sam wychylił nie mało, odwiózł go wolniutko do domu wozem patrolowym. Dale namawiał żonę,

żeby zaprosiła Lorraine na babski wieczór. Jednak Sheila nie miała odwagi zaproponować coś takiego Lorraine, której nowa fryzura i wizerunek publiczny onieśmiały znajomych, bo uważali jej zachowanie za zbyt wyniosłe; zniechęcało to do wszelkich prób nawiązania kontaktu, co zdarzało się już wcześniej, jeszcze przed tragedią. Dale zaczął rozumieć, dlaczego jednorazowe, tragiczne wydarzenie przyciąga gapiów i skłania ich do szlachetnych gestów, a długotrwałe nieszczęście odpycha i zatwardza serca. Osamotnieni w swej walce McKennowie prawdopodobnie bardziej potrzebowali przyjacielskiej interwencji życzliwych im osób teraz niż podczas choroby Georgii, kiedy odwiedzający tłoczyli się na ścieżce prowadzącej do domu przy Cleveland Avenue. Założenie jest takie, że ludzie pokazujący się w telewizji już nie potrzebują innych, snuł refleksję Dale.

Nalegał, aby żona zaprosiła Lorraine przynajmniej na lunch. Jako mężczyzna uważał, że sam nie może tego robić bez narażania się na plotki, które byłyby tym gorsze, że tak naprawdę miałyby podstawy. Dale Larsen był całym sercem z Lorraine, i to nawet za bardzo, co skłaniało go do słodkiego, a jednocześnie niepokojącego przyznania się przed samym sobą, że ludzie po pięćdziesiątce też mogą podkochać się w kimś w sekrecie. Kiedy pewnego wieczoru Sheila, już położywszy się do łóżka, oznajmiła mu, że Lorraine przyjęła zaproszenie na spotkanie w porze lunchu, Larsen porwał żonę w niedźwiedzi uścisk. I dopiero po północy ostatecznie się rozdzielili, żeby zapaść w bezpieczne zacisza swoich stron łóżka, ociągając się, dysząc, a przy tym odczuwając w duchu wdzięczność i ogromne zdziwienie przypływem namiętności, którą-jak im się zdawało - pogrzebali wiele lat temu, w dniu narodzin Triny.

Pewnego wieczoru, oglądając specjalny reportaż Toma Brokaw, zatytułowany „Ważniejsze niż krew?“, Emily Sayward i jej mąż omówili pokrótce pomysł powrotu na Wschód i rozpoczęcia wspólnej praktyki. Dyskusja okazała się bezprzedmiotowa. Jamie kochał swoją pracę. A Emily kochała spokojne, bezpieczne życie nad jeziorem Hat, jakie mogli zapewnić swemu synowi Emory'emu, który miał zacząć szkołę jesienią. Później, tego samego wieczoru, kiedy rozbierali się w ciemnościach, Jamie zasugero-

wał, że może nadszedł czas na następne dziecko: małego braciszka albo siostrzyczkę dla Emory'ego, i choć Emily natychmiast się zgodziła i jeszcze tej nocy wyrzuciła krążek, następnego ranka wspomniała o swoim niepokoju, że ma już trzydzieści osiem lat. A co będzie, jeśli nie zajdzie w ciążę? A co, jeśli będą problemy? Kiedy Jamie, zajęty wymianą spróchniałej deski na pomoście, odpowiedział, że zaadoptują dziecko - nikt w Kolumbii nie słyszał nawet o Tomie Brokaw - irracjonalnie i ostentacyjnie nie odzywała się do niego przez cały dzień.

Pod koniec maja na polu Sandpiper Reserve podczas ostatnich godzin poświęconego Raymondowi Nye'owi Juniorowi turnieju, którego dochód przeznaczony był na zgromadzenie funduszy na stypendium dla Keefer Kathryn, duży Ray poczuł najpierw mrowienie w lewym ramieniu, potem stracił w nim czucie, i zapewne - jak przypuszczał - ze strachu wywołanego nagłym galopem serca zwymiotował w niewielkim barku przy dziewiątym dołku. Pomimo jego słabych protestów Haven Corcoran i Lee Jurgen zapakowali go do samochodu. Jeszcze tego popołudnia Ray znalazł się w sali prywatnego szpitala Tampa Memoriał, gdzie następnego ranka przeszedł angiografię. Zbyt wiele bekonu i jajek, wspomniął łagodnie kardiolog, pokazując wymownie jego brzuch. Zostawić meleksa na polu golfowym i od tego dnia chodzić na piechotę, doradził później doktor.

Wieczorem przybyła z Wisconsin Diana. Załamywała ręce, błagając go, żeby nie umierał, nie mogłaby znieść tego więcej. Tylko nie to! Jej życie jest jednym wielkim pasmem następujących po sobie tragedii... Uciszył ją, wziął za rękę i wyznał, o kim myślał, kiedy wprowadzano mu lodowato zimny płyn do żyły. Tym kimś był Gordie McKenna.

- No już, nie zadreżczaj się - pocieszył ją szorstko. - Przyszło mi do głowy, że powinniśmy nawiązać z nim stosunki.

- Nawiązać stosunki?

- Gdy leżałem tutaj, w tym pokoju, nie wiedząc, czy dożyję następnego dnia, zacząłem sobie przypominać, kiedy pierwszy raz Ray przyprowadził Gordiego do naszego domu. Pamiętasz? To było po weselu Caroline. Obaj zjawili się o piątej rano i wyciągnęli mnie z łóżka. „Tato! Mamy ochotę na piwo i jajecznicę! - po-

wiedział Ray. - Piwo i jajecznicza, tego ci potrzeba, tato!" Obaj w tych wielkich szortach, jakie noszą surferzy; Ray wskazuje na łóżko, ty drzesz się...

- Ray, co to ma znaczyć, kochanie?

- Chodzi o to... kiedy mi się zdawało, że umrę, pomyślałem sobie, Diano, że dziecko jest właśnie tam, gdzie powinno być, z wyjątkiem... Jest tylko jeden poważny wyjątek. Gdyby któraś z naszych córek gorąco pragnęła wychowywać jedyne dziecko naszego syna. Taka jest prawda, i ty dobrze o tym wiesz. A Gordie je chciał. To był dobry chłopak wtedy i teraz też jest dobry, a mój syn, mój syn kochał Gordiego. - Duży Ray oddychał wolno. Nie mógł oprzeć się uczuciu, że jego ciało zrobione jest z jakiegoś kruchego materiału, niczym kryształowe koty Diany, puste w środku. - Mówię ci. Chcę, żebyś napisała do Gordiego i jego rodziny i spróbowała im zadośćuczynić. Nie twierdzę, że kiedykolwiek będziemy w stanie im to wynagrodzić, ani nawet że mogliśmy postąpić inaczej. Pragnę gorąco, żeby Keefer Kathryn została wychowana jak Nye'ówna. Ale także chciałbym zachować czyste sumienie...

- Lorraine McKenna nigdy nie...

- A jeśli ty nie napiszesz, to gdy tylko wstanę z łóżka, sam napiszę.

Nazajutrz przyniosła mu list, który zaczęła układać.

Pewnego dnia wczesnym wieczorem Tim Upchurch ujrzał Lindsay i Gordona idących z Keefer Main Street. Oboje trzymali ją za rączki - krok, krok i hop. Już miał zahamować i podejść, kiedy poczuł przypływ niespodziewanej niechęci. Zatrzymał się więc tylko i patrzył. Krok, hop. Krok, hop. Włosy dziewczynki były długie i falujące jak włosy Georgii. Wzrok Lindsay, gdy spoglądała na Gordiego, przypominał słońce. Oczyma duszy Tim ujrzał własną pięść w zetknięciu z idealnymi, dużymi zębami swego najlepszego przyjaciela. Taki byłby dla niej dobry. Traktowałby ją, kurwa, jak księżniczkę. Tim patrzył, jak znikają za rogiem przy lokalu Hubble'a. Stanowili rodzinę. Dla niego nie było tam miejsca.

Tuż za przedmieściami departament straży pożarnej przeprowadzał ćwiczenia na jednym ze starych zabudowań gospodarczych

Rydera, jak się Timowi zdawało, na spichlerzu. Pomyślał, że mógłby tam pojechać, może udałoby mu się przyjrzeć choć z daleka tej apetycznej mamusce, Alicii, którą spotkali przypadkiem w Black Wolf. Gordie najwyraźniej nie połknął przynęty po tym wspólnie spędzonym wieczorze. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy Tim załapałby się na resztki po Gordiem, ale resztki po nim były lepsze niż po kimkolwiek innym. W tym tkwił sęk. I tak żadna kobieta po trzydziestce nie zainteresowałaby się Timem poważniej niż na jedną noc szaleństwa. W końcu co w tym złego? Jedna noc szaleństwa była czymś, w co Tim zdecydowanie gotów był zainwestować.

Greg Katt czekał jak człowiek, który wie, że w dogrywce ma dwie ważne karty schowane w rękawie.

Nie przypominał też sobie, żeby kiedykolwiek w swoim profesjonalnym życiu czuł się pewniej niż teraz. Codziennie wstawał o świcie, przytulał żonę, całował dwie małe córeczki i spokojnie biegał, nawet w strugach ciepłego deszczu, po czym jechał samochodem do pracy, śpiewając po drodze przeboje Arethy. W tej szeroko znanej, najgłośniejszej i najbardziej poruszającej sprawie, w jakiej kiedykolwiek brał udział, nie czuł już lęku. Jedynie odwagę.

To będzie jak przechadzka po parku.

Pójdą na dno. Legną w gruzach.

Opinia przygotowana przez Roba Greenbauma i Patricię Roe, reprezentujących Akademię Prawników Zajmujących się Adopcją, była niczym elegancki, stary dom z drzwiami szeroko otwartymi na powitanie Gordona McKenny. Wyłączenie Gordona z procesu stanowiło całkowite zaprzeczenie wszystkich innych ustaw, w liczbie czterdziestu ośmiu, w tym Kodeksu Praw Dziecka, który był najdokładniejszy. Rob i Patty cytowali z rozdziału „Skutki adopcji” dwa krótkie zdania z paragrafu czterdzieści osiem punkt dziewięćdziesiąt. Po adopcji więź między rodzicem a dzieckiem jest rozumiana jako obejmująca „wszelkie prawa, obowiązki i inne prawne konsekwencje naturalnej relacji dziecka z rodzicem”.

Poszli dalej: nawet jeszcze przed uchwaleniem poprawki, gdyby Ray i Georgia Nye byli złymi rodzicami i odebrano by im są-

downie prawa rodzicielskie. Gordon znalazłby się wśród członków najbliższej rodziny uprawnionych do natychmiastowego zajęcia się siostrzenicą, bez konieczności oczekiwania na decyzję sądu. Jak zdrowy rozsądek mógł na to pozwolić, by ustalono inne zasady w stosunku do wuja, którego siostra utraciła prawa rodzicielskie w tragiczny niezawiniony przecież sposób, przez własną śmierć? Jak zdrowy rozsądek mógł pozwolić, by ten sam rozdział, który dzieciom przysposobionym przyznawał pełnię praw, wykluczał dzieci adoptowane z pojęcia „krewni”? W opinii przeanalizowano też inne prawa: ludzie wezwani na przysięgłych na przykład nie mogli być „krewnymi lub powinowatymi” obrońców ani oskarżycieli biorących udział w sprawie. Żadna samochodowa polisa ubezpieczeniowa nie mogła wykluczyć, jeśli chodzi o wypłatę odszkodowania, osób „spokrewnionych lub spowinowaconych” z ubezpieczonym.

A zatem, czy prawo stanowe zmierzało do tego, by rodziny nie mogły uzyskać ubezpieczenia autocasco dla adoptowanych dzieci? Czy siostra prokuratora, gdyby była adoptowana, mogłaby dostać się na ławę przysięgłych i pomóc bratu przepchnąć sprawę? Czy to było logiczne? W jakimkolwiek świecie?

Nawet Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych wydał w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku opinię, że „adopcja traktowana jest jak prawny odpowiednik biologicznego rodzicielstwa”. Żadna ustawa nie powinna być interpretowana w sposób sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. W Kodeksie Praw Dziecka i wielu innych ustawach prawodawca wyraźnie zmierzał do tego, by dzieci adoptowane objęte były każdą możliwą definicją rodziny. Pominięcie w zapisie zostało przeoczone może z tego względu, że sprawa była tak oczywista, iż w ogóle nie przyszło to prawnikom do głowy.

Katt skupił się na szczegółach. W swojej mowie rozłożył na czynniki pierwsze zarzuty mecenas Wentworth i kuratorki z urzędu. Wentworth wzruszająco opowiedziała historię o Cadych, Rayu i Georgii, którzy na Florydzie planowali wspólnie kupić bliźniak i mieszkać po sąsiedzku, o tym, że Ray i Georgia wyznaczili Cadydym wyjątkową rolę, wybierając ich na rodziców chrzestnych, „rolę, z której Craig i Delia wywiązali się z największą lojalnością”, przy czym powierzenie im funkcji chrzestnych było w zasadzie równoznaczne z wyznaczeniem ich na przyszłych opieku-

nów. Wentworth zaatakowała McKennów, utrzymując, że „małoletnia K.K.” była chroniona przez Cadych przed „ogniem” rozgłosu obejmującego cały kraj, „rozdmuchanego” przez L.M. i jej niezdrową obsesję na punkcie „adoptowanej” wnuczki. Wentworth potępiła podjętą przez Gordona próbę „taktycznego wymanewrowania” jej klientów za pomocą przyśpieszonej procedury adopcyjnej i gładko sformułowała wniosek, że „przewidywane korzyści” obróciły się przeciwko Gordonowi. W przypisie Wentworth przypomniła, że sędzina Sayward przez całe przesłuchanie krytykowała linię obrony Gordona za to, że jego adwokat usiłował zepchnąć Cadych na niedogodną dla nich pozycję, zamiast kierować się jak najlepiej pojętym interesem K.K.

I choć „najlepiej pojęty interes” Keefer został zachowany, ciągnął Katt z triumfem, nie o to wcale chodziło, kiedy pierwszy raz stanęli przed sądem. Wcale nie o to! Gordon nawet nie otrzymał szansy przedstawienia swojego stanowiska, ponieważ sąd uznał, iż nie ma on podstaw do starania się o adopcję siostrzenicy. A dlaczego Gordon nie miałby próbować wykorzystać każdej przewagi?

Katt nazwał rzecz po imieniu. Zarzut jest śmieszny. Gordon jest w u j e m dziecka, teraz bez cienia wątpliwości uznanym przez prawo, tak że nawet taka kretynka jak mecenas Wentworth nie może tego błędnie interpretować. „Gordon jest jedynym żyjącym bratem Georgii, matki Keefer, a życzeniem jego zmarłej siostry było, żeby właśnie Gordon zajmował się jej dzieckiem” - napisał Katt. Nawet częściowe pozbawienie Gordona statusu wuja oznaczało pozbawienie Keefer należnego jej dziedzictwa.

Rekomendacja państwa Cady, w opinii doktor Bogert, opierała się jedynie na stroniczym poglądzie - co widoczne było niemal na każdej stronie jej raportu - że z psychologicznego punktu widzenia małoletnie dziecko płci żeńskiej powinno mieć matkę. To nie „pełna akceptacji miłość” Gordona do Keefer - cytował dalej Katt - została podana w wątpliwość, ale jego zdolność jako samotnego mężczyzny do sprostania potrzebom rozwojowym dziecka płci żeńskiej. I jeszcze Katt przypomniał sądowi, że zgodnie z prawem stanu Wisconsin „każdy dorosły stanu wolnego”, nie tylko kobieta, ma prawo adoptować małoletnie dziecko.

„Jedynym zadaniem tego sądu jest określenie, czy Gordon adoptowany jako dziecko ma podstawy prawne - napisał Katt - by zgodnie z ustawą czterdzieści osiem paragraf dziewięćdziesiąt

ubiegać się o adopcję siostrzenicy. Czy «adoptowany» wuj może zostać pozbawiony praw, jakie przysługiwałyby wujowi «naturalnemu»?"

Jedynym powodem, dla którego Gordon nie starał się wcześniej zaadoptować Keefer, było to, że nie chciał mieszać się w sądowy spór między dwiema parami dziadków. Jego wahanie motywowane było rodzinną lojalnością, a nie niezdecydowaniem czy brakiem przekonania. Wreszcie Katt z hukiem rozprawił się ze słabym stwierdzeniem strony przeciwnej, że ustawa adopcyjna rozmyślnie dyskryminowała adoptowanych krewnych w kwestiach „proceduralnych”, ale nie w „zasadniczych prawach”.

Żaden sąd w kraju - a już na pewno nie sąd stanowy Wisconsin - nigdy nie utrzymywał, że „słuszna jest dyskryminacja osoby adoptowanej, pod warunkiem, że ogranicza się do procedur prawnych”.

Pokażcie mi taki przykład, zachęcił między wierszami.

Czekać i mieć nadzieję, pocieszała swoich klientów Mary Ellen Wentworth, kiedy zadzwonili do niej. Szczególnie Delia była niespokojna po programie Toma Brokaw. Każdy dzień, który Keefer Kathryn spędza w ich domu, jest dniem wygranym, działającym na ich korzyść, przekonywała. Czy decyzja sędziny Sayward zostanie podważona, czy nie, czy zacznie się nowy proces, podczas którego Gordon wystąpi o adopcję, czy nie, Keefer staje się coraz starsza i bardziej przywiązuje do nowej matki, ojca i siostry. Z upływem każdego dnia sędziowie będą coraz mniej skłonni zerwać ten zdrowy dla dziecka układ. Nie martwcie się, powiedziała Mary Ellen. Opóźnienie w sumie działa na naszą korzyść. Najważniejszy będzie zawsze szeroko pojęty interes dziecka.

Wystąpienie Mary Ellen na piśmie nie oddawało zajadłości, jaką czuła wobec tej fanatycznej czarownicy Lorraine McKenna, której egoistyczne zaślepienie zmusiło ich wszystkich do skakania przez obręczę w cyrku rozpętanym przez media. McKennowie mogli wygrać bitwę, ale nie wojnę. Obie /, Victorią Linquist były co do tego całkowicie zgodne, obie w równym stopniu przepełnione determinacją i niechęcią.

*

Trzeciego czerwca, w rocznicę katastrofy przy moście nad Lost Tribe Creek, przypadał ostatni dzień nauki w szkole, kończący się w południe. Po lunchu Nora i Lorraine ścięły na podwórzu Nory ogromne naręcze bzu, kupiły kilka storczyków w Every Blooming Thing, po czym pojechały na most, pochyliły się nad lśniącym, wymienionym segmentem barierki i wrzucały kwiaty jeden po drugim w gadatliwy nurt strumienia. Ostry podmuch wiatru przywiał kwiaty z powrotem, niemal prosto im w twarz, na pobocze drogi, a nawet na autostradę. Pobiegly je zbierać.

- To Georgia - zaśmiała się Nora. - Zawsze lubiła robić zamieszanie.

Lorraine nawet zdołała uśmiechnąć się słabo, a wtedy podjechał Greg Katt, wcisnął ostro hamulce, wysiadł i chwiejnym krokiem podszedł do nich. Po jego twarzy spływały łzy.

- Niech pani idzie do domu i zaopatrzy się po drodze w żelkowe misie, droga babciu! - zawołał. - Chyba niedługo będziecie mieć swoją małą dziewczynkę.

Sąd Apelacyjny obalił decyzję sędziny Sayward głosami dwa do jednego. Miała się odbyć nowa rozprawa. Zapowiadał się, jak to Nora później określiła, zupełnie nowy mecz.

18

Nigdy w życiu nie mieli zapomnieć tej chwili chwały.

Przyjmowali gratulację, zupełnie jakby udało im się wygrać los na loterii, następnie zgubili go, a potem znaleźli w kieszeni spódnicy przeznaczonej do oddania. Lorraine czuła, jak wszędzie śledzą ją pełne uznania spojrzenia, czy to szła wzdłuż straganów bazaru na Fidelis Hill, przez bibliotekę, czy też w górę schodami budynku basenu miejskiego, gdzie po roku lenistwa zaczęła znowu chodzić na wodny aerobik, razem z Karen i Natalie. Tak właśnie musi być z gwiazdą filmową i sławą, przyszło jej do głowy, najpierw zapada raptowna cisza, potem pojawiają się pomruki świadczące o rozpoznaniu.

Tak, pomyślała, odpowiadając skinięciem głowy na uśmiechy, to my, których znacie z wiadomości.

Jesteśmy tymi, którzy wygrali. Jesteśmy ci dobrzy.

Miał zostać wyznaczony nowy sędzia, prawdopodobnie Aaron Kid.

Greg powiedział im później, że odtąd będzie drżał na samo wspomnienie nazwiska sędziny Sayward. Danie sędziemu naucki, niezależnie od tego, jak bezwzględnie bezosobowo starały się zachowywać obie strony, było igraniem z ogniem. Podczas wywiadu dla ABC - wyznał Katt Lorraine - usiłował wyrażać się tak zrecznie, jakby to zrobił Dawid, gdyby starał się za wszelką cenę całe zwycięstwo nad Saulem przypisać procy. Przecież nawet gdyby nie doszło do tragedii McKennów, tego rodzaju wyrok mógł zapaść w sprawie innej rodziny, która przeżyła podobny cios. To, że Gordon wreszcie zyskał odpowiedni status, by wystąpić w sądzie, nie rekompensowało poniesionej straty, ale było balsamem sprawiedliwości i dawało rzadką satysfakcję, że można stanąć przed sądem z powodów ważniejszych niż doraźna korzyść lub kara.

Wieść o zwycięstwie rozchodziła się szybko po mieście, niczym cieknąca woda pod drzwiami, z ust do ust, z telefonu do telefonu, z biurka do biurka, zza płotu do otwartego okna w samochodzie. Przez całe lata ludzie będą opowiadać nowym znajomym, jak to było tego wieczoru, relacjonując wydarzenia ze specyficzną chełpliwością, może trochę przypominającą zapał świadków burd, imprez z udziałem znakomitości czy też tragedii, ale za to charakterystyczną dla miasta liczącego trzy tysiące mieszkańców, położonego na północ od Stevens Point. Słyszeliście o tej sprawie o pokrewieństwo? Tej, co to mówili o niej w *60 Minutes!* A w ogóle to dobrze znają tego gościa. Widzieli go z tą małą w drogerii. Jeden z synów ma z nim lekcje. Dziadek, czy to ten facet, co w radio opowiadał o karmnikach dla ptaków i jeleni? Pamiętacie go? No i ten turniej w golfa. Przyjechał sam Andy North, tak, zgadza się, bo ojciec dziecka był zapalonym graczem. Prawie profesjonalistą. Będą pamiętać, jak spotkali przypadkiem Marka, Lorraine lub Gordona w Dairymaid, dzień czy tydzień po ogłoszeniu wyroku przez Sąd Apelacyjny. Wiecie - powiedzą- to był syn nauczycielki rysunków. Sąd Najwyższy ogłosił, że jej syn jest równie dobry jak każde inne dziecko, i nikt nie odważył się sprzeciwić. Tak, to był Sąd Najwyższy, przekazywano telefonicznie córkom, których mężowie zostali przeniesieni służbowo do Seattle i San Antonio.

Gdzie wtedy byliście? - pytano się wzajemnie, kiedy rozmowa schodziła na piątkowe przyjęcie, które zaczęło się od kilku hamburgerów pieczonych na grillu na frontowym trawniku McKenów, a potem rozprzestrzeniło się, obejmując dom Dworsów i całą ulicę, aż wydawało się, że wszystkie świetliki Okręgu Trempealeau rozmnożyły się, i to wielokrotnie, przed domem na Cleveland Street. Czy to prawda - chcieli wiedzieć ci, których w tym czasie nie było w mieście - że pary tańczyły walca na cmentarzu, wyglądając na tle czystego nieba jak wycięte z czarnego papieru laleczki? I że ktoś miał jakieś kłopoty z tego powodu? Kim był ten facet ze skrzypcami? Mąż tej szalonej dziewczyny, córki szeryfa? Trzeba było tam być, żeby zrozumieć, co się działo - twierdzili potem uczestnicy przyjęcia - ponieważ impreza rozpoczęła się bez żadnego zaproszenia, pisemnego czy telefonicznego, było to spotkanie, do jakiego doszło po raz pierwszy od dawna, nie od dawna w Wisconsin, ale od dawna w ogóle, od czasów, gdy pierwotni mieszkańcy puszcz - obecnie spoczywający w splądrowanym grobie na wzniesieniu otoczonym pętlą dróg - żyli tu i zbierali się razem; trzeba było tam być, żeby przeżyć pierwszą długą, czerwcową noc, przynoszącą ciepłe jak kąpiel powietrze, ciężki i słodki zapach piwonii w pełnym rozkwicie; żeby zobaczyć, jak ludzie wpadają na chwilę do domu po zapiekanki, godzinę wcześniej włożone do piecyka, jak ktoś targa pełną beczkę całą drogę z Wild Rosę przy Oakwood Street, wzdłuż Main aż na Cleveland, a ktoś inny przynosi tort udekorowany kwiatami; żeby podziwiać niebieskobiały welon księżycowego światła, spadające gwiazdy, dzieci z buziami wysmarowanymi lukrem, zasypiające na krzesłach stojących na trawniku.

Niektórzy opowiadali potem, że widzieli, jak przyjechał Craig Cady: pisk hamulców na zbyt ostro branym zakręcie, Craig siedzący przy zamkniętych szczelnie oknach, chuda nastolatka z burzą rudych włosów, niosąca śpiącą Keefer przez trawniki i oddająca ją w ramiona Lorraine na weekendową wizytę. Byli tacy, co wymyślili kwestię ogłoszoną przez Craiga, coś w stylu Johna Wayne'a: „Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa” albo: „To jeszcze nie koniec”, choć tak naprawdę Craig nawet nie odwrócił głowy, żeby na nich spojrzeć.

Kwaciarka w Every Blooming Thing i kierowniczką administracyjną gimnazjum należały do grona pań, które jeszcze cztery

miesiące później, przeciągając najpierw paznokciem wzdłuż grzbietu czasopisma, wycinały artykuł z „Ladies' Home Journal”, po czym przyciskały go magnesem na lodówce. A robiły to z powodów, których zupełnie nie umiały wytłumaczyć ani mężom, ani dzieciom. W artykule pod tytułem „Miłość, prawo... i ostatnia wola córki” Lorraine nazywano jedną z dwudziestu Dzielnych Kobiet ostatnich lat, kobiet, którym należy się najwyższe uznanie; taki zaszczyt oznaczał dla Lorraine i Marka przyprawiającą o zawrót głowy podróż do Nowego Jorku, czek na tysiąc dolarów dla Narodowego Stowarzyszenia Rodzin Adopcyjnych, lunch w hotelu Four Seasons, na podwyższeniu, zaledwie o dwa stoliki dalej od Oprah.

Tej nocy Lorraine tańczyła z Markiem na trawniku przed domem. Nie pamiętała, ile kieliszków wina wypijała, ale pamiętała, że mówiła Markowi, iż pozwoli sobie na bycie szczęśliwą przez całą noc. Goście, przyjaciele, sąsiedzi materializowali się nie wiadomo skąd. Poznała niezmiernie przystojnego męża Stephanie Larsen, latynoskiego chłopaka o włosach koloru gorącej smoły, aż się proszących, żeby zanurzyć w nie palce. Osłabła od śmiechu, próbując objąć ramionami Stephanie, która ze swoją ciężką miała obwód sekwoi i chwiała się na nogach jak pies na drabinie.

Potem przysłała Sheila.

- Bliźniaki! - zapowiedziała. - Będę babcią bliźniaków. Jednego dnia stanę się podwójną babcią!

- Czuję się, jakbym niosła dwa wiadra wody - śmiała się Stephanie. - A to dopiero ósmy miesiąc! Doktor twierdzi, że nawet jeśli gdybym nie donosiła do terminu, z dziećmi będzie wszystko w porządku. Muszą być ogromni! Nazwiemy ich Daniel George i Diego Dale; tacie się ten pomysł strasznie nie podoba, mówi, że to zupełnie jak piosenkarze z knajpy. Ale nie mogłabym nazwać dziecka Dale! To znaczy na pierwsze! Słowo daję! I nie dałabym też dziecku George na pierwsze, mimo że, jak sami wiecie, chodzi o Georgię... - Jej wielkie brązowe oczy zaśniły niebezpiecznie. - Chcę nazywać jednego chłopaka na cześć Georgii. Lorraine musiała otrzeć łzy. - Śniło mi się kiedyś, że widziałam Georgię wspinającą się po rynnie do mego okna i nie bałam się, bo nie miałam wrażenia, że to duch! Ja czekałam na nią! A poloni sen się zmienił i znalazłam się na zewnątrz, wdrapywałam się / nit) razem, jak-

bym to mogła teraz zrobić! Aż spojrzałam w dół... byliśmy tam obie, jakbyśmy znowu miały po szesnaście lat...

Najdroższa, przywołana z powrotem, zmarła Georgia, którą Stephanie spotkała we śnie, była szalona, targana wiatrem, tryskająca zdrowiem, nietknięta deszczem siejącym dookoła zimno.

- Nie spadniemy, Stevie, powiedziała mi. Tak zawsze mnie nazywała, kiedy chciałam być krucha i drobna i nosić powłóczyste suknie jak Stevie Nicks. Nie spadniemy, rzekła. I wdrapałyśmy się na górę do jej okna, ale było zamknięte, więc wspięłyśmy się na rynnę i dostałyśmy się do pani okna - co tak naprawdę zdarzyło się nam kilka razy - a ono było otwarte... i spadłyśmy na sofę, która stała zawsze tuż przy oknie.

- Nadal stoi - powiedziała Lorraine. - I co dalej?

- Ona wtedy powiedziała: „W porządku, jesteśmy bezpieczne”. To był koniec snu. Następnego ranka zadzwoniłam do siostry i powiedziałam jej: „Trina, ta apelacja przejdzie. Wszystko będzie dobrze”. - Pomasowała brzuch z obscenicznie rozdętym pępkiem i poważnie pokiwała głową.

Tim Upchurch uplasował się obok swego wózka chłodniczego na kółkach, rozdając po butelce piwa St. Pauli Girls każdemu, kto przechodził. Około tuzina Reillych w różnym wieku wyspało się z samochodu, dzieciaki z liceum wskakiwały Gordonowi na plecy, a on nie protestował, choć za sprawajednego z nich wylał cały talerz zrazów na kolana Lindsay Snów. W późniejszych relacjach, przekazywanych tym, których ominęło przyjęcie, zawsze napomykano o tym, że koralowa sukienka, jaką Lindsay miała na sobie, wychodząc z domu po tym oblaniu, należała do Georgii Nye.

Lorraine dała Lindsay tę sukienkę na zawsze.

Obie z Norą podrzucały Keefer na łóżku w sypialni Lorraine, a Lindsay przebiegała się, rozmawiając z nimi przez otwarte drzwi łazienki.

- Mam nadzieję, że pasuje, kochanie - zawołała Lorraine. - Georgia była tęższa od ciebie.

- Nie tak bardzo - odparła Lindsay stłumionym głosem. - Była dość niska i sprawiała wrażenie, że waży więcej, ale nosiłyśmy ten sam rozmiar, nawet po urodzeniu Keefer. Obie miałyśmy duże pośladki i małe biusty. - Lorraine usłyszała plusk wody w umywalce. - Przepraszam - powiedziała Lindsay. Lorraine zobaczyła na twarzy Nory zmarszczkę.

- Nie, wszystko w porządku! Naprawdę! - uspokoiła szwagierkę i podniosła znowu głos: - Co ty mówisz, Lindsay? Zawsze wyglądasz tak szczupło...

- Ważę tylko dziesięć funtów mniej niż Gordie - odparła Lindsay. - Kiedyś kazał mi stanąć na wadze. Właściwie to sam mnie podniósł i na niej postawił, a ja darłam się, jak... no nieważne! Bo stwierdził, że bliskiej osobie powinno się mówić o wszystkim, a waga kobiety to ostatni bastion intymności...

- A jak się układa między wami? - spytała Nora. - Co się dzieje?

- Co ma pani na myśli? - odparła dźwięcznie Lindsay. - Nie, chyba nic się nie dzieje.

- Nie wydaje mi się, że nic. Wygląda na to, że bardzo dużo - mruknęła Nora.

- Nie robimy na razie żadnych planów - powiedziała Lindsay. - Niestety, moja sukienka jest do niczego.

- Wystarczy trochę odplamiacza! - zawołała Nora, klepiąc się po kolanach poniżej mankietów szortów w kolorze khaki. Nora miała na sobie białą koszulę, zapiętą na najwyższy guzik, i perłowe kołczyki. Wyglądała bardzo uroczyście, zauważyła Lorraine z rozbawieniem. - Masz odplamiacz, Lor?

- W szafce nad umywalką.

- Chodź, Keefer! - huknęła Nora. - Pojeździmy na koniku!

Lindsay wyszła z łazienki, jej rude loki niemal się zlewały z materiałem sukni.

- Wyglądasz w niej cudownie - stwierdziła Lorraine. - Weź ją sobie.

- Ale to przecież Georgii - szepnęła Lindsay.

- Nie szkodzi. Chcę, żebyś ją nosiła. Będziesz ją nosiła, jeśli ci ją dam? To znaczy nie tylko dzisiaj?

Lindsay z czcią dotknęła tiulowej fałdy. To naprawdę piękna sukienka, pomyślała Lorraine, z tym przedłużonym karczkiem i wirującą spódnicą. Georgia miała ją na sobie na chrzcinach Keefer.

- Bardzo chciałabym ją nosić - powiedziała cicho Lindsay. - Ale nie musi mi pani dawać. Oddam ją do pralni i przywiozę z powrotem.

- Martwiło mnie, że nigdy nie dałam ci nic po Georgii - odparła Lorraine, odchylając się w tył i opierając na łokciach. Poszuka-

ła kieliszka z winem i wtedy sobie przypomniała, że zostawiła go na dworze. Jestem pijana, pomyślała, mogę powiedzieć za dużo. Ale ciągnęła dalej: - Georgia uważała cię za jedną ze swoich najlepszych przyjaciółek, Lindsay. Zawsze chciałam ci dać coś z jej rzeczy... coś należącego do niej... jeżeli ty i Gordon...

- Wie pani, że bardzo go kocham - powiedziała Lindsay, siadając obok Lorraine na łóżku; wyciągała i cofała rękę, sięgała znowu i ujmowała dłoń Lorraine.

- Wiem - pokiwała głową Lorraine. - I wiem, że on kocha ciebie.

- Nie jestem tego pewna. Czasami odnoszę wrażenie, że on spogląda nad moim ramieniem, jakby starał się zobaczyć, co tam jeszcze jest. Nie mam na myśli innych dziewcząt. Choć to też.

- O, w tym to on jest dobry.

- Owszem. - Lindsay wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. - Ale nie chcę rozmawiać o moich wariactwach. Jesteśmy chyba szczęśliwsi teraz, niż byliśmy jako dzieci.

- Cała sztuka bycia z Gordiem - powiedziała Lorraine, siadając prosto, po czym zachwiała się lekko, ale utrzymała równowagę - polega na tym, że trzeba mu pozwolić, by sam przyszedł do ciebie. On właśnie taki jest. Jak... jeżeli w lesie czy coś w tym rodzaju. Możesz uganiać się za nim cały dzień i nigdy go nie dopaść...

- Czy pani myśli, że ja się za nim uganiam? - Lindsay cofnęła rękę i rozejrzała się dookoła, jakby w obawie, że ktoś podsłucha. Mężczyzna ze skrzypcami... kto to był?... zaczął grać „Georgię”

- Wcale tak nie myślę - pocieszyła ją Lorraine. - Tak tylko się mówi. Chcę jedynie powiedzieć, że podczas gdy Gordie wydaje się całkowicie pozbawiony tego rodzaju samczej dumy, którą się teraz znowu widzi wśród młodych ludzi, a która jakby przeskoczyła pokolenie Marka, dzięki Bogu... to znaczy... nie żeby Mark nie był typem macho... - Gadam jak najęta, pomyślała. Zamknij się! Nigdy przedtem z żadną z koleżanek Gordiego nie omawiała tematu poważniejszego niż ubieganie się przez Susan Lucci o nagrodę Emmy. Nie, to nieprawda. Rozmawiała wiele razy z Lindsay o trudnych chwilach w czasie choroby Georgii. Omawiała sprawę sądową z Lindsay, i to nie kryjąc się ze swoją irracjonalną nienawiścią do Diany Nye.

Natomiast nigdy nie rozmawiała o synu. Nie rozmawiała z żadną dziewczyną Gordona o Gordonie. I nigdy nie rozmawiała szczegółowo z Gordonem o żadnej dziewczynie. Oczywiście wiedziała o jego wielkim powodzeniu. Georgia tego dopilnowała. A Lorraine i Gordon byli sobie na tyle bliscy, że pokazały jej - tak jak znosił jej skorupy ślimaków i zlinki węży - pustą łuskę po miłości, która opaliła mu skrzydła. Oczekiwała tego zaufania złamanego serca, spodziewała się, że w takich chwilach będzie mogła zaoferować synowi kojące słowa i aprobatę. Niekiedy sobie to wyobrażała. Nie zająknęłyby się nawet, że to, czego doświadcza Gordon, jest trywialne. Podzieliłaby się z nim swoim przekonaniem, że każda miłość jest znacząca, że wędnie lub rozkwita stopniowo, często bez winy partnerów... ale nigdy do takiej rozmowy nie doszło. Z Georgią - tak. Jedyne, w czym Lorraine w swoim odczuciu nie poniosła porażki w relacji z córką, to w lojalnym słuchaniu o wszystkich zawodach i konfliktach, zarówno z kolegami jak i koleżankami. Gordon po prostu zdawał się niczym nie przemawiać. Zanim zdążyła poznać historię znajomości zjedną kobietą, on już beztrzęsio napomynał o innej. Ile razy widziała dziewczyny Gordona? Sześć? Pięć? Ta mała od surfingu z Florydy, z największą kolekcją biżuterii w pepku. Pani zoolog z Enviro-Treks, której włosy były krótsze niż Lorraine widziała kiedykolwiek u mężczyzny. Starła się, ale nie udawało jej się wyobrazić sobie innych. Susan, Andrea. Taylor. Była pewna co do Taylor. A może to była Tyler? Dziewczyna z Apalachicola. Te wszystkie Courtney, Lisy i Lizy, Susannah i Susan. Emily? Nic dziwnego, że biedna Lindsay jest w rozpacz. Ale w końcu jej syn, pomimo wszystkich traumatycznych przeżyć i nadmiaru obowiązków, ma zaledwie dwadzieścia pięć lat. W wieku dwudziestu pięciu lat Markowi zaczynały szczekać zęby, kiedy kobieta na niego spozrzała. Niektórzy późno rozkwitali, jeśli nie pod jednym względem - to pod drugim. Gordon był przecież tylko chłopcem.

Myśl ta nadzwyczajnie usatysfakcjonowała Lorraine. Zapragnęła znaleźć swoje wino. Pogłaskała Lindsay po ręce.

- Po prostu cieszcie się sobą- powiedziała. - To jest ten czas, kiedy trzeba się sobą nacieszyć. - Starła się nie widzieć smutku na twarzy Lindsay. Czasu jest dosyć, pomyślała, żeby znowu zostać teściową.

Kiedy tej nocy wszyscy już poszli, a Keefەر została zapakowa-

na do łóżka ze swoją „telką” z wodą i ukochaną poduszką, między nią a Markiem, Lorraine, niespokojna, wstała, w nocnej koszuli posprzątała trawnik, pozbierała serwetki papierowe i walające się kubki. Rozkoszowała się dotykiem powietrza na prawie nagim ciele. Podniosła skraj koszuli, pozwalając wiatrowi muskać biodra i ciężkie piersi. Gdyby nie pewność, że przestraszy Mary Dwors, cierpiącą na bezsenność, pozwoliłaby wiatrowi porwać się przez ulicę, między ceglаныmi słupkami bramy cmentarza, na grób Georgii, gdzie często siadała, żeby sobie popłakać lub poczytać ogłoszenia. Zamiast pójść samej posłała z wiatrem swoje myśli: mamy ją, skarbie; mamy ją!

Wreszcie brakujący kawałek układanki znalazł się na miejscu i pokazał się wzór - bolesny pomost łączący ten dom z cmentarzem został ukończony. Tym kawałkiem była Keefer, córka ich córki, która, idąc, nuciła i mocno uderzała w ziemię piętami, ponieważ lubiła czuć wibrację, która nie piła wody z „telki”, ale spała z nią pod szyją, jak z ortopedycznym wałkiem. Keefer, słowo, które krzyżowało się zarówno z imieniem Georgii, jak i Gordona, odpowiedź na pytanie postawione przez Boga. Poważne i wielkie pytanie: czy podołasz? - zostało jej podane do przełknięcia w nieznośnych dawkach. Lorraine była przypiekana, kāsana, kopana, budzona, kiedy wołała leżeć w odrętwieniu, a jej stopy dotknęły niepojętego, gdy szła coraz szybszym krokiem, ze zrećznością wypróbowanego posłańca bożych poleceń. Podniosła koszulę wysoko nad biodra, tak by bardziej upodobnić się do liścia, który nie stawia oporu wiatrowi ani łasce ogarniającej ciemności. Przejrzy wszystko na wylot. Zobacz i poprosi jedynie o siłę, by zrozumieć. Poczwała widmowe dotknięcie dziecięcych stopek Georgii, paluszki się poruszały, przeczesywały włosy na czubku głowy matki. Lorraine omal do niej nie przemówiła.

Był już prawie świt, kiedy obudziła Gordona, który padł na kanapę w salonie.

- Musisz kupić dom - powiedziała.
- Teraz? - spytał Gordon. - O czym ty mówisz?
- Keefer potrzebna jest porządna sypialnia. Ma już dwa lata. Nie może spać w garderobie.
- Mamo, a skąd wezmę pieniądze na dom? A poza tym, co to ma za znaczenie, gdzie ona śpi?
- Cady mają cały... bajkowy, świat dla niej, Gordie - ciągnęła

Lorraine, odgarniając włosy w tył, niemiłosiernie wyszarpując przy tym końce, które utknęły w zawiasach okularów. - Przejrzałam ogłoszenia. Zakreśliłam kilka i chcę, żebyś rzucił na nie okiem.

- Teraz? - powtórzył Gordon. - Mamo, ja umieram. To znaczy nie to chciałem powiedzieć. Chodzi o to, że tyle piwa, ile zeszłej nocy, ostatni raz wypilem, kiedy byłem w college'u. Dlaczego nikt mnie nie powstrzymał? Tim tak rozpijał wszystkich. Czuję się, jakby mi ciężarówka przejechała przez głowę. Przepraszam, nie chciałem... Masz, mamo, aspirynę?

Lorraine wypadła z salonu i w podskokach wbiegła na górę, by poszukać ostatniej starej buteleczki z pigułkami. W sypialni było zbyt ciemno i nie mogła przeczytać drobnego druku, nawet w okularach. Czy to demerol? Dilaudid? Gordon jest zdrowy. To go nie zabije. Keefer i Mark chrapali zgodnym chórem. Dobrze. Lorraine czuła się rześko jak nigdy w życiu. Rzuciła jedną pastylkę na dłoń syna.

- Soku! - mruknął. - Jeśli wypiję wodę, to się porzygam. Naprawdę. Gdzie jest Lindsay?

- Pojechała do domu kilka godzin temu.

- Skąd się wziąłem na kanapie?

- Chyba sam tu przyszedłeś.

- Pomóż mi usiąść - poprosił, a Lorraine podała mu rękę, zaskakująco mocną rękę. - Dobra. Już. Wypiję ten sok. Co to za wielka aspiryna...

- O wzmocnionym działaniu.

- Dziękuję. Mamo, przecież jeszcze nawet nie świta. O czym ty w ogóle mówisz?

- Chodzi o to, że musisz kupić dom. Albo przynajmniej powinniśmy się rozejrzeć. Piszą tu o niedużym domeczku. O, nad jeziorem Hat...

- Nie mogę mieszkać nad jeziorem Hat. Emily Sayward tam mieszka.

- To wielkie jezioro, Gordonie.

- Nie stać mnie na dom nad jeziorem...

- Jakies pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy...

- Musi to być straszne zadupie.

- No dobrze. Jest parterowy domek, ceglany, przy Mission Street. Zaraz za gimnazjum. Keefer mogłaby sama chodzić do szkoły.

- Ona nawet jeszcze nie mówi, mamó.
 - Ale pewnego dnia będzie musiała pójść do szkoły. Trzeba myśleć o przyszłości, Gordie, skarbie.
 - Wiem. Myślę o przyszłości.
 - Cegła jest dobra. Ciepło w zimie. Chłodno w lecie. Tu napisali... mogą zapalić światło, skarbie? O właśnie: „Zalesiona działka. Trzy sypialnie. Terakota na podłodze”.
 - Mamó, jeżeli wspominają o podłodze, dom musi być w nędznym stanie... i ile za to chcą?
 - Osiemdziesiąt tysięcy.
 - Równie dobrze mogłoby być osiemdziesiąt milionów.
 - Coś wymyślimy, Gordie. - Lorraine postukała w zęby końcem oprawki od okularów. - Możesz wziąć pożyczkę z Federal Housing Administration. My z tatą mieliśmy taką pożyczkę. Przyśługuje tylko na pierwszy dom, jaki się kupuje. Dają bardzo korzystny procent i musisz wyłożyć zaledwie jakiś tysiąc dolarów.
 - Może tak było trzydzieści lat temu, mamó. Za tysiąc dolarów nie dostaniesz teraz nawet psiej budy.
 - Kto wie? Wydaje mi się, że można coś załatwić przez... prawo zasiedzenia, czy jak to się tam nazywa. Popytam się, sprawdzę...
 - Czy nie uważasz, że to będzie.... kuszenie losu, mamó? No wiesz, rzucanie wszystkiego na jedną szalę?
 - Wiesz, że teraz wygramy.
 - Ja nic nie wiem, z wyjątkiem tego, że muszę się położyć.
- Mam w głowie karuzelę...
- To leki.
 - Mamó, wziąłem tylko aspirynę. Chyba mam gorączkę.
 - Gordie, zwróć uwagę na jedno: ta kobieta, ta cała Faye... psychiatra... ma znowu wydać o nas opinię.
 - Faith.
 - Fay, Faith, Fate, obojętne...
 - Jest psychologiem.
 - Gordie! - Lorraine zdziwiła nawet samą siebie, łapiąc go za ucho. - Posłuchaj mnie! Musisz ją przekonać, że jesteś w stu procentach pewien, iż chcesz, by Keefer została z tobą. Tak właśnie zrobili Cady. Poszli krok dalej. Zapisali ją do niedzielnej szkółki. Położyli tapety. Tym nas przebili.
 - No dobrze, rozumiem - westchnął Gordon. - Umów nas na spotkanie w sprawie tego domu misji...

- Domu przy Mission Street. Dobra nazwa dla ulicy. Nie jak Bluebird Hill Parkway czy coś podobnego. Numer tysiąc jedenaście. To dobra liczba, Gordie. Typu „pomyśl życzenie”, pamiętasz?

- Jasne - zgodził się, szukając poduszki i ukrywając w niej całą twarz.

- Ona pewnie umówi się z nami. Teraz, w najbliższym czasie. Tak powiedział Greg Katt.

- Dobrze, mam - zgodził się Gordon. - Domy. Domy i tapety.

Tymczasem Faith Bogert zdecydowała przesunąć spotkanie z rodziną McKenna i najpierw złożyć długą wizytę Delii i Craigowi w Madison. Żeby być w jak najlepszej formie, przyjechała poprzedniego dnia wieczorem i zatrzymała się w starej gospodzie tuż nad jeziorem Mendota. Przed kolacją poszła na zwiadowczy spacer, zgodnie z instrukcją dietetyczki, u której była dwa tygodnie wcześniej, ważąc cztery funty więcej. Przebiegnij dwa domy, przejdź spacerem dwa domy. Podczas przerw tłuszcz spala się efektywniej - powiedziała dietetyczka. I choć Faith była niemal pewna, że bieg do utraty tchu spaliłby tłuszcz szybciej niż cokolwiek innego, udawała, że zgadza się z zaleceniami tamtej. Nie była jeszcze w formie, żeby przebiec od przecznicy do przecznicy, jako że zbyt wiele letnich dni spędziła zwinięta w kłębek z książką, zamiast katować się na podłodze salonu przysiadami na przyrządzie, który w przypływie szaleństwa kupiła późno w nocy w Telezakupach.

Wygląd Delii, kiedy ta otworzyła drzwi, zaszokował Faith Bogert bardziej, niż była w stanie to skutecznie ukryć. Delia miała staranny makijaż, o wiele lepszy, niż kiedykolwiek udałoby się zrobić Faith - samo nakładanie różu stanowiło jej Waterloo.

Szara bladeść na twarzy zaprzeczała szerokiemu, zachęcającemu uśmiechowi, ochoczej propozycji poczęstowania gościa mrozoną herbata i przepełnionej dumą prezentacji Keefer, wystrojonej w długą białą sukienkę z różowymi, obciągniętymi materiałem guziczkami w kształcie różanych pączków. Takie same kwiatki zdobyły kokardę, która przytrzymywała pasmo puszystych, kasztanowych, dziecięcych włosów.

- Jak to możliwe, że to się trzyma? - spytała Faith, wyciągając

z torby służbowy notatnik. - Nie widziałam jeszcze, żeby mała dziewczynka wytrzymała długo z czymś takim na głowie.

- Cóż - powiedziała Delia. - Po pierwsze, ubieramy ją ładnie do kościoła w każdą niedzielę, tak że przyzwyczajają się do tego, żeby uważać i nie niszczyć najlepszych ubrań. Dostajemy za to liżaki, prawda, Cukiereczku? - Keefer oparła się z błogością o kolana Delii. - A druga rzecz, to mój mały sekret: sztuczka ze szkoły piękności.

- Jaka? - Faith zapytała bardziej po to, by ukryć zainteresowania nalaną twarzą Delii niż z rzeczywistej ciekawości. Co się Delii stało? Zawsze była dość tęgą kobietą, ale dorodną, i nigdy - mimo stwardnienia rozsianego, które u siebie podejrzewała (choć powiedziała Faith, że to nie zostało potwierdzone) - jej wygląd nie świadczył o złym stanie zdrowia. Teraz była potężna. Czy Delia jest w ciąży? Faith, pod pretekstem dokładnego obejrzenia przepaski Keefer, pochyliła się i usiadła bliżej na otomanie tuż obok sofy, na której Delia na w pół leżała; jej nogi, z wypukłymi, czerwonymi wałeczkami palców wciśniętych w białe sandały, były rozrzucone, jakby miały ją utrzymać w postawie wyprostowanej.

- Co to za sekret?

- Przyklejam ją - zachichotała Delia.

- Przykleja pani?

- Przyklejam do cieniutkiego kosmyka włosów. Używam kleju do tipsów.

- A ona nie próbuje tego ściągać?

- Raz próbowała! - wyjaśniła Delia z błyskiem triumfu. - To wcale tak bardzo nie bolało, prawda, Keefer Kathryn? Pociągnęła raz za swoją małą łepetynkę i nauczyła się więcej nie ruszać.

- A jak pani to zdejmuje?

- Odcinam. To tylko cieniutki kosmyczek włosów.

- Nie boi się pani, że ona wyłysieje? - Faith uświadomiła sobie, że jej własny głos zdradza zdenerwowanie, zaczęła więc wolno oddychać i zniżyła ton. Nie potrafiła powiedzieć, czy Delia jest w ciąży, czy po prostu... strasznie utyła. Ta kobieta przybrała na wadze jakieś trzydzieści funtów. Musi teraz ważyć dobrze ponad dwieście. Przez jeden niemiły i pełen wyrzutu moment Faith poczuła wyższość z powodu swojej, szczuplejszej ostatnio sylwetki.

- Nie stroimy jej tak często, żeby to miało znaczenie - zapew-

niła ją Delia, opierając się wygodnie i starając się wciągnąć Keefer na kolana. Teraz. Faith przyjrzała się jej ruchom. Była w ciąży. Nie. Delia miała pełno nowego ciała wszędzie, nie tylko na brzuchu. - Dziecinne włosy tak szybko odrastają. A oni zupełnie nie dbają, żeby ją ładnie ubrać. Wyczesują jej kołtuny z włosów, kiedy wraca z Północy. Podejrzewam, że Gordon w ogóle nie bierze szczotki do ręki.

- Chyba jednak bierze - powiedziała łagodnie Faith. - Widziałam małą szczotkę i grzebyk u niego w mieszkaniu.

- Ale to przecież męczyzna, prawda? - Delia oswobodziła Keefer, która zaczęła bawić się różanymi guzikami. - Słoneczko, kochanie, zostaw guziczki w spokoju. Słyszysz? Alexis? Czy możesz mi przynieść jej puzzle? Te duże?

Nastolatka, wyższa o kolejny cal, wzruszająco niechlujna, w dżinsowych szortach i górze od kostiumu kąpielowego, zeskokczyła z tarasu, na którym się opalała. Kawałek opuchniętej, poparzonej skóry sąsiedował z jasnymi paskami po ramiączkach.

- Au - powiedziała Faith ostrzegawczo. - Chyba powinnaś posmarować się kremem z filtrem.

- Nawet tego nie czuję - odparła Alex uprzejmym tonem. - Codziennie przemierzam się ze słońcem z tyłu na front. To schodzi. Opalenizna zostaje. Mój tata jest pół-Indianinem.

Delia prychnęła.

- Nie wiem, którą połowę masz na myśli - rzekła kwaśno.

- Jest, mam. Wiesz, że jest.

- Rozumiem, że nie masz na myśli pana Craiga - powiedziała Faith. - On wygląda na pełnej krwi Irlandczyka.

- Ma na myśli tatę w Karolinie Północnej. Jacka Tysona.

- Czy zobaczysz się z tatą w te wakacje, Alexis?

- Alex - poprawiła dziewczynka, ostrożnie zdejmując dwa pudełka puzzli ze stosu na dolnej półce. - Chodź, Keefer-Weefer-Poo. Te wszystkie ciężarówki włożymy do ich domków. Tak, tata obiecał, że pojedziemy na wyścigi do Daytony. - Kolejne parknięcie Delii. Alexis je zauważyła, ale jakby wyrzuciła ze świadomości. I bardzo dobrze. Delia najwyraźniej nie miała pojęcia o tym, ile gniewu może u dziecka wzbudzić krytyka nieobecnego rodzica. Cóż, niewielu ludzi o tym wiedziało.

Faith się uśmiechnęła. Zachowanie się dziewczyny wobec dziecka było balsamem na niemiłe wspomnienia licznych nastolet-

nich uciekinierów, złodziejasków sklepowych, niepoprawnych awanturników, którzy zostawili smutny ślad w jej papierach; bogatych wagarowiczów, którzy o wszystko winili rodziców, biednych wagarowiczów, których rodzice winili za wszystko. Alexis była dobrym lekarstwem dla tego dziecka. Faith sięgnęła po pióro.

- Więc czemuż to nasza młoda dama nosi dziś taką piękną suknię z różami?

- Matka Craiga ją uszyła. Przyjeżdża lada moment na kilka tygodni.

- A gdzie jest pan Craig?

- Nie mógł zostać. Bardzo oboje przepraszamy. Ma zebranie. Wie pani, sporo opuścił dni w pracy. Ale są dla niego wyrozumiali. Ciągłe mu powtarzają, zadbaj przede wszystkim o to, żeby zatrzymać dziecko...

- Dobrze - powiedziała Faith, krążąc wokół tematu. - Używanie państwo obu jej imion.

- Pomału, pomału staramy się przejść całkiem na Kathryn - wyjaśniła Delia. Faith zauważyła mgiełkę potu na jej wardze. - Nosi imię po babci Kathryn, wie pani. Babci mojej i Raya.

- Cóż, ale Keefer to imię, które wybrała dla niej matka.

- Nie bardzo nadaje się dla dziewczynki. Oba razem tak, w porządku. Tam, u nas, często używamy obu imion. Wie pani, jak Billy Bob. Ale Keefer?

- Podoba mi się - wtrąciła Alex całkiem przytomnie. - Podobają mi się imiona dla dziewcząt, które brzmią jak imiona dla chłopców. Są ekstra. Ja sobie zmienię kiedyś imię na Alex.

- O tym już sama zdecydujesz, gdy będziesz starsza - zawyrokowała Delia. Faith znowu uderzyła jej cierpliwość. - Mam nadzieję, że go jednak nie zmienisz, ale to w końcu twoja sprawa. Imiona są jak domy. Można się przeprowadzać bez końca.

Faith skubnęła zaoferowane jej bananowe ciasto.

- A jak pani znosi lato?

- Cóż, chyba nie najlepiej - przyznała z żalem Delia. - Źle się czuję w taki upał, muszę pani powiedzieć. I to ja, dziewczyna z Południa.

- A dziecko? - spytała Faith szybko. Przynęta leżała na wozie. Albo po nią sięgnie, albo nie.

- Świetnie. Żadnych problemów - odparła Delia gładko. A więc może rzeczywiście jest po prostu otyła. - Staramy się, że-

by miała spokój i ciszę. Żadnej telewizji. A już zdecydowanie - uśmiechnęła się ironicznie do Alexis - żadnej MTV.

- Mama kupiła blokadę.

- Najlepiej wydane w życiu dwadzieścia dolarów.

- Muszę umawiać się na oglądanie MTV w domu mojej koleżanki Liesel.

- Nie mam wpływu na to, co inni rodzice pozwalają oglądać swoim dzieciom - powiedziała Delia. - Lubię Liesel, to miła dziewczynka. Ale uważam, że przesłanie... ten cały seks, wie pani... w dodatku nie jest to zdrowa seksualność...

- Muszę przyznać, że się z panią zgadzam - rzekła Faith, notując coś szybko. - A co będzie, jeśli sąd po ponownym rozpatrzeniu sprawy wyda wyrok korzystny dla Gordona?

- Modłę się, żeby się tak nie stało. Ale jesteśmy na to przygotowani, pani doktor. Oboje z mężem zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zatrzymać Keefer u nas, bo w głębi serca wierzymy, że tego chcieli jej rodzice. Ale jeśli stanie się inaczej, zaakceptujemy wyrok.

- To dobrze. W rozsądny sposób podtrzymujecie wasze nadzieje - pochwaliła Faith. - Więc pan Craig jest również zaangażowany w tę długą walkę?

- Oboje wierzymy, że wiemy, co jest dla niej najlepsze. Uważamy, że miłość dwojga dobrych rodziców, nawet jeśli nie są to ci, których Bóg dał dziecku na początku, może zabić wiele ran.

- Czy jesteście gotowi pomóc jej pogodzić się z... jej pytaniami?

- Jeśli będzie je miała, tak.

- Jak spędzacie razem czas?

- Staramy się mieć stałą randkę co sobota. Muszę przyznać, że Alexis jest świetna, jeśli chodzi o zostawianie z dzieckiem. I nie liczy sobie tak dużo.

- Mam na myśli panią i Keefer.

- Och, bawimy się przez cały dzień. Bawimy się w salon piękności. Bawimy się w dom, choć z tym całym ciężarem, jaki teraz muszę dźwigać, nie zawsze jest to łatwe. Bawimy się lalkami Barbie. Uczę Alexis szyc. Zrobiliśmy kilka naprawdę ślicznych sukienek dla Barbie.

- I do tego jeszcze pani pracuje?

- Bogu dzięki, tak. Pani doktor, wychowywanie dzieci jest

kosztowne. Nie mówiąc o rachunkach prawników. No i chcielibyśmy w przyszłości kupić większy dom.

- Więc wszystko układa się dobrze - spróbowała znowu Faith. - Choć wspomniała pani, że nie czuje się najlepiej.

- To tylko bóle głowy. Ogólne kiepskie samopoczucie, nic takiego, czego nie mogłabym wytrzymać. - Delia była jak skała.

Faith wyszła, czując się tak, jak wtedy, gdy poszło jej oczko w pończosze: bezsensownie zirytowana i bezbronna. Nauczyła się ufać swoim instyktom, ale tu nic nie mogła wypatrzeć. Delia najwyraźniej nie była chora na tyle, żeby zrezygnować z pracy. Doskonale radziła sobie z obiema dziewczynkami. Nastrój miała ogólnie niezły. Może po prostu należała do kobiet - takich jak ciotka Faith, Mary - które przejadały kryzys i pościły w dobrych czasach. Nie jest to może najzdrowszy styl życia, ale kryzysy najprawdopodobniej nie będą już długo udziałem tej rodziny.

Wiatr ucichł, kiedy była u Cadych. Umieściwszy torbę na tylnym siedzeniu samochodu, Faith zauważyła na frontowym, bardziej nasłonecznionym ganku radośnie podskakującą Alexis, z żółtymi słuchawkami na uszach. Szalone psy i nastolatki*, pomyślała, a wtedy nagle wiatr porwał luźne kartki notatek, rzucił je w dół, a potem wywiał przez szczelinę w otwartych drzwiach samochodu. Mogłaby je odtworzyć, ale zaraz... kartki uwięzły we wnęce okiennej, przyciśnięte wiatrem do betonowej ściany. Faith podbiegła, złapała je i już miała wracać, kiedy usłyszała krzyk Keefer. Był to gniewny szloch dziecka, jak upewniła się szybko, dochodzący z otwartego okna tuż nad głową. W myślach odtworzyła sobie plan domu, starając się zachować spokój. Keefer łkała:

- Nie! Nie! Nie moko!

Strumień wody. Głos Delii, niski, nie tyle groźny, ile ostry, bardzo ostry.

- Mama powiedziała ci, żebyś zostawiła guziczki w spokoju! A jeśli będziesz się tak darła, to cała pójdziesz pod prysznic, pan-no kapryśnico. Słyszysz?

No dobrze. To, co Faith słyszała, nie było znęcaniem się nad dzieckiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Słyszała surową, wychowaną na Biblii kobietę z Południa, prawdopodobnie cierpiącą

* Aluzja do piosenki Noela Cowarda *Mad Dogs and Englishmen*, mówiącej o tym, że tylko szal#ne psy i Anglicy wychodzą na dwór w południowy upał.

na dudniący ból głowy, wymuszającą dyscyplinę u dwuletniego dziecka groźbą kary niewspółmiernej do przestępstwa. Z drugiej zaś strony była to tylko groźba; Keefer ucichła, Delia mruczała coś do niej łagodnie. Prysznic został zakrecony. Delia nie uderzyła Keefer. Sama Faith oberwała tylko raz, w dziewiątej klasie, kiedy Eve Bogert przyłapała ją i Jennifer Adderly na paleniu papierosów za budynkiem basenu.

Faith знаła dobrych, idealnych rodziców, którzy dawali klapsy.

Wsiądzie do samochodu i odjedzie. Ale sporządzi notatkę. Wszystko znajdzie się w raporcie.

Zanim jednak zamknęła drzwi od samochodu, spojrzała w górę, napotykając w sobie wzrok dziewczynki siedzącej na ganku. Alexis wzruszyła ramionami.

- O co chodzi? - spytała ją Faith, choć to nie był najlepszy pomysł przyciskać do muru nastolatkę.

- Ona jej nie bije - wyjaśniła Alex.

- Czy twoja mama często traci panowanie nad sobą?

- Teraz częściej. Ma stargane nerwy. Tak mówi moja ciotka. Że jej nerwy są stargane.

- Boisz się o Keefer?

- Nie podoba mi się to. Nie lubię, jak krzyczy na nią za coś takiego jak wyciąganie głupich kwiatków z włosów.

- Więc to jednak zdarza się często?

- Nie. Mama jest na ogół miła i spokojna. Tyle że musi postawić na swoim. Ale nie traci panowania. Tak jest odkąd... naprawdę źle się czuje z powodu dziecka.

- Z powodu Keefer?

- Z powodu dziecka, które będzie miała. Nie może brać swoich normalnych lekarstw. Nogi ją bolą przez cały czas.

- Wiedziałaś, że twoja mama jest w ciąży?

- Wiem od kilku miesięcy. To stało się jakoś na Boże Narodzenie, tak przynajmniej myślę. Nie opowiadają mi o swoim wspólnym życiu.

- I nie powinni - odparła Faith. Zawahała się. Chmury zbierały się nad jeziorem coraz gęstsze i groźniejsze, a ona miała przed sobą długą jazdę. - Alex, czy przypuszczasz, że mama jest teraz w wannie?

- Raczej kładzie Keefer. Keefer chodzi spać o pierwszej. Codziennie.

- Dobrze - powiedziała Faith. - Wpuść mnie jeszcze na chwilę, dobrze?

W ogarniającym ją poczuciu *deja vu* podniosła rękę, żeby zapukać do drzwi. To była ta część jej pracy, kiedy widziana była równie mile jak zaraza. Faith była do tego przyzwyczajona. Nieproszona, będzie musiała wkroczyć w sam środek czyjegoś dnia. Miała zamiar porozmawiać z Delią - a rozmowa zanosila się na długą i trudną - o jej stanie zdrowia i ducha. O osobistych sprawach, które normalnie nie powinny nikogo obchodzić, zwłaszcza obcych. Chyba że ten ktoś obcy, tak jak Faith, trzyma w ręku wielki kawałek układanki stanowiącej przyszłość dziecka.

19

- Jestem zbulwersowany - oznajmił sędzia Aaron Kid, pomijając całkowicie rytuał powitania, który zdaniem Gordona był nieodzowny dla wszystkich przedstawicieli rasy prawników. - Jestem zbulwersowany tym, w jaki sposób ta sprawa była roztrząsana w mediach.

Zsunął okulary z nosa i złożył je szybko, wskazując nimi stronę sali zajmowaną przez McKennów.

- Mówię o medialnym obrazie państwa klientów, panie Katt, pani Kane i pani Hendrickson. Prawni opiekunowie małoletniego dziecka nie udzielali żadnych wywiadów, o ile mogę to stwierdzić, ani nie zabiegali o opinię prasy. Zajmowali się sprawami związanymi bezpośrednio z wychowywaniem dziecka, z czego należy wnioskować, że liczy się dla nich prywatność, co w tych okolicznościach jest jak najbardziej wskazane i na miejscu.

- Ale to nie jest tak do końca prawda, wysoki sędzie - odezwała się cicho May Hendrickson, adwokatka McKennów. - W rzeczywistości państwo Cady udzielili kilku wywiadów lokalnej prasie i lokalnym stacjom telewizyjnym, a dziadek dziecka ze strony ojca został sfilmowany przez także ośrodki medialne.

- Jestem tego świadom - zgodził się Kid - ale są to krople w wylanym morzu atramentu. Państwa klienci stale szukali rozgłosu, zarówno w prasie krajowej, jak i w zagranicznej.

- Bardzo przepraszam, wysoki sędzie, jeśli wolno mi coś po-

wiedzieć - odezwała się May Hendrickson. - To raczej media szukały państwa McKenna. Wysoki sędzie, ma to swoje uzasadnienie: wniosek państwa McKenna w tej sprawie został oddalony, zatem prasa słusznie przypuszczała, że będą chcieli nagłośnić swój ból.

- Pani McKenna, czy kiedykolwiek zwracała się pani do prasy? - spytał sędzia Kid.

- Mogę odpowiedzieć na to pytanie - zaproponował Greg Katt.

- Zadałem to pytanie pani McKenna - odparł Kid. - Jest ona w pełni zdolna do udzielenia odpowiedzi. Pani McKenna, czy kiedykolwiek zwracała się pani do prasy?

- Tak - odparła Lorraine. - Wiele miesięcy temu, na samym początku.

- I to oczywiście wywołało całą tę lawinę. Ostatni weekend spędziłem na dokładnym zapoznaniu się z historią sprawy. Jedna rzecz jest dla mnie jasna, a mianowicie to, że wyznaczeni przez sąd psycholog i kurator sądowy stanowili odosobniony głos w tym procesie, starając się zwrócić uwagę stron sporu na kluczowe zagadnienie, jakim jest dobro dziecka.

- Z pełnym szacunkiem, wysoki sędzie, czy mogę zabrać głos w sprawie tego, co być może zostało przeoczone? - wtrąciła May Hendrickson. - Kurator sądowy zgadzał się z Delią i Craigiem Cady w kwestii pierwotnego orzeczenia, to znaczy z werdyktem głoszącym, że Gordon McKenna nie może zostać uznany za krewnego w sensie biologicznym. Należałoby więc założyć, że kurator sądowy od początku zmierzał do udzielenia poparcia państwu Cady. Wręcz przytaczano słowa pani kurator, że wyrok wyższej instancji nie zmienia przebiegu sprawy. Taka stronnictwość, pozwolę sobie zauważyć, zmusza nas do postawienia pytania, czy ta pani kurator powinna uczestniczyć w procesie.

- Może uczestniczyć. Nie widzę powodu, dlaczego nie miała by pełnić swojej funkcji. Patrę właśnie na uwagi Victorii Linquist, dotyczące precyzji sformułowań prawnych. Zdaniem pani Linquist jest to ważne posunięcie, będące następstwem pierwszego wyroku, więc wcale tego nie ignoruje. Dla osiągnięcia porozumienia potrzebny jest wspólny wysiłek wszystkich stron, aby emocjonalne zaangażowanie dorosłych nie przesłoniło potrzeb dziecka. A to oznacza przestrzeganie prywatności małoletniej. Myślę, że o to głównie chodziło pani kurator. May Hendrickson

skinęła twierdząco głową, natomiast wzruszenie ramion i spojrzenie lekko w górę zaprzeczało temu gestowi.

- I niech tak pozostanie - zapowiedział surowo sędzia Kid. - Od tej chwili formalnie zarządzam, że żadna ze stron nie może się kontaktować z prasą w jakiegokolwiek kwestii dotyczącej tej sprawy. Nie ma usprawiedliwienia dla wystawiania na widok publiczny kruchego i podatnego na wpływy świata dziecka.

Przemówiła Mary Ellen Wentworth:

- Wysoki sędzie, razem z kuratorem sądowym wyrażamy niepokój nieustannym analizowaniem przez prasę każdego aspektu tej sprawy, co stwarza wokół procesu jątrzącą i pełną uprzedzeń atmosferę. Państwo Cady dołożyli wszelkich starań, by chronić dziecko, nawet kiedy doskonale zdawali sobie sprawę, że swoją odmową przyłączenia się do medialnej dyskusji mogą w rezultacie zrazić do siebie opinię publiczną. Więc prosiłabym wysoki sąd o dokładne sprecyzowanie stanowiska, tak aby zakaz obejmował wywiady dotyczące wszystkiego, co wydarzyło się od śmierci rodziców Keefer Kathryn, nawet jeśli fakty nie dotyczą bezpośrednio prawnego sporu.

- To brzmi rozsądnie - potwierdził Kid. Rozłożył jeden uchwyt okularów zakładany na uszy, potem drugi, a następnie starannie umieścił szkła w połowie nosa. - A więc ostatnie piętnaście czy dwadzieścia cennych minut zajęło nam omówienie trzeciorzędnych szczegółów sprawy; taka drobna dygresja, nieważne, kto ją wprowadził, ważne, że jest to odejście od tematu. - Wysunął podbródek w stronę Cady'ego, a potem w stronę Katta. - Czy wszystko jest zrozumiałe? - Prawnicy spojrzeli na swoje buty jak żałobnicy poproszeni o chwilę cichej modlitwy. - Mogę zapewnić, że na ten sąd nie będzie miała wpływu żadna krytyka ze strony mediów.

- Tak, wysoki sędzie - odrzekł Katt - choć wysoki sąd musi przyznać, że w zaistniałych okolicznościach pewien rozgłos był konieczny, biorąc pod uwagę niedoskonałość prawa, jak zostało to stwierdzone...

- Nie mówię o okolicznościach z przeszłości, panie Katt, ani nie roztrząsam mocnych czy słabych punktów sformułowań prawnych. Mówię o tym, co będzie się działo w tym sądzie teraz, počawszy od dnia dzisiejszego.

Gordon pomyślał, że tego nie wziął pod uwagę w swoich przewidywaniach.

W majestacie prawa, jak sobie wyobraził po obaleniu poprzedniego orzeczenia, czarno-biały świat zewnętrzny rozmieszczony był po obu stronach osi centralnej, nie będącej przepaścią, ale czymś bardziej... symbolicznie łączącym, może stołem. U szczytu tego wymaginowanego stołu siedział sędzia i postępował jak ojciec, który musi podjąć decyzję wynikającą z jego większej mądrości i doświadczenia; nawet bolesne konsekwencje mają przynieść dobro. Powinien być uprzejmy w stosunku do Craiga i Delii, uprzejmy też (może nawet nie bez cichej aprobaty) dla McKennów. Miało przecież nastąpić uporządkowanie terenu, zatwierdzenie stanu rzeczy, powstrzymanie nierozsądnych zapędów. Czyż nie tak? Skoro Gordon teraz był zarówno duchowo, jak i według litery prawa wujem, uprzednie roszczenia Cadych stawały się iluzoryczne jak zapach dymu po wystrzeleniu fajerwerków. Coś się stało, i to coś poruszyło wszystkich i zatryumfowało. Gordon słuchał swoich prawników i prawników Cadych, jak porównują terminarze, ustalają ostateczne daty, ujawniają listy świadków... niczym żołnierze na odciętej od świata wyspie, przygotowujący się do kolejnej bitwy, nie zdający sobie sprawy, że wojna skończyła się kilka miesięcy wcześniej.

Nowy proces? Oczywiście, dlaczego nie pięć procesów? Dlaczego nie przeciągać tego, aż Keefer sama skończy prawo? Gordonowi chciało się krzyczeć na skutek doznanego zawodu. Czuł się tak jak wtedy, kiedy musiał cierpliwie słuchać swojej pierwszej dziewczyny w college'u, gdy ta wyjaśniała mu, dlaczego piramidy w Gizie sanie tylko budowlami, ale też potężnymi magnesami.

Ale jeśli sytuacja została tak zagmatwana przez każdego, kto miał w tym jakiś udział, to teraz proste działanie mogło wydawać się absurdem. Dlaczego sędzia ma się liczyć z wyższą instancją? Dlaczego miałyby chcieć naprawić wyraźne i oczywiste zło? Sędzia jest człowiekiem podlegającym takim samym podszeptom własnego ego i lojalności, do jakiej poczuwają się wszyscy ludzie ze swojej grupy. Ten sędzia też musiał nasuszać na drzewo, żeby zaznaczyć swój ślad.

Rzeczy prawdziwe nie będą ważne. Niewidoczne i nonsensowne - tak, podobnie jak „moc” piramidy w oczach głupców, którzy w tę moc wierzą; nie szkodzi, że ona nie istnieje. Jeśli ludzie w coś wierzą to coś będzie na tyle potężne, że jego. Gordona, zniszczy.

Zostanie zmiażdżony przez coś, czego nigdy nie będzie w stanie zobaczyć.

Gordon przypomniał sobie jedną duszną, wrześnieową noc na Cocoa Beach, kiedy Ray, starając się namówić go, by poszli do baru Sand na margarity - i tym samym oderwać od wkuwania do egzaminu - wyjaśniał mu teorię względności. Opowiedział Gordonowi, jak wielcy uczeni w Danii i Niemczech spacerują morskimi brzegami czy w parku, a skały, fale i ptaki, przelatujące nad głową, skłaniają ich do zadawania sobie pytań na temat rzeczywistości, przemijania i czasu i pomimo zadziwiających wniosków, do jakich dochodzą, nie przestają zadawać sobie wciąż takich samych pytań. Nic, powiedział Ray Gordonowi, nie jest prawdziwie obiektywnie wymierzalne, ponieważ wszystko składa się z cząstek, a cząstki podlegają ciągłej zmianie.

Tyle to i ja wiem, odparł Gordon, nieco tym przytłoczony. I tak, ciągnął Ray, zanim jeden czynnik zostanie zmierzony, zmienia się wszystko, łącznie z naturą tego, co dokonało pomiaru, niezależnie czy to człowiek, czy komputer. Jeżeli starasz się zmierzyć odległość, szybkość drwi z ciebie za plecami. Nic nie może być naprawdę prawdziwe dłużej niż moment, a pod uwagę trzeba brać wszystkie zmienne.

- Także rozmowa jest prawdziwa tylko wtedy, kiedy się toczy. I ta rozmowa jest inna dla ciebie niż dla mnie, ponieważ nie bardzo rozumiesz, co to względność, a ja tak; ale ty zapamiętasz ją lepiej, gdyż jesteś trzeźwy, a ja naprany - zakończył Ray. - Jeśli ją zapiszesz, będzie to trzecia rozmowa, a jeśli ktoś ją przeczyta - będzie rozmową czwartą.

- Nawet gdybym rozumiał słowa, które mówisz, nie rozumiem, co one znaczą - przyznał Gordon. - A więc jest to piąta rozmowa, rozmowa, która właściwie nie jest rozmową, bo jest jednostronna.

- Nikt nie rozumie prawdziwego znaczenia słów - odparł Ray. - Ale, stary, nie w tym rzecz. Znowu mi wyjeżdżasz z myśleniem! Co ja mam zrobić, żebyś przestał? Walnąć cię na odlew? Musisz umieć lepiej niż inni opisać to, czego nie rozumiesz. Jedną osobą, która naprawdę zna się na rzeczywistości, jest moja kuzynka Delia.

W sądzie nie było Delii. Nie było tego wcielenia rzeczywistości Cftdych, rzeczywistości cieszącej się wsparciem, ponieważ

sam Jezus jest z nimi. Była za to rzeczywistość według prasy. Rzeczywistość sędziny Sayward i sędziego Kida. Nye'ów rzeczywistość genetycznego uprawnienia. Biologia Delii jest przekleństwem, kiedy ma wpływ na jej wzrok, jej bóle głowy, jej nogi, jej równowagę; przeszkodą, kiedy przez nianie może mieć dzieci, ale wielkim dobrodziejstwem, gdy chodzi o roszczenie sobie praw do Keefer. Jego własna biologia, która dała mu wielkie zęby, śmieszne włosy i uczyniła go różnym od rodziców, a która dotąd nie była dla niego rzeczywista - teraz stała się rzeczywistością o podstawowym znaczeniu dla innych. Wyrzucony nożyk do golenia był tylko odpadem w koszu na śmieci w łazience, dopóki Keefer nie złapała go w swoją małą, wszędobylską piąstkę; wtedy stawał się śmiercionośną bronią. Otwarte okno w ciepłą noc było błogosławieństwem, dopóki nie wpadł przez nie szerszeń. I we wszystkich tych konkurujących ze sobą rzeczywistościach Gordonowi nie wolno było robić tego, co umiał robić najlepiej - być fotonem pędzącym tropem elektronu i oświetlającym jego nieuchwytną obecność. Nie pozwolono by mu promieniować światłem.

Delia była chora.

Była chora i w ciąży.

„Nowa mama” Keefer będzie chora, nie tak jak jej biologiczna mama, ale cierpiąca, nawet gdy już urodzi. A Keefer, pozbawiona skoncentrowanej tylko na niej miłości własnych rodziców, będzie musiała teraz dzielić tę miłość, na której nauczyła się polegać, z młodszym braciszkiem lub siostrzyczką.

„Nie są to przeszkody nie do pokonania, ale obecnie nie sprzyjają stworzeniu optymalnej dla Keefer atmosfery - napisała Faith Bogert. - Delia Cady żyje w ogromnym stresie, który odbija się na emocjonalnej stabilności Keefer. Może to nie mieć trwałego i niszczącego charakteru, ale jest to czynnik stresogenny”.

Stwierdziła także, że rodzicielskie umiejętności Gordona znacznie się rozwinęły i on oraz państwo Cady mogą być uważani za równorzędnych kandydatów, przy czym McKennowie pozostają „psychologicznie najbliższą rodziną Keefer”. Nadal jednak unikała wyraźnego zarekomendowania Gordona. Pisała natomiast dużo o tym, że wszyscy dorośli w życiu Keefer „robią wiele dla dokonania wspólnych uzgodnień co do opieki nad Keefer i jej życia”. Keefer i tak nie zazna, wedle opinii doktor Bogert, życia w tradycyjnej szczęśliwej rodzinie, natomiast gdy podrośnie,

może mieć wzorzec „rozbudowanej, wieloosobowej, wielopokoleniowej rodziny”. Z pewnością na każdym etapie rozwoju będzie potrzebowała profesjonalnej porady w związku ze stratami poniesionymi we wczesnym dzieciństwie.

Tylko Nora była na tyle śmiała, kiedy zobaczyli raport, żeby powiedzieć wprost to, o czym wszyscy myśleli.

- Żał mi ich, ale czy takie orzeczenie ich nie dyskwalifikuje? Czy nie wpakują jej w to samo, przez co już przeszła? - spytała.

Czyżby był bydlakiem, pomyślał wtedy Gordon, ponieważ w pierwszym odruchu błysnęła mu nadzieja, że Delia stanie się wkrótce i nieodwracalnie niepełnosprawna. Kaleką do tego stopnia, że jej aktywne zajmowanie się Keefer będzie utrudnione lub wręcz niemożliwe. W głowie tworzył całe ukształtowane obrazy: Delia udzielająca wywiadu Tammy Bakker lub komuś innemu z JCTV, do końca życia przykuta do wózka inwalidzkiego, pozostająca pod troskliwą opieką oddanego Craiga, który powie, że dla niego nie jest ważne to, iż nie będą już mieć normalnych stosunków małżeńskich; Alexis bliska nawrócenia dzięki odwadze matki, a wszyscy wznoszący okrzyki zachwytu nad prawdziwym słońcem ich życia, małą Jessiką, cudownym dzieckiem, urodzonym cztery miesiące za wcześnie i radośnie drepczącym na nóżkach ujętych w różowe, metalowe szyny...

Czy to by było takie złe?

Po co im taki utrapiony brzdąc jak Keefer? Przecież lepiej jej będzie z Gordonem, wśród zwykłych śmiertelników.

Ponure wizje Gordona dotyczące Delii stanowiły jedyną rzecz, która pozwalała mu zapomnieć na chwilę o wściekłości z powodu jej ciąży. Tę ciążę uznał za zdradę, która napełniała go goryczą; za rozmyślną, szyderczą osobistą zniewagę. To tak, jakby zastał Lindsay w łóżku z innym facetem. Jego dziecko im nie wystarczało. Chcieli własnej samolubnej istotki, która wygryzie Keefer. I jeszcze ta pora roku! Dziecko miało się urodzić za trzy miesiące!

Kurator z urzędu oczywiście wpisze do akt jako jeszcze jeden cudowny plus dla Cadych: braciszek lub siostrzyczka w wieku bardziej zbliżonym do wieku Keefer niż Alexis.

Podczas pierwszej rozprawy z sędzią Kidem Alexis siedziała na podłodze z tyłu sali z Keefer, nie zwracając uwagi ani na Craiga, ani na postępowanie sądowe, a jej długie nogi w płóciennych butach Na absurdalnie wysokich koturnach wyraźnie przeszkadzały

woźnemu sądowemu, kiedy musiał tamtędy przechodzić. Keefer co chwila wsuwała paluszek do ust Alexis, która udawała, że ze złością go odgryza, Keefer wyciągała palec z udawanym strachem, a potem wybuchała serdecznym, dźwięcznym śmiechem. Za każdym razem, kiedy to się działo, nikt nie mógł powstrzymać uśmiechu, z wyjątkiem sędziego Kida, który w końcu doprowadzony do ostateczności oznajmił, że sala sądowa nie jest odpowiednim miejscem dla dziecka. Na znak Craiga Alexis wyniosła Keefer do holu.

- Miło było się przekonać, że on nie znosi innych tak samo jak nas - powiedziała później Lorraine do Grega Katta, kiedy siedzieli nad kanapkami z tuńczykiem u Hubble'a.

- Czuję presję - odparł Katt z pełnymi ustami. - Kid to facet, dla którego liczy się przede wszystkim prawo. Nie pozwala sobie na żadne ustępstwa. Zrobi, co do niego należy, bo nie ma innego wyjścia. Ale mówiąc poważnie, lepiej mu się nie narażać artykułami w prasie.

- Nie zrobimy tego - odparła Lorraine ze strachem. - Od tygodni nie rozmawialiśmy z nikim. Jedyne odpisywaliśmy na e-maile.

- Z tym też dajcie sobie spokój - doradził Katt.

- Piszą do nas ludzie, którzy się boją, że to samo może im się przydarzyć, którzy nie znają prawa w swoim stanie i niepokoją się swoją sytuacją rodzinną - wyjaśniła Lorraine.

- Będzie mnóstwo czasu na pisanie do nich, kiedy już Keefer znajdzie się u pani na kolanach - odparł Katt. - Na razie proszę odpowiadać, że jest pani zajęta własnym procesem. Nasze sprawy są na dobrej drodze i liczę, że państwo Cady nie wniosą apelacji.

- Uważa pan, że mogą to zrobić? - spytał Gordon, myśląc, że oczywiście istnieje takie prawdopodobieństwo, a nawet pewność.

- Raczej nie. To znaczy, gdybym był ich prawnikiem, odradzałbym, gdyż postawiliby się w bardzo niekorzystnym świetle. Wentworth jest sprytna. Powie im, żeby cierpliwie zaczekali. A w ogóle coś mi się zdaje, że teraz nie bardzo mają do tego głowę.

- Cóż, to jej wybór, że zaszła w ciążę właśnie teraz - warknęła Lorraine.

Katt sprawiał wrażenie zażenowanego; Gordon wiedział, o czym on myśli: że słowa jego matki zabrzmiały tak, jakby rzeczywiście była samolubna i miała obsesję jak niektórzy ludzie o niej mówili. Chciał przytulić matkę, powiedzieć jej, że ją rozumie, że jest po prostu wyczerpana, a nie złośliwa.

- Sadzę, że wszystko pójdzie dobrze - powiedział Katt, pochylając się i ujmując małą i, jak Gordon zauważył, zniszczoną rękę matki.

Ręka ta wiele mówiła. Świadczyła o tym, że matka znowu zajęła się swoją sztuką. W okresie ich dzieciństwa, kiedy Lorraine dużo czasu poświęcała rysowaniu, narzekali nie tylko dlatego, że odrywało ją to od ich najważniejszych na świecie żądań, ale ponieważ niszczyło skórę dłoni. Kiedy przychodziła wieczorem pomasaować im plecy, pęknięcia na czubkach palców upodobiały je do papieru ściernego. Odsuwali się z niezadowoleniem. Przepraszała. Pewnego razu na Dzień Matki oboje z Georgią dali jej kosz pełen wszelkich możliwych kremów i balsamów nawilżających, jakie udało się im znaleźć, łącznie z balsamem z wymienia krowiego. Teraz ten widoczny dowód zaangażowania Lorraine w coś, co nie było ani sprawą sądową, ani żałobą, napełnił cichą radością serce Gordona. To dobrze dla mamy. Doskonale.

Gordon nie mógł skierować swego gniewu na zewnątrz, przetworzyć go w energię. Czuł się tak, jakby był chory i wiedział, że wszystkie dolegliwości fizyczne biorą się z negatywnego wpływu emocji na ciało; bóle głowy, różnego rodzaju skurcze i nerwicę żołądka wrzucał do jednego worka z „atakami paniki” i „problemami ze stolcem”. Były to jego zdaniem przypadłości, nad którymi każdy, kto miał więcej samoświadomości od świerszcza, mógł zapanować.

A tymczasem nie potrafił zmusić się do poprawy samopoczucia. Zaczynał żałować swoich wygłaszanych pogardliwych opinii o „chorobach psychosomatycznych”.

W te noce, kiedy nie było z nim Keefer, męczył się straszliwie, nie mogąc zasnąć. Czasami nie zdołał się odprężyć nawet u boku dającej poczucie bezpieczeństwa Lindsay, która zwinęta w kłębek spała zawsze tak cichutko, że Gordonowi niekiedy się zdawało, iż przestała oddychać. On i Keefer, oboje chrapali donośnie. Dokuczał mu tak świdrujący ból umiejscowiony w części głowy, że czuł się, jakby mu ktoś przyłożył z boku szpadlem. Nawet poprosił matkę o pastylki wzmocnionej aspiryny, ale powiedziała, że miała je na receptę i że już się skończyły.

Kiedy próbował robić coś tak niewinnego, jak ćwiczenia z hantlami, drętwiała mu szyja i kark. Tracił na wadze, wychudł niczym niedożywiony kurczak, zupełnie jak stryjeczny dziadek Harold.

Wolałby chyba umrzeć, niż znosić taki upadek i nędzę przez całe życie.

Nic nie pomagało. Ani maseczka na oczy o zapachu eukaliptusa, którą Lindsay przyniosła ze sklepu, ani przyjemny szum wentylatora, ustawionego w głowach łożka, ani woda, ani benadryl. Zapadał w stan bliski snu i wtedy pojawiały się obrazy Keefer. Jego szalone kochanie. Keefer nierzeczywista, nieosiągalna zjawia. Jej szczebiot: „Gdzie Dory ma włoski? Gdzie Kifer ma włoski? Dory ma oko, Kifer ma oko, Dory ma śmieśne ziąbki, Kifer ma śliczne ziąbki”. Była cholernie pojętna, naprawdę. Chodziła pewnym siebie, spokojnym krokiem małego gangstera z Atlantic City.

- Czyja ty jesteś kruszynka? - pytał ją.

- Moja! - Wołała w odpowiedzi Keefer, stukając się paluszkami w okrągły brzuszek, a potem kapitulowała i szturchała nosem jego koszulę. - Moja i Dorego.

Wstawał. Może pójść na spacer? Był zbyt obolały, żeby się ruszyć, za bardzo obolały, żeby leżeć bez ruchu. Słyszał jej ćwierkanie, wykrzykiwane cieniutkim głosikiem słowa:

- Dory, tutaj! Co to? Uaa. Dzidzia zrobiła bach! Piesek hau hau!

Czuł jej gładki policzek - piłeczkę wypełnioną świeżą wodą, ocierającą się o jego pierś, gdy leżeli rano w łożku; słyszał burczenie w brzuszku, którym raczyła go obficie; widział czujne spojrzenia, posyłane kątem oka i główkę opierzoną rudawymi jak u lisa kosmykami, które nie chciały rosnąć, tak że wyglądała niczym punk-rockowiec; wspominał idealne kuleczki łoża, które na życzenie sływały w wielkich oczu, a także sposób, w jaki chowała twarz w nogawce jego spodni, kiedy spotkali szczególnie namolną nieznajomą. Myślenie o Keefer kończyło się tym, że lądował ze sztywnym karkiem w toalecie, zgięty w pół, nie mogąc zwymiotować, a już na pewno nie kolację, której nie jadł z powodu dręczących go mdłości. Przesiąknięty bliskością absurdalnych rytuałów matki, sam zatrząskiwał okno na dźwięk lelka, a myśli galopowały jak psotne chochliki. Był zbyt sztywny, żeby sobie pobrzdać, zbyt roztrzęsiony, żeby poczytać. Przychodził kolejny dzień, a on musiał stawić mu czoło z wyschłymi ustami, ślaniając się na nogach z osłabienia. Nie mógł znieść tego, że ją straci. Musiałby zbudować sobie życie bez niej. Ale czy będzie mógł bez niej żyć?

Będzie żyć - to wszystko. Będzie robił wiele interesujących

rzeczy ze swoją wolnością, włączając w nią tyle spraw, ile się da. Będzie ważną postacią w swoim własnym życiu.

Umrze.

Będzie żyć - wydrażony, pusty, stary mężczyzna po dwudziestce.

Delia i Craig zmieniają, poświęcą, przerobią jego słodką małą reneгатkę w uległe, religijne dziwadło. Będzie się go wstydić. Uzna go za nudziarza. Będzie się skarżyć na zapach terpentyny w domu jego matki. Urośnie i zacznie nosić grzywkę i ciasne koszulki z napisem *Rich Girl*, wyszytym tanimi cekinami. Wcześniej wyjdzie za mąż. Nigdy nie wyjdzie za mąż, zostanie zgwałcona przez duchownego Foursquare Christian Church.

Zostanie kosmetyczką.

Umrze bez niej. Nie żył naprawdę, dopóki jej nie było. Kiedy Gordon wyobrażał sobie swoje poprzednie życie, widział siebie w pozach kulturysty - sztuczny manekin, hiperaktywny, facet szczerzący się bez sensu.

Mógł zrezygnować z Keefer. Z godnością.

Wyeeliminuje rywali. Znajdzie sposób, żeby przeciąć kombinerkami linki hamulców Craiga. Nie, nie znał się na samochodach. Wymyśli wycieczkę szkolną do Stanowego Laboratorium Higieny i kiedy jego uczniowie będą oglądać okropieństwa medycyny sądowej, on zdobędzie wirusa, odrobinę cyjanku...

Będzie musiał jej się wyrzec, odsunąć na bok, żeby ona mogła stać się kimś innym. Mógł to zrobić. Opłakał Georgię. Opłakał Georgię i żył dalej.

To kłamstwo. Nawet nie zaczął opłakiwać Georgii. Nie miał czasu. Został zmuszony do odsunięcia jej na plan dalszy, dla Keefer. W niestrudzonej walce o to, co było jego.

Straci je obie.

Jak się to robi? Pomyślał, że powinien porozmawiać z ojcem, który, jak się wydawało, osiągnął stan cichego pogodzenia się z losem. Jakie ukryte pokłady charakteru posiadał Mark, których on nie odziedziczył? Doświadczenie. Dojdzie do tego z czasem. Otrzymał tak wiele ran, że zniknęło pod nimi pierwsze, głębokie cięcie. Nauczy się.

Pewnej gorącej nocy tak bardzo go rwało w szyi, kiedy poruszył oczami, a w lewym uchu dzwoniło dziwnie, kiedy się kładł, że pojechał na ostry dyżur do metodystów. Lekarką dyżurną okazała się Michelle Yu.

- Myślałem, że to stres, ale odnoszę wrażenie, że to sprawa neurologiczna - powiedział. - Chyba zaraz dostanę apopleksji.

- Stres j e s t neurologicznym problemem - uśmiechnęła się. - Wygląda pan jak chory brat faceta, którego widziałam kilka miesięcy temu.

- Pani mnie zapamiętała? - spytał Gordon i przeklął samego siebie, że jest tak koncertowym dupkiem. - W końcu pani widuje setki pacjentów tygodniowo.

- Myśli pan, że z powodu pańskiej urody? - Uśmiechnęła się doktor Yu, pocierając dłonią stetoskop przed przyłożeniem go do klatki piersiowej Gordona. - No, powiedzmy, że po prostu zapamiętałam. Poza tym jestem namiętnym nocnym telewidzem CNN. Jak na faceta w pana wieku ma pan puls, że ho ho! Dziewięćdziesiąt pięć w stanie spoczynku. A jak się miewa pana córeczka, dawniej siostrzenica?

- Znow jest moją siostrzenicą- zaczął Gordon.

- Jak to?

- Rozstajemy się - powiedział i zaczął płakać, tłumiąc łkania, schylając głowę niczym nurek cierpiący na kurcze z powodu zmiany ciśnienia.

Trzeba było przyznać, że nie starała się go obejmować ani nawet głaskać po plecach. Oparła się drobnym biodrem o metalowy stołek i powiedziała:

- Dzisiaj mamy tu starszego mężczyznę z bolącym gardłem, nałogowca, który i tak będzie palił, niezależnie od kazania, jakie mu wygłoszę, i starszą panią, odbywającą rundkę po czynnych przychodniach, żeby zdobyć środek przeciwbólowy na uraz kręgosłupa, którego się nabawiła, kiedy Jimmy Carter był prezydentem.

- Pani nie było jeszcze na świecie, kiedy Jimmy Carter był prezydentem - zauważył Gordon.

- Byłam - wyznała Michelle Yu. - Mam trzydzieści pięć lat, panie McKenna.

- Naprawdę? Jak pani to robi, że wygląda tak młodo?

- Starożytny chiński sekret. Jakiś czas już param się medycyną. By zostać lekarzem, trzeba poświęcić kilka semestrów.

- Racja. Sam się nad tym zastanawiałem.

- Za ciężkie studia?

- Za dużo matematyki. Pewnie rachunki są pani niezbędne w codziennej pracy.

- Tak, wręcz nieustannie. - Uśmiechnęła się.
- No właśnie, nigdy nie mogłem tego pojąć.
- Ale jest pan umysłem ścisłym.
- Tylko dla ludzi na północ od Stevens Points, jak mawia mój przyjaciel Tim.
- Więc jak mówiłam, mamy w poczekalni ludzi, którzy sami wywołali swoje choroby. W sumie wszyscy, którzy przyszli tu dzisiaj, cierpią na to, co nazywamy emocjonalnie rozdmuchanymi fizycznymi dolegliwościami.
- Czy znaczy, że ja też?
- To znaczy, że cierpi pan na brak snu.
- Skąd pani wie?
- Z ciemnych plam pod oczami i z tego, że jest draga w nocy, a pan rozmawia ze mną zamiast spać.
- Zgadza się.
- Mogłabym zrobić panu elektrokardiogram. Zlecić badania laboratoryjne, gdyż może pan mieć mononukleozę. Ale ponieważ nie stwierdzam gorączki, bólu gardła, wymiotów...
- Wymiotuję. Strasznie wymiotuję. Ale nic nie wylatuje.
- Utrzymujące się mdłości.
- W nocy.
- Jakież inne... dysfunkcje?
- Nie mam pojęcia - westchnął Gordon. - Moje życie uczuciowe jest na poziomie przeciętnej pani pacjentki z domu pogodnej starości.
- Zdziwiłby się pan pewnie. Powinien pan posłuchać, jakie historyjki opowiada pacjent z przepalonym gardłem. Myślę, że mamy do czynienia ze zdrowym facetem, mocno zestresowanym, który potrzebuje snu i odegnania smutku...
- Moja siostra wiedziałaby, z jakiego to wiersza.
- Pańska siostra, która nie żyje...
- Już będzie rok.
- Mój drogi, dam panu... około, hm, dziesięć tabletek alprazolamu. To mniej więcej to samo co valium.
- Nie sądzę, bym potrzebował aż dziesięć.
- Doktor Yu wzniosła oczy do góry.
- Nie mówię dziesięć naraz, panie McKenna. Dam panu tyle, żeby wystarczyło na kilka tygodni spokojnego, nieprzerwanego nocnego snu... Czy teraz stosuje pan coś na sen?

- Żadnych prochów, z wyjątkiem - zaczerwienił się - herbatki Nutra-Gen Muscle.

- Robimy z siebie twardego faceta?

- Nie, raczej idiotę.

- Proszę uważać z alkoholem, kiedy pan zacznie brać leki. Proszę zacząć od połowy tabletki i zażyć, kiedy będzie pan gotów położyć się do łóżka; wszystko jest tu napisane na opakowaniu.

- I będę po tym spał?

- Powinien pan. Poczujecie się pan sennie w ciągu godziny. I proszę zjeść coś porządnego.

- Nie mogę patrzeć najedzenie.

- Na tofu Kung Pao też?

- Nie rozpoznałbym tofu Kung Pao, nawet gdybym je miał przed nosem.

- No to zaznajomię pana. Kończę za piętnaście minut.

- Teraz?

- Co noc jem o tej porze.

- A gdzie pani je? Gdzieś w pobliżu?

- W domu - powiedziała. Ich spojrzenia się skrzyżowały. - Nie zapraszam pana na seks, panie McKenna. Choć przyznaję, przeszło mi to przez myśl, ale nie sprzyja temu ani czas, ani miejsce. Tyle że... Czytałam, co pan przeszedł; od razu przypomniała mi się mała dziewczynka, która nie miała infekcji ucha, a teraz pan przychodzi i skarży się na brak snu. Pomyślałam, że mógłby pan coś skosztować, ale niekoniecznie mnie.

- Sama będzie pani gotować?

- Starożytny chiński sekret - powiedziała. - Kupuję w Hurry Curry w Wausau co wieczór po drodze do pracy i potem myślę przez całą noc, co czeka na mnie w małej srebrnej torebce w lodówce.

Zrobili tak. Zjedli tofu w jej eleganckim, niemal pustym, całkowicie białym mieszkaniu, gustownie przyozdobionym suchymi gałęziami oraz kompozycjami z kamieni i wyrzuconego przez wodę drewna.

- Myślałem, że lekarze tarzają się w forsie - zauważył Gordon.

- Pierwszoroczni lekarze-rezydenci tarzają się w długach - wyjaśniła.

- To naprawdę miłe z pani strony - powiedział, przekonując się, że potrafi jeszcze jeść w towarzystwie drugiej osoby. - Tym

bardziej że cała ta historia musi się wydawać kompletnie niezrozumiała.

- Nie dla mnie. Ja byłam adoptowana.

- Ale pani nazwisko...

- Jestem jedyną koreańską sierotą w Ameryce adoptowaną przez chińską rodzinę.

- I nie dręczy pani... wszystko, co powinno panią dręczyć?

- Niepokój o korzenie? - Obróciła w palcach pałeczki, a potem złożyła je na krzyż. Gordon używał widelca. - Dave i Sherry Yu są równie chińscy jak wędzony łosoś i bajgle. Należymy do kościoła episkopalnego. Naszym ulubionym świętem jest Święto Dziękczynienia. Dostawałam lalki z Korei. Ale czuję się mieszkanką Nowego Jorku. Mam tradycyjne pałeczki tylko dlatego, że nie lubię smaku drewna. I wojuję z moim tatą za każdym razem, kiedy spędzamy więcej niż trzy godziny pod jednym dachem.

- Jak się pani tu dostała?

- Prosto z Akademii Medycznej. Lubię tę pracę.

- Czasami myślę o podjęciu studiów doktoranckich.

- Mhm, cóż, kocham mego tatę najbardziej na świecie. Jeszcze zanim zaczęłam chodzić... Jestem wykapanym małym Dave Yu. On... - Przez chwilę patrzyła w inną stronę. - Jest moim sercem. Kocham mego tatę. Kocham... mego tatę.

Wrócili do jedzenia, zażenowani nadmiarem emocji przepełniających mały pokój.

- Więc życzę panu powodzenia. I tyle.

Dochodziła czwarta, kiedy wyszedł. Przy drzwiach pochylił się i pocałował ją w policzek, wdychając zapach drewnianych szpatulek i wiciokrzewu.

- Dzięki - powiedział, a potem objął ją w talii i pocałował znowu, z większym zaangażowaniem.

- Masz dziewczynę - powiedziała.

- Czytasz w myślach?

- Masz?

- Mam. A w tej chwili żałuję, że mam.

- Ale w tej chwili masz.

- Dziękuję za tofu, doktor Yu. To brzmi jak tytuł filmu.

- Gratis, panie McKenna. Tofu i mądrość absolutna.

- Mogę zadzwonić do ciebie?

- Może kiedyś. Nie wyjeżdżam nigdzie.

Spał nie więcej niż *cztery* godziny, mrużąc błogo coś pod nosem w objęciach trunkwilizera, kiedy zadzwonił telefon. Lindsay powiedziała mu:

- Twoja mama nie mogła złapać cię rano i zadzwoniła tutaj. Sędzia zarządził telekonferencję. O drugiej.

Gordon poprosił, żeby zaczekała chwilkę, upuścił telefon, potykając się, poszedł do łazienki i podsunął otwarte usta pod kran.

- Powiedz jeszcze raz?

- Mediacja.

- Sędzia Kid?

- Chce, żebyście byli obecni, ty, rodzice i prawnicy... gdzie byłeś?

- Kiedy?

- Zeszłej nocy... kiedy! Gdzie byłeś?

- Pytasz, czy byłem z kobietą?

- Tak. Nie mów mi! Nie, powiedz.

Powiedział jej.

- Byłem na ostrym dyżurze, Lins. Po proszki na sen.

- Gordie, kocham cię - powiedziała.

- Wiem - odparł. - Wiem. I też cię kocham. A teraz pośpię sobie jeszcze, jeśli mi się uda.

- Zadzwonię do ciebie w południe.

- Dobrze. Nie musisz.

Jednak zadzwoniła i przysłała, żeby posiedzieć z nim, dopóki czerwone cyferki na zegarze nie wyświetliły drugiej i nie zatelefonował Katt, przełączając go najpierw na linię oczekującą, podczas gdy sam łączył się z linią konferencji. Gordon mógł przysiąc, że poczuł jakąś zmianę w powietrzu, kiedy na linię włączyli się Delia z Craigiem.

Sędzia Kid starał się streszczać.

- Chcę, żebyście się państwo spotkali. Chcę, byście wykazali dobrą wolę, włożyli trochę wysiłku i uzgodnili tę sprawę między sobą. Znajdźcie rozwiązanie na miarę potrzeb waszej rodziny.

- Dołożyliśmy wszelkich starań... - zaczęła Mary Ellen Wentworth.

- Dołóżcie więcej - przerwał sędzia Kid. — Posłuchajcie państwo. Mówię jak najpoważniej: nie wykluczam możliwości orzeczenia, iż dziecko nie może żyć normalnie w atmosferze wrogości. Porozumiewacie się listownie, pani Cady, panie McKenna.

Proście ciotkę, żeby wносиła dziecko przed dom, kiedy przyjeżdżają państwo Cady...

- Tak zostało uzgodnione... - usiłował wtrącić Greg Katt.

- Chciałbym podać do wiadomości państwa, że jeżeli nie osiągniecie porozumienia, nie wykluczam adopcji przez osobę trzecią.

- Jak to? - wydyszała Lorraine.

- Przeżyłaby stres, musiałyby się przyzwycząić, ale jak zapewnienia doktor Bogert, przyzwycząłaby się, natomiast ciągłe napięcie nerwowe, jakie wywołują u niej utarczki państwa, też nie jest bez konsekwencji.

- Wysoki sądzie, potrzebujemy czasu, żeby się ustosunkować...

- Nie ma pośpiechu! - odrzekł Kid. - Macie godziny, macie dni! Państwo Cady zapewnili mnie, że nie mają zamiaru wnosić apelacji do wyższej instancji...

- Czy to prawda? - spytał Mark.

- Nie będziemy odwoływać się od wyroku - wyraźnie potwierdziła Delia.

- Więc przyznajecie, że Gordon jest wujem Keefer - dorzuciła Lorraine.

- Uważamy także, że wiemy, co jest dla niej najlepsze - dodała Delia.

- Skoro wiecie, co jest dla niej najlepsze, to czemu narażacie ją na takie przeżycia? - spytała Lorraine.

- Naszym zdaniem nie my Keefer na to narażamy - odparł Craig Cady. - My tylko chcemy dla niej normalnego, stałego domu.

- Jesteś chora! - krzyknęła Lorraine. - Delio, ty jesteś chora!

- Wyzdrowieję, Lorraine. Już jest prawie dobrze, a lepiej dla Keefer, że będzie miała rodzeństwo.

- Życzyłbym sobie, byście państwo właśnie te sprawy rozważyli wspólnie - powiedział sędzia Kid. - Czy jasno się wyraziłem? Spodziewam się wiadomości... dziś mamy środę. W poniedziałek. Urządzimy konferencję... Bridget? - wezwał asystentkę. - Czy mogę zaprosić państwa w poniedziałek o trzeciej?

Czekali, na linii słychać było oddechy.

- O trzeciej w poniedziałek. Życzę powodzenia. - Ton głosu Kida złagodniał. - Szczerze.

Tej nocy McKennowie próbowali rozmawiać. Wybrali restaurację w Mercer, spokojny, włoski lokal, bo liczyli, że tam nie powinien ich nikt rozpoznać, tymczasem z kuchni wypadł w podskokach właściciel i wycierając dłonie w pasiasty fartuch, powiedział, że kolacja jest na koszt firmy; widział ich w NBC. Zjedli szybko, a potem siedzieli na werandzie na Cleveland Avenue, pozwalając komarom bez przeszkód ucztować na nieosłoniętych ramionach.

- Nie możemy się poddać - powiedziała Lorraine. - Greg mówi, że sędzia jest twardszy wobec tych, którzy mają lepszą sytuację. Dlatego dla nas jest taki niemiły.

- A jeśli mu zaufamy i pozwolimy podjąć decyzję, to Keefer przyzna nam? - zapytał apatycznie Gordon.

- A jeśli podejmie inną decyzję? Jeśli odda Keefer do adopcji? - Mark rzucił pytanie w ciemną noc. Księżyc wzniósł się, ospały i opalizujący jak ostryga, i upstrzył plamkami czubki drzew na cmentarzu.

- Ustępując, przynajmniej mielibyśmy jakąś kontrolę. Moglibyśmy ją widywać - zasugerował Gordon.

- Skąd możesz to wiedzieć?! - zawołała Lorraine, zrywając się z kamiennych schodków. - Skąd wiesz, czy Delia będzie honorować jakiejkolwiek obietnice? Skąd wiesz, czy Diana Nye nie namówi ich, by się przeprowadzili na Florydę?

Gordon czuł się tak, jakby już umierał. Pomimo dusznego upału, dochodzącego w nocy do osiemdziesięciu stopni Fahrenheita, ręce i stopy miał chłodne, ciężkie. Kiedy wreszcie wyjechał od rodziców, szukał ratunku w plastikowej butelce, którą otrzymał razem z połową skręta od Tima podczas ich ostatniej jazdy przez działki, potem w dwóch torebkach cheetos i trzech butelkach labatta. Ale wcale nie mógł zasnąć. Wrócił więc na Cleveland Avenue. Grób był udekorowany, jak wiedział, przez Norę, która położyła na nim błyszczącą flagę i posrebrzaną fakturę wyobrażającą petardę. Petarda odpadała, odkleiła się podczas deszczu padającego w ubiegłym tygodniu. Gordon delikatnie oderwał ją całkiem od flagi i złożył płasko, żeby potem wyrzucić do kosza na śmieci przy bramie.

Zmarli też świętują, pomyślał.

Dobrze po północy pojechał na farmę wuja Hayesa. W kuchni paliło się światło. Zjrzał przez szybę w drzwiach. Nora łątała dżinsy na blacie stołu zrobionym z jednej szerokiej deski. Nie zapukał, tylko po prostu wszedł. Nora się nie zerwała ani nie przy-

łożyła dłoni do piersi na znak, że ją przestraszył. Po prostu odwróciła w jego stronę zmęczoną, opaloną twarz i zapytała:

- Chcesz kawy, kochanie?
- Nie wiem, ciociu. Sam nie wiem, czego chcę.
- No to ja się napiję.

Gordon trzymał tył spłowiałego kombinezonu wuja, podczas gdy Nora przyłożyła, a potem przestebnowała czerwoną łątę. Miała na sobie pomarańczową bluzę i coś w jej postaci kojarzyło się Gordonowi z... kościołem. W dzieciństwie ciocia Nora zawsze przypominała mu dużą, smutną, rzeźbioną w drewnie figurę świętego, jedną z tych, jakie zdobiły kościół Matki Boskiej Jeziora. Zwłaszcza świętego Michała.

- To Georgii - powiedział nagle.
- Śpię w niej - wyjaśniła Nora miękko.
- Ja w ogóle nie mogę spać - wyznał Gordon.
- Nikomu z nas niezbyt się to udaje.
- Czy myślisz, ciociu, że mogą ją zabrać i dać obcym, i że nigdy jej nie zobaczymy?

- Nie - odparła Nora, wybierając następną parę džinsów ze stosu. - Nie. Myślę, że sędzia nie będzie aż tak narażał własnego tyłka.

- Ale może oddać ją Cadym.

- Moim zdaniem jest duże prawdopodobieństwo, że tak zrobi, Gordie. Jestem starą, głupią kobietą i nigdy nie traciłam nadziei, że nastąpi cud i Georgia wstanie z łóżka zdrowa... ale wiedziałam też, nawet gdy się modliłam, że ona umrze. I musiałam przyznać przed samą sobą, że wtedy jakaś część mnie też umrze. Musiałam przygotować moje serce, by pozwoliło tej części umrzeć.

- I zrobiłaś to?
- Chyba tak - odparła Nora. - Ponieważ wciąż tu jestem i oddycham.

- Jak?

- Myślę o... Wiem, że nie zgadzasz się z tym, Gordie. Ale myślę o życiu na tamtym świecie. Dla mnie takie życie oznacza odzyskanie wszystkiego, co się utraciło na ziemi. Georgia. Dziecko, które straciłam...

- Nie wiedziałem, że straciłaś dziecko.

- W siódmym miesiącu. Chłopca. Jeszcze przed Robem i Danem^

- Czy on... czy dziecko miało jakiś defekt?

- Nie, był idealny. Tyle że nie dla tego świata.

- Tak mi przykro, ciociu.

- Mnie też, kochanie. Wciąż jest mi przykro, choć minęło już ponad trzydzieści lat.

- Więc co mam zrobić?

- Kiedy nie mogę otrząsnąć się ze smutku, wtedy myślę: co się naprawdę liczy, Elanor Jane? Co przetrwa? Może spytasz o to siebie. Co jest dla ciebie najważniejsze na świecie, Gordie?

- Keefer - odparł. - To proste.

- A dalej?

- Georgia.

- Dalej?

- Mama - rzekł. - I tata. - Zawahał się. - I ty.

- Nie musiałeś tego mówić.

- Wiem. Ale to prawda. Ty. Moja rodzina. O wiele, o wiele bardziej teraz niż przed tym wszystkim.

- No więc dla mnie jest tak samo. Hayes i moi chłopcy. I ty, i Georgia. Ale od razu też Mark i Mikę. Moi bracia. I Lorraine.

- Ona jest tylko twoją szwagierką.

- Nie - odrzekła Nora. - Nie tylko. Oczywiście, może ona tak wcale nie uważa.

Odgryzła nitkę.

- Ona i Mark, i Mikę. Przed moją matką i ojcem. Przed wszystkimi, z wyjątkiem Boga - ciągnęła Nora. - No może to niezupełnie prawda. Przed Bogiem. - Przeżegnała się, nakreśliła znak krzyża środkowym palcem w napastrku. - Ponieważ nie znam Boga.

- Rozumiem.

- Najmocniej jesteś związany z rodzeństwem.

- To jest oczywiście uzasadnione genetycznie. Bardziej niż z matką czy ojcem.

- Gordonie Cooper McKenna. Wiesz, że nie o genetyce mówię. Mówię o... byciu rodziną. Nawet kiedy się kłócimy...

- Nigdy nie myślałem, że ty i Hayes możecie się pokłócić.

- Kiedyś się nie kłóciliśmy. Teraz nie ma tygodnia. Ale myślę, że to dobrze dla nas. Te nasze wojny sprawiają, że krew krąży szybciej. To ludzie wiążą cię z tym życiem, choćbyś chciał, żeby pozwolono ci odejść.

- Ja tak się właśnie czuję, jakbym chciał odejść.
 - Ale nie robisz tego. Inaczej poprowadziłbyś samochód prosto na drzewo. Jak Ray. On przeciął więzy.
 - Towarzystwo ubezpieczeniowe orzekło, że to nie było samobójstwo.
 - Ale ty wiesz, że było.
 - Naprawdę nigdy tak nie myślałem.
 - Sądzę, że tak, że chciał dać Georgii wolność. I nie mógł przeciąć tej więzi, odciąć jej od siebie. Więc musiał odejść.
 - Dlaczego tak uważasz?
 - Głupia rzecz.
 - Powiedz mi.
 - Wyjęli siedzenie. I wzięli stary samochód.
 - Ach! -jęknął Gordon.
 - Ale ty trzymasz się życia. Ciekawi cię, co jest za rogiem. Pomimo to, jak bardzo cię to wszystko boli.
 - Chyba tak.
 - Wiem, że tak. Wiem, że wyzdrowiejesz. To jest... trudna spuścizna, to całe bycie człowiekiem. Ale ty dasz świadectwo Georgii, weźmiesz waszą wspólną przeszłość, dodasz do niej swoją część i przekazesz Keefer. Wszystko z wyjątkiem tego, czego już nie ma. Nigdy nie zastąpisz swojej siostry.
 - Nie, nie zastąpię.
 - Wymieniłeś ją przed Markiem i Lorraine. Dlaczego? - spytała Nora.
 - Nie myślałem o tym, ale chyba siostra zna człowieka najlepiej. Można pozwolić jej zobaczyć rzeczy, których nawet rodzice, a może nawet żona nie poznają. Nie potrafiłbym jej oszukać. Mojej siostry.
 - A więc chcesz powiedzieć, że dziecku potrzebny jest brat lub siostra?
 - Nie. Choć tak, to jest bardzo ważne.
 - Cóż - orzekła Nora — pewien jesteś, że nie chcesz kawy?
- Orzechowa.

W niedzielę wieczorem Gordon zrobił kilka serii ćwiczeń z ciężarkami. Ochlapał twarz, ale nie wziął prysznicza. Usiadł przy telefonie.

Po pierwszym dzwonku odebrała Alexis.

- Słucham.
- Mówi Gordon McKenna - przedstawił się. - Muszę porozmawiać z Delią. Muszę porozmawiać z twoją mamą.
- Mamo! - wrzasnęła Alexis.
- Usłyszał głos Delii, dźwięczący śmiechem.
- Nie krzycz tak!
- Mamo! - Keefer też zawołała.
- Delia dodała:
- To dotyczy się również ciebie, panno Kathryn. -I zaraz jej głos znalazł się w słuchawce, a przeciągłe „halooo” zadźwięczało jak banjo na Florydzie.
- Mówi Gordon - powiedział.
- Gordon! - Słuchawka została przysłonięta tłumikiem w postaci dłoni. - Cicho bądźcie! Zabierz je, kochanie. - Zdjęła dłoń. - Gordon, wiesz, chyba nie powinniśmy teraz rozmawiać. Mary Ellen powiedziała, że mamy się spotkać jutro. Chciałam dzwonić do niej dziś wieczorem. Sędzia mówił, że powinniśmy wszystko uzgodnić.
- Powiedział, że mamy sami się dogadać.
- Miał na myśli, jak sądzę, naszych prawników.
- Wiesz co, Delio, mam dosyć naszych prawników. To, co muszę ci powiedzieć, chcę powiedzieć bezpośrednio tobie, zwykłym, prostym językiem, nie prawniczym.
- Gordie - westchnęła, a to zdrobienie całkiem go rozbroiło. - Wiem, jak ty...
- Delio, nie wiesz, co chcę powiedzieć. Nie masz się czego bać. Wprawdzie nadal nie rozumiem, dlaczego postępujesz wbrew naszej rodzinie, tak jak już nieraz zostało powiedziane, ale wiem, że moja siostra ceniła twoją przyjaźń, a Ray cię kochał. I to mi wystarczy.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Chcę powiedzieć, że wycofam swój pozew.
- Wycofasz? Czemu?
- Czy nie tego właśnie chcesz?
- Oczywiście, że tak. Ale dlaczego właśnie teraz?
- Chyba... dlatego, że kocham ją tak bardzo, że nie mogę znieść tego szarpania nią w dwie strony. I wiem, jak się źle czujesz i jak bardzo się starasz, i to z wyjątkowo szlachetnych pobudek. Chcesz, aby twoje dziecko przyszło na świat. Podziwiam cię

za to, choć jednocześnie nienawidzę twojej odwagi. W pewnym sensie. A poza tym nie ma takiego powodu, dla którego Ray i Georgia nie mieliby wspólnie podjąć decyzji korzystnej dla ciebie, nie dla mnie. Ich dziecko to dziewczynka, która potrzebuje matki i która potrzebuje siostry. Gotów jestem zgodzić się, byś to ty została... tą matką. Wiem, że bardzo chcesz nią być. Ale mam pewne warunki.

- Mów dalej - rzekła Delia natychmiast. - Albo poczekaj chwilę. Poproszę, żeby Craig podniósł...

- Nie! - przerwał jej Gordon. - Nie. Rozmawiam z tobą. Nie z Craigiem. Ty jesteś biologiczną krewną.

- W porządku - powiedziała, a on lubił ją przez tę chwilę. - W porządku, mów - dokończyła.

- Ona nazywa się Keefer. Keefer Kathryn Nye. Nie Kathryn. Nie Kathryn Keefer, a już na pewno nie Kathryn Cady.

- Ale dzieci...

- Masz już jedną córkę, która ma inne nazwisko niż ty. Będziesz miała drugą. I urodzi się wasze wspólne dziecko, o jeszcze innym nazwisku.

- No dobrze. Ale myślę, że Ray...

- Ray chciałby, żeby jego dziecko nosiło jego nazwisko. To nie znaczy, że nie szanuję Craiga. To jest mój gest szacunku w stronę Raya. I na imię ma Keefer. Musicie wołać na nią Keefer.

- Dobrze.

- Chcemy widywać Keefer dwa weekendy w każdym miesiącu. Ja albo moi rodzice. A jeśli wrócę do szkoły... w Madison... - Gordon miał nadzieję, że nie zabrzmiało to, jakby wymyślał wszystko na poczekaniu, choć właśnie tak było. — Chciałbym, żeby zostawała u mnie przez jedną noc w tygodniu.

- Gordie, jesteś wujem, nie ojczymem.

- Takie są moje warunki. Ja nie negocjuję niczego. Nie mediuję. Po prostu mówię ci. Tak właśnie ma być. Moja siostra tego właśnie pragnęłaby dla swego dziecka. Chciałaby, żeby Keefer miała nieco głębszą niż pobieżna znajomość rodziny McKenna.

- Dobrze.

- Dobrze co?

- Zgoda. Przyjmuję twoje... warunki.

- Chcemy ją mieć cały miesiąc latem.

- To śmieszne. Przecież to małe dziecko.

«

- No zgoda, dwa tygodnie. A potem więcej, kiedy będzie starsza. Więcej, jeśli sama będzie chciała zostać dłużej.

- I co jeszcze?

- Zanim przejdę do następnej sprawy, chciałbym usłyszeć, czy się zgadzasz na tyle wakacji z McKennami, ile ona zechce, wyłączając oczywiście okres szkolny.

- I?

- Chcę usłyszeć, że się zgadzasz.

- Zgadzam się. Co dalej?

- Zostaniecie tutaj.

- Tutaj?

- Tutaj, w Wisconsin. W Madison co najmniej przez pięć lat, a w Wisconsin na zawsze.

- Nie mogę obiecać, że na zawsze.

Gordon potarł oczy. Nikt nie mógł obiecać na zawsze.

- No dobrze, pięć lat, a potem uzgodnicie z nami swoje plany co do Keefer, jeżeli zechcecie się przeprowadzić.

- To są wspólne prawa rodzicielskie, Gordie. Nawet z ojcem Alexis nie mam takiego układu.

- Nie jestem ojcem Alexis. Opowiadałaś wszystkim, że nie ma w tym nic osobistego, że nie masz nic przeciwko mnie ani moim rodzicom. Nie rozwodzimy się, Delio. Zaczynamy życie, mając wspólne dziecko.

- To zupełnie jak rozwód.

- Proszę bardzo. Wycofaj swój pozew, a więcej mnie nie zobaczysz.

- Mów dalej, Gordie!

- Została jeszcze ostatnia sprawa.

- Jaka?

- Ja będę zarządzał spadkiem Keefer.

- Gordonie! - Głos Delii zabrzmiał ostro. - Nie ma mowy. Niemożliwe, to my musimy podejmować decyzje co do jej wykształcenia i potrzeb.

- Możecie zwracać się do mnie, a ja zgodzę się na każdą rozsądną prośbę. Będę naprawdę hojny.

- Wydasz wszystko na prawników twoich rodziców.

- Nie zrobiłbym tego, Delio. Nie twierdzą, żeby im się pieniądze nie przydały. Jeśli pewnego dnia moi rodzice z tego powodu wyładują w domu opieki społecznej, nigdy ci nie wybaczę. Ale

nie, żaden grosz Keefer nie pójdzie ani na potrzeby moich rodziców, ani moje. I chcę mieć pewność, że żaden grosz nie pójdzie również na wasze potrzeby. Na własne przedsiębiorstwo handlowe Craiga. Na ładny dom na Florydzie dla was.

- To obelga, Gordie - oburzyła się Delia. - Obrażasz nas!
 - Tak - odparł. - Owszem.
 - Cóż, przynajmniej jesteś szczerzy.
 - Jak nigdy w życiu.
 - Nie wydaje mi się, bym mogła podejmować takie decyzje bez porozumienia z Mary Ellen Wentworth.
 - W porządku. Zatem nie spotkamy się jutro. Zobaczymy się w sądzie.
 - Nie, zaczekaj! Nie wykręcaj kota ogonem. Jeśli myślisz, że nasza chęć wychowywania Keefer Kathryn...
 - Keefer. Ona ma na imię Keefer.
 - Wychowywania Keefer ma cokolwiek wspólnego z tymi pieńdzmi...
 - Wcale tak nie uważam, Delio. Nie podsuwaj mi nawet takiej myśli. Tylko zgódź się.
 - W porządku. Zgadzam się. Co dalej? Czy masz zamiar przyjechać tu i zamieszkać u nas na werandzie?
 - Nie, to wszystko.
 - Gordie, dziękuję.
 - Nie dziękuj mi. Nie robię tego dla ciebie.
 - Ale dziękuję ci. Postąpiłeś słusznie.
 - Chciałbym bardzo, żeby tak było. A jeśli nie, jeśli cokolwiek kiedykolwiek zrani moją... to... ją... - Gordon zapanował nad głosem. — Tak czy owak, powiedziałem swoje. Koniec.
 - Gordie? - spytała Delia bez tchu, jej cienki głos stał się jeszcze cieńszy. - Gordie, jesteś tam?
 - Jestem.
 - Dziękuję ci - powiedziała. - Niech cię Bóg błogosławi!
- Gordon odpowiedział:
- Zadzwońię do matki.
- Odłożył słuchawkę. Zadzwoił telefon. Gordon sięgnął i wyłączył automatyczną sekretarkę. Telefon nadal dzwonił. Nie odbierał go.

“

Kiedy Gordonowi w dzieciństwie błahe sprawy szły źle, pocieszał się wtedy myślą, że gdzieś tam ktoś może właśnie ma swój najlepszy dzień w życiu, ktoś został przyjęty do drużyny baseballu już po pierwszym meczu; ktoś dostał się do Massachusetts Institute of Technology; ktoś odziedziczył jasnoczerwonego sebringa po starszej pani, której kosił trawnik.

Gdy zaczynał powolny obchód mieszkania, odkładając osobno rzeczy, które miał zabrać, osobno do oddania, a osobno do dania na przechowanie matce, Gordon spróbował tej samej sztuczki. Nakreślił w pamięci obraz Georgii wpadającej do domu, rzucającej swój plecak i krzyczącej na całe gardło: „Będę Emily, mam! Będę Emily! Dostałam główną rolę!” Ujrzał samego siebie w wieku lat czterech i jasnoczerwony rower pod choinką. Pomyślał o dorosłym mężczyźnie - w jego wieku lub starszym - który otrzymuje wiadomość... jestem w ciąży... nie jestem w ciąży... mam pracę!

Deszcz nieustannie bębnił w wykuszowe okno, a spragnione, wymęczone sierpniowe liście szumiały jednostajnie. Gordon znalazł sześć z siedmiuset skarpetek Keefer, jedna z nich miała wyszyte niebieskie kotki dookoła kostki - dzieło ciotki Nory na jej singerze. Znalazł łyżki z tego okresu, kiedy Keefer chciała jeść tylko jogurt, a on był przerażony, że ją zagłodzi; kupił kilkanaście łyżek z elastycznego tworzywa i starannie układał je w rzędzie przed każdą próbą karmienia, by nie przerywać „szufłowania”, kiedy rzuciła łyżką nad jego głowę.

Otworzył szuflady pełne teczek ze szkoły i zaczął robić porządki. Nauczyciel Roku. Nauczyciel Okręgu. Jego pierwszy rok. Klucze do testów, konspekt lekcji o doborze partnera. Notatka: przygotować specjalną torbę na odpady biologiczne. Rośliny i żaby uwięzione w czasie dzięki zimnu, cuda życia zmienione w wykresy. Fiolki z jajeczkami owadów. Ludzkie łożysko.

To ludzie są uwięzieni, przemknęło mu przez myśl. Kiedy kończy się coś, rozkwita przeszłość. A w przeszłości wszystko zawsze wydaje się lepsze. Taki już ludzki los.

Kiedy zadzwonił ojciec, Gordon pomyślał: dziwne, może to jeden z ostatnich telefonów odbieranych w Tall Trees. Mark powie-

dział, że ma kolegę w Madison, który kiedyś kupował podupadłe gospodarstwa rolne z zamiarem doprowadzenia ich do stanu używalności, a potem, po przejściu na emeryturę sprzedawał je. I człowiek ten dysponuje teraz trzema takimi domami. Jeden z nich, trzypokojowy, położony zaledwie osiem mil na południe od miasta, wymaga jedynie kilku warstw farby i przewietrzenia po eksmisji poprzednich, niepłacących lokatorów. Gdyby Gordonowi nie przeszkadzało zerwanie całkiem przyzwoitej wykładziny, która została doszczętnie zasikana przez kota, to znajomy Marka bardzo chętnie pozwoli mu mieszkać tam za darmo do jesieni. Wzruszony troskliwością ojca Gordon wyraził nadzieję, że szukanie stałego mieszkania nie powinno trwać aż tak długo.

- Nie śpiesz się - doradził mu Mark. - Musisz znaleźć coś, w czym jakiś czas pomieszkaś. Trzeba, żebyś lubił swój dom. Ty i Keefer. - zaproponował Gordonowi pożyczkę, ale Gordon odmówił. To on w końcu powinien pomóc ojcu spłacać rachunki prawników. Na pewno w Madison od razu znajdzie pracę i da sobie radę nawet mimo to, że miasto słynęło z drożyzny i niechęci wobec przybyszów. Był mężczyzną, co znacznie ułatwiało zadanie, mógł uczyć i wychowania fizycznego, i biologii. A decyzja o trzyletnich studiach doktoranckich miała nadejść w grudniu. Wypełnione formularze leżały w niedokończonym sekretarzyku. Za trzy lata Keefer będzie już w przedszkolu, a klauzula, na którą Delia i Craig się zgodzili - o pozostaniu w okolicy Madison co najmniej przez pięć lat - nadal będzie obowiązywać.

Choć tylko siedem nocy i dni minęło od ostatniej konferencji z sędzią, podjął decyzję tak szybko, że wszystko, co mu pozostało do zrobienia, to spakować się i wyjechać.

W ciągu jednej nocy najbliższa przyszłość Gordona ograniczyła się do serii pożegnań. Pożegnanie z pracą będzie łatwe. Jego układy z Hartem Rooneyem od samego początku - jak myślał, patrząc wstecz - były naznaczone niewypowiedaną na głos niechęcią i przymusem. Gordon przypisywał to naturalnej podejrzliwości starszego, zasiedziałego od lat człowieka wobec dawnego ucznia, który powrócił, mając osiągnięcia przewyższające jego własne dokonania - Hart sam był nauczycielem biologii. Po zakończeniu sprawy Gordon zamierzał jakoś wynagrodzić szkole kłopoty, jakie miała w związku z jego częstymi absencjami podczas choroby Georgii, a podtrzymywało go na duchu to, że zarów-

no uczniowie, jak i inni nauczyciele mieli o nim jak najlepszą opinię. Widoczna ulga Harta na wieść o rezygnacji potwierdziła przypuszczenie, że powściągliwość zwierzchnika ma dawniejsze, głębsze korzenie, sięgające czasów, kiedy Gordon zakasował dwóch przysadzistych, podobnych jak dwie krople wody do ojca synów Rooneya: jednego o rok starszego, drugiego o rok młodszego od siebie. Nie bez wpływu była też niezbyt skrywana niechęć Lorraine wobec - niemających złych intencji - uwag Rooneya na temat adoptowanych dzieci. Skądś też musiała nadejść seria nieprzyjemnych listów bez znaczków, napomykających o seryjnych zabójcach, którzy wcześniej byli adoptowani; Gordon wiedział, że jego matka i Laurie Rooney, krzykliwa żona Harta - kierowniczka zespołu muzycznego w gimnazjum - nie znoszą się serdecznie. Będzie mu brakowało klasy, jej hałaśliwego i chaotycznego bezpieczeństwa oraz codziennych zajęć z dziećmi, które bardzo polubił, ale cieszył się, że zamknie ten rozdział dla własnego dobra i dla dobra matki.

Uгода, którą zawarł z Delią i Craigiem, złamały jej ducha, a może nawet serce. Nora płakała. Ojciec wyszedł z pokoju. A matka się nie odezwała. Nie dyskutowała z nim, tylko spoglądała na niego tak - była taka drobna! - że dotkliwie odczuł ciężar wziętej na siebie odpowiedzialności i własną niedojrzałość.

Teraz będzie musiał zawiadomić matkę, że on też wyprowadzi się stąd. Powiedzieć jej, wiedząc, że swoim czynem dokonał zniszczenia rodzinnej wioski, o jakiej marzyła Lorraine - zaludnionej jej dziećmi i ich dziećmi - tak dawno temu, kiedy najpierw Georgia, a potem Gordie wrócili do domu.

Jako że był tchórzem, zaczekał do posępnej kolacji w kilka dni po swojej rozmowie z Delią.

Poszli razem z Lindsay. Nie była to wesoła uczta. W milczeniu skubali pieczeń wieprzową z jabłkami; apetyty Lorraine i Marka były takie same jak ich gości.

Pewien, że jeszcze jedno tyknięcie zegara doprowadzi go do wybuchu hysterii, Gordon po prostu rzucił od niechcenia: „Myślę o tym, żeby wrócić do szkoły w Madison, żeby być bliżej Keefer”.

Wszyscy obecni głęboko to przeżyli. Lindsay zrobiła się zła, że zaskoczył ją tym nowym dla niej pomysłem; ojciec sprawiał wrażenie zarówno skrępowanego, jak i zmartwionego; matka nagle wzięła się do sprzątania naczyń ze stołu i wnoszenia ich do kuchni.

Później został w domu sam, bo Lindsay wyszła, rozczarowana niejasno brzmiącymi obietnicami porozmawiania jeszcze o tej pośpiesznej decyzji, i wtedy zadzwonił telefon.

- To ja - powiedziała Lorraine i nie musiała mówić nic więcej. W jej głosie, w jej oddechu dał się słyszeć tak straszny bezmiar bólu, że zapragnął rzucić słuchawkę i pobiec do niej, tak jak biegł codziennie, kiedy był mały; jak wpadał do cichego domu po szkole, gorączkowo szukając dowodów jej obecności, jej portmonetki w zwykłym miejscu na półeczce, zapachu wiciokrzewu w holu; jak rzucał się na nią, a lęk, jaki czuł cały dzień, kiedy był w pierwszej klasie, potem w drugiej, rozptywał się w błogości powitania, w gwałtowności ich złączenia. Georgia, która uważała krótką jazdę autobusem do domu za imprezę towarzyską okazję do snucia planów, do sprzeczek i szaleństw razem z innymi dzieciakami, wracała do domu później, po niezliczonej serii przystanków na końcu wyspanych żwirem ścieżek, gdzie wysadzano dzieci mieszkające na farmach i nad jeziorem. Gordon na ogół wymigiwał się od jazdy, biegł przez parking za sklepem Wiltona, przez boisko gimnazjum, wstrzymując oddech podczas przeprawy przez cmentarz; stał z pełnym pęcherzem nad krawężnikiem, rozglądając się w obie strony przed przebiegnięciem Cleveland Street. Opowiedz mi o wszystkim, co się dzisiaj działo, ufnie namawiała go Lorraine, a on nad batonikiem granoli wiódł ją przez swój dzień, przez triumfy w dyktandzie i w gimnastyce, bolesne zmagania z matematyką cierpienia ponoszone z ręki tego smarkacza Reilly'ego. Było to ich święte pół godziny, zanim wpadła Georgia, wciągając wszystkich w wir swoich spraw i swojej energii. Rozmawiali, przegryzali coś, grali w długie, stare, wspaniałe gry, takie jak kocia kołyska *czyjacks* (Gordon nadal po mistrzowsku grywał w *jacks*). Albo mama trzymała jego rękę, kiedy rysował kolejnego słonia, najpierw ucho, patrząc, potem ucho bez patrzenia, a ręka przejmowała rolę oczu, wczuwając się w rozkołysanie i ciężar trąby, krzywiznę kłó. W czerwcu zrywali przekwitnięte róże - „O tak, kochanie, dobrze, powyżej liścia” - na frontowym podwórku i śpiewali stare kanony i piosenki, *Waters of Babilon*, *Wren*, *Wren*, *Little Wren* i starą balladę z powtarzającymi się słowami: „Pójdiesz, dziewczę, pójdiesz?” czy balladę o górskim tymianku, którą grano, gdy Georgia kroczyła główną nawą kościoła Matki Boskiej Jeziora. Wyrwali nielegalnie rosnące dmuchawce, bawili się w „kogut czy kura” i szukali jaskrów. Byli bar-

dzo zadowoleni i spokojni, a Gordon, rogado, popędlivy nastolatek, czuł się równie cudownie jedynie wtedy, gdy gardło tak go bolało, że Lorraine nie tylko pozwalała mu zostać w domu, ale i sama brała dzień wolny.

Georgia potrafiła przyjmować miłość matki jako coś naturalnie jej należnego, ale on nie. Nigdy nie byłby w stanie jej zranić i nie-raz go przerażało, z jaką łatwością nawet dobre dzieci, takie jak Kip, podnosiły głos na swoje matki i mówiły o nich za plecami „stare suki”.

Schemat rodziny wyraźnie przewidywał, że Gordon miał być dzieckiem Marka, jego kumplem, małym mężczyzną radzącym sobie z trudnymi męskimi sprawami u boku cierpliwego starszego mentora; Gordon pogodził się z tym, ale nie Markowi znosił swoje skarby: klin z granitu ze szczeliną błyszczącą od miki, zmumifikowaną mysz, te okruczności emocjonalnego bólu. To Lorraine musiała je oglądać, uznać lub odrzucić; to Lorraine Gordon pragnął za wszelką cenę zadowolić. Choć Georgia z wyniosłą pewnością siebie pierwotnego dziecka zarezerwowała dla siebie miejsce na kolanach Lorraine oraz główną pozycję na korkowej tablicy dla swoich rysunków i świadectw - Gordon całe życie wierzył, że matka jego kochała bardziej. Mogła nazywać Georgię swoim wizerunkiem, ale to Gordon był jej wielką radością. Dawał jej najwięcej beztrudnych chwil, najprostszych przyjemności.

Kiedy dorastał i zaczęły się pojawiać zgrzyty w jego uwielbieniu, oddalił się od Lorraine, zadowolony, że to nie on, ale Georgia doprowadza matkę do płaczu. Światło w sypialni rodziców dobywało się spod drzwi do późna w nocy, gdy Georgia tak dokuczyła matce, że ta w końcu wybuchała, a Mark musiał interweniować. Dopóki nie skończył szkoły średniej, matka ani razu nie zapomniła pocałować go na dobranoc; unosiła jego brodę, całując go niedbale w usta lub policzek, co go żenowało. A kiedy był pogrążony w lekturze, oferował jej czubek głowy z pomrukiem przyzwolenia. Kiedy miał dziesięć lat i przyniósł jej zabłocone wiadro raczków na urodziny - wiedział, że uwielbia homary - Lorraine z wielką pompą przygotowała pikantny pomidorowy sos, który tego wieczoru podała z makaronem. Georgia znalazła opakowanie po mrożonym homarze zagrzebane głęboko w koszu na śmieci i przyniosła mu, wyśmiewając brata, że matka nie była w stanie ugotować tych nędznych skorupiaków, które jej przyniósł, więc

go oszukała. Lorraine wybuchnęła płaczem, nazwała Georgię mściwą, podłą smarkulą i pozwoliła Gordonowi siedzieć do późna, mimo że następnego dnia czekała go szkoła, i oglądać Johnny Carsona z łóżka rodziców. Było to jedno z najdrogocenniejszych wspomnień. Wiadomo, że nie ma nic nudniejszego niż obserwowanie, jak ktoś inny gra w golfa, ale Lorraine cierpliwie wędrowała o zmierzchu, mimo plągi komarów, po polach golfowych, kiedy grał; potem po drodze do domu wiozła go do Kwik-Stop na truskawkowy mus, ustawiała jego skromne trofea na półeczce nad kominkiem, nawet wtedy, gdy on już by wołał, żeby je raczej schowała do pudła. Dopóki... sam nie został ojcem, nie był nawet w stanie wyobrazić sobie, jak niezmordowana była Lorraine, wiecznie pracująca, zawsze godząca swoją sztukę z ich licznymi potrzebami, ukazująca im promienną twarz.

Tego wieczoru Lorraine zaczęła od pełnych czułości pytań: Czy on na pewno chce się przeprowadzić? Miał przecież pracę. A co powiedziała Lindsay? Co będzie z przyjaciółmi? Przecież będą mieli Keefer przez dwa weekendy w miesiącu. Ta troska utwierdziła Gordona w uporze i odpowiadał z pewnością siebie większą, niż naprawdę czuł. Do tej chwili przeprowadzka była jedynie jakąś ideą, jakąś możliwością. Teraz nabrał pewności, że musi to zrobić. Był całkiem sam; znowu stałby się tamtym małym chłopcem bez tchu biegnącym przez cmentarz z walącym sercem. Gorąco pragnął ustąpić i na powrót stać się tym chłopcem, ale był nieodwracalnie dorosły.

- Jeśli nie mogę być ojcem, chcę być kimś w rodzaju... ojczy-
ma - powiedział matce. - Delia i Craig jeszcze nie uświadamiają
sobie, jak bardzo będą zajęci przy małym dziecku i przy Keefer.
Mam zamiar być blisko niej.

Lorraine nie oponowała. Lecz po cichych, stłumionych dźwię-
kach Gordon odgadł, że płacze.

- Mamo - szepnął, zaciskając mocno powieki i tuląc słuchawkę
w obu dłoniach. - Mamo, będę za wami tęsknił...

- Jakbym straciła ją znowu.

Nie, krzyknął głos w głowie Gordona. Nie! To nie tak!

- Masz na myśli Keefer?

- Mam na myśli twoją siostrę.

- Ale... ja będę blisko. Będę ją za każdym razem przywoził.

Wy z tatą możecie przyjechać...

- Tata powiedział, że moglibyśmy przenieść się do Madison, gdy będziemy na emeryturze. Powiedział, że można by kupić mieszkanie nad którymś z jezior.

- Ależ mam! Mieszkacie tu z tatą od stu lat... - Nie zabrzmiało to tak, jak chciał, ale jak raptowne zakończenie licytacji, jak próba odwiedzenia ich od pójścia w jego ślady. Tak to czuł. Zapłynał nad tym, co brał za własną, gorączkową niecierpliwość. Dlaczego nie mieliby się tam kiedyś przeprowadzić? Odpowiadaby mu to. Z powodu wyczerpania tak reagował. Chciał spać. Chciał to wreszcie zakończyć.

- Nie mówię, że to zły pomysł. Ale nie wszystko naraz. Macie tu przecież całe swoje życie. Co z przyjaciółmi? A Nora i Hayes?

- Moi przyjaciele mają już mnie dosyć! - stwierdziła Lorraine ze złością.

- Wszystko wróci do normy.

- Nie wróci.

- No to co mamy zrobić? Zwinąć się w kłębek i umrzeć?

- Ty nie wiesz, jak to jest, Gordie.

Tak, pomyślał, wiem. Ja też straciłem swoje dziecko.

- Spokojnie, mam - błagał, głosem przesłodzonym, protekcyjnym, fałszywym. - Spokojnie. Wszystko się jakoś ułoży.

- To nie o to chodzi, że nie chcę, żebyś miał swoje własne życie.

- Wiem.

- Nie chodzi o to, że nie chcę, żebyś miał to, czego pragniesz.

- Mam, nie byłaś taka, kiedy jechałem na Florydę.

- To był początek, Gordie! Teraz jest koniec. To koniec! Nie wiem, jak będę się czuła bez...

- Beze mnie?

- Bez ciebie i bez... całej tej sprawy. Wszystko, co miałam, wszystko, czym byłam, poszło na walkę o zmianę prawa, o to, by można było zatrzymać Keefer, zrobić to, czego chciała Georgia.

- Myślę, że tego właśnie chciałyby Georgia. Chciałyby, żebym tam był, żebym chodził na szkolne przedstawienia, zabierał Keefer do muzeum, wiesz sama.

- Chodzi o to, że ja sama nie wiem, co ze sobą zrobić. Tata i ja już prawie ze sobą nie rozmawiamy. Właściwie ja go nie znam. Może zresztą nigdy nie poznaje się ludzi do końca.

Teraz Gordon otrzymał cios. Fakt, że rodzice byli tak blisko ze

sobą związani, stanowił fundamentalną strukturę całego jego życia. Zawsze wierzył, patrząc na nich trzymających się razem, odwróconych plecami do zewnętrznego świata w intymnej deklaracji swojej jedności, że rodzice będą mieli siebie nawzajem, kiedy on i Georgia odejdą. Podśluchał ich, będąc w szóstej czy siódmej klasie, jak siedzieli nad folderami - po które Mark wstąpił do biura podróży po drodze do pracy - i rozmawiali o objechaniu rowerami Irlandii, udaniu się z plecakami do Włoch, a Lorraine zauważyła z przekąsem i znuzeniem, że zanim dzieci dorosną, oni będą w stanie objechać Irlandię, ale na wózkach inwalidzkich.

- Zawsze było tyle rzeczy, które chcieliście zrobić - powiedział po chwili.

- Chcieliśmy - westchnęła Lorraine - ale już tak nie jest. Nie możemy tak po prostu żyć dalej, jakby nic się nie stało. To... Gordie, jest tak, jakby nam ktoś był winien pieniądze, a my byśmy w końcu płacili. Mamy masę długów i wszystko na nic. I nie jesteśmy młodzi...

Zabrzmiało to, pomyślał Gordon z przerażeniem, jakby matka skomlała. Jakby się zestarzała. Poczucie, jak silna była jej potrzeba zatrzymania go, skutecznie mogło zachwiać jego postanowieniem, a ustępując, poddałby się, tak jak ona się poddała. Czuł, że coś w nim słabnie, ulega.

Nie mógł jej zostawić. Nie mógł wyjechać.

Musiał wyjechać. Musiał wyjechać albo wszyscy utoną.

- Muszę to zrobić! - powiedział.

- Muszę to zrobić - powiedział Lindsay następnego wieczoru, w piątek, kiedy otworzyła drzwi swoim kluczem i zastała go śpiącego wśród kartonów na złożonym jak poduszka psim pościaniu Keefer. Zwalczył instynktowną chęć złagodzenia swoich słów, ułatwienia im obojgu zniesienia tego wszystkiego.

Lindsay usiadła, łkając, na oklejonym taśmą pudle, a on chciał ją objąć, ukołysać. Kiedy pod jej ciężarem załamał się wierzch pudła i upadła do tyłu, niezgrabnie, bezradnie, mało dostojnie, rozrzucając na bok nogi, śmiali się razem. Gordon zapragnął rozebrać ją, wykapać, wygłaskać, opatrzyć tę ranę, którą jej zadał, pieścić ją nie jak kochanek, ale jak ojciec.

- Wiem, jak ci trudno - powiedziała, ocierając łzy otwartymi

dłóćmi. Gordon zrozumiał, jak bardzo ją kocha, i że zawsze, gdy zobaczy rudą głowę i falę lśniących włosów, rozdzieloną jednym, niewinnym uchem, pomyśli o Lindsay, swojej kochanej, zgrabnej, lojalnej Lindsay.

- Nie chodzi o to, że mi trudno, choć naprawdę jest mi trudno - odparł. - Jestem przekonany, że teraz muszę zmienić całe swoje życie. Wygląda to, jakbym uciekał, i może rzeczywiście tak jest. A jeśli tak jest, to mam nadzieję, że okażę się... na tyle mężczyzną, żeby wszystko zrozumieć i wrócić do domu. Wrócić.

- Będę czekać - łkała Lindsay. - Tak jak dotąd czekałam.

- Czekałaś za długo, Lins. Odkąd byliśmy dziećmi. Nie mówię, że jesteśmy już starzy, ale może był taki czas, kiedy powinniśmy się byli pobrać, i minął. Ja spałem.

- Albo może jeszcze nie nadszedł.

- Możliwe. Ale nie chcę ci nic proponować, ponieważ nie jestem niczego pewien.

- Nie jesteś pewien, czy mnie kochasz?

- Nie jestem pewien, czy to, co czuję, jest właśnie tym, co powinno się czuć, kiedy zaczyna się życie z drugą osobą.

- A kiedy się tego dowiesz? Jak się tego dowiesz w Madison? Będziesz tam całkiem sam... choć znając ciebie, nie na długo...

- Nie mów tak, Lins. Nie przekreślaj nas... tego, co jest między nami. Naprawdę nie o to chodzi. Nie mówię, że tak nie było, kiedy poszedłem do college'u. Nie mówię, że nigdy tak nie było. Ale teraz tak nie jest. Po pierwsze chodzi o Keefer, po drugie chodzi o mnie: jakim człowiekiem będę.

- Będziesz całkiem sam. Całkiem sam - powtarzała.

- Tak całkiem sam i będę cholernie nieszczęśliwy. Ale widocznie muszę być nieszczęśliwy i sam. W pewnym sensie to, że miałem ciebie i rodziców, za bardzo mi ułatwiło życie.

- I co będzie?

- Nie wiem. Może dorosnę. Może uświadomię sobie, że już dorosłem. Ale nie sądzę, po prostu nie sądzę, żeby małżeństwo było mi przeznaczone. Ani z tobą, ani z nikim innym. Tak teraz czuję. Że mam w sobie tylko jedną przestrzeń. Dla Keefer. I to wszystko, co mogę w tej chwili zrobić.

- Skąd wiesz, co będziesz czuł za sześć miesięcy? Za rok?

- Nie wiem Ale nie chcę, żebyś myślała, że robię to... dla kaprysu. Pod wpływem chwili. Wiem na pewno, że wyjeżdżam. Na

dobre. Nie raniłbym cię tak, gdybym nie był o tym naprawdę przekonany.

Wstała z pudła, opierając się na jego wyciągniętej ręce.

- Mogę cię dotknąć?

- Jestem - powiedział, otwierając ramiona. Usiadła mu na kolanach i głaskała jego szyję, dopóki nie poczuł podniecenia; posadził ją wtedy obok. Nie będzie pożegnalnych igraszek, mimo że w chwili, gdy wstała, wyprostowana, gotowa do wyjścia, pragnął jej bardziej niż mu się to zdarzyło kiedykolwiek od czasów, kiedy wizje jej piersi i ust nawiedzały rozgorączkowane sny siedemnastolatka. Przyciągnął ją do siebie. Światło przeszło w szarawą poświatę. Dni, jak Gordon zauważył, coraz bardziej się kurczyły; już nie mógł dłużej udawać, że jest pełnia lata. Żadne z nich się nie ruszyło, żeby zapalić lampę. Spytał Lindsay, czy jest głodna. Zapytała, czy ma jakieś wino. Wypili całą butelkę merlota, ostatni płyn, jaki miał w lodówce, a potem spali obok siebie, przytuleni niewinnie jak brat i siostra. Kiedy rano Lindsay wychodziła, nie obudziła go, żeby się pożegnać.

Tego ranka, przy porządkowaniu kolejnych papierów, odkrył teczkę Georgii, którą mu matka dała. Zauważył ją wcześniej w mieszkaniu siostry, zawierała grubą kopertę z nagłówkiem organizacji o nazwie Families United. Wytrząsł zawartość i zaczął czytać list dotyczący „wstępnych zapytań” Georgii i „możliwości skontaktowania się”. Poszukiwania prowadzone przez kogoś nazwiskiem Blair Bell dostarczyły - jak pewnie Georgia z przyjemnością się dowie - kilka interesujących informacji o jej biologicznej rodzinie. Nazwisko „Kiss” nie jest wcale rzadkie na Węgrzech, ale rzadko występuje w Stanach Zjednoczonych. Było to nazwisko kuzynów jej biologicznej matki. Blair Bell nie ma jej aktualnego adresu, tylko numer do pracy w szpitalu w San Diego. Tam w kadrach nie wiadano, gdzie była później zatrudniona, natomiast okazało się, że matka Georgii, która miała na imię Hannah, pracowała w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku jako asystentka lekarza i od tego czasu zapewne była już mężatką. Odnalezienie jej nie powinno być trudne, jeśli tylko Georgia upoważni Families United do dalszych poszukiwań. Najbardziej istotny, zaznaczono w liście, był fakt, że tak samo brzmiało nazwisko kuzynów jej biologicznej matki i nazwisko panięńskie matki przybranej. Następny krok mógł się okazać jeszcze bardziej interesujący. Infor-

macje o stanie zdrowia, o które prosiła Georgia, również zostaną jej przesłane. Blair Bell życzy Georgii wszystkiego najlepszego na własnej drodze macierzyństwa. Załączony był rachunek z datą szóstego lutego w roku narodzin Keefer.

Georgia była wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Czy czuła się źle? Głowa ostrzegała przed zdradą ciała? A może po prostu przejęta własnym stanem zapragnęła potwierdzenia biologicznej więzi? Chciała wiedzieć, co jest za obrazem widocznym w lustrze, jakie dziedziczne moce rozpętała, budując nową istotę mającą być jej dzieckiem? Nazwisko! Gordon przedarł list raz, z trudem z powodu jego grubości, złożył kawałki i zawahał się. Co to mogło znaczyć dla Georgii? Możliwość, że dzięki jakimś tam związkom rodzinnym kilka pokoleń wstecz jej ukochana matka jest jej biologiczną krewną?

Co taka możliwość oznaczałaby dla Gordona?

Podarł papier na mniejsze kawałki. Musiał się go pozbyć. Życie z obecnością czegoś takiego byłoby nie do zniesienia. Właściwie dlaczego? Gotów był wysłuchać kilku różnych odpowiedzi, byle wyrecytowanych szybko, bo dostawał dreszczy na myśl o analizie. W końcu włożył kawałki z powrotem do koperty. Dla Keefer. Ten klucz należał do Keefer.

Ostatniego dnia zaproponował Judy Wilton jajka i warzywa, a ona chętnie je przyjęła.

- Przykro mi z powodu tego, co się stało zimą - powiedziała szorstko.

- Wcale ci nie jest przykro - odparł spokojnie. - Ale myliłaś się, bardzo się myliłaś.

- Przykro mi - powtórzyła Judy Wilton i ku jego przerażeniu, nie pozbawionemu odrobiny fascynacji, zaczęła płakać z taką gamą parskań, jakich nie słyszał od czasów *Konia, który mówi*. - Naprawdę mi przykro. Rozmawiałam o tym z mamą. Powiedziała, że nie mam pojęcia, co potrafią wyprawiać dzieci. Podobno obie z siostrą darłyśmy się cały czas. Krzyczałyśmy tak bardzo, że wkładała nas do jednego łóżeczka, wychodziła na podwórko i paliła cygara taty.

Gordon nie mógł się opanować. Obraz Idy Wilton pykającej wielkie cygaro rozbroił go do reszty. Wybuchnął śmiechem.

- Tamta historia nie miała wpływu na to, co się stało, Judy - powiedział.

- Gdyby miała, nigdy bym sobie nie wybaczyła.
- Wybacz sobie-pozwolił jej Gordon.

Nie było potrzeby żegnać się z Timem, który zamierzał pojechać z nim w piątek i pomóc zwalczyć upiory przesiąkniętego kocimi siuškami domu. I nie miał też serca do spotkań z przyjaciółmi, udawania ożywienia i wesołości. Dość miał już imprez towarzyskich i myślał tylko o tygodniu, który spędzi w Madison, malując i okadzając, szykując się na następny czwartek, kiedy dostanie Keefer na cztery doby - prezent obiecany przez Delię w kartce, jaką przysłała mu na początku tygodnia.

Kilka dni po przyjeździe kartki Craig Cady zostawił mu wiadomość na automatycznej sekretarce. Ich starania o adopcję będą musiały poczekać. Delia trafiła do szpitala co najmniej na kilka dni, na obserwację, a prawdopodobnie będzie musiała leżeć do końca ciąży. W związku z tym on będzie miał pełne ręce roboty. Oboje czują ulgę z tego powodu, jak głośno obcesowa i niepokojąca wiadomość Craiga, że Gordon wkrótce będzie w mieście.

Wizyta na farmie jeszcze bardziej utrudniłaby pożegnanie. Obawiał się, że sam widok dobrze znanych zabudowań, gdzie nowiuteńki napis dumnie obwieszcza: **NAJŚWIEŻSZE WARZYWA, HAYES NORDSTORM I SYN**, wywoła u niego tak sentymentalną reakcję, że nie będzie w stanie wyjechać w obawie, że gdy się odwróci, wszystko zniknie. Więc tylko posłał kwiaty cici Norze - świadom, że było to wożenie drewna do lasu - sześć białych róż za każde dziecko, które kochała, i orchideę bez powodu, może z wyjątkiem tego, że wiedział, iż fioletowy kolor zawsze poprawiał jej humor.

W piątek zajęty był ładowaniem wynajętej przyczepy, wiązaniem roweru, mocowaniem otulonej psim posłaniem Keefer gitary liną od *bungee*, upychaniem sześciu sfatygowanych pudeł z książkami i garami, tych samych, które pakował, przeprowadzając się z Florydy do Tall Trees i z pierwszego mieszkania do wiktoriańskiego domu. Sprawnie mu to poszło, więc sobie pogratulował. A potem zadzwonił: na wydział biologii w Madison, do rodziców - wiedział, że matka będzie na zajęciach z aerobiku, toteż specjalnie wybrał taką porę, by jej nie zastać - żeby im dać znać, kiedy przyjeżdżie do nich, i na końcu do ludzi, którzy wynajmowali po nim mieszkanie. Wyszorował piecyk, którego nigdy nie używał, i zamknął podłogę. Włożył klucze do koperty, zakleił ją i zamknął okna.

Zanim zatrzaskał drzwi, obejrzał się i dostrzegł jeszcze coś, co musiał zrobić: scyzorykiem zerwał plastikowe nakładki na kontaktach.

Krótko przed szóstą załomotał do drzwi domu przy Cleveland Avenue. Rodzice zostawili mu wiadomość na dobrze znanej niebieskiej papeterii, ozdobionej wykonanym w tuszu szkicem czegoś, co było skrzyżowaniem rozkwitniętego maku i fragmentu planu rzeki; łądyga tworzyła literę „L” w wyrazach „Lorraine McKenna”.

Na kartce była informacja:

„Możesz sobie zrobić kanapki z tego, co jest w lodówce. Jemy dziś u Nory. Jeśli chcesz, wpadnij. Powiedziałaś, że to nie jest pożegnanie, więc nie traktujemy tego w ten sposób.

PS. Ray i Diana Nye'owie zaprosili nas na kolację w przyszłą sobotę do tej swojej rezydencji w Madison. Pojedziemy, choć pewnie podadzą nam truciznę. Odwiedzimy potem Ciebie i pannę Keefer w Twojej norze. Masz być w domu, albo Cię wydziedziczymy”. Niżej był dopisek: „PPS. Gordie, nie stosuj żadnych środków owadobójczych w domu. Są bardzo szkodliwe, gdy się je wdycha, niezależnie od tego, co piszą na opakowaniach”. Liścik kończył się słowami: „Kochamy cię”, przy czym „y” najwyraźniej zostało dopisane później.

Podpisała: „Matka”, przekreśliła, napisała „Matka” po raz drugi, przekreśliła i napisała: „Mama”, a ogonek od „a” przechodził w jego dość okrutną karykaturę - same zęby i kosmyki włosów. Gordon wyjął pineskę, schował do kieszeni, a niebieską kartkę podniósł do nosa. To nie był zapach jego matki. Kartka pachniała kredkami, których używała do rysowania.

Grób był obficie przystrojony kwiatami późnego lata: chryzantemami i tygrysimi liliami - Nora była niezmordowana; zdziwił się, że nie przyczepiła nalepki UAW w związku ze Świętem Pracy*. Widać jednak było, że nikt tu nie przychodził od kilku dni. Chryzantomom płatki wyskubał wiatr, a lilie wędły w pustym słoiku. Sfatygowana mała sosenka za kamieniem nagrobnym, okręcona sznurkiem białych lampek na baterię, poddała się; resztką igieł przykryła ziemię ciepłym, brązowym kocem. Georgia O'Keeffe McKenna. Raymond Jasper Nye.

Ukochana Żona i Matka. Ukochany Mąż i Ojciec.

* UAW - United Automobile Workers. związek zawodowy. W Stanach Zjednoczonych Święto Pracy obchodzone jest w pierwszą niedzielę września.

Gordon bez trudu wyrwał małe, martwe drzewko. Trzasnęło mu w rękach. Pod zaspą igieł leżały żaróweczki z migających lampek. Rozgniótł je. Lśniły w świetle kończącego się dnia, obok strzępów wstążek: żółtych, fioletowych, srebrnych, na wpół zagrzebanych w ziemi lub czepiających się krzaka, który w ten sposób zakwitł żałobnymi wieńcami. Wszystko wokół grobu miało charakter świąteczny, nawet porzucone śmiecie. Zupełnie jak wiejski plac po skończonym jarmarku.

21

Tim nazwał to Hotel Kalifornia, że niby można się wymeldować w każdej chwili, natomiast nie można stąd wyjechać. Za pierwszym razem, kiedy próbowali otworzyć drzwi od środka, odkryli, że stare drewno tak się spaczyło, że obaj musieli je pchać.

Mimo to jednopokojowe królestwo Gordona nie było takie złe. Urządzenia elektryczne, ustawione w jednym kącie za śmieszna, czerwoną aksamitną draperią, były jakby z innej bajki - duża, porządna lodówka, nowsza kuchenka gazowa obok i stalowy zlew, który ryczał jak jakaś podziemna bestia, ile razy Gordon odkręcił kran. Kuchnia i prysznic, wcisnięte pod schody wiodące na nieużywany strych, okazały się zdumiewająco funkcjonalne. Całe wyposażenie należało do tych przeklętych hipisów, jak kolega ojca poinformował Gordona, i niech go szlag trafi, jeśli pozwoli im zabrać choć jedną rzecz z domu, zanim dostanie cholerny czek z czynszem. Gordon może sobie używać wszystkiego, dopóki będzie płacił za wodę, prąd i gaz.

Widok z werandy wynagradzał biegające po niej mrówki. Był oszałamiający - półkula nieba i drzewa ciągnące się do cieniściego, szarego, poszarpanego skraju wzgórz Blue Mounds, odległych o nieco ponad dziesięć mil. Nietoperze i jaskółki przecinały smugami zmierzch, podczas gdy obaj z Timem siedzieli rozwaleni - tuląc butelki z piwem i rozcierając obolałe ramiona - jeden na składanym krześle, drugi na jedynej osieroconej leżance. Dwie godziny zajęła im potyczka z drzwiami.

Głaszcząc oparcie obitej różowym sztruksem leżanki, zostawionej przez poprzednich lokatorów, Tim powiedział:

- To siedzisko pasuje tutaj, Gordo. W sam raz na werandę. Straszny grat. Potwierdza twoją opinię śmieciarza.

Gordon z nim się zgodził.

- Racja, stary. Będą mnie brali za Upchurcha.

- Jak myślisz, dokąd ludzie jeżdżą kupować takie rzeczy?

- Do Tall Trees - rzekł Gordon.

Matka Gordona wściekła się, kiedy później zobaczyła mebel. Takie coś na werandzie? Nalegała, żeby pozwolił im sobie kupić przynajmniej zwykłe drewniane krzesła.

- To straszne... bezguście - powiedziała mu.

- A mnie się podoba. Może mam to po moich biologicznych krewnych - odparł Gordon spokojnie. Lorraine tylko się skrzywiła. Gdyby była dwadzieścia lat młodsza, zdrowo by go ofuknęła.

Pozwolił im kupić zestaw plastikowych talerzy z przegródkami. Kiedy sam był dzieckiem, lubił mieć groszek oddzielnie od kurczaka, i pomyślał, że Keefer też by może tak wolała.

Podczas następnych tygodni miał w życiu dwie Gwiazdy Polarne: noce z Keefer i widok z werandy.

Oboje z Keefer lubili siadywać na dworze, patrzeć, jak znikają wzgórza, śpiewać piosenkę z *Ulicy Sezamkowej* o nietoperzu. Sam spokój w jesienne wieczory wart był czynszu w postaci bólu pleców i ramion, skutku trwającego nieustannie od wielu dni - nocy, od kiedy dostał pracę zastępczego nauczyciela - drapania, ścierania i malowania ścian pogrubiałych od generacji kolejnych mazi. To była praca archeologa, warstwy w lilie andegaweńskie, w schludne granatowe paski, różowa farba, biała farba, farba koloru dojrzałej dyni, którą odkrył, kiedy próbował zbić tynk, nie uszkadzając go. Coś wyraźnie nakazywało jego poprzednikom wprowadzać zmiany bez oglądania się na przeszłość. Nawet elewacja domu została obita po wariacku niebieskim aluminium kładzionym na resztki beżowego aluminium. Kiedy myślał o tym, co może znajdować się pod beżowym, dochodził do wniosku, że pewnie azbest i aż go trzęsło. Ale azbest nie stanowił zagrożenia dla nikogo, dopóki się go nie ruszyło. Zanim ktokolwiek dobierze się do tych ścian, Gordon zamieszka w normalnym, tanio zbudowanym apartamencie w jakimś nowoczesnym, anonimowym kompleksie, gdzie będzie słuchał odgłosów dobiegających z łazienki sąsiadów, oddzielonej ośmiocalową ścianą z prefabrykatów, a oni będą słuchać odgłosów seksu dochodzących z jego sypialni, jeśli oczywi-

ście, jeszcze kiedyś będzie go uprawiał. Nie spodziewał się tego tak prędko. Powiedział Timowi zaledwie tydzień wcześniej, że jest pewien, iż jeśli kiedykolwiek zdarzy mu się uprawiać seks, pewnie zacznie wykrzykiwać swoje własne imię.

Minęły cztery tygodnie. Ściany zostały pomalowane zmywalną farbą na spokojny, biały kolor, po którym Keefer mogła mazać kredkami, na co jej pozwalał - pal licha tapety Delii! Deski podłogowe z twardego drewna, znalezione pod uperfumowanym kocimi siuškami dywanem, można było czymś wykończyć; on nawet bardzo by chciał zobaczyć, jak by wyglądały natłuszczone i lśniące, ale to nie był jego dom. Zadowolił się zamiataniem. Jego materac na podłodze leżał naprzeciwko największego okna i Gordon wykalkulował sobie, że słońce padnie na jego twarz i obudzi go kilka minut po szóstej. Mógł pracować codziennie, gdyby tak sobie postanowił, a pensja, choć niezbyt wygórowana, spokojnie wystarczała na czynsz, nawet gdyby chciał sobie coś odłożyć. Niedługo zaczną przychodzić czeki studenckiej pożyczki. Został przyjęty na trzyletni kurs, który miał go poprowadzić prosto od licencjatu do literek „d” i „r” przed nazwiskiem. Nie miał jeszcze pojęcia, co zrobi ze stopniem naukowym, kiedy go zdobędzie. Ufał, że czas pokaże. Uczenie w zastępstwie wtajemniczyło go we wszystko po trochu - od prowadzenia nieśmiałyech, niezadowolonych młodszych dziewczynek na milową przebieżkę do szczyrzenia zębów jak szympans przed dziećmi z Polski i Laosu podczas czterech dni lekcji angielskiego dla cudzoziemców.

Tęsknił do własnych uczniów, i wiedział, że będzie miał dużo okazji do regularnego uczenia podczas studiów. Marzył też o powrocie do życia studenta, do życia wytyczonego rozdziałami, projektami, laboratoriami i ostatecznymi terminami oddawania prac. Dni stałyby się wreszcie uporządkowane, przewidywalne. W ich bezpiecznych ramach uczyłby się rozwijać skrzydła własnej niezależności, sprawdzając, jak dalece może je rozłożyć.

Dwa razy z największą ostrożnością pisał do Lindsay lekkie w tonie listy, informując o pracach malarskich i o entomologicznej faunie czekającej na niego co noc, kiedy starał się zasnąć. Pod koniec listu zawałał się. Całuję? Pozdrawiam? Wreszcie stanęło na: „myślę o Tobie...” Nie odpisała, co go zasmuciło. Sprawdzał pocztę dwa razy dziennie w nadziei na list od niej. Cztery razy podnpsiał słuchawkę, żeby do niej zadzwonić, a potem odkładał po

nakręceniu numeru. Pewnej nocy, kiedy obudził się zmarznięty z powodu nagłej zmiany pogody, boleśnie zateśknął za łagodną linią jej zgrabnych, pokrytych piegami pleców. Kiedyś, wlawszy w siebie kilka piw, zadzwonił do Michelle Yu. Ale po pierwszych, entuzjastycznych słowach powitania przyszła pustka. Zakończył rozmowę obiecując, że zajrzy do niej w Boże Narodzenie, ale obietnica ta brzmiała nieprzekonywająco.

Pozwalał Keefer kolorować obrazki albo budować coś z klocków na werandzie, dopóki ciemności i owady nie zapędziły ich do środka. Nie miał telewizora, nie spodziewał się też, by mógł on tu działać, nawet gdyby go miał, a jego biblioteka składała się ze starego, należącego jeszcze do Georgii egzemplarza *Wichrowych wzgórz*, *Dobranocki* oraz *Księżycy i Króliczka Pata*, którego Gordon cenzurował za każdym razem, kiedy zaczynali czytać, omijając bolesne dla niego zdania o brodzie tatusia i obrączce mamusi, choć Keefer niezmiennie kazała mu się cofać i z uporem pokazywała opuszczone strony. Liczyli samochody: mała z powagą podnosiła do góry jeden paluszek, potem dwa. Wiek trwało, zanim dotarli do dziesięciu, takie było natężenie ruchu nawet o piątej po południu na spokojnej wiejskiej drodze prowadzącej do Oregon, w stanie Wisconsin, równie ruchliwej jak ulica w Tall Trees o północy w niedzielę.

- To dodge, Keefe - mówił jej. - A to jest audi.

Lewą rączką pracowicie odginała uparty czwarty palec, żeby pokazać trzy, potem wesoło prostowała mały paluszek, pokazując cztery, a śmieszne O, w jakie składała się jej pełna ekspresji buźka, tak bardzo przypominało Gordonowi minę Georgii, gdy przedrzeźniała dorosłych za ich plecami, że aż chciało mu się płakać. Wzbudzało to w nim nadzieję, a także ulgę, kiedy po raz pierwszy odebrał Keefer od Cadych. Wybiegła wtedy galopem z drzwi frontowych, bez trudu pokonując schody - jej nóżki urosły o jakieś sześć cali, odkąd ją widział ostatni raz - i skoczyła w jego ramiona. Była bez humoru, osowiała, powiedział Craig - przynajmniej tak przypuszczał - w związku z tym, że Delia jest w szpitalu, a Alex została studentką trzeciego roku, pogrążoną w ekstazie posiadania pierwszego w życiu prawdziwego chłopaka oraz pochłoniętą walką o maksymalną swobodę, teraz kiedy Craig miał na głowie znacznie więcej niż godzina policyjna dla pasierbicy.

Ostrożnie tego pierwszego razu, żeby nie spłoszyć Craiga, Gordon zaproponował, by pozwolił mu więcej czasu spędzać

z Keefera. Jego mieszkanie to nie żaden pałac, ale on chętnie zrezygnuje z dorywczej pracy, żeby częściej ją widywać. Potem, zapalając się coraz bardziej, powiedział Craigowi o przychodzących do niego w odwiedziny kotkach z sąsiedniej farmy. Keefera byłyby nimi zachwycona. Coś w twarzy Craiga ostrzegło go, że posunął się za daleko. Matka Craiga na razie wróciła do swego domu, ale zamierzała wkrótce przyjechać na dłużej. I Diana zazwyczaj była wolna w przerwach między wożeniem dużego Raya na rehabilitację. Dadzą sobie radę, zapewnił Craig. Dziecko, chłopiec, ma się urodzić za dwa tygodnie. Delia znajdowała się pod ścisłą kontrolą, ponieważ ciśnienie poszło jej w górę i istniało realne zagrożenie dla życia dziecka. W każdej chwili mogli zdecydować się na przyspieszony poród lub cesarskie cięcie, dodał Craig. Powiedział też Gordonowi, że Keefera bardzo się cieszyła, widząc na ekranie monitora akcję serca mamusi. Gordonowi udało się opanować dreszcz; zaczekał do chwili, kiedy jechali do domu, i dopiero wtedy ściągnął Keefera przez głowę koszulkę z napisem *Jesus cię zbawi*. Małe koszulki i piżamy, które przywiózł ze sobą w starym kuferku dla lalek Georgii, były na nią za ciasne i za krótkie. Ale matka w ciągu czterdziestu minut załatwiła sprawę, kupując ubrania odpowiednie na tę porę roku. Wybrali jasne, kolorowe komplety, które można było dowolnie zestawiać dół z górą; dziecięce spodenki z rodzaju, jaki najbardziej Gordon lubił. Aby to wszystko uprać, wystarczyło jedynie pojechać do E-Wash - kawiarni, jaskini komputerowej i jednocześnie pralni - wygodnej instytucji, położonej dziesięć mil dalej przy East Washington Avenue w Madison.

Przy owocach morza, które - jak Diana Nye zapewniła Lorraine i Marka - były w najlepszym gatunku, sprowadzone od *jej* stałego kupca z Jupiter, Ray przeprosił za ból, jaki jego rodzina sprawiła Lorraine i Markowi, a zwłaszcza Gordiemu. Duży Ray postarzał się o dziesięć lat, waga spadła mu znacznie od czasu kłopotów z sercem; on sam, według relacji Lorraine, wyglądał teraz jak smutny pies; policzki mu się trzęsły, gdy mówił. Żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć o krytycznym stanie Delii i o wstrzymaniu przez Craiga procesu adopcyjnego. Jedli spieszenie, kiwnęli uprzejmie głowami na nieco dziwną ze strony Nye'ów propozycję udzielenia pomocy Gordiemu, gdyby kiedykolwiek potrzebował czegoś w Madison, pomrukiem wyrazili aprobatę deklaracji

złożonej przez Raya, że będą zachowywać się jak na dziadków przystało i *trzymać* się z dala od młodych, podziękowali Dianie za odbitki, jakie zrobiła z ceremonii wprowadzenia Keefera do Kościoła kongregacyjnego. Potem wzięli się za ręce i szybko wyszli, śpiesząc do rudery Gordona, gdzie siedzieli do późna, mimo że mieli całkiem wygodny, klimatyzowany pokój w hotelu. Mark wyraził troskę o zamki, ale się uspokoił, gdy sprawdził, że nikt nie wejdzie ani nie wyjdzie bez użycia siły. Lorraine obiecała przysłać Gordonowi gaśnicę. Powiedział matce, że takie rzeczy naprawdę można dostać w Madison.

Gordon zupełnie był bez energii.

Nauczycielka wychowania fizycznego w szkole Madison Middle, w której miał najczęściej zastępstwo, krzepka, a przy tym z pozoru delikatna blondynka po czterdziestce, zaprosiła go do swojej drużyny softballu; zwykły podryw, ale bardzo *się* starała. Poszedł raz. Ciało rozkoszowało się współzawodnictwem i wysiłkiem fizycznym, a serce łkało z powodu nieobecności Sweeneya, Churcha i drużyny Wild Rose Chuggers. Zapłacił za dwutygodniowe próbne członkostwo w klubie sportowym i obejrzał stada pełnięcie zaróżowionych kobiet w sportowych kostiumach, przyglądających mu się bacznie z brzegu bieżni. Po dwóch razach nie miał ochoty tam wracać. Zaczął chodzić nocami na długie spacery, zauważył przy tym, że im ciemniejsze pole, tym mniej owadów, włóczył się po drogach między działkami i światłami rozrzuconych gospodarstw.

Niewielka mleczna farma na wschód od niego, po drugiej stronie drogi, należała do braci bliźniaków - wysokich, szczupłych mężczyzn, którzy musieli mieć około osiemdziesięciu lat i tak byli do siebie podobni, że Gordon brał ich za jedną osobę, dopóki pewnego ranka o wschodzie słońca nie zobaczył ich razem, jak przechodzili obok jego skrzynki pocztowej.

Jeden z bliźniaków nazywał się Ferris. Jego brat miał na imię Larry. Którejś dusznej niedzieli Ferris zapowiedział się kurtuazyjnym pukaniem, po czym przez cały dzień pomagał Gordonowi malować.

- Tylko nie mów na mnie Ferry* - poprosił. Posmutniał, kiedy Gordon zaproponował, że mu *zapłaci*. Dom, w którym miesz-

* *Ferry* po angielsku znaczy prom.

kał Gordon, należał kiedyś do starszego brata Ferrisa, Stuarta. - Zmarł kilka lat temu - powiedział starsuszek Gordonowi i dodał jakby tonem wyjaśnienia: - Nie był bliźniakiem.

Pierwszy weekend bez Keefer przeleciał szybko w ogniu prac porządkowych. Z wypraktykowaną gospodarnością człowieka, który się często przeprowadza, Gordon kupił ręczniki i zasłonkę do prysznic, roletę do frontowego okna, prześcieradła i szczotkę do zębów, dla Keefer zaś - szczoteczkę i kubeczek z Barneyem z *Jaskiniowców*.

W drugi weekend bez Keefer musiał siłą się pohamować, żeby nie wskoczyć do samochodu i nie pojechać na Północ. Przewrotnie przysiągł, że nie pojedzie do Tall Trees, dopóki będzie czuł, że jedzie tam po wsparcie. Wieczór spędził w olbrzymiej księgarni w Madison na czytaniu zakurzonych obwolut książek, na które go nie było stać. Sobota ziała przed nim jak przepaść. Spał do późna, wypił herbatę na werandzie, czytając list od ciotki o kostiumie małego potwora, jaki szyła dla Keefer na Halloween. Nora najpierw myślała o ślicznym, małym diabełku, wyobrażając sobie radość Keefer z gumowych wideł, ale w końcu doszła do wniosku - czy Gordon się z nią zgadza? - że to rozdrażniłoby Cadych. Przespał większą część niedzieli, chciwie czekając na telefon, który w końcu zadzwonił, w sprawie zastępstw w przyszłym tygodniu.

W piątek po zabranii Keefer zafundował sobie i jej smażoną rybę w barze Avenue.

Kiedy podjeżdżał pod dom, dzwonił telefon. Słyszał go przez otwarte okno, ale nie chciało mu się biec. Najpierw uwolnił Keefer z fotelika, potem rzucił się całym ciałem ze trzy lub cztery razy na drzwi, zanim wreszcie ustąpiły, a w tym czasie nawet największy na świecie uparciuch by się poddał. Ale telefon nadal dzwonił. Dwanaście dzwonek. Czternaście. Gordon nie miał automatycznej sekretarki. Zanotował sobie w pamięci, że ma pojechać do centrum handlowego, by ją kupić. Prawdopodobnie nie raz praca przeszła mu koło nosa. W tym momencie matka już pewnie wysyłała Marka po Norę, żeby szykowali się do akcji ratunkowej.

Odebrał po siedemnastym dzwonku.

- Och Gordon. - Głos był chlupocząco-płaczliwy, drżący i nie-ludzki, wydany przez coś, co zostało poważnie uszkodzone, jakby ktoś usunął struktury tworzące dźwięk. Gordonowi aż przeszedł

prąd po rękach. - Och, Gordon, Gordon, Boże, zlituj się! - Nie znał tego głosu. - Gordon, Delia jest w śpiączce!

Był to Craig Cady.

Pocąc się, dysząc, rozdzierając w pudełku spaghetti celofanowe okienko, bo nie mógł otworzyć wierzchu, rozsypując twarde makaron na podłodze, żeby Keefer miała się czym bawić i nie poszła w stronę schodów do piwnicy, Gordon usiłował ustalić chronologię wydarzeń na podstawie gardłowych skomleń Craiga. Krótko po piątej Delia wydała na świat zdrowego chłopca. Po porodzie była wyczerpana, ale w dobrej formie: wzięła synka w ramiona, poprosiła, żeby go nazwać Hugh, po jej zmarłym ojcu. Craig i Alexis zostawili ją pod opieką zespołu intensywnej opieki i przyglądali się ważeniu dziecka. Dalej Gordon nie mógł zrozumieć. Była... Nacisnął świecący przycisk na zegarku. Zamglone, podwodne światło zaszygnowało, że jest dopiero godzina ósma.

Co się stało przez te trzy godziny takiego, czemu personel szpitala uniwersyteckiego nie był w stanie zapobiec lub czego nie był w stanie naprawić?

I dlaczego Craig dzwonił właśnie do niego?

- Posłuchaj, Craig - rzekł Gordon w końcu. - Powinieneś znaleźć kogoś, kto by z tobą był teraz. Może Diana? Albo Ray?

- Ślub - odparł Craig. Jego głos był nabrzmiały od płaczu. - Jutro jest ślub.

- Jaki ślub?

- Caroline. - Gordon nie wiedział w ogóle, że Caroline już się rozwiodła.

- Siostry Raya? Jesteś pewien?

- Oni... na Florydzie. Dzwoniłem... Straszny sztorm.

- A twoja matka? Gdzie jest twoja matka?

- Pogoda - krzyczał Craig. - Tam są sztormy.

- Dobra, posłuchaj - uspokajał go Gordon. Posłuchaj! A co, do licha ciężkiego, miał powiedzieć? Przynajmniej Keefer była z nim, zamiast objąć się z Craigem po niebezpiecznych, aseptycznych korytarzach. - Gdzie jesteś? W szpitalu uniwersyteckim, tak? Czy Alex jest tam z tobą? Czy mogę... porozmawiać z kimś jeszcze?

- Boże, ratuj mnie! - zawył cienko Craig. - Boże, ratuj, Boże, ratuj!

W końcu Gordon wiozł śpiącą Keefer, wciąż ściskającą garść

surowego spaghetti, przez nocne miasto, na parking ogromnego centrum medycznego, gdzie w smudze światła obok głównego wejścia czekał Craig. Trzęsąca się gwałtownie Alexis stała na wpół ukryta za postacią ojczyma: strach na wróble w granatowym swetrze Craiga. Sam Craig musiał wracać na górę; neurologzy zbierali się na konsultację. Alexis została z Gordonem. Z braku lepszych pomysłów Gordon zadzwonił z automatu do matki. Lorraine, prawdopodobnie też z braku lepszych pomysłów, powiedziała, że tylko narzuci coś na siebie i będzie za kilka godzin. Gordon czuł, że powinien zaprotestować, ale nie mógł wymyślić dobrego powodu, żeby wyrzec się jej krzepiącej obecności. Światła i zapachy szpitalnego holu, sztuczne światło dzienne, piszczące dzieci biegające w samych skarpetkach, tak podniecone, aż nieświadome niepokoju, i maski sztywności na twarzach rodziców - wszystko to fatalnie na niego podziałało. Dwukrotnie musiał się poprawić, bo powiedział do Craiga „Ray”.

Zaproponował, żeby posiedzieli w jego samochodzie albo się gdzie przejechali. Ale Alexis powiedziała, że nic nie jadła od śniadania. Usiadł więc z dziewczynkami w dużym zielononiebieskim bufecie, wśród lekarzy i pielęgniarek w przybrudzonych fartuchach. Keefer i Alexis żuły klajstrowate frytki. Gordon wychylił dwie filiżanki gorzkiej kawy. O północy przez uchylne drzwi wpadły Lorraine i Nora. Lorraine niosła w jednym ręku sześciopak dietetycznej pepsi, w drugim trzy stare sportowe wiatróvky Gordona. Otworzyła jedną puszkę dla Alexis.

- Powiedz mi, co się dzieje - poprosiła.

- Mama urodziła dziecko i zapadła w śpiączkę - zaczęła Alex dźwięcznym, cichutkim głosem. Wstała z krzesła, okrążyła stół, usiadła obok Lorraine i przytuliła głowę do jej piersi. - Bardzo źle się czuła przez cały tydzień, a oni powiedzieli, że muszą wyjąć dziecko, bo inaczej mogłoby umrzeć.

- Więc miała operację?

- Nie, zaraz potem zaczął się poród.

- Gordie, czy to z powodu stwardnienia rozsianego?

- Z tego, co mówi Craig, wynika, że miała tętniaka w mózgu - wyjaśnił, poddając się błogiemu znużeniu, będącemu następstwem ulgi wywołanej jej obecnością. - Tylko tyle wiem. Nie mam pojęcia, czy to ma jakiś związek.

Siedzieli tak jeszcze godzinę. Alex i Gordon grali w *ticktacktoe*

i szubienicę na papierowych serwetkach. Keefer zasnęła na kolanach Nory. Lorraine zaproponowała, żeby znaleźli kogoś odpowiedzialnego i dowiedzieli się czegoś więcej, ale Gordon się ociągał, z niechęcią myśląc o szukaniu oddziału położniczego i o rozmowie z pielęgniarką. Co jej właściwie mieli powiedzieć, że kim są? Byłą rodziną?

Wreszcie zjawił się Craig, czerwony i bliski łez, ale przytomny. Stan Delii był niepewny, krytyczny. Dziecko miało się dobrze i ważyło dziewięć funtów. Delia cierpiała na cukrzycę ciążową. Istniało podejrzenie o wylew na skutek tętniaka w mózgu. Nikt nie sądził, aby miała stwardnienie rozsiane, ale zrobili jej wszelkie możliwe badania. Pomyślał więc, że odwiezie Alexis do domu. Tyle chyba będzie w stanie zrobić. Alexis zajmie się Keefer.

- Nic z tego - oznajmiła Nora stanowczo. - Alexis to jeszcze dziecko, a jej matka jest poważnie chora. Pan tu musi zostać, a ona nie może teraz być sama w domu.

- Chyba ma pani rację - przyznał Craig, ocierając pięściami zaczerwienione oczy, zupełnie jak wielki dzieciak. - Już sam nie wiem, co robić. Nie mogę jej zostawić. Mojej żony.

Lorraine zastanawiała się chwilę, zatykając kosmyk włosów najpierw za jedno ucho, potem za drugie.

- No to w takim razie ja wezmę je do domu.

- Dam pani klucze - powiedział Craig. - Gordie wie, gdzie to jest.

- Mam na myśli Tall Trees - wyjaśniła Lorraine. - Zabieramy dziewczynki do nas. Zna pan mój numer telefonu. Proszę zadzwonić, gdy Delia poczuje się lepiej. Pewnie Alex będzie chciała wziąć jakieś swoje rzeczy. Coś ci jest potrzebne, Alex?

- Mam teraz okres - odparła nieszczęśliwym głosem Alex.

- Och, nie to mam na myśli - rzekła Lorraine. - Chodzi mi o twoje... kompaktki i tego rodzaju przedmioty. Nie to, co możemy dostać wszędzie.

- Nie potrzebuję niczego - powiedziała dziewczynka. - Ale nie chcę zostawiać mamy samej.

- Craig z nią zostanie. A my pojedziemy do nas, żeby nie musiał się o was martwić. Poza tym tu jest mnóstwo ludzi, którzy zajmą się twoją mamą i twoim nowym braciszkiem. Widziałas go już? Jest śliczny?

- Jest bardzo śliczny - orzekła Alex. - Malutki.

Jak jeden mąż odwrócili się w stronę Craiga. Craig pogłaskał Alex po policzku. Nora pogłaskała go po ramieniu. Wszyscy czworo, ociągając się, ruszyli w stronę parkingu, a Lorraine jakimś cudem po drodze załatwiła nalepkę z napisem „nagły wypadek” na samochód Gordona, który tu zostawili. Nie było mowy, żeby prowadził. Nie było mowy, żeby wracał do siebie. Lorraine dała mu telefon komórkowy, każąc zadzwonić do szkoły, w której spodziewano się go w poniedziałek, i zostawić wiadomość, że nie może przyjść z powodu bardzo ważnych spraw rodzinnych. Obie z Norą zapakowały go na tylne siedzenie, razem z fotelikiem Keefer oraz torbą z jej butelkami z wodą i zapasowymi majtkami. Alex siedziała po jego drugiej stronie. Dziewczynki z miejsca zapadły w sen. A zanim wjechali na autostradę, Gordon również drzemał. Niejasno uświadamiał sobie, że zmieniło się otoczenie, inne są neony, obcy parking, otwarte drzwi samochodu, odgłos wkładanego kłuczyka do stacyjki, ryk radia, po chwili przyciszony, głos matki, potem ciotki, ożywiona rozmowa, jakieś westchnienia, całe to rodzinne poczucie bezpieczeństwa towarzyszące walącym się w grzyby planom i przedsięwzięciom oraz nowym, niepodlegającym dyskusji imperatywom. Bezdyskusyjne było to, że Alexis nie pójdzie do szkoły i że on nie pójdzie do pracy, do której się zobowiązał. Na jego farmie będą się palić światła. Nikt nie pojedzie, żeby je wyłączyć. Dlaczego wyjeżdżał? Jaka była jego rola w tym exodusie? Nie był w stanie dyskutować. Należał do klanu dotkniętego stratą, klanu, którego członkowie znali się jak nikt na katastrofach i na tym, co należy robić, gdy się zdarzą. Nie miał prawa dyskutować.

Lorraine potrząsała go za ramię. Potknął się na znajomym wybrzuszeniu progu rodzinnego domu; Mark najpierw przytrzymał go za ramiona, a potem wzięł mocno w objęcia. Woda ze złożonych rąk przyskała na umywalkę. Jego dawne łóżko, Keefer, smętny tobołek między nim a chroniącą ich ścianą. Ręce ciotki pachnące torfem i ciastem, otulające ich oboje kołdrą.

Co się zaczęło, coś zawróciło w przestrzeni i przyspieszyło, do głosu doszedł wypróbowany talent McKennów do znajdowania się w epicentrum najbardziej niezwykłego splotu przeciwności losu. Gordon nie był w stanie się obudzić. Leżał w półśnie, zastanawiając się, czy nie powinien spróbować się pomodlić i czy - gdyby ośmielił się modlić o wyzdrowienie Delii - nie padłby przypadkiem trupem. Przebacz mi, bo zgrzeszyłem! Piętnaście lat mi-

nęto od mojej ostatniej spowiedzi i nawet wtedy udawałem, powtarzając to, co mi kazał powiedzieć Tim. I tylko dlatego, żeby sprawić przyjemność rodzicom. Logiczne wyrażenie lęków i nadziei wydawało się niemożliwe; nie mógł wyzwolić się z odrętwienia. Usłyszał głos ojca, dźwięczny, spokojny głos Marka, i pozwolił sobie zatonać, zapaść się w pełną winy radość. Poczul się wreszcie w domu, z kciukiem Keefer, jak pluszowy haczyk, w zagłębieniu swego ucha.

Było popołudnie, kiedy Gordon zerwał się ze snu, nieprzytomny, poruszony, przerażony własnym zapachem ostrym jak woń gotowanego mięsa. Poszukał szlaczka w żonkile, potem pełnej dziur ściany swojej farmy. Ale tu wisiał oprawiony widoczek mostu koło Saint Andrew's... jego pokój, jego chłopięcy pokój. Keefer zniknęła, lecz słyszał jej szczebiot dobiegający z kuchni: prosiła o masło orzechowe. Alexis, ostrzegła go Lorraine, kiedy trochę oprzytomniał, jeszcze śpi na tapczanie, który wstawili do dawnego pokoju Georgii. Craig nie dzwonił. Dzwoniła Diana Nye. Nawet gdyby mogli zostawić Caroline w dniu jej ślubu, pogoda zmuszała ich do zostania w Tampie. Duży Ray powtarzał jej całe rano: „Zadzwoń do McKennów, zadzwoń do McKennów, zadzwoń do tych McKennów i podziękuj, że zajęli się dziewczynkami”.

- Diana powiedziała, że czuje się spokojniejsza, wiedząc, że Keefer jest z tobą - powiedziała Lorraine, kładąc przed nim na serwecie obwarzanek z masłem orzechowym. Już chciała nalać mu mleka, ale wstał, zatrzymując ją gestem, wziął sobie szklanke i sam nalał.

- Co o tym myślisz? - spytał, kiedy z powrotem usiadł przy stole. - O tym, co powiedziała Diana.

- Myślę, że ciut za późno, Gordie - odparła.

- Mamo, jesteś surowa.

- Keefer jest dokładnie tam, gdzie powinna być. I wszystko jest jeszcze możliwe. Gordon, ja nie życzę źle Delii, ale kto wie...

- Źle jej życzysz, mamo - przerwał Gordon, bardziej szorstko, niż zamierzał. Sam chciał rozsypywać sól, otwierać parasole. - Delia wyzdrowieje. Pewnie już się obudziła. To może być... jakiś obrzęk. Albo udar. Ale ona nie umiera, mamo.

- Dzień dobry, Alex - powiedziała Lorraine z naciskiem.

Niebieskie oczy dziewczynki były zaczerwienione, z zaschłymi strużkami tuszu.

- Nie wiem, gdzie co jest - szepnęła.
- Na nocnym stoliku, w pokoju, gdzie spałaś, leży torba. Znajdziesz tam szczoteczkę do zębów i bieliznę. Położyłam ci spodnie od dresu mojej córki i moją koszulę. Niestety, to wszystko, co mam. Ale powinny być dobre na ciebie.
- Czy mogę wziąć prysznic? - spytała Alexis, unikając wzroku Gordona. - A co z mamą?
- Zaraz się dowiemy - obiecała Lorraine. - Ręczniki są w szafce obok drzwi łazienki.
- Cześć, Allie! - zaśpiewała radośnie Keefer.
- Cześć, pączusku. - Keefer wycisnęła wielkiego całusa na kolanie Alex.

Biedna Alexis została zakładniczką, pomyślał Gordon, jest jak Bogu ducha winny wieśniak, który znalazł się na obszarze ogarniętym wojną.

Craig Cady zadzwonił o czwartej. Stan Delii rokował poprawę. Jego matka była w drodze. Głos Craiga wrócił do zwykłych rejestrów. Alex może przywieźć Keefer do domu autobusem. Do końca życia będzie im wszystkim wdzięczny. „Nonsens - odparła Lorraine - Mark ich wszystkich odwiezie. - Popatrzyła na Gordona, kręcąc z żalem głową. - Jednak dopiero jutro albo pojutrze. W takim razie jutro. Nie, dziś to niemożliwe! Alexis ma się dobrze. Ale obie dziewczynki potrzebują trochę odpoczynku”.

- No dobrze - powiedziała Lorraine, odkładając słuchawkę. - Przynajmniej sobie odpoczną.

Tuż przed wyjazdem w poniedziałek rano Lorraine, która popłakała się z powodu rozstania z wnuczką, na co Keefer natychmiast zareagowała napadem złego humoru, odciągnęła Gordona na bok za krzak trzmieliny. Objęła go mocno i przytuliła się do niego.

- Gordie, nie chcę, żebyś myślał, że żywię do Delii jakąś urazę albo że życzę jej pogorszenia.

- Chyba jednak tak jest, mamó. - Co sprawiło, że stał się tak okrutny? Niechęć do tej części samego siebie, którą dręczyły identyczne myśli, nadzieje i fantazje?

Lorraine wypuściła go z objęć.

- Gordie, nie życzę tej biedaczce, żeby osierociła nowo narodzone dziecko albo żeby przez resztę życia była sparaliżowana. Z drugiej strony jednak, tak, nie dbam, czy ona przeżyje, czy umrze., W pewnym sensie ja nawet nie znam Delii.

- Więc gdy umiera niewinna osoba, uważasz, że to w porządku, jeśli nie znasz jej osobiście?

- Wybaczam ci to, kochanie. Chcę tylko powiedzieć, że Delia jest dla mnie ważna pod jednym względem, a mianowicie, jaki jej życie ma wpływ na życie Keefer. I trochę też ze względu na to biedactwo tutaj. - Lorraine umilkła na chwilę, patrząc na Alexis. - A skoro tak, to nie byłabym uczciwa względem siebie i nie byłabym prawdziwą babcią, gdybym nie czuła co najmniej zadowolenia z tego, że adopcja nie została sfinalizowana. Craig Cady nie zna naszego dziecka.

Gordon poczuł ukłucie strachu. To jego matka, nie Diana Nye, zrobiłaby wszystko, przed niczym by się nie cofnęła.

- Craig mieszkał z nią pod jednym dachem przez ostatnich dziewięć miesięcy - powiedział.

- On nie jest ojcem. Nie jest nawet ojczymem.

- Nie chcę tego wątkować, mamó. Nie chcę wyciągać wszystkiego, co się wydarzyło od pierwszej sprawy o Keefer. Keefer może stracić jeszcze jedną osobę, którą kocha, wiesz? A ta dziewczuszka, która właśnie jadła płatki przy twoim stole, kocha swoją matkę tak samo, jak Georgia kochała ciebie. Kochała cię nawet wtedy, kiedy traktowała cię jak śmieć, co - jeśli pamiętasz - miało miejsce zaledwie dziesięć lat temu.

- Gordie, wiem. Byłoby dużo prościej, gdybym tego nie wiedziała.

- No to daj spokój!

- Ale musimy być przygotowani do działania, Gordie, na wypadek, gdyby zdarzyło się najgorsze.

Dla ciebie nie będzie to najgorsze, pomyślał, bacznie przyglądając się rozgorączkowanej, energicznej twarzy Lorraine. Nawet jej skóra jakby się naciągnęła, stała się bardziej elastyczna. Nie była już tą odurzoną, nieobecną duchem kobietą, która w tamten weekend przyjechała do Madison i chodziła, jakby każdy krok sprawiał jej ból.

Nie byłoby to najgorsze dla ciebie i nie byłoby najgorsze dla mnie - przyznał w myśli. Był dzieckiem swojej matki, bezpośrednim, szczerym do bólu, odpornym na argumenty, pędzącym jak rakietą i nieogładającym się za siebie w drodze do celu.

Przez większą część jego życia celem Lorraine było kochanie go. Nigdy do głowy by mu nie przyszło, żeby jej czegoś wzbra-

niać. A teraz wyraźnie ujrzał ją taką, jaką widzieli inni, kiedy starali się jej sprzeciwić, odwrócić uwagę czy też ją uspokoić. Styl, humor, pełna uczucia i głębi artystyczna fantazja - wszystko to przysłaśniało prawdą istotą matki, która była rozpalonym do białości węglem pełnego oddania. Ujrzał Lorraine taką i przeraziła go. Pocałował matkę w czoło i odjechał.

Dom Craiga Cady był pełen ludzi. Jego matka kołysała opatulony tobołek, czyli odebranego ze szpitala Hugh'a, jedna mała rączka wyraźnie była sucha po niedawnym opuszczeniu wód płodowych. Poważny, wysoki mężczyzna z misternie ułożonymi napomadowanymi srebrnymi włosami, w koloratce, wystąpił na przód, ujął Keefer pod brodę, pochwycił rękę najpierw Gordona, a potem Marka w miążdżącym, a zarazem wymownym uścisku.

- To nasz pastor, wielobny Whitehead - przedstawił go Craig Cady.

Stłumiony odgłos dobiegający z tyłu, jak Gordon sobie uświadomił, był śmiechem ojca.

- Będziemy pamiętać o was w naszych modlitwach - odezwał się pastor.

- Dzięki - rzekł Gordon.

- Tak - dodał Craig - dziękujemy wam.

- Nie ma sprawy - odparł Gordon. - Mam nadzieję, że z Delią z każdym dniem będzie coraz lepiej. Po prostu zadzwoń do nas, kiedy mam odwiedzić Keefer.

- Ja... Gordie, już nie musisz jej zabierać. Moja mama jest tutaj. Jestem pewien, że Keefer będzie chciała zobaczyć dziecko.

- Czy Keefer zna twoją matkę?

- Tak. I mama świetnie daje sobie radę z dziećmi.

- Wolę zatrzymać ją dopóki... tyle się tu dzieje, Craig. Niepotrzebna ci chyba dwulatka, której wszędzie pełno, kiedy masz w domu chorą żonę, małe dziecko i wystraszoną nastolatkę.

- Nie ma sprawy. Poradzę sobie.

- Jest sprawa. Keefer jedzie z moim ojcem i ze mną po samochód, a potem wrócimy do mnie do Oregon.

- Keefer musi zostać tutaj - upierał się Craig.

- Myślę, że w tej sytuacji Craig stara się powiedzieć, że rodzina powinna być razem i wzajemnie czerpać z siebie siły - wtrącił pastor. - Chce mieć wszystkie swoje dzieci razem.

- Keefer nie jest jego dzieckiem. Przynajmniej jeszcze nie.

Ona... jest pod jego opieką. Ja jestem jej wujem, a ona właśnie spędziła dwa dni na jeździe tam i z powrotem po autostradzie. Potrzebuje trochę czasu i tego, żeby ktoś wyłącznie nią się zajął.

- Proszę, Gordie, nie utrudniaj tej już i tak...

- Craig - przerwał Gordon. - Chcę pomówić z tobą na osobności.

- Nie mam sekretów przed naszym pastorem.

- Ale ja mam sekrety przed waszym pastorem, który nie jest moim pastorem, i chcę załatwić to jak najszybciej.

Usiedli razem w sypialni, sztywno, po dwóch stronach łóżka.

- Craig, Keefer będzie przestraszona i będzie wymagać większej troski.

- Musi tu zostać. Twój weekend się skończył.

- Słuchaj, moi rodzice i ja właśnie wypruwaliliśmy sobie dla ciebie flaki.

- Doceniam to. Ale wiem, że gdy Delia się obudzi, pierwszą rzeczą będzie pytanie, gdzie jest dziecko i Alexis, i Keefer.

- Keefer jest dopiero na trzecim miejscu.

- Co masz na myśli?

- Po waszym dziecku i po Alexis.

- Gordie, Delia jest... mogłaby być... Nie umiem się tak politycznie i poprawnie jak ty wyrażać.

- Nie powiedziałeś ani jednego słowa, czy ważne dla ciebie jest to, jak się czuje Keefer. Kiedy weszliśmy tutaj, nie wzięłeś jej na ręce, nie pocałowałeś, nie próbowałeś nawet powiedzieć, że za nią tęskniłeś. Przedstawiłeś nas waszemu cholernemu klesze...

- Gordie, ostrzegam cię...

- Nie przytuliłeś Alexis, nie poprosiłeś matki, żeby dała jej po-trzymać dziecko. Przedstawiłeś nas temu... pastorowi. I to on powiedział, że chcesz mieć całą rodzinę pod jednym dachem. Ty tego nie powiedziałeś. Mówiłeś tylko, kto się zaopiekuje Keefer.

- Oczywiście, że tęskniłem za nią! - wrzasnął Craig. - Nie, Gordon, tak naprawdę nie tęskniłem za nią. Za nikim nie tęskniłem. Nie spałem od trzech dni. Ledwo zdążyłem zobaczyć mego pierworodnego syna i moją żonę, których kocham bardziej niż własne życie, a teraz ona leży w szpitalnym łóżku z komputerem podłączonym do mózgu...

- Właśnie o to mi chodzi. Keefer potrzebuje kogoś, kto się nią zajmie, kto potrafi właśnie teraz okazać jej miłość. To nie możesz

być ty, przynajmniej nie teraz. Mówiąc to, nie chcę cię urazić, bo doskonale wiem, co czujesz.

- W porządku, Gordie. Jesteś wielkim orędownikiem spraw rodzinnych. Niby taki oddany własnej rodzinie, a w sumie wszystko, co robisz, to przez całe swoje życie pieprzysz każdą kobietę, jaka ci wpadnie w oko, nawet mojej żonie nie przepuścisz...

- Co? - Gordona aż замуrowało. - O czym ty, do licha ciężkiego, mówisz?

- O weselu Raya. Cały czas sterczałeś przy niej.

- Byłem drużbą Raya, a ona była starościna wesela. Musiałem stać obok niej. Musieliśmy razem zatańczyć. Oświadczam ci uroczyście, że nigdy nie flirtowałem z twoją żoną. Nigdy nie zamierzałem flirtować z twoją żoną! - zachnął się Gordon, po czym dodał: - Skąd ci przyszła do głowy taka bzdura?

- Twoja siostra mi powiedziała. Nie o Delii. Ale o tych innych. Tak właśnie ludzie o tobie sądzą.

- Zostaw moją siostrę w spokoju. Nie mów, kurwa, ani słowa o mojej siostrze! A jak wy wszyscy, do diabła ciężkiego, podlizywaliście się, ile włązło, Rayowi? To nie ja grałem na Knockers. Na turnieju sponsorowanym przez restaurację specjalizującą się w pokazywaniu gołych cycków...

- Wiesz, że ten lokal nie miał nic wspólnego z turniejem.

- Tak? Słyszałem coś innego.

- No tak, ty jesteś ideałem - mruknął Craig.

- Wcale nie jestem ideałem. Jestem, kurwa, eks-nauczycielem biologii, który mieszka na zadupiu...

- Uczącym dzieci ewolucji...

Gordon wstał spocony.

- Uczącym dzieci, że człowiek nie jest istotą idealną, ale kruchym stworzeniem podlegającym procesowi przemian. Czy nie tego uczy twój Kościół?

- Nie chciałem. - Craig ukrył twarz w dłoniach. - Przepraszam, Gordie. Nie jestem sobą. Nie wiesz nawet, jak fatalnie czuliśmy się z Delią z tego powodu, że musieliśmy wystąpić przeciwko wam. Sam fakt, że trzeba zrobić coś słusznego, nie oznacza, że jest to łatwe. A teraz jeszcze to wszystko. Nie wiesz, jak to jest. Kobieta, którą kocham, daje mi najcenniejszy dar, rodzi wspaniałe dziecko, o którym myśleliśmy, że nigdy nie będziemy go mieć...

- Mielicie już wspaniałe dziecko.

- Tu chodzi o syna. Mojego syna. A teraz ona leży tam, pogrążona w ciemnościach, wielka radość, zaraz potem wielki ból.

- Wiem dokładnie, jak to jest - powiedział Gordon. - To nie była moja żona, ale to była moja jedyna siostra. Podziwiałem jej odwagę, kiedy wydawała na świat Keefer, patrzyłem na jej walkę o życie i o to, by móc wychowywać Keefer. Patrzyłem, jak próbowała wszystkiego, a sam nic nie mogłem, cholera, zrobić. Nigdy nie byłem mężem, więc nie wiem, co się wtedy czuje. Ale kochałem Georgię tak bardzo, jak najbliższą mi osobę.

- Gordon, ja nie podaję w wątpliwość twojej miłości do Georgii. Czy do Keefer. Posłuchaj, wróćmy do tematu - zaproponował Craig, a w coraz wolniejszym oddechu dawało się wyczuć ogromne znużenie. - Mamy przyznane prawo do opieki nad Keefer. Zadoptujemy ją.

- Ale ty nie chcesz jej tak naprawdę.

- Oczywiście, że chcę, Gordie. To wspaniałe dziecko.

- Czy kochasz ją tak samo jak Hughę?

- Nie mogę... Nie można tego porównywać.

- Czy kochasz Alex tak samo jak Hughę?

- Alex ma własnego ojca. Alex jest dzieckiem Delii. Poznałem Alex dopiero jak była, w której? W czwartej klasie...

- A kochasz Hughę?

- Nigdy nie myślałem, że kogokolwiek na świecie będę tak kochał.

- Tak właśnie ja kocham Keefer. To jest moja krew, Craig. Krew z krwi. Ona jest moja.

- Wiem, że taki jest twój stosunek do niej, i szczerze cię za to podziwiam.

- Podziwiasz mnie? Ty mnie podziwiasz? Jakby to był szlachetny gest kochać dziecko, któremu pomagałem przyjść na świat i które pomagałem wychowywać? Czy ty naprawdę myślisz, że mógłbym się czuć bardziej związany z Keefer, gdybym to ja zasiał to nasienie? Że to byłaby jakaś magiczna sztuczka, gdyby te pierwsze komórki, które się dzieliły i dzieliły, aż się stały nią, pochodziły ode mnie?

- Nie przeżyłeś tego, Gordie.

- Myślisz, że możesz dowiedzieć się więcej o miłości do dziecka przez cztery dni, niż ja dowiedziałem się o miłości do Keefer w ciągu dwóch lat?

- Dlaczego wtedy nie powiedziałeś tego wszystkiego?
- Bo nikt mi nie dał szansy, żebym cokolwiek mógł powiedzieć. Nie myślałem, że w ogóle będzie taka potrzeba. Dla mnie to było oczywiste.
- Kiedyś będziesz miał własne dzieci. Życzę ci, żeby tak się stało. Wtedy pogadamy.
- Craig, ja miałem własne dziecko.
- Gdyby tak było naprawdę, nigdy byś z niej nie zrezygnował. A ty zrezygnowałeś. Ale jeśli nawet - to nie do mnie i nie do ciebie należy wyrokowanie w tych sprawach, Gordonie, naprawdę.
- A co takiego jest naprawdę? Czy twoja prawda jest jedynie słuszna?
- Jestem dealerem samochodowym, Gordie. Nie nadaję się do snucia filozoficznych rozważań.
- No dobrze. Mówmy zatem konkretnie. Nie chciałeś jej. I nie chcesz jej teraz.
- Chciałem mieć dziecko z moją żoną. Posiadanie dziecka spokrewnionego z moją żoną, to było prawie to samo. Chciałem zrobić to, czego pragnął mój najlepszy kumpel Ray, i chciałem spełnić życzenie Georgii, jego żony.
- Ale nie chciałeś konkretnie właśnie Keefer. Powiedziałeś, że to prawie to samo. Jakby Keefer była wystarczającym substytutem dziecka.
- Nie bądź dupkiem. Wiesz, że nie to miałem na myśli. Gordon zmiękł.
- Nie. Miałeś na myśli, że ona była najbliżej jak to możliwe tego dziecka, które moglibyście mieć razem.
- Dziecka, które będzie podobne do mnie, pomyślał Gordon. Dziecka, które będzie mądre jak twój ojciec.
- Właśnie tak - westchnął Craig, a jego masywne ramiona opadły.
- Widzisz, a ja chciałem jej, właśnie jej! Chciałem tego jednego dziecka, które już było moje.
- Potrzasując głową z melancholijną powolnością, jak niedźwiedź wyczuwający obecność, której nie rozpoznaje, Craig wydawał się medytować.
- Nie wiem, jak się to wszystko zaczęło... - Spojrzał błagalnie w twarz Gordona. - Nie rozumiem nawet, jak sam jeszcze żyję,

nie mówiąc o dzieciach. Nie wiem, czego Delia będzie potrzebować. Nie wiem, cholera, nic.

Gordon poczuł, że węzeł się rozluźnił.

- Biedaku - powiedział, wyciągając sztywno rękę i ściskając ramię Craiga. Odsunął się i siedzieli tak obaj z rękami opuszczonymi między kolanami, aż wreszcie Gordon się odezwał:

- Wiem, co powinieneś zrobić i jak. Pomogę ci. Nie będę się odgrywać. Nie będę prosić o więcej dni z Keefer.

- A ja nawet nie zawiadomiłem ojca Alex. Przecież powinien wiedzieć.

- Craig! - zawołała jego matka z salonu. - Dzwonią ze szpitala!

Craig dźwignął się ciężko. Gordon poszedł za nim, skinął głową ojcu, który właśnie wstał i wyciągając szyję, sięgał po czerwony trzewiczek Keefer, leżący na stoliku do kawy między bliźniaczymi wazonami z liliami z jedwabiu.

- Co to znaczy? Jak to wentylacja? Czy to chwilowe? - pytał Craig, a jego matka kołysała dziecko szybciej, szybciej, szybciej.

Mark złapał Keefer, przytrzymał wijące się ciało, i stracił but na podłogę.

- Co myślisz? - spytał gorączkowo, patrząc twardo w oczy Gordona, a spojrzenie miał młode, świadczące o gotowości na wszystko.

- Chodźmy - powiedział Gordon. Jedną ręką zgarnął Keefer, przyciskając jej buzię do ramienia, a drugą przekreślił gałkę w drzwiach. - Zostaw. Zostaw ten but. To nie pech. Nie leży już na stole.

22

Nazywam się Keefer Kathryn Nye. K. K. N. Mieszkam w Madison w stanie Wisconsin. Mam prawie dziesięć lat. Moje urodziny będą tuż przed wiosennymi feriami. Chcę urządzać zawody paintballowe. Mój tata mówi, że nie, ponieważ to jest broń, ale to nie jest broń. Mówi też, że innym dzieciom rodzice nie pozwolą do mnie przyjść, bo będą się bać, że ktoś je trafi w oko. Hughowi pozwolili na paintball, a on jest jeszcze dzieckiem, ale pewnie to jest inaczej, jak się jest chłopcem.

Czy to sprawiedliwe?

Chcę opisać historię mojego życia. Mam na to całą noc.

Moja mama umarła, jak byłam malutka.

Dzisiaj jest wtorek. Noc. Musiałam się zwolnić ze szkoły w poniedziałek i we wtorek ze względu na ten szpital. Mój tata wyjechał. Pojechał na spotkanie w Kanzas czy w Kalifornii czy gdzieś tam. Nigdy nie jeździ na żadne spotkania, więc dlaczego teraz pojechał? Płacę mu za to grosze. Ale ma zamiar skończyć ze szkołą niedługo. Mówi, że teraz płacę za jego naukę, a potem on będzie płacił za moją. Wolałabym mieć dom nad jeziorem Mendota niż tę jego naukę. Moja koleżanka Alaya ma dom nad jeziorem Mendota z kregielnią w piwnicy. Nasz dom to straszna rudera. Ma pięć sypialni, werandę dookoła i siedem brzoź. Wygląda dużo lepiej z zewnątrz niż wewnątrz. Ma okropny kolor. Mój ojciec mówi, że jest s... to-zielony. Samochód mego taty był tego koloru. Wzięliśmy go ze względu na dzielnicę. Mamy krzesła i kanapy, które dali nam babcia i dziadek. Przynajmniej krzesła nie należą do banku. Później będziemy mieć inny dom. Nawet moja ciocia Lindsay mówi, że nasz dom to rudera. A to moja najlepsza ciocia. Jest bardzo miła i nigdy nie kłamie. Nie pamiętam mojej mamy, bo byłam bardzo malutka, jak mama umarła. Była bardzo znana. Babcia McKenna ma wielki album ze zdjęciami i historyjkami o mamie, i była kiedyś w People (nie w Teen People), i jest też taśma ze starego programu, podobnego do 20/20. Dostanę ją na zawsze, jak skończę dwanaście lat. Mama mojego ciotecznego brata Hugh'a też umarła, jak on był mały, więc przeżyliśmy z Hughem to samo. Kiedyś pani Mallory powiedziała, że mnie się wydaje, że zawsze mi się uda wykręcić sianem, bo wszyscy mnie żałują, że nie mam mamy. To wielkie, obrzydliwe kłamstwo.

Przez ten szpital mam dwa dni na pisanie pamiętnika. To dlatego, że nie odrabiam tutaj lekcji, nawet z biologii i z matematyki. W szpitalu dużo się nauczyłam z biologii. A jak! Zostałam z tym wszystkim sama. No bo najpierw pojechaliśmy do szpitala w poniedziałek i po prostu siedzieliśmy tam, bębniąc palcami. Nic się nie działo. Mój tata dzwonił gdzieś i powiedział, poczytaj coś. Na przykład co? spytałam. Mój tata mówi, że jak się nie nauczę czytać dla przyjemności, to będzie musiał mi kupić wózek na zakupy, kiedy dorosnę, i będę jeździć w tę i z powrotem po State Street z małym chihuahua, siedzącym na galonowych pojemnikach

z mlekiem. Wiem, co chce przez to powiedzieć. I to wcale nie jest śmieszne.

No i tak, teraz jest wtorek, a ja siedzę na korytarzu, ponieważ nie wpuszczą mnie jeszcze na salę. Nie jestem sterylna. Mój tata umarł też, kiedy byłam malutka, ale nie mój tata ten co teraz, tylko Ray. Nie pamiętam, żebym go kiedyś poznała. Mieszkamy w Madison, ponieważ mój tata codziennie musi chodzić do szkoły, do szkoły, do szkoły! To śmieszne. Uciekłabym ze szkoły natychmiast, gdybym tylko mogła, bo i tak się nie przykładam. Najchętniej jeździłabym konno na wyścigach. To dobry zawód. Dobrze jeździę, bo brałam lekcje w Barnstable Ridge. I jestem najniższa w klasie, zaraz po Amesie Smithu, ale on się nie Uczy, bo jeździ na wózku. To fajny kolega. Przyjedzie na moje urodziny. Nie gra w paintball, bo nie może stać. Zawsze daje mi się przejechać na wózku, bo ważę tylko pięćdziesiąt dwa. Moja babcia ciągle powtarza, żebym więcej jadła. Ale ona też jest niska. Od jeżdżenia człowiek wcale nie robi się wysoki. Moja druga babcia jest dużo wyższa i umie skakać do wody. Ale ma wędrujące migreny.

Hugh i ja mieliśmy bardzo trudne życie. Właściwie ja to wymyśliłam, ale Hugh powtarza po mnie wszystko, co mówię. Robi też, co mu każę, nawet jeśli to jest głupie.

Czy tak powinno być?

Posłali mnie raz do psychologa i tak poznałam pannę Tyson. Panna Tyson! Cha, cha! Miała praktykę jako psycholog u nas w szkole przez miesiąc, a potem miała przejść do innej szkoły. Mówiła, że dali jej potencjalnych przestępców. Więc doskonale wiedziała, w co się pakuje. Od razu zadzwoniła do taty. Raczej do automatycznej sekretarki! Co ona sobie wyobraża? Że on siedzi w domu? On musi pracować. Ale to było dawno temu.

PANNA TYSON: Podobno zabierasz maluchom ich obrazki?

K. K. N.: Ja je wymieniłam.

PANNA TYSON: Na co wymieniłaś?

K. K. N.: Na gumki.

PANNA TYSON: Jakie gumki?

K. K. N.: Takie duże, niebieskie. Można z nich zrobić procę.

PANNA TYSON: Uważasz, że to uczciwe?

K. K. N.: A pierwsi osadnicy wymieniali paciorki z Indianami. Na skóry i ziemię.

PANNA TYSON: To DOKŁADNIE tak samo jak osadnicy, którzy wymieniali paciorki z Indianami, dlatego to jest takie okropne! Rodzice pierwszaków wydzwanają z pretensjami! Mówią, że zapłacili po dziesięć dolarów za te obrazki, a ty wyłudziłaś je od dzieci. Musisz je wszystkie oddać.

A te gumki i tak mi są niepotrzebne.

- Keefer, ja też nie miałam mamy - powiedziała panna Tyson. Nienawidzę, jak nauczyciele to robią, ale ją polubiłam, ponieważ nie traktowała mnie jak dzidziusia. Byłam okropnym bachorem, powiedziała. Uciekała dwa razy. Paliła papierosy, kiedy miała jedenaście lat. Jakby mnie to obchodziło! Można uciec od kary, jak ludzie cię żałują, ciągnie panna Tyson. Ale tak naprawdę daleko nie uciekniesz, bo nie można uciec od siebie. KAZANIE! Potem powiedziała mi o chlebie w wodzie, a to było ciekawe. Jak go włożysz do wody, to wypływa trzy razy. Miałam wtedy osiem lat, byłam znacznie młodsza, więc postanowiliśmy z Hughem to sprawdzić. Teraz wiem, co miała na myśli: złe rzeczy, jakie się robi, wracają i są jeszcze gorsze. Mój tata powiedział, że prawo karmy jest g... warte, ale ja uważam, że to ma sens.

Więc po tej aferze z obrazkami tata przyszedł do szkoły. Na rozmowę. Siedziałam tam i wtedy panna Tyson powiedziała, kim jest. Myślałam, że mój tata już wiedział, ponieważ patrzył długo na nią, jak tylko wszedł. Ona jest ładna. Niezła laska. Ma świetną fryzurę. Powiedziała:

- Jestem twoją kuzynką, Alex.

Pomyślałam, to fajnie.

Opowiedziała mi wszystko. Nie wiedziała, że chodzę do tej szkoły. Wuj Craig był kiedyś jej ojczymem. Jej prawdziwy tata nazywa się Jack. Jest bardzo miły, ale nie z tych, co się żenią. Po śmierci Delii zamieszkała z Jackiem. Żyli po kawalersku, jak tata i ja, tyle że w drewnianym domku.

No dobra! Panna Tyson była kiedyś moją siostrą! Stąd mam te Barbie. Nadal mam jej wszystkie lalki Barbie. Jestem już za duża na Barbie. Ale one są z dawnych czasów i kiedyś mogą być dużo warte, mówi babcia Nye. Babcia Nye ma wszystkie swoje lalki, jakimi bawiła się jako dziewczynka. Ta bez rąk jest najcenniejsza.

Zadzwoniliśmy do babci. To znaczy do mojej babci, mamy mego taty. Obie z Alex słuchałyśmy. Mój tata zaczął: Wiesz, kogo

spotkaliśmy? Alexis! Potem zadzwoniliśmy do wujka Craiga. Mój tata powiedział: Nie uwierzysz. Właściwie to powiedział jeszcze więcej, ale lepiej tego nie powtarzać. Spytałam, dlaczego wujek Craig nie wiedział, gdzie ona była. Mój tata powiedział, że wiedział, że ona jest w Madison, ale nie wiedział, że w mojej szkole. I nie dowiedziałyby się nigdy, gdybym co chwila nie pakowała się w jakąś kabałę.

Miałam sen i potem mi się przypomniało, jak Alex i ja kapałyśmy się.

Tata zaprosił pannę Tyson na kolację i zrobił makaron z brokułami, bo tylko tyle umie ugotować, ale to jest dobre na raka. Oprócz tego tata gotował chyba tylko raz w całym moim życiu. Kiedy byłam mała, miałam jakieś trzy lata, co dzień kupowaliśmy jedzenie na wynos. Jednego razu próbował dać mi smażony ryż i powiedział, że to jest ryż tajski, a ja powiedziałam, że nie tajski, ale chiński. Mój tata opowiada wszystkim tę historię, więc wam też mogę o tym powiedzieć.

Mama Hugh'a miała taką chorobę. Tak samo moja mama, ale ona zabiła się, bo spadła z mostu. To były inne choroby. Kiedyś myślałam, że to ja zabiłam ją, jak byłam mała, niechcący. Hugh właściwie zabił swoją mamę, ale to nie była jego wina. Ona umarła z powodu komplikacji. Miała tłuszcz w tętnicy w mózgu. Musieli ją podłączyć do takiej maszyny, co za nią oddychała. Ale to jej nie pomogło. Mózg jej wysiadł. Byłaby rośliną. Mój wuj został nagłe z dwójkiem dzieci, z Hughem i ze mną, bo mój tata nie mógł mnie mieć, dopóki nie poszli do sądu i tam nie powiedzieli, że tata się nadaje.

Alex zamieszkała ze swoim tatą, a potem dorosła. Nie widziałam jej ani razu, aż dotąd.

To strasznie skomplikowane !

Ona była w college'u w Madison, ale nigdy jej nie spotkałam, bo mieszkała we wschodniej części miasta. No i nie mieliśmy jej numeru. Mieszkała tuż obok tego pana, co robi rzeźby z części samochodowych. Więc ja poszłam do przedszkola. Mówiłam do mojego taty po imieniu. To było dziwne. Ałaya zapytała mnie, dlaczego. Powiedziałam, że to dlatego, że mój tata był moim wujem.

Naprawdę!

Mój tata i moja mama byli bratem i siostrą. Adoptowali go, kiedy był małym dzieckiem. A potem mój tata adoptował mnie, kiedy

umarta. Niezupełnie. Po tym jak umarta Delia. Ta, co jest mamą Hugh'a, ale nie żyje. Najpierw mieszkali blisko nas za sklepem Orange Tree. Teraz mieszkają w Oregon. Nie w stanie, w mieście! Oregon w stanie Wisconsin. Mój tata mieszkał tam, kiedy byłam mała, ale teraz nas na to nie stać. Wujek Craig sprzedaje jeepy. Nie stać nas na jeepa! Hugh mówi, że dostanie konia, ale to kłamstwo. Ciągłe przychodził, jak gotowaliśmy sobie na dworze. Pojechaliśmy zobaczyć Brewersów. Byli do bani. Pojechaliśmy na trawę na rzece Colorado, z ciocią Lindsay i wujem Timem. Oni są Upchurchowie. Dwa wysokie kościoły*. Wuj Tim zawsze mówi, że mnie ukradnie. Ale teraz mają dziecko, więc nie będzie musiał. On ma psa, który nazywa się Taxi. Ciocia Lindsay kochała się kiedyś w moim tacie. Mój tata ma słabość do rudych dziewcząt. Ale byli za młodzi. A kiedy już była stara, wyszła za Tima. Mieszkali w tym samym mieście. A my mieszkaliśmy w Madison. Mój tata musiał przeprowadzić się do Madison, żeby się mną zająć. To dlatego Hugh i ja bawimy się razem, chociaż on jest jeszcze mały. Ma osiem lat. Mamy duże zdjęcie, na którym jestem ja, tata i tort. Na torcie jest napis Nasza Keefer. Brakuje wielkiego kawałka, to moja sprawka, bo miałam wtedy dwa lata. Pojechałam na Florydę, kiedy miałam sześć lat. Dziadzio Ray pozwolił mi pojeździć wózkiem golfowym. Samej. Moja babcia M. i ciocia Nora przyjechały i zabrały mnie na pierwsze wakacje z nimi. Do Ekwadoru. Teraz mogą tam jeździć na całe lato, nie do Ekwadoru, ale do Tali Trees, jak chcę. Już jestem na tyle duża. Dziadzio M. nauczył mnie, jak rozpałać ogień szkłem powiększającym, ale to Hugh spalił makulaturę. Oboje dostaliśmy burę. On użył lakieru do włosów. Mówiłam, żeby tego nie robił!

OSTRZEŻENIE! NIE CZYTAĆ DALSZEJ CZĘŚCI JEŚLI SIĘ NIE MA SIEDEMNASTU LAT!

Następnym razem odesłano mnie do domu przez siusiaka Hugh'a. Przez kilka tygodni nie pakowałam się w kłopoty. Aż przyszedł mi do głowy jeden pomysł. Wszyscy w trzeciej klasie chcieli zobaczyć siusiaka. Wielka rzecz. No to podzieliłam się pół na pół z Hughem. Pięćdziesiąt centów za jedno spojrzenie. Zrobiliśmy bardzo dobry interes. Hugh był dopiero w pierwszej klasie. Hugh ma całkiem dużego jak na takiego dzieciaka, wiem, bo widziałam

i Church to po angielsku kościół.

raz, jak przysłała na kolację, a mój tata właśnie wrócił z softballu i pachniał, Alex powiedziała, idź i weź prysznic. Tata powiedział, no bo ostro gram. Jako pitcher?* spytała go Alex. Powiedział, tak, a ty w ogóle grasz? Też jako pitcher odparła. Mój tata na to, ach tak?

Mój wujek Mike mówi, że tata podrywa niemowlaki, ale tak naprawdę między nimi jest tylko dziesięć lat różnicy. Tata wygląda staro przez te okulary.

Ale wróćmy do dziecka. Doktor patrzy na mnie i mówi, a to co za panienska? Alex na to, to moja córeczka, Keefer Kalhryn Nye. Doktor na to, no dobra. Mówi, panno McKenna, proszę nie przeć póki nie powiem. Ja mu na to, że to pani McKenna. Alex mówi, nie bój się Keefer, ponieważ jak będę krzyzczyć, to znaczy, że wszystko dobrze. No i KRZYCZAŁA! Wybiegłam do holu. Potem musieli mnie znowu sterylizować. Myślałam, że się porzygam. Potem myślałam, że zemdleję. Umyłam twarz w łazience. Pielęgniarka, Jennifer, spytała, chcesz tam wrócić?

K. K. N.: Tak. Czy dziecko już tam jest?

JENNIFER: Zaraz będzie.

ALEX: Chryste! Dobijcie mnie! Cholera!

Wróciliśmy. Doktor mówi, widzę włosy. Widzę piękne rude włoski. Proszę przecć, pani McKenna. Przecć. Przecć. Twarz Alex jest cała fioletowa. Przecć. Przecć. Wydaje się, że przez to zaraz jej głowa odleci, ale między krzykami Alex mówi: Nie bój się, Keefer. Nie bój się.

Zaczekaj chwilę!

Jest dziecko!

Wyskoczyło jak korek! Jest bardzo silne!

Nie jest wcale takie grube. Ten śluz to normalne. Jest duża. Jak duże dziecko, jak braciszek Zoe, a ona przecież dopiero się urodziła. Siostra Jennifer mówi: No, starsza siostrzyczko! Chcesz potrzy-
mać dziecko? Och, pozwalają mi trzymać dziecko, moją siostrzyczkę. Nie zwracałam uwagi na krew. Pocałowałam ją prosto w buzię. Kichnęła! Już tak miałam dosyć kawalerskiego życia. Alex jest cała spocona, a oni ją myją. Oddalam im dziecko, żeby je umyli.

Dzwonimy do babci M., a ona mówi, chyba nie wytrzymam! Na dworze jest jakieś trzysta cali śniegu. To znaczy w Tall Trees. Po-

* Pitcher - gracz w baseballu rzucający piłkę.

chodzę z Północy. Spytałam Alex, czy możemy zadzwonić do Lindsay i Tima, i do babci Nye, i do jej taty w Karolinie Północnej. Zadzwoiliśmy tylko do jej taty. Potem ona mówi, prześpię się trochę, a ty? Nie mogłam spać. Byłam taka podniecona. Alex mówi, kochanie, znajdź sobie coś do czytania. Nie włączaj telewizji. Oglądam więc latarnie. Cale są otulone śniegiem. Nie ma samochodów. No jeden. Taki, co rozwozi pizzę.

Nie byłam smutna. Byłam zadowolona, że dziecko ma swoją własną mamę. Chciałam do taty. Pomyślałam, że samolot mógł się rozbić. Aż miałam dreszcze. Wzięłam drobne z portmonetki Alex i poszłam do automatu. Mieli Pringles w małych puszkach. Najbardziej lubię śmietankowe.

Wróciłam.

Alex budzi się, żeby nakarmić dziecko z piersi, fuj. Dziecko już wie, jak jeść. Jest bardzo mądre. Alex mówi, o rany, jestem mamą, co o tym myślisz? Potem mówi, Kee, jestem też twoją mamą. Ja mówię, macochą. Ona na to, nie, jestem twoją mamą, biorę cię za swoje dziecko, tak jak bym brała ślub. Nie masz innej mamy, więc nie muszę się tobą dzielić. Ja powiedziałam, dobrze, no to może mnie adoptujesz. Ona powiedziała, czy mogę się najpierw prześpać trochę? Zamknęła oczy i powiedziała mi, że też nie ma mamy. Powiedziałam jej, żeby wzięła moją babcie, ponieważ moja babcia nie ma córki. Chodź tu do nas do łóżka, ona mówi, i śpij. Zmieścimy się wszystkie.

Obudził mnie tata. Śnił mi się basen w dżungli, gdzie bawiły się małe syrenki.

Spytałam go, czy spadło więcej śniegu. On mówi, tak. Teraz nadamy dziecku imię. Zaraz wrócę do ciebie.

Trochę się pokłócili o to. Mój tata chciał Georgię albo Elizabeth. Kto to jest Elizabeth? spytała Alex.

Potem powiedziała, nie, ona jest Dory. Dory Delia McKenna. Pamiętasz? spytała. Nie pamiętał. Wtedy ona opowiedziała, jak to kiedyś była mała dziewczynka, która nie potrafiła wymówić imienia swego ojca. Ona myśli, że ja nic nie pamiętam, nie wiem, o co chodzi. Ale ja pamiętam. Opowiedzieli mi tę historię ze sto razy, o Georgii.

Ale to fajne imię.

D. D. M

i K. K. N.

Tata się popłakał. Głuptas z niego. Nad czym tu płakać? Dory waży dziewięć funtów. Tata mówi, że ma teraz za dużo dziewczyn do kochania. Śmieszne. Przydałby się chłopiec, mówi tata. Dorosnij wreszcie, Alex na to.

Tata mówi, że mnie zabiera do domu. Ciocia Nora już tam jest. Powiedziałam, a co, czy ona ma sanie zaprzężone w renifera? A tata na to, że ciocia Nora poprowadziłaby nawet psi zaprzęg. Nie chcę wychodzić. Właściwie to jestem wściekła. Po tym całym szpitalnym zamieszaniu, nagle jakby nigdy nic, do widzenia, Keefer! Ale tata jakoś tak mi ściska ramię mocno. Krzyczę: auć! Wracaj siostra Jennifer. Wszystko w porządku? Dobrze mu tak. Daje mi koszulkę z napisem: „Zostałam starszą siostrą”. Nieźła. Tylko trochę za mała. Starsze siostry na ogół są małymi dziećmi. Alex mówi, że woli tak jak jest. Pielęgniarka na to, że mamy najładniejsze dziecko w całym szpitalu. I wszyscy jesteście rudzi, dodaje. Ja nie jestem ruda, chyba że w lecie. Mój tata mówi, obie musicie mieć ten gen. Alex mówi, nie, wcale nie. Mój tata mówi, tak, najdroższa, macie. Cały mój tata. Najmądrzejszy na świecie!

Musimy iść. Siostra Jennifer przynosi nasze dziecko, już czyściutkie. Wzięłyśmy kąpiel, mówi. Tata pogania mnie, pośpiesz się Keefer, zawsze trzeba na ciebie czekać. Mówię, że chcę jeszcze raz popatrzeć. Alex kładzie dziecko do łóżeczka. Śpi. Ale uśmiecha się przez sen. Rusza buzią w górę i w dół, w górę i w dół. Myśli, że je kolację!

Tata mówi, nie budź jej, ale ja i tak ją całuję. Mówię, jak pocałujesz, tęsknoty nie poczujesz. Tata stoi już przy drzwiach. Odwraca się i patrzy na korytarz. Potem podchodzi, bierze mnie na ręce i otula mi głowę płaszczem. Niesie mnie całą drogę do samochodu, czego nigdy nie robił, nawet jak byłam bardzo mała i bolały mnie nogi w centrum handlowym.

Tu jest pięć kartek, co najmniej, zapisanych po obu stronach.

Podziękowania

Wszystkim tym, dzięki którym wiedzy i życzliwości mogłam opowiedzieć tę historię, wyrażam wielką wdzięczność.

Za podzielenie się ze mną swoim ogromnym zasobem wiadomości, także na temat nauczania, dziękuję Gregowi Boyerowi. Marlenę Porter, Richard Auerbach, Greg Lyons, Elizabeth VanderWerf i Cindy Jensen wprowadzili mnie w prawne i psychologiczne aspekty praw opiekuńczych, za co jestem im niezmiernie wdzięczna. Brenda O'Donnel i Adrian Lord z Insurance Institute of Highway Safety podobnie jak Greg Siborski, Marlyn Chohaney i Michael Brownstein z National Institutes of Health pomogli mi opracować realia powieści. Plastyczki Lora Donahue i Anette Turów wtajemniczyły mnie w uprawianą przez nie dziedzinę sztuki i metody nauczania. Za żmudne wyszukiwanie przepisów i ustaw dziękuję Clarice Dewey. Za pomoc w zbieraniu materiałów, rady w sprawach edytorskich i wiele życzliwości winna jestem wdzięczność Patricii Kelly.

Daniel Moeser jest nie tylko mądrym i oddanym swej pracy sędzią, ale także moim dobrym przyjacielem. Franny Van Nevel, której opowiadałam każdą historię, przyczyniła się do skonstruowania tej powieści w stopniu znacznie większym, niż sobie z tego zdaje sprawę. Mój ukochany brat Bobby, jego przyjaciel John i mój wieloletni przyjaciel Brian Hewitt wprowadzili mnie w tajniki gry w golfa. Za przybliżenie świata przyrody środkowego Wisconsin dziękuję Andy'emu Johnstonowi i memu synowi, Robertowi Allegretti.

Oddane mi przyjaciółki, Annę D. LeClaire i Barbara Grossman,

były pierwszymi, wnikliwymi czytelniczkami. A agentka od lat osiemnastu i przyjaciółka na całe życie, Jane Gelfman, była moją powiernicą i przewodniczką w zmaganiu się z trudami pracy. Jennifer Hershey przygotowała książkę do druku ręką lekką, a zarazem twardą, Cathy Hemming zaś wydała ją z pasją i poświęceniem. Projektant okładki, Roberto De Vicq De Cumptich, nadał książce wspaniałą oprawę.

Najbliższym przyjaciołom i rodzinie, zwłaszcza niestrudzonej, pełnej pomysłów asystentce Pameli English, mojej prawej ręce Jill DeYoung, a także Norze w moim życiu, czyli Karen Smith, pragnę przekazać wyrazy ogromnej wdzięczności i oddania. Córkom, Marii, Francie i Jocelyn, oraz synom, Robowi, Danielowi i Martinowi, dziękuję za pobłażliwość i wyrozumiałość. Joyce M. i Joyce S., Laurie, Karen T., Sam, Peg, Emily, Hillary, Sandy Mitchard, Stacey, Jane H., Patty, Artie, Larry, Pam, Mikey, Anna, Alyssa, Bryan i reszta mego sztabu niech przyjmą bardzo serdeczny uścisk. Specjalne podziękowanie należy się memu wnukowi i imiennikowi Gordona McKenny.

Dziękuję również Rosie, Bobowi i Scottowi.